

Zenon Kosiedowski

KRÓLESTWO ZŁOTYCH ŁEZ

Część I GDZIE JESTEŚ, EL DORADO?

ZŁOTA LEGENDA KONKWISTADORÓW¹

— Pedro, Pedro! — ozwał się zbolący głos.

Do małej izby wszedł chudy wyrostek indiański. Miedziana twarz miała w sobie coś uroczystego, ale w kącikach ust igrał wesoły uśmiech młodości.

— Niech cię niebo pognębi! Gdziez ciebie лихо poniosło? Pomóż mi ustać.

Wikariusz miasta Panamy i katecheta, ksiądz Hernando de Luque, ledwo zwlókł się z posłania. Przebył dopiero co jeden z ataków malarii. Nalana, bezbarwna twarz pokryła się kropelkami zimnego potu, ale oczy, choć jeszcze przygasłe z niemocy, już zaczynały spoglądać bystro.

Przez małe okienko wciskał się do mrocznej komory biały, miazdzący żar południa. Uliczki, wymarłe i pełne pyłu, trwały w odrętwiałej senności. Wszyscy mieszkańcy pochowali się przed zabójczym słońcem, ale jego nie stać było na sjęstę. Nie mógł dłużej zwlekać z napisaniem listu. Dziś pod wieczór, skoro znad morza nadciągnie pierwsze chłodniejsze tchnienie, wyruszy na wybrzeże Atlantyku karawana niewolników indiańskich, która w Darien odbierze broń i prowianty przesłane na karawelach² hiszpańskich z Sewilli. Jest to okazja, by wyekspediować list razem z pocztą gubernatora Panamy.

Główny sędzia miasta Darien, senior Gaspar de Espinoza, ów bogaty finansista, którego ksiądz jest doradcą i agentem, zapewne z niecierpliwością wypatruje wiadomości. Z jego kufrów płynął strumień dukatów³ na finansowanie różnych popłatnych przedsięwzięć. Hernando de Luque występował oficjalnie jako samodzielny przedsiębiorca, jednak w istocie rzeczy, o czym ludzie szeptali po kątach, wykonywał tylko zlecenia anonimowego mocodawcy.

Ocierając pot z czoła, podsunął sobie zydel i siadł przy stole.

— Mój Boże — zastanowił się — ileż zmian w tym krótkim czasie! W roku 1513, a więc nie dalej jak jedenaście lat temu, Vasco Nunez de Balboa, przemierzywszy dziki Przesmyk Panamski, stanął nad Oceanem Spokojnym. W pełnym uzbrojeniu, dzierżąc sztandar Kastylii w rękę, wszedł po kolana w fale morskie i wziął w posiadanie odkryty ocean dla króla Hiszpanii. I jakaż spotkała go za to nagroda? Śmierć na szafocie! Gubernator Pedrarias Davilla, nie mogąc ścierpieć jego sławy, oskarżył go o zdradę i oddał w ręce katowskie.

Ten Pedrarias to człowiek niebezpieczny i przewrotny, pod układnością hiszpańskiego rycerza ukrywa brutalność, zawiść i bezbrzeżną zachłanność. Zagarnąć jak najwięcej złota — oto co go zaprzęta! Ale on, ksiądz de Luque, odkąd przybył z nim tutaj w roku 1518 i asystował przy założeniu miasta Panamy, ma go ot tu, w garści, i ugniata jak glinę. A jeżeli stanie mu okoniem w jego planach, no to...!

Dopiero sześć lat siedzi w tej przeklętej dziurze, a zdawałoby się, że minęły wieki. Nabawił się tu malarii. Kiedyś nawet, gdy był pogrążony w ciężkim śnie, padł ofiarą nietoperza—wampira. Zbudziwszy się nad ranem, wymacał na szyi ledwie dostrzegalną ranę. Wampiry to istny dopust Boży. Parę dni temu widział tego stwora, jak opuścił się bezczelnie na pierś śpiącego

¹ Konkwistador — zdobywca, zaborca.

² Karawela — trzy— lub czterożagłowy statek morski w średniowieczu.

³ Dukąt— złota moneta wenecka, wprowadzona w XIII w.

Indianina, z perfidną ostrożnością przepelznął do karku, otworzył żyłkę ostrym zębem i zlizywał krew. Indianin nawet nie drgnął, tak delikatnie odbywała się cała operacja⁴.

Ksiądz ocknął się z zamyślenia i spostrzegł, że Pedro stoi jeszcze przy nim niezdecydowany. Przyjrzał mu się bacznie i zapytał:

— Powiedz no, Pedro, jak się dostałeś tu do nas?

— Kiedy byłem mały, zabrał mnie z puszczy senor Balboa.

— I poszedłeś z własnej woli?

— Si, Padre, z własnej woli. Senor Balboa był bardzo dobry, przyjaźnił się z Indianami, pomagał im i wypędzał choroby. Służyłem mu, a on tylko wciąż się śmiał i nigdy mnie nie uderzył. Tylko że zabierał wszystkie złote ozdoby, wiele złota. Mówił, że jest mu potrzebne do zdrowia. Ale Indianie chętnie mu dawali, bo się z nim przyjaźnili.

— A dużo było tego złota?

— Bardzo dużo, Padre. Jednego dnia, gdy siedzieliśmy w puszczy przy ognisku, senor Balboa odważał złoto na wadze. Wtedy przyszedł naczelnik Komogroe, roześmiał się i wywrócił wagę, tak że ozdoby rozsypały się po piasku. Senor Balboa zapytał, dlaczego to uczynił, a on wskazał ręką na południe i powiedział: „Jeżeli aż tak cenicie złoto, że opuściliście wasze domy i narażacie życie na niebezpieczeństwo, to mogę wam powiedzieć, że tam za lasami znajdziecie o wiele, wiele więcej złota. W górach, gdzie zawsze leży śnieg, mieszka w złotym pałacu potężny król. Idźcie do niego, on da wam tyle złota, ile tylko zapagniecie”.

— A co ty myślisz, Pedro, czy to prawda?

— Ja wiem, że to prawda. Mówił mi o tym ojciec. Gdy mieszkał w królestwie Quito, przybył tam król z wielkim wojskiem i podbił wszystkie plemiona. Ojciec widział go z bliska, bo ukrył się w zagajniku i patrzył. Oni wszyscy mieli tyle złotych ozdób na sobie, ile w życiu nie widział. Ale potem ojciec zabrał mnie i uciekł na północ, bo wojska króla zabijały ludzi. I wtedy spotkaliśmy senora Balboę.

— Pedro, ty zapewne umiesz rozmawiać w języku plemion południowych. Wysyłam tam ludzi. Jesteś prawym chrześcijaninem. Chcesz mi pomóc i iść z nimi jako tłumacz? Mówisz już przecież znośnie po hiszpańsku.

— Tak jest, Padre — odpowiedział chłopiec, ale mina wyraźnie mu zrzędła.

— No, to pójdziesz — zawyrokował ksiądz.

Odprawiwszy Indianina, de Luque zabrał się do ponownego odczytania listu, który wręczył mu tego dnia posłaniec. Rycerz Pascual de Andagoya opisywał w nim wyprawę, jaką w roku 1522 odbył do puszczy leżącej na południe od Panamy.

„Dotarłem do rzeki nazwanej przez tamtejszych ludzi Piru⁵. Ci Indianie podziwiali mojego rumaka, toteż chcąc wprawić ich w jeszcze większy podziw, pokazywałem im, co umie. Kazałem stawać mu dęba, kołować, dawać susa przez rowy i cwałować galopem. Wtedy przytrafił mi się wypadek. Wierzchowiec potknął się o gałąź, zwałił na bok i przygniół mnie swoim ciężarem. Ze złamanym obojczykiem wróciłem do Panamy, niesiony przez tragarzy indiańskich.

Zdążyłem wszelako zasięgnąć języka o rzeczach godnych uwagi. Tamtejsi Indianie utrzymują, że gdzieś, hen na południu znajduje się wielkie, zamożne państwo, którego król uważa się za boga i gdzie złota jest co niemiara. Mniemam, że dotarcie do tego zagadkowego kraju, jeśli on w ogóle istnieje, jest rzeczą wymagającą wielkiego trudu. Na przeszkodzie stoją nie przybyte puszcze i łańcuch górski, którego wysokości nie umiem nawet sobie wyobrazić. Widzi mi się przeto, że łatwiej dotrzeć tam drogą morską. Należałoby płynąć w kierunku południowym,

⁴ Nietoperz ten jest nieco większy od myszy. Naukowa nazwa: *Desmodus rotundus*.

⁵ Według nazwy tej rzeki Hiszpanie nazwali państwo Inków Piru (dziś Peru).

trzymając się blisko lądu”.

Zebrane wiadomości utwierdziły wikariusza w przekonaniu, że pogłoski o państwie El Dorado, gdzie wszystko jakoby jest ze złota, nie były tworem urojeń ludzkich. Krążące wieści o bajecznych bogactwach dalekiego kraju wywołały w Hiszpanii taką gorączkę emigracji, że na przykład w Sewilli — jak to pisał ambasador wenecki Andrea Navigiero — pozostały w końcu nieomal tylko kobiety i dzieci.

Ci emigranci to byli ludzie dufni i twardzi, od pokoleń zahartowani w zaciętych bojach z Maurami. Nie odstraszały ich trudy i niebezpieczeństwa. Z głodem, pragnieniem, chorobami i śmiercią byli za pan brat od dzieciństwa. Niejeden z nich brał udział w zdobyciu Granady, ostatniego kalifatu⁶ mauretańskiego w Hiszpanii. Z tych srogich zapasów wynieśli dusze dziwnie pogmatwane i pełne przeciwieństw. Z zamięłowaniem do uniesień romantycznych, ze zdolnością do bohaterstwa, z żarliwą wiarą mieszały się chciwość, przewrotność, nieczułość na cierpienia ludzkie, okrucieństwo i fanatyzm zrodzony z ducha inkwizycji i wojen krzyżowych.

Wieści o zdobyczach Corteza w Meksyku⁷ i o wspaniałej metropolii azteckiej Tenochtitlanie przyczyniły się do wezbrania owej fali emigracyjnej. Ale ci Hiszpanie, których los rzucił na brzegi Panamy, zastali dzikie, wynędzniałe szczepy indiańskie, zabójcze puszcze, trzęsawiska, tumany jadowitych komarów i poszarpane grzbiety górskie. Zamiast zdobyć, jak o tym śnili, upragnione złoto, doświadczyli głodu i pragnienia, nabawili się nieznanymi, szpetnymi chorobami, a wielu z nich traciło życie. Ci zaś, którzy wreszcie docierali do brzegu Oceanu Spokojnego, niby okręty na mieliźnie utkwili w nędznej osadzie zwącej się dumnie stolicą Panamy, gdzie zbijali baki i włóczyli się po ulicach bez pracy i zarobków.

Na dobrą sprawę składa się wysmienienie — pomyślał ksiądz Luque — że tylu jest w mieście włóczykijów. Nie mają nic do stracenia, nietrudno będzie zaciągnąć ich do niebezpiecznej wyprawy.

Nagle uświadomił sobie, że jest już późno, i natychmiast zabrał się do pisania listu. Miękkie, dobrze temperowane pióro sunęło bezszelestnie po papierze:

«Szlachetny Panie. Potwierdzam odbiór dwudziestu tysięcy peset⁸ w złocie na finansowanie wyprawy. Zebrane informacje upewniły mnie w przekonaniu, że tajemnicze królestwo złota nie jest bynajmniej bajką. Do spółki trzeba będzie jednak dopuścić gubernatora Pedrariasa, inaczej nie udzieli pozwolenia na wyprawę. Szczwany to lis i człowiek do cna wyzuty ze skrupułów; przypominam tylko, jak postąpił z nieszczęsnym Balboą. Gdybyśmy przeto nie pozyskali jego przychylności, na pewno czyniłby wszystko, co w jego mocy, żeby udaremnić nasze zamysły.

Zapytujesz o bliższe szczegóły dotyczące dowódców wyprawy i naszych współników. Francisco Pizarro urodził się w Trujillo w Estremadurze i jest synem z nieprawego łoża. Ojciec jego był pułkownikiem piechoty hiszpańskiej, a matka, Francisca Gonzales, tak przynajmniej niesie plotka, sprzedawała swoje wdzięki za brzęczącą monetę. Pizarro jest właściwie znajdą, bo porzucono go niemowlęciem na stopniach katedry. Co prawda, ojciec zabrał go potem do swego majątku, lecz nie dał mu żadnego wykształcenia i nawet kazał pasać świnię. Wyrostkiem będąc, Pizarro uciekł do Sewilli, zaciągnął się jako żołnierz na karawelę i koniec końców wylądował w Panamie. Zaznaczam jednak, że wszystkie te szczegóły zasłyszałem nie z jego ust. Nikt by nie ważył się poruszyć tej sprawy w jego przytomności ze względu na jego wielką siłę i ogólnie znany kunszt we władaniu bronią.

Skoro Pizarro przekroczył już dobrze pięćdziesiątkę i jest niepiśmienny, słusznie mógłbyś,

⁶ Kalifat — obszar podległy kalifowi, czyli zwierzchnikowi duchownemu mahometan.

⁷ Patrz rozdział: „Fernando Cortez opowiada”.

⁸ Peseta — moneta hiszpańska.

Panie, zapytać, czy podola on tak trudnemu zadaniu.

Znając go nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości. Zresztą nie sposób go pominąć, skoro wyprawa jest głównie jego pomysłem. On to od kilku lat żywi do niej zapał, czyni usilnie starania o jej przeprowadzenie, a o drodze na południe zgromadził z wielką pilnością wszelkie wieści, jakie tylko można było zebrać. Wyprawy nie mógł dotąd podjąć głównie dlatego, że brakło mu funduszków, mimo iż nie mało się zasłużył Panamie. Dodać wypada, że w tej chwili cieszy się on w dodatku poparciem Pedrariasą, ponieważ osobiście przyczynił się do aresztowania i zguby Balboya, nie robiąc sobie żadnych skrępułów z tego, iż był najbliższym jego druhem w odkrywczej wyprawie przez Przesmyk Panamski.

Jeżeli jednak polecilem Ci go, Panie, i uznałem godnym powierzenia mu Twoich wkładów pieniężnych, to głównie ze względu na jego osobiste przymioty, przydatne w naszej wyprawie. Nie ma on oglądy umysłu, bo życie spędził na wojaczce, ale nie jest też prostakiem. Raczej sprawia wrażenie korzystne i potrafi być ujmujący. Ktokolwiek go zna, wynosi jego skromność, umiar w picciu i jedzeniu tudzież sumiennosc w pracy. W walkach z dzikimi Indianami odznaczał się niepospolitą odwagą, a nawet pogardą śmierci. Walka jest jego żywiołem, jego drugą naturą — to pewne.

Ostatecznie mógłbyś powiedzieć, że przecież wszyscy Hiszpanie są tacy. Na to odrzeknę, że posiada on cechy, które go wyróżniają szczególnie, a którymi nie zawsze mogą szczycić się nasi żołnierze. Są to: wyjątkowa siła woli, nieugiętość w walce z siłami natury, upór w dążeniu do celu na przekór porażkom, chorobom i innym przywacjom. A to waży więcej niż waleczność w boju, to go pasuje na wodza. W walkach z karaibskimi ludożercami, choć sam odnosił rany i ludzie padali wokół jak muchy, wynosił z zamętu rannych towarzyszy, czym zaskarbił sobie ich przywiązanie.

Nie chcę przez to twierdzić, że wolno polegać na nim bez zastrzeżeń. Jest to gracz chytry, żądny wyniesienia, niewyczerpany w fortelach. Dla sławy i złota gotów dopuścić się zdrady. Myślałem już, jak temu zapobiec. W tym celu między załogą wyprawy będę miał swoich informatorów. Przydzielam mu też mojego sługę indiańskiego, chłopca rozgarniętego. Będzie on tłumaczem, ale zarazem moim powiernikiem w obozie wyprawy. Myślę, że w ten sposób unikniemy przykrych niespodzianek.

Drugi wódz wyprawy i także nasz wspólnik, Diego de Almagro, jest nieco starszy od Pizarra i jak on niepiśmienny. To również podrzutek, tyle że miejsce jego pochodzenia jest nie znane. Nazwisko swoje wziął od miasteczka Almagro, leżącego w Nowej Kastylii. Kapitan to odważny i doświadczony, pozbawiony jednak oglądy i skłonny do brutalności. Żołnierze chętnie do niego lgną, bo chociaż jest porywczy, krewki i nie znający wędzidła w gniewie, łatwo puszcza w niepamięć urazy, a serca ich umie pozyskać rubaszną dobroduszością i brakiem wszelkiego fałszu. Z tej strony nie powinniśmy obawiać się podstępu, gdyż jego prosta żołnierska natura obca jest wszelkim intrygom. Myślę, że wybierając owych dwóch wodzów, tak zgoła niepodobnych z charakteru, będziemy mogli wygrywać ich przeciwko sobie i w ten sposób trzymać w szachu, by nie zmówili się przeciw naszym interesom.

Tak więc, przy łaskawym Twoim poparciu, szlachetny Panie, wyprawa do tajemniczego królestwa złota ruszy w drogę, jak tylko przygotowania pomyślnie zostaną zakończone. Przyniesie nam ona, daj Boże, nie tylko korzyści doczesne, lecz nade wszystko zjedna błogostawieństwo Kościoła, gdyż zaszczepiwszy wśród pogańskich Indian chwałę Chrystusa Pana i Dziewicy Najświętszej, oswobodzimy ich z mocy piekielnych i wyprowadzimy na drogę wiecznego zbawienia.

Niech wielkie łaski Pana naszego Jezusa Chrystusa spłyną na Ciebie, dostojny Panie»

LICENCJAT KSIĄDZ HERNANDO DE LUQUE

Z nastaniem wieczoru ludzie Panamy budzili się z sennego odrętwienia. Wprawdzie chmary robactwa wciskały się do oczu, uszu i ust, ale zamiast żywego ognia bijącego z nieba ziemię objął kojący mrok, roziskrzony gwiazdami. Ulice zaroily się przeto wesołym ludem, w oknach drewnianych chałup zabłyśły światła, nawet pobliska puszcza rozbrzmiała namiętym wołaniem cykad.

Ksiądz Hernando de Luque powitał obu kapitanów dobrotliwie. Pulchna twarz rozplynęła się w jowialnym uśmiechu, a oni, jak przystało na synów Kościoła, skłonili mu się z należytym szacunkiem.

Były to drabiska na schwał. W nikłym świetle lampki oliwnej postaci ich rzucały ogromne i groźne cienie na pobieloną ścianę izby.

Obaj mieli czarny zarost, zresztą przedstawiali typy całkiem odmienne. Pizarro był słusznego wzrostu i dumnej postawy. Biła odeń męska, wyzywająca uroda hidalga.⁹ Ubrany w czarny strój hiszpański, z szerokoskrzydłym kapeluszem w ręku, mógłby śmiało uchodzić za dworzanina cesarza Karola V na zamku w Toledo.

Almagro żywo przypominał chłopca kastylijskiego, jedynie tylko długi rapier z gardą¹⁰ dyndający u pasa zdradzał jego żołnierskie rzemiosło. Krępy, barczysty, z zadziorną i naburmuszoną gębą, z której wystawał sążnisty nochał, sprawiał wrażenie, że ledwie hamuje rozpierającą go żywotność. Już na pierwszy rzut oka zyskiwało się pewność, że jest to człowiek, który nad polor ogłady dworskiej ceni sobie wyżej życie obozu i wojaczkę.

Ksiądz posadził ich przy stole i poczęstował winem. Zamyśliwszy się nad żywą grą światła w rubinowej cieczy, cichym i równym głosem rozpoczął rozmowę:

— Ojciec Święty oraz Najjaśniejszy Pan, Król Kastylii, raczyli wyrazić życzenie, aby przejęto w posiadanie wszelkie krainy tego ładu, i żeby wyrwany był z serc ich mieszkańców szatański chwast bałwochwalstwa i rozlało się światło prawdziwej wiary świętej. Tej najwyższej woli, jako wierni synowie Kościoła, musimy dać posłuch. Wam, szlachetni rycerze, przypada w udziale zaszczyt przyłożenia ręki do tego zbożnego dzieła. Tedy, jak to już postanowiliśmy w poprzednich rozmowach, wyruszyacie niebawem na południe, by własną działalnością żołnierską zyskać dla chrześcijaństwa dalekie królestwo Piru, o którego istnieniu posiadliśmy już pewność niezaprzeczoną. Boleję nad tym z całego serca, że wążle zdrowie nie pozwala mi wam towarzyszyć. Przeto, chcąc w skromnym choćby stopniu wziąć udział w wielkiej zasłudze, oddaję do rąk waszych swoje oszczędności na zaciąg ludzi i wyposażenie wyprawy.

— Wielebny księżu — odrzekł Pizarro — racz przyjąć od nas najpokorniejsze dzięki za poparcie wyprawy. Senor Diego de Almagro i ja doszliśmy do przekonania, że trzeba wybudować dwie karawele i wyposażyć stu do dwustu ludzi w odzież i odpowiedni oręż. Jakaż to będzie suma, którą nam raczysz dać do rozporządzenia?

— Myślę, że dwadzieścia tysięcy peset w złocie powinno aż nadto wystarczyć. Zwłaszcza że wybudujecie jedną tylko karawele. Druga, wprawdzie bez omasztowania, stoi w porcie i może być z łatwością doprowadzona do stanu używalności.

Usłyszawszy te słowa Almagro zaperzył się i palnął opryskliwie:

— Ten stary wrak? Przecież leży już od lat na brzegu i gnije. Wybudował to pudło Vasco Nunez de Balboa, kiedy planował podróż na południe, w czym raczył mu łaskawie przeszkodzić nasz gubernator i jego kat.

⁹ Hidalgo — szlachcic hiszpański.

¹⁰ Garda — cienka okrągła blacha na rękojeści pałasza lub szpady, ochraniająca dłoń

Książd de Luque odezwał się cierpko, nierad, że mu przerwano:

— Nie takie znowu pudło, senior Almagro. Zresztą, co tu się nad tym rozwodzić, skoro nasz gubernator, wielce dostojny Pedrarias Davilla, uzależnił pozwolenie na wyprawę od wykupienia z jego rąk tej karaweli, przy czym zaznaczyć muszę, postawiona przez niego cena nie jest wygórowana.

— Dostojny gubernator jest bardzo łaskawy — burknął Almagro i machnął urągliwie ręką.

— Warunek przyjęty, skoro tak musi być — wtrącił szybko Pizarro, chcąc załagodzić przykrą sytuację. — Jesteśmy wdzięczni gubernatorowi, że nie odmawia nam swojego poparcia.

— Gubernator Pedrarias spełnia tylko polecenie Najjaśniejszego Pana, który dużą wagę przywiązuje do rozszerzenia posiadłości na tym lądzie. Wypada też nam pamiętać, że jedną piątą część wszystkich zebranych na wyprawie kosztowności, jak ozdoby ze złota, perły, szmaragdy, rubiny i inne szlachetne kamienie, należy w myśl jego woli odkładać na rzecz Korony! Dopiero reszta może być przeznaczona do podziału między czterech wspólników, oczywiście po uprzednim wynagrodzeniu zaciężnych.

— Jakich to czterech wspólników? Przecież jest nas tylko trzech? — zapytał Almagro.

Książd de Luque uśmiechnął się blado i dodał:

— Bo zapomniałem jeszcze dodać drugi warunek Pedrarias. Żąda on udziału w zyskach na równi z innymi wspólnikami.

— Caramba — zawołał Almagro — ten Pedrarias umie około własnych spraw chodzić.

Ale Pizarro ruchem mitygującym położył rękę na jego ramieniu i kiwnął głową na znak zgody.

Skoro dwaj kapitanowie wyszli na ciemną uliczkę, obstała ich krzykliwa hałastrą drapichrustów. Wszyscy w mieście wiedzieli już o przygotowującej się ekspedycji na południe. Byli między nimi zwolennicy i przeciwnicy wyprawy, więc jedni drugich usiłovali przekrzyczeć już to wyrazami aprobaty, już to zawadiackimi kpinami.

— Kapitanie, idę z tobą, komary i wampiry są tam z pewnością nie gorsze niż tutaj.

— A ja wolę żreć tu chleb łaskawy, niż smażyć się w kotle dzikusów. Puszczając mimo uszu szyderstwa, Pizarro i Almagro szybko udali się do swoich domów. Powoli osiedle zapadło w głęboki sen. Nad ziemią roztoczyła się noc tropikalna, obejmując ogromnym swoim namiotem również nieznaną kraj, który ani przeczuwał, że daleko na północy ważą się jego losy.

PIZARRO RUSZA NA POŁUDNIE

W listopadzie 1524 roku karawela, zbudowana swego czasu przez Balboę, stała gotowa do wyjazdu w całej odświętnej krasie. Na szczycie masztu łopotał sztandar Kastylii — dwa lwy wyhaftowane na krzyż z dwoma orłami. Z takielunku¹¹ spływały długie, kolorowe bandery i trzaskały jak z bicia w porywach szkwału. Reje¹², wanty¹³ i fale morskie naśmiewały się różną, miłą dla żeglarsza melodią.

W przystani panował zgiełk i krzątanie. Zaciężni weszli już na pokład i stojąc przy burcie pokpiwali sobie z tych, którym nie stało odwagi na wyprawę. Wspólnicy nie mieli dosyć pieniędzy na zakup działek czy choćby arkebuzów¹⁴. Rynsztunek załogi przedstawiał się

¹¹ Takielunek — olinowanie żaglowe statku.

¹² Reja — poprzeczne drzewce na maszcie służące do umocowania czworokątnego żagla.

¹³ Wanty — liny stalowe służące do umocowania bocznego masztu.

¹⁴ Arkebuz — starodawna broń palna, używana w XVI—XVII w.

ubożuchno — składał się z hełmów, tarczy, rapierów i paru kusz¹⁵, Niektórzy konkwistadorzy mieli na sobie stalowe półpancerze i nagołenniki, ale większość odziana była w skórzane kolety¹⁶ lub zgoła tylko w wutowane kaftany. Grupa oficerów pochodzenia szlacheckiego paradowała w lśniących, kowanych misternie tolekańskich blachach, między nimi zaś dał się jak paw młody rycerz Montenegro, prawa ręka Pizarra.

W portowym zbiegowisku uwijał się żwawo Pedro. Radośnie podniecony oczekującą go podróżą na skrzydlatym statku i dumny z roli tłumacza, przynaglał tragarzy indiańskich wnoszących na okręt ostatnie skrzynie i toboły.

Pizarro, Almagro i ksiądz de Luque witali wychodzącego z lektyki gubernatora. Był to mężczyzna otyły, okazałe wystrojony w kapelusz z białym pióropuszem, w niebieski atlasowy kaftan, w czarne aksamitne pludry i trzewiki ze złotymi sprzączkami.

Ozwały się dźwięki trąb i strzały portowej armatki. Wśród wiwatów mieszkańców Panamy karawela odbiła od brzegu. Wikary, przyodziany w koronkową komżę, stanął blisko morza i pożegnał żeglarzy znakiem krzyża. Okręt żaglowy jak na skrzydłach pomknął przez zatokę i zniknął na pełnym morzu.

Listopad nie był dla żeglugi miesiącem pomyślnym. Na morzu wiały o tej porze wiatry z południa i często szalały burze. Ale Pizarro nie zważał na to i nie chciał czekać na Almagra, który nie ukończył jeszcze budowy drugiej karaweli. Przeto wyznaczony mu miejsce spotkania nad rzeką Piru, wyruszył pierwszy. Od samego początku zbudziła się między nimi zazdrość o przyszłe zaszczyty, o bogactwo, toteż Pizarrowi pilno było w drogę, aby nie dzielić z Almagrem pierwszeństwa w odkryciu El Dorada.

Z werbunkiem ludzi nie poszło mu tak łatwo, jak się spodziewał. Wyprawy na południe nie cieszyły się dobrą sławą. Zbyt wiele ludzi padło ofiarą puszczy, a ci, którzy wychodzili z przygody cało, wracali w stanie opłakanym. Nie tylko nie zdobywali wymarzonego złota, lecz dowlekali się do Panamy na ostatnich nogach, obszarpani, chorzy i wyczerpani do ostateczności.

Od biedy pozyskał wszystkiego stu ludzi, przeważnie spośród tych, którzy świeżo przybyli z Hiszpanii i nieświadomi niebezpieczeństw pragnęli co rychlej obłowić się kosztem Indian. Karawela była małą, prawie okrągłą łupiną, dlatego musiał ludzi porozmieszczać nie tylko w ciasnych kabinach, lecz także na otwartym pokładzie.

Wbrew przewidywaniom doświadczonych żeglarzy, Pizarro nie doświadczył w podróży niepogody. Wprawdzie na niebie wisiał niski strop chmur i gęste mgły wałęsały się wokoło, ale morze faloowało spokojnie, a widoczność była na tyle dobra, że nie tracił z oczu lądu, podkreślanego na przemian to białą ławicą plaży, to granatowym pasmem dżungli.

Pomyślne warunki żeglugi wprawiły załogę w nastrój radosnego podniecenia. Tym zabijakom i obieżyświatom zaczęło się wydawać, iż oto bez przeszkód podążają ku łatwym rozbojom i bogactwu. Rozłożywszy się wygodnie na pokładzie, jedli, pili, śpiewali i opowiadali sobie sprośne facecje. Pedro uwijał się wśród nich jak fryga i dobrodusznie uśmiechał się w odpowiedzi na rubasne kpinki. Tylko Pizarro i Montenegro milczeli. Stojąc na dziobowym kasztelu¹⁷ wybiegali spojrzeniem ku południowym kresom morza, jakby chcieli odgadnąć ukryte za horyzontem przeznaczenie.

Po kilku dniach podróży minęli zalesiony przylądek i raptem znaleźli się przy ujściu szerokiej, leniwie płynącej rzeki. Żołnierze zbiegli się do burty i pełni zachwyty krzyknęli:

¹⁵ Kusza - łuk do strzelania naciągany korbą lub lewarem.

¹⁶ Kolet — pustka skórzana.

¹⁷ Kasztel — nadbudówka na dziobie i rufie dawnych żaglowców.

— Piru! Piru!

Wydawało mu się, że dotarli wreszcie do legendarnego królestwa złota. Bo tu ponoć, nad tą rzeką, Andagoya spotkał przyjaznych Indian i dowiedział się o zagadkowym królestwie Piru. Brzegiem, co prawda, ciągnęła się, jak okiem sięgnąć, nieprzenikniona ściana puszczy, a mętny prąd rzeki, unosząc pnie i gałęzie, wytaczał się jakby z mrocznego tunelu, ale oni wyobrażali sobie, że puszcza jest tylko parawanem, za którym kryją się świątynie i pałace całe ze złota.

Pizarro skierował się w koryto rzeki z zamiarem zbadania jej przybrzeżnych obszarów. I wtedy zdawało się, że wpłynęli w olbrzymią nawę kościoła. Puszcza podchodziła po obu brzegach do samej rzeki. Potężne pnie podzwrotnikowych drzew, zaplątane w gmatwaninie lian i pnączy, tworzyły nieprzeniknioną ścianę. Wysoko ponad głowami rozstaczało się sklepienie rozłożystych konarów. W zielonej gęstwinie pięły się na wszystkie strony migotliwe, różnobarwne orchidee, przypominające motyle.

W odległości paru mil od ujścia rzeki karawela przybiła do brzegu. Konkwistadorzy ruszyli w dżunglę w poszukiwaniu jakiejś osady ludzkiej. Posuwali się przez gęstwinę powoli, gdyż musieli wyrąbywać ścieżkę mieczami i toporami. Po jakimś czasie dotarli w okolice trzęsawisk, nad którymi unosiły się tumany jadowitych komarów. Brnęli po kolana w cuchnącej i lepkiej mazi; powoje i pnącze czepiały się ich kolcami i zadawały im piekące rany.

Mozolny pochód trwał cały dzień. Nagle puszcza zaczęła rzednąć i między drzewami zabłysło dawno nie widziane, złociście uśmiechnięte słońce. Wędrowcy nie posiadali się z radości. Krzycząc i nawołując się wzajemnie, rzucili się ku światłu.

Stanęli wreszcie na skraju puszczy. Słońce i błękit bezkresnego nieba tak ich oślepiły, że zrazu nic nie dojrzeli. Po chwili, gdy oczy przywykły do szerokiego krajobrazu, ogarnęło ich przygnębienie. Bo oto zamiast spodziewanych świątyń i pałaców El Dorada ujrzeli głucho pustkowie, pofałdowane garbami wzgórz, bez śladu roślinności i życia ludzkiego, a hen, na krańcach widnokrzęgu wznosił się amfiteatr Kordylierów andyjskich w całej swej groźnej krasie i potędze. Pod samo niebo wystrzelały gigantyczne turnie, płonące w zachodzie słońca jak ogniste fontanny.

Pizarro zrozumiał poniewczasie, że nieopatrznie zapędził się na manowce. Po naradzie z towarzyszami postanowił wrócić i spróbować szczęścia na innym odcinku lądu. Nazajutrz karawela wypłynęła z koryta rzeki na morze i wznowiła kurs w kierunku południowym. W pobliżu równika przybiła na parę godzin do brzegu, by uzupełnić zapasy drewna i wody, a potem ruszyła już chyżo pod pełnymi żaglami.

Z początku warunki żeglugi były jak najlepsze. Po kilku dniach zebrały się jednak tak gęste chmury, że nastąpiły prawie ciemności. Morze przelewało się o ciężale niby roztopiony ołów, a złowieszczą cisza i miazdząca duszność w powietrzu oznajmiały nieuchronną burzę.

W pewnej chwili niebo rozdarł ogłuszający grzmot i natychmiast rozpętały się jakby furie piekielne. Na stateczek runął huragan i zakręcił nim jak łupiną. Gigantyczne bałwany przewalały się przez pokład i zmiatały wszystko, co nie było dostatecznie mocno przytroczone linami. Wśród wichru, błyskawic i grzmotów rozszumiała się ulewa deszczowa, przeciekając wraz z wodą morską do pomieszczeń karaweli.

Na szczęście żeglarze zdołali na czas pościągać żagle i skryć się pod pokładem. Siedzieli przywarci do siebie, kurczowo trzymając się rozchybotanych belek kadłuba. Szalona huśtawka przyprawiła wielu o chorobę morską, niebawem też rozległy się jęki, przekleństwa i narzekania.

Pizarro nie stracił jednak głowy i gdy tylko spostrzegł, że statek osiada coraz głębiej w morzu, poderwał co dzielniejszych żołnierzy do akcji ratowniczej. Dzień i noc wylewali za burtę wodę, która wszystkimi szwami kadłuba wciskała się do pomieszczeń karaweli.

Przez dziesięć dni żeglarze byli igraszka gniewnych żywiołów i tylko ostatnim wysiłkiem

trzymali się na powierzchni morza. Na domiar złego wyczerpały się zapasy żywności i wkrótce na głowę załogi przypadały tylko dwa kaczany¹⁸ kukurydzy dziennie. Nie sposób było zbliżyć się do brzegu, gdyż karawela niechybnie rozbiłaby się na drzazgi o przybrzeżne skały.

Dopiero gdy burza nieco się uśmierzyła, Pizarro śmiałym manewrem doprowadził statek do brzegu i zakotwiczył go w spokojnej zatoce.

Załoga, ślaniając się na nogach, wyszła na ląd i natychmiast legła na piasku, zapadając w kamienny sen.

Zbudziła ich po jakimś czasie gwałtowna ulewa. Przemoknięci do suchej nitki i głodni, udali się na poszukiwanie jada. Deszcz lał i lał bez końca. Ludzie wywracali się na rozkisłej ziemi. Wokół panowała głucha cisza, jakby wymarły wszystkie zwierzęta. Słychać było tylko posepny, monotony, złowieszczy poszum deszczu, siejący w sercach rozbitków lęk i zwątpienie.

Hiszpanie natknęli się wreszcie na jakieś krzewy obrosnięte granatowymi jagodami. Rzucili się na nie łapczywie, nie dbając o to, że mogą się zatruc.

Teraz dopiero uświadomili sobie doznane niepowodzenia i rozczarowania. Z goryczą i złością domagali się natychmiastowego powrotu do Panamy. Oskarżali głośno Pizarra, że ich lekkomyślnie naraził na niebezpieczeństwo. Podnieśli przy tym taki gwałt i wrzawę, iż zakrawało to na otwarty bunt.

Pizarro nie zwątpił ani na chwilę o powodzeniu wyprawy. Naprzód uspokoił gardłujących żołnierzy, a potem usiłował wytłumaczyć im, że wróciwszy z niczym po tak krótkiej podróży, staną się pośmiewiskiem całej Panamy. Mówił o doświadczeniach innych wypraw odkrywczych, dowodząc, że wielkim zdobywcom zawsze towarzyszyły trudy i niepowodzenia. Upewniał ich, że królestwo Piru nie jest żadną mrzonką, że powinno według wszelkich obliczeń znajdować się gdzieś w pobliżu. Są na to nieodparte dowody, zebrane przez Andagoyę i innych podróżników. Jeszcze jeden wysiłek, a dotrą do El Dorado i znajdą tyle złota, ile dusza zapagnie. A potem? Czyż są aż takimi tchórzami i cherlakami, że cofną się przed pierwszą trudnością i poniechają wielkiej szansy życiowej?

Burzliwa narada zakończyła się wreszcie kompromisem. Postanowiono, że połowa załogi pod komendą Montenegro uda się na karaweli na Wyspy Perłowe¹⁹ i przywiezie stamtąd świeży prowiant. Reszta zgodziła się pozostać na miejscu, gdyż Pizarro zapewniał, iż rejs nie powinien potrwać dłużej niż kilka dni.

Tym czasem mijały dni i tygodnie, a Montenegro nie wracał. Położenie oddziału Pizarra stawało się bardzo trudne. Żołnierze utrzymywali się przy życiu spożywając kraby, jagody, kiełki drzew palmowych i inne rośliny. Jedni truli się jakimiś jagodami, puchli i wili się z bólu, inni znowu, bardziej ostrożni, woleli przymierać głodem i tak opadali z sił, że ledwie mogli ustać na nogach. Na domiar złego wybuchła epidemia malarii, która szerzyła w obozie spustoszenie.

Wodza nie miał się głód ani choroba. Dwoił się i troił, pomagał słabym, podtrzymywał upadających na duchu i doglądał chorych. Przy pomocy paru zdrowszych towarzyszy niedoli wybudował szałas, pilnował ogniska i codziennie wyruszał w puszcę na poszukiwanie jada.

Ale wysiłki jego nie na wiele się zdały. Zmarło dwudziestu żołnierzy, a w innych życie ledwo się kołatało.

Dzień w dzień co silniejsi Hiszpanie wystawali godzinami nad brzegiem morza i śledzili z natężeniem widnokrąg, czy nie pokażą się maszty utęsknionej karaweli. Widzieli jednak przed sobą tylko bezmiar wiecznie wzburzonego morza, po którym hulały wichry i siekły gwałtowne ulewy deszczowe. Wracali więc do obozu niezmiernie przygnębieni, tracąc stopniowo nadzieję,

¹⁸ Kaczan— kiść kukurydzy.

¹⁹ Wyspy leżące w pobliżu miasta Panamy.

że karawela w ogóle powróci.

Prócz Pizarra najdzielniej trzymał się Pedro. Młody Indianin, lepiej niż Hiszpanie obyty z puszcza, nawet na chwilę nie uległ nastrojowi zniechęcenia i co dzień o pierwszym brzasku znikał z obozu w poszukiwaniu śladów życia ludzkiego. Przeważnie wracał dopiero pod wieczór, przynosząc pełną sakwę rozmaitych owoców i roślin jadalnych, uzbieranych w czasie włóczęgi. Hiszpanie polubili Pedra za pogodę ducha i ruchliwą niespożytość, zawsze też witali go hałaśliwą radością.

Jednego wieczoru, kiedy żołnierze siedzieli w ponurym milczeniu przy buzującym ognisku, Pedro wpadł zdyszany do obozu i wykrzyknął podnieconym głosem:

— Senores... ludzie, spotkałem ludzi, tam w lesie!

Hiszpanie zerwali się na równe nogi i obstąpiwszy go ciasnym kołem, zarzucili pytaniami:

— Gdzieżeś ich ujrzał, ilu ich jest, gadaj no szybko!

— Nie wiem, ilu ich jest. Widziałem tylko między drzewami ogniska i chaty... tam w tej stronie... Będzie chyba z pół dnia marszu. Bałem się podejść, bo może to ludożercy. Opowiadał mi o nich ojciec. To straszne dzikusy. Nazywają się Karaibi. A może to inni Indianie? Trzeba tam pójść i przekonać się na miejscu.

Skoro świt Pizarro wyruszył we wskazanym kierunku z tymi żołnierzami, którzy mieli dość sił, aby odbyć uciążliwy marsz przez puszcza. W obozie pozostawiono chorych i osłabionych pod opieką paru zdrowych towarzyszy. Pedro pędził przed siebie z takim pośpiechem, że Hiszpanie ledwie mogli dotrzymać mu kroku. Droga wiodła zrazu piaszczystą plażą wzdłuż brzegu morskiego, a potem na przełaj przez puszcza. Pogoda dopisała im znakomicie, bo chociaż niebo nadal było zasnute gęstymi chmurami, po raz pierwszy od kilku dni nie padał deszcz.

Zbliżało się już południe, kiedy stanęli na skraju wykarczowanej polanki. Oczom ich ukazała się wioska złożona z okrągłych chat indiańskich, zbudowanych z pni i liści palmowych. W opłotkach krzatali się mężczyźni, kobiety i dzieci. Raptem ktoś zauważył przybyszów i na jego krzyk ostrzegawczy wszyscy skryli się w gęstwinie puszczy.

Hiszpanie weszli do porzuconej wioski i buszując po chatach rzucili się jak zgłodniałe wilki na żywność. Znaleźli tam gotowaną kukurydzą, orzechy kokosowe i nie znane im owoce o słodkawo—cierpkim smaku, soczyste i orzeźwiające. Jedząc i popijając wodą, odzyskali natychmiast humor; niebawem wioska napełniła się śpiewem, okrzykami i rubasznym śmiechem.

Krajowcy śledzili poczynania intruzów z ukrycia i wnet doszli do przekonania, że nie mają oni wrogich zamiarów, że po prostu są tylko głodni. Wrócili więc do wioski i za pomocą uśmiechów i gestów usiłowali dać do zrozumienia, że chcą być ich przyjaciółmi.

Indianie należeli do bardzo prymitywnego szczepu. Ich nagie, miedziane ciała, okryte tylko opaską biodrową, malowane były w białe i niebieskie pasy. Jednakże wśród tej pierwotnej prostoty zdumiewała niewiarygodna obfitość biżuterii ze złotej blachy, wymłotkowanej w kunsztowny a osobliwy ornament.

Oczy rozbójników wpiły się chciwie w owe bajeczne skarby i kto wie, może doszłoby do rozboju, gdyby nie powstrzymał ich Pizarro, który pragnął zjednać sobie zaufanie Indian i wypytać ich dokładnie o królestwo Piru. Wiadomość o gwałcie dokonanym w pierwszej napotkanej wiosce indiańskiej z pewnością szybko rozeszłaby się po okolicznej puszczy, a Pizarrowi zależało na tym, aby plemiona indiańskie tych okolic nie przybrały wobec nich postawy wrogiej i nie utrudniały im marszu do głównego celu wyprawy.

Z grupy krajowców wystąpił naczelnik wioski i podniesieniem dłoni przywitał Pizarra, a potem z wyrazem podziwu na twarzy dotykał palcami jego stalowego pancerza i rapiera. Przemówił doń w niezrozumiałym języku. Na szczęście okazało się, że Pedro go rozumie. Za jego pośrednictwem naczelnik zapytał:

— Coście za jedni i dlaczego nie zostaliście w waszych domach?

— Przyszliśmy z rozkazu wielkiego króla, który panuje daleko za morzem, i nie żywimy wobec was wrogich zamiarów. Byliśmy głodni i chcieliśmy prosić was o żywność. Ponieważ jednak uciekliście, wzięliśmy ją sami.

— Chętnie was ugościmy, ale powiedz, wielki wodzu, co was tu sprowadza?

— Szukamy króla, co mieszka w złotym pałacu. Czy mógłbyś wskazać nam drogę?

Indianin zwrócił się na południe, gdzie roztaczała się puszcza, i odparł:

— Wiele dni marszu stąd, za lasami i górami, leży wielkie miasto Quito. Panował tam potężny król, zwyciężył go jednak niedawno inny, jeszcze potężniejszy władca. Słyszałem, że zdobywca przybył podobno ze swoimi wojskami z dalekich gór, gdzie wznosi się pod niebo złota świątynia boga słońca Inti. Jeżeli szukasz tego właśnie zwycięzcy, to mogę ci tylko tyle powiedzieć, że musi minąć wiele wschodów i zachodów słońca, zanim tam dojdiesz. Dawno temu, kiedy naczelnikiem był mój ojciec, żył w naszej wsi młodzieniec Tupuk, którego rada starszych skazała na wygnanie, bo zbijał bąki, był nieposłuszny prawu plemienia tylko układał pieśni. Długo nie wracał, więc myśleliśmy wszyscy, że padł ofiarą pumy, aligatora lub ludożerców. Ale on wrócił starcem już będąc i układał pieśni o swojej włóczędce, a ludzie chętnie go słuchali, chociaż nie byli pewni, czy mu wierzyć. Jedną pieśń do dnia dzisiejszego mamy w pamięci. Chcesz, to każe zaśpiewać.

Naczelnik, nie czekając na zgodę Pizarra, skinął na młodzież, która z ciekawością przyglądała się cudzoziemcom. Niebawem rozległa się pieśń osobliwa i monotonna, pełna jęklivego lamentu:

*Na wielkiej górze całej z srebra
Stoi złoty dom złotego boga Inti,
Stoi srebrny dom bogini Mamy Kili²⁰
Stoi złoty dom ich syna Sapy Inki²¹
I wiele złotych domów synów słońca — hailli²².*

*Inti wyplakał dużo złotych łez
I stworzył z nich kondory złote
I wiele, wiele złotych lam,
Kolibry złote i papugi złote,
Flamingi złote i motyle złote — hailli.*

*Inti wyplakał dużo złotych łez
I stworzył kukurydzę złotą
I dużo, dużo kwiatów złotych.
A w tym ogrodzie złotym mieszka
Dostojny kapłan wiliak— umu²³ — hailli.*

*Tupuk wyplakał dużo, dużo łez,
Bo służyć musiał w złotym mieście
Zamiast powrócić do swojej wioski.*

²⁰ Mama Kilia — bogini księżycy Inków, małżonka boga Inti.

²¹ Sapa Inka — król Inków (sapa znaczy hojny, wielkoduszny).

²² Halli — triumfalny okrzyk bojowy Inków.

²³ Wiliak — umu — najwyższy kapłan Inków.

Tupuk chciał usiąść przy ognisku ojców i braciom prawić o złocistym bogu Inti — hailli.

Pedro biedził się, by treść piosenki przetłumaczyć na język hiszpański. Z tego nieporadnego przekładu konkwistadorzy dowiedzieli się najważniejszej dla siebie rzeczy: że naprawdę istnieje miasto zbudowane ze złotego i srebrnego kruszcu. Przeto podnieśli taki wrzask radości, że Indianie, nie wiedząc, o co chodzi, wybałuszyli na nich oczy ze zdumienia.

Tymczasem kobiety indiańskie przygotowały biesiadę, do której naczelnik zaprosił Hiszpanów i starszyznę rodową. Po uczcie rozwinął się w wiosce gorączkowy handel wymienny. Za szklane paciorki, sprzączki, guziki i sztylety żołnierze wytargowali ozdoby z litego złota. Chciwość odbierała im do tego stopnia opamiętanie, że byliby przefrymarczyli kaftany, rapiery, zbroje i hełmy, gdyby Pizarro nie powstrzymał ich perswazją i groźbami.

ZŁOTO, ZŁOTO!

Nazajutrz o świcie Hiszpanie wrócili do obozu ze złotem i żywnością. Zastali tam towarzyszy w stanie radosnego podniecenia, gdyż na horyzoncie ukazała się właśnie sylwetka wracającej karaweli. Nawet słabi i chorzy zwlekli się z legowiska, żeby u brzegu powitać załogę przywożącą im prowiant.

Pizarro przyjął Montenegro kwaśno i żądał wytłumaczenia, dlaczego wrócił dopiero po sześciu tygodniach. Wyjaśniło się wtedy, że na morzu srożyły się cały czas burze utrudniające żeglugę. Załoga nacierpiała się niemało i ledwie żywa dotarła do Wysp Perłowych.

Tymczasem w obozie zapanowała żwawa krzątanina, gdyż karawela przywiozła od dawna nie widziane prowianty, jak mąkę, wino w baryłkach i solone mięswo, nie mówiąc już o zapasach najrozmaitszych lekarstw.

Przebywając na Wyspach Perłowych Montenegro starał się zasięgnąć języka o losie Almagra. Okazało się, że Almagro dawno już wyruszył w morze na świeżo zbudowanej karaweli. Pizarro zachodził w głowę, dlaczego nie doszło między nimi do spotkania, skoro wszędzie na brzegu, gdziekolwiek zarzucił kotwicę, pozostawiał widoczne z daleka znaki rozpoznawcze. Nie można było wykluczyć możliwości, że Almagro wraz z załogą rozbił się podczas jednej z licznych burz morskich albo też w najlepszym razie zapuścił się gdzieś w ową zdradliwą puszcę, która i jemu również dała się we znaki.

W wypoczętych i nakarmionych żołnierzy na nowo wstąpiła otucha. Opowiadania Indian oraz zdobyte złoto przywróciły im wiarę w istnienie El Dorada, dali się przeto bez trudu nakłonić do dalszej podróży na południe. Opuszczając odcinek wybrzeża, gdzie tyle się nacierpieli, Pizarro nadał mu nazwę „Puerto delia Hambre”, czyli „Port Głodu”.

Tym razem trzymali się blisko brzegu i zarzucali raz po raz kotwicę, by zbadać teren. Umykali też natychmiast do zatok, jeśli tylko wydawało się, że nadchodzi burza. Na ogół jednak wiatry Hiszpanom sprzyjały, toteż szybko płynęli naprzód na pełnych żaglach.

Pewnego dnia spostrzegli na wybrzeżu wioskę indiańską. Zeszli na ląd, by nawiązać kontakt z jej mieszkańcami, nie zastali tam jednak żywej duszy, gdyż cała ludność uciekła w popłochu do niedalekiej puszczy. Przeszukali opuszczone chaty i znaleźli tam obfite zapasy żywności oraz sporo ozdób ze złota, co wprawiło ich w radość. Zaraz jednak stracili rezon, gdyż po resztkach kości ludzkich, rozrzuconych w popiołach ogniska, zmiarkowali, że mają do czynienia z ludożercami. Byli to z pewnością Karaibi, zażywający sławy tak dzikich i zuchwałych wojowników, że nawet konkwistadorzy hiszpańscy woleli zejść im z drogi. Wrócili więc czym prędzej na karawelę i odpłynęli na morze, chociaż pogoda niepokojąco zaczęła się pogarszać.

W miarę posuwania się na południe puszcza rzedła coraz bardziej, aż miejsce jej zajęła gęsta plątanina zarośli i wystające z ziemi korzenie mangrowe²⁴. Z pokładu widać było wykarczowane w gęstwinie ścieżki, z czego wywnioskowali, że w głębi lądu znajdują się osady ludzkie. Pizarro wysadził na brzeg całą załogę. Przedarłszy się przez zarośla, stanęli nagle przed wyludnioną wsią, otoczoną wysokim i mocnym częstokołem.

Żołnierze wpadli do opuszczonych chat i jak zwykle zabrali się do ich plądrowania. Okazało się, że Indianie pozostawili nie tylko znaczne zapasy żywności, lecz mnóstwo ozdób ze złota, jak wisiorzyki, kolczyki, bransolety i naszyjniki, zdobne w wypukłe ornamenty. Najeźdźców ogarnął szal zachłanności. Przetrzęsali na wyścigi każdy zakamarek w poszukiwaniu skarbów, a ile razy udało im się znaleźć jakiś cenny przedmiot, wykrzykiwali z radości.

Pizarro nie brał udziału w plądrowaniu wioski, gdyż łupy zdobyte podczas wyprawy stanowiły według umowy wspólną własność i miały być dzielone między uczestników według ustalonego klucza. Gdyby któryś z żołnierzy spróbował ukryć cenny przedmiot dla siebie, czekała go surowa kara.

Podczas gdy wojsko zajęte było grabieżą, Pizarro przyglądał się okolicy indiańskiego osiedla. Uderzyło go, że otaczały je szerokim wieńcem regularne poletka z kukurydzą i warzywem, uprawiane pilną ręką doświadczonego rolnika. Nie mogło być żadnej wątpliwości: mieszkańcy wioski stali cywilizacyjnie nieporównanie wyżej niż Indianie spotkani poprzednio na północnych obszarach kontynentu.

W związku z tym przyszło mu na myśl, że wioska może się znajduje na granicach państwa Piru albo przynajmniej w zasięgu jego wpływów. Aby się upewnić, postanowił zbadać dalsze okolice wioski. Tym razem należało postąpić z większą przezornością i nie wystawiać na niebezpieczeństwo całego wojska, prowadząc je na oślep w nieznany i zdradliwy teren. Wydzielił więc mały oddział pod dowództwem swego najbliższego pomocnika Montenegro, sam zaś z resztą żołnierzy stanął obozem w opuszczonych chatach indiańskich.

Montenegro ruszył w drogę i po paru godzinach pospiesznego marszu dostał się w labirynt skalistych wzniesień, stanowiących przedgórze Kordylierów. Konkwistadorzy szli gęsiego przez ciasny wąwóz, mając po bokach spadziste stoki zasypane rumowiskiem złomów skalnych. Był to dziki, bezludny kraj, skąpo porośnięty trawami i kaktusami.

Dowódca rekonesansu²⁵ parł naprzód z buńczuczną brawurą, nie ubezpieczywszy się żadnymi strażami, chociaż okolica górską mogła kryć niebezpieczne zasadzki.

W chwili gdy mały zastęp znalazł się w połowie wąskiej gardzieli skalnej, nagle uderzył w niebo nieludzki ryk bojowy. Spoza złomów skalnych wyłoniła się chmara półnagich, jaskrawo pomalowanych wojowników indiańskich. Na zaskoczonych Hiszpanów lunęła ulewa strzał i kamieni. Większość pocisków ześlizgiwała się nieszkodliwie po hełmach i stalowych zbrojach, często jednak trafiały one w nie osłonięte części ciała. Toteż trzech żołnierzy padło trupem, a prawie połowa oddziału odniosła lżejsze lub cięższe rany.

Napadnięci rozbiegli się na wszystkie strony i poukrywali za głazami. Ci, którzy posiadali kusze, zaczęli strzelać, ale ich opór był bezładny i mało skuteczny.

Indianie, pewni zwycięstwa, przystąpili do natarcia. Gwiżdżąc i wyjąc przeraźliwie, zbiegli gęstą ławą ze stoków górskich. Zdawało się, że lada chwila przyduszą intruzów tylko przewagą liczebną i wygubią ich do nogi.

²⁴ Mangrove — formy roślinne rozwijające się w postaci lasów i zarośli na płytkich brzegach mórz krajów tropikalnych. Wykazują one specjalne przystosowanie do niezwykłych warunków życia, m. in. wykształcają korzenie podpórkowe i oddechowe oraz charakteryzują się tzw. żyworódtwem.

²⁵ Rekonesans — oddział zwiadowczy; rozpoznanie nieprzyjaciela, terenu.

Montenegro pojął, że jeśli chce uniknąć klęski, musi natychmiast zdecydować się na jakiś stanowczy krok. Wśród gradu pocisków, starając się przekrzyczeć zgiełk bitewny, przegrupował swoich ludzi w ten sposób, że pościągali w jedno miejsce wszystkich kuszników i kazał im strzelać skoncentrowanymi salwami we wskazane przez siebie najgęstsze zgrupowania Indian. Dało to skutek natychmiastowy. Roje strzał trafiały celnie w zbitą masę nacierających i czyniły w ich szeregach dotkliwe wyrwy. Niebawem wzgórze zaległy ciała poległych i rannych wojowników, wyjątych z bólu i wściekłości.

Wielkie straty nie ostudziły jednak zapalczywości Indian. Parli naprzód z zaciętą natarczywością i w końcu zbliżyli się na taką odległość, że walka wręcz wydawała się nieunikniona. Wśród tego zamętu jeden ze strzelców hiszpańskich, szczególnie biegły w celowaniu z kuszy, rozpoznał po wspaniałym papuzim pióropuszu wodza indiańskich wojowników. Natychmiast położył strzałę na cięciwę i zmierzwszy starannie przeszył go na wylot. Wódz upadł i potoczył się bezwładnie na dno wąwozu.

Sprawiło to wrażenie piorunujące. Z okrzykiem zgrozy Indianie stanęli jak wryci, nie wiedząc, czy iść naprzód, czy też wycofać się z walki Montenegro w oka mgnieniu wykorzystał ich konsternację. Wskoczył z ukrycia i donośnym rozkazem poderwał oddział do natarcia. Waląc na odlew i zadając sztychy rapierami, konkwistadorzy pięli się na zbocza, by wyrąbać sobie drogę odwrotu. Indianie stracili ochotę do walki i podając, tyły zniknęli za grzbietami skalistych wzgórz.

Zwycięzcy byli tak zmęczeni, że ledwie trzymali się na nogach. Rzucili się jednak bez zwłoki na rannych i poległych nieprzyjaciół, by obdrzeć ich ze złotych ozdób i dobić tych, którzy dawali jeszcze oznaki życia. Następnie, zabrawszy swoich poległych i rannych, ruszyli w drogę powrotną. Nad pobojowiskiem zataczały koła stada kondorów i sępów, zniżając się powoli ku ziemi, skąd nęciło ich obfite żerowisko.

Tymczasem wywiadowcy donieśli Indianom, że inny oddział intruzów zagnieździł się w ich wsi. Pomimo że stracili wodza i ponieśli porażkę w pierwszym starciu z białymi cudzoziemcami, wojownicy postanowili zaskoczyć najeźdźców, zanim wróci Montenegro.

Spiesząc bocznymi ścieżkami, skrócili sobie drogę i zjawili się na miejscu o wiele wcześniej niż wlokący się mozolnie oddział Montenegro. Otoczywszy wioskę szerokim pierścieniem, wypadli z puszczy i przystąpili do szturm. Słońce miało się już dobrze ku zachodowi. Hiszpanie warzyli sobie posiłek wieczorny, kiedy ni stąd, ni zowąd posypał się na nich grad strzał i kamieni. Zaskoczenie było zupełne. Już przy pierwszym uderzeniu paru konkwistadorów odniosło rany.

Tym razem jednak położenie Hiszpanów było pomyślniejsze. Pizarro zdążył zatarasować wrota i rozstawił wojsko za mocnym częstokołem. Indianie przypuszczali szturm po szturmie, za każdym razem jednak musieli się wycofać, ścieląc drogę odwrotu rannymi i zabitymi. Pociski z kusz przesywały celnie ich nie osłonięte ciała, a ci śmiałkowie, którzy usiłowali wdrapać się na częstokół, nadziewali się na ostrza rapierów hiszpańskich.

Zacięty opór wojowników indiańskich niepokoił jednak Pizarra nie na żarty. Trapił się o los Montenegro, od którego nie miał żadnej wiadomości. Gdyby bowiem oddział rekonesansowy został zniszczony, musieliby pożegnać się z nadzieją na odsiecz. Cóż wtedy stałoby się z nimi? Zamknięci w wiosce i oblężeni przez mrowie Indian dyszących żądzą odwetu, musieliby niechybnie zginąć z głodu. W dodatku martwił się o karawelę, przycumowaną u brzegu. Zostawił na jej pokładzie paru tylko ludzi, była więc prawie bezbronna i łatwo mogła stać się łupem nieprzyjaciela. A wtedy mieliby odcięty odwrót do Panamy.

Doszedł zatem do wniosku, że należy działać szybko i stanowczo, choćby kosztowało to drogo. Toteż w chwili gdy Indianie w ponownym natarciu znaleźli się blisko częstokołu, kazał

odemknąć wrota i uderzył na nich gwałtownym wypadem. Na przedpolu wioski rozpętała się wśród wrzasku i zgiełku zacięta walka. Hiszpanie zadawali gęste razy i sztychy, zasłaniając się tarczami. Niebawem okazało się, że Indianie ze swoimi maczugami i dzidami są bezsilni wobec ostrych, stalowych rapierów tolekańskich. Zrazu cofali się niechętnie, krok za krokiem, ale gdy straty zaczęły rosnąć w sposób niepokojący, dali hasło odwrotu.

Pizarro porwał swój oddział w pościg za przeciwnikiem, przy czym poniosła go taka żądza walki, że znalazł się daleko przed swymi towarzyszami. Ukryci za krzakami Indianie zasypali go strzałami z bliskiej odległości. Pizarro otrzymał siedem dotkliwych ran. Gdyby nie chroniła go hartowana stal napierśnika, niechybnie przypłaciłby życiem swoją zapalczywość.

Ścigany przez triumfujących Indian, Pizarro chciał zawrócić do swoich ludzi, którzy jeszcze nie zdążyli przybiec mu na pomoc. Pośliznął się jednak na pochyłości terenu i upadł. W okamgnieniu obkoczyła go wyjąca czereda wojowników i już wydawało się, że tym razem los jego jest ostatecznie przypieczętowany.

Pizarro był bardzo osłabiony utratą krwi, poderwał się przecież na nogi, zanim Indianie zdążyli zatłuc go ciosami maczug. Dwóch najbliższych napastników błyskawicznymi sztychami położył trupem, a potem srożył się i miotał na wszystkie strony, płatał i młynkował na oślepie rapierem, otaczając się nieprzebytą osłoną ruchomej stali.

Wściekła obrona do tego stopnia zaskoczyła Indian, że nie śmieli zbliżyć się na długość jego klingi. Może przeszyliby go strzałami z łuków, ale nadbiegli żołnierze, rozpędzili napastników i wyprowadzili Pizarra z pola walki.

W tym czasie z puszczy wychylił się Montenegro. Natychmiast dał hasło do ataku i jego żołnierze uderzyli na tyły zaskoczonych Indian. Obłożeni przywitali odsiecz okrzykiem radości i z nową energią rzucili się do natarcia. Wzięci w dwa ognie, wojownicy indiańscy stracili serce do walki i wycofali się w gęstwinę puszczy.

Pizarro zwołał oficerów na naradę wojenną, by zastanowić się, co czynić dalej. Mimo odniesionego zwycięstwa ekspedycja spaliła właściwie na panewce. W dwóch potyczkach z Indianami poległo pięciu żołnierzy. Liczba rannych była wielka. Tymczasem zabrakło opatrunków i lekarstw. Sam Pizarro był ranny i właściwie niezdolny do dalszego marszu. Na domiar wszystkiego okazało się, że karawela przecieka i wymaga poważnej naprawy.

Zgodzono się jednomyślnie na powrót do Panamy. Nie było doprawdy innego wyboru, bo jeżeli pierwotne szczepy indiańskie potrafiły stawić taki opór, to czegoż należało się spodziewać w potężnym, dobrze zorganizowanym państwie Piru? Byłoby szaleństwem iść przeciwko licznej armii z garstką zmęczonych i rannych żołnierzy.

Pizarro musiał przyznać swoim oficerom słuszność. Istotnie, trzeba było wracać do Panamy, by naprawić karawelę i zwerbować oddział zdolny do walki z regularnymi siłami króla Piru. Wiedział, że narazi się na niezadowolenie gubernatora, a może nawet zniechęci do siebie księdza de Luque i straci jego zaufanie. Ale pocieszał się, że przecież nie wrócą z próżnymi rękoma. Przywiezie niemało złota, które częściowo pokryje wkłady pieniężne współników. Przede wszystkim jednak teraz ma już niezbite dowody istnienia legendarnego El Dorada, gdzie czekają niezmierzone bogactwa. Wykaże im, że warto uczynić jeszcze jeden wysiłek, by po nie sięgnąć zbrojną ręką.

Wiść o postanowionym powrocie wywołała wśród żołnierzy radość. Nie wracali przecież z pustymi sakiewkami. Każdy z nich otrzymał przynależną mu część łupu i chociaż było tego o wiele mniej, niż sobie wymarzyli, to jednak wystarczyło, by parę miesięcy spędzić na hulankach w gospodach Panamy.

Gdy karawela podniosła żagle i odbiła od brzegu, Indianie wychylili się ostrożnie z zarośli i z przesadną bojaźnią spoglądali na pływający dom, który miał skrzydła i nie lękał się gniewnego

boga wielkiej wody.

ZAPRZYSIĘŻONA UMOWA

Pogoda była dla żeglugi wymarzona. Nad spokojnie falującym morzem roztaczała się bezchmurna kopuła nieba, z południa dął stały wiatr i krzepko kładł się w rozpostarte płótna karaweli. Dlatego po kilku dniach Hiszpanie wpłynęli na znajome im obszary wodne i szybko zbliżali się do macierzystego portu.

Na pokładzie panował rażny nastrój. Żołnierze zabrali się do pakowania dobytku w nadziei rychłego lądowania. Jedyne tylko Pizarro wracał z czarnymi myślami. Niepokoił się, jakiego przyjęcia dozna w Panamie.

Wiedział, że gubernator Pedrarias i ksiądz de Luque nie mogą doczekać się jego powrotu. Czy docenią ogrom trudności, z jakimi musiał się borykać w podróży? A może machną na niego ręką i powiedzą sobie, że to fantasta, który buduje zamki na lodzie? Jak ich przekonać, że nie jest marzycielem ulegającym urojeniom, jak ich skłonić do tego, żeby raz jeszcze postawili na jego kartę?

Z zafrasowaną miną spojrzął na towarzyszy krzątających się po pokładzie. Nie przypominali w niczym owych pełnych fantazji, pewnych siebie zabijaków i zdobywców, jacy parę miesięcy temu wyruszyli z Panamy. Dwudziestu pięciu straciło życie w tej przeklętej puszczy, a ci, którzy wracali — jakżeż oni wyglądali! Istne straszdyła na wróble, głodomory, obandażowane w zakrwawione szmaty, odziane w łachmany i zardzewiałe żelaziwo!

Gdy wyląduje w Panamie z taką żalosną armią, cóż powiedzą na to ludzie? Stanie się pośmiewiskiem, to pewne jak amen w pacierzu. Gawiedź uliczna Panamy, znana z ostrego języka, zaszczuje go drwiną i szyderstwem, zgubi z kretesem w oczach gubernatora i księdza de Luque. I wtedy nie będzie mowy o następnej wyprawie. Ta zgraja hultajów, frantów i trutniów woli wycierać kąty Panamy, niż przystać do ekspedycji, z której wraca się tak, jak oni teraz wracają.

Pizarro postanowił nie lądować w Panamie. Na przejściowy postój obrał małą miejscowość portową Chicama²⁶, leżącą w niedalekiej odległości od stolicy. Przetrzył tam swoich żołnierzy przez pewien czas, odżywił ich, jako tako ubierze i dopiero potem rozpuści do domu. Poświęci na to część złota, jakie przypadło mu z podziału łupów.

Chicama była to malaryczna, błotnista dziura indiańska. Żołnierze nie dowierzali własnym uszom, gdy zawiadomił ich o swojej decyzji. Podnieśli więc ogromny wrzask oburzenia i grozili, że wbrew rozkazowi uciekną do Panamy. Dopiero gdy Pizarro wytłumaczył im, że chce ich ubrać, odżywić, a nawet dodatkowo wynagrodzić w złocie — zgodzili się przez kilka dni pozostać w obozie.

Pizarro nie miał odwagi osobiście zawiadomić Pedrarias o swoim powrocie. Znał dobrze jego obelżywy i wyzywający sposób odnoszenia się do ludzi, którzy zawiedli jego rachuby. Nie wiadomo, jak by taka rozmowa się skończyła, ponieważ on, Pizarro, nie zniósłby zniewagi. Postanowił przeto wysłać doń oficera i skarbnika, Nicolasa Ribere, człowieka zręcznego i obrotowego w rozmowach. Miał on przyjąć na siebie pierwszą burzę, wyjaśnić wszystko i udobruchać zawiedzionego dostojnika.

Nim jednak zdążył go wysłać, w obozie powstała radosna wrzawa. Wśród ogłuszających wiwatów żołnierze co sił pobiegli na morze. Oto do brzegu dobijała majestatycznie karawela, a na jej kasztelu dziobowym wymachiwał kapeluszem uśmiechnięty Diego de Almagro.

²⁶ Czyt. Czikama.

Radość obu wodzów ze spotkania była tak wielka, że rzucili się sobie w ramiona. Almagro miał obandażowaną głowę, jako że w walkach z Indianami stracił lewe oko. Snadź nie wziął sobie jednak do serca kalectwa, gdyż z wesołą miną opowiedział przygody, które go spotkały.

Początkowo płynął szlakiem Pizarra, widział, owszem, znaki rozpoznawcze pozostawione wzdłuż brzegu, jednak nie doszło jakoś do spotkania. Widocznie w pewnym punkcie drogi obie karawele rozminęły się. Almagro stoczył kilka potyczek z wojowniczymi Indianami i zdobył o wiele więcej złota niż Pizarro. Był również i pod tym względem szczęśliwszy, że poniósł mniej strat w ludziach i uchronił swoich żołnierzy od głodu, chorób i wycieńczenia.

O przyjeździe zawiadomiono dyskretnie księdza de Luque przez umyślnego posłańca. Zaraz po jego przybyciu odbyła się narada współników. Ksiądz wysłuchał sprawozdania kapitanów i namyślał się, jak dalej postąpić.

— Mości panowie — powiedział po chwili — wysłuchałem ze zrozumieniem, co żeście mi rzekli, i widzę z tego, iż żeście moc utrapień zaznali. I bodajbym nieba nie oglądał, jeślibym sądził, że nie spełniście powierzonego zadania. Z tym wszystkim wyznać trzeba, że fortuna nie była wam przychylna. Wyprawa nie dotarła do królestwa Piru, tak jakeśmy się spodziewali. Przywieźliście wprawdzie sporo złota, ale też ponieśliście dotkliwie straty w ludziach i sprzęcie. Najcenniejszym wynikiem waszego trudu jest to, iż tak złoto, jak i wieści zebrane wśród pogańskich ludów utwierdzają nas w przekonaniu, że owo zamożne królestwo Piru istnieje naprawdę. Z tych względów warto i należy ponowić próby jego pozyskania dla wiary świętej i Najjaśniejszego Pana.

— Radzi jesteście usłyszeć, wielbny księże — odrzekł Pizarro — że pierwsze niepowodzenie nie odjęło ci wiary w nasze wielkie zamysły. Wnosimy z tego, iż obdarzasz nas zaufaniem i nie odmówisz nam pomocy w podjęciu nowej ekspedycji. Przy twoim poparciu powinniśmy wyjednać zgodę gubernatora na ogłoszenie nowego zaciągu w Panamie.

— Niech mnie powiesz — wykrzyknął z zapałem Almagro — jeśli tam na południu, dokąd żeśmy jeszcze nie dotarli, nie czekają nas bogactwa przechodzące wszelkie wyobrażenie. Tylko sięgnąć ręką! Żeby jednak tego dokonać, musimy mieć silniejsze, lepiej uzbrojone wojsko, musimy mieć konie, arkebuzy i większe okręty. Nie może być, abyśmy tam znowu poszli bez broni palnej. Mieliliśmy niemało kłopotów z dzikimi Indianami, a cóż by dopiero się stało, gdybyśmy stanęli w obliczu wielkiej armii króla Piru. Dalibóg! Widać w tym raczej palec Boży, żeśmy tam nie dotarli. Kto wie, może byłoby już po nas!

Wysłuchawszy kapitanów, ksiądz zabrał ponownie głos:

— Mości panowie, pochlebia mi, że obdarzacie mnie zaufaniem. Rzecz jednak w tym, iż nie od mojej woli zawisły wasze plany. Są przeszkody, jakie chcę wam wyłożyć, abyście dobrze poznali położenie.

Nade wszystko więc sprawa kosztów nowej wyprawy. Złoto, które zdobyliście dzielnością waszego ramienia, nie może iść do podziału między współników. Trzeba pokryć nim chociaż część wydatków związanych z pierwszą wyprawą, a tym, co zostanie, dobrze będzie udobruchać gubernatora, abyśmy zyskali w nim przychylnego protektora naszych przyszłych zamierzeń. Myślę też, że nie przystoi ominąć naszego kościoła parafialnego, którego błogosławieństwo jest wam potrzebne jak chleb i woda.

— Chętnie rzekam się swego udziału — wtrącił Pizarro — byleby nowa wyprawa doszła do skutku. Jednakże część mojego złota zużyłem już na zaopatrzenie żołnierzy, aby nie wkroczyli do stolicy jak obszarpańcy i nie odstraszały ludzi przy ogłaszaniu nowego werbunku.

— Ja także chętnie rzekam się przypadającego mi udziału — powiedział Almagro. — Przecież to drobiazg wobec bogactw, jakie niezadługo staną się naszą zdobyczą.

— Raduje mnie szczerze wasza ofiarność i dalekowzroczność — odparł ksiądz de Luque —

niemniej stanęliśmy wobec faktu, że nie mamy środków na drugą ekspedycję. Bo muszę wam uczynić pewne wyznanie: pieniądze wyłożone na waszą podróż kilka miesięcy temu nie były moją własnością. Wyręczyłem tylko czcigodnego sędziego miasta Darien, senora Gaspara de Espinozę, który w swej skromności nie życzył sobie wystąpić jawnie jako udziałowiec. Chociaż użyję swego wpływu, aby skłonić go do ponownego sfinansowania ekspedycji, przedstawiając mu w korzystnym świetle wasze dotychczasowe osiągnięcia, to jednak w tej chwili nie ośmielę się was zapewnić, że mi się to powiedzie.

Myślę wszakże, że główna przeszkoda to gubernator Pedrarias. Wiecie przecież, mości panowie, jak łasy jest on na złoto. Liczył na to, że sownie zaopatrzyicie jego kiesę, spodziewał się po was, mówiąc bez osłonek, ogromnych łupów. Tymczasem to, co mu ofiarujecie, na pewno go nie zadowolili.

Almagro pociemniał na twarzy. Spojrzawszy na księdza spod oka, wybuchnął zjadliwie:

— Pedrarias jest jak ten wampir panamski. Pora najwyższa, do krośset, by Najjaśniejszy Pan Karol V dowiedział się, jak on pojmuje swoje obowiązki, jak ponad dobro Kastylii wynosi swoje prywatne interesy.

— Radzę zachować umiar w tak drażliwej materii, drogi kapitanie, no i dla dobra własnego nie podnosić zbyt głośno głosu. Ściany mają uszy, a niefortunny Balboa może służyć za przykład, czym kończą się podobne poglądy.

— Tak jak ja to widzę — wtrącił Pizarro — nie wolno nam kruszyć kopii o rzeczy nieważkie. Byłby to spór nieroztropny i mógłby udaremnić nasze plany.

— Podzielam ten pogląd z całego serca — odparł ksiądz de Luque. — Trzeba nam postępować oględnie, zwłaszcza że zastaniemy gubernatora w kwaśnym humorze. Nadeszła bowiem wiadomość, że namiestnik Nikaragui podniósł rebelię przeciwko jego zwierzchnictwu. Po ulicach Panamy krążą już dobosze i zwołują ludzi do broni, ponieważ wynikła konieczność wysłania silnego pocztu rajtarów i kuszników przeciwko buntownikowi. A ludzi zdolnych do noszenia broni, jak wiecie, nie ma za wiele w Panamie. Lękam się, że nie tylko odmówi nam aprobaty na przeprowadzenie nowego zaciągu, lecz zechce nawet wcielić w swoje szeregi tych żołnierzy, którzy wrócili z wami z ekspedycji. I słuszność, prawdę powiedziawszy, byłaby w tym wypadku po jego stronie, gdyż jest to wyższa racja stanu, a nie prywatna.

Ksiądz zamyślił się na chwilę, podczas gdy kapitanowie czekali, co powie dalej.

— Jak wybrnąć z tych opałów? Jedno jest pewne: trzeba iść bez zwłoki do jaskini lwa i walczyć o sprawę wszystkimi sposobami, zręczną mową, podstępem, układnością, może nawet dyskretną groźbą.

Ksiądz uśmiechnął się pod nosem.

— Ale, o ile znam gubernatora, najlepszy dlań argument — to argument brzęczący. Bądźmy więc przygotowani na dodatkowe ofiary.

— Wielebny księżu — powiedział na to Pizarro — znam gubernatora Kiwnie dobrze jak ty i dlatego sądzę, że będzie lepiej, jeśli w tym spotkaniu nie wezmę udziału. Jestem wodzem wyprawy, odpowiedzialnym za jej wynik. Moja obecność mogłaby niepotrzebnie rozdrażnić Pedrariasę, co nie przyczyniłoby się do ułatwienia rokowań.

— A więc dobrze — zgodził się ksiądz — wybierzemy się we dwójkę, kapitan Almagro i ja. Jeszcze dziś wyruszymy do Panamy, by nie wyprzedziła nas złośliwa plotka.

W Panamie rychło gruchnęła wieść, że Pizarro wrócił z podróży i że do gubernatora udali się jego wysłannicy z raportem. Ze wszystkich stron miasta zbiegli się ludzie żądni nowinek i tłocząc się przed pałacem, opowiadali sobie niestworzone rzeczy o przygodach ekspedycji.

Tymczasem gubernator Pedrarias przyjął księdza de Luque i Almagra z zimną układnością. Naprzód wysłuchał sprawozdania, a potem spojrzał ze ściągniętą brwią na zaofiarowane mu

złoto. Twarz jego przybrała wyraz nie rokujący nic dobrego.

— Widzę, panowie, że tego natrudziliście się w tej podróży. Nie ma co mówić, należy się wam najwyższa pochwała. Czy wolno wiedzieć, jeśli łaska, jakim kosztem zdobyliście to złoto, ile strat ponieśliście w ludziach?

Podczas gdy Almagro stał milczący, zwalisty i naburmuszony, ksiądz de Luque odpowiadał z niezmaconym spokojem:

— Dwudziestu pięciu poległych, ponadto pewna liczba rannych żołnierzy, wymagających opieki medyka — to wszystko. Wasza Dostojność zechce wybaczyć, jeżeli wyrażę pogląd, że niewielki to koszt za uzyskanie dokładnych wiadomości o królestwie Piru.

Gubernator prychnął z pogardą i tracąc udany spokój zawołał z goryczą:

— Dwudziestu pięciu żołnierzy, a ja nie wiem, skąd wziąć ludzi na karną ekspedycję przeciwko temu przekłętemu łotrowi w Nikaragui! Tylko dwudziestu pięciu żołnierzy — ot fraszka! Ładnie się spisał ten Pizarro, włóczył się po puszczy nie wiadomo po co, uganiał się za nagimi dzikusami i jak rabuś przydrożny obdzierał ich z naszyjników. Ot, mały złodziejasek. Czy to ma być owo El Dorado, którym świeciliście mi w oczy? Z wielkiej chmury mały deszcz!

Almagro spojrział złym okiem na dygnitarza i zaczerwieniony po uszy już otwierał usta, żeby mu odpowiedzieć. Ksiądz wszakże zmiarkował w porę, na co się zanoszi, i szybko go ubiegł:

— Doceniamy w pełni trudności, z jakimi Wasza Dostojność musi się w obecnej chwili borykać, bolejemy nad stratami z całego serca, osobiście jednak jestem głęboko przeświadczony, że do imienia Pizarra nie może przyłgnąć żadna przygana. Niepodobna nawet wyobrazić sobie trudów i niebezpieczeństw, jakimi grozi wędrowcom owa niezmierna puszcza, pełna niezbadanych tajemnic i zasadzek. Straty więc były nieuniknione. Nie wypada też nam zapominać, iż wyprawa nie była prywatną zachcianką, lecz podjęta została dla celów wyższych i wszystkim nam bliskich.

— Do których Pizarro mierzył i spudłował z kretelem...

— Byłoby rzeczą przedwczesną go potępiać, gdyż sprawa nie jest jeszcze ostatecznie przesądzona. Wszystkie zebrane wiadomości wskazują na to, że następna ekspedycja, wzbogacona doświadczeniem, z pewnością dotrze do królestwa Piru.

— Druga ekspedycja? Za pozwoleniem, wielbny księżę, jaka druga ekspedycja? Nie przypominam sobie, abym dał na nią swoją aprobatę.

Dygnitarz siedział przy stole i niecierpliwie przebierał palcami po lśniącej płycie. Ksiądz spojrział z powagą i odparł:

— Właśnie przyszliśmy pokornie prosić o nią.

— Teraz, kiedy mam na głowie te kłopoty z Nikaraguą?

— Wasza Dostojność — odpowiedział oschle ksiądz de Luque — proszę nie sądzić mnie zbyt surowo, jeżeli ośmielę się przypomnieć, jaką wagę przywiązuje do takich wypraw Kościół i nasz pan, cesarz Karol V. Tej najwyższej woli, wyrażonej w listach i rozporządzeniach, nie sposób się przeciwstawić, choćby nawet istniały po temu ważne powody.

W pokoju uczyniła się kłopotliwa cisza. Gubernator zrozumiał groźbę ukrytą w uwadze księdza. Wpływy Kościoła były na dworze katolickiego monarchy wszechpotężne, wolał przeto nie zadzierać z jego przedstawicielami, tym bardziej że ostatnio na skutek intryg nieprzyjaciół pozycja jego na dworze królewskim uległa osłabieniu.

— Obowiązki gubernatora — rzekł pojednawczo — są złożone i niejednokrotnie ze sobą sprzeczne. Naglące okoliczności każą mi obecnie przyznać pierwszeństwo sprawom Nikaragui, a inne potrzeby odłożyć na dalsze terminy. Chętnie bym udzielił wam pozwolenia na nową ekspedycję, ale skąd wziąć na to żołnierzy i uzbrojenie? Zwłaszcza że skarbiec mój prawie pusty i...

— Temu możemy w pewnej mierze zaradzić — przerwał mu ksiądz de Luque — po prostu Wasza Dostojność odstąpi nam swój udział w dochodach z przyszłej wyprawy za sto tysięcy peset płatnych w płynnej gotówce.

Gubernator, mile zaskoczony tą propozycją, zmrużył oczy i z figlarnym uśmiechem odparł:

— Dwieście tysięcy...

— Niestety, nie jesteśmy aż tak zasobni w gotówkę. Sto tysięcy — to ostatnie słowo. Otrzymamy za to urzędową licencję na przeprowadzenie werbunku w całej Panamie.

— Pięknie, a więc niech już tak będzie, róbcie, co chcecie, ja umyвам ręce...

Uгода pozwoliła współnikom odetchnąć z ulgą. Pozostawała jeszcze do załatwienia sprawa funduszków na opłacenie gubernatora i pokrycie kosztów ekspedycji. Ale i to niebawem znalazło pomyślnie rozwiązanie: Gubernator de Espinoza, ulegając perswazji księdza, zgodził się jeszcze raz sięgnąć do skarbczyka i sfinansować przedsięwzięcie. Zastrzegł sobie jednak, by umowa tym razem została przypieczętowana notarialnym aktem, potwierdzonym przez współników własnoręcznymi podpisami i przysięgą.

10 marca 1526 roku odbyło się w domu parafialnym Panamy podpisanie nowego kontraktu. Nastroj był wielce podniosły. Przy okrągłym stole zasiedli współnicy, notariusz królewski, dwaj aktuariusze i świadkowie. Odczytano akt prawny. Napuszony tekst, rozpoczynający się od słów: „W imię Trójcy Świętej i Najświętszej Dziewicy Marii”, ustalał szczegółowo obowiązki i prawa współników. Każdemu spośród nich miała przyspaść równa część skarbów, nieruchomości i przywilejów zagarniętych w królestwie Piru, mianowicie ziemie uprawne, pałace, Indianie zapędzeni do pracy niewolniczej w kopalniach, w rolnictwie i rzemiośle tudzież złoto, srebro i kamienie szlachetne oraz wszelkiego rodzaju dochody z tytułu nadań królewskich przyznanych współnikom, ich spadkobiercom lub prawnym zastępcom.

W razie niepowodzenia ekspedycji dwaj jej kapitanowie zobowiązali się zwrócić trzeciemu współnikowi wyłożone przezeń wkłady pieniężne, a dla zabezpieczenia tych należności dali w zastaw swój przyszły i ruchomy i nieruchomy majątek.

Kontrakt zawierał przewidzianą dekretem cesarskim klauzulę, według której przed dokonaniem podziału należało odłożyć piątą część łupów na rzecz Korony oraz wynagrodzić żołnierzy i oficerów według ich Zasług w podboju Piru.

Akt umowy podpisali swoim nazwiskiem ksiądz de Luque i notariusz, natomiast Francisco Pizarro i Diego de Almagro położyli trzy krzyżyki, uwierzytelnione przez świadków.

Wspólnicy udali się z kolei do kościoła, gdzie na intencję ekspedycji ksiądz de Luque odprawił mszę świętą. Nawa, na której pobielanych ścianach widniały obrazy oraz figury świętych wyłobione w drzewie i pomalowane pstrymi farbami przez domorosłych artystów indiańskich, wypełniła się po brzegi gapiami. Pod koniec mszy współnicy spożyli podzieloną na trzy części hostię świętą i z ręką na Biblii złożyli przysięgę, iż wiernie dotrzymają postanowień kontraktu, który w imię Boga gotował milionom Indian grabież, rozlew krwi i niewolę.

SPOTKANIE Z MIESZKAŃCAMI TAWANTINSUJU

Zaopatrzeni w dukaty Espinozy współnicy nabyli dwie karawele, które właśnie zbudowano w Panamie. Gorzej poszło z werbunkiem ludzi i z zakupem broni, ponieważ Pedrarias wysłał co lepszych żołnierzy do Nikaragui i doszczętnie ogołocił arsenał z zapasów.

W Panamie nie było jeszcze puszkarzy i płatnerzy, a gdyby współnicy chcieli sprzęt wojenny sprowadzić z Hiszpanii, musieliby odłożyć wyprawę na kilka miesięcy. Toteż nie pozostało im nic innego, jak tylko za drogie pieniądze skupywać oręż u przygodnych żeglarzy i handlarzy

morskich.

Wreszcie udało się im postawić hufiec liczący stu sześćdziesięciu ludzi uzbrojonych głównie w broń sieczną i kusze. Ale tym razem stworzyli również mały oddział konnicy i kompanię arkebuźników.

Przykre przygody na morzu w czasie pierwszej podróży przekonały ich, że ster okrętów należy powierzyć doświadczonemu żeglarzowi. Tym razem udało się im pozyskać dla wyprawy kapitana żeglugi Ruiza, który pływał już na Pacyfiku i zdołał poznać jego kaprysy.

Pewnego pogodnego poranka obie karawele wyruszyły na morze, kierując się wprost do miejsca, dokąd dopłynął w poprzedniej wyprawie Almagro. Był to najbardziej na południe wysunięty punkt kontynentu, jaki osiągnęli Hiszpanie. Spływała tam do morza rzeka, nazwana przez odkrywcę Rio de San Juan. Podczas całego rejsu dopisała pogoda, dzięki czemu dotarli do wyznaczonego celu bez przeszkód.

Hiszpanie z zachwytem przyglądali się wydłużonej linii brzegu. Jakże inny krajobraz roztaczał się teraz przed ich oczami! Na północy oba brzegi pokrywała nieprzenikniona ściana puszczy. Tu zaś uśmiechały się do nich w słońcu rozległe pola uprawne i malowniczo położone sady rolników. Kobiety, dzieci i mężczyźni we wzorzystych, barwnych strojach wylęgali tłumnie na brzeg. Ich żywa gestykulacja wskazywała, że byli bardzo podnieceni widokiem ożaglowanych okrętów, których ogrom wydawał im się przerastać ludzką miarę.

Postanowiono wylądować w miejscu, gdzie rozłożyła się wyjątkowo duża wieś, licząca kilkadziesiąt schludnych, pobielanych chat, uwieńczonych strzechami z liści palmowych. Słońce przechyliło się już nisko na skraj morza i zalało przestwór topielą ognistego światła.

Pizarro pragnął nawiązać z krajowcami przyjazne stosunki, aby wypytać ich o drogę do królestwa Piru. Okazało się jednak, że nie panował jeszcze nad świeżo zorganizowaną armią. Gdy tylko żołnierze stanęli na lądzie, rzucili się na wioskę, żądni łupów i krwi. Pizarro chciał ich powstrzymać, ale rozkazy jego zagłuszały wrzaski i palby z arkebuzów. Indianie podnieśli wielki krzyk zgrozy i w rozpaczliwym bezładzie umknęli w głąb łądu. Strzały arkebuzów, szczęk broni, granie trąbek bojowych, olśniewający blask kirysów²⁷, a nade wszystko nieziemskie czworonożne stwory, rwące z kopyta z parskaniem i rzeniem — słowem, cała ta nagła i niczym nie usprawiedliwiona napaść wyjących przybyszów zza morza wydawała im się najazdem drapieżnych demonów i odebrała wszelką wolę oporu.

Konkwistadorów opanował szal nierozumnego okrucieństwa. Bez litości mordowali kobiety, dzieci i starców, którzy nie zdążyli na czas opuścić wioski, a młode dziewczyny padały ofiarą chuci rozbastwionych napastników. Plądrując chaty, rozbójnicy rzucili się przede wszystkim na złote ozdoby i zgromadzili tak ogromne skarby, że usypali z nich stertę sięgającą kolan. W bezsensownym rozpędzie niszczenia puścili w końcu osiedle z dymem.

Z nastaniem nocy Pizarro zwołał radę wojenną. Siedząc w posepnym blasku pożogi oficerowie wyprawy zastanawiali się, co począć dalej. Przyjęto następujący plan postępowania: Almagro wróci do Panamy na jednej z dwóch karawel, gdzie za złoto zagrabione we wsi indiańskiej utworzy dobrze uzbrojoną drużynę posiłkową; Ruiz uda się na drugiej karaweli w rekonesans na południe; Pizarro natomiast pozostanie w okolicach rzeki Rio de San Juan i z wydzielonym oddziałem pieszych, jak też z całą konnicą uda się w głąb na poszukiwanie nowych zdobyczy.

Kapitan Ruiz był wytrawnym w swoim rzemiośle nawigatorem; zgarnawszy żaglami korzystne wiatry, nie trzymał się lękliwie brzegu, lecz prostym jak strzełił kursem skierował się na południe przez pełne morze. Po kilku dniach podróży sprawujący wachtę na przednim

²⁷ Kirys — dawna zbroja osłaniająca pierś lub pierś i plecy; pancerz.

kasztelu marynarz dał znać, że zbliżają się do jakiejś wyspy.

Karawela zarzuciła kotwicę na redzie, gdyż dostępu do brzegu broniły mierzeje i płycizny. Zresztą Hiszpanom odeszła ochota do lądowania na wyspie. Przybrzeżna plaża zaroiła się bowiem od półnagich Indian, wydających wojownicze okrzyki i wrogo wymachujących dzidami. Zapewne dotarła już do nich wieść o gwałtach i bezceństwach, jakich dopuścili się morscy zbójnicy na stałym lądzie.

Przyjrząwszy się uważnie wyspie i nędznie ubranym mieszkańcom Ruiz doszedł do przekonania, że byłoby niedorzecznością wysadzać na ląd żołnierzy i wdawać się w walkę, która nie mogła przynieść żadnych korzyści. Naniósł tylko wyspę na mapę i nazwał ją Galio, a potem kazał podnieść kotwicę i ruszył w dalszą drogę. Wyspiarze przekonani, że skrzydlaty okręt przed nimi stchórzył, zegnali go gromkimi okrzykami triumfu i szyderstwa.

W miarę posuwania się na południe ukazywało się na brzegu coraz więcej sadyb, siół i wielkich osiedli, nad którymi unosiły się gęste dymy palenisk. Mieszkańcy wybiegali z chat i stanawszy gromadnie na brzegu, przyglądali się Hiszpanom z uczuciem trwogi i wrogości. Plotka niosła się wśród plemion indiańskich nad podziw szybko, toteż na całym wybrzeżu wiadano już o sprawkach białych cudzoziemców.

W czasie podróży stale towarzyszył żeglarzom widok potężnego łańcucha Andów, rysujących się na horyzoncie w całym swym niezmaconym majestacie. W przezroczystym powietrzu widać było jak na dłoni dziki, pożłobiony masyw skalny oraz niebotyczne szczyty, rozjarzone blaskiem wiecznego śniegu. U stóp skalnego olbrzyma ciągnęła się strefa podgórzy, obrośniętych gęstym kożuchem zieleni, czasem schodzących garbami aż do samego morza. Rozległa płaszczyna przybrzeża tworzyła szachownicę poletek uprawnych, grającą w słońcu wszystkimi odcieniami szmaragdu i złota, poprzecinaną rzeczkami i kanałami. Konkwistadorzy stali przy burcie karaweli w milczeniu, urzeczeni świetlistą urodą tego upragnionego kraju pełnego obietnic, owego El Dorada, którego wizja wywiodła ich z rodzinnych pieleszy i przeobraziła w wędrownych rycerzy Fortuny.

Karawela dotarła do Zatoki Świętego Mateusza i kilka dni odpoczywała na jej cichych wodach, podziwiana z daleka przez tłumy krajowców. Żeglarze uwijali się żywo na pokładzie, dokonując naprawy żagli i kadłuba. Kapitan Ruiz nie widział potrzeby schodzenia na ląd, gdyż jego zadaniem było jedynie zbadanie drogi morskiej, a prowiantu i wody do picia miał jeszcze na pokładzie pod dostatkiem. Rekonesans uważał za wykonany, był bowiem pewny, że dotarł do granic legendarnego królestwa Piru.

Rejs wywiadowczy trwał już kilkanaście dni, pilno mu więc było do Pizarra z radosną nowiną. Okręt wypłynął znowu na pełne morze, ale tym razem skierował dziób na północ, wykorzystując zrzęcznie przeciwne wiatry.

Zaledwie opuścili zatokę, marynarz wachtowy donośnym z podniecenia głosem krzyknął:

— Okręt, okręt na widnokręgu! — Kapitan Ruiz jednym skokiem znalazł się na kasztelu i wyteżył wzrok we wskazanym kierunku. Zza horyzontu wychylała się ogromna, biała płachta czworokątnego żagla. Kapitan zaniepokoił się nie na żarty, gdyż zrazu sądził, że są to jacyś Europejczycy, którzy przybyli tu w poszukiwaniu legendarnego kraju złota.

Rychło jednak stwierdził z ulgą, że obawa była płonna. W miarę kurczenia się odległości ukazała się ku jego nieopisanemu zdumieniu cudaczna tratwa, rozchybotana na falach morskich. Między dwiema żerdziami rozpiął się biały żagiel, wypełniony wiatrem. Niski pokład składał się z okrągłych pni balsa²⁸, powiązanych grubymi roślinnymi sznurami. Pośrodku pokładu wznosił się trzciniowy szałas, pokryty czubatą strzechą z liści palmowych. Przy sterze,

²⁸ Balsa — drzewo rosnące w Ameryce.

poruszonym za pomocą długiej żerdzi, stało kilku półnagich Indian o torsach jakby ulanych z polerowanej miedzi. Na przedzie tratwy skupiła się gromadka mężczyzn, kobiet i dzieci, ubranych w szaty grające w słońcu mozaiką wesołych kolorów. Żeglarze indiańscy nie zdradzali lęku: gestykulując i wydając dziarskie okrzyki zbliżali się do karaweli.

Konkwistadorzy, stłoczeni przy barierze statku, przyglądali się żeglarzom indiańskim. Doszli do wniosku, że widzą nareszcie ludzi owej krainy, której poszukiwali tak długo na lądzie i morzu. Po stroju sądząc, byli to ludzie zamożni. Nosili powłóczyste szaty z delikatnej tkaniny wełnianej, barwionej na żółty, czerwony i niebieski kolor, ozdobione haftami wyobrażającymi ptaki i kwiaty. Ich postacie aż iskrzyły się od mnóstwa złotych ozdób przedziwnej roboty. Były między nimi również kobiety o smągłych, delikatnych twarzach, skośnych oczach i kruczych, połyskujących w słońcu włosach, zgarniętych do tyłu kolorową taśmą. Uśmiechały się filuternie do białych, rosnących mężczyzn, i okazywały pełną wdzięku swobodę w obejściu, świadczącą o tym, że nie były niewolnicami swoich mężów i ojców.

Na zapraszający gest jednego ze znamienitszych Indian kapitan Ruiz zszedł po trapie na platformę tratwy, zabierając ze sobą jako tłumacza swego sługę indiańskiego, przywiezionego z Panamy.

Okazało się, że byli to kupcy z miasta Tumbez, którzy prowadzili handel wymienny wzdłuż wybrzeża kontynentu. Ruiz wyraził chęć obejrzenia ich towarów i ledwie zdołał powściągnąć podniecenie, gdy ujrzał wiezione przez nich bogactwa. Z wiklinowych koszy wykładano przed jego olśnionymi oczyma wazy i kubki z litego złota; wisiorki, kolczyki, naszyjniki i bransolety, misternie wytrybowane z cieniutkiej złotej blachy; srebrne zwierciadła oraz bele kolorowej materii, utkanej z delikatnej jak jedwab wełny.

Na tratwie znajdowało się kilka lam, które — jak się dowiedział — nie tylko dostarczały wełnianego runa oraz mięsiwa na pożywienie, lecz również służyły jako zwierzęta juczne. Hiszpanie już w Panamie słyszeli o tym przeosobliwym zwierzęciu, gdyż Pascual de Andagoya przywiózł z wyprawy jego dokładną rycinę. Ale teraz na widok lam rechotali z niepoohamowanej uciechy. Bawił ich setnie beczelny i pogardliwy pysk tych pokracznych zwierząt, ich wytrzeszczone gały oczne i strzygące, królicze uszy. Była to właściwie mała odmiana wielbłąda, którego spotkali w Hiszpanii, dokąd sprowadzili go Maurowie. Indianie utrzymywali, że kraj, z którego pochodzą, roi się od lam. W pewnej chwili kapitan Ruiz zapytał:

— Czy wasze miasto Tumbez należy do państwa Piru? Odpowiedzi udzielił mu stary, noszący się z godnością Indianin o poradlonej twarzy i kruczych włosach opadających w sztywnych kosmykach na ramiona.

— Nie znamy, synu słońca, żadnego państwa Piru. Chyba masz na myśli rzekę tej nazwy, płynącą wśród puszczy w dalekiej krainie na północy, gdzie ludzie żyją jak dzikie zwierzęta. Wiem to na pewno, gdyż raz dotarłem tam z towarami i przekonałem się, że tamtejsi ludzie nie mają nic do wymiany.

— Kimże więc jesteście? — zapytał zdumiony Ruiz.

— Miasto, z którego pochodzimy, podlegało kiedyś wielkiemu królowi. Ale on już nie żyje, został pokonany i zabity przez króla Inków, mającego swoją stolicę w Cuzco²⁹.

— Czy tam jest złoto?

Pytanie wywołało wśród Indian wielką wesołość.

— Tam jest więcej złota niż drewna, synu słońca. Są to święte łyzy, które wypłakał bóg słońca Inti.

— Jeżeli państwo tego potężnego króla nie nazywa się Piru, to jakąż jest jego nazwa?

²⁹ Czyt. Kuzko.

— Tawantinsuju. Obejmuje ono swoimi granicami cztery strony świata.

Kapitan Ruiz zadumał się i gorączkowo powtarzał sobie w duchu:

— Tawantinsuju, Tawantinsuju, kraj złota, kraj żarliwie poszukiwany, El Dorado! El Dorado!
Nareszcie!...

Potem obrzucił Indian spojrzeniem, zastanawiając się, co z nimi począć. Pizarro zapewne by się ucieszył, gdyby wrócił do niego z takimi skarbami. Kupcy nie byli uzbrojeni, mógł więc z nimi zrobić, co mu się żywnie podobało. Czyż jednak gwałt byłby krokiem rozsądnym? Skoro chcą udać się do Tawantinsuju, nie powinna wyprzedzić ich tam wieść, że są rozbójnikami. Król owego państwa, który rozporządza — jak wynika z zebranych informacji — rozliczną, dobrze zorganizowaną armią wojowników, na pewno powitałby ich jak wrogów. A to mogłoby im pokrzyżować plany. Nie można przecież liczyć na zwycięstwo w tak nierównej walce. Lepiej, żeby przyjęto ich tam zrazu jako pokojowych wysłanników króla Kastylii, a później okaże się, co zrobić. Wszystko jest w ręku Opatrzności. W czasie podróży odczuwał na własnej skórze skutki napaści na wieś indiańską. Niechże więc przynajmniej ci kupcy zaświadczą przed królem, że diabeł nie jest taki straszny, jak go malują.

Kapitan Ruiz postanowił jednak uzyskać kilka cennych przedmiotów poprzez wymianę, aby zawieźć je swemu wodzowi na dowód pierwszego spotkania z mieszkańcami królestwa Tawantinsuju. Toteż zaprosił na pokład karaweli kilku znamienitszych Indian i wyświadczał im wszelkie uprzejmości.

Egzotyczni goście, oprowadzani przez tłoczących się żołnierzy, nie mogli wyjść ze zdumienia na widok nie znanych im urządzeń statku i uzbrojenia żołnierzy. Wszystkiego pragnęli dotknąć, największy jednak podziw i pożądanie budziły w nich stalowe rapiery. Gładzili ich lśniące klingi, badali ich twardość i ostrza, kazali sobie pokazywać, jak jednym uderzeniem przecinały drewniane polana.

Kapitan Ruiz polecił zarzącał prosiaka i zaprosił gości do stołu zastawionego wieprzowiną, sucharami i andaluzyjskim winem. Pieczyste i suchary jedli bez zdziwienia, za to wino smakowali z taką lubością, że Ruiz i jego oficerowie nie posiadali się z radości.

Gospodarze musieli odpowiadać na niezliczone pytania. Kapitan tłumaczył, że jest posłem najpotężniejszego na świecie monarchy, panującego daleko za morzem, i wyraził chęć nabycia dla swego mocodawcy niektórych towarów, ofiarując jako zapłatę szklane paciorki, tombakową biżuterię i parę sztyletów z ozdobnymi rękojeściami.

Indianie skwapliwie przyjęli propozycję i polecili swoim towarzyszom na tratwie, by wnieśli na pokład szereg złotych waz i kubków, ogromne zwierciadło z litego polerowanego srebra oraz kilka sztuk delikatnej, nad podziw pięknie barwionej materii z wełnianej przędzy.

Tymczasem żołnierze nie zasypiali gruszek w popiele. Gestykulując, wśród żartów i śmiechów zdołali pokumać się z pozostałymi na tratwie żeglarzami indiańskimi i wyłudzić od nich za paciorki oraz inne drobne przedmioty sporo złotej biżuterii. Niektórzy, bardziej jurni, zaczęli umizgać się w sprośny sposób do przestraszonych młodek indiańskich, ale ostry głos kapitana, który obawiał się z tego powodu jakiejś zwady, szybko przywołał ich do opamiętania.

Przywódca kupców indiańskich podarował kapitanowi parę lam. Indianie skrepowali zwierzęta i wciągnęli sznurami na wysoki pokład okrętu. Podczas tej całej operacji lamy okazywały flegmatyczną, zdawałoby się obelżywą bierność. W ogóle nie interesowały się, co z nimi wyprawiano; wytrzeszczone, jakby nieobecne oczy utkwily w morzu, strzygły nerwowo uszami i poruszały wargami.

Z chwilą jednak gdy je na pokładzie uwolniono z pęt, pokazały swój prawdziwy charakter. Zdawało się, że nagle wybuchła w nich eksplozja goryczy i protestu, nagromadzonego od samego zarania ich nędznego żywota. Wyrwały się z rąk żołnierzy hiszpańskich i puściły w zwariowany

galop naokoło pokładu, tratując i obalając wszystko, co znalazło się na ich drodze. Rozwijały przy tym niewiarygodną szybkość, stanowiącą zgoła nieoczekiwany kontrast w porównaniu z poprzednią powolnością.

Wśród piekielnych wrzasków i chichotów konkwistadorzy rzucili się w pogoń za krewkami bestiami. Ale niełatwo było je poskromić. Wierzgając wściekle nogami, trzymały dręczycieli z dala od siebie, a gdy w końcu zapędzono je w pułapkę, dały upust swej wzdardzie i zadzierzystości strzykając żółtą, cuchnącą śliną. Z chwilą jednak gdy przyduszono je do desek pokładu, wygasła w nich raptownie woła oporu. Znowu zapadły w zwykłą swoją wyniosłą bierność, a oczy, jeszcze nabiegłe krwią od niedawnego spazmu energii, wytrzeszczały obojętnie w daleki rąbek morza, ignorując zadyszanych Hiszpanów.

Indianie początkowo przyglądali się widowisku w niemym osłupieniu. Gdy jednak cudzoziemcy, nakrywając się nogami i wywracając koźły jak ulęgałki odpadali od rozbrykanych bydła, zaczęli tarzać się ze śmiechu. Jeden tylko chuderlawy chłopczyzna indiański, liczący nie więcej niż piętnaście lat, nie dzielił ogólnej uciechy. Poderwał się bez namysłu ze swego miejsca, śmignął po trapie na pokład karaweli i doskoczył lam, by pomóc je okiełznać.

Kapitan Ruiz przyglądał się chłopcu z namysłem. Z upodobaniem obserwował jego śmigłe ruchy, regularne rysy smagłej, jakby pozłocistej twarzy i czarną zmierzwioną czuprynę, spod której patrzyły inteligentne, szelmowskie oczy.

Tego urwipolcia — pomyślał — warto by ze sobą zabrać. Przywiózłbym gubernatorowi Panamy żywego przedstawiciela królestwa Tawantinsuju. Ponadto ileż mogli mieć z niego pożytku! Największą trudnością, jakiej doświadczyli w zetknięciu z Indianami, okazał się brak dobrego tłumacza. A takiego sprytnego młodzika, wiadomo, łatwiej nauczyć języka hiszpańskiego niż dorosłego człowieka. W przyszłości mieliby doskonałego pośrednika, informatora i tłumacza, zwłaszcza w rokowaniach z królem Tawantinsuju.

Kapitan podszedł z uśmiechem do chłopca i gestami dał mu do zrozumienia, by pozostał na karaweli. Młody Indianin aż oczy wytrzeszczył, tak był zaskoczony, i zaraz energicznym potrząsaniem głowy odrzucił propozycję, zabierając się do zejścia na tratwę. Wtedy na dany znak obstąpili go żołnierze i usiłowali zatrzymać przemocą. Indianin wpadł w rozpacz i przerażenie. Kopiąc i gryząc jak osaczone zwierzątko, krzyczał wniebogłosy, wzywając na pomoc rodaków. Hiszpanie z trudnością skrępowali go sznurami i zawlekli pod pokład.

Z piersi Indian na widok tej brutalnej przemocy wydarł się okrzyk oburzenia i protestu. Młoda dziewczyna, widocznie siostra pojmanego, chciała wdrapać się na karawelę, lecz towarzysze ściągnęli ją z powrotem na tratwę. Wtedy uderzyła w tak rozdzierający, nieutulony lament, że jęki jej poruszyły serca nawet najbardziej zatwardziały konkwistadorów.

Zapamiętała wojowniczość Indian, którzy wygrazali pięściami i zdradzali chęć szturmowania karaweli, zaniepokoiła kapitana Ruiza nie na żarty. Nie spodziewał się takiego skutku swego gwałtu, a rozlew krwi nie był mu na rękę. Chcąc przeto odstraszyć rozsierzdzonych natrętów, postawił przy burcie oddział arkebuźników i kazał im wystrzelić w powietrze.

Palba jak grom rozległa się po morzu i dała natychmiast oczekiwany efekt. Indianie zamilkli jak rażeni piorunem, a potem padli na twarze w przekonaniu, że mają do czynienia z nadludźmi, którzy władają piorunami. Dziwaczna scena tak ubawiła żołnierzy, że parskali i rzeli ze śmiechu, trzepiąc się wzajemnie po plecach pięściami.

Tymczasem kapitan polecił wciągnąć żagle i karawela ruszyła w dalszą drogę. Zapadał już wieczór. Dalekie szczyty Andów zapłonęły ostatnim, gasnącym światłem dnia, a spokojne morze pokryło się drgającymi łuskami pozłoty, wśród których nikła w oddali tratwa z pierwszymi napotkanymi mieszkańcami tajemniczego królestwa.

Hiszpanie wyzwolili chłopca indiańskiego z więzów i starali się, jak mogli, udobruchać go i

oswoić. W swojej szorstkiej dobroduszości usiłovali żartami sprowokować go do uśmiechu, przynosili mu smakołyki i nazywali czule „caballero”. Ale on był niepocieszony. Zaszły się w kąty i toczył rozbieganymi ze strachu oczyma po ogromnych, brodatych postaciach cudzoziemców. W nocy jęczał i kwilił przez sen jak szczenię oderwane od matki.

Niebawem jednak młodość zaczęła domagać się swoich praw. Nazajutrz spałaszował z apetytem podane mu jądło, a nawet odważył się na przechadzkę po pokładzie, oglądając z zachłanną ciekawością nieznaną i zagadkowy świat białych wojowników. Nie minęło nawet parę dni, a w oczach jego zapaliły się znowu wesole ogniki. Kręcił się jak fryga wśród hałastry żołnierskiej, powtarzał pociesznie słowa hiszpańskie i wyczyniał takie niestworzone zbytki, że Hiszpanie zaśmiewali się do rozpuku. Czasami tylko stawał na barierze i jakby zasłuchany w siebie, ogarniał tęsknym spojrzeniem daleką smugę ładu. Wkrótce stał się ulubieńcem całej załogi, która wesołemu filutowi nadała imię Felipillo.

NAD „RZEKĄ SZMARAGDÓW”

Tymczasem Pizarro dowiedział się od napotkanych Indian, że w głębi ładu położone są większe osiedla ludzkie, które mogą dostarczyć mu żywności i złota. Przewodząc z całym oddziałem, nie wyłączając konnicy, puścił się w drogę, pomimo że prowadziła ona przez niezmierną puszcę, z którą zawarł już w poprzedniej ekspedycji niezbyt przyjemną znajomość.

Ale Pizarro był człowiekiem upartym i nie zważał na przestrogi swoich oficerów. Głosem nieprzywykłym do sprzeciwu wydał rozkaz wymarszu i niebawem żołnierze musieli przetrąbywać się przez roślinność, jakiej dotąd jeszcze nie spotykali w swoim włościwskim życiu.

Było to istne piekło, tknięte obłudą rozroczności. Drzewa wystrzelały w górę potężnymi pniami i przez gęstwinę gigantycznych konarów nie przepuszczały jednego promyka słońca. W mrocznym, parującym uroczysku liany, powoje i zarośla pieniały się bez opamiętania i dławiąc się wzajemnie w rozpaczliwym uścisku, walczyły o prawo do życia, o szczytę światła i powietrza.

Podglebie puszczy tworzył gruby kobierzec gąbczastej, nasiąkłej wilgocią próchnicy, wydzielającej cuchnące wyziewy pleśni i rozkładu. Ludzie i prowadzone za uzdę konie zapadali się miejscami aż po kolana w tej czarnej mazi i brnęli naprzód z niewypowiedzianą udręką.

Była to wyprawa zaiste szaleńcza. W zmaganiach z zabójczą przyrodą konkwistadorzy szybko opadli z sił i ledwie trzymając się na zmęczonych nogach, zaczęli sarkać i przeklinać swego dowódcę, który z takim uporem wiodł ich na zatracenie. Ale Pizarro narzucił swoim ludziom karby żelaznej dyscypliny i uciszył co zuchwalszych malkontentów groźbą stawienia ich przed sądem polowy.

W czasie pobytu urągały im trajkotaniem niezliczone pstrokate papugi, a stada rozhisteryzowanych małych wszczynających taki ogłuszający jazgot, że Hiszpanie musieli podnosić głos, aby się zrozumieć. Spod nóg wymykały im się jaszczurki i węże. Owinięte tu i ówdzie naokoło pni, czyhały na zdobycze ogromne cielska węzów boa tak przystosowane ubarwieniem do otoczenia, że nie sposób było ich dostrzec.

Najgorszą rzeczą było to, że krok w krok skradały się za nimi bandy wojowniczych dzikusów indiańskich. Niewidzialni w gęstwinie puszczy, czujnie śledzili intruzów i gdy tylko nadarzała się sposobność, razili ich zatrutymi strzałami z łuków.

Raz po raz ze szczękiem ryszunka załamywał się w kolanach ugodzony żołnierz, wydając okrzyk zgrozy i bólu. Padały również prowadzone za uzdę wierzchowce. Wtedy nad drgającym cielskiem zwierzęcia właściciel jego płakał jak dziecko, gdyż konkwistadorzy, choć byli ludźmi twardego serca, ale konie swoje darzyli najczulszą przyjaźnią.

Napastowani bronili się jak mogli, strzelali na oślep z kusz i arkebuzów w gęstwinę puszczy, usiłowali nagłymi atakami rozproszyć gnębieli. Jednakże na nic im się to zdało: Indianie pozostali nieuchwytni. Atakowani — jakby rozpływali się w powietrzu, by po jakimś czasie znowu dać znać o sobie.

Po kilku dniach mozolnego marszu Hiszpanie dostali się w strefę podgórzy andyjskich. Droga stała się teraz jeszcze bardziej uciążliwa, ale Pizarro nie chciał słyszeć o powrocie. Wlekli się więc naprzód jak w malinie. Wdrapywali się na wzgórza, które z każdą fałdą stawały się wyższe, to znowu opuszczali się na czworakach w zięjące rozdoły i przepastne wąwozy, gdzie z hukiem przewalały się potoki górskie, a odurzające zapachy egzotycznych kwiatów walczyły z rozprężonym zaduchem gnijącej roślinności. Stanąwszy w końcu na wyjątkowo wysokim wzniesieniu, ujrzeli w bezkresnej dali śnieżyste szczyty Kordylierów andyjskich, połyskujące w słońcu blaskiem polerowanego srebra.

Wyteżali wzrok na wszystkie strony, ale nigdzie nie było widać śladu życia ludzkiego. Pizarro musiał wreszcie przyznać, że znowu wyprowadził swoich ludzi na manowce. Pomyłka ta drogo już ich kosztowała. Od pewnego czasu nie mieli żadnego prowiantu. Żywili się jedynie dziko rosnącymi ziemniakami i orzechami kokosowymi, gdyż mimo że posiadali kusze i arkebuzy, nie udało im się upolować zwierzyny. Małpy, papugi i inne leśne zwierzęta trzymały się w bezpiecznej odległości od nich i w oka mgnieniu znikwały w gęstwinie, gdy wyczuły niebezpieczeństwo.

Na naradzie oficerów, podczas której Pizarro musiał wysłuchać sporo przykrych wyrzutów, postanowiono nie wracać tym samym szlakiem, lecz poszukać koryta Rio de San Juan i skierować się jego brzegiem do morza, w nadziei, że ta droga będzie mniej uciążliwa niż ścieżka przez puszcze.

Nikt jednak nie umiał określić, gdzie ta rzeka płynie. Należało przeprowadzić rozpoznanie najbliższej okolicy, do czego jednak żaden z żołnierzy się nie kwapił. Jeden tylko Pedro wyraził gotowość podjęcia się tego zadania.

Równy ze świtem, po przespanej nocy, podniósł się cicho z legowiska i pożegnawszy Pizarra, zniknął w mrocznej dżungli. Zdrożeni żołnierze spali twardo, choć papugi i małpy rozpoczęły swój koncert ku chwale słońca, które zapłonęło już na szczytach górskich.

Nie minął nawet kwadrans od chwili odejścia Pedra, gdy nagle rozległ się w puszczy jego przeraźliwy krzyk. Pizarro zrozumiał, że Indianin jest w niebezpieczeństwie. Nie zwlekając puścił się biegiem na pomoc, zabierając ze sobą zbudzonych towarzyszy.

Drogę wskazała im ścieżka wycięta przez Pedra, szybko więc dotarli do miejsca tragedii. Pod nisko nachylonym drzewem hebanowym leżał młody Indianin uwięziony w ohydnych splotach olbrzymiego węża dusiciela. Jeden rzut oka wystarczył, by przekonać się, że Pedro już nie żył. Grube, oliwkowe, znaczone poprzecznymi czarnymi pręgami cielsko potwora, zakończone ogonem ceglastego koloru — pogruchotało w okrutnym uścisku wszystkie jego kości. Boa wisiał na pochylonej gałęzi i w chwili gdy Pedro przechodził pod drzewem, zsunął się zniecka, przygniatając go swym ciężarem.

Konkwistadorzy wpadli w nieprzytomną wściekłość. W mgnieniu oka odrąbali łeb dusiciela i rozsiekali go na drobne kawałki. Indianin przypadł im do serca dzięki uczynności i zawsze dobremu humorowi, toteż troskliwie pogrzebali jego zwłoki i odmówili nad mogiłą modlitwę.

Nikt teraz nie miał odwagi podjąć się niebezpiecznego rozpoznania terenu. Cały oddział zwinął obóz i skierował się na południe, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa powinna być znajdować się poszukiwana rzeka. Zboczyli więc z pierwotnego szlaku pod prostym kątem i wlekli się męczącym marszem przez wzgórza, jary i dziewicze knieje.

W południe stanęli na krawędzi płytkiego kanionu o spadzistych ścianach. Na dnie owej

niecki chyżo rwała wezbrana rzeczka górską, przelewając się kaskadami przez skalne progi. Wędrowcy odetchnęli z ulgą, byli bowiem pewni, że wreszcie dotarli do górnego biegu Rio de San Juan. Skręcili na zachód i brzegiem rzeki podążali w kierunku morza.

W miarę opuszczania strefy podgórzy skalistych rzeka zatracala charakter górskiego potoku. Wody jej zaczęły płynąć leniwym, szerokim nurtem przez nizinny krajobraz dżungli, tworząc płytkie rozlewiska i malaryczne mokradła, nad którymi brzęczały miliardy moskitów. W wodzie i wzdłuż brzegu wylegiwało się w słońcu mnóstwo osowiałych aligatorów, nie zwracając najmniejszej uwagi na wędrowców.

Hiszpanie byli zdrożeni i ledwie powłóczyli nogami. Głód doskwierał im coraz dotkliwiej, gdyż nikt nie miał już sił ani ochoty, by szukać w puszczy jadalnych roślin i owoców. Na domiar złego niektórzy żołnierze nabawili się malarii. Podstępna choroba zmogła nieszczęśników do tego stopnia, że trzeba było prowadzić ich pod ramię lub dźwigać na splecionych z gałęzi noszach.

Kiedyś, gdy Hiszpanie właśnie rozkładali obóz na nocleg, otoczyła ich skowycząca banda dzikusów indiańskich, strzelając z łuków i ciskając włócznie zakończone ostrymi grotami z miedzi. Hiszpanie nie ponieśli jednak żadnych strat, gdyż chroniły ich gęsto rosnące, grube jak kolumny drzewa.

Kryjąc się za pniami żołnierze przystąpili do odparcia wściekłego ataku. Już pierwsza salwa z arkebuzów położyła kilku napastników trupem, a reszta, przerażona hukiem broni palnej, z krzykiem popędziła na łeb, na szyję w kierunku rzeki.

Pizarro domyślił się natychmiast, że Indianie mają tam przycumowane do brzegu łodzie. Gdybyż udało się je zagarnąć! Cóż za ulga w pochodzie przez tę przeklętą dżunglę. Powierzyliby się po prostu prądowi rzeki i bez większego wysiłku dotarliby do brzegu morskiego.

Nie tracąc czasu rozkazał żołnierzom, by przeszli do ataku, i starali się odciąć napastnikom drogę do łodzi. Na widok ścigających i niesamowitych ludzi, zakutych w błyszczącą stal i władających piorunami — wojownicy indiańscy stracili do reszty głowy. Jedni wymykali się bokami, inni znowu, niepomni na aligatory, rzucili się w nieprzytomnym popłochu do wody, by szukać schronienia na drugim brzegu rzeki. Okrzyki zgrozy i gwałtownie wzburzona woda świadczyły w sposób aż nadto przejmujący, że potwory nie przespały okazji zdobycia żeru.

Ku swojej wielkiej radości konkwistadorzy znaleźli na brzegu całą flotyllę łodzi wyciosanych z pni. Załadowali bagaż i parę ocalałych z wyprawy koni, sami rozsiedli się wygodnie i powiosłowali na środek rzeki, gdzie prąd porwał ich szybko w kierunku morza.

Podróż nie przebiegała jednak tak pomyślnie, jak się spodziewali. Po drodze napotykali często przeszkody w postaci mielizn i porohów³⁰. Musieli wtedy wyciągać łodzie z wody i przetaczać je brzegiem koryta do miejsc, gdzie rzeka stawała się znowu spławniejsza. Ponadto wzdłuż brzegu czatowali Indianie, którzy nękali ich zatrutymi strzałami.

Głód zmuszał konkwistadorów do dłuższych postojów nad rzeką. Żołnierze udawali się wtedy w głąb puszczy, by zapolować na zwierzynę i zebrać jadalne jagody. Ale takie wyprawy po jadło najeżone były niebezpieczeństwami. Niejednokrotnie wpadali w zasadzkę Indian, a wtedy, ostrzeliwując się gwałtownie, musieli co sił uciekać z powrotem do obozu.

Po jednym z takich postojów Hiszpanie wybierali się w dalszą podróż. Łodzie odbiły na środek rzeki i unoszone prądem oddalały się szybko od miejsca obozowania. Jedna z łodzi pozostała jeszcze na brzegu, gdyż jej załoga złożona z czternastu żołnierzy, zbyt długo marudziła z załadunkiem pakunków.

Wtedy z pobliskich zarośli wyroiła się chmara wyjących nagusów i z błyskawiczną szybkością

³⁰ Porohy — progi granitowe, przez które spieniona rzeka przedziera się z wielką siłą.

dopadła zaskoczonych maruderów. Na brzegu wywiązała się walka wręcz. Napadnięci żołnierze bronili się do upadłego, dźgając i waląc na odlew rapierami; w tłoku nie mogli użyć kuszy i arkebuzów.

Przewaga liczebna Indian okazała się zbyt wielka, osaczeni żołnierze padali kolejno pod razami dzid i maczug i w końcu opór ich został złamany. Ostatni żyjący Hiszpan zdołał jakoś wyrwać się z rąk napastników i rzucił się do rzeki z zamiarem dopłynięcia do floty.

Zaledwie jednak oddalił się od brzegu, woda zakotłowała przy nim jak wrzątek. W kipieli ukazała się za chwilę rozwarta paszcza aligatora i nieszczęśnik zniknął pod wodą, nie zdążywszy nawet wydać okrzyku. Plama krwi płynąca przez chwilę z prądem rzeki świadczyła, że wypadek nie był koszmarnym snem.

Łodzie oddaliły się już zbyt daleko od miejsca walki, by konkwistadorzy mogli zdążyć z odsieczą. Usiłovali co prawda zawrócić, ale prąd był tak wartki, że mimo usilnego wiosłowania posuwali się w górę rzeki niezmiernie wolno. Niektóre łodzie dobiły do brzegu i żołnierze co sił w nogach biegli napadniętym na pomoc, strzelając w powietrze z arkebuzów, żeby odstraszyć Indian. Gdy jednak zadyszani przybiegli na miejsce walki, było już po wszystkim. Pogrzebali więc tylko ze ściśniętym sercem poległych towarzyszy i udali się w dalszą drogę. Jak sztychłak ścigał ich długo jeszcze łomot bębnow indiańskich, oznajmiający zwycięstwo dzungli nad białymi władcami piorunów.

Upłynęło prawie pięć tygodni, zanim dotarli do ujścia Rio de San Juan. I wtedy stwierdzili, że nigdzie — ani na morzu, ani wzdłuż brzegu — nie widać karawel, które już powinny być oczekiwać ich od dawna. Stanęli więc obozem na skraju puszczy i całymi dniami spoglądali na północ i południe, skąd mieli nadpłynąć Almagro i Ruiz. Żywności dostarczała im puszcza i morze. Natomiast straszliwie dręczyły ich moskity; ni w dzień, ni w nocy nie zaznawali od nich spokoju. Moskitów było takie mnóstwo i cięły z tak wściekłą żarłocznością, że Hiszpanie musieli zagrzebywać się w przybrzeżnym piasku, by chociaż na kilka godzin uwolnić się od ich napastliwości.

Pierwszy zjawił się kapitan Ruiz. Stojąc na kasztelu usiłował przekrzyczeć fale morskie:

— Byliśmy w Piru, widzieliśmy El Dorado! Złoto, dużo złota!

Żołnierze Pizarra odpowiedzieli mu okrzykami radości i wynieśli go na ramionach na brzeg. Nie mogli napatrzeć się do syta przywiezionym skarbom i poklepywali lamy, które w tym zamęcie i zgielku zachowywały niezmacony spokój. Paradującego w barwnych, wzorzystych szatach Felipilla witali przyjaźnie jako pierwszego przedstawiciela El Dorada.

Nazajutrz wrócił Almagro. Również i jemu poszczęściło się znakomicie. Gubernator Pedrarias, na skutek usilnych starań księdza de Luque, został odwołany, a na jego miejsce przyjechał Don Pedro de los Rios z królewskim poleceniem udzielenia Pizarrowi poparcia.

Nowy dostojnik był tak uprzejmy, że osobiście zjawił się w porcie, by przyjąć Almagra i zaofiarować mu pomoc. Szczęśliwym trafem przybyła właśnie z Hiszpanii wielka karawela z emigrantami i ładunkiem rozmaitej broni. Almagro nie miał przeto trudności w wykonaniu zadania. Toteż przywiózł obfite zapasy prowiantu i osiemdziesięciu świeżo zwerbowanych żołnierzy, wyposażonych w hełmy, półpancerzyki, rapier, kusze i arkebuzy.

Siła bojowa ekspedycji wzrosła do tego stopnia, że Pizarro postanowił udać się wprost do Tawantinsuju. Nakarmieni, wypoczęci i ożywieni jak najlepszymi nadziejami żołnierze przyjęli decyzję ochoczo, chociaż pogoda wyraźnie się psuła i nie rokowała spokojnej żeglugi. Niebawem obie karawele puły wzburzone morze, z mozołem stawiając czoło nawałnicom. W końcu Hiszpanie musieli schronić się do zatoki wyspy Galio, gdzie spędzili dwa tygodnie przy naprawie uszkodzeń. Krajowcy, którzy wobec kapitana Ruiza zajęli kiedyś postawę wroga, na widok dwóch karawel z liczną załogą woleli wycofać się w głąb wyspy.

Dalszą drogę konkwistadorzy odbyli już przy słonecznej pogodzie. Począwszy od Zatoki Świętego Mikołaja krajobraz pobraża stawał się coraz bardziej ożywiony. Widać było szeroki pas uprawianej równiny, osiedla ludzkie, zbocza z grzędami kukurydzy oraz plantacje krzewów kakao, obsypanych kwieciami, którego balsamiczne wonie, pomieszane ze słonym zapachem morza, docierały aż na okręty Hiszpanów.

Karawele parły bez przerwy na południe i pewnego dnia o świcie zatrzymały się w rozległej, niezmiernie uroczej zatoce. W krystalicznym powietrzu i wzdłuż szeroko zakreślonego łuku plaży roiło się od wrzaskliwych albatrosów i ciężkoskrzydłych pelikanów, polujących na ryby. Niezmałona toń zatoki migotała i skrzyła się szafirem i złotem, na dalekim zaś widnokregu dźwigały się pod niebo Kordyliery, tak zadziwiająco widoczne, że można było rozeznaczyć każdy szczegół ich skalistej rzeźby.

Przy ujściu niedużej rzeczki rozłożyło się miasteczko liczące, na oko sądząc, dwa tysiące mieszkańców. Jego białe, schludne domki, nakryte czapami strzech, uśmiechały się żywym odbłaskiem słońca i, rzekłbyś, zapraszały obcych żeglarzy w swoje progi.

Tymczasem brzeg zapełnił się podnieconym, żywo gestykującym tłumem ludzi. Dzieci, kobiety i mężczyźni, ubrani w szaty o gorących, wesołych kolorach, wręcz olśniewali oczy obfitością ozdób ze złota i szmaragdów.

Niezmierzone bogactwo, pyszniące się z taką naturalną swobodą, przyprawilo konkwistadorów nieomal o zawrót głowy. Ileż skarbów musiało kryć się w tym kraju, skoro prosty lud ubierał się tak okazale na co dzień! Oto wreszcie są w wymarzonym El Dorado, gdzie czeka ich szczęście i dostatek! Warto było postawić wszystko na jedną kartę, by doczekać się tej chwili.

Gdy jednak Pizarro próbował zbliżyć się do lądu, w powietrzu rozległ się posępny łomot bębnow. Z ujścia rzeki wyroiła się niespodzianie flotylla łodzi z uzbrojonymi po zęby wojownikami i zaczęła krążyć naokoło karawel. Na przedniej łodzi stał dowódca i wymachiwał żerdzią, do której była przymocowana złota maska jakiegoś bożka. Wrogie okrzyki wydobywające się z piersi Indian oraz głuche odgłosy bojowych konch świadczyły aż nadto wyraźnie o wojowniczych zamiarach krajowców.

Hiszpanie byli tak zaskoczeni, że w pierwszej chwili nie wiedzieli, jak zareagować. Niektórzy strzelcy nie wytrzymali nerwowo tej demonstracji i zaczęli nabijać arkebuzy, by rozproszyć napastników. Pizarro wstrzymał ich jednak stanowczym rozkazem, nie chciał bowiem dopuścić do zbrojnego starcia.

W niewielkiej odległości od brzegu ukazała się armia indiańska, licząca co najmniej dziesięć tysięcy wojowników. Była to siła, z którą należało się liczyć. Pizarro nie wątpił wprawdzie o zwycięstwo, ale musiałby je okupić znacznymi stratami, na co, wobec szczupłych sił hiszpańskich, nie mógł sobie pozwolić. Zresztą bitwa na tym brzegu oznaczałaby wojnę z całym państwem Tawantinsuju, on tymczasem miał inne plany. Chciał wejść do tego kraju w masce przyjaźni i usypiając czujność jego mieszkańców, opanować go stopniowo fortelem.

Z drugiej strony nie mógł poniechać olbrzymich skarbów, które rzucały się w oczy żołnierzom. Rezygnacja z ich zdobycia podkopałaby jego autorytet, kto wie, czy nie doprowadziłaby nawet do buntu żołnierzy. W tych warunkach pozostawało tylko jedno wyjście: rokowania pokojowe i nawiązanie handlu wymiennego z Indianami.

Kimże jednak oni są? W jaki sposób pozyskać zaufanie tych dzikusów? Postanowił zapytać o to Felipilla, który na pewno poznał ich podczas swoich podróży na tratwie.

— Tak, panie, znam ten kraj bardzo dobrze — odpowiedział Indianin. — Zatoka i miasto nazywa się Takamez, a rzeka „Rzeką Szmaragdów”. Na dnie jej koryta jest dużo złotego piasku, a wzdłuż jej brzegów ludzie wykopują zielone kamienie. Dlatego są oni bardzo bogaci i warto z

nimi handlować.

— No, dobrze, ale dlaczegoż to, do licha, nie chcą z nami handlować. Czy ich giez ukąsił, tych psubratów?

— Nie wiem, panie, myślę, że was się lękają i dlatego stanęli pod bronią. Jeżeli chodzi o nas, ludzi z tratwy, to nigdy nie wyrządzili nam żadnej krzywdy.

— Czy oni są poddanymi państwa Tawantinsuju?

— Tak jest, ale dopiero od niedawna. Przedtem należeli do królestwa Quito, które podbił wielki Inka z Cuzco. Oni jednak wciąż się buntują, bo Inka chce im odebrać wszystkie złote ozdoby, gdyż w Tawantinsuju mają prawo je posiadać tylko synowie słońca. Ale w Quito było zawsze inaczej. W Quito wszyscy noszą ozdoby od niepamiętnych czasów. Walczą więc o nie, chociaż Inka ma wiele, wiele wojowników i jest bogiem.

— Czy mógłbyś tym hultajom wytłumaczyć, że przyszliliśmy jako przyjaciele?

— Powiem im, jeśli sobie tego życzysz, ale nie wiem, czy mi uwierzą.

— A to dlaczego?

— Pochodzę z miasta Tumbez, oni nie lubią jego mieszkańców. Ponadto wiedzą...

Indianin zamilkł z wyrazem zakłopotania na twarzy.

— Ponadto co wiedzą? — nastawał Pizarro.

— Na pewno donieśli im wysłannicy z puszczy, że dla złota podpalacie wsie i zabijacie ludzi.

— DUBY SMALONE! — rozzłościł się Pizarro. — Raz się to zdarzyło i tylko dlatego, że mieszkańcy wsi dali drapaka zamiast nas ugościć. A w innych wypadkach to oni nas napadli, musieliśmy się bronić. Czy twoim ludziom na tratwie stała się jakaś krzywda, no powiedz?

— No nie — ociągał się młody Indianin — ale...

— Co ale? Że ciebie zabraliśmy? Czyż nie rozumiesz jeszcze, jaki z ciebie szczęściarz? Obchodzimy się z tobą jak z bratem, spotkał cię wielki zaszczyt, ponieważ stałeś się poddanym najpotężniejszego władcy, króla Kastylii, nauczysz się po hiszpańsku i będziesz naszym tłumaczem, a co najważniejsze, przyjmujemy cię na łono Kościoła katolickiego, przez co wyrwiemy twoją duszę ze szponów szatana. Dalibóg! Cóż jeszcze możemy zrobić dla ciebie?

Indianin zmrużył oczy w filuternym uśmiechu i westchnął.

— Czy dostanę też taki strój, jak ty masz, panie, taki hełm i miecz, błyszczącą skorupę na pierś?

Pizarro roześmiał się i trzepnął Indianina w plecy tak serdecznie, że ten się aż zatoczył.

— Ależ chytra bestia z ciebie, dostaniesz później, jak staniesz się chrześcijaninem, masz na to moje słowo.

— No to im powiem — zawołał Felipillo wesoło. Stał przy barierze karaweli i zwinąwszy ręce w trąbkę, na cały głos wołał coś do Indian w ich języku.

Odniosło to jednak wręcz odwrotny skutek. Wojownicy indiańscy na łodziach jakby się wściekli na dobre i wzmagając okrzyki wygrażali Hiszpanom dzidami i maczugami. W pewnej chwili strzała, wypuszczona z łuku, świsnęła chłopcu koło ucha i z furkotem utkwiała w maszcie.

Felipillo z przerażenia padł jak długi na pokład, a potem podniósł się i nie posiadając się z oburzenia obrzucił swoich pobratymców stekiem wyzwisk.

— A do kroćset! — ryknął Almagro. — Trzeba tym czortom pogańskim dać nauczkę. Jedna salwa z arkebuzów rozpędzi tę hołotę jak stado kaczek.

— Za nic w świecie — odparł Pizarro — musimy wydobyć z nich złoto drogą pokojową. Widzisz ich armię? Za duża na nasze siły. Nie przeczę, że moglibyśmy rozpędzić ją na cztery wiatry. Ale zastanów się — z jakimi stratami i z jakimi skutkami dla naszej sprawy. Czy sądzisz, że król Tawantinsuju, otrzymawszy wiadomość o tej bitwie, zechce wpuścić nas z dobrej woli? Skrzyknie przeciwko nam wojowników z całego kraju! A ma ich setki tysięcy, skoro tylko w tej

oto nędznej mieścinie stacjonuje dziesięcioletnia armia.

— Kapitanie, byłem i jestem żeglarzem, a nie dyplomata — odparł Almagro z przekąsem — fortel to nie mój żywioł. Po prostu nie umiem i nie chcę się tym parać. Co do mnie, to zadałbym tym dzikusom takiego bobu, że popamiętaliby nas długo. Ale ty jesteś wodzem i ty decydujesz. Bacz jednak, abyśmy z twojej dyplomacji nie wyszli z nadszarpniętą sławą żołnierską.

Pizarro, dotknięty do żywego jawnym szyderstwem, zaperzył się i już miał wybuchnąć. W czas jednak zgryzł w sobie gniew, gdyż nie chciał w obecności całej armii wywoływać zwady. Wzruszył tylko lekceważąco ramionami i zawiadomił zwołanych oficerów, że postanowił wylądować z całym wojskiem, by wymóc na Indianach zawieszenie broni.

Akcja wysadzania wojska na brzeg przebiegała sprawnie i bez przeszkód. Łodzie indiańskie wróciły do brzegu, kobiety i dzieci, które zalegały plaże, umknęły w głąb lądu, natomiast wojownicy indiańscy, uformowani w szyk bojowy, stali beczynnymi poza zasięgiem strzały z łuku i z napięciem przyglądali się poczynaniom białych cudzoziemców.

A było na co patrzeć. Gdy tylko karawele zarzuciły kotwice na redzie, gdzie głębia morska stykała się ze strefą przybrzeżnej mielizny, rozległo się w powietrzu donośne granie trąbki, wzywające żołnierzy do opuszczenia pokładu. Oddział za oddziałem wskakiwał do płytkiej wody i brodząc w niej po kolana, przepychał się z wysiłkiem do brzegu. Desant prowadził osobiście Pizarro, dzierżąc wysoko barwny sztandar Kastylii.

Za piechotą przedzierał się przez kipiela morską mały oddział kawalerii, rozpryskując na wszystkie strony fontanny wody.

Manewr rozwijał się nad podziw sprawnie, lecz wśród niebywałego zgiełku. Szczęk broni mieszał się z gromką komendą oficerów; wierzchowce zadowolone z chłodnej kąpieli, rżały i parskały głośno, a żołnierze nawoływali się i obsypywali rubasznymi docinkami.

Konkwistadorzy sprawnie ustawili się na brzegu w bojowy ordynek. Wojownicy indiańscy, jakby zahipnotyzowani malowniczym wyglądem najeźdźców, nie ruszali się z miejsca. Hełmy, kirysy, nagolenniki i rapiery stały im prosto w oczy migotliwą jasność stali, a proporczyki, igrając barwnie w podmuchach wiatru, wydawały im się ptakami, szybującymi nad głowami osobliwych przybyszów zza morza.

Szeregi armii indiańskiej jarzyły się w słońcu olśniewającą mozaiką kolorów i blasków. Patrząc na to igrzysko barw Hiszpanie z trudnością uwierzyli, że mają do czynienia ze srogimi wojownikami, a nie z odświętnie ubranymi uczestnikami jakiegoś radosnego festynu. Szeregowi nosili krótkie tuniki rozmaitych kolorów, obszyte szkarłatnym, zielonym lub niebieskim szlakiem. Ich uzbrojenie składało się z włóczni zakończonych miedzianym grotem, z łuku, maczugi, czarnego, skózanego hełmu i małej, okrągłej tarczy, pomalowanej w krzykliwe kolory.

Wyraźnie można było odróżnić wodzów. W swych okazałych strojach przypominali pyszne, egzotyczne ptaki. Wszystko na nich złożyło się i jarzyło od gorących kolorów. Na tuniki mieli zarzucone powłóczyście płaszcze, naszywane złotymi blaszkami i barwnymi deseniami. Szafirowe lub pąsowe pióra papuzie wieńczyły złote hełmy w kształcie tiary. W ręku dzierżyli potężne maczugi z litego złota, nawet sandały połyskiwały złocistym haftem.

Pizarro zabrał paru konnych i skierował się w stronę przeciwnika, by rozpocząć z nim rokowania. Siedząc w siodle wymachiwał sztandarem Kastylii, podczas gdy Felipillo kroczył przy strzemienu i krzychał co sił do swoich pobratymców, iż biali wojownicy przychodzą jako posłowie w zamiarach pokojowych.

Kiedy grupka jeźdźców zbliżyła się na odległość kilkudziesięciu metrów, z piersi Indian dobył się potężny okrzyk bojowy: hailli, hailli! Dziesięcioletnia armia wśród posępnego łomotu bębnow runęła do natarcia. Już, już wydawało się, że niby lawina zwali się na garstkę śmiałków, gdy stała się rzecz nagła i nieprzewidziana. Jeden z rumaków spłoszył się zgiełkiem, stanął dęba i

wysadził jeźdźca z siodła na ziemię.

Indianie nigdy nie używali lam pod wierzch, byli zatem święcie przekonani, że konie i jeźdźcy — to czworonożne monstra, na poły ludzie, na poły zwierzęta. Przeto gdy zobaczyli, że jeden z tych stworów rozpadł się na dwoje, osłupieli. Rażeni zabobonnym lękiem, stanęli jak wryci i po chwili wahania zaczęli się cofać.

Pizarro skwapliwie skorzystał z ich chwilowej konsternacji, by umknąć z potrzasku, i zawrócił co koń wyskoczy do swoich.

W przystani dał natychmiast hasło powrotu na karawele. Niepokoił się jednak, czy Indianie nie zechcą przejść do ponownego ataku. Ustawił więc zasłonę ze strzelców i kazał im z arkebuzów oddać salwę w powietrze na postrach. Donośne echo palby, ogniste języki tryskające z luf oraz chmurki dymu wywarły na wojownikach indiańskich niebывале wrażenie. Przekonani, że zetknęli się z władcami piorunów, poszli w rozsypkę i zniknęli za najbliższymi wzniesieniami.

Na karawelach zapanowało ogólne przygnębienie. Po kątach oskarżano Pizarra, że go tchórz obleciał i że opuszczając pole bitwy naraził rycerzy hiszpańskich na wstyd i upokorzenie.

Pizarro zwołał naradę oficerów. Almagro przybył do kabiny ponury i wściekły. Zaledwie usiadł na zydlu, mruknął zgryźliwie:

— No, cóż, kapitanie, jakie są twoje dalsze rozkazy? Na honor! Pokazaliśmy poganom naszą waleczność, spełniliśmy szczytne zadanie, wolno więc nam w glorii popłynąć do domu. Czy takie były twoje zamiary? Będziemy wnukom prawili, jak to wzięliśmy nogi za pas na widok pierwszych wojowników Tawantinsuju, czy jak się ten przeklęty kraj nazywa.

Słowa Almagra uderzyły Pizarra niby smagnięcie bicia. Hamował się jednak, by nie wywołać kłótni, i przełknąwszy gorzką pigułkę, odpowiedział opanowanym głosem:

— Kapitanie Almagro, znam i cenię twoją dzielność rycerską. Nikt ci nie dorówna w robieniu mieczem, wszyscy ci to przyznają. Ale widzisz, bracie, ja jestem dowódcą ekspedycji i ja jestem odpowiedzialny za to, by osiągnięty został jej cel najważniejszy: podbicie wielkiego, bogatego królestwa. Nie osiąga się tego sposobami rębajły, lecz dalekowzrocznym rozumem i roztropnością.

— Na Boga żywego, co chcesz przez to powiedzieć, czy masz mnie za kpa?

— Nie mam cię za kpa — uśmiechnął się Pizarro — jesteś tylko w gorącej wodzie kąpany.

— Co do roztropności — to rzeczywiście okazałeś ją w nadmiarze. Uczyni mi jednak tę łaskę i wyłóż, co ma wspólnego ta sromotna rejterada z dalekowzrocznym rozumem. Bo ja, dalibóg, nie pojmuję, jak zamyślasz zdobyć ten kraj, nie pobiwszy na głowę jego armii.

— Nie przeczę, że mogliśmy rozbić w puch indiańską armię i zabrać jej całe złoto. Ale cóż z tego? Czy chodzi nam tylko o to złoto, choćby nie wiem ile go było? Czyż nie wypada nam troszczyć się o przyszłość? Zastanów się, bracie. Naszym zadaniem jest dotrzeć do stolicy i w taki czy inny sposób opanować cały kraj dla króla Kastylii. Więc pobiwszy tę oto armię, co nam pozostaje czynić? Maszerować w głąb kraju?

— Nie inaczej, kapitanie.

— I oto na wiadomość o bitwie król Tawantinsuju będzie siedział z założonymi rękoma i czekał cierpliwie, aż zjawimy się przed jego łaskawym obliczem. Chyba w to nie uwierzysz, drogi kapitanie Almagro.

— Do krośset, pouczasz mnie jak żaka. Pewnie, że pójdziemy naprzód i jak mnie tu widzisz — dojdziemy tam, gdzie nam się spodoba. Choćby nie wiem ile tego czarciego nasienia napatoczyło nam się pod miecze.

— Tak, kapitanie, jesteś bardzo dzielny. Na uparte go możemy iść naprzód z tą garstką ludzi, którą w tej chwili rozporządzamy. A tu jak fale morskie uderzą w nas coraz to nowe armie indiańskie, dziesięć tysięcy, sto tysięcy, dwieście tysięcy, nieprzeliczone krocie wojowników!

Nawała za nawałą! Oczywiście, my je po kolei gromimy, zwłaszcza przy twojej pomocy. Po drodze stopniowo padają nam ludzie i konie od ran, od wycieńczenia, od chorób. I w końcu wkraczamy we dwójkę do stolicy Cuzco...

Szorstka, kolczasta natura Almagra zatrzęsła się pod razami tych szyderczych słów. Nad zebranymi zawisła ciężka chmura. Wtedy w samą porę wtrącił się szanowany przez wszystkich skarbnik królewski Nicolas Ribera, który sprawował nadzór nad zdobytymi łupami. Pojednawczym tonem powiedział:

— Przy całym szacunku, jaki mam dla czcigodnego pana Almagra, przyznajmy, że jesteśmy obecnie za słabi, by pokusić się o zbrojne zdobycie królestwa Tawantinsuju. Panowie, wzywam was, zachowajcie rozsądek i powagę. Wypada nam zastanowić się, co czynić dalej.

— Jedno jest pewne — zauważył kapitan Ruiz — powrót obu karawel do Panamy to niewątpliwie koniec naszej ekspedycji. Nikt nam nie uwierzy, że musieliśmy się wycofać. Powiedzą, że stchórzyliśmy. Przekreśli to wszystkie nasze przyszłe plany.

Wtedy Almagro, ochłonawszy już nieco ze wzburzenia, zaproponował:

— Panowie, skoro uważacie, że trzeba nam posiłków, jestem gotów wrócić z jedną karawelą do Panamy i przeprowadzić nowy werbunek. Wiem, że czeka mnie bardzo trudne zadanie. Nie mamy złota i nikt już nie da nam pieniędzy, ale może wiadomość o odkryciu królestwa będzie tą przynętą, która zjedna nam ludzi. Tymczasem kapitan Pizarro z resztą naszego wojska powinien czekać na mój powrót gdzieś na brzegu, gdzie sprzyjające warunki pozwolą mu obozować przez kilka tygodni, bo tyle czasu musi potrwać moja podróż.

— Cóż znowu — zawołał Pizarro — jakoś ta Panama nie schodzi ci z ust! Jeździsz tylko tam i z powrotem, wylegując się na pokładzie w słońcu, podczas gdy ja gniję i głoduję w puszczech i mokradłach. Nic z tego, mój bracie. Tym razem na mnie kolej, by zażyć rozkoszy morskiej wycieczki, ty zaś zasmakujesz trochę tej puszczy.

Słowa te podziały jak iskra rzucona na beczkę prochu. Almagro zerwał się na równe nogi i chwyciwszy za rapier obrzucił Pizarra stekiem przekleństw. Obaj wodzowie niby dwa nastroszone koguty skrzyżowali wściekle spojrzenia i niezawodnie doszłoby do pojedynku, gdyby nie rzucili się między nich Ribera i Ruiz. Odpychając poważnionych wodzów od siebie i kładąc im do uszu, że rozłam między nimi — to ostateczna katastrofa ekspedycji, zdołali w końcu ich zmytygować. Po długotrwałych targach stanęło na tym, że do Panamy uda się Almagro, ponieważ zdobył już doświadczenie w akcji werbowania żołnierzy.

RUBIKON CZTERNASTU STRACEŃCÓW

Hiszpanie popłynęli na północ w poszukiwaniu wybrzeża, gdzie mogliby rozłożyć obóz i wytypować ludzi, którzy z Almagrem mieli wrócić do Panamy. Wszędzie jednak oczekiwały ich bandy uzbrojonych po zęby, wrogo usposobionych Indian. Pizarro bynajmniej nie kwapił się w tej chwili do walki, usłuchał więc rady kapitana Ruiza i przeprowił się na wyspę Galio, o tyle bezpieczną, że nieliczna jej ludność nie mogła stawić większego oporu. I rzeczywiście, na widok zbliżających się karawel wypiarze wsiedli na łodzie i umknęli natychmiast na stały ląd.

Dla żołnierzy hiszpańskich była to jednak niewielka pociecha. Stwierdzili bowiem z niezadowoleniem, że jest to samotna wyspa, jakby stworzona na miejsce wygnania dla galeorników. Jej liche, skarłowaciała roślinność, kamieniste ugory i skąpe poletka uprawne nie wróżyły łatwego życia. Nietrudno było przewidzieć, że czeka ich głód, choroby i może nawet mogiła. Myśl, że mieliby tu przymierać głodem tygodnie lub miesiące w oczekiwaniu na powrót Almagra, napawała ich przerażeniem.

Dlatego chwyтали się forteli i oszustw, żeby tylko wręcić się do oddziału Almagra i powrócić z nim do Panamy. Z tego powodu wybuchały kłótnie i burdy, grożące chwilami całkowitym załamaniem się karności wojskowej. Oficerowie musieli nieraz użyć brutalnej siły, by przywrócić porządek i spokojnie wyprawić Almagra w drogę.

Żołnierze, którym ostatecznie przypadł w udziale los pozostania na wyspie, podnieśli taki krzyk protestu, że zakrawało to już na otwarty bunt. Dopiero gdy Pizarro zagroził im szubienicą, podporządkowali się pozornie jego woli. Ukradkiem spiskowali jednak po kątach i różnych imali się pomysłów, aby pokrzyżować mu plany i jak najprędzej opuścić znieawidzoną wyspę. Pełni goryczy zbierali się przy ogniskach, dyktując listy do przyjaciół i krewnych w Panamie. Oskarżali Pizarra, że kierując się własnym interesem i chciwością naraża ich na zgubę, że uczynił z nich niewolników, że już i tak wielu kolegów z niewybaczalną lekkomyślnością powiódł na śmierć w nieprzebranych ostępach dżungli i wreszcie prosili o interwencję gubernatora, by wysłał karawelę i wyzwolił ich z wyspy, gdzie trzymani są jak więźniowie.

Almagro spostrzegł rychło, że na pokład jego karaweli przemycane listy oskarżające go. Przeprowadził więc dokładną rewizję i kazał je spalić. Był to cyniczny akt bezprawia, który przyczynił się do pogorszenia nastrojów w wojsku. Jeden z żołnierzy, niejaki Sarabia, wziął się sprytnie na sposób, by uniknąć cenzury. Między przeróżnymi towarami wiezionymi do Panamy znajdowała się biała wełniana tkanina, przeznaczona na dar dla żony gubernatora. Sarabia napisał list malujący w ponurych kolorach położenie towarzyszy i zawinał go w belę tkaniny. List kończył się następującym sarkastycznym wierszem:

*Dostojny gubernatorze, gdy w porcie Panamy
Zjawi się żeglarz, patrz mu na palce,
Gdyż dla rzeźnika, co został z nami,
Zbiera on świeże na ubój barany.*

W kilka dni po wyjeździe Almagra Pizarro postanowił wysłać do Panamy również drugą karawelę. Okazało się bowiem rychło, że wyspa nie jest w stanie wyżywić nawet pozostałych ludzi. Pozbył się przy tej sposobności wszystkich pniaczy, którzy nadal szerzyli zamęt i niezadowolenie. Koniec końców zatrzymał przy sobie tylko najbardziej oddanych żołnierzy, paru oficerów i nieodstępny Felipilla.

Powrót karawel wywołał w Panamie wielkie poruszenie. List Sarabii dostał się do rąk gubernatora i niebawem o jego treści zaczęły krążyć po mieście najfantastyczniejsze plotki. Zresztą oplakany wygląd członków wyprawy zdawał się potwierdzać, co sobie na ucho szeptało. Ogólnie sądzono, że Pizarro, w obawie przed przykrymi konsekwencjami swoich niepowodzeń, nie chciał wracać do Panamy i zatrzymał ludzi na samotnej wyspie, by wraz z nimi zginąć głodową śmiercią. Żołnierze, którzy wrócili na karawelach, brali odwet na Pizarze w ten sposób, że z całą skwapliwością podtrzymywali niedorzeczne wieści.

Almagro i ksiądz de Luque odczuli na własnej skórze wrogą nagonkę. Gubernator Pedro de los Rios, tak przychylny im w chwili objęcia urzędu, przyjął ich teraz niezyczliwie i o wyekwipowaniu nowej ekspedycji nie chciał nawet słyszeć. Czynił im wyrzuty z powodu poniesionych strat w ludziach, nie pozostających w żadnym stosunku do miernych wyników wyprawy, a ich entuzjastyczne opowiadania o odkryciu El Dorada zbyt lekceważącym uśmiechem. W końcu, pod wpływem uporczywych nalegań księdza, zgodził się wysłać jedną karawelę pod komendą kapitana Tafura, aby zabrał z wyspy tych Hiszpanów, których zastanie jeszcze przy życiu.

Tymczasem Pizarro i jego towarzysze niedoli musieli się niemało natrudzić, by na jałowej

wyspie nie zginąć. Wprawdzie nie groziło im nic ze strony Indian, ale za to dosłownie przymierali głodem. Ich pożywienie składało się tylko z krabów i małżów, które w pocie czoła zbierali na brzegu morskim. Na domiar złego nastąpiła pora deszczowa. Nieustanne tropikalne ulewę, pioruny i wichry zamieniły wyspę w istne piekło. Głodni i schorowani, wystawali całymi dniami na brzegu oczekując powrotu Almagra.

Toteż radość była wielka, gdy karawela wreszcie zjawiła się u brzegu. Przywiozła ona przecież nie tylko żywność i leki, lecz nade wszystko wyzwolenie z wyspy. Ale Pizarro doznał wielkiego rozczarowania, gdy zamiast Almagra zszedł z pokładu Tafur.

Wysłaniec gubernatora wręczył mu rozkaz natychmiastowego powrotu do Panamy. Dla ambitnego wodza był to cios nad wyraz dotkliwy. Powrót do Panamy oznaczał ruinę wszystkich planów, na jakich budował całą swoją przyszłość.

Z goryczą rozmyślał o swoich współnikach w Panamie, o których mniemał, że go poniechali w najtrudniejszej chwili życia. Zrozumiał swoją bezsilność i zrezygnowany chciał już pogodzić się z nieuniknionym losem. Skoro jednak zapadła noc, sprawa wzięła zgoła niespodziewany obrót. Do jego szałasów wszedł ukradkiem żeglarz z załogi Tafura i wyciągnął z zanadru zapieczętowany list od Almagra i księdza de Luque. Obaj współnicy nalegali, by Pizarro nie podporządkował się rozkazowi gubernatora i przez jakiś czas jeszcze przetrzymał na wyspie, gdyż oni postarają się jak najrychlej przybyć na własnych karawelach ze świeżymi posiłkami.

Od razu wstąpiła w niego nowa otucha. Nazajutrz oświadczył Tafurowi, że ani myśli powracać do Panamy. Wysłannik gubernatora nie posiadał się z oburzenia. W gwałtownych słowach wyrzucał mu nieposłuszeństwo wobec królewskiego namiestnika, co podlegało karze śmierci. Dalszy pobyt na wyspie poczytywał zresztą za szaleństwo i samobójstwo, na które mógł się zdobyć jedynie człowiek pozbawiony zdrowego rozsądku. Pizarro wysłuchał go z niewzruszonym spokojem i w końcu oświadczył, że nie zmieni powziętej decyzji.

Postanowienie Pizarra nie w smak było niektórym towarzyszom niedoli. Kilka tygodni temu zdecydowali się pozostać z nim na wyspie, teraz przecież przyznawali słusność Tafurowi, skoro gubernator zabronił nowych wypraw do Piru. Wobec tego dalszy pobyt na zapomnianej przez Boga wyspie nie miał już w ich przekonaniu żadnego sensu. Nie myśleli narażać swego życia tylko dlatego, że Pizarro zaciął się w niedorzecznym uporze. Jego zapewnienia, że Almagro wróci z prowiantem i świeżymi wojskami, wysłuchali z niedowierzaniem, nie umieli bowiem wyobrazić sobie, iż może stać się to wbrew woli gubernatora. Zresztą niepowodzenia, porażki i cierpienia na wyspie tak im się przejadły, że pilno im było do ubożego wprawdzie, ale bezpiecznego życia w Panamie.

Pizarro postanowił przeciąć za jednym zamachem zgiełkiwe, wlokące się bez końca spory. Dobył rapiera i jednym pociągnięciem wyrysował na piasku krechę od wschodu na zachód. Potem stanął po stronie południowej i powiedział:

— Przyjaciele i koledzy! Po mojej stronie są cierpienia, głód, upały, mrozy, ulewę, burze, a może i śmierć. Po tamtej stronie wygodę i uciechy życia. Tam na południu leży Piru ze swymi bogactwami i sławą, na północy zaś Panama ze swoim szarym, małoduszonym życiem. Wybierajcie, dzielni Kastylijczycy, co komu dogadza. Bo ja już wybrałem, idę na południe.

Ów efektowny gest wywarł na żołnierzach silne wrażenie; nawet Tafur nie potrafił ukryć podziwu. Pizarro urósł nagle w ich oczach na miarę owych rycerzy bez skazy, którzy dokonywali cudów bohaterstwa w powieściach o Amadisie de Gaul³¹ czy Sergasie de Esplandiano³². Nie było

³¹ Romans rycerski „Odważny i wspaniały rycerz Amadis de Gaul” ukazał się w r. 1508 w Saragossie. Autor dzieła jest nieznanym.

³² Sergas de Esplandiano, rodzony syn Amadisa, jest bohaterem czwartej części romansu o czynach Amadisa de

podówczas Hiszpana, który by nie ujął się pięknem tych rycerskich opowieści, nie wchłaniał ich żarliwego romantycznego czaru. Nawet w czasie tułaczki po nowym kontynencie niejednokrotnie otwierał ktoś książkę o czynach Amadisa i przy obozowym ognisku wyczarowywał świat potworów i czarnoksiężników, niezmiernych bogactw i wspaniałomyślnych królów, idealnej miłości i bohaterskiego poświęcenia w obronie wiary.

Dusza hiszpańska przepełniona była również kultem świętego Jakuba. Santiago de Compostella, zwany także Santiago Matamoros — „święty Jakub pogromca Maurów”, był patronem wojującego Kościoła.

W walkach z Saracenami czy Maurami ukazywał się rycerzom w lśniącej zbroi i cwałując na białym rumaku, wiódł ich do zwycięstwa.

Hiszpan nie byłby Hiszpanem, gdyby w skrytości nie marzył o tym, by kiedyś na wzór owych wielbionych mężów dokonać wielkiego czynu i jak oni zasłużyć na sławę.

Niektórzy towarzysze Pizarra czuli, że teraz nadeszła w ich życiu chwila wielkiej decyzji. To nic, że pozostało ich tak niewielu i że zdani są jedynie na własne siły. Zdziwią świat bohaterską odwagą i siłą ducha, jak przystało na mężów Kastylii. Z imieniem Santiaga i króla na ustach pójdą zdobywać państwo Piru, a jeżeli padną na polu walki, otoczy ich wieczna chwała i legenda.

Krechę wyżłobioną w piasku przekroczył naprzód kapitan Ruiz. Dziarsko poszedł w jego ślady Grek kreteński, Pedro de Candia, oraz jedenastu najdzielniejszych towarzyszy wyprawy, których nazwiska pozostały na kartach historii zdobywcy amerykańskich. Byli to: Cristoval de Peralta, Domingo de Soria Luce, Nicolas Ribera, Francisco de Cuellar, Alonso de Molina, Pedro Alcon, Garcia de Jerez, Anton de Carrion, Alonso Briceno, Marylin de Paz i Joan de la Torre. Pozostali wybrali powrót do Panamy. Na polecenie Pizarra przyłączył się do nich kapitan Ruiz z zadaniem dopomożenia Almagrowi w przygotowaniu nowej ekspedycji. Wyruszając w powrotną drogę Tafur zgodził się odstąpić straceńcom pewną ilość prowiantów i leków.

Razem z Felipillem załoga wyspy wynosiła czteremastu ludzi. Ale nawet ta mała garstka nie mogła się tam już wyżywić. Tafur odkrył dwadzieścia pięć mil na północ inną wyspę, której nadał nazwę Gorgony. Chociaż bezludna, była podobno bardziej urodzajna niż wyspa Galio, obfitowała w roślinność i dobrą wodę do picia. Żeglarze Tafura upolowali na niej ptaki przypominające z wyglądu bażanty oraz mnóstwo królików. Złą stroną wyspy było to, że roiło się tam od moskitów.

Pizarro postanowił przenieść się jak najprędzej. Nie poprosił jednak Tafura, by w powrotnej drodze wysadził ich na wyspie. Lękał się bowiem, że wysłannik gubernatora zamiast na Gorgone zechce zawieźć ich przemocą wprost do Panamy. Poczekał więc, aż karawela odpłynie, i dopiero potem na zbudowanej tratwie dokonał przeprowadzki.

Warunki życia okazały się na nowej wyspie istotnie daleko lepsze. Ale tygodnie i miesiące oczekiwania wystawiły na ciężką próbę nerwy straceńców. Nieustanne deszcze i moskity dały im się dobrze we znaki, wszakże najgorsza była obawa, że Almagro nie zdoła przybyć im z pomocą.

Dzień w dzień sterczeli nad brzegiem morza i wypatrywali jak zbawienia utęsknionej karaweli. Niejednokrotnie wpadali w rozpacz, czasami ogarniał ich szał radosnego podniecenia, gdy ulegali przywidzeniom i w płynących pniach czy wodorostach dostrzegali sylwetkę okrętu.

Chcąc towarzyszy podtrzymać na duchu, Pizarro odwołał się do ich uczuć religijnych. Dzień w dzień czytano na głos wersety z Biblii, śpiewano nabożne pieśni i skrupulatnie obchodzono święta kościelne. Dzień w dzień Pizarro wygłaszał podniosłe przemówienia, w których pobyt na wyspie przedstawiał jako akt wiary i poświęcenia, za jaki nie minie ich nagroda na ziemi i w niebie. W końcu wytworzył się taki nastrój religijnej egzaltacji, że grupka dobrowolnych

wygnañców przypominała raczej członków jakiejś sekty mistycznej niż twardych zdobywców.

Felipillo przypatrywał się poczynaniom białych wojowników ze zdumieniem. Znał ich dotąd jako rubasznym, krzykliwym i wesołym zawadiaków, dlatego nagła zmiana w ich usposobieniu stanowiła dlań zjawisko zgoła niezrozumiałe. Młody Indianin nie mógł, rzecz jasna, wiedzieć, że w duszach hiszpańskich płonie drapieżny prozelityzm³³ katolicki, nie mniej dla ludów indiańskich niebezpieczny niż żądza podboju i złota.

Tymczasem Tafur wrócił do Panamy i udał się do gubernatora z raportem. Namiestnik wybuchnął oburzeniem na wiadomość, że Pizarro nie usłuchał jego rozkazu, i doszedł do przekonania, iż on i jego towarzysze to niepoczytalni szaleńcy, którymi nie warto dalej zaprzętać sobie głowy.

Almagro i ksiądz de Luque starali się na wszystkie sposoby udobruchać go i uzyskać pozwolenie na wyekwipowanie choćby jednej karaweli. Szło im to jak z kamienia. Rozmowy przybierały chwilami burzliwy obrót, gdyż gubernator Pedro de los Rios zaciął się w gniewie i za nic w świecie nie chciał się zgodzić.

Ksiądz de Luque stracił wreszcie cierpliwość i uciekł się do sposobu, jaki z powodzeniem zastosował już wobec poprzedniego gubernatora. Przypomniał dostojnikowi, iż cesarz dał mu wyraźne polecenie popierania wypraw odkrywczych. To prawda, przyznał, że Pizarro zawinił, czyż jednak na nieposłuszeństwo podwładnego wolno odpowiadać daleko gorszym nieposłuszeństwem wobec cesarza i Kościoła? Czyż wolno podróżnika, cieszącego się przychylnością Korony, pozostawić własnemu losowi na samotnej wyspie? Niepodobna uwierzyć, by gubernator ośmielił się wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

Pedro de los Rios odczuł utajoną groźbę w słowach duchownego i zmiarkował, że nieprzejednane stanowisko mogłoby narazić go na nieprzyjemności. Zgodził się przeto na wysłanie jednej karaweli pod dowództwem Almagra i kapitana Ruiza. Postawił jednak warunek, że Pizarro w ciągu sześciu miesięcy wróci do Panamy bez względu na wynik wyprawy.

Pizarro i jego towarzysze spędzili na wyspie Gorgonie całe siedem miesięcy, ukazanie się karaweli powitali przeto z radosną ulgą. Doznali jednak wielkiego rozczarowania. Dowiedzieli się bowiem, że zaciąg ochotników całkiem się nie powiódł, gdyż ekspedycje na południe zdobyły sobie taką złą sławę, iż nikt nie dawał już wiary pięknym obietnicom. W rezultacie zamiast poważnego oddziału zawodowych żołnierzy przybyła na karaweli nieliczna, pozbierana naprędce zgraja drapichrustów, którym z tych czy innych powodów pilno było opuścić Panamę. Z takimi miernymi siłami zbrojnymi nie można było nawet marzyć o podboju królestwa Tawantinsuju.

Konkwistadorzy zastanawiali się, jak postąpić dalej. Jedni radzili, aby machnąć na wszystko ręką i wrócić do Panamy, inni znowu, by popłynąć na południe i przynajmniej zebrać o państwie Tawantinsuju dokładniejsze wiadomości, które mogłyby się przydać na przyszłość. Sprawę przesądził Felipillo zapewniając usilnie, że jego ziomkowie w Tumbez przyjmą Hiszpanów przyjaźnie i gościnnie. Postanowiono skierować się przeto wprost do tego miasta, nie zatrzymując się nigdzie po drodze.

Słoneczna pogoda i pomyślne wiatry na morzu, a przede wszystkim obfitość wyżywienia na okręcie sprawiły, że Hiszpanie odbyli podróż w różowych humorach. Wzdłuż brzegu ciągnęły się płaszczyny pozbawione zniechęcającej dzungli i skalistych wzniesień. Wprawdzie od czasu do czasu pojawiały się teraz na odmianę szerokie pasy pustynnego obszaru, przerywały je jednak coraz częściej oazy o bujnej roślinności, pola uprawne, pojedyncze sadyby i całe wioski, słowem, z każdą przebytą milą kraj stawał się ludniejszy i lepiej zagospodarowany. Z zatoczek i rzeczek

³³ Prozelityzm — dążenie do nawracania na swoją religię.

wyływały na ich spotkanie tratwy i łodzie pełne życzliwych Indian, ofiarujących im owoce, mięsiwo i świeżą wodę do picia.

Pizarro witał ich z uśmiechem i za pośrednictwem Felipilla rozgłaszał, że przybywa od zamorskiego monarchy z poselstwem przyjaźni. Chcąc pozyskać zaufanie tubylców, nie przyjmował żadnych darów ze złota i dopiero na nalegania żołnierzy dopuścił do wymiany handlowej. Za sztylety toledańskie, paciorki i inne świecidełka żołnierze nabywali złote przedmioty o dużej cenie. Ale zadowolenie było obopólne, gdyż Indianie bynajmniej nie uważali się w tej wymianie za pokrzywdzonych.

Po dwudziestodniowym rejsie karawela wpłynęła do zatoki Guayaquil, nad którą leżało miasto Tumbez. Na krańcach widnokregu wznosił się potężny grzbiet Andów. Nad górską panoramą królowały dwa dziko poszarpane szczyty o zawrotnej wysokości. Był to granitowy kolos Chimborazo³⁴, podobny w kształcie do gotyckiej katedry, oraz nie mniejszy od niego wulkan Cotopaxi³⁵, z którego dźwigał się ogromny pióropusz dymu.

Skapane w słońcu, rozłożyło się nad morzem największe z miast indiańskich, jakie Hiszpanie dotąd spotkali w swoich podróżach odkrywczych. W zielonej gęstwinie oazy skupiało się zbiorowisko pobielanych chat i gmachów z ciosanego kamienia. Wysoko ponad dachami sterczała piramida, dźwigająca na ścietym wierchołku świątynię.

Wszystkie budowle, nie wyłączając świątyni, były kryte strzechami z liści palmowych, co przydawało im niejako sielskiego wyrazu. Tumbez rozrósł się wprawdzie w spore skupisko ludzi, jednak dzięki swym strzechom zachował macierzysty związek z pierwotną wioską, z której się wywiódł, jak drzewo wywodzi się z ziarna. Dzięki wierności tradycjom plemiennym w formach budowy zlewał się z otaczającą go przyrodą w sposób tak idylliczny i harmonijny, że zdawał się być jej nieodrodnym tworem.

Akcentem obcym w tym błogim, nasłonecznionym krajobrazie była surowa bryła fortecy, panująca hardo nad miastem jak groźba złych mocy. Dźwignięta z ogromnych, ściśle dopasowanych bloków kamiennych i zamknięta w potrójny pierścień murów obronnych, stanowiła widomy dowód, że nie wszystko w tym kraju było sielanką, że podobnie jak wszędzie na świecie ludzie dzielili się tu na możnych i słabych, że nieobca była im plaga wojen, ucisku i przemocy.

Hiszpanie dowiedzieli się od Felipilla, że Tumbez wchodził ongiś w skład wielkiego, starodawnego królestwa Chimu³⁶. Mieszkał tam lud zdolny, zasobny, o rozwiniętej kulturze. Kiedyś zjawili się tu Inkowie z bitną armią i po krwawych walkach włączyli Chimu w granice swego imperium.

Mieszkańcy miasta nie przestawali uważać Inków za najeźdźców i ciemnych. Bo też życie ich stało się niewolą. Inkowie ściągali z kraju niemiłosierny trybut, zabierali młodych mężczyzn do wojska i do kopalń w Andach, zagarniali ziemię dla króla, kapłanów i nasyłanych kolonistów, a całą ludność poddali surowej, rygorystycznej organizacji państwowej, w której każdy musiał pracować, żyć i ubierać się, jak mu nakazywał urzędnik królewski.

WYŚLAŃCY BIAŁEGO BOGA

Karawela zbliżała się powoli do brzegu. Kapitan Ruiz wydał rozkaz wysondowania głębi, by znaleźć odpowiednie miejsce do zarzucenia kotwicy. Mieszkańcy miasta Tumbez wylegli na

³⁴ Czyt. Czimborazo.

³⁵ Czyt. Kotopaksi.

³⁶ Czyt. Czimu.

pobrzeże nie objawiając ani bojaźni, ani wrogości: machaniem rąk i okrzykami zapraszali żeglarzy na ląd.

Konkwistadorzy, mile zaskoczeni przyjęciem, tłoczyli się przy burcie i odpowiadali gościnnym Indianom gromkimi wiwatami. Felipillo na próżno usiłował przekrzyczeć wrzawę, by zapewnić ziomków o pokojowych zamiarach białych cudzoziemców. Zresztą starania jego były zbędne — Tumbez wyraźnie przyjmował żeglarzy z otwartym sercem.

Naraz rozległ się ostrzegawczy krzyk majtka sprawującego wachtę na tylnym kasztelu. Żołnierze obejrzeni się: od strony morza wpływała do zatoki liczna flotylla łodzi indiańskich i kierowała się ku karaweli.

Pizarro natychmiast zarządził stan zbrojnego pogotowia. Sądził, że powtórzy się ta sama historia, jaka niedawno przydarzyła im się u brzegu miasta Takamez. Wszystkie okoliczności zdawały się wskazywać na to, że zostali wciągnięci w zasadzkę; podczas gdy ludność starała się uspić ich czujność przyjazną manifestacją, flotylla zaczęła się na morzu, by odciąć im odwrót i zamknąć w zatoce jak w pułapce. Pizarro stracił tym razem cierpliwość i w przystępie złości postanowił dać Indianom dotkliwą nauczkę. Poustawiał arkebuźników wzdłuż burty i czekał, aż przeciwnicy zbliżą się na odległość strzału, by poczęstować ich ołowiem.

Ale wojownicy jakoś beztrosko robili wiosłami i zbliżając się do burty karaweli nie zdradzali wcale wojowniczych zamiarów. Na pierwszej łodzi stał ich wódz i gestykulując wołał coś w stronę Hiszpanów. Felipillo wszczął z nim rozmowę. Okazało się, że wojownicy indiańscy witają przybyszów jako przyjaciół.

Pizarro natychmiast udobruchał się i zaprosił wszystkich wodzów na pokład okrętu. Za pośrednictwem Felipilla dowiedział się, że spotkanie nastąpiło zupełnie przypadkowo. W niedużej odległości od zatoki leżała wyspa Puna zamieszkała przez dzikich, wojowniczych Indian, piratów i dziedzicznych wrogów miasta Tumbez. Napadali oni wioski pobrzeża, płądrowali, mordowali i pozostawiali za sobą jedynie dymiące zgliszcza. Mieszkańcy Tumbezu nie mogli dać sobie z nimi rady. Ilekroć wysyłali wyprawy karne, rabusie wsiadali na łodzie i uciekali z wyspy do swoich plemiennych krewniaków, mieszkających gdzieś na północy stałego lądu. Flotylla, która zetknęła się z karawelą, wracała właśnie z jednej z takich niepomysłnych ekspedycji.

Ubrani w barwne tuniki i płaszcze haftowane w bogate wzory, wodzowie indiańscy nosili się z godnością i powagą. Ich smagłe, ostro zarysowane twarze, czujne jak u ptaka oczy i krucze kosmyki włosów, wymykające się spod skórzanych kasków — składały się na urodę hardą i surową, lecz zarazem ujmującą. Jako uzbrojenie nosili dzidy lub miedziane maczugi oraz małe okrągłe tarcze, zdobione barwnym motywem ptaków.

Pizarro usilnie starał się pozyskać ich zaufanie. Oprawdzał ich po statku i pokazywał szczegóły jego wyposażenia. Indianie podziwiali rapiery, kusze i arkebuzy, ale z nie mniejszym zaciekawieniem oglądali narzędzia i powiewający na wietrze sztandar Kastylji, którego przeznaczenie wydawało im się zagadkowe.

Największe zdumienie ogarnęło ich jednak dopiero wtedy, gdy niespodziewanie spotkali się ze swoim ziomkiem, który krzątał się na karaweli jak u siebie w domu i potrafił nawet rozmawiać w języku cudzoziemców. Felipillo był dumny jak paw. Dawniej nie śmiałyby nawet marzyć o tym, by spojrzeć w oblicze wyniosłych dostojników, a teraz rozmawiał z nimi jak równy z równymi. Niepomniemie z siebie zadowolony, dał się ponieść fantazji i opowiadał im cuda o Hiszpanach. Przedstawił ich jako istoty dobre i wspaniałomyślne, obdarzone w dodatku nadprzyrodzonymi mocami. Wodzowie indiańscy opuścili karawelę oszołomieni tym, co widzieli. Z zabobonną bojaźnią wołali głośno: Wirakocza! Wirakocza!

Z wyjaśnień Felipilla wynikało, że Wirakocza był najwyższym bogiem peruwiańskich ludów.

Wyobrażano go sobie jako brodatego człowieka o białej skórze, który pojawił się ongiś na niebotycznych wyżynach Andów opodal jeziora Titicaca. Bóg ten był stwórcą słońca i ziemi, gwiazd i księżyca, zwierząt i ludzi, których ulepił z gliny, ponadto był nauczycielem zdrowych i lekarzem chorych. Grzechy człowieka przyprawiły go o taką żalność, że nieustannie ronił łzy i dlatego nazwano go również bogiem płaczącym. Na starość opuścił ludzkość, powędrował na zachód i zniknął w falach morskich. Według starej przepowiedni wysłańcy tego boga mieli kiedyś zjawić się w krainie Andów i położyć kres panowaniu Inków.

Wiadomość o białym bogu dała Pizarrowi dużo do myślenia. Swary i wojny wśród plemion indiańskich, w dodatku ten bóg, który wieścił zagładę! Czyż nie słyszał już o tym w Panamie? Tak, podobnych rzeczy dowiedział się od żołnierzy, którzy pod komendą Fernanda Corteza zdobyli Meksyk. Tamtejsze ludy indiańskie ugięły się pod jarzmem okrutnych Azteków. Toteż gdy zjawili się Hiszpanie, stanęli po ich stronie przeciw ciemności, nie przeczuwając, że gotują sobie tym samym także i własną zgubę. Tam również czczono białego brodatego boga, który w tajemniczych okolicznościach opuścił kraj, pozostawiając prorocstwo, że powrót jego będzie oznaczał kres azteckiego panowania.

Tam również, podobnie jak się to stało przed chwilą, Indianie przyjęli Hiszpanów jako wysłańców tego boga, a fakt ich ukazania się skojarzyli z ową złowieszczą przepowiednią.

Pizarro wiedział, że Cortez zawdzięczał łatwe zwycięstwo poniekąd tej okoliczności, że plemiona indiańskie były skłócone ze sobą i że zabobon o białym bogu osłabił ich wolę oporu. I teraz oto usłyszał ku swojej radości, iż w państwie Tawantinsuju istnieje zgoła podobna sytuacja. Był zdecydowany wyzyskać ją dla swoich zamierzeń — bóg Wirakocza i ujarzmione plemiona staną się jego sprzymierzeńcami w walce z plemieniem Inków.

Mieszkańcy miasta Tumbes wciąż jeszcze tłoczyli się na brzegu i wznosili przyjazne okrzyki na cześć białych żeglarzy. W pewnej chwili wesoła wrzawa nagle zamarła i uczyniła się taka cisza, że słychać było plusk fal bijących o porzeże.

Hiszpanie, zaskoczeni tą zmianą, spojrzeli uważnie w stronę lądu. Istotnie, musiało stać się tam coś niezwykłego, bo tłum ludzki zakołysał się nerwowo i po chwili utworzył prostą ścieżkę ku morzu. Z miasta zbliżał się z majestatyczną powagą jakiś orszak. Niesiona przez tragarzy, sunęła do brzegu pozłocista lektyka. Poprzedzał ją oddział wojowników uzbrojonych w dzidy i łuki, a pochód zamykała chmara służby indiańskiej w błękitnych tunikach. Ludzie witali lektykę głębokimi pokłonami.

Felipillo stał przy burcie i nie spuszczał oczu z tej sceny. Na jego twarzy, dziarskiej zwykle i wesołej pojawił się wyraz czujnego niepokoju. Pizarro spostrzegł od razu, że w chłopcu nastąpiła jakaś przemiana, i zapytał go, kogo niosą w złocistej lektyce.

— Senor — odpowiedział Felipillo z przejęciem — za chwilę odwiedzi ciebie jeden z Inków i synów słońca, krewny wielkiego króla z Cuzco.

Dostojnik wsiadł w otoczeniu świty na tratwę. Ciżba ludzka milczała i spoglądała na niego z bojaźnią. W miarę jak tratwa zbliżała się do burty karaweli, Felipillo bladł i kurczył się w sobie. W obliczu Inki rzucił się twarzą na deski pokładu. Po lekkim drzeniu jego ciała można było ocenić, jak przemożny, sugestywny, prawie mistyczny jest autorytet Inków.

Pizarro i Almagro powitali księcia z uprzedającą grzecznością. Był to mężczyzna w średnim wieku, o słusznym wzroście. Jego ciemne, uroczyście i nieprzeniknione oblicze ożywiały bystre i władcze oczy. Wydatny, sepi nos przydawał mu wyrazu męskości, ale pulchne, zmysłowe, jakby zadąsane usta zdradzały, że dostojnik nie był wojownikiem, lecz przywykł do wygod i zbytku pałaców.

Strój jego odznaczał się osobiwą wspaniałością. Na różową tunikę, ujętą w pasie szeroką wstęgą z deseniem biało— czarnej szachownicy, miał zarzuconą opończę szafranowego koloru

ze szlakiem, na którym złotą nitką były wyhaftowane ptaki, motyle i kwiaty. Mnóstwo obręczy ze złota, wykładanych perłami i szmaragdami, obciążało jego ramiona i nogi. Stopy obute miał w sandały obszyte perłami i złotymi cekinami. Na piersi połyskiwał zielonym ogniem naszyjnik ze szmaragdów wielkości orzecha. Kolczyki kunsztownej roboty zwisały ciężko po obu stronach oblicza i sięgały nieomal do ramion. Hiszpanie dowiedzieli się, że są one oznaką kasty Inków, i od tej chwili jej członków ochrzczili nazwą „orejones”, czyli złotouchych.

Pizarro oprowadził Inkę po okręcie i za pośrednictwem zastraszonego Felipilla wyjaśnił mu wszystkie urządzenia statku. Ale dostojnik ani razu nie okazał żywszego zainteresowania. Spowity w swą godność, przechodził z niewzruszonym spokojem obok przedmiotów, które widział po raz pierwszy w swym życiu. Dopiero w kabinie, dokąd zaprosił go Pizarro, zadał pytanie:

— Skąd i dlaczego przybyliście do naszego kraju?

— Jestem posłem najpotężniejszego na świecie monarchy — odrzekł Pizarro uroczystym głosem. — Przybyłem tu, żeby ustanowić nad tym krajem jego zwierzchnictwo, należące mu się z tytułu boskiego i ziemskiego prawa.

Zwróciwszy się potem w stronę krzyża wiszącego na ścianie kabiny, ciągnął dalej:

— W szczególności jednak przybyliśmy w imieniu tego oto Boga, prawdziwego i jedyne. Przyszliśmy z dobrą nowiną. Pragniemy obmyć wasze dusze z grzechu szatańskiego bałwochwalstwa i oświecić je prawdą Chrystusa.

Inka wysłuchał go w zakłopotanym milczeniu. Widać było wyraźnie, że nie pojął ani słowa z tego, co mówił biały przybysz zza morza. Ów dziwny bóg powieszony na krzyżu i ten daleki, nieznanany monarcha — jakże było to obce i odległe. W dodatku Felipillo nie mógł sobie dać rady z tłumaczeniem, pojęcia wyrażane przez Pizarra przekraczały granice jego umysłu. Nieborak biedził się więc i jękał i w końcu zniekształcił przemówienie do tego stopnia, że wyszła z tego jakaś dziecinna paplanina. Dlatego Inka nie rozumiał, ile zuchwałości taito się w namiętnych słowach cudzoziemca, nie odczuł niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad jego ojczyzną z chwilą pojawienia się białych przybyszów.

Przy pożegnaniu Pizarro wręczył księciu jako dar żelazny toporek, który, jak to zmiarkował poprzednio, wzbudził jego zachwyty. Inka po raz pierwszy uśmiechnął się łaskawie i schodząc na tratwę zaprosił Hiszpanów na ląd, gdzie obiecał zaopatrzyć ich w żywność i świeżą wodę.

Od czasu niesławnej przygody w Takamez Pizarro stał się ostrożny i podejrzliwy. W zaproszeniu Inki dopatrywał się podstępu i miał się na baczności, by nie dać się wciągnąć w pułapkę. Po naradzie z Almagrem postanowił wysłać na ląd Alonso de Molinę, żeby wy badał, czy gdzieś w okolicy miasta nie skoncentrowała się większa armia indiańska, która mogłaby ich zaskoczyć atakiem.

Molina był to urodziwy, pełen fantazji młodzieniec, paliwoda i wesoły chwał, skory do bitwy i wypitki. Nie grzeszył jednak zbyt tęgim umysłem. Pomimo to Pizarro jego właśnie wybrał, gdyż w zadaniach wywiadowczych nikt nie dorównywał mu brawurą i sprytem. Do pomocy przydzielił Molinie Felipilla i ogromnego niewolnika murzyńskiego, przywiezionego z Panamy.

Ubrany w czarny strój hiszpański, półpancerzyk i szerokoskrzydły kapelusz z pióropuszem, młody junak wkroczył na ląd z taką miną, jakby cały świat do niego należał. O krok za nim szli jego dwaj pomocnicy, niosąc dary dla naczelnika miasta. Murzyn dźwigał na plecach wór z żywym prosiakiem, a Felipillo trzymał pod pachą kosz wiklinowy z kurą i kogutem.

W oka mgnieniu obstarpił ich wesoły, hałaśliwy, barwny tłum indiański. Wszyscy rozpychali się łokciami, żeby docisnąć się do cudzoziemców. Przedmiotem nieopisanego zdumienia i uciechy stał się olbrzymi dryblas murzyński. Indianie rozcierali jego skórę, by się przekonać, czy nie jest pomalowana czarną farbą. Rozbawiony Murzyn znosił to cierpliwie i uśmiechał się,

dobrodusznie szczerząc lśniące, białe zęby.

Molina zdobył powodzenie u młodych dzierlatek indiańskich. Z nie ukrywanym upodobaniem spoglądały one na dorodnego, rosnącego młodzieńca, a on strzelał na wszystkie strony zabójczym spojrzeniem i kłaniał się dwornie, zamiatając ziemię pióropuszem kapelusza. Jedna z najbardziej fertycznych Indianek podeszła do niego blisko i zaproponowała mu za pośrednictwem Felipilla, by osiedlił się w mieście na stałe i pojął ją za żonę. Żart wywołał ogólną wesołość, tym bardziej że Molina, sam przecież kpiarz zawołany, zapomniał języka w gębie.

Indianie oczywiście byli ciekawi darów, jakie przynosili cudzoziemcy. Ktoś z zuchwalszych gapiów obmacał worek niesiony przez Murzyna. Skutek był tak niespodziewany i niesamowity, że Indianie osłupieli z wrażenia. Prosiak zaprotestował rozdzierającym uszy kwiczeniem, a na dobitkę dołączyło się do tego harmideru gdakanie kury i pianie koguta. Peruwianczycy nie znali świń ani drobiu, toteż pchali się, by rzucić okiem na nie znane stwory.

Molina z trudnością wyswobodził się z tłoku i prawie niesiony przez ciżbę ludzką, ruszył w stronę miasta. Był tak odurzony przyjęciem, że w jego bujnej wyobraźni przedstawiało się wszystko w wyolbrzymionych wymiarach i świetnych kolorach. Świątynia, stojąca na wierzchołku piramidy w promieniach słońca, wydawała mu się cała zbudowana ze złota, a domy przeobrażały się w jego oczach w imponujące gmachy. Gdy wreszcie w pałacu, gdzie przyjął go miejscowy kuraka, czyli naczelnik, istotnie ujrzał sporo naczyń ze złota, nie wątpił ani chwili, że znalazł się w krainie baśni.

Wróciwszy na pokład karaweli młody chwatał opowiadał takie cuda o złocie i pięknych kobietach, że żołnierze rozdziawiali gęby ze zdumienia. Okazało się jednak, iż zapomniał o właściwym zadaniu wyprawy. Pizarro poddał go dokładnej indagacji, Molina jednakże niczego nie dowiedział się o sile fortecy miejskiej i liczebności armii indiańskiej. Zawiedziony wódz machnął na niego ręką i postanowił wysłać na ląd kogoś bardziej rozzarniętego.

Zadania podjął się tym razem doświadczony w bojach oficer i najbliższy druh Pizarra, Grek Pedro de Candia. Zabrawszy ze sobą Felipilla, udał się na ląd z arkebuzem na ramieniu, cały zakuty w mediolańską zbroję. Słońce kładło na polerowane blachy takie blaski, że Indianie, mrużąc olśnione oczy, nie śmieli się do niego zbliżyć.

Candia postanowił pogłębić to wrażenie i ukazać potęgę białego człowieka. Znalezionej przy brzegu deskę oparł o drzewo i wystrzelił z arkebuz. Ogłuszający strzał, błysk ognia, dym i rozbite na drzazgi drewno wstrząsnęły Indianami do głębi. Jedni w przerażeniu rzucili się na ziemię, inni uciekli w popłochu, wołając: Wirakocza, Wirakocza!

Felipillo robił, co mógł, aby ich uspokoić. Candia ruszył w stronę miasta, ale Indianie nie tłoczyli się już przy nim, lecz trzymali ostrożnie w przyzwoitej odległości. Kuraka podjął go gościnnie, poczęstował jadłem i napojem ze sfermentowanej kukurydzy, a potem oprowadził po mieście.

Candia przekonał się teraz, do jakiego stopnia Molina dał się zwieść fantazji. Przy wąskich, źle brukowanych ulicach stały nędzne lepianki kryte strzechą. Tu i ówdzie tylko wznosiły się parterowe budowle z ciosanego kamienia, ale również pokryte strzechą. Wyróżniały się okazałością jedynie świątynia i zespół budowli, który jak się Candia dowiedział, był klasztorem „dziewic słońca”. Do tych świętych przybytków nie miał jednak dostępu, nie mógł więc stwierdzić, czy zawierają jakie skarby. Ubiór mieszkańców, chociaż barwny i wzorzysty, przedstawiał się raczej ubogo. Jedyną ozdobą był srebrny półksiężyc, przszyty do opaski na głowie, jako że księżyc stanowił najwyższe bóstwo plemienia.

Przechadzając się po mieście, Candia interesował się głównie tym, co miało jakiegokolwiek znaczenie wojskowe. Wodę do miasta dostarczał z pobliskich wzgórz akwedukt i Candia natychmiast spostrzegł, że w razie oblężenia łatwo go zburzyć. Forteca, opasana potrójnym

murem, nie była tak niezdobyta, jak to wydawało im się z pokładu karaweli, w dodatku załoga składała się z niewielu tylko wojowników.

Doszedł przeto do przekonania, że Pizarro może spokojnie wysadzić na ląd całą załogę i korzystając z zaproszenia Inki, stanąć kwaterą w mieście.

Hiszpanie szybko i sprawnie przeprowadzili operację lądowania. Na czele uformowanej kolumny stanęli Almagro i Pizarro z rozwiniętym sztandarem Kastylii w rękę. W wąskich uliczkach miasta odbijały się echem fanfary trąbek hiszpańskich i metaliczny szcęk broni, a ziemia jęczała głucho pod krokami żołnierzy. Indianie zebrali się licznie przed domami i z mieszanym uczuciem przyglądali się tym dufnym w siebie przybyszom posiadającym moc rozpętywania błyskawic i piorunów.

Hiszpanów umieszczono w jednym z pałaców i zaopatrzone w obfite zapasy żywności. Pizarro udał się natychmiast do siedziby Inki, by odwzajemnić mu wizytę. Gmach był jednopiętrowy zbudowany z szarych bloków kamiennych i pokryty palmowymi liśćmi. Pizarro spojrział z rozczarowaniem na jego niepozorną architekturę, gdy jednak wprowadzono go do środka, znalazł się jakby w odmiennym świecie. Komnata, gdzie przyjął go Inka, przyprawiła go o zawrót głowy przepychem i bogactwem. Ściany, powleczone złotą blachą, odbijały przedmioty jak w lustrze. Zydle i tapczany zasłane były wzorzystymi tkaninami. W niszach ściennych stały rzeźby i wazy, odlane ze złotego i srebrnego kruszcu. Podłogę kryły puszyste skóry pum i lampartów a belkowany pułap jaśniał ozdobami malowanymi w żywych kolorach.

Inka objawiał w rozmowie ukrywany z trudem niepokój. Z uporczywych pytań, zadawanych za pośrednictwem Felipilla, nietrudno było wymiarkować, że także i on, na równi z pospółstwem, kojarzy Hiszpanów z prorocstwem Wirakoczy.

Gdy Pizarro, obdarowany hojnie przez Inkę, wracał do swojej kwatery, zapadła już noc. Miasto bynajmniej nie układało się do snu. Rozmigotane płomieniami ognisk, kipiało świątecznym ożywieniem. Wesoły, hałaśliwy tłum gromadził się przy ogniskach, przyglądał płaśmom tancerzy i tancerek, płynął nieprzerwanym potokiem przez ulice i place. Pod wtór szybkiego warkotu bębnow fujarki wywodziły jęklivą, monotonną, a dziwnie przejmującą melodię. Raz po raz wznoszono okrzyki: Wirakocza! Ludność miasta witała synów białego boga, który przepowiedział jej wyzwolenie z niewoli Inków.

Na jednym z placów ciasny tłum zasłuchanych Indian otaczał sędziwego pieśniarza. Pomagając sobie ruchami rąk, ów bard ludowy wygłaszał śpiewnym, rozlewnym głosem jakąś baśń czy bohaterską opowieść.

Felipillo wyjaśnił Pizarrowi, że treścią epepei jest wojna boga księżycy z bogiem słońca. W królestwie Chimu, do którego ongi należało miasto Tumbes, najwyższym bogiem był księżyc. Mniej więcej sto pięćdziesiąt lat przed wylądowaniem Hiszpanów w Peru Inkowie podbili Chimu i narzucili jego mieszkańcom kult boga słońca. Wojna była krwawa i długotrwała, stolica Chan—Chan³⁷ legła w ruinach, ale przez długi jeszcze czas broniła się forteca Paramonga. Wtedy król Inków kazał wybudować tamę przez rzekę i odciął dopływ wody do fortecy.

Bohatercy obrońcy nie złożyli jednak broni, chociaż padali jak muchy z pragnienia.

Widząc, że ani oblężenie, ani szturm nie odnoszą skutku, król Inków uciekł się do fortelu. Wysłał poselstwo do fortecy i zagroził oblężonym, że pozbawi ich słońca, jeśli się nie poddadzą. Ostatni obrońcy królestwa Chimu przerazili się nie na żarty i skapitulowali, gdyż wydawało im się rzeczą zupełnie możliwą, iż człowiek, który wstrzymał bieg rzeki, potrafi również zgasić światło słoneczne. Dzięki sprytowi króla Inków słońce odniosło zwycięstwo nad księżycem.

Hiszpanie zabawili w Tumbes tylko parę dni, gdyż spieszo im było poznać resztę wybrzeża

³⁷ Czyt. Czan—Czan.

królestwa Tawantinsuju. Gdy ruszali w drogę, ludność miasta zęgnęła ich jak przyjaciół. Był to rezultat taktyki Pizarra, który ujął żołnierzy w żelazne karby dyscypliny i dbał o to, by nie zrazili tubylców wybrykami i nie zdradzili swej zbójeckiej natury.

Podczas rejsu na południe mnożyły się oznaki wielkości i potęgi państwa Tawantinsuju: pola uprawiane starannie, kanały irygacyjne, świątynie i pałace wzniesione z ciosanego kamienia. Największy podziw budziły jednak brukowane gościńce, jakimi nawet Hiszpania nie mogła się poszczycić. Biegły one całymi milami wzdłuż wybrzeża na nasypach i groblach, przekraczały rzeki murowanymi mostami, rozgałęziały się ku dalekim Andom. Panował na nich wielce ożywiony ruch. Karawany objuczonych lam mijały się z pieszymi wędrowcami i lektykami dostojników, a wśród nich gonili chyżonodzy gońcy z wiadomościami i rozkazami.

Jednego dnia karawela stanęła na kotwicy przy miasteczku, które Hiszpanie nazwali Santa Cruz. Przebywająca tam księżniczka krwi królewskiej, należąca do kasty Inków, wyraziła chęć obejrzenia wielkiego okrętu. Na pokład weszła w towarzystwie wesoło rozgadanych dworek. Była to osoba młoda i urodziwa, ubrana w powłóczystą, bogato haftowaną szatę koloru błękitu. Uszy jej, ramiona i nogi iskrzyły się od złotych ozdób kunsztownej roboty, na piersiach widniał naszyjnik ze szmaragdów. Smagłą twarzyczkę krasiał ujmujący uśmiech. Czarne, nieco skośnie wykrojone oczy strzelały figlarnymi ognikami.

Dworki, odziane w białe, ściągnięte pasem tuniki, poruszały się na pokładzie z niefrasobliwą swobodą i bynajmniej nie krępowały obecnością księżniczki. Widać były nie tylko jej służebnicami, lecz również towarzyszkami i powiernicami. Szeptały sobie na ucho, zaśmiewały się po cichu nie wiadomo z czego, strzelały okiem do brodatych drągali, słowem, przyniosły na statek powiew niewieściej pustoty i zalotności.

Bliskość tych nadobnych wiercących się trzpiotek odurzyła żołnierzy jak wino, nieledwie przypawiła ich o zawrót głowy. Z przymilnym uśmiechem na niewyparzonych gębach przesadzali się w grzecznościach, łypali zabójczo ślepiami i zabiegali o względy rozbawionych dziełatek.

Tymczasem księżniczka z wykwinną prostotą przyjmowała hołdy Pizarra. Karawelę oglądała z wyraźnym roztargnieniem, gdyż raczej wolała nasłuchiwać, co za jej plecami wyprawiały dziewczyny. Na ustach jej igrał pobłażliwy uśmiech i raz po raz ukradkiem wodziła wzrokiem po postaciach Hiszpanów. Zaciekawiali ją oni bardziej niż dziwne, zagadkowe przedmioty karaweli. Ostatecznie przybyła na pokład dlatego, żeby osobiście przekonać się, ile prawdy jest w tym, co jej doniesiono z Tumbes o białych wojownikach.

Przy pożegnaniu zaprosiła Pizarra wraz z jego oficerami do swego domu i grupka rozszczebiotanych Indianek wróciła na ląd, kiwając rękoma do żałośnie zapatrzonych żołnierzy.

Przyjęcie, jakie księżniczka przygotowała nazajutrz, było dla oficerów hiszpańskich miłą niespodzianką. Zaprowadzono ich do pałacowego ogrodu, nasyconego ciszą i chłodem. W altanie, uwitej z gałęzi, liści i kwieciami, służba indiańska zastawiła biesiadę. W złotych półmiskach i czarach podano mięsiwo, jarzyny, gotowaną kukurydzę, słodkie ziemniaki i sfermentowany napój z kukurydzy, zwany czicza.

Indianki wraz z księżniczką oraz goście rozsiedli się na rozesłanych matach. Lekko odurzający napój i przedziwnie słodka woń egzotycznych kwiatów pomieszana z zapachami potraw uderzyła biesiadnikom do głowy. W altanie zabawa zaczęła się na dobre. Rozległy się śmiechy i wesołe przekomarzenia, chociaż Felipillo nie mógł nadażyć z tłumaczeniem. Księżniczka i jej dworki zachowywały się z naturalną swobodą, nie pozwalały jednak na zbyt dużą poufałość; każdą próbę śmielszych zalotów potrafiły udaremnić z taktem i poczuciem humoru.

Tymczasem nastąpiła jasna, rozgwieżdżona noc tropikalna. Zapalono liczne pochodnie, mimo że ogród tonął w poświacie księżyca. W owej feerii blasków i cieni ustawili się muzykanci i

tancerki. Zabrzmiały piszczałki, gliniane trąbki, okaryny, bębny i grzechotki. Bose dziewczyny, ubrane w białe krótkie tuniki i wystrojone w wianki z kwiatów, chwyciły się za ręce, jęły drobić nogami, kołysały się i przeginały z wdziękiem, płynnym i posuwistym krokiem występowały naprzód i cofały do tyłu, zakreślały koła i serpentyny.

Naiwna i monotonna melodia przypominała z początku nieukojoną, melancholijną a żarliwą skargę, niebawem jednak uderzyła w lament pełen rozdzierająco żalonych i rozelkanych dźwięków. Nad nimi unosił się perlisty świergot piszczałek i głuchy, miarowy warkot bębnow, pulsujących jak bicie spłoszonego serca.

Stopniowo ze strumienia dźwięków wylaniały się akcenty protestu i buntu. Melodia zapieniła się jak zaczarowana woda, zawrzała kipiela, poderwała się w cwał dziki i rozpasany. Tancerki, podcinane wzbierającym rytmem, puściły się w płas pełen zapamiętania i zawirowały w końcu z taką zawrotną szybkością, że oko ludzkie nie nadążało za ich ruchami. Muzyka urwała się raptownie ostatnim jęklwym westchnieniem, a bosonóżki, pozbawione sił, osunęły się na ziemię niby zwiotczące kukiełki.

Uczta zbliżała się do końca, czas było się pożegnać. Pizarro wstał z maty i wezwał księżniczkę, by podniosła w górę sztandar Kastylji na znak uznania suwerenności króla Karola V.

Córkę Inków wyraźnie zaskoczyło to napuszone przemówienie. Ów zagadkowy władca jakże był nierzeczywisty! Królował gdzieś hen za morzami i górami, tymczasem tu przed jej oczyma rozpościerało się dumne państwo Tawantinsuju, kraj boga słońca Inti, którego potęgą wydawała się niewzruszona. Śmieszne i dziecinne było żądanie tego posępnego wodza, właściwie tak niedorzeczne, że postanowiła całą sprawę obrócić w żart. Mrugając porozumiewawczo do roześmianych dworek stanęła na środku altany, ujęła w rękę sztandar i z pozorną powagą dźwignęła go w górę. I nawet nie przyszło jej do głowy, że ów gest może wyrażać niepomyślną dla jej kraju wróżbę.

Po odwiedzinach u księżniczki Pizarro wybrał się w powrotną drogę do Panamy. Był teraz spokojny o dalsze losy swoich planów. Zdobywszy nieodparte dowody istnienia legendarnego kraju złota, nie obawiał się już oporu gubernatora. Okazało się przecież, że odmowa powrotu z wyspy Galio nie była szaleństwem, lecz decyzją człowieka, który wiedział, czego chce. Sponiewierano jego imię, ośmieszono go w oczach gawiedzi ulicznej, a oto teraz wraca jako triumfator.

W drodze powrotnej jeszcze raz zatrzymał się w Tumbes, żeby zabrać stamtąd paru Indian jako świadków wielkiego odkrycia. Nie miał potrzeby uciekać się do przemocy, gdyż trzech młodzieńców, namówionych przez Felipilla i żądnych poznania świata, przyłączyło się do załogi karaweli z własnej i nieprzymuszonej woli.

Na krótko przed opuszczeniem przystani spotkała go wielka niespodzianka. Alonso de Molina wraz z paru towarzyszami wyraził chęć osiedlenia się na stałe w Tumbes. W rozmowie wyszło na jaw, co ich skłoniło do osobliwej decyzji. Otoczeni podziwem Indian, którzy uważali ich za istoty wyższe i dogadzali im jak mogli, woleli wybrać dostatnie życie w Tumbes niż niepewne jutro w Panamie. Molinę w dodatku do tego stopnia oczarowała jedna z miejscowych piękności, że postanowił pojąć ją za żonę i zamieszkać w pałacu, jaki ofiarował mu przyszły teść. Pizarro nie miał nic przeciwko temu, gdyż Hiszpanie, obeznani gruntownie z miejscowym językiem i obyczajem, mogli w przeszłości przydać mu się w zdobywaniu kraju.

Gdy karawela zawinęła do portu Panamy, ludzie wytrzeszczali oczy ze zdumienia. Minęło przecież osiemnaście miesięcy, odkąd wypłynęła na południe, a wieści krążące o jej losie były jak najgorsze. Pizarra i jego trzynastu towarzyszy, którzy wzbraniali się opuścić wyspę Galio, uważano za straconych; o karaweli, która pod dowództwem Almagra pospieszyła szaleńcom na

pomoc, opowiadano, że utonęła podczas burzy morskiej. Teraz zapanowała w mieście niebywała radość na wieść o odkryciu El Dorada. Tłumy cisnęły się w przystani, żeby podziwiać przywiezionych przedstawicieli dalekiego kraju. Pizarra i Almagra witano wszędzie z entuzjazmem i wyrazami szacunku.

Ale gubernator Pedro de los Rios zamknął się w pałacu i nie okazał żadnego zainteresowania dla przybyszów. Ksiądz de Luque, Pizarro i Almagro pospieszyli do niego, by uzyskać pozwolenie na wyekwipowanie silnie uzbrojonej ekspedycji, zdolnej wyruszyć na podbój odkrytego kraju. Jakież było ich zdumienie, gdy w odpowiedzi usłyszeli stanowczą odmowę. Gubernator nie dał się olśnić opowiadaniem o bogactwach czekających zdobywców w królestwie Tawantinsuju. Natarczywe naleganie współników uciął gestem i oświadczył na pożegnanie:

— Ani mi w głowie tworzyć nowe państwo kosztem powierzonej mi przez cesarza Panamy. Tych szczupłych sił, jakie w tej chwili mam do rozporządzenia, nie wyślę na niepewne losy i zatrąę li tylko dlatego, że pokazaliście mi trzech Indian, dwie lamy i trochę świecidełek ze złota. To moje ostatnie słowo.

Trójkę współników ogarnęło przygnębienie. Pozbawieni funduszy i kredytów, nie mogli marzyć o nowej wyprawie. W domu księdza odbyła się narada. Pozostawało im tylko zwrócić się o poparcie bezpośrednio do cesarza.

Komu jednak powierzyć trudną misję? Ksiądz de Luque miał obowiązki w parafii i nie mógł opuścić jej bez pozwolenia władz kościelnych. Nie wchodził w rachubę również Almagro. Nieokrzesany, niepiśmienny, oszepeczony wyklutym okiem — raczej zepsułby sprawę na świetnym dworze cesarskim.

Co do Pizarra, to nikt nie zaprzeczał, że dorastał do zadania: mimo braku wykształcenia umiał trzymać się godnie, był wymowny i odznaczał się dużą pewnością siebie. Jednakże ksiądz de Luque wysuwając błahe wątpliwości sprzeciwił się jego wysłaniu, gdyż w skrytości nie ufał mu i miał go za człowieka nielojalnego. Obawiał się, że pobyt na dworze wyzyska na to, żeby wszystkie korzyści zagarnąć dla siebie i zawieść zaufanie swoich współników. Dlatego wysunął kandydaturę ogólnie szanowanego katechety Corrala, wybierającego się właśnie do Hiszpanii w sprawach kościelnych.

Ku swemu zdumieniu spotkał się z gorącym sprzeciwem ze strony Almagra. Szorstki, ale dobroduszny żołnierz zapomniał już Pizarrowi wszystkie dawniejsze urazy i z zapałem popierał jego kandydaturę.

— Nikt tak jak on — rozwodził się — nie potrafi opowiedzieć przebiegu ekspedycji, której był głównym wodzem, nikt nie wyłuszczy cesarzowi lepiej, co zrobiono, co jeszcze jest do zrobienia i jaka pomoc jest potrzebna, by przywieść nasze plany do skutku.

Ksiądz de Luque musiał ustąpić, zaproponował jednak, aby współnicy dokładnie określili, czego spodziewają się od Korony. W końcu uzgodnili, że Pizarro ma ubiegać się dla siebie o nominację gubernatora w przyszłej kolonii, dla Almagra o nominację na kapitana generała, czyli naczelnego wodza armii, a dla księdza de Luque o godność biskupa miasta Tumbez.

Pożyczono 1500 dukatów na podróż, Pizarro przekroczył góry panamskie i w początkach 1528 roku wsiadł na okręt udający się do Sewilli.

Zabrał ze sobą Greka Pedra de Candię, Felipilla i trzech innych peruwiańskich Indian, dwie lamy, okazy tkanin i wyrobów ze złota oraz protokolarne zeznania uczestników wyprawy, potwierdzające fakt odkrycia królestwa Tawantinsuju.

W ZAMKU CESARSKIM

Stateczek żaglowy przeciął Atlantyk i wśród andaluzyjskich pastwisk płynął w górę leniwej rzeki Gwadalkiwiru. Gdy stanął w przystani Sewilli, nastały już pierwsze mroki wieczorne. Pizarro postanowił spędzić noc na pokładzie i dopiero nad ranem poszukać sobie zajazdu. Ale natłok myśli nie pozwalał mu zasnąć. Wyszedł przeto na pokład i przyglądał się miastu. Po niebie sunął biały księżyc, gaj na przeciwległym brzegu rzeki kipiał od kłaskania i szczebiotliwych treli słowików. Z mrocznych uliczek miasta dochodziły dźwięki gitar, grzechot kastanietów i gorąca melodia andaluzyjskiej serenady.

Pizarra ogarnęła fala wzruszenia. Ileż czasu upłynęło, odkąd opuścił te rozśpiewane brzegi? Chyba ze dwadzieścia lat. Był wtedy młodym mężczyzną, a przecież nie żądza przygód nim kierowała. Wygnała go ojczyzna, która była mu macochą, nie matką. Wciąż jeszcze przelewała się w nim gorycz na wspomnienie poniewierki i krzywdy, jakiej doświadczył ze strony ojca, pułkownika Pizarro. To prawda, że jemu, bękartowi, dał swoje nazwisko, uczynił to jednak z wyrachowania. Uznawszy za syna, nabył prawa zapędzenia go jak niewolnika do najbrudniejszych robót w swoim majątku. Matka, kobieta z ludu, dogorywała w nędzy, a gdy któregoś dnia chciał pospieszyć jej z pomocą, ojciec skatował go tak brutalnie, że przez parę dni nie mógł podnieść się z barłogu.

Wszystkie te upokorzenia zostawiły w nim nie zablźniony uraz. Włóczył się po świecie i natrudził co niemiara, żeby zmazać piętno bękartów i hołysza. Ileż to razy narażał życie, aby się wynieść nad innych, aby budzić podziw i zbierać pochwały. Nie dało mu to jednak ukojenia, nie nasyciło jego wiecznie nie zaspokojonej ambicji. Chciał rozkazywać, chciał wspinać się na najwyższy szczebel władzy, by ludzie przestali kłuć go wzgardliwymi uśmiezkami i uginali się przed nim w szacunku.

I oto cel życia jest już bliski. Ongiś nędzarz i uciekinier, wraca teraz w chwale wielkiego odkrywcy. Wraca, by rokować ponad głowami gawiedzi z panem świata, Karolem V. Niedaleka jest chwila, kiedy wykroi sobie w świecie własne dzierżawy, gdzie jako wicekról panować będzie w całym blasku swego wysokiego urzędu, otoczony świetnym dworem i bogactwem. Na myśl, że stanie się to rzeczywistością, zaszumiało mu w uszach od wzruszenia, a serce zabiło niezwykłym tętnem.

Pizarro położył się na legowisku i zasnął kamiennym snem. Zbudził się późno, kiedy słońce stało już wysoko na niebie, a miasto pulsowało codziennymi zajęciami. Zerwał się gwałtownie z posłania i wraz z towarzyszami podróży pospiesznie opuścił statek. W uliczkach, kędy przeciągała grupka egzotycznych podróżników, uczyniło się wielkie zbiegowisko. Pstro ubrani Indianie, szczególnie objuczone lamy wywołały wśród pospólstwa nieopisane zdumienie, a gdy dowcipny Felipillo tu i ówdzie sypnął ciętym słówkiem w języku hiszpańskim, ludzie wybuchali śmiechem z zachwytem. Na czele tej osobliwej procesji kroczyli Pizarro i Candia pławiąc się w sławie, już bowiem rozeszła się wieść, że są odkrywcami legendarnego El Dorada.

W różowych humorach rozgościli się w zajeździe. Pizarro postanowił złożyć grzecznościową wizytę władzom miejskim i przebrał się w odświętny strój z czarnego aksamitu. Ledwie jednak pokazał się na progu zajazdu, obskoczył go zniecka oddział straży miejskiej uzbrojony w halabardy. Nie zważając na protesty dowódca kazał go ująć i zaprowadzić do więzienia.

U sędziego Pizarro dowiedział się, co było przyczyną owego gwałtu. Niejaki Encino od dawna miał jakieś roszczenia do panamskiego miasta Darien. Ponieważ Pizarro był jednym z założycieli tego miasta, postanowił uczynić go współodpowiedzialnym za wierzytelności i uzyskać wyrok zajęcia jego majątku. Sąd sewilski przychylił się do skargi i zamknął Pizarra w więzieniu dla

dłużników.

Zamach na wolność głośnego już odkrywcy El Dorada wywołał w mieście oburzenie. Doszło nawet tu i ówdzie do zamieszek ulicznych. Ale sędzia zasłaniając się literą prawa nie chciał ustąpić. Pozostała jedna tylko droga: odwołać się bezpośrednio do cesarza. Candia pospieszył co koń wyskoczy do Toledo. Droga do stolicy Hiszpanii była jednak daleka i podróż w obie strony musiała zająć kilka dni.

Z początku Pizarro siedział za kratami jak uderzony obuchem. Miał tylko uczucie, że ogromne rusztowanie planów i nadziei zważyło mu się z łoskotem na głowę. Nawet w najgorszych obawach nie mógł wyobrazić sobie, że Hiszpania postąpi z nim tak brutalnie, że ponownie zepchnie go na dno poniżenia. W miarę jednak jak uświadamiał sobie absurdalną śmieszność położenia, zaczął w nim wzbierać bunt. Czekał niecierpliwie na powrót Candii miotał się jak dzikie zwierzę po celi więziennej.

Ale los odwrócił się prędzej, niż oczekiwał. Candia wpadł na spienionym koniu do miasta przywożąc pomyślną wiadomość: cesarz nie tylko wydał polecenie uwolnienia Pizarra, lecz wezwał go nawet do siebie na posłuchanie. Oburzony na Sewillę, odkrywca opuścił bez zwłoki jej mury i skierował się do stolicy.

Starożytne miasto Toledo, odebrane w roku 1085 Maurom, witało podróżników już z daleka szczytami wież kościelnych. Położone na wzniesieniu, panowało majestatycznie nad okoliczną równiną. Wędrowcy doszli do rzeki Tagus. Płynęła ona na dnie głębokiego jaru i zakreślając łuk, ogarniała miasto z trzech stron naturalną fosą. Przekroczywszy most i bramę, pochodzącą z czasów mauretańskich, znaleźli się w wąskiej, tonącej w chłodnym cieniu uliczce. Pełzła ona wężowo ku najwyższemu wzniesieniu, gdzie w blasku rozświetlonego nieba pyszniła się mocarna bryła Alkazaru, rezydencji cesarza. Była to czworokątna budowla o przysadzistych narożnikowych wieżach, również wzniesiona ongiś przez Maurów.

W mrocznych uliczkach panował niewielki ruch. Domy, pozbawione okien, wiązały się w jednolitą ścianę z kamienia. Jej przygniatającą jednostajność urozmaicały zakratowane bramy, prowadzące na zaciszne, uroczne patia.³⁸ Poprzez żelazną koronkę przedziwnie misternej roboty kowalskiej uśmiechały się do zdronzonych wędrowców lustra ocembrowanych basenów, łagodnie szumiące wodotryski, kwiaty, krzewy i krużganki obrośnięte powojem.

Ożywiony ruch miejski skupił się na placu u stóp ogromnej katedry. Przybysze, szukając zajazdu, musieli łokciami przepychać się przez ciżbę podnieconych gapiów. Nawet kupcy i rzemieślnicy zostawili na łasce losu stragany, by przypatrzeć się z bliska Indianom i dziwnym tworom przypominającym wielbłądy.

Pizarro dowiedział się ze zdumieniem, że od niedawna przebywa w Toledo główny zdobywca Meksyku, Fernando Cortez. Urządził on — jak opowiadano — tryumfalny wjazd do miasta. W jego orszaku znajdowali się syn pokonanego króla Azteków, Montezumy, kilku książąt indiańskich, tancerze, błazny i kuglarze. Liczna czeladź indiańska wiodła za uzdy konie i muły obciążone szmaragdami, złotem i tkaninami cudownej roboty. W klatkach wieziono zamorskie drapieżniki i ptaki o jaskrawym upierzeniu.

Plotka niesła, że Cortez popadł u cesarza w niełaskę. Zawistnicy i wrogowie oskarżyli go, że zmarnotrawił pieniądze na budowę pałacu w Meksyku, że oszukiwał skarb państwa, co więcej — że chce oderwać Meksyk od Hiszpanii, a nawet, że szykuje zbrojny napad na macierzysty kraj. Podejrzliwy dwór wysłał do Meksyku specjalną komisję śledczą, która odebrała Cortezowi godność namiestnika.

Cortez przybył z własnej woli do Toledo, aby oczyścić się z zarzutów. Cesarz uwierzył w jego

³⁸ Patio — rodzaj ozdobnego dziedzińca w domach hiszpańskich.

niewinność, ale już nie przywrócił mu władzy w Meksyku, lecz na otarcie łez obdarzył podrzędnym stanowiskiem generała sił zbrojnych. W gruncie rzeczy skorzystał z okazji, by zastosować wypróbowaną politykę przezorności. Hiszpania pozwalała różnym awanturnikom zdobywać kolonie, a potem, widząc w nich potencjalnych buntowników, starała się ograniczyć ich władzę, a nawet pozbawić w koloniach czołowych stanowisk.

Pizarro postanowił odwiedzić Corteza, gdy tylko załatwi swoje sprawy na dworze. Był on przecież jego krewniakiem, gdyż obaj wywodzili się z rodu Pizarro. Przede wszystkim chodziło mu jednak o rzecz ważniejszą: chciał poznać tajemnicę jego wielkiego sukcesu. Jak się to stało, że wielomilionowe państwo Azteków uległo tak łatwo garstce awanturników? Czy była to genialna strategia Corteza, czy też bądź w charakterze, bądź w ustroju Indian kryła się jakaś ułomność, jakiś zarodek zguby, który z góry przesądził ich los? Pragnął usłyszeć o tym wszystkim z ust samego zdobywcy i zasięgnąć jego rady, gdyż mogło mu się to przydać w przyszłej kampanii przeciwko państwu Tawantinsuju.

W parę dni po przyjeździe do Toledo Pizarro został wezwany do cesarza na audiencję. Było to nadzwyczajne wyróżnienie, albowiem Karol V, władca Niemiec habsburskich, Hiszpanii, Niderlandów, Neapolu, Sardynii i Burgundii, osobiście niewiele czasu mógł poświęcić sprawom posiadłości kolonialnych. Zazwyczaj powierzał je Radzie Indii. W dodatku wybierał się właśnie do Bolonii, gdzie miał otrzymać koronę cesarza rzymskiego, i na dworze panował z tego powodu gorączkowy ruch.

Częściowo przyczyną tej łaski była awantura w Sewilli — zwróciła ona uwagę cesarza na przybysza z dalekich kolonii. Pizarro mógł więc powiedzieć sobie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W gruncie rzeczy chodziło jednak jeszcze o to, że cesarz potrzebował nowych środków na prowadzenie wojen. Zachęcony dopływem złota z Meksyku, docenił korzyści, jakie wynikłyby dla niego — z uzyskania nowych kolonii w Ameryce. Pizarra poprzedziła sława odważnego konkwistadora, spodziewał się zatem, że to, co on zaproponuje, przyniesie Koronie niemały pożytek.

Wkroczywszy ze swoimi ludźmi w mury Alkazaru, Pizarro dostał się od razu w wir dworskiego życia. Na przestronnym dziedzińcu krzątała się gorączkowo czeladź, ruszali z kopyta konni kurierzy, hajducy wnosili lektyki ze strojnymi damami, a po kątach gwarzyły grupki wojskowych w lśniących półpancerzach i szerokoskrzydłych kapeluszach. Ciężkie wozy bez zaprzęgu, załadowane tobołami i skrzyniami, świadczyły, że dwór cesarski był na wyjeździe.

Strojny paź powitał Pizarra z dworską grzecznością i poprowadził do pałacu. Podczas gdy Candia z Indianami i lamami pozostał na dziedzińcu, konkwistador stanął z biciem serca przed ciężkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami, pilnowanymi przez halabardników. Niebawem znalazł się w dużej sklepionej i słabo oświetlonej komnacie. Poblądły ze wzruszenia opuścił się na kolano przed cesarzem, zamiatając posadzkę pióropuszem swego kapelusza.

Karol V siedział przy rzeźbionym stole dębowym, otoczony liczną świtą. Jego skromny czarny strój bez ozdób odbijał dostojnie od welwetów, atlasów, brokatów, jedwabi, klejnotów i złotych łańcuchów dam i dostojników dworskich. Był to młodzieniec o jasnych, flamandzkich, krótko przystrzyżonych włosach. Wąską, bladą twarz z wysuniętą dolną wargą habsburską zdobiły niebieskie oczy spoglądające na pochylonego przybysza rozumnie i z ciekawością.

Cesarz łaskawym skinieniem kazał podnieść się Pizarrowi z klęczek i zapytał, jakie przynosi wiadomości. W komnacie uczyniła się cisza. Ogorzały, barczysty konkwistador milczał zmagając się z nieśmiałością. Trwało to jednak tylko nieuchwytną chwilę. Opanował się natychmiast i z respektem pełnych godności jał opowiadać dzieje swoich wypraw odkrywczych. Z początku wyrazy rwały mu się w ustach, ale stopniowo nabierał pewności siebie i swobody. Cały czas podniętą była mu podświadoma myśl, że los jego zależy od wrażenia, jakie pozostawi na dworze.

Prześwietne zgromadzenie z zapartym oddechem chłonęło opowiadanie o egzotycznych przygodach garstki zapaleńców; znać było nawet po cesarzu, że słucha z przyjemnością. Pizarro mówił z zapalem o przygodach na morzu i lądzie, o zabójczych dżunglach i zdradliwych moczarach, przez które przedzierał się z towarzyszami na okaleczających nogach, o mękach głodu i chorobie, o śmierci wielu dzielnych żołnierzy hiszpańskich. Gdy doszedł do chwili, kiedy to z garstką wiernych towarzyszy zdecydował się pozostać na bezludnej wyspie, opuszczony przez gubernatora Panamy i bez żadnej nadziei na pomoc — cesarz wzruszył się do łez.

Z uniesieniem opisywał Pizarro odkryte królestwo Tawantinsuju, jego niezmierzone bogactwo, przekraczające ludzką fantazję. Wreszcie ukląkł i głosem, w którym płonąła nieodparta siła przekonania, błagał cesarza, aby zezwolił mu wyruszyć na zdobycie tego kraju dla chwały Chrystusa i Kastylii.

Karol V uśmiechnął się życzliwie i na znak łaski podał mu dłoń do pocałunku. Z uwagą obejrzał przywiezione z wyprawy okazy złotnictwa, brał do ręki delikatne tkaniny indiańskie i łaskawie powitał korzących się przed nim Indian. Gdy wprowadzono lamy, w komnacie powstało wesołe, pełne zdumienia poruszenie. Sam cesarz powstał z fotela, by przyjrzeć się z bliska dziwnym stworom.

Przy pożegnaniu oświadczył Pizarrowi, że z powodu wyjazdu nie może osobiście zająć się jego prośbą, że jednak poleci Radzie Indii, by załatwiła ją możliwie najprzychylniej. Posłuchanie — nie można było wątpić — miało nad wyraz pomyślny przebieg. Radośnie podniecony Pizarro wrócił do zajazdu, gdzie towarzyszom podróży wystawił obfitą ucztę.

Po wyjeździe cesarza przedstawił prałatom i grandom Rady Indii szczegółowo opracowaną petycję. Dla siebie domagał się namiestnictwa w przyszłej kolonii, a dla wiernych towarzyszy z wyspy Gorgony rozmaitych przywilejów i tytułów szlacheckich. W myśl umowy ze współnikami prosił dla księdza de Luque o biskupstwo w Tumbez, dla Almagra zaś o nominację na kapitana generała. Bojąc się jednak przyszłej jego rywalizacji, nie przedstawił w należyty sposób zasług Almagra w wyprawach odkrywczych: podejrzenia księdza co do lojalności Pizarra nie były więc pozbawione słuszności.

Tymczasem Candia, wałęsając się po mieście i zawierając mnóstwo znajomości, znosił do zajazdu nowinki o Cortezie. Rozgoryczony zdobywca Meksyku zamknął się w swoim pokoju i prawie wcale nie pokazywał się ludziom. Pozbawiony godności wicekróla, całymi dniami rozpamiętywał swoją krzywdę, ale mimo to czynił przygotowania, aby powrócić do Meksyku na podrzędniejsze stanowisko dowódcy sił zbrojnych.

Największym jego wrogiem i oskarżycielem był gubernator Kuby, Diego Velasquez. Candia dowiedział się, co było przyczyną nienawiści gubernatora do Corteza. Otóż w młodości był Cortez nie lada hultajem, skorym do bójek, pijatyk i amorów. W Hiszpanii nabroił tyle, że w końcu musiał uciekać przed drabantami miejskimi. Tak zaczęła się jego kariera zamorska. Gubernator Kuby Velasquez upodobał sobie wesołego zawadiakę i mianował osobistym sekretarzem.

W tym czasie osiedliła się na wyspie rodzina Xuarezów rodem z Granady. Składała się ona z brata i czterech sióstr słynnych z niepospolitej urody. Z jedną z nich, która miała na imię Catilina, Cortez wdał się w miłość i przyrzekł jej małżeństwo. Jednocześnie gubernator nosił się z poważnymi zamiarami w stosunku do jej siostry i dlatego zaprzyjaźnił się z całą rodziną.

Z czasem stało się jasne, że lekkomyślnemu uwodzicielowi nie w głowie był ożenek. Oburzony gubernator wystąpił w obronie honoru rodziny i stanowczo zażądał od swego sekretarza, by dotrzymał słowa. Wtedy Cortez obraził się i zaczął spiskować z opozycją, która dążyła do obalenia gubernatora.

Velasquez stracił cierpliwość, wtrącił go do więzienia i byłby powiesił, gdyby nie wstawili się

za nim przyjaciele. Ale kłopoty dostojnika nie skończyły się na tym. Ku uciesze całej wyspy Cortez uciekł z więzienia i schronił się w pobliskim kościele. Uświęcony zwyczaj hiszpański nakazywał bezwzględne poszanowanie azylu kościelnego, przeto gubernatorowi nie pozostało nic innego, jak tylko rozstawić strażę, żeby Cortez nie umknął gdzie indziej.

Oblężenie trwało parę dni. Osadnicy mieli znakomitą zabawę i jak tylko mogli, przemycali młodzieńcowi żywność. Cortez pokazywał się na progu kościoła i w najlepsze drwił ze straży gubernatorskiej. Jednego dnia w ferworze urągań zapędził się nieopatrznie przed kościół i wtedy dowódca straży Juan Escudera rzucił się na niego z węgla i powalił na ziemię. Trzeba dodać, że gorliwemu pachołkowi nie uszło to na sucho, gdyż Cortez natknął się na niego później w Meksyku i kazał go powiesić na najbliższym drzewie.

Velasquez nie wiedział teraz, co począć z kłopotliwym więźniem. Nie miał odwagi posłać go na szafot, gdyż chroniła do niejako sympatia wszystkich osadników hiszpańskich na Kubie. Wpadł przeto na pomysł, by, zakutego w żelazo, odstawić na karawelę, która właśnie miała odpłynąć do Hiszpanii.

Ale zanim okręt odbił od brzegu, Cortez pod osłoną nocy wyzwolił się z kajdan z pomocą oddanego mu marynarza, wskoczył do wody i szczęśliwie dopłynął do lądu. Schronił się do tego samego kościoła i krotochwilne oblężenie rozpoczęło się od nowa. Minęło tak parę dni. Zadziornemu hultajowi zaczęła się jednak awantura wyraźnie przykrzyć. Wtedy wpadł na szalony pomysł, znamienny dla jego zuchwałego charakteru. Korzystając z wieczornego mroku, wykradł się z kościoła i przez okno wtargnął do gabinetu pobladłego z przerażenia gubernatora. Przez całą noc trwała między nimi burzliwa rozmowa, która skończyła się zapewnieniami przyjaźni i uściskami. Cortez wyraził gotowość poprowadzenia Catiliny do ołtarza, a w zamian za to Velasquez dał mu ogromną posiadłość ziemską oraz niewolników indiańskich do uprawiania ziemi. Zdumiony lokaj nie dowierzał własnym oczom, gdy nad ranem wszedł do sypialni gubernatora i zastał ich w jednym łóżu, śpiących w najlepszej zgodzie.

W roku 1518 nadeszła na Kubę wieść o bogatym w złoto państwie Azteków i gubernator postanowił wysłać do Meksyku wyprawę wojskową. Ofiarując się pokryć część kosztów, Cortez zdołał wyłudzić jej dowództwo. W kubańskim miasteczku portowym Santiago świeżo upieczony admirał utworzył armadę, złożoną z sześciu karawel i trzystu żołnierzy. W tej właśnie chwili Velasquez pożałował swego kroku i odwołał nominację. Znając krnąbrną naturę Corteza, dosiadł konia i pomknął do portu, by osobiście odebrać mu dowództwo.

Na jego widok Cortez pospiesznie podniósł żagle i kłaniając się drwiąco z wysokości tylnego kasztelu, odpłynął na pełne morze.

Ale wyprawa nie całkiem była gotowa do drogi: brakowało jeszcze okrętów, załóg i prowiantu. Cortez bez namysłu uciekł się do sposobów korsarskich, by zdobyć potrzebne mu zaopatrzenie.

W porcie Macaca na Kubie zasekwestrował wszystkie zapasy żywności, nie oszczędzając nawet majątków stanowiących bezpośrednią własność króla. Na Trinidadzie przywłaszczył sobie okręt towarowy z pełnym ładunkiem, który przybył właśnie z Hiszpanii. Za te sprawki burmistrz miasta chciał ująć go i potraktować jako pospolitego pirata, on jednak skierował na miasto lufy armat i zagroził, że nie zostawi w nim kamienia na kamieniu. Zastraszony urzędnik wycofał się z zatargu.

W roku 1519 armada wypłynęła z portu Cape San Antonio na podbój Meksyku. W niespełna sześć miesięcy później dotarła na Kubę wiadomość o niewiarygodnych sukcesach Corteza. Mała armia konkwistadorów podbiła wielomilionowe państwo Azteków, zajęła stolicę Tenochtitlan i wzięła do niewoli króla Montezumę.

Velasquez nie mógł pogodzić się z myślą, że w tak podstępny sposób został pozbawiony chwały zdobywcy, bogactw i władzy nad ogromną kolonią. W roku 1520 wysłał silny korpus ekspedycyjny pod wodzą Narvaeza z poleceniem ujęcia Corteza jako buntownika i wydarcia mu łupów. Cortez pospiesznie opuścił stolicę Azteków i na czele dwustu trzydziestu trzech żołnierzy ruszył przeciwko nowemu przeciwnikowi. Narvaez zajął miasto Totonaków Cempoala i obwarował się na szczycie tamtejszej piramidy.

W nocy, podczas straszliwej burzy i ulewy deszczowej Cortez nagłym szturmem zdobył nieprzyjacielską pozycję. Narvaez padł ciężko ranny, a żołnierze, w liczbie tysiąca dwustu piechoty i stu konnych, znęceni obietnicami łupów, zgodzili się przejść pod rozkazy zwycięzcy. Velasquez nie dał jednak za wygraną. Żądny odwetu wysyłał do cesarza donos za donosem. Oskarżał tam Corteza o wszystkie możliwe zbrodnie i w końcu postawił na swoim, gdyż zawsze podejrzliwy dwór hiszpański pozbawił Corteza władzy nad zdobytym krajem.

FERNANDO CORTEZ OPOWIADA

Pizarro znalazł wreszcie czas, aby pójść do swego krewniaka w odwiedziny. Cortez uściskał go jak brata. Był to mężczyzna z czarnym, starannie trefionym zarostem, o kilka lat młodszy od Pizarra. Ubrany w skromny strój z ciemnego sukna, miał na szyi jako jedyną ozdobę złoty łańcuch z medalionem, na którym widniał wypukły wizerunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus.

Pizarro zrazu czuł się onieśmielony. Bo też miał po temu uzasadnione powody. Cortez był wykształconym człowiekiem o dużej ogładzie towarzyskiej, studiował na uniwersytecie w Salamance, mówił płynnie po łacinie i w młodości układał wcale udatne poematy — natomiast Pizarro nie nauczył się nawet pisać i czytać. Wprawdzie matkę Corteza i ojca Pizarra łączyło bliskie pokrewieństwo, ale cóż z tego, on przecież był bękartem zaledwie tolerowanym w rodzinie.

Przy pucharze wina Pizarrowi rozwiązał się język i z zapałem opowiadał dzieje swoich wypraw odkrywczych. Cortez słuchał życzliwie, wtrącając raz po raz pytania i komentarze. W końcu dał się uprosić i zaczął mówić o zwycięskiej kampanii w Meksyku.

— Ekspedycja moja składała się z 11 karawel, 110 marynarzy, 566 piechurów, 11 konnych i 200 ciurów indiańskich. Jako uzbrojenie mieliśmy 14 armat i falkonetek, dzidy, szpady, 32 kusze i 13 arkebuzów. Przybiwszy do brzegu Jukatenu, zakotwiczyliśmy w ujściu rzeki Rio de Tabasco. Ponieważ koryto okazało się dla okrętów zbyt płytkie, wsiedliśmy na łodzie i udaliśmy się w górę rzeki, do stolicy plemienia Tabasków, o którym jeszcze na Kubie słyszeliśmy, że odnosi się przyjaźnie do białych ludzi.

Tam spotkała mnie pierwsza przykra niespodzianka. Z przybrzeżnych zagajników posypały się na nas strzały i kamienie. Okazało się, że przycziła się tam liczna flotyła Tabasków. Dałem więc rozkaz do ataku. Łodzie zderzyły się tak gwałtownie, że ludzie powpadali do wody, gdzie rozszalała się walka na dzidy, sztylety i pięści. Mieliśmy poważne straty. Wreszcie niektórzy moi żołnierze zdołali wydostać się na brzeg, skąd rozpoczęli strzelaninę z arkebuzów. Trzeba było widzieć, co się działo. Przerażeni hukami nieznanego broni hultaje zmiatali, aż się za nimi kurzyło.

Nie zwlekając puściłem się za nimi w pogoń i zająłem ich stolicę. Myślałem, że już po kłopotcie. Ale gdzież tam. Nazajutrz zgromadziła się przed miastem armia złożona z kilkudziesięciu tysięcy wojowników. Wśród przeraźliwych gwizdów i okrzyków Indianie ruszyli do ataku; nawet ogień artylerii nie zdołał ich powstrzymać, choć padali gęsto trupem. Muszę przyznać, że z podziwem patrzałem na tych zuchów. I nie wiadomo, jak by ta cała heca się

skończyła, gdyby nie kawaleria, która zaszła im tyły. Indianie nigdy w życiu nie widzieli koni, toteż na widok tych galopujących potworów rzucili broń i pierzchli na wszystkie strony.

W bitwie wzięliśmy do niewoli dwóch wodzów indiańskich. Ponieważ nie miałem zamiaru wodzić się za łby z byle plemieniem, posłałem ich do króla z propozycją zawarcia pokoju. Jakoż niebawem sam król zjawił się na czele licznej świty, przynosząc w darze mnóstwo przedmiotów ze złota i przyprowadzając dwadzieścia niewolnic, wśród których była moja przyszła tłumaczka i sekretarka Mai Intzin, nazwana przez nas Mariną.

Od króla dowiedziałem się, że nie miał zamiaru nas atakować, że jednak musiał to uczynić na wyraźny rozkaz potężnego króla Azteków Montezumy, który mieszkał we wspaniałej stolicy Tenochtitlan i podporządkował sobie wszystkie ludy tego łądu. W ten sposób po raz pierwszy dowiedziałem się, że wieść o wielkim państwie Azteków, jaka dotarła na Kubę, nie była pustą gadaniną.

Ponieważ nie ufaliśmy Tabaskom, załadowaliśmy się ponownie na karawele i stanęliśmy obozem w miejscu, gdzie później założyliśmy miasto Vera Cruz. Otaczała nas tam bagnista puszcza pełna trujących wyziewów. Na szczęście Indianie tamtejsi okazali się bardziej uczynni. Wzniesli oni naokoło obozu dziesiątki szałasów i zakrzętnęli się żywo, by zaopatrzyć nas w żywność. Ich naczelnik złożył nam hojne dary w postaci tkanin i złota. Poprosiłem go o wysłanie gońca do władcy Azteków z zawiadomieniem o naszym przybyciu i zamiarze odwiedzenia jego stolicy.

Po upływie siedmiu dni przybyło od króla liczne poselstwo. Dostojnicy mieli na sobie bogato haftowane szaty, mnóstwo złotych ozdób i pióropusze z papuzich piór. Dary, jakie nam złożyli u nóg, wprowadziły nas w zdumienie. Były tam tarcze, hełmy, zbroje, naszyjniki i bransolety, wszystko ze szczerego złota, pióropusze, perły i szlachetne kamienie wręcz w oszałamiających ilościach, posążki ze złota i srebra, szaty wełniane misternie haftowane, a przede wszystkim dwie płyty ze złota, okrągłe i duże jak kamienie młyńskie.

Ale wraz z tymi darami Montezuma przysłał nam zakaz zbliżania się do jego stolicy. Widząc owe bogactwa nie miałem najmniejszego zamiaru wycofywać się z tego kraju. Oświadczyłem Indianom, że przybywam w charakterze posła od króla hiszpańskiego i nie wolno mi nie spełnić zlecenia mego mocodawcy.

Wtedy stała się rzecz dla nas zgoła nieoczekiwana. Nazajutrz o świcie patrzymy — a tu po Indianach, którzy zaopatrywali nas w żywność, ani śladu. Przekonaliśmy się, że ramię Montezumy jest długie. Niektórych żołnierzy obleciał tchórz, zaczęli sarkać i domagać się powrotu na Kubę. Przyznaję, że ja sam nie wiedziałem, czego się trzymać. Nas było niewielu, a w drodze znajdować się już mogła potężna armia aztecka. Czekaliśmy z napięciem na przeciwnika, ale mijał dzień po dniu i nic się nie działo.

— Powiedz mi — zapytał Pizarro — co było przyczyną, że Montezuma, zamiast natychmiast wysłać swą armię, próbował z wami paktować, że się wahał i tracił tyle cennego czasu? Nie mogę tego zrozumieć. Przecież Tabaskowie zaatakowali was śmiało, gdy tylko dobiliście do brzegu.

— Przez długi czas było to również dla mnie tajemnicą. Dopiero gdy przybyliśmy do Tenochtitlanu, dowiedziałem się prawdy z ust samego króla. Może to cię zdziwi, ale tak było istotnie. Otóż winowajcą był ich bożek Ketzalkoatl. Długi czas łamałem sobie szczęki, zanim nauczyłem się tego imienia na pamięć. Ale jak widzisz, nauczyłem się — mam wobec tego bożka pewne zobowiązania.

Cortez roześmiał się głośno zadowolony z dowcipu i ciągnął dalej:

— Najbardziej zagadkową rzeczą jest to, że Aztecy wyobrażają go sobie jako białego człowieka z długą falistą brodą, choć sami nie mają zarostu. Ich legenda utrzymuje, że przybył z

kraju wschodzącego słońca na skrzydlatym statku i wylądował tam, gdzieśmy właśnie obozowali.

Trzeba jeszcze ci wiedzieć, że Aztecy nie znali żagli. Zastanawiając się nad tą sprawą, dochodzę do przekonania, że w zamierzchłych czasach musiał wylądować tam jakiś Europejczyk i że z czasem urósł on w pamięci pokoleń do roli boga.

Ale teraz rzecz najważniejsza: brodaty bóg zapowiedział Indianom pojawienie się białych zdobywców zza morza. Mieli oni podbić wszystkie plemiona i obalić ich bożków na rzecz cudzoziemskiego bóstwa.

— Co za zdumiewająca historia! — krzyknął Pizarro. — W Tumbez słyszałem o podobnym bożku. Nazywa się Wirakocza. I on również był białym brodatym człowiekiem. Pojawił się wśród tamtejszych Indian, a potem zniknął bez wieści w morzu. Co więcej i on obwieścił swoim wyznawcom, że kiedyś w przyszłości zjawią się biali wojownicy, którzy przyniosą zagładę państwu Tawantinsuju. Wyobraź sobie, tamtejsi Indianie wzięli nas za wysłańców tego boga i uwierzyli, że przyszlśmy dopełnić wróżby.

— Istotnie, dziwny zbieg okoliczności, tym dziwniejszy, że oba ludy, jak to już zdołałem stwierdzić w Meksyku, nie miały ze sobą żadnej styczności. Aztecy na pewno nic nie wiedzieli o istnieniu państwa Inków, bo gdyby było inaczej, nie omieszkaliby mi o tym powiedzieć.

— Bardzo możliwe, bo nawet mieszkańcy Panamy i obszarów leżących dalej na południe mieli o Inkach li tylko mętne i bałamutne wiadomości. Wspomniałem ci o kupcach z Tumbez, których spotkałem na morzu. Zapewniali mnie, że ludzie mieszkający na północy od ich kraju żyją jak dzikie zwierzęta. Widocznie nigdy nie dotarli w swoich podróżach do państwa Azteków. Nietrudno znaleźć na to wytłumaczenie: ich tratwy są dość nieporęczne, a jeśli chodzi o drogę lądową, to wiem coś o tym z własnego doświadczenia — puszcze są tam tak niezmierzone i nieprzebyte, że przechodzi to ludzkie wyobrażenie.

— Wypada ci powinszować tego bożka — uśmiechnął się Cortez — będzie on w przyszłości twoim sprzymierzeńcem w państwie Tawantinsuju. Pytałeś, dlaczego Montezuma nie wysłał przeciwko nam swojej armii. Otóż, jak się później dowiedziałem, sprawa miała się następująco. Podczas gdy staliśmy obozem nad morzem, Azteków ogarnęło uczucie lęku i niepewności. Montezuma i jego doradcy nie mogli zdecydować się na żaden stanowczy krok. Pod wpływem zabobonu o białym bogu uwierzyli, że jesteśmy jego wysłańcami. W ich mniemaniu władaliśmy przecież piorunami i okiełznaliśmy jakieś czworonożne potwory. Wszystko działo się dokładnie według ich starego proroctwa, dlatego wszelki opór wydawał im się bezcelowy.

Ale Montezuma próbował jeszcze nas zastraszyć. Wysłane przezeń poselstwo miało obłaskawić nas hojnymi darami, unaocznić nam potęgę i bogactwo państwa Azteków i onieśmieliwszy nas w ten sposób, wręczyć zakaz dalszego pochodu ku stolicy.

— No i co działo się dalej?

— Jak ci już wspominałem, Montezumie prawie się to powiodło. Opuszczeni przez Indian, otoczeni puszcza, nie wiedzieliśmy, co począć ze sobą. Żołnierze domagali się powrotu na Kubę, a co do mnie — przyznaję, że o włos, a byłbym skrewił. Licho wie, co by się stało na Kubie; gubernator Velasquez tylko czekał, żeby ukrećić dla mnie stryczek. Jeżeli się jeszcze ociągałem z odjazdem, to tylko dlatego, że nie chciałem mu sprawić tej przyjemności. Miałem przepawę z żołnierzami. Najgorszym pieniaczom zamknąłem gębę, powiesiwszy jednego z nich na drzewie, a co do reszty — to niechęący pomógł mi znowu Montezuma. Na widok owej kupy złota i pereł, przyniesionych przez poselstwo azteckie, żołnierze zapalali taką chciwością, że gotowi byli pójść za mną nawet do piekła. Postanowiliśmy więc wytrwać na lądzie i czekać zmiłowania boskiego.

No i to zmiłowanie przyszło prędzej, niż mogłem przypuszczać. Jednego dnia, wśród warkotu bębnow i pisku piszczałek, zjawilo się poselstwo jakichś Indian. Okazało się, że przyszło z polecenia króla Totonaków, którego stolica Cempoala leżała w niewielkiej odległości od naszego

obożu.

Totonacy zostali podbici przez Azteków, ale czekali tylko na sposobność, żeby się wyzwolić z ciężkiego jarzma. Król ich, zasłyszawszy o naszym zwycięstwie nad Tabaskami, zaprosił nas do siebie i zaoferował przymierze przeciwko wspólnemu wrogowi.

Powiadam ci, kamień spadł mi z serca. Pomyślałem sobie, że diabeł nie jest taki straszny, jak go malują. Zrozumiałem, że państwo Azteków jest zlepkiem podbitych, skorych do buntu plemion, że przeto nietrudno będzie dać mu radę.

Naturalnie natychmiast udaliśmy się do Cempoali. Na widok miasta oczy na wierzch nam wyszły ze zdumienia. Liczyło ono co najmniej dwadzieścia tysięcy mieszkańców i leżało wśród wzgórz, sadów i łąk kukurydzy. Domy były białe i błyszcząły w słońcu, jakby zbudowane ze srebra. Nad dachami wznosiła się piramida z tarasami, a na jej wierzchołku widać było świątynię. Totonacy przywitani nas muzyką, kwiatami i obfitą biesiadą. Słowem, serce rosło nam z radości.

— Kubek w kubek tak samo jak w Tumbes — przerwał mu Pizarro. — Tamtejsi mieszkańcy również witali nas jako wyzwolicieli z jarzma Inków.

— Widzę, że fortuna jest ci przychylna. Ale posłuchaj, jak rozegrałem ową partię szachów, przyda ci się to na przyszłość. Minęło kilka dni. Do Totonaków przybyło poselstwo Montezumy złożone z paru nadętych dostojników. Król Azteków oburzony wiadomością, że wbrew jego rozkazowi zostaliśmy w Cempoali przyjęci przyjaźnie, zażądał od naszych gospodarzy, by za karę wydali mu dwadzieścia dziewcząt i dwudziestu młodzieńców na ofiarę dla boga wojny.

Na Totonaków padł błady strach i o mało co, a byłiby się ukorzyli. Wtedy ja wmieszałem się w tę całą hecę. Wytłumaczyłem im, że mogą sobie kpić z Montezumy, ponieważ biorę ich pod swoją ochronę. Namówiłem ich nawet, by wtrącili azteckie poselstwo do więzienia. W ten sposób doprowadziłem do tego, że spalili za sobą wszystkie mosty.

O zmroku wykradłem jednak Azteków z więzienia i odesłałem Montezumie. Kazałem mu powiedzieć, że z ubolewaniem dowiedziałem się o gwałcie zadany posłom przez Totonaków, i ponownie zapewniłem go o swej przyjaźni.

Cortez roześmiał się głośno i zadowolony z siebie dodał:

— Przyznasz chyba, że świetnie to rozegrałem. Wzorowy przykład zastosowania taktyki „divide et impera”³⁹.

Pizarro nic nie odpowiedział, tylko spojrział na niego z podziwem.

— Nad ranem — ciągnął dalej Cortez — nastąpiło istne piekło. Totonacy zapłonęli wściekłością, chwycili za broń i byłiby się może na nas rzucili, gdybym nie skierował na nich armat i arkebuzów. Mieli wciąż jeszcze wielki respekt dla naszej broni, trzymali się więc w przyzwoitej odległości. Tymczasem przybiegł król i uczynił mi zarzut zdrady zawartego przymierza. Wtedy ostro na niego wsiadłem i zagroziłem, że oddam na łaskę i niełaskę Azteków, że palcem w bucie nie kiwnę w jego obronie. Kacyk uderzył natychmiast w pokorę i kazał tłumom rozejść się do domów. Tak bał się Montezuma.

Od pierwszej chwili patrzyliśmy zgorszeni na ohydne praktyki religijne Totonaków. Kapłani, ubrani w długie, czarne koszule, zarzynali przed drewnianym bałwanem jeńców wojennych lub dzikich Indian, upolowanych w puszczy. Powiedziałem sobie, że musimy znieść to bałwochwalstwo. Pewnego dnia obstawiliśmy piramidę żołnierzami, kazałem bałwana strącić ze stopni i porąbać na drobne kawałki, wyszorować świątynię i postawić ołtarz z obrazem Najświętszej Dziewicy. U stóp piramidy zebrali się wszyscy mieszkańcy miasta i, o dziwo, choć kapłani wzywali ich do obrony bożka, nikt jakoś nie ważył się nam w tym przeszkodzić.

— Toć to jawny cud! — krzyknął Pizarro. — Cud ugiął karki pogańskich grzeszników!

³⁹ Dziel i rządź.

Archanioł zdeptał moce nieczyste!

— Może i cud, braciszku, ale nie ma co owijać w bawełnę: gdyby nie lufy armat, to nie wiadomo, czyby Totonacy zachowali się tak potulnie. Natomiast później — to już była inna sprawa. Indianie spodziewali się, że ściągniemy na siebie zemstę powalonego boga; gdy to nie nastąpiło, doszli do przekonania, że zamorski bóg jest potężniejszy od ich bożka i że wobec tego należy poddać się jego woli.

— Wynika stąd, że w ciemnych ich duszach zlatiła pierwsza iskierka prawdy.

— Podobnego mniemania był również nasz duszpasterz, ojciec Olmedo. Z tych względów postanowił króla i kapłanów przyjąć na łono Kościoła. Kazał im ubrać się w białe koszule, dał do ręki gromnice i w uroczystej procesji zaprowadził do kaplicy, gdzie ochrzcił ich święconą wodą.

No, a teraz dalsze moje tarapaty. Nosilem się z myślą o marszu w głąb lądu. Wtedy okazało się, że piniacze w wojsku nie dali za wygraną. Korzystając z ciemności chcieli opanować okręty i uciec na Kubę. Szczęściem wykryliśmy na czas sprzysiężenie. Prowodyrzy zawiśli na stryczku, a resztę spiskowców wzięliśmy na męki, tak że nadawali się już tylko na obozowych ciurów.

Na brzegu założyłem warownię Villa Rica de Vera Cruz⁴⁰ i pozostawiwszy w niej nieliczną załogę, 16 sierpnia 1519 roku wyruszyłem w drogę. Indianie nie znali koła i nie mieli zwierząt jucznych, wobec tego zebrałem kilka tysięcy tragarzy, którzy nieśli nasze bagaże i rozmontowane części armat. Ponadto król Totonaków przydzielił mi oddział posiłkowy liczący tysiąc pięćset wojowników.

Droga wiodła początkowo przez dżunglę i płaskowyż. Wszędzie ludność witała nas życzliwie. Po kilkunastodniowym marszu dostaliśmy się w krainę potężnych gór. Rozciągnięta kolumna wojska i tragarzy sunęła ścieżką wijącą się nad urwiskiem i skłębioną kipiącą potoków. Deszcze i lodowate wichry dały się nam porządnie we znaki.

Za radą króla Totonaków skierowałem się do kraju Tlaskalanów, zaciętych wrogów Azteków. Liczyłem na ich poparcie, ale spotkała mnie tam sroga niespodzianka. Tlaskalanie zaatakowali nas z furją, wobec której zbladła zapalczywość Tabasków. Najdziwniejsze było to, że nie okazywali lęku przed wierzchowcami i bronią palną. Trzy dni atakowali nas nie zważając na straty, jakie im zadawaliśmy.

W końcu zaproponowałem im zawieszenie broni. Tym razem król ich nie tylko przystał na to, lecz zawarł z nami przymierze i przyjął nas gościnnie w swoim mieście.

— Dlaczego nie uczynił tego od początku, skoro wiedział, że idziecie na Azteków?

— Przypuszczalnie dlatego, że dotarła do niego przesadna plotka o wypadkach w Cempoali. Po prostu nie miał do nas zaufania. Awantura z poselstwem nasunęła mu przypuszczenie, iż jesteśmy w zмовie z Montezumą.

— No, a dlaczego zmienił potem zdanie?

— Bo przekonał się, że stanowimy siłę i że warto z nami się sprzymierzyć. Tlaskalanie nie mieli zielonego pojęcia o zasadach taktyki wojennej. Szli na oślep stłoczoną, pomieszaną ławą na nasze lufy i oczywiście ginęli masami. Drugiego dnia walki cała ich armia stłoczyła się w wąwozie i nie mogła wyzyskać swojej przewagi liczebnej. Wtargnęliśmy zwartą kolumną w ten ścisk wojowników i przerażaliśmy się mieczami, a oni skrepowani ciasnotą miejsca, byli prawie bezradni wobec naszych pancerzy i mieczy. Doświadczenie nic ich nie nauczyło i stale od nowa popełniali ten sam błąd. W rezultacie myśleli, że jesteśmy niepokonani, i dlatego doszli do wniosku, że dalszy opór jest bezcelowy.

Wiadomość o naszym zwycięstwie wywołała w pałacu Montezумы wielkie zamieszanie. Aztecy pół wieku walczyli z Tlaskalanami i nie zdołali odnieść nad nimi zwycięstwa. Dlatego

⁴⁰ Bogate Miasto Prawdziwego Krzyża.

uprzytomnili sobie teraz, jak niebezpiecznymi jesteśmy przeciwnikami. Montezuma zastanawiał się ze swoimi dostojnikami, jak odwrócić grożącą klęskę, i wpadł na pomysł zgoła niedorzeczny. Przez nowe poselstwo namawiał nas, abyśmy zerwali sojusz z Tlaskalanami i wrócili do naszej ojczyzny. Za tę małą przysługę ofiarowywał nam tyle złota i szlachetnych kamieni, ile byliśmy zdolni zabrać ze sobą. Gdy propozycję odrzuciłem, zawiadomił nas, że w mieście Cholula, leżącym na drodze do stolicy, przygotował nam prowiant i kwatery.

Udałem się tam bez zwłoki, wzmocniony posiłkami Tabasków i Tlaskalanów. Moja armia liczyła już kilka tysięcy ludzi. Cholula była religijną stolicą Azteków. Ulicami płynęły nieprzerwane potoki pątników i żebraków, kapłanów i mniszek. Dzień w dzień wśród śpiewu i modłów przeciągały przez miasto procesje. Nad dachami wznosiło się mnóstwo piramid ze świątyniami i wiecznymi zniczami na szczytach.

Stanęliśmy obozem na dziedzińcu jednej ze świątyń. Moja tłumaczka indiańska, Marina, odwiedziła żony miejscowych dostojników. Baby nie umiały trzymać języka za zębami i jako rodaczce wypaplały w największej tajemnicy, że na rozkaz Montezumy knuje się przeciwko nam spisek. Podczas bezksiężycowej nocy mieliśmy być wyrżnięci jak wieprze.

Marina pozostała nam wierna i natychmiast uprzedziła mnie o planowanej napaści. Postanowiłem uderzyć pierwszy i wytepić prowodyrów. Pod pozorem zakomunikowania im ważnej wiadomości zaprosiłem wszystkich miejscowych dostojników na dziedziniec naszej kwatery. Skoro tylko się zebraли, rzuciliśmy się na nich z nienacką z białą bronią i wytłukiliśmy do nogi. Nikt zgoła nie wymknął się z pułapki. Z trupów zdarliśmy niewiarogodne ilości złota, szmaragdów i pereł. W ten sposób stało się zadość sprawiedliwości. Była to grzywna, jaką zapłaciła nam ta pogańska hałastra za uknutą zdradę.

— Ale tym samym zrzuciłeś maskę przyjaźni wobec Montezumy, wypowiedziałeś mu niejako wojnę.

— I tak, i nie. Byłem zresztą gotów na wszystko. Cóż bowiem miałem robić, dać nas wymordować? Tak czy owak skutki były pomyślne.

Przerażony Montezuma od tej chwili wyzbył się wszelkiej chęci zbrojnego oporu.

Z tymi dostojnikami załatwiliśmy się szybko. Natomiast trudno uwierzyć, co się działo w mieście. W oka mgnieniu otoczyły nas nieprzebrane tłumy rozwścieczonych Indian i usiłowały wedrzeć się na dziedziniec. Poczęstowaliśmy napastników kulami z działek i arkebuzów. Na widok trupów rycząca tłuszcza rzuciła się do ucieczki. Wtedy poszedłem na nią z całą piechotą, konnicą i posiłkowymi oddziałami sojuszników indiańskich, ze wszystkim, co miałem pod ręką. Rzeź ludności i grabież trwała do zmroku. Cholula stała się kupą zgliszcz.

Dalsza droga wiodła nas przez przełęcz łańcucha górskiego otaczającego dolinę Meksyku, zwaną przez Indian Anahuak. Zobaczyliśmy z daleka stolicę Azteków Tenochtitlan. Leżała ona na środku wielkiego jeziora, złączona z lądem trzema groblami, przerywanymi przekopami, nad którymi przerzucono zwodzone mosty. Przez jezioro biegł ponadto akwedukt sprowadzający wodę z pobliskich gór, gdyż w jeziorze była słona.

8 listopada 1519 roku wkroczyliśmy do miasta. U wylotu grobli, w otoczeniu licznej świty, oczekiwał nas Montezuma w złocistej lektyce. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, liczący mniej więcej czterdzieści lat. Na głowie miał ogromny pióropusz szkarłatno—zielony, poprzetykany perłami i turkusami. Cały jego strój kapał od złota i szlachetnych kamieni, nawet sandały były całe ze złota.

Król przyjął nas układnie i poprowadził do miasta. Stanęliśmy na głównym placu. Po jednej stronie wznosił się masyw piramidy ze świątynią na wierzchołku, do jego boku tuliły się niskie zabudowania z ciosanego kamienia, stanowiące rezydencję królewską. Po przeciwległej stronie placu stał pałac zmarłego ojca króla, obwiedziony murem warownym. Wyznaczono nam go na

kwatere. Tenochtitlan liczył około trzystu tysięcy mieszkańców, a więc było to chyba największe miasto na świecie⁴¹.

Nazajutrz Montezuma poprowadził mnie na szczyt piramidy, skąd roztaczał się rozległy widok na okolicę. Wzdłuż brzegu jeziora leżały inne miasta, wśród których wyróżniało się wielkością Texcoco. Tworzyły one federację aztecką, liczącą podobno trzy miliony ludzi.

Przed świątynią na szczycie piramidy leżał duży blok kamienny, na którym zarzynano ofiary. Wewnątrz stał posąg boga wojny, cały pokryty złotem i klejnotami. Bałwan miał na sobie naszyjnik z czaszek ludzkich, wykładany szafirami. Później odkryliśmy drewniany pawilon, gdzie naliczyliśmy 137 tysięcy czaszek ludzkich, starannie poukładanych na półkach. Słowem, państwo azteckie ociekało dosłownie krwią mordowanych ofiar ludzkich.

Cały czas zastanawiałem się, jak opanować ten kraj. Wiedziałem z opowiadań i z własnego doświadczenia, że Indianie wpadali z reguły w panikę i porzucali pole walki, ilekroć zabito lub wzięto do niewoli ich wodza. Postanowiłem tedy zastosować tę metodę w Tenochtitlanie, choć ryzyko było duże.

Niebawem nadarzyła się do tego świetna okazja. Jeden z prowincjonalnych kacyków zamordował paru naszych żołnierzy. Posłałem przeciwko niemu oddział karny, który po krótkiej walce wziął go do niewoli. Kacyk na torturach zeznał, że uczynił to z polecenia Montezumy.

Wpadłem tedy na czele żołnierzy do pałacu króla, oskarżyłem go o zdradę i wśród lamentów jego licznych nałożnic zabrałem do swojej kwatery. Za karę zakulem go na kilka godzin w łańcuchy i kazałem mu się przyglądać, jak palono na stosie winowajcę.

Wiść o porwaniu króla rozeszła się oczywiście po mieście. Przed murem kwatery zgromadzili się zaniepokojeni poddani. Widząc zbiegowisko zagroziłem królowi, że nie pozostawię w mieście kamienia na kamieniu, jeżeli nie pokaże się na murze i nie oświadczy, iż przebywa wśród nas jako gość z własnej i nieprzymuszonej woli. Montezuma potulnie wykonał, co mu poleciłem.

— Czym należy wytłumaczyć sobie dziwny fakt, że nie skorzystał wtedy z okazji i nie wezwał swego ludu do walki?

— Przypuszczalnie w jego przekonaniu byliśmy wysłannikami białego boga, wobec których wszelki opór wydawał mu się daremny. Po trochu lękał się też może o własne bezpieczeństwo, ponieważ był to człowiek zniewieściały i małego ducha. Wreszcie, kto wie, może kierował nim szlachetny zamiar uchronienia mieszkańców od klęski i zagłady.

— Wydaje mi się dziwne, że lud dał się oszukać i nie wystąpił w obronie swego władcy.

— Tu właśnie sprawdziło się przypuszczenie, że masy indiańskie pozbawione kierownictwa zachowują się biernie. Wdrożone od wieków do ślepego posłuszeństwa, nigdy nie zdobędą się na samodzielność w działaniu. Warto, byś o tym pamiętał.

Zażądałem na przykład wydania całego skarbu królewskiego, a urzędnicy pałacowi natychmiast spełnili rozkaz bez szemrania. Potem przerobiliśmy jedną ze świątyni na naszą kaplicę, przy czym żołnierze zepchnęli posąg bożka ze stopni piramidy, a Tenochtitlan nie zaprotestował nawet tak, jak Totonacy. Przez sześć miesięcy spokojnie rządziłem miastem w imieniu uwięzionego Montezumy. I może ułożyłoby się wszystko jak najlepiej, gdyby nie gubernator Kuby Velasquez. W maju 1520 roku dowiedziałem się o wylądowaniu jego korpusu w Vera Cruz, musiałem więc pospiesznym marszem udać się tam z częścią żołnierzy, by wydać mu walkę.

— Słyszałem już o tym i muszę ci powinszować świetnego zwycięstwa nad przeważającym przeciwnikiem.

⁴¹ Londyn miał podówczas dwieście tysięcy mieszkańców.

— Skoro już wiesz, jak się to skończyło, opowiem ci raczej, co w czasie mojej nieobecności stało się w Tenochtitlanie. Zastępował mnie tam Pedro Alvarado, rycerz wypróbowany w walkach. Podczas całej kampanii był moją prawą ręką, gdyż miałem do niego całkowite zaufanie. Nie brałem jednak w rachubę jego lekkomyślnej brawury i żądy złota, dla której gotów był popełnić szaleństwo.

W czasie święta ku czci boga wojny na dziedzińcu piramidy zgromadziło się sześciuset najwyższych dostojników azteckich, by odprawić tradycyjne obrzędy. Jak zwykle stroje ich kapwały od złota, pereł, turkusów i szafirów. Alvarado, olśniony bogactwami, zaatakował ich z całym oddziałem żołnierzy, wyciął w pień, a trupy obdarł ze wszystkich kosztowności.

Tym razem struna została przeciągnięta. W mieście wybuchło powstanie. Rozjuszona ludność zapędziła moich ludzi w mury kwatery i odcięła im dowóz żywności. Każdej chwili należało spodziewać się ogólnego szturm i zagłady obłożonych. Jeden z żołnierzy wykradł się nocą z miasta i zawiadomił mnie o niebezpieczeństwie. Możesz wyobrazić sobie, jak pędziłem do nich na odsiecz.

Spodziewałem się, że Aztecy zastąpią mi drogę do miasta, by nie dopuścić do połączenia się naszych sił. Tymczasem, ku memu zdumieniu, zastałem ulice wymarłe, tak że bez przeszkód mogłem wkroczyć do naszej kwatery.

— Nie pojmuję, jak mogli oni popełnić taki błąd. Nawet dzikie szczepy indiańskie rozumieją, że łatwiej pokonać nieprzyjaciela, gdy jest rozbity na części. Przekonałem się o tym, kiedy walczyłem z Indianami podczas pierwszej wyprawy do Piru.

— Masz tu przykład zupełnej tępoty Azteków w sprawach taktycznych. Ich wodzowie trzymali się kurczowo starych sposobów walki, dobrych może w wojnach z pobratymcami, ale zgubnych wobec naszych żołnierzy uzbrojonych w broń palną. Przypuszczalnie myśleli, że zamknąwszy nas w pałacu z łatwością wszystkich wygubią. Na usprawiedliwienie Azteków trzeba powiedzieć, że podówczas nie poznali jeszcze na własnej skórze czym są nasze działa i arkebuzy. Zresztą, prawdę mówiąc, niewiele brakowało, a byłiby nas rzeczywiście wydusili w tym przeklętym pałacu.

Zaledwie zamknęły się za nami bramy, otoczyło nas nieprzebrane mrowie uzbrojonych po zęby wojowników. Ulice, dachy i piramidy pełne były mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci. Na nasze głowy sywał się bez przerwy grad strzał i kamieni. Wśród niebываłego zamieszania i ścisłu napastnicy pchali się na mury, pomimo że działa i arkebuzy siały wśród nich niebываłe spustoszenie.

Raz po raz zarządzałem wypady z konnicą i piechotą, ale wszystko okazało się daremne. Trатовani przez konie, pędzeni i rąbani bronią sieczną, Indianie wprawdzie umykali jak opętani, ale za chwilę znowu wracali do walki. Czepiali się nawet koni, ściągali z siodła jeźdźców, a żywcem wziętych zarzynali na kamieniu ofiarnym. Żeby nam odciąć drogę odwrotu, zburzyli na groblach mosty i usypali barykady. Ich zapalczywość zaniepokoiła mnie nie na żarty. Kazałem więc puszczać z dymem dom za domem, dzielnicę za dzielnicą, aż w końcu całe miasto zamieniło się w morze płomieni.

Wreszcie doszedłem do przekonania, że jedyną deską ratunku jest uzyskanie rozejmu i swobodnego wymarszu z miasta. Zwróciłem się do Montezumy z prośbą o pośrednictwo w tej sprawie. Zastosował się i tym razem do mego życzenia. Pokazał się na murze i wezwał lud do zaprzestania walki. Ale powstańcy stracili już szacunek dla jego majestatu. W odpowiedzi rozległ się ryk wściekłości, posypały się na niego obelgi i kamienie. Ugodzony w czoło Montezuma osunął się ciężko ranny na ziemię.

Ostatnie chwile spędził w samotnej rozpacz. Zdierał bandaż i odmawiał wszelkiego posiłku. Gdy umarł, wydaliśmy go Aztekom. Ukryli oni królewskie zwłoki tak dobrze, że do tej

pory nie odnaleziono ich.

Postanowiłem teraz wymknąć się cichaczem z miasta, korzystając z bezksiężycowej nocy. Myślałem, że mi się to powiedzie, gdyż Indianie mieli dziwny zwyczaj rozpraszania się na nocleg do swoich domów bez pozostawienia warty. Kazałem zbudować przenośny most, który miał umożliwić nam przekroczenie przekopów grobli, i wykradliśmy się z pałacu. Zdołaliśmy już przejść pierwszą wyrwę i zbliżaliśmy się właśnie do drugiej, gdy naraz dostrzegła nas jakaś Indianka i uderzyła na alarm.

Mój plan przez głupi zbieg okoliczności spalił na panewce. Całe miasto stanęło na nogach i puściło się za nami w pogoń. Grobla zapchała się nacierającymi wojownikami, na jeziorze zaroilo się od łodzi, zawrzała walka. Broniliśmy się do upadłego, ale straty w poległych i rannych rosły w zastraszający sposób. Od ostatecznej klęski ustrzegły nas jedynie szarże konnicy i salwy z broni palnej, które gruchotały łodzi i zmiatały Indian z wąskiego pasma grobli. Korzystając z zamieszania rzuciliśmy się wpław do wody i wydostaliśmy się wreszcie na stały ląd, gdzie mieliśmy większą swobodę manewrowania.

Przyznam ci się otwarcie, że ogarnęła mnie rozpacz. Straciłem trzecią część żołnierzy, wśród ocalałych nie było ani jednego bez cięższej lub lżejszej rany. W mieście poległo ponadto pięć tysięcy sojuszników indiańskich. Przepadły wszystkie działa i mnóstwo arkebuzów, a co najgorsze, większość koni. Na dno jeziora poszedł w dodatku cały skarb Montezumy, gdyż zbyt nam ciążył w walce i musieliśmy go porzucić.

Obdarci i wycieńczeni do ostatnich granic, postanowiliśmy wrócić do stolicy Tlaskalanów. Kiedy stanęliśmy na przełęczy panującej nad doliną Otumba, myśleliśmy, że nadeszła dla nas ostatnia godzina. Całe dno doliny wypełniły nieprzeliczone rzesze wojowników azteckich, odzianych w białe watowane kaftany. O wycofaniu się nie mogło być mowy, bo i gdzie mieliśmy się udać? Droga do Vera Cruz była daleka i zbyt uciążliwa na nasze siły, tym bardziej że nieprzyjaciel, deptając nam po piętach, na pewno szarpałby nas przez całą drogę.

Widziałem jedną tylko szansę ratunku. Aztecy popełnili znowu ten sam bezmyślny błąd taktyczny. Ściśnięci w zamkniętej dolinie, nie mogli wykorzystać swojej przewagi liczebnej i rzucić w bój tysięcznych oddziałów swoich wojowników. Postanowiłem przebić się przez ową bezkształtną masę ludzi. Kolumnę prowadziłem osobiście na wierzchołku, za mną szli krok w krok żołnierze dżgając rapierami, lancami i sztyletami, a na końcu przerąbywali się Indianie z swoimi strasznymi maczugami, nabijanymi kolcami z ostrego szkła wulkanicznego. W tych warunkach bitwa składała się z kolejnych pojedynków, w których Aztecy okazali się bezradni wobec naszych pancerzy i rapierów.

Mimo wszystko nie bylibyśmy dali im rady. Żołnierze byli już wyczerpani, a wielu z nich odniosło dotkliwe rany. Ja sam spadłem z konia i szpetnie się potłukłem. Masy nieprzyjacielskie napierały na nas coraz mocniej. Na szczęście w pobliżu ujrzałem naczelnego wodza Azteków. Poznałem go po wielkim pióropuszu zatkniętym na złotym drzewcu. Rzuciłem się więc w jego kierunku i zanim straż przyboczna zdołała się spostrzec, przebiłem go lancą i wyrwałem z ręki ów sztandar państwowy. Powtórzyło się znamienne dla Indian zjawisko: wstrząśnięte śmiercią wodza, wojsko azteckie rzuciło się w popłochu do ucieczki. 8 listopada 1520 roku odniosłem największe zwycięstwo w Nowej Hiszpanii⁴². Droga do Tlaskalanów była wolna.

— Nie obawiałeś się, że Tlaskalanie, korzystając z waszej słabości, zechcą was wykończyć?

— Oczywiście, liczyłem się z tą możliwością. Na wiadomość, że w Tenochtitlanie zginęło tylu ich synów i mężów, kobiety przyjęły nas płaczem i przekleństwami. Dowiedziałem się później, że na zwołanej radzie młode pokolenie Tlaskalanów domagało się wypowiedzenia nam

⁴² Taką nazwę nosił Meksyk w początkowym okresie kolonizacji.

wojny, ale król wraz ze starszyzną obstawał przy sojuszu. Przeważała w nich nienawiść do Azteków.

— Szczęście w nieszczęściu! — roześmiał się Pizarro.

— Nie opuściło mnie ono również w następnych dniach. Ani na chwilę nie porzuciłem myśli pokonania Azteków, ale trochę było to marzenie ściętej głowy. Nawet z posiłkami, ściągniętymi z Vera Cruz, byłem na to za słaby. Słowem, znalazłem się w położeniu nie do pozazdroszczenia.

I naraz zaczęły się zewsząd sypać nowe dostawy żołnierzy i broni. W Vera Cruz przyłapaliśmy okręt Velasqueza z dużymi zapasami uzbrojenia i amunicji. Gubernator Jamajki wysłał na podbój Azteków ekspedycję złożoną ze stu żołnierzy i dwustu konnych. Cały ten oddział przeszedł na moją stronę. Inną karawelę z zapasami i załogą nabyłem za zdobyte złoto od prywatnego armatora. Trzy dodatkowe okręty z załogą złożoną z dwudziestu pieszych i siedemdziesięciu konnych, które zjawiły się u brzegu Jukatana, również zwerbowałem do swojej ekspedycji. W końcu armia moja liczyła 818 żołnierzy piechoty, w tym 118 zbrojnych w kusze i arkebuzy, 110 konnych, trzy wielkie działa z żelaza i 15 falkonetek z brązu.

— Armia jak się patrzy.

— To jeszcze nie wszystko. Słuchaj, co się stało dalej. Jeden z żołnierzy Velasqueza, nawiasem mówiąc Murzyn, przywłókł z Hiszpanii ospę. Dostał się on do niewoli i zaraził Azteków. Ofiarą epidemii padały tysiące mieszkańców Tenochtitlanu. Zginął również brat Montezumy, wódz powstańców Coutlahuac. Jego następca Guatimozin ogłosił przeciwko nam świętą wojnę, starając się nakłonić do niej również Tlaskalanów. Ale plemiona indiańskie, częściowo z nienawiści do Azteków, częściowo dlatego, że zaraza w ich mniemaniu była karą białego boga za opór stawiany jego wysłannikom — pozostały głuche na to wezwanie. Co więcej, różne miasta i plemiona przysyłały na wyścigi poselstwa ofiarowując nam przymierze. Uformowałem w ten sposób korpus posiłkowy, liczący siedemdziesiąt pięć tysięcy wojowników indiańskich.

Najdotkliwszy cios zadało Aztekom miasto Texcoco, leżące, jak już wspomniałem, nad jeziorem naprzeciwko Tenochtitlanu i należące do federacji azteckiej. Zaoferowało mi ono nie tylko sojusz, lecz nawet zaprosiło w swoje mury. Powodem tej zdrady były jakieś zadawnione urazy i dynastyczne intrygi wśród arystokracji. W ten sposób uzyskałem bazę pod samym bokiem metropolii azteckiej.

W walkach na grobli podczas naszego odwrotu dała nam się porządnie we znaki flotylla łodzi azteckich. By przeciwstawić jej swoją własną flotę, kazałem zbudować trzynaście ożaglowanych brygantyn. Transport tych ciężkich łodzi ze stolicy Tlaskalanów do Texcoco przez przełęcz górskie był wysiłkiem prawie nadludzkim. Tysiące tragarzy indiańskich, pod ochroną dwudziestu tysięcy wojowników tlaskalańskich, trudziło się przy tym całe tygodnie.

Parę miesięcy poświęciłem na to, by zablokować Tenochtitlan i odciąć mu dopływ wody. Potem przystąpiliśmy do szturm na miasto przez trzy groble. Guatimozin zabarykadował je szańcami i fosami, flanki tych umocnień broniły roje łodzi indiańskich.

Rzuciłem do szturm całe wojsko, a jednocześnie wysłałem do walki brygantyny ukryte w zatoce miasta Texcoco. Indianie nigdy w życiu nie widzieli żagli, toteż nagłe pojawienie się wielkich, skrzydlatych łodzi wstrząsnęło nimi do głębi. Brygantyny, niesione wiatrem z zawrotną szybkością, natarły na flotyllę indiańską plując ogniem z falkonetek i arkebuzów. Niebawem jezioro zaroilo się od trupów i pogruchotanych szczątków łodzi.

Zwycięstwo na jeziorze odsłoniło boki i tyły wzniesionych na grobli barykad. Aztecy, osaczeni ze wszystkich stron, bronili się do upadłego, nie mogli jednak powstrzymać naszego natarcia. Zdobywaliśmy kolejno umocnienia, posuwając się powoli wzdłuż grobli do stolicy.

W samym mieście nie mieliśmy również łatwego zadania. Trzeba było szturmować każdy

dom i każdą piramidę z osobna. Niejednokrotnie wpadaliśmy w zasadzkę. Z dachów, ze szczytów piramid, zza murów i węglów mężczyźni, kobiety i dzieci zasypywały nas kamieniami i strzałami z łuków. Musieliśmy wtedy na łeb, na szyję się wycofywać.

Straciłem wreszcie cierpliwość. Kazałem podpalić miasto i wycofać się na środek grobli. Pożar zamienił domy w morze płomieni, widzieliśmy mieszkańców, jak nieprzytomnie błakali się po ulicach wśród trupów. Z wyżyn piramid rozlegało się posępne nawoływanie kapłanów i głuchy łomot bębnow. Był to istny lament demonów, który brzmiał tak niesamowicie, iż przechodziły nas ciarki.

Pewnej nocy żołnierze przyłapali wodza powstańców Guatimozina, gdy chciał wymknąć się przez jezioro na łodzi. Przyjąłem go z honorami. Na jego prośbę pozwoliłem reszcie ludności opuścić miasto i osiedlić się w okolicy. Z dymiących ruin przeciągał groblą długi korowód ludzi. Z trzystu tysięcy mieszkańców ocalało zaledwie siedemdziesiąt tysięcy.

Zajawszy miasto, przystąpiliśmy natychmiast do odszukania skarbu Montezumy, ale nic z tego nie wyszło. Podejrzewając Guatimozina, że ukrył przed nami złoto i drogocenne kamienie, kazałem go wziąć na mękę. Ale on, trzeba przyznać, trzymał się mocno i nie puścił pary z ust. Wtedy darowałem mu życie, jednakże później zawisł na stryczku, gdyż doszły mnie wieści, iż podburza ludność do powstania. Velasquez oskarżył mnie przed Najjaśniejszym Panem, że w ten sposób uchybiłem honorowi Kastylijczyka, chciałbym jednak wiedzieć, jak by on postąpił na moim miejscu.

Zaraz po zajęciu miasta przystąpiłem do jego zburzenia. Nawet jezioro zasypaliśmy gruzami. Ziemię rozdałem zasłużonym towarzyszom broni i przydzieliłem im chłopów indiańskich do jej uprawy. Za to wszystko — wiesz dobrze, jaka spotkała mnie nagroda.

Cortez zamilkł, z goryczą przeżuując swoją krzywdę. Pizarro nie śmiał zrazu się odezwać. Po chwili jednak starał się go pocieszyć:

— Nikt nie zdoła przekreślić twoich zasług. Przejdą one do historii, tak jak wiekopomne czyny Amadisa. Wierzę, że Najjaśniejszy Pan z czasem zrozumie, iż dał się zwieść przez złych i zawistnych doradców.

— Oby z pomocą Bożą tak się stało — westchnął zdobywca Meksyku.

— A teraz, bracie, wciąż jeszcze nie umiem sobie wytłumaczyć, jakim okolicznościom należy przypisać zwycięstwo. Nie mam zamiaru oczywiście pomniejszać twoich zasług wojennych, jednak przyznać musisz, że fakt podboju wielomilionowego państwa przez garstkę rycerzy musi zdumiewać i zastanawiać każdego doświadczonego w wojnach rycerza. Pewne rzeczy poniekąd już mi wyjaśniłeś — to prawda. Proroctwo białego boga, niedołęstwo wodzów azteckich w prowadzeniu wojny, nasza broń palna i konnica — wszystko to ładnie i pięknie. Ale was było tylko paruset, a tam mieliście do czynienia z dziesiątkami tysięcy bitnych wojowników, nie mówiąc już o milionowych rzeszach wrogiego ludu. Przecież w tym morzu musielibyście, prędzej czy później utonąć. A jednak stało się inaczej. Gdzie zatem tkwi najistotniejsza tajemnica twego powodzenia?

— W nienawiści wszystkich plemion indiańskich do Azteków. Byli to dzielni zdobywcy. W ciągu niewielu lat wywalczyli sobie rozległe mocarstwo, obejmujące Nową Hiszpanię, Jukatan i Gwatemalę. Jednak ich okrucieństwo i chciwość nie znały granic. Ujarmione plemiona kolejno wszczynały bunty i królowie azteccy mieli pełne ręce roboty, by je poskramiać.

Jednak najgorsze było tam bałwochwalstwo. Ich bóstwa bez ustanku łaknęły krwi ludzkiej. Ofiarę rzucano na wznak na blok kamienny, a czerwono ubrany kapłan rozpruwał jej pierś kamiennym sztyletem, wyszarpywał serce i rzucał pod stopy bałwana. Aztecy uprawiali ludożerstwo. Serca pożerali kapłani, a zwłoki, strącone ze stopni piramidy, zabierali co znamienitsi dostojnicy do swoich domów, by tam, upieczone i zaprawione korzeniami, pożreć na

uroczystej biesiadzie.

Ponieważ każdy dzień był poświęcony innemu z niezliczonych bóstw — krew ludzka przelewała się bez przerwy. Obliczyliśmy, że rocznie ginęło w ten sposób od dwudziestu do trzydziestu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Podczas uroczystości poświęcenia świątyni boga wojny w Tenochtitlanie zginęło na kamieniu ofiarnym dwadzieścia tysięcy jeńców. Montezuma uczcił swoją koronację oddając pod nóż czerwonych kapłanów dwanaście tysięcy ludzi.

Dostarczanie ofiar nienasyconym bożyszczom należało do stałej troski państwa azteckiego. Podbite plemiona musiały corocznie oddawać tytułem trybutu sporo swojej młodzieży. Najmniejszy objaw nieposłuszeństwa, nie mówiąc już o zbrojnym powstaniu, Aztecy karali porywaniem dodatkowych ofiar. Można wystawić sobie, jaką nienawiścią pałali mieszkańcy Nowej Hiszpanii do krwiożerczych ciemności.

Nic przeto dziwnego, że witano nas prawie wszędzie jako wyzwoliciele i sprzymierzeńców. Stopniowo zjednoczyłem podbite i torturowane plemiona. Przy oblężeniu Tenochtitlanu dysponowałem już stutysięczną armią wojowników indiańskich, szukających zemsty na swoich gnębielach.

Oto cała tajemnica mego powodzenia — roześmiał się Cortez. — Indianie odnieśli zwycięstwo nad Indianami, ja tylko nimi kierowałem.

Pizarro pożegnał się z kuzynem późno wieczorem. Wyszedł pod głębokim wrażeniem tego opowiadania. Ileż znalazł w nim analogii z tym, co podczas swego krótkiego pobytu zdążył już zauważyć w królestwie Tawantinsuju. Inkowie nie byli wprawdzie takimi dzikusami jak Aztecy, ale również i oni wierzyli w białego boga, który miał przynieść im zagładę, oni także zbudowali państwo na karkach podbitych, skorych do rebelii plemion indiańskich..

Pomyślał sobie, że jeżeli, podobnie jak Cortez, wyzyska z ręcznie niezgodę tamtejszych Indian, zwycięstwo niechybnie będzie miał zapewnione.

POWRÓT

Dostojna Rada Indii nadzór nad koloniami sprawowała z namaszczoną rozwagą i uważała, że uchybiłoby to jej godności, gdyby się zbyt spieszyła w urzędowaniu. Pizarro zmarnował w Toledo okrągły rok, czekając na załatwienie swojej prośby. Od czasu do czasu do czasu wzywano go wprawdzie do Alkazaru i jak na śledztwie poddawano dokładnym indagacjom, ale po takich przesłuchiowaniach następowały zwykle okresy głębokiego milczenia.

Wystawiało to nerwy Pizarra na ciężką próbę. On, człowiek czynu, zgoła nie mógł zrozumieć takiej opieszałości i dopatrywał się w niej intrygi. Czas dłużył mu się i uciekał, a tu na domiar złego stanęło mu przed oczyma widmo kłopotów pieniężnych, gdyż z pożyczki zaciągniętej w Panamie na podróż pozostało już tylko parę dukatów.

W ostatecznej depresji odwołał się o pomoc do cesarzowej Izabeli Portugalskiej, która pod nieobecność małżonka zawiadywała sprawami państwa. Młoda regentka przypomniała członkom Rady zalecenie cesarza i przynagliła ich do decyzji.

Jakoż dnia 29 lipca 1529 roku wezwano Pizarra przed oblicze wysokiego areopagu. W sklepionej sali siedzieli za długim stołem prałaci i parowie królestwa Kastylii. Notariusz Rady pochylał się nad aktem prawnym, który rozstrzygał los ekspedycji. Odkrywca czuł się jak podsądny i ledwie ukrywał zdenerwowanie. W miarę jednak jak notariusz odczytywał treść dokumentu, rosło w nim uczucie zadowolenia: każde słowo i każde zdanie, rozbrzmiewające oschle i rzeczowo w szacownej komnacie, zapadało mu w serce niby radosna fanfara zwycięstwa.

Bo też akt nadania przyznawał mu dosłownie wszystko, o co zabiegał. Przede wszystkim

otrzymał upoważnienie do zdobycia Peru. Przyszłej kolonii nadano nazwę Nowej Kastylii, a on miał sprawować nad nią władzę jako dożywotni gubernator i naczelny wódz sił zbrojnych z wszelkimi przywilejami przysługującymi wicekrólom. Było to wyjątkowe wyróżnienie, gdyż przywileje te obejmowały prawo do wznoszenia fortec i nadawania tak zwanych „repartimento”, czyli majątków lennych z odpowiednią liczbą pańszczyźnianych Indian, przywiązanych do ziemi.

Pizarra ucieszyło jednak najbardziej postanowienie Rady uznające go za prawowitego członka rodziny Pizarro i pozwalające mu pieczętować się herbem ojca. Herb ten wyobrażał na tarczy orła czarnego zawieszonoego między dwoma filarami, został jednak uzupełniony wizerunkiem okrętu żaglowego, miasta indiańskiego i lamy.

Almagro otrzymał nominację na komendanta fortecy Tumbez wraz z odpowiednią pensją i szlacheckim tytułem hidalga. Tym samym stała mu się wielka krzywda, gdyż według umowy, zawartej w Panamie, miało mu przyspaść w udziale stanowisko naczelnego wodza sił zbrojnych Nowej Kastylii. Wprawdzie Rada Indii zazwyczaj wolała powierzać wszystkie najwyższe urzędy jednej osobie, by zapobiec intrygom i walkom między kolonialnymi dygnitarzami, nie była to przecież niewzruszona zasada. Gdyby Pizarro lojalnie przedstawił zasługi Almagra i szczerze walczył o jego prawa, zapewne Rada byłaby się przyczyniła do jego prośby.

Natomiast co się tyczy księdza de Luque, to ambicji jego stało się zadość. Rada wyniosła go na stolec biskupi miasta Tumbez z pensją roczną tysiąca dukatów i obdarzyła tytułem „Protektora Indian Nowej Kastylii”.

Na wniosek Pizarra wynagrodzono również jego najbliższych towarzyszy, którzy szczególnie odznaczyli się w wyprawach odkrywczych. Candii powierzono komendę nad artylerią w przyszłej kolonii, kapitan Ruiz otrzymał zaszczytny tytuł „Wielkiego Pilota Mórz Południowych”, a jedenastu śmiałkom, którzy pozostali wierni Pizarrowi na wyspie Gorgona, przyznano tytuł hiszpańskiego hidalga.

Akt królewski zawierał również warunki. Pizarro miał najpóźniej w ciągu sześciu miesięcy postawić korpus ekspedycyjny liczący dwustu pięćdziesięciu ochotników, przy czym w razie niedotrzymania terminu cały akt nadania uległby unieważnieniu. Ponadto był zobowiązany wyruszyć na podbój Peru nie później niż w sześć miesięcy po powrocie do Panamy. Rada Indii ze swej strony obiecała dostarczyć artylerii i pewnej liczby broni ręcznej. Władze kościelne zastrzegły sobie, aby Pizarro zabrał ze sobą księży i zakonników jako kapelanów wojska oraz przyszłych misjonarzy wśród pogańskich ludów Nowej Kastylii. Specjalna klauzula wykluczała z ekspedycji adwokatów, gdyż — jak głosił tekst — mogliby oni zaszcześcić w nowej kolonii swary i pieniactwo.

Z Toledo pospieszył Pizarro do rodzinnego miasta Trujillo w Estremadurze. Korciło go, żeby pokazać się tam w całym blasku swego imponującego urzędu. Miał ponadto nadzieję, iż lepiej powiedzie mu się tam werbunek ochotników.

Jakoż nie pomylił się w rachubach. Przyjazd jego wywołał niebywałe poruszenie. Całe miasto wyległo na ulice, by ujrzeć dawnego podrzutka i świniopasa, który wracał jako wicekról i faworyt cesarski. Poczciwe mieszcuchy prześcigały się w uprzejmościach i zabiegały o jego przychylność, choć niejeden z nich utopiłby go z zazdrości w łyżce wody. Młodzi ludzie garnęli się do niego tłumnie, gdyż liczyli, że jako ziomkowie i krewniacy szybko dorobią się urzędów i bogactw w podbitym kraju.

Wśród ochotników znalazło się paru członków jego najbliższej rodziny. Gonzalo i Juan Pizarro byli jego przyrodnimi braćmi, także nieślubnymi synami ojca, ale z innej matki. Piętnastoletni kuzyn Pedro Pizarro różnił się od innych tym, że otrzymał pewne wykształcenie, co zjednało mu stanowisko giermka i osobistego sekretarza odkrywcy. Najstarszy z nich, Hernando Pizarro, był jedynym ślubnym synem starego pułkownika i z tego tytułu spoglądał z

góry na wszystkich bękartów rodziny, nie wyłączając samego Francisca. Nieokrzesany i prostacki, odznaczał się nie tylko siłą fizyczną i wzrostem, lecz wybitnymi, choć przeważnie ujemnymi cechami charakteru. Skupiały się w nim niejako najgorsze przywary Kastyljczyka: brak skrupułów, gwałtowność, chciwość, zazdrość i skłonność do intryg. Od samego początku zdobył on wielki wpływ na Francisca i miał mu sprawić w przyszłości wiele kłopotów. Do ekspedycji przystał jeszcze jego brat przyrodni i nieślubny syn matki, Francisco Martin de Alcantra.

Małe Trujillo nie mogło jednak dostarczyć wszystkich ochotników przewidzianych aktem królewskim. Nie poszło mu tam również łatwo z uzyskaniem potrzebnych funduszków. Musiał więc popróbować szczęścia w Sewilli. Właściciele kantorów i kupcy niechętnie ryzykowali swoje kapitały na przedsięwzięcie, którego wynik był tak problematyczny. Dopiero pośrednictwo znajomych Pizarra i zgoda na lichwiarskie odsetki otworzyła ich zazdrośnie strzeżone kiesy.

Do akcji werbunkowej przykładał się pilnie również Felipillo. Nauczył się on już płynnie mówić po hiszpańsku i wszędzie, czy w zajazdach, czy na ulicach, z zapałem opowiadał cuda o złotych ogrodach i świątyniach Inków. Ale ktokolwiek miał jakąś żyłkę do przygody, już dawno zaciągnął się do wojsk cesarskich lub wyruszył do zamorskich kolonii. Ci, co pozostali w mieście, byli to po większej części ludzie stateczni; zamiłowani domatorzy. Opowiadał o bajecznych bogactwach, owszem, słuchali chętnie, lecz potem, jakby nigdy nic, wracali do swoich codziennych kłopotów.

Gdy przeto okres sześciu miesięcy dobiegał końca, Pizarro zdążył zgromadzić wszystkiego 180 żołnierzy piechoty i 27 jazdy. W styczniu 1530 roku ładował ochotników na pięć małych karawel, gdy dowiedział się, że do Sewilli ma przybyć komisja królewska z zamiarem przeprowadzenia kontroli, czy wszystkie warunki królewskiego aktu zostały spełnione.

Pizarro przypomniał sobie tedy fortel Corteza na Kubie i postanowił pójść za jego przykładem. W porcie pozostawił dwie karawele pod komendą przyrodniego brata Hernanda, a sam z trzema pozostałymi okrętami wymknął się cichaczem na pełne morze. Cała flotylla miała spotkać się przy kanaryjskiej wyspie Gomora i razem już pożeglować do Panamy.

Urzednicy komisji królewskiej, oburzeni ucieczką Pizarra, odgrązali się, że wniosą zażalenie do samego cesarza, byli jednak w gruncie rzeczy bezradni. Hernando zaklinał się na wszystkie świętości, że na pięciu karawelach znajduje się taka liczba żołnierzy, jaką Pizarro zobowiązał się zwerbować. Nie mając możliwości przeprowadzenia kontroli, urzednicy jak niepyszni wrócili do Toledo.

Armada szczęśliwie dotarła do Panamy i zawięła do portu Nombre de Dios. Tam czekali już na nią ksiądz de Luque i Almagro. Wieść o jej zbliżaniu się jakimś zagadkowym sposobem dotarła do nich na kilka dni wcześniej, natychmiast więc ruszyli w drogę poprzez góry i moczary panamskie, by jak najprędzej dowiedzieć się od Pizarra, jak mu się powiodła misja na dworze cesarskim.

Na widok pięciu karawel i dobrze uzbrojonego korpusu ekspedycyjnego radość ich nie miała granic. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że Pizarro po całorocznym pobycie w Hiszpanii odniósł zupełny sukces. Zaraz też zamknęli się z nim w kajucie, żeby wysłuchać sprawozdania.

W czasie odczytywania przywileju cesarskiego Almagro zbladł i zadrzał z wściekłości.

— Ładny z ciebie towarzysz broni, nie ma co! — warknął do Pizarra. — Jeżeli ci się ubrdało, że można zbyć mnie byle ochłapem, to się grubo mylisz. Byłem kpm, że już dawno nie przejrzałem twoich plugawych matactw. Chwytaj za żelazo, któryś z nas nie wyjdzie żywy z tej kajuty!

Oczy przeciwników kłuły jak szpilki, w powietrzu błysnęły klingi. Ksiądz rzucił się między nich z rozłożonymi ramionami i napominał, aby się opamiętali.

— Mości panowie — strofował ich — nie jesteście przecież dziećmi, nie przystoi, abyście dawali zły przykład żołnierzom, którzy na pewno nas podsłuchują. Musimy jakoś dojść do ugody, aby nie wystawić na szwank naszej wyprawy. Mości Almagro, nie ma dwóch zdań, że stała ci się krzywda. Posłuchajmy jednak, co Pizarro ma na swoje usprawiedliwienie.

— Co mi tam usprawiedliwienie — wtrącił Almagro z goryczą. — Wiem już, jaka spotkała mnie nagroda za trudy, niebezpieczeństwa i uczciwą robotę. A przecież wyjeżdżając Pizarro zapewniał nas, że będzie pilnował naszych interesów jak swoich własnych. Przykro mi o tym mówić, ale wielebnemu księdzu łatwo przychodzi zgoda, przecież pragnieniu jego stało się zadość. Mnie natomiast skrzywdzono, ośmieszono w oczach świata, skoro zasługom moim tak niską dano ocenę.

— Bóg mi świadkiem, że nie poczuwam się do żadnej winy! — bronił się Pizarro, — Robiłem, co mogłem, by zapewnić Almagrowi naczelne dowództwo sił zbrojnych Nowej Kastylii, ale Rada Indii nie chciała o tym słyszeć. Powiedziano mi, że byłoby to sprzeczne z jej polityką, która polega na tym, że najwyższe urzędy w nowych koloniach powierza się zawsze tylko jednej osobie. Musiałem więc wybrać jedno z dwojga: przyjąć oba urzędy lub też zrezygnować całkowicie z naszych planów. Wątpię, czy byłoby wam miło, gdybym wrócił z Hiszpanii z próżnymi rękoma.

— Chcesz mi, bratku, zamydlić oczy bajkami dla grzecznych dzieci.

— Słuchaj, Almagro! Kraj Tawantinsuju jest dość duży, by zaspokoić zarówno twoje, jak i moje ambicje. Powierzone mi urzędy są w rzeczywistości również twoimi urzędami, gdyż będę dzielił się z tobą po przyjacielsku wszystkim, co tylko posiadę.

— Tym razem nie weźmiesz mnie na lep słodkich słówek, sparzyłem się raz jeden i mam tego po uszy. I powiem ci jeszcze coś: nie w smak mi twoja rodzinka. Hernando, ta nadęta purchawka, ledwie raczył się ze mną przywitać, a reszta nie lepsza od niego. Ludzie zaczynają już sarkać i patrzeć krzywym okiem na tych pasożytów, co się tu przypętały prawem kaduka, żeby tuczyć się naszym trudem i potem.

— Wara od mojej rodziny! — krzyknął oburzony Pizarro. — Zgoda zgodą, ale jeżeli ci to nie dogadza, możemy raz na zawsze pożegnać się ze sobą.

Ksiądz de Luque próbował parę razy wmieszać się do kłótni i zmitygować rozeźlonych przeciwników, nie mógł jednak dorwać się do głosu. Almagro skrzywił się zjadliwie i ważąc każde słowo odpowiedział z wymuszonym spokojem:

— Pierwsze rzetelne słowo, jakie wyszło z twoich ust, mości Pizarro. A więc dobrze, każdy własną drogą! Nie wiem tylko, jak na tym wyjdiesz. Wybornie dam sobie radę bez ciebie. Znajdą się fundusze na wyekwipowanie karaweli, a co się tyczy ludzi, no to zobaczymy, kto ich więcej zwerbuje. Pozwól sobie, jeśli łaska, powiedzieć, że nie poszła jeszcze w zapomnienie twoja przechadzka po dżungli i hojne szafowanie życiem ludzkim. A więc wyścig do kraju Inków! Kto pierwszy, ten lepszy. Dobiliśmy targu, mości Pizarro.

Almagro zerwał się z ławy i opuścił kajutę, zanim ksiądz de Luque zdążył go zatrzymać. W Panamie obaj wodzowie zaczęli na własną rękę przygotowywać ekspedycję do Peru. Almagro znalazł nawet bogatego współnika, który zgodził się pokryć wszystkie koszty. Okazało się ponadto, że istotnie cieszył się daleko większą popularnością niż Pizarro: do jego szeregów przystawali nie tylko osiedleńcy Panamy, lecz przechodzili nawet ochotnicy, których Pizarro przywiódł z Hiszpanii.

Almagro stał się w końcu siłą, z jaką nie sposób było się nie liczyć. Ksiądz de Luque robił, co mógł, aby położyć kres rozłamowi, który groził nieobliczalnymi konsekwencjami. Gdyby na przykład rywalizujące ekspedycje spotkały się na obszarze Peru, nieuchronnie musiałyby dojść do rozlewu krwi hiszpańskiej.

Książdz był do tego stopnia przerażony, że sprowadził sędziego Espinozę z dalekiego San Domingo, gdzie właśnie bawił chwilowo. Przy jego pomocy udało mu się nakłonić poróżnionych kapitanów do pozornej przynajmniej zgody i ponownego połączenia wysiłków. Spisana umowa wyszczególniała dokładnie ich prawa i obowiązki.

Pizarro odstąpił Almagrowi komendę sił zbrojnych przyszłej kolonii i wystosował natychmiast petycję do cesarza o zatwierdzenie tej zmiany. Ponadto Almagro wywalczył prawo do wykrojenia dla siebie własnego, niezależnego gubernatorstwa na zdobytym obszarze. Pizarro musiał przyrzec, że dopiero po pełnym zaspokojeniu roszczeń Almagra i jego najbliższych współpracowników pomyśli o zaopatrzeniu krewniaków w dobra lenne, przywileje i dostojęstwa.

Część II. INKOWIE

TANIEC KSIĘŻYCA

Bogini księżycyca Mama Kilia⁴³, małżonka boga słońca Inti, miała swój dzień świąteczny. Oblicze jej jarzyło się nad stolicą niby lampion magiczny. Kotlina, otoczona ścianami skalnymi, wypełniona była po brzegi świetlistą poświatą, w której Cuzco widniało jak w jasny dzień.

Na północnym skraju miasta wyrastała z samotnej skały warownia Sacsahuaman, obwiedziona potrójnym pierścieniem cyklopowych murów. Po obu stronach wąskich, wyboiście brukowanych uliczek ciągnęły się bezokienne ściany pałaców, pobudowane z ogromnych, wielokątnych, a ściśle dopasowanych bloków kamiennych. Na przedmieściach rozłożyło się ciasne zbiorowisko ubożuchnych lepianek, w których mieszkało pospólstwo.

Ulice pozbawione były chodników, gdyż Inkowie przez dziwaczny kaprys dziejów nie zdobyli się na wynalazek koła i nie posługiwali pojazdami. Pomimo nocy ulicami płynęła nieprzerwana rzeka pielgrzymów, a w nurcie jej posuwały się wolno karawany jucznych lam, pędzonych przez pastuchów indiańskich.

Nakazem rytuału nie wolno było w święto księżycyca zapalać ognisk ani pochodni. W blasku księżycyca ludzie dążyli do wspólnego celu drobnym truchcikiem. Był to chód właściwy góralom andyjskim, nabyty odwiecznym doświadczeniem, pozwalający bez znużenia przebywać dalekie odległości. Twarze mężczyzn o miedzianym odcieniu skóry odznaczały się sępimi nosami; pyzate buzie kobiet i dzieci, o wysokich kościach policzkowych i czarnych migdałowych oczach, przypominały posążki dobrze odżywionych bożków.

Kotlina Cuzco leży 3500 m nad poziomem morza, słynne jednak z obfitych zbiorów i dobrego klimatu. Jest to w surowym otoczeniu Andów prawdziwa oaza, gdzie dobrze przyjęły się ziemniaki i kukurydza, pastwiska zaś pozwalają wypasać stada lam, dostarczających mięs i wełny.

Wszelako z nastaniem zmierzchu rozrzedzone powietrze ostyga nader szybko i bywa niekiedy, że temperatura spada nawet poniżej zera. Przez dolinę ciągną wtedy ze śnieżnych wyżyn andyjskich mroźne prądy powietrza. Za to równo ze wschodem słońca życie w dolinie Cuzco nabiera nowych rumieńców. Trudno się przeto dziwić, że plemiona Andów od niepamiętnych czasów oddawały cześć boską słońcu, że widziały w nim orędownika i dobroczyńcę ludzkości.

Uroczystość Mamy Kili przygotowano, jak zwykle, na głównym placu Hukaypata. Rozległą, czworokątną przestrzeń zatłoczyły, głowa przy głowie, nieprzeliczone rzesze odświętnie przystrojonego ludu. Plac zamykały z trzech stron parterowe budowle z granitu i porfiru, nakryte strzechami z sitowia i liści palmowych. Natomiast czwarty bok placu zajmował gruby mur obronny; otwarte na oścież wierzeje wiodły do świątyni słońca noszącej miano „Korikancza”, co znaczy „dom złota”. Był to piętrowy budynek o surowej i prostej architekturze, nakryty strzechą; różnił się tym od pozostałych budynków miejskich, że ozdabiał go szeroki gzyms wytrybowany ze złotych blach, które w świetle księżycyca płonęły jak żywy ogień.

Tym razem wyjątkowo król nie uczestniczył w obrzędach religijnych. Dziesiąty władca dynastii Inków, Tupak Yupanki, wyruszył na podbój północnego królestwa Quito. Do Cuzco dotarły wieści, że w ciężkich walkach zajął już spory szmat nieprzyjacielskiego obszaru, że jednak królewskiego sztandaru tęczy nie zdołał jeszcze zatknąć nad stolicą Quito, gdyż mimo

⁴³ „Mama” w języku keczua „matka”.

długiego oblężenia bronił się tam bohatersko król Kacza.

Tupak Yupanki pozostawił w stolicy prawowitą małżonkę, harem rozlicznych nałożnic i dosłownie setki potomstwa. Zanim wyruszył na wyprawę wojenną, wyznaczył na następcę tronu ulubionego, ale nie pierworodnego syna, Huaynę Kapaka⁴⁴, obwiązując mu głowę złotą opaską, oznaką najwyższej po królu godności. Był to czternastoletni chłopiec, który dopiero za dwa lata miał otrzymać złote kolczyki pełnoletniego Inki. Na razie kształcił się pod okiem arystokratycznych mędrców z kasty amautów i uczęszczał do szkoły Yacha Huasi, przeznaczonej wyłącznie dla synów krwi szlacheckiej.

Młodzietki następcy tronu wkroczył w towarzystwie opiekunów na plac uroczystości. Zebrane pospólstwo rzuciło się na ziemię przed obliczem syna słońca, podczas gdy arcykapłan wiliak—umu, odziany w pozłociste szaty i wysoką tiarę, witał go z należną czołobitnością.

W tejże chwili zabrzmiały głuche, jękliwe tony konchy — obrzędy ku czci Mamy Kili rozpoczęły się. Przed kamień ofiarny sprowadzono lamę okrytą czerwonym czaprakiem z frędzlami i dzwoneczkami z miedzi. Kapłan ofiarnik wraził sztylet w serce zwierzęcia, a krew wytoczył do kamiennej misy. Tymczasem inni kapłani składali w ofierze kukurydzę, ziemniaki, liście koka i tytoń, używany przez Inków tylko jako zioło lecznicze. Na ołtarzu nie płonął ogień, gdyż w święto Mamy Kili nawet obiad nie wolno było palić.

Po złożeniu ofiar i odmówieniu przez arcykapłana modlitwy do Mamy Kili na placu zakotłowało się wesoło. Na środek wystąpił sędziwy pieśniarz ludowy, zwany „harawek”, i rozlewnym, zawodzącym głosem jał opiewać przygodę czarnej pumy, która zapłonęła miłością do księżycyca:

*Czarna puma błądzi w nocy,
Nie poluje,
Tylko jęczy, jęczy, jęczy.
Nie używa swoich kłów
Ani ostrych swych pazurów
Na urwiskach Urubamby.*

*Czyś już stara, pumo sroga,
Że nie płoszysz już jeleni,
Że papugi z ciebie szydzą,
I że małpy z ciebie drwią,
Nawet lamy tobą gardzą?*

*O, niestara jeszcze puma,
Jeszcze pełna groźnej mocy,
Jeszcze stąpa bez szelestu
I ślepiami świeci ostro,
I ogonem się biczuje.*

*Jeno że się zakochała
W jasnej twarzy Mamy Kili.
Teraz płacze i skowycze,
Błaga, skomłę i zaklina*

⁴⁴ „Kapak” znaczy „władca”.

*I spogląda, wciąż spogląda
W boskie światło Mamy Kili.*

*Oj, niemądre z ciebie zwierzę,
Jakże ważysz się przypuszczać,
Że się odwzajemni tobie
Uroziwa Mama Kilia?*

*Ona wierną jest małżonką
Złocistego boga Inti,
Ona gardzi tobą, pumo,
I odrzuca twe umizgi.*

*I z miłości oszalała
Czarna puma nieszczęśliwa,
I zawyla tak straszliwie,
Że zadrżały
Vilcapampy góry,
Ze kondory nawet święte
Pochowały się w pieczarach.*

*Czarna puma obłąkana
W swej zazdrości i rozpacz
Dała susa w ciemne niebo
I zraniła pazurami
Uroziwą Mamę Kilię.*

*Patrzcie, patrzcie i biadajcie,
Jak oblicze jej promienne
Naznaczone jest bliznami!
Mamo Kilio, Mamo Kilio,
Ukarz zbrodnię czarnej pumy!*

Kiedy pieśniarz skończył, ozwała się zgiełkliwa orkiestra bębnów i fujarek. Rozpoczął się obrzędowy taniec pumy i księżycy. Długi łańcuch trzymających się za ręce mężczyzn, kobiet i dzieci wsunął się posuwistym krokiem na wolną przestrzeń placu. W takt monotonnej melodii, surowej a dziwnie porywającej, tancerze wywiedli płas pełen dostojnego umiaru. Bębny huczały jednostajnym łomotem, piszczałki zawodziły, korowód tancerzy wyginał się jak wąż, podrygiwał, występował naprzód i cofał się do tyłu. Jeden i ten sam zwrot muzyczny, powtarzany bez końca, wprowadzał umysły w stan rosnącego oszołomienia, wypowiadał jakąś nieukojoną rozterkę, wpadał w czułe zakłęcia, to znowu wybuchał buntem i protestem.

Muzyka wzbierała namiętnością, aż w końcu przeobraziła się w rozszalałą orgię dźwięków. Wyrażała w ten sposób gniewną zaborczość i rozpaczliwą niemoc drapieżnika, opętanego miłością.

Nawałnica fujarkowych treli i pulsującego łomotu bębnów wprawiła tłumy w stan niebywałego podniecenia. Tancerze zerwali teraz żywy łańcuch i odzyskawszy swobodę wykonywali, każdy z osobna, dzikie i cudaczne ruchy taneczne, mające wyobrazić pumę

skaczącą do księżycy.

Ciżba przyglądających się Indian pobudzała ich do wysiłku klaskaniem, nawoływaniem i nuceniem natrętnie powracającej melodii. Powstał wrzask i zgiełk nieopisany, który odbijał się po górach szerokim i rozgłośnym echem⁴⁵.

Następca tronu siedział na złotym zydłu jak posąg i zdawał się nie brać udziału w zabawie. Była to jednak tylko zewnętrzna postawa, jaką narzucili mu opiekunowie. Żółta opaska na czole obarczała młodzieńca ciężarem surowej etykiety, wynosiła na niedościgłe wyżyny samotnego dostojęstwa. Ale jego bujna, niepohamowana młodość z trudem znosiła narzucone wędzidła i chętnie zatraciłaby się w rozkosznych tańcu, w którym od wieków lud wyrażał swoje najtajniejsze porywy serca. Opiekunowie spozierali nań z niepokojem, ile razy oczy jego zapłonęły ogniem lub usta mimowolnie układały się do śpiewu czy okrzyku zachęty.

Podczas gdy Cuzco w najlepsze się bawiło, księżyc z nie spokojem żeglował po niebie rozrzucając szeroko swoje blaski. Gdy zaszedł za masywem przełęczy górskiej, mieszkańcy miasta rozproszyli się do swoich domostw. Na placach i ulicach pozostawali tylko pielgrzymi z okolicznych wiosek, by przeczekać noc i o pierwszym brzasku udać się w powrotną drogę.

Huayna Kapak wrócił w towarzystwie świty do pałacu królewskiego. Był to zespół parterowych budowli, na zewnątrz nie różniących się niczym od pozostałych gmachów kamiennych. Ten sam cytadelowy wygląd murów z nieregularnie ciosanych bloków kamiennych, ta sama prostota architektury, nawet takie same strzechy dachów.

Dopiero po przekroczeniu bramy wchodziło się jakby w zaczarowany świat baśni, gdzie rozsiadł się przepych i splendor. Przybyszów witał dziedziniec tonący w bujnej zieleni. Pośrodku połyskiwał niby drogocenny klejnot kolisty basen ujęty w złotą cembrowinę; wypełniała go kryształowa woda, sprowadzana srebrnymi rurami z pobliskich źródeł górskich.

Wśród kwietników i zarośli tkwiły złote i srebrne rzeźby, wyobrażające pumy, jaguary, lamy z pastuchami, kondory, flamingi i papugi. W złocistych klatkach, porozstawianych w ogrodzie, trzymano ponadto żywe zwierzęta. Drzemały tam na drążkach papugi o różnorodnym upierzeniu, krążyły na miękkich łapach drapieżniki, tuliły się do siebie małpki, sprowadzone z dalekiej dżungli.

Dziedziniec zamykał szereg odrębnych domków, do których wchodziło się przez dziwne, zwężające się ku górze wejście, zasłonięte wzorzystą tkaniną. Huayna Kapak szybko przeszedł ogród i przekroczył próg domu przeznaczonego mu na mieszkanie.

Komnata, w której się znalazł, oświetlona była pochodniami. Ściany, powleczone złotą, polerowaną okładziną, błyszczały jak tafle lustrzane. Belkowaną powalę zdobiły stylizowane motywy roślinne, utrzymane w żywych kolorach. Na podłodze rozesłane były od ściany do ściany puszyste skóry pum i jaguarów. Skąpe umeblowanie, całe ze srebra i złota, składało się z zydli, niskich stolików oraz tapczanów krytych narzutami z wzorzystej tkaniny. We wnękach ściennych, pełniących rolę szaf, przechowywano wszelkiego rodzaju sprzęt domowy, jak kubki, półmiski, wazy i puchary ze złota i srebra oraz z ceramiki rzadkiej piękności. W narożniku pokoju stał mały ołtarzyk z kamiennym posążkiem bożka domowego zwanego „konopa”, przed którym płonęło święte ognisko.

Zwyczaj wymagał od Inków, aby w święto Mamy Kili spędzili całą noc na czuwaniu. Huayna Kapak siadł wraz z arcykapłanem do późnego posiłku. Służebnice, odziane w krótkie błękitne tuniki, stawiały przed nimi złote półmiski pełne mięsa, gotowanej kukurydzy, ziemniaków i owoców, a do kubków przelewały z dzbanów kukurydziane piwo „czicza”. Na dziedzińcu, u

⁴⁵ Do dziś potomkowie Inków wykonują w odległych wioskach taniec księżycy przy wtórze starodawnych instrumentów muzycznych.

progu książęcej komnaty, usiadł młody pastuch i błędząc spojrzeniem po gwiazdach, wygrywał na glinianej fujarce łagodną a tęskną melodię góralską.

Po wieczerzy zbliżył się w pokornej postawie amauta opiekun i na przyzwalające skinienie księcia rozpoczął swoją codzienną naukę:

— Boski Tupak Yupanki, wyruszając na podbój północnego królestwa, polecił ci powiedzieć: bądź waleczny i nieubłagany w walce, nigdy jednak nie odmawiaj przebaczenia pokonanemu przeciwnikowi. Mądry bowiem król Paczakutek, twój dziadek, mawiał zawsze, że gniew zdradza słaby charakter. Ponadto raczył ojciec ci przypomnieć, abyś się nie wbijał w dumę z powodu swego wyniesienia i nie ranił swych braci szorstkością. Wielki król Rokka Sapa, twój boski przodek, wyrzekł odchodząc do boga Inti: „Duma nie wzbogaca umysłu, lecz uboży, gdyż pozbawia go rady uczciwych ludzi”.

— Nadejdzie kiedyś dzień, kiedy zaczniesz panować jako jedenasty król Inków — przemówił teraz arcykapłan — dlatego winienes pamiętać, że bóg Inti wysłał ciebie na ziemię, iżby świat cały stał się królestwem słońca, aby ludzkość ujrzała prawdę i uznała go za najwyższe bóstwo. Gdzie wyrastają świątynie boga Inti, tam człowiek poznaje dobrobyt i szczęście, tam pełni się bujne życie bez głodu i cierpień, tam skromność, posłuszeństwo, uczciwość i pracowitość panuje, tam pola dają obfite plony, a ludzie nie chodzą nago jak dzikusy.

Młodzieniec zamyślił się na krótką chwilę i odpowiedział:

— Świątobliwy kapłanie! Mój rodziciel, boski Tupak Yupanki, obarczył mnie wielkim zadaniem. Chcę temu zadaniu sprostać, chcę służyć bogu Inti, ile sił starczy. Czyż jednak królestwo nasze nie rosło przede wszystkim walecznością mojego rodu? Muszę być wojownikiem, a nie kapłanem. Pragnę iść w ślady boskich przodków. Założyciel rodu Sinczi Rokka⁴⁶, moi pradziadowie i mój ojciec rozszerzali królestwo słońca zbrojną ręką. Mój rodziciel, zaszczycając mnie żółtą opaską następcy tronu, tak mi powiedział: „Miłuję cię więcej niż twego starszego brata, gdyż lepiej niż on władasz łukiem, procą, oszczepem i maczugą, gdyż zwinny jesteś jak puma i szybki jak goniec najlepszy, przebiegający niczym wichur w gościńce królewskie”.

— Zdobywaj sławę w bojach z nieposłusznymi plemionami, synu słońca — odparł arcykapłan — pamiętaj jednak, że sława bez miłości poddanych to jak głos bębna w bezludnej pustyni. Niechaj lud widzi w tobie boskiego potomka słońca, który karze tylko w potrzebie, a na co dzień jest ojcem dbającym o dobro kraju.

— Synu słońca — wtrącił amauta — jak na niebie jest tylko jedna ścieżka, po której chadza boskie słońce, tak istnieje jedna tylko słuszna droga dla jego latorośli na ziemi. A owa droga — to służba bogu Inti.

Następca tronu ściągnął brwi, jakby nierad z tych nauk, i odpowiedział z ledwie ukrywanym cieniem przekory w głosie:

— Kiedyś byłem obecny, gdy ojciec Tupak Yupanki wiódł rozmowę z astronomami. Utkwiło mi na zawsze w pamięci, co naówczas powiedział: „Że też słońcu nigdy nie sprzykrzy się wędrować po niebie jednym i tym samym szlakiem! Czyżby było ono jak ta lama, co krąży i krąży wokoło, ponieważ jest przywiązana postronkiem do drzewa? Czyżby nasz ojciec słońce miał nad sobą pana jakiego, który każe mu codziennie odbywać tę samą drogę?”

Arcykapłan, dotknięty do żywego takim brakiem pobożności, rzekł z największą powagą w głosie:

— Młody książę, nigdy nie powtarzaj myśli, której jeszcze nie zdążyłeś ogarnąć umysłem, zwłaszcza nigdy nie ujawniaj jej niepowołanym. Byłby to na nich wyrok śmierci, gdyby usłyszeli

⁴⁶ „Sinczi” znaczy „silny człowiek”

je z twoich ust; musielibyśmy na żer drapieżnikom i węzom wtrącić ich do lochu, gdzie zazwyczaj kończą winni bluźnierstwa przeciwko bogu i królowi.

— Bóg Inti — pouczał amauta uroczyście — jest ojcem dynastii Inków i założycielem naszego państwa. On wiedzie nasze wojska do zwycięstw, on czuwa nad ładem w kraju, on uczy poddanych posłuszeństwa, pokory i pracowitości. Słowem, jest bliski nam, zrozumiąły i umiłowany.

— A bóg Wirakocza? — zagadnął książe znieca.

— Wirakocza — odrzekł na to arcykapłan, westchnąwszy smutno — jest daleki. To Wielki Duch, którego od dawien dawna czci się w mieście umarłych Tiahuanaco i w starej nadmorskiej świątyni Pachacamac⁴⁷. I my go czcimy, to prawda, przejęliśmy go jednak od podbitych plemion. Natomiast naszym bogiem, najwyższym bogiem Inków, jest promienisty Inti. Jemu powinieś służyć, jako że jemu zawdzięczasz swoją krew i swoje ciało.

— Pozwolisz synu słońca, że dla pokrzepienia przypomnę ci dzieje twego boskiego rodu? — zapytał amauta.

Nie czekając na znak przyzwolenia opiekun księcia rozpoczął swoją opowieść w sposób, w jaki uświęconym zwyczajem opowiadano w Peru legendy i mity. Głos jego falował, to opadał, to wznosił się na przemian, a w owej rozkołysanej, zapamiętałej pół—melodii i pół—deklamacji czuło się jakoweś pradawne powinowactwo z dziką melodią Andów, z jękiem ich wichrów, z szumem potoków i siklaw, z grzotem burz i zawodzeniem śnieżnych zamieci.

— Pewnego dnia — prawil amauta — bóg Inti zmiłował się nad ludzkością i postanowił wyprowadzić ją ze stanu dzikości. W podobłocznej pieczarze Pakiratambu⁴⁸ wydał na świat czterech synów i cztery córki. Złączywszy rodzeństwo w stadła małżeńskie⁴⁹ wręczył im klin z litego złota i powiedział: Ruszajcie w świat, a tam, gdzie klin z łatwością zanurzy się w glebę, załóżcie waszą siedzibę. Uczcie ludzi rolnictwa i dobrych obyczajów, pokażcie im, jak stawia się domy i świątynie, a potem, złączywszy ich w społeczeństwo pełne ładu i szczęśliwości, panujcie nad nimi w imieniu moim.

Bracia wraz z siostrami— żonami wyruszyli w drogę i po długiej wędrówce znaleźli się w dolinie Cuzco. Ponieważ klin łatwo dał się tam wbić w ziemię, zbudowali na tym miejscu miasto, które nazwali „Pępkim świata”⁵⁰.

Niebawem przecież zapanowała wśród braci niezgoda. Najstarszy z nich Ayar Kaczi posiadał nadludzką siłę i z tego tytułu rościł sobie prawo do panowania nad nimi. Przeto młodsze rodzeństwo zwabiło go podstępem do pieczary i zawałiło wejście ogromną bryłą skalną. Drugi brat Ayar Uczu również był kłótlivy, toteż gdy pewnego dnia stanął na górze Huanacauri, rozgniewany bóg Inti zamienił go w kamień. Tenże los spotkał trzeciego brata imieniem Hauka, z tą różnicą, że stało się to w dolinie Cuzco. Oba kamienie, jak wiesz, synu słońca, są przez nas czczone jako największa świętość plemienia Inków.

Od onej chwili jedynymi władcami pozostali Manko Kapak i jego małżonka Mama Oklio. Niebiańską parę otaczało takie światło boskości, że coraz więcej plemion poddawało się ich panowaniu. W ten sposób powstało królestwo Tawantinsuju.

Gdy amauta skończył opowieść o boskich założycielach królewskiego rodu Inków, na dworze” zaczął przecierać się świt. Arcykapłan skinął na towarzyszy nocnej gawędy i wyprowadził ich do ogrodu. Wszyscy spojrzeli w niemym nabożeństwie na poszczerbiony

⁴⁷ Czyt. Paczakamak.

⁴⁸ Pakiratambu znaczy: „dom pierwotny”.

⁴⁹ Królowie Inków przeważnie żenili się ze swymi siostrami.

⁵⁰ „Cuzco” znaczy „pępek świata”.

łańcuch górski, coraz wyraźniej widoczny na wschodnim widnokręgu. Potężne zbocza tonęły jeszcze w głębokim mroku, ale przełęcz otoczona już była świetlistym rąbkiem porannej zorzy. Za chwilę rozbłysła na niebie szeroka luna, a wśród tych igrzysk światła i kolorów wytoczyła się nagle tarcza słońca, nad podziw ogromna i jak żagiew płonąca.

Arcykapłan wznosił dłonie ku niebu i szeptem odmówił modlitwę na powitanie powracającego słońca. Papugi w klatkach otrząsnęły się ze snu głośnym trzepotem skrzydeł i powitały nowy dzień gardłowym, rozradowanym jazgotem. Z ulicy dochodził szurkot niezliczonych stóp ludzkich, obutych w miękkie sandały — pielgrzymi opuszczali stolicę wracając truchcikiem do swoich wiosek.

TAJEMNICA ŻŁOTEJ SZKATUŁY

Przełożony kasty amautów i krewniak królewski Yakaczuma był wiekowym starcem. W jego zgrzybiałym ciele zadomowiło się na dobre uczucie chłodu. Chłód, zwiastun zbliżającej się śmierci, stał się mu nieodstępnym towarzyszem. Ani ciepłe promienie słońca, ani żar domowego ogniska nie mogły już rozgrzać stygnącej krwi dostojnika.

Czeladź wносиła dzień i noc żywiczne polana, ogień buzował i strzelał skrami, tymczasem sędziwy mędrzec, otulony w grube, wzorzyste wełny, siedział z kolanami przy brodzie i dygotał na całym ciele. Przeorane bruzdami, ziemiste oblicze zdobiły ogromne złociste kolczyki, grające blaskami ogniska.

Drewno do ogrzewania pałacu pochodziło z dalekich rubieży kraju. Nawet Yakaczuma, jakkolwiek w życiu nie mało podróżował i jak nikt inny znał każdy zakątek królestwa Tawantinsuju, nigdy tam nie zawitał.

Na podniebnym, wiatrami smaganym płaskowyzu przywarła do stóp andyjskich turni mała wioska. Sadyby wzniesione z polnych kamieni świadczyły o surowym, trudnym życiu mieszkańców. W opłotkach wiejskich nie było widać żywej duszy, mimo że słońce stało wysoko na niebie. Domy obsiadły rzędem kondory, wielkie ptaszyska o rudawych i gołych szyjach, wiecznie czyhające na odpadki domowe.

Mieszkańcy wsi pracowali na pobliskim stoku górskim. Od dołu pod sam szczyt stromizny pięły się, niby stopnie dla olbrzymów, podmurowane tarasy, nawiezione glebą. Trudno uwierzyć, że to dzieło rąk ludzkich. Ileż pokoleń musiało się natrudzić, by wykuć w skale owe poletka, zawieszane nad przepaściami. Wysilek ze wszech miar zdumiewający, prawie nadludzki. Ziemię można było zdobyć tylko w dolinach. Przeto mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci mozolnie wnosili ją w koszach na wyżynne ustronie, gdzie od wieków wydzielali nieubłaganej naturze prawo do życia.

Dlaczego nie porzucili tych niegościnnych stron, dlaczego wczepili się w skałę nogami i rękami, pomimo że byli tam skazani na żalną wegetację, na niedostatek tlenu w powietrzu, na mrozy i wichry przenikające do szpiku kości?

Nikt nie rozwikłał tej tajemnicy, jak nie sposób rozwikłać najgłębszych tajników natury ludzkiej. Może była to miłość do skrawka ziemi, gdzie stała własna kołyska, może przywiązanie do swobody górskiego życia, może po prostu wyssany z mlekiem matki, biologiczny przymus takiego, a nie innego sposobu bytowania, od którego nie było ucieczki⁵¹.

⁵¹ Mnich hiszpański, ojciec Cobo, który w XVII wieku żył wśród górali andyjskich, pisał w swoim pamiętniku: „Indianie odznaczają się niezwykle gorącą krwią, o czym świadczy zdumiewający fakt, że nawet podczas największych mrozów ręce ich są ciepłe”.

Antropolog amerykański Marshall T. Newman (Natural History) zbadał to zjawisko naukowo. Stwierdził przede

Wieki płynęły i płynęły, na zboczu górskim przybywało tarasasów i poletek uprawnych, pokolenia wioski rodziły się i umierały i dorzucały część swego trudu do wspólnego dorobku. Stada lam, wypasane na upłazach i halach górskich, stale się mnożyły, głód stawał się coraz rzadszym gościem w chatach, ludzie mieli się z dnia na dzień lepiej.

Kiedyś pojawił się tam na czele swoich zastępów obcy król i mieniąc się synem słońca, wezwał wioskę, aby uznała jego zwierzchnictwo, a prości górale, olśnieni blaskiem złocistego stroju, uwierzyli w jego boskość i ukorzyli się dobrowolnie.

Od tej chwili nastąpiły tam prawa Inków. Ludziom bez zezwolenia nie wolno było opuszczać miejsca zamieszkania ani zmieniać zawodu, życie ich od urodzenia do śmierci ujęto w nieubłagane karby drobiazgowych przepisów.

Ubożuchne poletka, wydarte skałom krwawicą dziadów i ojców, przestały być ich wyłącznym mieniem. Nadzorca królewski co roku dzielił je na trzy części: jedną oddawał gromadzie wiejskiej do podziału między poszczególne rodziny, dwie zaś pozostałe przeznaczał na utrzymanie króla i kapłanów. Zazdrośnie liczył każdy wygrzebany ziemniak i każdy kosmyk runa z ostrzyżonych lam. Nawet czas wykonywanej pracy mierzył sobie tylko znanymi sposobami. Owoce trudu ludzkiego księgował za pomocą węzłów na kolorowych sznurkach zwanych „kipu” i odsyłał do najbliższego spichrza królewskiego.

Na tarasach pracowały wyłącznie tylko kobiety, starcy i dzieci. Król w swej łaskawości oddał wioskę w służbę czcigodnemu Yakaczumie, a on powierzył jej mężczyznom zaszczytne zadanie podtrzymywania ognisk swego pałacu. Wędrowali więc zawrotnymi ścieżkami na wschodnie stoki Andów, dokąd wtargnęły forpoczty tropikalnej roślinności. Pod ciosami brązowych toporów waliły się potężne pnie puszczańskich weteranów i rozłupane na polana wędrowały do samego Cuzco.

Droga była daleka i najeżona niebezpieczeństwami. Korowód drwali, wiodąc za uzdy objuczone lamy, posuwał się chodnikami wykutymi wzdłuż ścian krzesanic⁵², torował sobie drogę przez białe piekło śnieżnych zamieci, brodził przez skłębione wody potoków, zapadał w przepastne głębie jarów i rozpadlin. Płuca górali świszczwały z wysiłku i niedostatku tlenu, nogi ugiwały się z wyczerpania, zroszone potem twarze parowały w chłodzie górskim. A stary Yakaczuma domagał się wciąż ciepła i dygotał z zimna na całym ciele.

Zadumę starca zakłócił posuwisty szurgot sandałów. Odchyliła się nieśmiało wzorzysta kotara zasłaniająca wejście i gnąc się w pokłonach wszedł amauta, opiekun następcy tronu. Przysiadł na piętach nie rzekłszy ani słowa, a Yakaczuma nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, tylko z uporem śledził ruchliwą grę płonącego ogniska.

— Czcigodny mistrzu — ozwał się wreszcie przybysz — czuwaliśmy całą noc po święcie Mamy Kili, jak każe obyczaj. Mówiłem księciu o boskim początku jego rodu. Arcykapłan prawił mu, że król za przykładem praojca winien nieść ludziom dobrodziejstwa pokoju i światło promienistego boga Inti. A na to książę odpowiedział, że pragnie być przede wszystkim wojownikiem.

— Słusznie tak powiedział, mój synu — zaskrzeczał starzec i jał żywo rozcierać zgrabiałe ręce

wszystkim, że na wyżynach górskich, gdzie mieszka wielu Indian andyjskich, powietrze zawiera o połowę mniej tlenu niż na poziomie morza. Co sprawia więc, że mogą tam żyć i wykonywać ciężkie prace fizyczne? Okazało się, że w porównaniu z człowiekiem nizin góral andyjski ma pojemniejszą klatkę piersiową, a o 20% większe serce i daleko większe płuca, zaopatrzone w dodatku w bogatsze rozgałęzienie naczyń włoskowatych, dzięki czemu krew może chłonać z powietrza znacznie większe ilości tlenu. Ponadto góral andyjski ma o przeszło dwa litry krwi więcej niż normalny człowiek. Nie koniec na tym — struktura tej krwi jest odmienna, zawiera bowiem więcej ciałek czerwonych i dwa razy więcej hemoglobiny, owej substancji rozprowadzającej tlen po organizmie ludzkim.

⁵² Krzesanica — skała stroma, wysoka i gładka.

nad ogniskiem. — Dlaczegoż to pan nasz, boski Tupak Yupanki, pominął pierworodnego syna i jego zaszczycił opaską następcy tronu? Bo pierworodny okazał się łękliwy i niezbyt tęgi w wojennym rzemiośle, w biegach zaś pokonywał go lada uczeń szkoły Yacha Huasi. A Huayna Kapak — o, ten rwie się do bitwy i dzięki swej dzielności przypadł ojcu do serca.

— Arcykapłan, jak wiesz, nie pochwała tego wyboru i utrzymuje, że sprzeciwia się to starodawnej tradycji Inków.

— Wola króla jest nieograniczona, on przecież jest potomkiem słońca, on jest samym słońcem. Ponad nim nie może być żadnego prawa ani tradycji. Zresztą „Najwyższy trybunał książąt” i „Rada czterech mędrców” nie wyraziły w tej mierze żadnych wątpliwości, boć przecież Huayna Kapak nie jest owocem przelotnego związku z nałożnicą. Zrodziła go koja, prawowita małżonka i siostra króla, w której płynie nieskażona krew boga Inti.

— Arcykapłan obawia się, że przyszły król, pochłonięty sławą wojenną, nie okaże sprawom świątyni należytej troski.

— Dalibóg, arcykapłan ma się o co troszczyć — zarechotał złośliwie przełożony kasty amautów — w samej tylko Korikanczy cztery tysiące kapłanów do odziania i nakarmienia! Tymczasem co się dzieje w państwie! Tawantinsuju jest ogromne, jest potężne. A jednak co chwila któreś z podbitych plemion się buntuje, za nic mając to, że przynieśliśmy im błogosławieństwo boga Inti i mądre prawa Inków. Granice nasze szarpią dzikie ludy przygranicznych lasów i tak się rozzuchwaliły, że musimy wysyłać na nich całe armie. Skołatany kraj łaknie mocnej ręki króla—wojownika, który poskromi winnych bluźnierczej rebelii, przywróci pokój i na nowo dźwignie z popiołów świątynie słońca. Takim królem właśnie, wierzę w to święcie, będzie Huayna Kapak.

— Mistrzu czcigodny, arcykapłan zaniepokoił się uwagą księcia o słońcu, które rzekomo jest jak lama, co przywiązana do drzewa krąży wkoło. Dostrzega w tym brak pobożności, a nawet grzeszną skłonność do niedowiarstwa.

Yakaczuma uśmiechnął się pod nosem i zapytał:

— A ty, synu, co sądzisz o tym?

— Dzięki tobie dostałem godności amauty i wiernie słucham twoich nauk — odparł wymijająco opiekun następcy tronu.

— To ci się chwali. Słuchaj pilnie. Wiedz jednak, że nie jest to nauka ani moja, ani twoja, ani niczyja. To nauka amautów, odwieczna, czcigodna i pełna tajemnych ścieżek, których, jak widzę, jeszcze nie zdążyłeś wy badać. Następca tronu nie potrzebuje się ich uczyć, bo we krwi jego tętni prawda dziesięciu pokoleń królewskich, prawda dzielnych zdobywców i włodarzy, którzy zbudowali potężne, dobrze zagospodarowane państwo. Byli to wojownicy, a nie kapłani, czciciele władzy, a nie pobożni wyznawcy legend stworzonych na użytek pospólstwa.

— Cały w słuch się obracam, czcigodny mistrzu.

Yakaczuma zastanowił się przez chwilę, a potem żywo klasnął w dłoń. Spoza kotary przyczołgał się na kolanach sługa i z pochyloną głową czekał na rozkaz.

— Sprowadź mi tu Maczumaka! I niech przyniesie ze sobą królewską szkatułę.

Po jakimś czasie wszedł Indianin o skupionym, jakby krótkowzrocznym spojrzeniu i przysiadłszy w kucki, ostrożnie postawił przed sobą przedmiot precudnej roboty — złotą skrzynię wykładaną perłami, szmaragdami i srebrną inkrustacją. Maczumak był najprzedniejszym w kraju kipukamayokiem, czyli sekretarzem, który umiał wiązać i odczytywać węzłowe pismo kipu.

— Jestem już stary, mój synu — zwrócił się Yakaczuma do młodszego amauty — niedaleka jest przeto chwila, kiedy bóg Inti raczy powołać mnie do swej chwały. Ktoś zatem będzie musiał przejąć na siebie brzemień moich obowiązków. Wiedz, że „Rada czterech mędrców” za moim

wstawiennictwem przewiduje ciebie na następnego przełożonego amautów. Z tych głównie powodów zaleciła ciebie boskiemu królowi na opiekuna następcy tronu, choć, prawdę mówiąc, zaważyła na wyborze głównie ta okoliczność, iż jestem już zbyt stary, by podjąć się tego zadania.

— Oby bóg Inti raczył mnie wspierać w przyszłych moich obowiązkach! — krzyknął z przejęciem młody amauta, ale Yakaczuma przerwał mu niecierpliwie i ciągnął dalej:

— W tej oto szkatule zawarta jest wszelaka mądrość, dostępna tylko przełożonym amautów. Trzeba, byś co rychlej sobie ją przyswoił. Bywaj u mnie odtąd co dzień po zachodzie słońca, kiedy cisza sprzyja myśleniu, a ja będę ci przewodnikiem w świętym gaju naszej wiedzy.

Yakaczuma kazał odemknąć wieko skrzyni i wyjął z niej osobliwy przedmiot. Z szarego skręconego postronka długości łokcia rozgałęziały się liczne sznurki najrozmaitszych kolorów, a z nich wyrastały z kolei cieńsze jeszcze nitki. Na wszystkich bocznych włóknach zadziergnięte były różnej wielkości węzły, rozmieszczone starannie w jednakowej od siebie odległości.

Było to pismo węzłowe Inków, zwane kipu. Wydawałoby się, że trudno wymyślić bardziej cudaczny sposób utrwalania myśli. W samej rzeczy jednak stanowi on naturalny i logiczny twór ludu, który żył z pasterstwa i uprawy roli.

Pierwsi Inkowie, prości i skrzętni górale Andów, używali rąk do przeliczania swoich lam. Ale stada rozmnażały się z roku na rok i w końcu nie stało już palców, by policzyć wszystkie zwierzęta. Wtedy, jak to po wszystkie czasy bywało, znalazł się człowiek sprytniejszy od innych, który wpadł na pomysł zastąpienia palców sznurkami. Można było wiązać je na modłę palców u rąk i mnożyć bez ograniczenia.

Z czasem jednak również i ów ulepszony sposób okazał się niewystarczający. Samodzielne rody jednoczyły się w plemiona, plemiona w większe związki, aż w końcu powstało państwo Inków, które następnie rozszerzało swoje granice już to podbojami, już to pokojowym opanowaniem okolicznych obszarów.

Gospodarka, kierowana teraz centralnie przez króla i jego urzędników, stawała się złożona i zakrojona na wielką miarę, powstała przeto potrzeba liczb wyższego rzędu. Stary kipu, przystosowany do warunków małej gminy wiejskiej, nie mógł już podołać rosnącym potrzebom, gdyż nie sposób było łączyć w jeden zespół setek i tysięcy sznurków.

W dodatku król pragnął wiedzieć wszystko, co się działo w jego państwie. Rozesłani urzędnicy zapisywali nie tylko liczbę lam, lecz mierzyli i dzielili pola uprawne, ważyli złoto i srebro dobywane z kopalni, ściągali daniny w postaci wyrobów rzemieślniczych i płodów rolnych, spisywali ludność, zbierali w magazynach królewskich zapasy żywności, odzieży i broni, powoływali młodych ludzi do służby wojskowej oraz do budowy dróg, pałaców i fortec. Ze wszystkiego musieli zdawać sprawę do Cuzco, a tam prowadzono dokładne rejestry, z których król mógł się dowiedzieć, jakimi dobrami rozporządza w państwie.

W tym czasie powstała już nowa kasta, kasta uczonych amautów, biegłych w astronomii, medycynie i dziejach swego kraju. Pragnąc przystosować kipu do zwiększonych potrzeb, mędrcy ci szukali pomysłów w niezawodnej tradycji ludowej.

W pewnym okresie, kiedy rąk nie starczyło do przeliczania lam, pasterze zaczęli posługiwać się dla tego celu stawami palców, pomnażając w ten sposób trzykrotnie swoje możliwości. Ponadto upraszczali sobie rachunki biorąc jako podstawową jednostkę dziesięć palców człowieka. Mówili więc: tyle lam, ile ma palców u rąk jeden człowiek, dziesięciu lub stu ludzi. Tą drogą, nie zdając sobie z tego sprawy, odkryli dziesiętny system rachunkowy.

Owe zdobycze ludowe amauci wyzyskali zrećnie dla udoskonalenia kipu. Stawy palców podsunęły im myśl dzierzgania węzłów na włóknach w umownej kolejności.

Licząc od końca, wartość tych węzłów równała się jedynek, dziesiątkom, setkom, tysiącom i dziesiątkom tysięcy. W ten wymyślny a prosty sposób można było za pomocą niewielu węzłów

utrwałać na kipu dowolnie wysokie liczby.

Jednocześnie same włókna zmieniły zasadniczo swoją rolę: zamiast liczb wyrażały rozmaite przedmioty, zależnie od tego, jakiego były koloru. Żółty sznur oznaczał na przykład złoto, biały — srebro, szary — lamę.

Do owej chwili kipu spełniał mniej więcej rolę liczydła, służąc wyłącznie do czynności arytmetycznych, wystarczających dla prowadzenia rejestrów gospodarki państwowej. Z biegiem czasu amauci odczuli jednak potrzebę utrwalania kroniki królów, legend, pieśni oraz zdobyczy w rozmaitych dziedzinach wiedzy, jak w astronomii, medycynie i prawodawstwie. Toteż w drodze długotrwałego, mozolnego rozwoju wytworzył się odrębny typ pisma węzłowego, w którym kolory poszczególnych włókien oznaczały nie tylko konkretne przedmioty, lecz również oderwane pojęcia. Tak na przykład biały sznur symbolizował srebro, ale również pokój, czerwony armię lub króla, lecz także wojnę, czarny chorobę i czas. Kipu osiągnął w końcu taką przydatność w użyciu, że Inkowie mogli skodyfikować prawa, zapisywać historię, pieśni i legendy oraz notować obserwacje astronomiczne potrzebne do regulowania rocznego kalendarza.

Jednakże węzły, rzecz oczywista, nie zdołały wyrazić wszystkiego. W wielu wypadkach służyły tylko jako narzędzie pomagające pamięci, niejako w ten sposób, jak po dziś dzień służą nam węzły zawiązywane na chustce do nosa. Z tych względów kipukamayok musiał uczyć się na pamięć, co przekazywała mu tradycja ustna. Załóżmy, że miał pięć węzłów na grubym sznurze i cztery węzły na jego cieńszym odgałęzieniu. Mogło to oznaczać, że mowa jest o czwartym roku panowania piątego króla Inków, czerwony zaś kolor głównego sznura i cieńszego odgałęzienia powiadał, że król w tymże roku prowadził wojnę. Kipukamayok musiał z pamięci uzupełnić nie tylko nazwisko króla, w tym wypadku Tupaka Yupanki, lecz również historię tej wojny.

Na skutek wandalizmu najeźdźców hiszpańskich prawie wszystkie egzemplarze kipu zostały zniszczone; wiadomości, jakie o nich posiadamy, opierają się głównie na niepełnych relacjach pamiętnikarzy hiszpańskich i kronikarzy indiańskich. Wiemy jednak, że istniały tajne zapiski węzłowe, przechowywane w archiwach przez kapłanów i amautów. Ponadto są niejaki podstawy do przypuszczeń, że Inkowie posiadali również pismo obrazkowe. W tajnej izbie świątyni Korikanczy w Cuzco wisiały podobno na ścianach podłużne deski w złotych ramach, pokryte od góry do dołu rysunkami przedstawiającymi wydarzenia z historii Inków. Wstęp do tej komnaty mieli tylko: król, przełożony kasty amautów oraz rysownicy, zobowiązani do milczenia pod groźą utraty życia. Rękopis, odkryty w roku 1908 w Bibliotece Królewskiej w Kopenhadze, którego autorem jest wnuk króla Tupaka Yupanki, Filip Huaman Poma Ayala, zawiera mnóstwo rysunków z historii Inków. Niektórzy wyrażają przypuszczenie, że są to kopie malowideł z tajnej komnaty Korikanczy.

Yakaczuma odprawił sekretarza i bawiąc się włóknami tajnego kipu pouczał młodego amautę:

— Wiesz dobrze, że chcąc odczytać z węzłów historię naszych królów, trzeba uczyć się na pamięć, co przekazuje nam tradycja. Ale tradycja — to rzecz zawodna. Narażona na igraszkę fantazji ludowej, ulega często przeinaczeniom, staje się legendą. Między nami mówiąc, jest nam to na rękę, gdyż legenda uświetnia czyny naszych królów blaskiem poezji i wielkości.

Wszelako wiedza pospółstwa nie może zadowolić umysłów amautów, którzy są kapłanami prawdy. Strażnikiem i szafarzem tej prawdy był i jest każdorazowy przełożony amautów. On przekazuje ją w nieskażonej postaci swemu następcy i uwiecznia na kipu, przechowywanym w tej oto skrzyni królewskiej.

— Czcigodny mistrzu — przerwał opiekun księcia — pamięć moja jest ułomna i wątła. Lękam się, że nie dorastam do czekających mnie obowiązków.

— Pamięć wszystkich przełożonych amautów zawsze była nie mniej chwiejna niż pamięć

innych śmiertelników. Ale od pomyłek strzeże nas święte pismo w świątyni Korikanczy. Często przebywałem tam dla odświeżenia pamięci, a ty, objawwszy moją godność, winienesz spędzać w Korikanczy niejedną noc, aby umocnić swoją wiedzę o naszych przodkach.

— Pragnę co rychlej wzbogacić swój rozum...

— Dopiero po mojej śmierci przekroczysz próg tajnej komnaty, gdy król okryje cię zielonym płaszczem przełożonego amautów. Chwilowo musisz poprzestać na tym, co ci wyjawię w codziennych rozmowach przy tym ognisku.

— Oświecaj mnie, mistrzu. Niecierpliwosć trawi moje trzewia jak demon błotnistej gorączki.

Starzec spojrział na swego ucznia z politowaniem i rzekł:

— Czynię to od niejakiego czasu, a tyś nawet tego nie zmiarkował. Posłuchaj no pilnie. Czego nauczamy poddanych? Że tylko Inkowie mają prawo uczyć się wiązania kipu, gdyż kipu jest darem boga Inti. Dla pospólstwa musi on pozostać tajemnicą niezrozumiałą i świętą. Wszak król Inka Rokka powiedział w swej mądrości: „Wiedzę mogą nabywać tylko ludzie krwi szlacheckiej, gdyż inaczej lud wzbiłby się w pychę, a pycha ludu byłaby niebezpieczna dla państwa”.

— Boski założyciel szkoły Yacha Huasi powiedział również, że nie wolno uczyć dziewcząt, nawet gdyby pochodziły z rodziny Inków.

— Rzeczywiście, powiedział tak. Ale w tej chwili nie o to mi chodzi. Jeżeli nauczamy, że kipu jest darem boga Inti, to ty, jako przyszły przełożony amautów, doprawdy powinienesz wiedzieć, że sprawa nie jest tak prosta. Owszem, bóg Inti obdarzył nas zdolnościami, które wyróżniają Inków spośród innych plemion i pozwoliły nam dokonać cudownego wynalazku kipu: Tak, życie jest ciekawsze niż legenda. Pomyśl tylko, jak czcigodna i zdumiewająca jest owa mądra, uparta i mozolna praca przodków, której owocem jest pismo węzłowe. Na tym przykładzie pragnąłem pokazać ci naszą prawdę, prawdę amautów. Mówi ona przede wszystkim, że pokrewieństwo z bogiem słońca nie uprawnia nas do wygodnictwa i dufnej gnuśności, że wszystko zawdzięczamy pracy naszych pokoleń. Niechaj ci to będzie drogowskazem na całe życie: nie daj się zwieść ułudzie pięknej i budującej legendy, zawsze dogrzebuj się w niej prawdy, choćby miała ona być pozbawiona poezji, gdyż tylko prawda uchroni nasz ród przed słabością i błędami.

— Czy wolno mi ową prawdę ujawnić księciu?

— Nie, ona musi pozostać naszą tajemnicą, ukrytą w tej oto złotej skrzyni. Nauczaj jednak następcę tronu w taki sposób, aby nigdy nie popełnił czegoś, co byłoby jej zaprzeczeniem. Nie następcy ci to większej trudności, gdyż — jak już powiedziałem — prawda Inków niejako pulsuje w jego krwi.

— Wybacz, mistrzu, niezupełnie podążam za twoją myślą.

— Zaraz ci to wyłożę dokładniej. Opowiadałeś księciu, jako to bóg Inti wydał na świat czterech synów i cztery córki, jak połączył ich w stadła małżeńskie i kazał im szukać dobrej ziemi, gdzie mogliby założyć nową siedzibę. Mówiłeś także o waśniach rodzeństwa, o uwięzieniu w pieczarze najstarszego brata i zaklęciu w kamień dwóch następnych, tak że jedynym władcą pozostał Manko Kapak wraz z żoną Mamą Oklio.

— Opowiadam księciu dzieje czterech niebiańskich braci bardzo często, aby mu wrazić w pamięć, iż jest potomkiem rodu, którego prarodzicielem był najukochańszy syn boga Inti.

— Owszem, Manko Kapak cieszył się największymi względami boga Inti. Ale jak myślisz, dlaczego? Ponieważ był najdzielniejszy spośród braci wojowników. A jak to było naprawdę z tą walką naszych pradziadów? Otóż w dawnych czasach wśród szczytów górskich w okolicy jeziora Titicaca żyły cztery plemiona mówiące językiem keczua. Było tam im zimno i głodno, dlatego pewnego razu zeszyły w urodzajną dolinę Cuzco, gdzie osiedliły się na stałe. Wkrótce jednak wybuchły między nimi walki o pola uprawne i władzę. Sądząc z tego, co przekazała nam legenda, walka była krwawa i zawzięta. Wyszedł z niej zwycięsko nasz praojciec Manko Kapak.

Huayna Kapak, nasz następca tronu, nie zna prawdziwej historii swego rodu, a jednak zrozumiał, że wolą boga Inti jest, aby był przede wszystkim wojownikiem.

— Nie wyjaśnia mi to przecież innej sprawy. Gdy powtórzyłem ci, czcigodny mistrzu, niepobożną uwagę księcia o bogu Inti, wydawało mi się, że nie była ona dla ciebie niespodzianką. Zgadza się, że królowie Inków powinni być wojownikami, nie wyruszyli jednak na podbój dla zdobycia sławy, lecz żeby służyć bogu słońca i rozszerzać granice jego panowania. Jakże więc tłumaczyć słowa boskiego króla i jego syna, które tak zasmuciły arcykapłana?

— Królowie Inków dokonywali i dokonują podbojów nie tylko dlatego, by krzewić kult słońca, lecz krzewią kult słońca dlatego, aby utrzymać i umacniać zdobycze państwa.

— Czcigodny mistrzu, wybaczone ci, że ci przerwę. Myślałem jednak, że pierwszym obowiązkiem naszych królów jest służyć swemu niebiańskiemu rodzicielowi.

— Niewątpliwie. Ale królowie nasi byli ponadto przewidującymi, roztropnymi włodarzami państwa. Budowali świątynie słońca w podbitych krajach, posyłali tam kapłanów, nauczycieli, urzędników i sędziów, wszelako nigdy nie próbowali narzucać swej własnej religii. Mało tego — bogów pokonanych ludów wprowadzali do naszych świątyń i kazali czcić ich na równi z bogiem Inti. Modlimy się i składamy na przykład ofiary Wirakoczy i Pachacamacowi, chociaż są to bogowie Ajmarów i ludów nadmorskich. Dlaczego tak postępowali? Żeby pogodzić podbite ludy z panowaniem Inków, pozyskać je stopniowo dla naszej religii i w ten sposób umocnić królestwo Tawantinsuju.

— A jednak ludy podbite podnoszą co chwilę bunty i obracają nasze świątynie w gruzy.

— Tak, to prawda. Podbite ludy, zwłaszcza liczne plemiona Ajmarów i Chimu, uważają, że ich bogowie są starsi i wyżsi, dlatego nie chcą uznać Inti za boga najwyższego. Nie skłoniło ich też do uległości boskie pochodzenie naszej dynastii królewskiej, gdyż mieli kiedyś swoich własnych królów, w ich mniemaniu również zrodzonych z bogów.

— Trzeba więc zmusić ich do uległości zbrojną ręką.

— Wiesz przecież, że to czynimy. Ale bunt mimo to wzrasta i państwo nie może zaznać wytchnienia. Na domiar złego zagrażają nam przygraniczne plemiona północy, wschodu i południa. I teraz dochodzimy do rzeczy, która sprawiła ci tyle wątpliwości. Jeżeli król Tupak Yupanki uczynił spostrzeżenie, że nad słońcem musi być jakiś wyższy bóg, który rozkazuje mu przebywać zawsze tę samą drogę na niebie, i powiedział to w przytomności następcy tronu — to wierzaj mi, przemówiła przez niego troska o państwo. Boski nasz władca pozostał wiernym synem boga Inti, ale mimo to dąży do tego, by najwyższym bogiem w państwie stał się Pachacamac—Wirakocza, niewidzialny stwórca nieba i ziemi, słońca i księżyca. Wierzy bowiem, że ów stary bóg zjednoczy wszystkie ludy królestwa w jedną zgodną rodzinę i zaprowadzi w kraju ład i pokój powszechny. Następca tronu, Huayna Kapak, chociaż młody i niedoświadczony, pojął najgłębszą myśl ojca i dlatego celowo powtórzył jego słowa w waszej nocnej rozmowie. Pojął tę myśl równie dobrze arcykapłan i stąd jego zrozumiały niepokój o losy naszej religii. Jedynie ty, mój uczniu, nie pojąłeś wielkiego królewskiego zamierzenia, tak koniecznego dla ugruntowania władzy Inków.

Yakaczuma zamilkł nagle i uśmiechając się odprawił swego oszołomionego ucznia. Potem kazał wynieść złotą szkatułę i zasłuchał się w szum buzującego ogniska.

SYNOWIE SŁOŃCA

Następca tronu Huayna Kapak uczęszczał codziennie do szkoły Yacha Huasi, gdzie wraz z rówieśnikami z kasty Inków zaprawiał się w ćwiczeniach atletycznych i rzemiośle wojennym,

poznawał arkana pisma węzłowego i wdrażał się w administrację kraju.

Historię natomiast wykladał mu opiekun amauta. Z gawęd prowadzonych przy ognisku pałacowym młody książę dowiadywał się stopniowo, jak dzięki podbojom i przewidującej polityce dziesięciu królewskich przodków rosło i potężniało państwo Tawantinsuju.

Władcy Inków byli przede wszystkim zdobywcami. Z każdej wyprawy wojennej wracali do Cuzco wiodąc ze sobą pokonanych naczelników plemion i karawany łam objuczonych łupami.

Wjazd do stolicy miał charakter triumfalnego pochodu. Ludność, ubrana odświętnie, tłoczyła się na ulicach i placach, witała zwycięzcę okrzykami: *hailli!* i zasypywała go kwiatami, szczególnie czerwonymi goździkami, kwiatem narodowym Inków, tak umiłowanym przez lud, że jego nazwą oznaczono jedną z głównych ulic miasta.

Nad maszerującymi kolumnami wojowników błyszczał sztandar królewski: łuk tęczy wymalowany w siedmiu kolorach na złotej tarczy. Król, niesiony przez dostojników na złotym krześle, zmierzał w uroczystym pochodzie do głównego placu Hukaypata przez ulice przystrojone w bramy triumfalne i girlandy z zieleni.

Gdy orszak stanął przed świątynią słońca, król kazał zdjąć sobie złote sandały i bosi wkroczył sam jeden do najświętszego przybytku, by złożyć ofiarę bogu Inti i ukorzyć się przed mumiami ojców.

Po ceremoniach religijnych odbywał się w mieście festyn ludowy. Mieszkańcy Cuzco wzniecali na ulicach ogniska i pod wtór instrumentów muzycznych oddawali się tańcom i zabawom do samego świtu.

Dziejów pierwszych pięciu królów nie znamy dokładnie. Rzeczywiste wydarzenia są do tego stopnia pomieszane z mitami i legendami, że trudno je od siebie odróżnić. Wiadomo tylko, że już w końcu XII wieku naszej ery Inkowie zawojowali duży obszar Peru, że podporządkowali sobie wtedy najliczniejsze i najbardziej kulturalnie rozwinięte plemiona Ajmarów.

Wraz z szóstym królem Rokką wkraczamy w prawdziwą historię Inków. Władca ten panował w początkach XIV wieku i był właściwym twórcą wielkiego imperium. Walcząc na czele 20—tysięcznej armii, rozszerzył granice państwa w kierunku północnym i południowym i dotarł do brzegu Pacyfiku w okolice dzisiejszej Limy.

Rokka był poza tym dobrym gospodarzem w okresie pokoju. Niepokaźne miasteczko górskie Cuzco stało się pod jego rządami wielką i ludną metropolią. Dolinę Cuzco poprzecinał siecią nawadniających kanałów i założył szkołę Yacha Huasi, w której synowie Inków kształcili się na dobrych administratorów kraju. Rokka panował bardzo długo i pozostawił po sobie pamięć dobroczyńcy ludu.

Na tron wstąpił po nim jego najstarszy syn Yahuar Huakak (XIV wiek). Za jego rządów Inkowie przeżyli najburzliwszy i najniebezpieczniejszy okres swoich dziejów. A przyczyną było dziwne wydarzenie w rodzinie królewskiej.

Małżonka królewska, koja Ipaukoma, powiła syna, któremu nadano imię Kuzi. Narodziny, jak zwykle, uczczono w Cuzco wielkimi uroczystościami. Upłynęły lata. Nagle zauważono, że twarz księcia pokrywa się zarostem — rzecz nie spotykana u Inków. Król posądził małżonkę, iż zdradziła go z jednym z tych Indian północnych plemion, których wyjątkowo natura obdarzyła brodami. Według prawa Inków cudzołóstwo karano w ten sposób, że wieszano winowajczynię za włosy nad przepaścią, dopóki nie skonała w mękach.

W pałacu powstało niebywałe zamieszanie. Wróżbici, powołani do rozwikłania zenującej zagadki, usiłowali za wszelką cenę uniknąć skandalu. Poszli więc po rozum do głowy i wyczytali z trzewi zabitej lamy, iż zarost syna to zemsta boga tęczy i boga piorunów za to, że król nie przestrzegał postu w czasie połogu żony. Chcąc jakoś przebłagać zagniewanych bożków,

królewska para postanowiła powstrzymać się na długi czas od spożywania pieprzu. Była to pokuta dotkliwa, gdyż Inkowie przepadali za korzennymi przyprawami i z trudnością bez nich się obywali.

Winę za wybryk natury przypisano szczęśliwie królewskiemu małżonkowi. Lecz Yahuar Huakak, chociaż podporządkował się wyroczni, nigdy nie wyzbył się podejrzeń. I zdaje się, że miał po temu podstawy. Potomek Inków Huaman Poma pozostawił w swoich wspomnieniach uwagę, że królowa „miała obowiązek wystrzegać się mężczyzn”. Można stąd wnioskować, że plotka na temat zdrady królowej mimo wyroczni krążyła nadal.

W wyniku tych podejrzeń król nienawidził swego pierworodnego, kosmatego syna do tego stopnia, że postanowił odsunąć go od tronu. Kuzi nie był bynajmniej potulnym młodzieńcem; swojej goryczy dawał upust w ten sposób, że dopuszczał się gorszących wybryków. Wdawał się w burdy i kłótnie, rozbijał posągi bożków, a kiedyś nawet próbował podpalić jakąś świątynię; krótko mówiąc, stał się zakałą i wstydem królewskiej rodziny. Król stracił wreszcie cierpliwość i zesłał go na wygnanie do zapadłej wioski w pobliżu stolicy, gdzie kazał mu pilnować lam należących do świątyni boga słońca.

Po trzech latach pobytu na wygnaniu Kuzi pewnego dnia wpadł nagle do pałacu i poprosił ojca o posłuchanie.

Yahuar Huakak rozgniewał się nie na żarty, zwłaszcza że wizyta syna wypadła w chwili popołudniowego odpoczynku.

— Powiedzcie synowi — wrzasnął — że każę zasmagać go na śmierć za nieposłuszeństwo!

Ale książe wtargnął do sypialni i nie zważając na ojcowskie protesty wypowiedział jednym tchem, co mu się przydarzyło:

— Wczoraj, gdy na pastwisku w Chita⁵³ drzemałem w cieniu skały, ukazał się moim oczom mąż z długą brodą. Na ramiona miał zarzuconą fałdzistą opończę i trzymał za uzdę jakieś nieznane mi zwierzę. Zjawa odezwała się w te słowa: „Jestem synem słońca i bratem króla Manko Kapaka. Nazywam się Wirakocza. Przybywam, abys ostrzegł co rychlej swego ojca. Pewne bowiem kręgi państwa zmówiły się z przygranicznymi plemionami w zamiarze zbrojnego obalenia naszej dynastii i opanowania Cuzco. Ja jednak w razie potrzeby pośpieszę wam z pomocą, możecie na mnie z całą pewnością liczyć”.

Król osłupiał, a potem zwrócił się do otoczenia:

— Mój syn jest niespełna rozumu. Odeślijcie go do jego lam, iżby już więcej nie zawracał mi głowy swoimi niedorzecznościami.

Kuzi, pozostając w zażyłych stosunkach z prostym ludem, miał jednak lepsze wiadomości niż sam król, gdyż istotnie w kilka miesięcy po tej rozmowie wybuchło powstanie groźnych, wojowniczych plemion Chanca⁵⁴. Opieszały dwór królewski ani się spostrzegł, jak pod Cuzco zjawiła się nieprzyjacielska armia, licząca trzydzieści tysięcy wojowników. Zatrwożony król radził się wróżbitów, a gdy ich wyrocznia wypadła raczej niepokojąco, umknął ze stolicy pozostawiając bezbronnych mieszkańców na łaskę i niełaskę najeźdźców.

Kuzi pospieszył doń niezwłocznie i zażądał ponownie posłuchania.

— Ojcze — zawołał — nie godzi się, abys porzucił swoje miasto i swój dom rodzinny. Ja wracam, by zginąć w walce z nieprzyjacielem, zanim wtargnie do stolicy.

Zwrócił się potem do żołnierzy i wezwał ich w porywającej przemowie do obrony ojczyzny. Pod jego sztandarem stanęło cztery tysiące wojowników, nawet wodzowie przeszli na jego stronę. Ochotnicy okrzyknęli go królem, podczas gdy tchórzliwy Yahuar Huakak, pogardzony

⁵³ Czyt. Czita.

⁵⁴ Czyt. Czanka.

przez wszystkich poddanych, udał się na wygnanie do jednego z prowincjonalnych pałaców. Był to pierwszy wypadek w historii Inków, że strącono z tronu bezpośredniego potomka boga Inti.

Gwałtowny, brodaty i prześladowany przez ojca Kuzi cieszył się widocznie dużą popularnością wśród ludu, bo niebawem wiele podbitych plemion stanęło pod jego sztandarem do walki — nawet silni Ajmarowie, którzy nie skorzystali z okazji, by wyzwolić się spod jarzma Inków.

W jednej z dolin niedaleko Cuzco rozstrzygnęły się losy walczących. Bitwa trwała od świtu do zmierzchu i w końcu zmieniła się w masakrę najeźdźców. Na pobojowisku leгло trzydzieści tysięcy wojowników Chanca, reszta poszła w rozsypkę. Rzeczka, która płynie w dolinie, podobno była czerwona od krwi poległych i rannych, a pobojowisko do dziś dnia nazywa się „Yahuar Pampa”, co znaczy „pole krwi”.

Wszelako plemiona Chanca nie dały jeszcze za wygraną. Wkrótce potem zebrały świeże siły i powtórnie poszły na Cuzco. Zawrzała druga bitwa na śmierć i życie. Kuzi wyzwiał do walki wręcz wodza Astahuaraka i po strasliwym pojedynku zdruzgotał mu czaszkę złotą maczugą. Na widok klęski wojownicy Chanca rzucili się do panicznej ucieczki i nigdy już nie odważyli się wrócić.

Kuzi uczcił zwycięstwo nader osobliwym pomnikiem. Na polu bitwy wybudował wielki dom kamienny i umieścił w nim wypchane zwłoki pokonanych wodzów plemienia Chanca. Siedzieli oni tam pod rząd wzdłuż ścian w całym splendorze swoich pióropuszy i uzbrojenia. Przed sobą mieli duże bębny, w które jakby bili na trwogę⁵⁵.

Wstępując na tron bohater przybierał imię Wirakoczy, boga Ajmarów. W ten sposób spłacał dług wdzięczności plemionom Ajmarów, które pozostały wierne Inkom i walnie dopomogły mu do zwycięstwa. Krok ten miał ponadto charakter zręcznego posunięcia politycznego: Kuzi, okrzyknięty królem przez armię, nie czuł się pewny na tronie; żył przecież jeszcze jego ojciec, a kapłani słońca i członkowie kasty Inków w gruncie rzeczy uważali go za samozwańca. Z tych względów musiał szukać oparcia w szerokich masach ludowych, a wśród nich najliczniejszy odłam tworzyli właśnie Ajmarowie. Niemałą rolę odegrała tu zapewne również próba przeciwstawienia się plotce o wątpliwym ojcu i usprawiedliwienia faktu posiadania zarostu pochodzeniem od brodatego boga Wirakoczy. Bądź co bądź, od tej chwili stale wzrastały w państwie wpływy tego boga, aż wreszcie zaczęły zagrażać zwierzchnictwu boga Inti.

Motywy osobiste, którymi kierował się Kuzi, miały oczywiście znaczenie raczej drugorzędne, gdyż wzrost wpływów Wirakoczy był w rozwoju pojęć religijnych procesem naturalnym. Bóg Inti miał wszelkie cechy prymitywnego bożka plemiennego, który wraz z podbojami Inków awansował na boga państwowego. Trudno było narzucić go prastarym plemionom peruwiańskim, które już na setki lat przed pojawieniem się Inków wykształciły sobie głębsze pojęcie niewidzialnego stwórcy wszechrzeczy na ziemi i niebie. W kulcie Wirakoczy i Pachacamac podbite przez Inków ludy wyrażały podświadomy niepokój wobec tajemnicy wszechświata i żarliwe pragnienie zgłębienia jego ukrytego sensu. Znalazło to wyraz w ich modlitwach. Klęcząc wyznawcy tych bogów wyciągali ramiona ku niebu i wołali błagalnym głosem: *Maypi kungui, maypi kangui, yaya!* — „Ojcze, gdzie jesteś, ojcze, gdzie jesteś?” Nic przeto dziwnego, że w miarę dojrzewania Inkowie stopniowo ulegali wpływom Wirakoczy.

⁵⁵ Podczas marszu na Cuzco konkwistadorzy hiszpańscy natknęli się na to groteskowe mauzoleum i zgorzzeni widokiem wypchanych ciał ludzkich, kazali je zburzyć. Nawiasem, nie od rzeczy będzie wspomnieć, że cywilizacja może poszczycić się podobną historią. Król Neapolu Ferrante (w. XV) mordował swych wrogów, balsamował i ubierał ich zwłoki, a potem sadzał na krzesłach w osobnej sali pałacu. Gości i przyjaciół chętnie oprowadzał po tym swoistym mauzoleum i opowiadał historię każdej mumii.

Kuzi stał się gorącym wyznawcą tego boga. W mieście Rakcze wystawił Wirakoczy wspaniałą świątynię, nawet w świątyni słońca w Cuzco poświęcił mu oddzielny chram, którego ściany były ozdobione wzorzystymi tkaninami, utkanymi z najdelikatniejszej wełny, a na ołtarzu stał skromny kamienny posąg brodatego stwórcy wszechświata⁵⁶.

Król Wirakocza podobno jest autorem następującego hymnu:

*O, Wirakocza, panie wszechświata!
Kim jesteś, żeńską czy męską istotą?
O sprawco wszechrzeczy, kim jesteś?
O, wyrocznio świata, gdzie przebywasz?
Czy może nade mną, czy może pode mną?
Czy może za tym wspaniałym tronem?*

*Wysłuchaj mnie, błagam, gdziekolwiek jesteś,
W niebiosach czy też w głębinach mórz!
Stwórczo świata, rodzicielu człowieka,
Panie nad panami!*

*Pragnę cię ujrzeć, a wzrok mój jest słaby!
O niechże cię ujrzę, niechże zrozumiem!
Zwróć na mnie swe oczy, wszak wiesz, że istnieję!*

*Stwórczo słońca i księżycy,
Stwórczo dnia i nocy,
Stwórczo wiosny i zimy!
O, Wirakocza!*

Król był wielkim zdobywcą, namiętym podróżnikiem i skrzętnym gospodarzem. W swoich wyprawach rozszerzył granice państwa daleko na południe aż w głąb dzisiejszego Chile, przekroczył Andy i dotarł na obszary, które obecnie należą do Argentyny. W północnych prowincjach kazał wybudować kanał nawadniający, który stanowi zdumiewające dzieło inżynierii. Koryto, wykute w skale na głębokość czterech metrów, miało pięćset kilometrów długości i biegło przez góry, tunele i doliny, a wodę sprowadzaną z jezior i sztucznych cystem regulowano za pomocą rozlicznych śluz.

Podobnie jak ojciec, Wirakocza miał poważne trudności z prawowitą małżonką. A powodem była roślina koka. Jej liście żute razem z popiołem rośliny kinoa wydają kokainę, a więc bardzo szkodliwy dla zdrowia narkotyk. Inkowie najwidoczniej wiedzieli o tym, gdyż ograniczyli jej spożycie prawem i jedynie tylko członkom najwyższych kast wolno było oddawać się dowolnie nałogowi. Król nosił przy sobie pięknie haftowany woreczek pełen liści koka i częstował nimi tych, którym chciał okazać szczególną łaskę. Ściśle ograniczone porcje wydzielano jeszcze poza tym wojskowym, robotnikom ciężko pracującym w kopalniach, starcom, a przy wielkich świątecznych okazjach wyjątkowo także wszystkim innym mężczyznom.

Natomiast żadna kobieta nie odważyłaby się wziąć do ust listka koki, wykraczałoby to

⁵⁶ Podczas najazdu Hiszpanów Inkowie ukryli posąg w pieczarze górskiej, co świadczy ponad wszelką wątpliwość, że poczytywali go za szczególną świętość. Znalazł go jednak pewien mnich hiszpański i kazał pogruchotać na kawałki.

jaskrawo przeciwko dobrym obyczajom. Tymczasem koja, czyli oficjalna małżonka Wirakoczy, wynagradzając sobie częstą nieobecność męża w stolicy, szukała pociechy w narkotyku i czyniła to tak otwarcie, że wkrótce stała się przedmiotem ogólnego zgorszenia.

Niefortunny król czynił, co mógł, by małżonkę odwieść od nałogu, ale wszystkie próby i groźby okazały się daremne. Nie przestał jej przecież miłować, o czym świadczyła liczna gromada synów i córek zrodzonych z tego małżeńskiego związku.

W pierwszych latach XV wieku na tron wstąpił najstarszy syn Wirakoczy, Paczakutek. Był to nie tylko wielki zdobywca, jak jego ojciec, lecz również prawodawca i reformator państwa.

Dzięki niemu armia Inków urosła do pięćdziesięciu tysięcy wojowników. Na jej czele zdobył on w ciężkich i krwawych walkach obszary plemion Chinchi⁵⁷ i Huaraka, a przede wszystkim nadmorską nizinę Rimae, gdzie stał prastary chram boga Pachacansaca, cel pobożnych pielgrzymek wszystkich ludów peruwiańskich. Król przyjął tego boga do panteonu bogów państwowych i zespolił w jedną osobowość z Wirakoczą pod nazwą Pachacamac— Wirakocza. Za panowania Paczakuteka Inkowie dotarli po raz pierwszy do źródeł Amazonki, byli więc jej właściwymi odkrywcami.

W przerwach między wojnami Paczakutek wznosił szereg potężnych fortec wzdłuż granic państwa, między innymi górską cytadelę Macchu Picchu⁵⁸ i warownię w Cuzco Sacsahuaman, którą przez długie lata wznosiło dwadzieścia tysięcy robotników.

Wydane za jego rządów prawa zostały ujęte w aforyzmy, aby nawet najskromniejszy urzędnik mógł nauczyć się ich na pamięć. Karano kłamstwo, lenistwo, kradzież, morderstwo, rozpustę oraz bluźnierstwo przeciwko bogom i królowi. Oto garść norm prawnych:

„Ład w państwie opiera się na posłuszeństwie poddanych”, „Sędziowie przyjmujący podarki są złodziejami”, „Cudzołóstwo jest kradzieżą i podlega karze śmierci”, „Człowiek, który zabija bez upoważnienia, skazuje się na śmierć”. Bardzo piękne są również aforyzmy, pełne mądrości życia, jak na przykład: „Zazdrość jest jak pająk, który wysysa swój jad z najpiękniejszych kwiatów”, „Szlachetny i wielkoduszny człowiek daje się poznać po cierpliwości, jaką okazuje wśród przeciwności życia”, „Pijaństwo, gniew i obłąd są podobne do siebie, z tą tylko różnicą, że za pierwsze dwie przywary człowiek jest odpowiedzialny osobiście, ostatnia zaś jest chorobą, za którą nie można odpowiadać”.

W państwie Tawantinsuju nie istniało pojęcie równości wobec prawa. Wymiar kary, na przykład za kradzież, zależał od tego, czy poszkodowaną osobą był król, Inka, kapłan czy też zwykły poddany. W pierwszym wypadku skazywano na śmierć, w drugim i trzecim na kilkanaście uderzeń różgą, a w czwartym jedynie tylko na więzienie lub grzywnę.

Peruwiański kronikarz Garcilasso⁵⁹ utrzymuje, że nigdy nie zachodziła potrzeba ukarania członka książęcej kasty Inków lub kapłanów rzekomo dlatego, że żaden z nich nie był zdolny do popełnienia przestępstwa. Jeżeli Inka zapragnął jakiejś pięknej kobiety, po prostu zabierał ją do swego pałacu, przy czym ojciec dziewczyny jeszcze poczytywał to sobie za wielki zaszczyt. Nie miał też potrzeby rabować, ponieważ wolno mu było zabierać poddanym wszystko, czego tylko zapragnął. Nigdy też nie zabijał w przystępie gniewu, nie zdarzył się bowiem wypadek, aby ktoś z poddanych ośmielił się wywołać w nim cień niezadowolenia, a cóż dopiero podnieść nań rękę.

Paczakutek uporządkował również organizację sądownictwa. W każdej wsi i w każdym miasteczku powołał sądy złożone z miejscowych urzędników. Rozpatrywano tam głównie drobne wykroczenia przeciwko obyczajom i dyscyplinie pracy, zwłaszcza tępiono lenistwo.

⁵⁷ Czyt. Czinczi.

⁵⁸ Czyt. Makczu Pikczu. Warownię tę odkrył w roku 1912 Hiram Bingham.

⁵⁹ Czyt. Garcilasso.

Poważniejsze sprawy rozstrzygały sądy ustanowione przy naczelnikach okręgów i prowincji. Sądy musiały każdą skargę załatwić w ciągu pięciu dni. Od wyroków nie przysługiwało prawo odwołania do wyższej instancji.

Sędziów mianował sam król. Lotne komisje sprawowały nadzór nad ich działalnością. Stronnicze wyroki, nadużycie władzy, a szczególnie przekupstwo podlegały surowym karom.

Do rozprawy sądowej powoływano świadków obrony i oskarżenia, przy czym nie dopuszczano do zeznań kobiet, gdyż uważano je za istoty „z natury podstępne i kłamliwe”. Obwiniony miał prawo się bronić, często jednak torturami wymuszano na nim przyznanie się do winy.

Więzienia istniały głównie po to, by skazańcom zadawać męki. W pobliżu Cuzco służyła do tego celu podziemna pieczara, zwana Sancay, w której trzymano dzikie zwierzęta i płazy, jak pumy, jaguary, niedźwiedzie, żmije, skorpiony i ropuchy. Wtrącano tam niebezpiecznych zbrodniarzy, winnych obrazy majestatu, buntu lub zdrady stanu. Jeżeli podejrzany o przestępstwo nieszczęśnik przesiedział w lochu dwie doby i wychodził z próby obronną ręką, brano to za wskazówkę daną od bogów, że jest niewinny. Wtedy nie tylko przywracano mu wolność, lecz wynagradzano krzywdę hojnymi darami i zaszczytami.

Karę śmierci wykonywano ponadto przez ukamienowanie, strącenie z skały, wieszanie za włosy nad przepaścią i zasiekanie różgami. Zwłoki przestępcy wystawiano na żer kondorom i sępom, skórę wyprawiano na bębny, a czaszkę przerabiano na kubek do picia.

Skazańców wysyłano nieraz w drodze łaski na plantacje rośliny koka, gdzie klimat był zabójczy dla zdrowia. Osobliwą karą była tak zwana hiwaya, wymierzana przeważnie nieuczciwym urzędnikom i ludziom uprawiającym czarną magię. Polegała ona na tym, że z wysokości jednego metra opuszczano na plecy skazańca ciężki kamień, co zawsze pociągało za sobą kalectwo na całe życie, czasami nawet śmierć.

Prawa ustanowione przez Paczakuteka świadczą o jego zmyśle praktycznym. Ponieważ ludzi do pracy w polu nigdy nie było za dużo, spędzenie płodu podlegało karze śmierci. Taka sama kara groziła również za uwięzienie, kalectwo lub zabijanie jeńców wojennych. Osiedlano jeńców w słabo zaludnionych okolicach kraju, przydzielano im do uprawy kawałek ziemi i zyskiwano w ten sposób nowych rolników, tak potrzebnych państwu. Wycinanie drzew owocowych zaliczano do najcięższych zbrodni. Nie wolno było też jadać łuskanej kukurydzy, co napawa nas podziwem dla mądrości Inków, gdyż dopiero nowoczesna nauka wykryła, że obrana z łusek kukurydza traci dużo ze swej wartości odżywczej.

Zarządzenia Paczakuteka dzisiaj wydają się surowe i barbarzyńskie. Trzeba jednak stwierdzić, że również i w Europie przez długie wieki nie znano pojęcia równości wobec prawa i drobne przewinienia karano torturami, okaleczeniem ciała lub śmiercią.

Paczakutek był właściwym twórcą jedyne w swoim rodzaju ustroju, który odbierał poddanym wszelką wolność osobistą i zmieniał ich w kółka wielkiej maszyny państwowej. Określił on z drobiazgową dokładnością powinności każdego człowieka pracy, zaprowadził powszechny obowiązek służby wojskowej, a przede wszystkim świadomie i planowo obniżał stopę życiową ludności do najbardziej nieodzownych dla życia potrzeb.

Nikommu, kto nie należał do klas uprzywilejowanych, nie wolno było nosić ozdób ze złota, srebra i szlachetnych kamieni, nikt nie mógł przystroić się nawet w ptasie pióro ani założyć szaty ze szlachetnej wełny wiguni⁶⁰, zastrzeżonej tylko dla Inków i kapłanów.

Złoto i srebro, cenione wyłącznie dla ich walorów zdobniczych, pożyczano za łzy boga słońca lub bogini księżycy. Nikt z pospólstwa nie miał prawa posiadać ich, gdyż równałyby się to

⁶⁰ Wigunia — lama o delikatnej, jedwabistej sierści, żyjąca dziko w górach andyjskich.

świętokradztwu. Wszelkie złoto i srebro, dobywane w kopalniach i łupione w podbitych krajach, pozostawało w rękach króla, Inków i kapłanów, gromadziło się w niewiarygodnej ilości w świątyniach i pałacach. Gdy Hiszpanie pojawili się w Peru i ujrzeli te skarby skupione w nielicznych miejscach, ulegli złudzeniu, że Tawantinsuju jest istotnie owym legendarnym El Dorado, o którym krążyły po świecie najbardziej oszałamiające pogłoski.

Paczakutek upozorował swoje zarządzenia troską o zdrowie moralne poddanych, twierdząc, że dostatek i zbytek w strojach sprowadza ludzi na drogę deprawacji. Widocznie jednak uważał, że takie niebezpieczeństwo nie zagraża Inkom i kapłanom. Żyli oni wśród niebywałego przepychu, korzystając pełną ręką z nadwyżek produkcji, jakie powstały na skutek drakońskiego⁶¹ ograniczenia powszechnego spożycia.

Wytwory rolników i rzemieślników, ściągane tytułem danin podatkowych, gromadzono w spichrzach i magazynach państwowych. Obliczano je zaś z taką dokładnością, że poddany nie mógł odziać się sam i musiał chodzić w tym, co dano mu raz na dwa lata z magazynów państwowych.

Chcąc zapobiec niezadowoleniu poddanych i jakoś uczynić znośną ich nad wyraz smętną egzystencję, Paczakutek ustanowił trzy świąteczne dni w miesiącu wolne od pracy. Mieszkańcy wiosek gromadzili się wtedy w sąsiednich miasteczkach, gdzie odbywały się jarmarki i zabawy, wnoszące w ich nędzne życie nieco radości i koloru.

Następny z kolei król Inków, Tupak Yupanki, doprowadził państwo do szczytu potęgi. Okres jego panowania przypadł na XV wiek i trwał bez mała pięćdziesiąt lat. W paru kampaniach wojennych podporządkował sobie starożytne ludy pobrzeża morskiego, w szczególności królestwo Chimu z jego miastami Tumbes i Chan—Chan oraz płaskowyż południowego Ekwadoru z wyjątkiem miasta Quito, które miał zdobyć dopiero jego syn, Huayna Kapak.

Tupak Yupanki był wybitnym mężem stanu. Podboje przeprowadzał metodycznie, mając na oku ściśle określone cele. Rozważnie postępował krok za krokiem i zanim decydował się na nową wyprawę zaborczą, zabezpieczał zdobyte kraje niezwykle zręcznymi pociągnięciami. Zazwyczaj przesiedlał wojownicze plemiona w inne strony państwa, a miejscowych naczelników przywiązywał do siebie oddając im w małżeństwo kobiety z domu królewskiego i przyznając wszystkie przywileje Inków.

Tupak Yupanki zorganizował ekspedycję w głąb dżungli leżącej za wschodnimi i północnymi granicami kraju. Była to wyprawa niezwykle kosztowna, gdyż tamtejsze plemiona stawiały zacięty opór, a wojsko królewskie, nie przyzwyczajone do tropikalnego klimatu, poniosło ogromne straty w ludziach i sprzęcie wojennym. Król jednak postawił na swoim i włączył obszary te do swoich posiadłości. Nie był to jednak z jego strony ślepy upór żadnego podbojów człowieka. Przyświecały mu wyraźnie cele ekonomiczne, gdyż tylko stamtąd mógł otrzymać takie cenne i niezbędne towary, jak liście koki, drzewo na budulec i do wyrobu broni, kauczuk, pióra rzadkich ptaków, rozmaite zioła lecznicze, przede wszystkim jednak złoto.

Pamiętnikarze zanotowali o tym królu rozmaite anegdotki, świadczące o jego poczuciu humoru. Tak więc pewnego dnia zapytano go, jakie daniny ma składać pewna oddalona prowincja, znana z tego, że była biedna i nic nie produkowała. Na to król odpowiedział z poważną miną, że żąda od niej tytułem rocznej daniny misy pełnej pcheł. Potem zanosił się od śmiechu, gdy istotnie zjawiała się delegacja tej prowincji i uroczyście złożyła mu u stóp żadaną daninę.

Tupak Yupanki odznaczał się ponadto niezwykłą jak na króla osobistą odwagą i żyłką

⁶¹ Prawa drakońskie — niezmiernie surowe, okrutne: nazwa pochodzi od Drakona — prawodawcy ateńskiego z VII w. p.n.e.

awanturniczą. W Tumbez dowiedział się na przykład, że gdzieś daleko na morzu znajdują się dwie wyspy zwane Hahua Chumbi⁶² i Nina Chumbi, i niezwłocznie postanowił zwiedzić je osobiście. Otoczenie jego było przerażone i błagało, by odstąpił od swego zamiaru, Inkowie bowiem, jako ludzie gór, odnosili się do morza z zabobnym strachem.

Gdy król, głuchy na ich prośby, kazał wybudować kilka tratw z balsa i wraz z garstką najwierniejszych towarzyszy zniknął za widnokretem, wszyscy byli przekonani, że przepadł już na zawsze. Armia rozłożyła się obozem wzdłuż brzegu morskiego i czekała cierpliwie na powrót swego wodza. Upłynęło jednak siedem miesięcy, zanim król żeglarz powrócił do swoich osieroconych wojowników, przywożąc z dalekich wysp pełne kosze przedmiotów ze złota i innych artystycznych wyrobów. Nie mamy dokładniejszych wiadomości o tej ciekawej wyprawie, przypuszcza się jednak, iż chodzi tu o wyspy Galapagos, leżące sześćset mil na zachód od brzegu Ekwadoru.

Tupak Yupanki umarł jako 85—letni starzec w roku 1495. Królestwo Tawantinsuju osiągnęło wtedy szczyt swojej ekspansji terytorialnej. Obszar jego ciągnął się między Pacyfikiem i Andami pasem od 10 do 150 kilometrów szerokości i 3000 kilometrów długości. Północna granica państwa opierała się o rzeczkę Ancasmayu, na granicy dzisiejszego Ekwadoru i Kolumbii, południowa zaś sięgała aż do rzeczki Maule w granicach obecnego Chile⁶³.

Ponieważ kroniki peruwiańskie zgodnie wymieniają tylko dwunastu królów dynastii Inków, nie może ulegać wątpliwości, że Tawantinsuju jako państwo istniało wszystkiego od trzystu do czterystu lat, przy czym dopiero na ostatnie sto lat przed przybyciem Hiszpanów przypada właściwy rozrost jego potęgi.

Inkowie, jak to wynika z ich historii, zawdzięczali swój zdumiewający sukces nie tylko bitności wojowników, lecz w nie mniejszym stopniu talentom administracyjnym i zręczności, z jaką prowadzili swą mocarstwową politykę.

Jedynie tylko w wyjątkowych wypadkach dopuszczali się w podbitych krajach mordów i grabieży, chociaż niejednokrotnie musieli staczać z przeciwnikami zacięte walki. U źródeł tego ogólnego postępowania leżał trzeźwy, praktyczny stosunek Inków do zagadnień państwa. Ten rys ich umysłu występuje szczególnie w wypowiedzi jednego z królów, która stała się podstawą ich taktyki politycznej: „Musimy oszczędzać nieprzyjaciół, w przeciwnym bowiem wypadku narazimy się na straty, skoro wszystko, co oni posiadają, staje się w końcu naszą własnością”. Jedynie tylko powstania ujarzmionych plemion tłumili z bezlitosnym okrucieństwem, ale i w tym wypadku czynili to z zimnego wyrachowania: rozlew krwi miał być postrachem i ostrzeżeniem dla innych ludów, którym marzyłyby się wolność.

W świeżo zdobytym kraju Inkowie wznosili przede wszystkim świątynię słońca, a kapłani starali się nowych poddanych olśnić bogactwem strojów i splendorem religijnego ceremoniału. Nie próbowali jednak znieść miejscowych kultów. Wręcz przeciwnie, pozostawiali im w tych sprawach zupełną swobodę, a nawet przyjmowali ich bożków z wielkimi honorami do swojego panteonu jako krewnych boga Inti. Na skutek tych pociągnięć w murach Korikanczy mnożyły się świątynie poświęcone różnym peruwiańskim bożkom. Bogini księżycy Mama Kilia, bóg piorunów i błyskawic Iliapa, bóg gwiazdy Wenus, zwany Chasca, którego wyobrażano sobie jako kędzierzawego pazia boga słońca, oraz wielu innych — to były pierwotne bóstwa podbitych plemion.

Najjaskrawszym przykładem roztropności Inków jest ich postępowanie w stosunku do pokonanych królów i naczelników plemion. Otóż Inkowie najczęściej pozostawiali starych

⁶² Czyt. Czumbi.

⁶³ Od 2 stopnia północnej szerokości geograficznej do 37 stopnia południowej szerokości geograficznej.

władców przy władzy zapewniając sobie ich lojalność nadaniami ziemi i przyjmowaniem do kasty juków. Synów tych naczelników zabierali wprawdzie do stolicy jako czeladników, kształcili ich jednak w szkole Yacha Huasi na równi z młodzieżą z kasty Inków. Wychowywali sobie w ten sposób wiernych wasali, którzy mówili już tylko językiem keczua.

Jak z tego wynika, imperium Inków składało się z wielu plemion, leniących się religią, obyczajem i językiem. Największe ugrupowania wśród nich tworzyły ludy Ajmarów, Kalczaków, Nasków i Chuncho⁶⁴. Inkowie dążyli oczywiście do tego, żeby owe różnorodne elementy jednoczyć. Temu celowi miał służyć między innymi wspólny język państwowy. Keczua nadawał się do tego znakomicie, gdyż był najbogatszym, najbardziej rozwiniętym i najszybszym językiem Ameryki południowej.

We wszystkich miastach i wioskach nauczali przysłani z Cuzco nauczyciele. Jednocześnie wyszło rozporządzenie, że nikt nie może zostać urzędnikiem ani przełożonym gminy wiejskiej, jeżeli nie włada płynnie językiem keczua. W ten sposób keczua stał się w całym kraju językiem dworskim, językiem wykwiśniętych dostojników i administratorów, masy ludowe jednak trzymały się wiernie swojej mowy plemiennej.

Inkowie nie tylko krwawo tłumili bunty, lecz starali się im z góry zapobiec. W tym celu prowadzili planową politykę kolonizacyjną. Całe plemiona, podejrzane o zamiary buntownicze, przenosili w inne strony kraju, w obce im otoczenie lub na obszary nie zaludnione, bądź też osadzali wśród nich plemiona, do których mieli zaufanie. Kolonistów nazywano „mitmak”, co znaczy „ludzie, których przeniesiono”.

Z czasem instytucja „mitmak” stała się również narzędziem polityki gospodarczej. Do nie zaludnionych jeszcze, ale urodzajnych okolic kraju przenoszono rolników, aby uprawiali nowe ziemie. Zabierano ich przy tym z przeludnionych wiosek o podobnym klimacie, gdyż Inkowie nauczyli się z doświadczenia, że człowiek z gór może się utrzymać w tropikalnym klimacie nadmorskim, a człowiek z nad morza zginie w surowych warunkach wyżyn górskich. Przenoszono też nieraz całe wioski, ilekroć okazało się, że wyczerpana gleba nie jest w stanie już wyżywić ich mieszkańców i wymaga dłuższego odpoczynku. Przenosiny te, jakkolwiek zrazu bolesne dla chłopów, okazywały się w rezultacie dla nich korzystne, gdyż nowa nienaruszona ziemia przyczyniała się do poprawy ich bytu, nie mówiąc już o tym, że oczywiście i państwo na tym zyskiwało, gdyż pomnażało w ten sposób swoje dochody w naturze.

W CIENIU ODWIECZNYCH ANDÓW

Gdy Hiszpanie wylądowali w Peru, mocarstwo Tawantinsuju istniało stosunkowo krótko. A jednak jest faktem niezaprzeczonym, że zastali tam kulturę budzącą podziw swoim bogactwem i oryginalnością. Prawa, obyczaje, religia, sztuka, rzemiosło, nade wszystko zaś rolnictwo, słowem, wszystkie dziedziny umiejętności ludzkich osiągnęły tak wysoki poziom rozwoju, że niechybnie musiały istnieć na setki, jeżeli nie na tysiące lat przed Inkami.

Ludy, które kulturę tę rozwinęły, żyły na obszarze Peru od zamierzchłych czasów, natomiast Inkowie, nie wnosząc prawie żadnych własnych wartości kulturalnych, zorganizowali je politycznie, administracyjnie i społecznie w jedno olbrzymie państwo. Ich rola historyczna żywo przypomina rolę, jaką Rzymianie spełnili w basenie Morza Śródziemnego.

O tych prastarych ludach Peru mielibyśmy bardzo skąpe wiadomości, gdyby nie wykopaliska archeologiczne. Na przestrzeni bez mała dwóch milionów kilometrów kwadratowych nie ma prawie ani jednego skrawka ziemi, gdzie by nie znaleziono śladów ich życia i działalności.

⁶⁴ Czyt. Czunczo.

Wszędzie, czy to w Andach, czy też na pustynnych, tropikalnych nizinach nadmorskich, roi się od ruin miast, pałaców, świątyń i warowni, wszędzie pełno jest grobów i grobowców z milionami zmumifikowanych zwłok ludzkich. Już sama ich liczba świadczy o tym, że musiały się tam zgromadzić przez tysiąclecia⁶⁵.

W rzeczywistości nie są to sztucznie zabalsamowane mumie, lecz pomarszczone zwłoki ludzkie, zakonserwowane dzięki temu, że peruwiańska gleba zawiera spory procent związków azotowych. Zwłoki bywają nieraz w tak dobrym stanie konserwacji, że można rozpoznać nawet rysy twarzy nieboszczyków.

Osobliwy był sposób grzebania zmarłych. Trupy siedzą w kucki, z kolanami pod brodą, ubrane we wzorzyste tkaniny i zgrzebne płótno, spowite w sieć łykowatych postronków⁶⁶. Na twarzy mają maski ze złota, srebra, malowanego drewna lub też wypalanej gliny. Zwłoki kapłanów poznaje się po tym, że głowy ich wieńczą ogromne, wielobarwne pióropusze.

Mumie jednej z kultur, nazwanej przez archeologów „kulturą Nasca”, są tak szczelnie owinięte w tkaniny, że przypominają tłumok. Na wierzchu tego opakowania sterczą zazwyczaj sztuczne głowy drewniane ze wspaniałym pióropuszem. Zmarli tej kultury mają nie tylko maski na twarzy, lecz również liczne ozdoby ze złota i półszlachetnych kamieni.

Między niezliczonymi przedmiotami znaleziono w grotach naczynia gliniane ulepione w kształcie lamy, przy czym osobliwością jest to, że zwierzęta mają pięć palców u przednich nóg. Co więcej — wykopano szczątki kostne lam o pięciu palcach w tej samej warstwie kulturowej. Ponieważ dzisiejsze lamy od niepamiętnych czasów mają tylko dwa palce u przednich nóg, świadczyłyby to, że owe ludy żyły już na tysiąc lat przed naszą erą.

Do dziś zachowały się niezliczone ruiny po tych zagadkowych ludach. Zarówno na nizinach, jak i w Andach archeolodzy odkopują coraz to nowe zabytki i zapewne przez długie jeszcze lata zbierać będą obfite plony swoich poszukiwań. Na nizinach budowano przeważnie z nie wypalanej, suszonej na słońcu gliny, natomiast w górach z ogromnych bloków kamiennych, ważących nieraz do kilkunastu ton.

W niedużej odległości od dzisiejszego portu Salavary rozpościerają się na obszarze 18 kilometrów kwadratowych imponujące ruiny miasta Chan—Chan. Była to stolica znanego nam już królestwa Chimu, zawojowanego przez Inków. Mimo że zbudowana z suszonych w słońcu cegieł, zachowała się w tak dobrym stanie, że do roku 1925 można było odróżnić w rumowiskach ogromne place, szerokie, proste ulice, okazałe pałace, wspaniałe świątynie i fortece z blankami. W wymienionym roku niezwykle w tych okolicach ulewa deszczowa prawie zupełnie splukała ruiny z powierzchni ziemi, tak że pozostały po nich trudne do rozpoznania szczątki. Według obliczeń archeologów miasto liczyło co najmniej 250 tysięcy mieszkańców.

O plemionach Chimu wiemy więcej niż o innych ludach peruwiańskich, ponieważ stosunkowo późno zostały podbite przez Inków. Królestwo ich ciągnęło się szerokim pasem wzdłuż Pacyfiku od obecnej granicy Ekwadoru do Limy. Mówiono tam językiem zwanym „mochika”⁶⁷ lub „yunka”, do dziś dnia używanym przez niektóre plemiona peruwiańskie. Według tradycji w Chimu panowało kolejno dwunastu królów, potem wybuchła rewolucja i przez pewien czas utrzymywał się tam ustrój republikański. Wreszcie naczelnik plemienia z doliny Chicama obalił

⁶⁵ Największe cmentarzyska odkopane w okolicy Ancon, Miratlores, Pueblo Viejo, Punta Piedras, Chancay, Lanibayaque, Pimentel i Paramonga.

⁶⁶ W wielu wierzeniach religijnych przewija się motyw wiary, że zmarli mogą wracać do swoich bliskich żyjących i szkodzić im, stąd takie grzebanie umarłych, aby nie mieli możliwości poruszania się; niektóre plemiona np. przenosiły się w inne okolice lub znakowały całe ciała i wkładały dziwaczne stroje, by zmylić swoich zmarłych i uniknąć ich ewentualnej wizyty.

⁶⁷ Czyt. moczika.

rewolucyjny rząd i obwołał się królem przyjmując tytuł Chimu—Kapak. Był to wielki wojownik, który podbił sąsiednie plemiona i założył najpotężniejsze przed Inkami imperium peruwiańskie.

Znaleziska, wydobyte z niezliczonych grobów w okolicy Chan—Chan, dostarczają sporo cennych i zdumiewających szczegółów o kulturze mieszkańców Chimu. Byli oni przede wszystkim mistrzami w obróbce metali, które przekuwali, odlewali, młotkowali, rozciągali i spawali. Z miedzi, brązu, srebra, złota, a nawet z platyny wyrabiali ozdoby, broń, instrumenty muzyczne i wazy. Najbardziej jednak frapującą rzeczą jest to, że odkryli sztukę pozłacania i posrebrzania metalowych przedmiotów. Znaleziono miedziane maski, paciorki, biżuterię i naczynia pokryte cienką warstwą srebra lub złota, przy czym powierzchnia jest tak wyrównana, że nawet metodą elektrolizy nie można osiągnąć lepszego wyniku. Sztuka tego procesu pozostała do naszych czasów nie rozwiązana zagadką, mimo że najlepsi fachowcy biedzili się nad jej wyjaśnieniem.

Z relacji konkwistadorów hiszpańskich wynika, że ludzie Chimu posiadali wręcz niewiarygodne ilości złota. W świątyniach i pałacach pełno było półmisek, dzbanów, waz i pucharów kunsztownie wytrybowanych w grubej złotej blasze. Najeźdźcy oczywiście doszczętnie ogołocili kraj ze wszelkich bogactw, dobierali się nawet do grobów, gdy odkryli, że również tam jest zatrzesienie złota. Od tej chwili przez cztery stulecia rozkopywanie grobów Chimu w poszukiwaniu skarbów stało się osobną profesją. Mimo to archeolodzy przypuszczają, że w grobach kryje się wciąż jeszcze więcej złota, niż dotąd wydobyto na powierzchnię.

Wśród innych przedmiotów artystycznych, odkrytych przez archeologów, na uwagę zasługują tkaniny o niezrównanej piękności oraz wyroby z gliny, z drewna i skóry, ozdobione intarsjami⁶⁸ oraz inkrustacjami z kości, kolorowego szkliwa, masy perłowej i szlachetnych metali. Ponieważ ludzie Chimu żyli nad morzem i zajmowali się rybołówstwem, motywy zdobnicze, obok ptaków, ssaków, roślin i ludzi, bardzo często wyobrażają również ryby, ośmiornice, mątwy i skorupiaki.

Zgoła fantastyczna była ceramika Chimu. Wymienić trzeba tu na pierwszym miejscu tak zwane naczynia portretowe. Wyobrażają one głowy mężczyzn, kobiet i dzieci, często nawet całe postacie ludzkie, wyrzeźbione realistycznie w najdrobniejszych szczegółach. Niektóre z nich są niewątpliwie świadomymi karykaturami, co świadczyłoby o poczuciu humoru ich wykonawców.

Na podstawie tych realistycznych naczyń ceramicznych możemy poznać niejedyn szczegół z życia mieszkańców Chimu. Dowiadujemy się, jakim fizycznym typem był przeciętny człowiek z tych okolic, jak się ubierał, jak pracował i bawił się, na jakich instrumentach wygrywał swoje melodie, polował i walczył w bitwach.

Niektóre naczynia mają wyraźnie charakter rytualny. Przeważnie wyobrażają one mężczyznę z nienaturalnie dużym nosem i z kaczanem kukurydzy w ręku. Był to bóg kukurydzy, którego zagrzebywano w polu dla zapewnienia sobie obfitych zbiorów. Peruwiański archeolog dr. Tollo doszedł do przekonania, że naczynia te odgrywały również rolę hieroglifów, czyli że wyrażały słowa i pojęcia. Grzebane w ziemi, w ustalonym porządku, podobno miały utrwalać ważne wydarzenia z historii Chimu.

Dużą i odrębną grupę tworzą naczynia przedstawiające rozmaite makabryczne sceny, jak trupie czaszki, szkielety ludzkie, amputację kończyn, zniekształcone groteskowo części ciała, tortury, składanie ofiar ludzkich, męczarnie przedśmiertne oraz zboczenia seksualne. Niektórzy badacze wyrażają pogląd, iż rzeźby te są dowodem zupełnego zwyrodnienia mieszkańców Chimu.

Inne naczynia dają nam wgląd w medycynę owych plemion. Widzimy na nich, jak lekarz

⁶⁸ Intarsja— zdobienie przedmiotów drewnianych wzorami ułożonymi z różnych gatunków drewna, wstawianymi na miejsce usuniętych kawałków.

usuwa oko, otwiera brzuch, plombuje zęby, zszywa rany, a przede wszystkim, jak przeprowadza trepanację czaszki, co uważano przypuszczalnie za uniwersalny zabieg przeciwko wszelkim chorobom.

Ludzie Chimu byli również doskonałymi rolnikami. Mimo że mieszkali na ziemi jałowej i pustynnej, uzyskiwali obfite zbiory kartofli, kukurydzy, bawełny i rozmaitych owoców, a to dzięki temu, że poprzecinali pola gęstą siecią kanałów irygacyjnych i wybudowali sztuczne cysterny, w których przechowywali wodę na okresy nieurodzaju, gdy rzeka Moche⁶⁹ zbyt wysychała. Jeden z tych rezerwuarów wodnych, zwanych przez Hiszpanów La Manpuesteria, dziś jeszcze zaopatruje w wodę najbliższą okolicę.

Badacze często zastanawiają się nad pochodzeniem ludzi Chimu. Oni sami powiadali, że przybyli drogą morską z północy na tratwach i łodziach. Nie można wykluczyć, że w tej tradycji kryje się źdźbło prawdy, gdyż wyrzeźbione w ceramice głowy przypominają w zadziwiający sposób typy meksykańskich Majów. Zapewne pochodzenie ich pozostanie na zawsze historyczną tajemnicą, ale jedna z wielu teorii szczególnie przemawia do przekonania. Według niej ludzie Chimu przybyli z Panamy, skąd wygnał ich straszliwy wybuch wulkanu Guacamayo⁷⁰.

Do najstarszych miast na kontynencie amerykańskim należał Pachacamac, którego ruiny odkopano w dolinie Rimac w sąsiedztwie Limy. Od niepamiętnych czasów Pachacamac był najświętszym miastem Peru. Zdążali tam pobożni pielgrzymi, by pomodlić się przed drewnianym posągami boga Pachacamaca, co „stworzył ziemię z niczego i był duszą świata”. Imię jego Peruwiańczycy wymawiali wśród objawów najgłębszej pokory, kłaniali się w pas, potem podnosili oczy ku niebu i dłońmi posyłali mu symboliczny pocałunek. Nigdy jednak nie składali temu bóstwu ofiar.

W świątyni istniała wyrocznia, ale żeby na nią zasłużyć, pielgrzymi musieli składać kapłanom daniny i przez dwadzieścia dni zachować ścisły post. Przedstawiciele plemion zwracali się po wyrocznię do samego arcykapłana, ale wtedy musieli pościć cały okrągły rok i składać w świątyni kosztowne dary w srebrze i złocie.

Święty chram stał na wzgórzu, które podobno miało dwieście metrów wysokości. Był to ogromny zespół budowli, obwiedziony potrójnym murem obronnym. Zbocza góry obsiadło ciasne zbiorowisko domów przeznaczonych na mieszkania dla kapłanów oraz liczne zabudowania klasztorne. Droga do świątyni pięła się stromymi schodami w górę i przechodziła przez trzy bramy i trzy dziedzińce, zanim dotarła do głównego wejścia najświętszego przybytku, gdzie w półmroku stał niezmiernie stary posąg, wyciosany z jednego pnia.

Pachacamac słynął z istic bajorńskich skarbów. W niezliczonych komnatach pełno było złotych i srebrnych naczyń rytualnych, posągów, ofiar wotywnych i ozdób. Zewnętrzne ściany kryły polerowane blachy ze złota i srebra, tak że pątnicy widzieli blask świątyni z dalekiej odległości.

Zgodnie ze swoją polityką Inkowie uszanowali kult Pachacamaca, wybudowali jednak w sąsiedztwie świątynię boga słońca Inti, by zaszcześcić swój własny kult państwowy. Wiemy już, że Pachacamac, skojarzony z Wirakoczą w jedną boską osobowość, wyrósł stopniowo na najwyższe bóstwo królestwa Tawantinsuju.

Marzeniem każdego Peruwiańczyka było złożyć swe kości w cieniu świątyni. Toteż w ciągu wieków powstała naokoło miasta ogromna nekropolia zmumifikowanych, zagrzebanych w ziemi zwłok ludzkich, która od lat stanowi niewyczerpaną kopalnię znalezisk archeologicznych. Dr

⁶⁹ Czyt. Mocz.

⁷⁰ Wydarzenie to opisuje, w książce „Gdy stonce było bogiem”, wyd. IV. str. 333, w rozdziale „Pompeja nowego świata”.

Uhle odkrył tam oddzielny cmentarz młodych zaduszonych dziewczyn, poświęconych bogu Inti, przy okazji ważnych wydarzeń państwowych. Dziewczyny te ściągano jako trybut z całego Peru, trzymano w klasztorach „dziewic słońca”, a potem prowadzono do ołtarza ofiarnego.

Dzięki kanałom irygacyjnym dolina Rimac była kiedyś jednym kwitnącym ogrodem. Konkwistadorzy hiszpańscy nie tylko ograbili doszczętnie miasto i świątynię, lecz w dodatku doprowadzili do ruiny prastary system nawadniania, na skutek czego po dziś dzień okolica Pachacamac jest jałową, bezludną pustynią.

Jedną z największych zagadek historii peruwiańskiej stanowi tak zwany „lud różowych miast”. W odległości paru kilometrów od Pisco, na niedużym przylądku Pacyfiku, archeolog dr Tollo wykopał z piaskowych wydm rumowiska dwóch miast przedhistorycznych. Ich domy, pałace, świątynie, mury obronne, a nawet grobowce były zbudowane z porfiry o różowym odcieniu. Na tym ciasnym przylądku mieszkało w niewiadomych czasach około stu tysięcy ludzi; jedno z miast liczyło bez mała czterdzieści tysięcy mieszkańców. Ornamenty na naczyniach ceramicznych, narzędzia i ozdoby różnią się stylem i kształtem od wszystkich innych znalezisk peruwiańskich. Należy stąd wnioskować, że „lud różowych miast” tworzył rasowo i kulturalnie jakąś odrębną i obcą w Peru grupę ludnościową. Archeolodzy mają w tym wypadku twarde orzechy do zgryzienia. Na żadne z intrygujących pytań nie zdołano dotąd znaleźć odpowiedzi. Budowniczości tych osobliwych miast przetaczali ciężkie bloki kamienne z odległych okolic górskich, choć mogli, podobnie jak inne plemiona nadmorskie, użyć na budulec gliny, którą mieli w dowolnej ilości w najbliższym sąsiedztwie. Był to zaiste trud nadludzki, herkulesowy i właściwie bezrozumny. Mozoliły się przy tej pracy niezliczone pokolenia przez dziesiątki, jeżeli nie setki lat. Nawet cele obronne nie usprawiedliwiają owego fantastycznego budownictwa kamiennego, gdyż nie wypalana glina doskonale twardnieje w tropikalnym słońcu i stanowi materiał budulcowy nie gorszy niż kamień.

Zachodzi pytanie, dlaczego „lud różowych miast” osiedlił się na ciasnym, jałowym przylądku, skoro ziemi w owych czasach na pewno było wszędzie pod dostatkiem. Dotąd nie zdołano też uporać się z zagadnieniem pochodzenia tego tajemniczego ludu. Niektórzy archeolodzy wysunęli wprawdzie tezę, iż byli to uchodźcy z archipelagu wysp, który ponoć miał ongi zatonać w głębinach Pacyfiku, ale brak naukowo ustalonych dowodów w tej mierze.

Wśród niebotycznych turni Andów, prawie cztery tysiące metrów nad poziomem morza i w odległości dwudziestu kilometrów na południe od jeziora Titicaca znajdują się ruiny innego, może najbardziej tajemniczego i — jak twierdzą niektórzy archeolodzy — najstarszego na świecie miasta. Tam, na dachu kontynentu amerykańskiego, wznoszą się na tle oślepiającego nieba gigantyczne zwaliska Tiahuanaco, stolicy ludu, którego początki, dzieje i zagłada stanowią nie rozwiązana zagadkę historii.

Lud ten pojawił się nagle jakby z innej planety i nagle też zginął bez echa w mrokach przeszłości. Ruiny miasta zajmują obszar paru kilometrów kwadratowych i składają się z bloków kamiennych, które — zdawałoby się — tylko wielkoludy mogły udźwignąć. Góruje nad nimi wysoka piramida ze ściętym wierzchołkiem, na którym znajduje się obszerna cysterna do wody deszczowej.

Najciekawszym zabytkiem jest świątynia, zwana przez Inków Kalasaya. Wzdłuż krawędzi czworokątnego nasypu z ziemi, kiedyś wyłożonego płytami kamiennymi, stoją w równych odległościach monolityczne kolumny, a w samym środku wielkiego kwadratowego placu wznosi się kamienny posąg brodatego męża, zwrócony twarzą ku wschodowi słońca. Na szczyt tarasu prowadzą stopnie wyciosane z bloków kamiennych.

Gdziekolwiek spojrzeć, widać pogruchotane posągi i kolumny, fragmenty dziwnych płaskorzeźb oraz niezliczone mnóstwo skorup ceramicznych o niezwykle oryginalnych deseniach

zdobniczych. Odnosi się wrażenie, że miasto nawiedziło straszliwe trzęsienie ziemi i wyгнаło jego mieszkańców.

Wśród tego obrazu ostała się prawie nietknięta słynna „Brama słońca”. Wyciosana z jednego bloku kamiennego, stanowi bodaj że największy rozmiarami okaz sztuki kamieniarskiej na świecie.

Całą powierzchnię pokrywają szczelnie płaskorzeźby, przeważnie desenie geometryczne i motywy figuralne. Rzeźby te zdumiewają precyzją i drobiazgowością szczegółów. Pozostanie chyba na zawsze tajemnicą, jak bez narzędzi stalowych można było wykonać takie arcydzieło sztuki kamieniarskiej.

Niektórzy badacze wyrażali pogląd, że motywy figuralne są hieroglifami; jednakże raczej należy przyjąć, iż wyrażają one jakiś sens religijno—magiczny.

Wśród szeregu postaci z głowami kondorów króluje postać stwórcy świata, zwanego Kon—Tiki, Wirakocza lub też Kon—Tiki—Wirakocza. Spoza jego pleców rozchodzą się promienie słoneczne zakończone głowami jaguarów. Nazywano go też bogiem płaczącym, ponieważ ronił łzy, które były symbolem urodzaju i deszczu, a równocześnie wyrazem żalu nad grzeszną ludzkością.

Według starodawnego mitu peruwiańskiego ogromny bóg—kondor prznosił codziennie słońce przez kopułę nieba, walcząc po drodze z jaguarem, bogiem ciemności. Jest to niewątpliwie jeden z licznych przykładów dualistycznego pojmowania świata, odwiecznej idei walki złych i dobrych sił natury.

Postać boga płaczącego występuje nie tylko w Tiahuanaco, lecz również na wielu wyspach Pacyfiku i w różnych stronach Ameryki Południowej, jak na przykład w dżungli Amazonki, gdzie spotyka się go wymalowanego na urnach grzebalnych wielu plemion indiańskich.

Jeżeli chodzi o początki, długość trwania i upadek miasta Tiahuanaco, nie udało się dotąd ustalić ani jednej daty. Stwierdzono tylko na podstawie wykopalisk, że już w przedhistorycznych czasach jego wpływy kulturalne rozprzestrzeniły się na całym kontynencie. Znaleźiska związane ze swoistymi cechami jego kultury archeolodzy wydobywają z ziemi w promieniu setek kilometrów od miasta. Leżą one z reguły w najniższych warstwach kulturowych, co świadczy w sposób niezbity, że Tiahuanaco jest najstarszym miastem Ameryki Południowej.

Już sam fakt nagromadzenia w jednym miejscu owej masy gigantycznych gmachów, posągów, kolumn i tarasów przemawia za tym, że miasto narastało trudem kilku, jeżeli nie kilkunastu pokoleń ludzkich. Dodatkowym potwierdzeniem jest kultura jego mieszkańców. Taką niepospolitą umiejętność, jaka znalazła swój wyraz w architekturze i w rzeźbie Tiahuanaco, ludy osiągnęły zwykle jedynie w drodze długotrwałego, mozolnego rozwoju i dojrzewania. I chociaż należy odrzucić fantastyczne twierdzenie niektórych badaczy, jakoby Tiahuanaco było starsze niż Babilon, niemniej można przyjąć jako pewnik, że istniało już na parę stuleci przed naszą erą.

Przez długi czas zastanawiano się nad intrygującym zagadnieniem, w jaki sposób ludzie Tiahuanaco przetaczali z gór owe potężne bloki, ważące nieraz po kilkadziesiąt ton. Częściową odpowiedź zawdzięczamy odkryciu, jakiego dokonał archeolog amerykański Hyatt Verill w ruinach Tunca Punca, czy „Domu dziesięciu bram”.

Wiemy już, że Indianie amerykańscy nigdy nie wpadli na pomysł koła transportowego. Okazało się jednak, że ich poprzednicy dokonali tego wynalazku, nie umieli go tylko rozwinąć i zastosować w życiu codziennym, tak że poszedł całkowicie w zapomnienie. Głęboko w gruzach leżały dwa ciężkie koła kamienne średnicy trzech metrów z otworem dla czworokątnej osi. Niewątpliwie za pomocą tych kół budowniczowie Tiahuanaco zwozili z pobliskiego kamieniołomu owe monolity, które budzą dziś podziw swoim ogromem.

Warto dodać, że w ruinach „Domu dziesięciu bram” napotyka się często swastyki i krzyże

wyryte na posągach i kolumnach. Nie można wysnuć stąd wniosku, jak to czynią fantaści, że do Andów dotarły wpływy starego świata, świadczy to jedynie tylko o tym, że swastyka i krzyż były odwiecznym znakiem magicznym prastarych ludów nie tylko Europy, lecz także kontynentu amerykańskiego.

Inkowie zastali miasto już wyludnione i w stanie ruiny, dlatego właśnie nazwali je Tiahuanaco, co znaczy „Miasto umarłych”. Ponieważ Peruwiańczycy czcili je jako stolicę najwyższego boga, Inkowie, dla nadania większej wagi swemu kultowi plemiennemu, wzniesli pośrodku zwalisk swoją własną świątynię, poświęconą bogu słońca Inti.

Hiszpanie grabili i burzyli w Tiahuanaco, co się dało. Bloki kamienne spajały ankry z czystego srebra, wyrwali je więc z otworów i powodowali w ten sposób rozpadanie się poszczególnych części architektury. W wieku XVII wybudowali z kamieni Tiahuanaco stolicę Boliwii La Paz i wybrukowali wiele kilometrów okolicznych szos. Na szczęście nie wszystko zdołali zniszczyć, głównie monolity były zbyt gigantyczne, by je pogruchotać i ruszyć z miejsca.

Według prastarego mitu peruwiańskiego założycielem Tiahuanaco był Kon—Tiki—Wirakocza, biały brodaty bóg, który pojawił się w okolicy jeziora Titicaca, by nauczyć ludzi rękodzielnictwa i rolnictwa. Był to dobroczynny nauczyciel zdrowych i lekarz chorych, co zstąpił z niebios, by ulżyć ludziom w ich pełnym cierpienia żywocie.

Razu jednego odwiedził on dzikie plemiona indiańskie w okolicy Cacha. Przyjęto go tam wrogo, dybano na jego życie. Dobrotliwy bóg zawrzał po raz pierwszy gniewem. Na jego skinienie zapaliła się wielka góra (wulkan), grożąc ludziom zagładą. Przerażeni grzesznicy rzucili się na kolana i błagali przybysza o zmiłowanie. Kon—Tiki—Wirakocza dał się udobruchać, zgasił ogień i objawił im się jako bóg. Potem jednak, zasmucony do głębi niewdzięcznością ludzką, powędrował na morze i zniknął po drugiej stronie widnokregu.

Wielu badaczy przeszłości Peru nie wyklucza możliwości, iż legenda jest pogłosem jakichś prawdziwych wydarzeń historycznych. Wysunięto między innymi tezę, że w okolicy jeziora Titicaca mieszkali ongiś ludzie białej rasy i że, wyparci przez plemiona Ajmarów, udali się na tratwach w podróż morską, by skolonizować wyspy Pacyfiku.

Rzecznikiem owej tezy jest przede wszystkim Norweg Thor Heyerdahl, autor książki „Kon Tiki”, przełożonej na język polski przez Jerzego Pańskiego⁷¹.

Do tego poglądu przywiodła autora romantyczna przygoda, jakiej doznał na wyspie mórz południowych Fatuhiva. Pewnego księżycowego wieczoru, siedząc na plaży przy ognisku, przysłuchiwał się przy szumie fal morskich pogwarce starego krajowca, który opowiadał mu zastanawiające rzeczy o swych przodkach. Twierdził mianowicie, że plemię jego przywiodł na wyspę z zachodniego łądu bóg i wódz Tiki.

Opowiadanie wywarło na Norwegu silne wrażenie. I wtedy uderzyło go, że posągi legendarnego wodza Tiki, które spotykał na wyspie, przypominają stylem kamienne figury Ameryki Południowej. Z literatury podróżniczej wiedział, że pierwsi Europejczycy, którzy odwiedzili wyspy Oceanii, zastali tam, ku swojemu zdumieniu, brodatych tubylców o białej skórze, wywodzących swe pochodzenie od wodza Tiki.

Fakty te Thor Heyerdahl skojarzył z legendami, jakie wśród Indian peruwiańskich są jeszcze żywe do dnia dzisiejszego. Oto co pisze w swojej książce:

„Kon—Tiki był arcykapłanem i królem—słońcem legendarnych białych ludzi, którzy pozostawili olbrzymie ruiny na brzegu jeziora Titicaca. Legenda głosi, że Kon—Tiki został napadnięty przez wodza imieniem Cari, który przybył z doliny Coquimbo. W bitwie na wyspie jeziora Titicaca rozgromiono tajemniczych brodatych białych ludzi, lecz sam Kon—Tiki wraz z

⁷¹ Wyd. „Iskry” 1957 w ramach serii „Naokoło świata”.

najbliższym otoczeniem uratował się ucieczką i znalazł się nad brzegiem Pacyfiku, skąd następnie znikł, udając się morzem na zachód”.

Żeby uwierzyć w historyczną prawdziwość owych wydarzeń, trzeba było naprzód obalić twierdzenie, iż żegluga przez burzliwy ocean na kruchej tratwie jest całkowicie niemożliwa. Thor Heyerdahl podjął się tego zadania i wraz z kilku towarzyszami odbył na tratwie z balsa daleką podróż, którą opisał potem w swojej głośnej książce.

W roku 1957 dokonał on wielkiego odkrycia, stanowiącego dodatkowy argument na rzecz teorii o emigracji morskiej białych ludzi. Na Wyspie Wielkanocnej poddał bliższym badaniom tajemnicze posągi mężczyzn z czapami na głowie, rozstawione gęsto na tarasach wzniesienia górskiego. Ze zdumieniem i radością stwierdził, że na piersiach kamiennych postaci są wyrzeźbione tratwy z żaglami oraz ozdoby przypominające stylem i wykonaniem sztukę przedhistorycznych Indian peruwiańskich. Doszedł przeto do wniosku, że wygnani budowniczo Tiahuanaco osiedlili się w końcu na Wyspie Wielkanocnej.

Mimo skrzętnych poszukiwań archeologicznych wiemy o starożytnych ludach peruwiańskich wciąż jeszcze niezmiernie mało. Toteż każde nowe odkrycie jest zawsze wielką rewelacją naukową. Lotnicy peruwiańskiej linii powietrznej, szybując w roku 1955 nad pustynną niziną podbrzeża morskiego, spostrzegli jakieś figury geometryczne pokrywające obszar wielu kilometrów kwadratowych. Rozpoznali trójkąty skierowane ostrzami w rozmaite strony, czworoboki, linie biegnące obok siebie równolegle, a w niektórych miejscach ptaki z rozwartymi skrzydłami i pająki.

Odkrycie wydawało się wręcz niesłychane i prawie niewiarygodne, bo przecież owe tajemnicze znaki mają tak ogromne wymiary, że nad ich wykonaniem musiały pracować tysiące ludzi pod kierunkiem jakiegoś człowieka umiającego się posługiwać narzędziami mierniczymi.

Przede wszystkim zbadano, w jaki sposób owe znaki zostały utrwalone na powierzchni pustyni. Metoda okazała się genialnie prosta. Grunt jest pokryty grubą warstwą ściśle ubitego żwiru, który w ciągu niezliczonych wieków szerniał w słońcu tropikalnym. Wystarczyło usunąć ową górną warstwę, by ukazał się żwir jaśniejszy. Z ziemi różnicę bardzo trudno rozpoznać i dopiero z samolotu stała się ona widoczna.

Jaki był cel tych zagadkowych znaków? Archeolodzy stwierdzili, że ich twórcami musieli być ludzie kultury Nasca. Byli to znakomici rolnicy, znający już dobrze technikę kanałów irygacyjnych. Żyjąc na najsuchszych obszarach świata, pragnęli wiedzieć, kiedy deszcze wiosenne w Andach wypełnią wodą liczne rzeczki i kanały, jakie nawadniały ich pola.

Geometryczne znaki pomagały im przewidywać pory roku dzięki obserwacji obrotów słońca i innych ciał niebieskich. Niektóre ostrokąty skierowane są do tego miejsca na horyzoncie, gdzie słońce wschodzi i zachodzi podczas przesilenia na miejsca wschodu i zachodu księżyca, planet i gwiazd. Ptaki i pająki prawdopodobnie symbolizują konstelacje, a większe czworokąty służyły za miejsca kultu religijnego, za czym przemawiałyby kamienne nasypy przypominające ołtarze.

Trzeba jednak się zastrzec, że są to wyniki na razie dość pobieżnych badań; zapewne upłyną jeszcze lata, zanim archeolodzy i astronomowie zdołają ludziom Nasca wydrzeć ich tajemnicę⁷².

⁷² Rozdział ten nie ma na celu wyliczenia wszystkich kultur odkrytych dotąd w Peru. Nie wspomina np. takich wielkich i starych kultur, jak kultura Cliavin i Paracas. Zresztą intensywnie prowadzone poszukiwania archeologiczne przynoszą stale nowe rewelacje. W 1958 r. francuski archeolog Eertrand Flornov odkrył imponujące ruiny miast i fortec nie znanych dotąd plemion Yarcovilca, a w ich gruzach zdumiewające artystyczne wyroby ze złota, srebra i ceramiki.

KRÓL WRACA DO STOLICY

Nad otchłanią niewymierną zawisła ścieżynka wykuta w ścianie krzesanicy. Panuje tam mroźna, śmiertelna cisza samotnych wyżyn skalnych. W pewnej chwili słyhać skrzypienie kroków ludzkich na powłoce zamarznętej szreni i spoza węgła wybiega skrzydłonogi goniec królewski zwany „czaski”, sprawujący na tym odcinku służbę pocztową.

Odziany w krótką tunikę i skórzane sandały, rwie przed siebie z zadziwiającą chyżością. Oczy jego, utkwione w śnieżystą dal panoramy andyjskiej, są jakby nieświadome ziejącej tuż przy jego stopach przepaści.

Na twarzy nie znać ani zmęczenia, ani nawet wysiłku. Potężna klatka piersiowa i mięśnie pracują równo i machinalnie, ramiona zgięte w łokciach kołyszą się swobodnym, wahadłowym ruchem. Widać wytrawny to czaski, od dzieciństwa w zawód biegacza zaprawiony, bywały na bezdrożach skalnego świata, doświadczony w zapasach z niszczycielskimi mocami żywiołów. Przemierzywszy wąziutki chodnik, Indianin staje na chwilę przy krawędzi granitowego, zavalonego łomami zbocza, skąd roztacza się rozległy widok na dolinę. Potem zbiega w dół wykutymi w skale schodami i pędzi przez dolinę wybrukowanym, prostym jak strzała gościńcem.

Niebawem pokazuje się sylwetka okrągłego, kamiennego domku, wzniesionego tuż przy drodze. Czaski daje znać o sobie ostrym, przenikliwym hasłem i jednocześnie wyjmuje z torby zwinięty w kłębek kolorowy kipu. Jak z procy wypryskuje z domku inny biegacz, pędzi co sił w jego stronę, a potem zawracając i równając kroki z jego biegiem, sięga ręką po kipu, by wśród wesółych pokrzykiwań puścić się natychmiast w dalszą drogę. Wymiana sztafety odbywa się bez jednej sekundy zwłoki.

Stacje pocztowe zwane „czukla” stały wzdłuż drogi w odstępach od dwóch do ośmiu kilometrów, zależnie od przeszkód terenowych, jakie musieli przewyciężać kurierzy. W każdej z tych stacji czuwały dwuosobowe załogi, by w oka mgnieniu odebrać wiadomość i przekazać ją sąsiedniemu posterunkowi.

Kurierzy byli czynni całą dobę. W nocy oświetlali sobie drogę płonącym lucyzwem, a w dzień śmigali jak na skrzydłach, ostrzegając ludzi, by dali im swobodne przejście. Wędrowcy, karawany łam, a nawet pozłociste lektyki dostojników natychmiast usuwały się w bok, gdyż wstrzymanie gońców królewskich podlegało ciężkiej karze.

W kipu, który przechodzi teraz z rąk do rąk sztafety, król Tupak Yupanki zawiadamia, iż przybędzie do stolicy na końcowy egzamin szkoły Yacha Huasi, by osobiście wręczyć młodzieży złote kolczyki pełnoletniego Inki. Odległość od Quito do Cuzco wynosi bez mała dwa tysiące kilometrów, a sztafeta pochłania ją w niewiarygodnie krótkim czasie pięciu dni.

Trasa prowadzi poprzez bezludne i mroźne krainy Andów, trzy tysiące metrów nad poziomem morza; wzdłuż galerii wykutych w żywej skale, przez dzikie poszarpane zbocza, lodowce i zleby, przez wąwozy, gdzie w wilgotnym mroku szumią skłębione potoki, czasami na przełaj przez pływające się w słońcu urodzajne doliny. Drogę przecinają często rwące strumyki nabrzmiałe deszczami lub też rozłożyste koryta leniwych rzek. Goniec przekracza je na tratwach, na wiszących mostach z włókna agawy bądź też w koszach posuwających się na przecigniętych linach.

Na ostatnim odcinku przed stolicą droga wiedzie ponad świętą rzeką Apurimac, co znaczy „Bóg przemawiający”. Krajobraz jest tam niezwykle piękny i majestatyczny. Nurt rzeki przewala się z ogłuszającym rykiem między prostopadłymi, wysokimi na tysiąc metrów ścianami kanionu. Nad tą straszliwą rozpadliną skalną przerzucony jest most wiszący z grubych lin, zdumiewające dzieło techniki peruwiańskiej.

Panuje na nim ożywiony ruch, gdyż Cuzco jest już niedaleko. Po nieprzyjemnie rozkołysanym chodniku z desek i mat przechodzą piesi podróżni, karawany lam i lektyki Inków. Ostry krzyk przestrogi otwiera natychmiast wolne przejście dla gońca.

Czaski, tworzący ostatnie ogniwo rozstawnego biegu, mknie przez stolicę wśród ustępującej mu ciżby ludzkiej i wpada do królewskiego pałacu, gdzie klękając na oba kolana oddaje kłębek węzłów wysłany przed pięcioma dniami przez króla Tupaka Yupanki.

Wiadomość o przyjeździe władcy dała w pałacu hasło do gorączkowych przygotowań. Stęskniona za małżonkiem koja, słynąca w kraju z niepospolitej urody, przywołała natychmiast służebne i przed lustrem z polerowanego srebra oddała się upiększającym zabiegom. Z radości nuciła przy tym piosenkę miłosną, którą wygrywał na fujarce przyprorowadzony pastuszek. Odświętny nastrój zapanował również w tym skrzydle pałacu, gdzie mieszkały nałożnice z licznym królewskim potomstwem.

Arcykapłan zwołał na naradę „Najwyższy trybunał książąt” i „Radę czterech mędrców”, by zastanowić się nad sposobami najgodniejszego przyjęcia syna słońca i zdobywcy ogromnych połaci królestwa Quito. Następca tronu Huayna Kapak wziął się ze zdwojonym zapałem do pracy, ponieważ pragnął nie tylko zdobyć złote kolczyki, lecz przewyższyć we wszystkim rówieśników ze szkoły i okazać się godnym ojcowskiego wyróżnienia. W mieście zabrano się do stawiania bram triumfalnych i rozmieszczania nad ulicami zielonych girland.

Tajemnica powodzenia Inków polegała głównie na tym, że w przeciwieństwie do pozostałych ludów peruwiańskich byli oni niedoścignionymi mistrzami w budownictwie drogowym. Dzięki wybornie rozbudowanej sieci dróg mogli utrzymać w ryzach rozległe, wieloplemienne państwo i zaprowadzić w nim niebywale rygorystyczną administrację.

Drogami tymi przierzucali z miejsca na miejsce swoje armie, ściągali z prowincji trybut i daniny podatkowe, odbierali z najodleglejszych stron kraju regulame raporty, rozsyłali swoich urzędników i gońców. System tych dróg przypomina rozsnutą sieć pajęczyny, której nitki zbiegały się zewsząd w pałacu królewskim. Najdelikatniejsze potrącenie jednej z nitek wywoływało natychmiast wibrację odczuta w ognisku władzy.

Chcąc docenić w pełni trudności i osiągnięcia Inków, trzeba poznać choćby pobieżnie geograficzne właściwości peruwiańskiego krajobrazu. Uderzają w nim przede wszystkim nie spotykane gdzie indziej kontrasty w klimacie, w ukształtowaniu terenu, w faunie i florze. Górskie wyżyny Andów i tropikalna nizina pbrzeża morskiego — to jakby dwie odrębne planety.

Nawet w granicach górskiego świata istnieją kontrasty. W cieniu śnieżnych, pozbawionych wszelkiego życia wierchów, wśród których szczyt Chimborazo wystrzela na wysokość 6250 metrów nad poziom morza, rozpościera się porośnięty skąpą roślinnością płaskowyż. Pasą się tam mnogie stada lam, a zawieszzone w chmurach sadyby ludzkie otaczają zagony i znane nam już tarasy, wykute w skałach.

Ale tuż w bliskim sąsiedztwie surowego pustkowia uśmiechają się nasłonecznione, zielone doliny, gdzie rośnie kukurydza, rozmaite warzywa, nawet sady owocowe. Nieraz bywa tam tak ciepło, że wśród palm uwijają się papugi, a w powietrzu zawisają trzepocące skrzydełkami barwne kolibry. Na wschodnim zboczu łańcucha andyjskiego zaczyna się już dżungla Amazonki, królestwo pum i jaguarów.

Zgoła odmiennie przedstawia się nadmorska nizina Peru, ciągnąca się od miasta Tumbes w pobliżu równika aż do rzeczki Maule w środkowym Chile. Jeden z hiszpańskich podróżników wyraził się o niej w następujący sposób: „Nie można powiedzieć o tej ziemi, że jest martwa, gdyż znaczyłoby to, że kiedyś była żywa — ona nigdy nie była żywa. Nie ma tam ani kropli wody, ani drzew, ani trawy, ani żywej istoty, z wyjątkiem ptaków, które dzięki skrzydłom mogą swobodnie wędrować, dokąd zechcą”.

A przecież zanim najazd Hiszpanów przeszedł przez ten kraj jak burza niszczycielska, mieszkali tam ludzie i tworzyły się bogate swoiste kultury. Działo się tak dzięki tej szczęśliwej okoliczności, że pustynię przecinają mnogie rzeki, biorące początek w górach andyjskich. Skrzętni osadnicy indiańscy ujarzmiali ich wody, nawadniali pola za pomocą rozgałęzionego systemu kanałów irygacyjnych, a w porze letniej, kiedy koryta do samego dna wysychały, przechowywali zapasy wody w ogromnych cysternach. Nawet w te strony nadmorskie, którym natura poskąpiła rzek, sprowadzali wodę z dalekich gór poprzez wspaniałe akwedukty, wybudowane z bloków kamiennych.

Z biegiem lat powstały wzdłuż brzegu morskiego zielone plamy oaz, otoczonych dokoła pustynią. W tych urodzajnych oazach uprawiano bawełnę, kukurydzę, kinoa⁷³, fasolę, pomidory, pieprz czerwony, słodkie ziemniaki, dynie, ogórki, ananasy oraz wiele owoców o egzotycznych dla nas nazwach, jak guawa, papaja, czirimoja, awokado, algeroba, pepind i grandilla. Narodziły się tam sadyby i wsie, a w końcu takie ludne miasta, jak Tumble czy Pachacamac.

Owe przystanie ludzkiej zapobiegliwości ogarniał jednak bezmiar jałowej, bezwodnej pustyni, wielka kraina śmierci. Nigdzie chyba na świecie nie ma równie straszliwej pustki. Przez setki kilometrów ciągną się na przemian już to lotne żółte piaski, już to łyse pampy ubitego żwiru, już to piargi ostrych jak brzytwa kamyczków. Tu i ówdzie występują garby skalne, które schodzą ze stoków andyjskich, by w końcu rozpląnąć się w równinie lub też zatrzymać nad morzem w postaci spadzistej, poszarpanej ściany.

Sezon letni przypada tam na miesiące listopad—maj. Zabójcze promienie słoneczne załamują się wtedy w piaskach z taką oślepiającą jasnością, że niepodobna spojrzeć na nie gołym okiem. Gwałtowne, gorące wichry podrywają upiorne słupy piaskowe, które wirują chwilę w powietrzu i przypadają całym ciężarem do ziemi. Równocześnie powstają i zanikają monstualnie wysokie ruchome wydmy piaskowe w kształcie sierpa; pędzą one przed siebie jak fale na wzburzonym morzu i biada wędrowcowi, jeśli stanie im na drodze.

W okresach tego szaleństwa żywiółów pustynia omdlewa w upalnym tumanie i wszelkie życie jest skazane na zagładę. Żaden ssak, płaz czy owad nie zdoła się ostać, jedynie tylko król przestworzy, majestatyczny kondor, żegluje w górnych regionach nieba.

Z początkiem czerwca pustynię spowija osnowa mgły, która stopniowo gęstnieje, aż w sierpniu i wrześniu staje się zawiesistym oparem. Przez całą porę zimową słońce zasłania mleczna kurtyna, co daje przyrodzie wytchnienie i ulgę.

W pustyni bywają miejsca, gdzie od setek lat nie padały deszcze, zastępuje je wszelako z powodzeniem rozpylona mgła, przenikająca wilgocią piaski pustynne. W cieplarnianej atmosferze łyse pagórki jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zakwitają zielenią, pbrzeże morskie rozbrzmiewa nowym życiem. Wśród wesołego wrzasku uganiają się kormorany, pelikany, albatrosy, mewy, foki i pingwiny, w błotnistych ujściach rzek wylegają się aligatory i olbrzymie żółwie, na wystających skałach drzemią błyszczące zielone iguany. Trwa to do listopada, kiedy pokazują się na nowo białe miazdzące promienie słońca.

Biorąc pod uwagę powyższą topografię Peru, zrozumiemy, dlaczego pod względem budownictwa drogowego stawia się Inków obok Rzymian. Co prawda rzymskie drogi liczyły przeszło osiemdziesiąt pięć tysięcy kilometrów i obejmowały swą siecią pięciokrotnie większy obszar niż państwo Tawantinsuju, nigdzie jednak nie miały do przewyciężenia takich przeszkód naturalnych jak na terytorium Inków.

W Peru istniały dwie główne arterie komunikacyjne. Jedna wiodła przełęczami Andów od dzisiejszej Kolumbii przez Ekwador, Peru i Boliwię, wspinając się miejscami na wysokość pięciu

⁷³ Kinoa — roślina podobna do ryżu.

tysięcy metrów nad poziom morza, potem rozwidła się na dwa ramiona, z których jedno zbaczało w głąb dzisiejszej Argentyny, a drugie sięgało do środkowej części Chile.

Druga główna arteria biegła prawie równolegle wybrzeżem morskim od Tumbez do Rio Maule w Chile. Liczne poprzeczne drogi łączyły ją z górami i urywały się raptownie na podobłocznych wyżynach, gdzie potężne warownie broniły granic przed napadami dzikich plemion dżungli. Długość wszystkich dróg wynosiła w sumie mniej więcej szesnaście tysięcy kilometrów.

Gościńce były wybrukowane płytami kamiennymi, zalane cementem i zaopatrzone w odwadniające kanały. Zwykle szerokość ich wynosiła od trzech do pięciu metrów, jednakże w górach zwały się często do niepozornej ścieżki lub zamieniały w schody wykute w zboczu skalnym.

Droga nadmorska biegła wysokimi nasypami, obramowanymi stwardniałą od słońca gliną. W piaskach pustyni umacniano ją fundamentem z bloków kamiennych i zasłaniano z boków murowanym parapetem dla ochrony przed lotnymi piaskami. Tam gdzie warunki klimatyczne na to pozwalały, obsadzano ją drzewami, które dawały wędrowcom upragniony cień.

Oprócz stacji pocztowych stały przy drodze kamienie milowe, w odstępach zaś trzydziestu kilometrów państwowe zajazdy zwane Tambokuna. Były to rozległe zabudowania z sypialniami, salą jadalną i spiżarnią z zapasami żywności. Co sześćdziesiąt kilometrów wznosiły się ponadto ufortyfikowane stacje wojskowe obwiedzione murem obronnym. W ich obrębie znajdowały się koszary, wieże obserwacyjne, arsenał i ogromne magazyny z żywnością.

Przy naprawach nawierzchni dróg pracowały stale brygady robotnicze pod nadzorem inspektorów, którzy ponadto mieli zadanie pilnować, by zajazdy były zaopatrzone w żywność.

Wieże obserwacyjne przy stacjach wojskowych służyły nie tylko celom wartowniczym. W wypadkach szczególnie doniosłych, jak na przykład wojny, buntu, śmierci króla czy narodzin następcy tronu, przekazywano z ich szczytów sygnały optyczne za pomocą ognia i dymu. Wiadomość wysłana w ten sposób z Quito docierała do Cuzco w ciągu niecałej doby.

Już konkwistadorzy byli przejęci podziwem dla dróg peruwiańskich. Hernando Pizarro, brat przyrodni Francisca, na ich widok wykrzyknął:

„W całym świecie chrześcijańskim nie ma równie wspaniałych dróg”.

A pamiętnikarz Sarmiento pisze w swoim dziele „Relacion”, co następuje:

„Jak było to możliwe, że lud nie mający narzędzi żelaznych mógł wybudować na wyżynach skalnych te zdumiewające drogi z Cuzco do Quito oraz z Cuzco do pobrzeża morskiego Limy? Cesarz Karol z całą swoją potęgą nie byłby w stanie dokonać nawet części z tego, czego ów dobrze zorganizowany rząd Inków dokonał ze swoimi posłusznymi plemionami”.

Niestety, kolonizatorzy hiszpańscy doprowadzili owe drogi do zupełnej ruiny. W roku 1952 ekspedycja naukowa Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego pod kierunkiem Wiktora W. Hagen wyruszyła do Peru, by odszukać ich ślady w terenie i wykreślić je na mapie. Wyniki zebrane podczas dwuletniej samochodowej wędrówki, pełnej przygód i trudów, Hagen opisał w interesującej książce pod tytułem „Gościńce słońca”.

Autor opowiada między innymi, iż z niedowierzaniem odnosił się do twierdzenia pamiętnikarzy hiszpańskich, jakoby bieg rozstawny gońców indiańskich na trasie od Quito do Cuzco trwał tylko pięć dni. Szybkość wynosiłaby w takim razie bez mała czterysta kilometrów na dobę, co tym bardziej wydawało się nieprawdopodobne, że droga wiodła przeważnie przełęczami górskimi w bardzo rozrzedzonym powietrzu. Dla porównania należy zaznaczyć, że kurierzy rzymscy nigdy nie zdołali przekroczyć stu pięćdziesięciu kilometrów na dobę.

Hagen postanowił sprawdzić wiadomość doświadczalnie i w tym celu najął siedmiu młodych górali indiańskich. Rozstawiwszy ich w siedmiu stacjach pocztowych, których ruiny odkrył w

górach na wysokości pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza, kazał im przebiegać poszczególne odcinki. Podczas gdy młodzi Indianie biegli oddając sobie z rąk do rąk kłębek włókien, członkowie ekspedycji filmowali ich ruchy i mierzyli przebyty czas stoperem. Po sprawdzeniu rezultatów okazało się, że odległość siedemnastu i pół kilometra nie zaprawieni w biegach Indianie przebywali w ciągu 59 minut, co potwierdziło całkowicie relację pamiętnikarzy hiszpańskich.

Nie wiadomo dzisiaj, ile mostów wybudowali Inkowie na swoich drogach. Hagen odkrył ruiny czterdziestu dużych i stu mniejszych mostów, niewątpliwie było ich jednak daleko więcej. Największą sławą cieszy się most wiszący, który łączył spadziste brzegi rzeki Apurimac. Zbudowany w roku 1350, przetrwał prawie 540 lat i dopiero w roku 1890 został zniesiony, gdy lamy zastąpiono w Peru transportem kołowym. Na miejscu tego mostu Hiszpanie postawili most ze stalowych przęsł.

Już konkwistadorzy hiszpańscy opisują ten wiszący most, ale dopiero od roku 1877, kiedy amerykański podróżnik i dyplomata Ephraim George Squire opublikował jego rysunek, stał się on legendarny jako jeden z największych cudów świata. Amerykański archeolog Hiram Bingham, odkrywca zaginionej od wieków warowni Inków Macchu Picchu, wyznał, że rysunek fantastycznego mostu tak go zafrapował, iż postanowił poświęcić się całkowicie podróżom odkrywczym w Peru. Most nad rzeką Apurimac opisuje w jednej z nowel francuski pisarz Prosper Mérimée, ale do jego największego rozśławienia w naszych czasach przyczyniła się znana na całym świecie powieść Thorntona Wildera pod tytułem: „Most San Luis Rey”⁷⁴.

Most miał dziewięćdziesiąt metrów długości i zwisał głębokim łukiem mniej więcej sto metrów nad przepaścią kanionu. Chodnik z desek wyścielany matami spoczywał na dwóch kablach z włókien rośliny maguey, przytroczonych do potężnych wieżyc kamiennych. Kable miały czterdzieści centymetrów średnicy, a więc objętość tułowia ludzkiego, górne liny o daleko mniejszej średnicy, połączone z chodnikiem sznurkową siatką, tworzyły balustradę.

Po obu stronach rzeki piętrzyły się nad mostem urwiska, toteż dostęp nie był wcale łatwy. Z północnego brzegu dochodziło się do niego przez stumetrowy tunel, wykuty w skale wapiennej, a na południowym brzegu trzeba było wspinać się po zawrotnie wysokich stopniach wyłobionych w skale piaskowej. Ruch był możliwy tylko w godzinach przedpołudniowych, gdyż po południu wiały w tych okolicach tak gwałtowne wiatry, że struktura kablowa kołysała się jak hamak i przejście nawet dla górali peruwiańskich połączone było z wielkim niebezpieczeństwem.

Konserwacją mostu zajmowała się stała załoga, złożona z pięciuset mieszkańców okolicznych wiosek górskich. Co dwa lata, w porze posuchy letniej, przeprowadzano gruntowny remont. Uszkodzone liny wymieniano na nowe lub też oddawano do naprawy sąsiednim wioskom, gdzie od dzieciństwa zajmowały się tym kobiety.

„Bóg przemawiający” Apurimac budził w Peruwiańczykach pobożną grozę. Na szczycie urwiska przy moście stała kaplica z jego posągami, opisanym przez pamiętnikarzy hiszpańskich. Była to postać mężczyzny wyciosana z jednego pnia, opasana złotą wstęgą wyczelowaną misternie w kształt koronki. W lekko rozwartych ustach widniały dwa złote zęby, symbol boskiego krasomównstwa. Podróżnicy, szczęśliwie przekroczywszy rozkołysany most, składali bożkowi w dowód wdzięczności drobne ofiary.

Podróż króla Tupaka Yupanki do Cuzco miała charakter uroczystej procesji, pełnej nadzwyczajnego splendoru. Regiony państwa przemierzał bowiem nie człowiek śmiertelny, lecz ziemskie wcielenie słońca, przed którym olśnieni blaskiem poddani tarzali się na ziemi.

Król przywdział najbardziej ceremonialny strój. Na pasową, powłóczystą koszulę z

⁷⁴ Przekład polski Adama Kaski, „Czytelnik” 1957.

jedwabistej wełny, obszytą perłami i złotymi cekinami, kazał sobie nawinać szeroki pas przetykany złotem i obsyty magicznymi amuletami. Na ramiona zarzucono mu niebieski wzorzysty płaszcz, przypominający krojem dzisiejsze peruwiańskie ponczo, stopy obuto w złocisto—białe sandały o złotej podeszwie.

Postać jego skrzyła się i mieniła wielką obfitością klejnotów. Uszy obciążały koleczki zwisające do samych ramion, na piersi błyszczał złoty dysk inkrustowany szlachetnymi kamieniami oraz naszyjnik ze szmaragdów i topazów, szlifowanych w kształt księżycy w pięćdziesięciu dwóch jego fazach.

Kruczą czuprynę z grzywką spowijał wielobarwny zawój zwany „liauta”, z którego zwisały czerwone frędzelki. Na czole widniała najwyższa oznaka godności królewskiej, szkarłatna przepaska zwana „borla”, za którą zatknięte były dwa barwne pióra świętego ptaka kurakenke.

Ów zagadkowy ptak żył podobno w najbardziej niedostępnych okolicach górskich i pozostawał pod ochroną państwa. Biada człowiekowi, który by ośmielił się nań polować; za takie bluźnierstwo groziła kara śmierci. Jedynie tylko wtedy, gdy następowała zmiana na tronie, chwyтали go w sieć i puszczali na wolność specjalnie wysłani myśliwi, ponieważ każdy król według tradycji musiał otrzymać dwa świeże pióra. Inkowie wierzyli, że na świecie żyje zawsze tylko jedna jedyna para tych ptaków i że wyłącznym zadaniem ich życia jest dostarczać piór do korony królewskiej Inków.

Przyrodnicy próbowali zidentyfikować owego legendarnego ptaka i doszli do wniosku, że kurakenke to ketsal, jeden z najpiękniejszych okazów ptasiego świata w Ameryce Południowej. Nie większy od gołębia, odznacza się bajkowo kolorowym upierzeniem: piersi ma różowe, kark i skrzydła szmaragdowe, czubek na głowie biały, a pióra ogona metrowej długości mienia się całą gamą czerwieni, od barwy cytrynowej do ognistego szkarłatu. Ketsal jest bardzo płochliwy i niezmiernie trudno go spotkać, toteż Indianie pożyczali go za ptaka świętego i nietykalnego.

Podczas podróży niesiono króla w drewnianej lektyce, obitej złotą i srebrem blachą. Z baldachimu, wykładanego drogocennymi kamieniami, spływały kurtyny zdobne w wyhaftowane symbole słońca, księżycy i węży. Małe otwory w zasłonach pozwalały królowi obserwować krajobraz i zgromadzonych przy drodze poddanych.

Przywilej noszenia lektyki należał od wieków do wsi Rukana i Haturukana. Uczono tam zdrowych i silnych chłopców już od dzieciństwa, by nosili ją równo, miękko i bez kołysania. A była to umiejętność niełatwa, skoro droga wiodła przez góry, wiszące mosty i schody wykute w stromych zboczach skalnych. Za najłżejsze potknięcie niefortunnego tragarza ćwiczone różgami, za przewrócenie się i ściągnięcie za sobą lektyki czekała go śmierć przez uduszenie.

Lektykę poprzedzał pięciotysięczny oddział wojowników zbrojnych w proce, a pochód zamykała dwutysięczna gwardia przyboczna, złożona z młodych Inków.

Ogromny orszak „królewski poruszał się wolno, wśród głębokiego milczenia. Od czasu do czasu zarządzano postój, ile razy trzeba było zmienić nosicieli lub król chciał wysłuchać petycji i skargi swoich poddanych.

Przy drodze gromadziły się ogromne tłumy ludzi. Peruwiańczycy wierzyli, że los ich jest w jakiś tajemniczy sposób związany z życiem króla. Gdy zachorował lub umierał, spoglądali z obawą w niebo, czy wraz z nim nie zgaśnie słońce. Na widok zbliżającego się orszaku królewskiego wpadali w stan radosnej ekstazy. Dzieci śpiewały pieśni pochwalne i sypały kwiaty, a starsi rzucali się na drogę i całowali cień mijającej lektyki. Niby żarliwa litania rozlegały się okrzyki:

„Panie najwyższy, synu słońca, ojciec ukochany, cała ziemia jest ci posłuszna”.

Jeżeli król wysiadał z lektyki, by wysłuchać prośb i zażaleń poddanych, to miejsce, którego dotknął stopą, poczytywano za święte. Otaczano je niskim murkiem, a skrzywdzeni i strapieni z

okolicznych wsi gromadzili się tam jak przy kapliczce przydrożnej, by szukać pociechy w nieszczęściu.

W chwili gdy Tupak Yupanki przybył do Cuzco, w szkole Yacha Huasi przeprowadzano już egzaminy z tych przedmiotów, które nie wymagały obecności króla. Uczniowie, którzy nie wykazali się dostateczną wiedzą z wiązania kipu, z rytuału religijnego, z prawa, z historii i poezji, raz na zawsze mieli zamknięty dostęp do wysokich stanowisk w administracji.

Pozostawała im jednak służba wojskowa i dlatego dopuszczano ich do drugiej części egzaminu, gdzie badano sprawność fizyczną i znajomość wojennego rzemiosła.

Była to próba ciężka, wymagająca wielkiego hartu. Zamknięci w szkole w dzielnicy Collcampata, uczniowie musieli przez sześć dni przestrzegać surowego postu i spać nago na kamiennej podłodze. Jeżeli w tym czasie nie zdradzali żadnej słabości, wystawiano im obfitą ucztę, aby odzyskali siły do egzaminu w obecności najwyższego władcy.

Nazajutrz skoro świt na placu stolicy zamrowiło się od nieprzeliczonego ludu. Święto huaraku stanowiło wielkie wydarzenie, gdyż zawody młodzieży szlacheckiej były widowiskiem dramatycznym. Drabanci miejscy musieli niemało się natrudzić, by pośrodku placu pozostała wolna przestrzeń.

Niebawem ukazał się od strony pałacu przepyszny orszak królewski. Stłoczone tłumy jak rażone padły na ziemię i biły czołem o bruk kamienny. Uczyniła się cisza. Wysoko płynęła majestatyczna postać króla siedzącego w złocistym krześle. Boskie oblicze, uroczyste i nieprzeniknione, spoglądało w dal ponad głowami ludzkiego morza. Gdy nosiciele postawili lektykę na ziemi, król wstąpił na trybunę i usiadł na tronie w towarzystwie koi i arcykapłana. Od słońca chronił go dziergany złotem, śnieżnobiały baldachim, a stopy spoczęły na puszystej skórze jaguara. Trybunę otoczyła świta wodzów, dostojników, kapłanów oraz licznych nałożnic wraz z bastardami królewskimi.

Na skinienie króla poddani podnieśli się z klęczek, jednocześnie zabrzmiała fanfara konch i bębnow. Była to pobudka do rozpoczęcia popisów. Z niezrównaną lekkością wybiegła na plac gromada szesnastoletnich uczniów szkoły Yacha Huasi. Zbity wał ludzki aż zakotłosał się z wrażenia, bo widok był nad wyraz porywający. Dorodne, gibkie ciała młodzieńców, odziane w barwne opaski biodrowe, łyskały w słońcu jak odlane ze złota. Między kruczymi czuprykami migotała żółta opaska następcy tronu Huayna Kapaka.

Zawodnicy pobiegli chyżo do trybuny i jak na komendę padli u stóp króla. Trwali tak z pokornie spuszczonej wrokiem, czekając na rozkaz. Jedyne Huayna Kapak spozierał z uwielbieniem w oczy ojcowskie, ale Tupak Yupanki wyraźnie zdradzał niezadowolenie i unikał jego wzroku. W dniu huaraku nie istniały żadne względy stanowe i rodzinne, liczyła się tylko twarda, nieubłagana próba hartu i męstwa, czcigodna próba Inków. Nawet następca tronu nie mógł jej uniknąć, jeśli chciał okazać się godnym swego imienia i wysokiego stanowiska.

Zawody rozpoczęły się tradycyjnym wyścigiem, w którym uczniowie szkoły Yacha Huasi mieli wykazać szybkość i wytrwałość w biegu. Trasa prowadziła do świętej góry Huankawuri i z powrotem na plac uroczystości, liczyła przeto siedem kilometrów.

Na mecie zatknięto czerwoną chorągiewkę i ustawiono zawodników. Powietrze przeszyła ostra komenda i chłopcy pomknęli jak strzała, podczas gdy podniecone tłumy zagrzewały ich okrzykami do największego wysiłku. Kiedy zniknęli w uliczce wiodącej za miasto, na placu zapanował nastrój napiętego oczekiwania. Nawet król nie zdołał ukryć zdenerwowania i co chwila wychylał się, by spojrzeć w kierunku, skąd mieli powrócić zawodnicy.

Minęło zaledwie pół godziny, gdy w oddali zaczęła narastać burza okrzyków. I oto na skraju placu ukazała się żółta opaska — następca tronu pierwszy wpadł na metę. Porwawszy czerwoną chorągiewkę, złożył ją u stóp króla. Tupak Yupanki siedział sztywny i wyprostowany, ale oczy

jego spoczęły ciepło na dzielnym synu, który sprawił mu tak wielką radość.

Zawody trwały kilka dni, obejmowały bowiem popisy atletyczne, boks, zapasy, strzelanie z łuku i procy oraz pojedynki z drewnianymi toporami i maczugami. Niekiedy na polu walki padali ranni i zabici, zdarzało się również, że niefortunnego zawodnika wyszydzano i odsyłano do rodziców, ponieważ okazało się, że nie dorósł jeszcze do godności Inki. Huayna Kapak zbierał jednak same zwycięstwa i honory, rychło też stał się bożyszczem tłumów.

Najcięższa próba czekała młodzież w ostatnim dniu święta huaraku. Następca tronu wystąpił pierwszy na środek placu i wyprężył się jak struna. Wśród śmiertelnej, pełnej napięcia ciszy zbliżył się doń potężnie zbudowany wojownik. Naprzód ukląkł przed nim prosząc o wybaczenie, a potem zaraz zerwał się na nogi i niby gotowy do skoku drapieźnik zaczął obchodzić go dokoła, ważąc w obu garściach groźnie wymierzony topór wojenny. W pewnej chwili zawył tak przenikliwie, że ludzie drgnęli z przerażenia, a potem począł wywijać gwałtownie toporem podchodząc coraz bliżej, aż ostrze niebezpiecznie muskało ciało młodzieńca. Widać było, że drobna pomyłka w tej rozszalałej igraszce oręża musiałaby nieuchronnie zakończyć się ciężkim kalectwem lub zgołą śmiercią. Ale królewicz ani drgnął i ze spokojnym uśmiechem śledził migotliwe wstęgi rozpedzonego topora, tak jakby to nie jego dotyczyło. Na placu rozległy się z początku szmery podziwu i zachwytu, gdy zaś próba dobiegła końca i książę wyszedł z niej z honorem, ludzie wpadli w taki szal entuzjazmu, że strażę tylko z wielką trudnością zdołały przywrócić na placu porządek.

Nie wszyscy wyszli z tej próby obronną ręką. Najmniejszy objaw nerwowości, nawet lekkie drgnięcie powieki czy palca u dłoni równało się klęsce. Nieszczęsny młodzieniec, wyśmiany przez tłumy jako tchórz, musiał wycofać się z dalszych zawodów. Była to dlań hańba i ruina życiowa, gdyż kariera wojskowa została przed nim raz na zawsze zamknięta, co najwyżej mógł liczyć na jakiś podrzędny urząd w zapadłej mieścinie.

Próba z toporem była jednak fraszką w porównaniu z tym, co miało nastąpić. Uczniowie musieli teraz udowodnić, że są odporni na najsrozsze nawet cierpienia cielesne.

Założyciel szkoły Yacha Huasi, król Inka Rokka, nakazał, żeby synów królewskich, szczególnie zaś następcy tronu, nie tylko nie szczędzić podczas egzaminów, lecz przeciwnie, poddawać go próbom jeszcze surowszym niż innych uczniów.

Posłuszny, przykazaniom przodka, Huayna Kapak wystąpił znowu na środek placu i jak poprzednio przybrał postawę nieruchomą. Tym razem uśmiech na jego twarzy był sztuczny. Czoło powlekło się nieznaczną bladością, usta zacisnęły kurczowo, a oczy zaszyły mgłą wewnętrznego napięcia.

Za chwilę podszedł do niego Inka wysokiego pochodzenia i powiedział uroczyście:

„Wybacz mi, boski królewczu. Taka jest wola boga Inti i jego zastępców na ziemi”.

Ledwo to powiedział, zamierzył się giętką, sękatą różgą i z całej siły zaczął okładać młodzieńca razami. Huayna Kapak zastygł jak posąg i nie dał po sobie poznać, że cierpi. Suche, dojmujące odgłosy uderzeń następowały po sobie w równych odstępach czasu. Na złocistej skórze wystąpiły krwawe pręgi, oblicze zszarzało i przybrało wyraz martwej maski. Przyglądającym się tłumom truchlało serce, gdy jednak padło dwudzieste i ostatnie uderzenie, na placu powstała pomieszana wrzawa i zamęt, jakiego od lat nie widziała stolica Inków. Ludzie zachowywali się jak szaleńcy, wymachiwali ramionami, śmiali się, śpiewali i głosili wielkim głosem chwałę królewskiego bohatera. Niektórzy w przystępie zapamiętałego uwielbienia przedarli się przez kordon i scałowywali z bruku ślady krwi książęcej. Huayna Kapak stanął uśmiechnięty przed tronem ojca, dumny, że przetrzymał próbę z godnością dorosłego mężczyzny i wojownika.

Ponieważ wszyscy uczniowie stawali po kolei na placu, trzask różgi rozlegał się przez parę

godzin. Przeważnie spisywali się wcale nie gorzej niż następca tronu, ale i wśród nich znaleźli się słabsi, którzy mdleli lub mimo woli wzdrygali się przed ciosami. Jednakże z uwagi na to, iż wyszli zwycięsko z poprzednich prób, nie odmawiano im wstępu do wojska, tyle że zamykano im tam drogę do najwyższych stanowisk.

Uwieńczeniem święta huaraku było pasowanie uczniów na pełnoletnich Inków. Król zasiadł na trybunie w otoczeniu całego swego dworu i wygłosił przemówienie, wybierając na motto sentencję mądrego króla Paczakuteka: „Jeżeli nie umie się liczyć węzłów na kipu, byłoby niedorzecznością liczyć gwiazdy na niebie”. Pragnął w ten sposób podkreślić, że Inka powinien pilnie i sumiennie się uczyć, jeżeli pragnie sprostać wielkiemu posłannictwu swojej kasty.

Wysłuchawszy z uwagą budujących nauk władcy, uczniowie kolejno przyklękali u jego stóp. Tupak Yupanki przebijał im złotą szpilką uszy, zawieszał ogromne kolczyki Inków i wręczał złote maczugi bojowe, iżby zawsze bronili króla przed wrogami i zdrajcami.

Następnie odbył się ceremoniał obłóczyn. Uszczęśliwieni ojcowie przyodziali synów w kosztowne szaty i białe wełniane sandały, jakie tylko Inkowie mieli prawo nosić, a matki przystroiły im głowy w wieńce z listowia i kwiatów, które miały przypominać, że główną cnotą Inki jest łagodność i sprawiedliwość w stosunku do poddanych.

Wieczorem tego samego dnia, w blasku niezliczonych pt. dni, aktorzy amatorzy odegrali starodawny dramat— operę „Ollantay”, będący apoteozą bohaterskiego poświęcenia i wierności względem osoby królewskiej.

Oto treść tego pełnego dramatycznych spięć i liryzmu widowiska ludowego.

„W dawnych czasach żył sławny wódz Ollantay, który swymi zwycięstwami przyczynił się do wielkości Tawantinsuju. Pochodził on z ludu, potrafił jednak zręcznością i ambicją dobić się najwyższych godności w państwie. Urósł wtedy do takiego znaczenia, że król oddał mu namiestnictwo jednej z czterech prowincji, stanowisko od wieków zawarowane wyłącznie dla książąt krwi królewskiej.

Przebywając na dworze w Cuzco, Ollantay ośmielił się nawiązać potajemny stosunek z córką króla, urodziwą Kuri Koillur. Była to niebywała zbrodnia, świętokradztwo karane torturami i śmiercią, zwłaszcza że popełnił ją człowiek z pospólstwa, nie należący z urodzenia do kasty Inków.

Pewnego razu, wróciwszy w triumfie ze zwycięskiej wyprawy wojennej, Ollantay nabrał takiej pewności siebie, że poprosił o rękę ukochanej księżniczki. Ale syn słońca z pogardą i oburzeniem odrzucił prośbę zuchwalca.

Niebawem Kuri Koillur urodziła córkę Imę Sumak i zbrodnia wyszła na jaw. Król wtrącił córkę wraz z wnuczką do więzienia, lecz Ollantay zdążył zawczasu umknąć i schronić się do potężnej górskiej warowni Tambu, leżącej nad rzeką Urubamba w dolinie Vilcamayo. Wysłane w pościg wojska daremnie szturmowały warownię, doświadczony bowiem w wojnach buntownik zwołał swych stronników i bronił się tam skutecznie.

Wtedy inny sławny wódz, Rumi Nahuni, chcąc okazać królowi swoje przywiązanie, uknuł plan zdobycia Tambu podstępem.

Nie wtajemniczając nikogo w swoje zamiary, popełnił naprzód straszne przestępstwo. Mianowicie pewnej nocy wtargnął do klasztoru „dziewic słońca”, gdzie został ujęty przez zaalarmowaną straż kapłańską.

Zbrodnia dostojnika stała się w państwie drugim po Ollantayu skandalem. Podczas śledztwa Rumi Nahuni poprosił króla o rozmowę w cztery oczy. Sędziów istotnie odprawiono, a wtedy wyjawiał królowi, że do klasztoru wtargnął jedynie dlatego, by ściągnąć na siebie piętno zbrodniarza. Zapewnił przy tym, że nie popełnił wobec «dziewic słońca» żadnego bluźnierczego czynu. Zgodnie z uknutym planem poprosił, aby publicznie wydano go na mękę. Zamierzał

potem uciec do Tambu, aby jako ciężko sponiewierany człowiek podstępnie wkraść się w łaski Ollantaya. Król przystał na wszystko i pochwalił go za okazaną mu wierność.

Na placu w Cuzco w obecności niezliczonych tłumów odbyła się krwawa masakra. Rzekomego przestępcę ćwiczący kijami tak okrutnie, że stracił przytomność z upływu krwi. Nazajutrz Rumi Nahuni dowłókł się z mozołem do Tambu i poprosił Ollantaya o azyl. Buntownik przyjął go z otwartymi ramionami w głębokim przekonaniu, że zbieg będzie wraz z nim szukał zemsty na królu.

Minęło kilka tygodni, zanim nadarzyła się okazja do działania. Ollantay urządził wesele swojej córce, podczas którego piwo kukurydzane czicza łało się tak obficie, że wszyscy popili się do nieprzytomności. Wtedy Rumi Nahuni otworzył bramy wojskom królewskim i po krótkiej walce opanował gniazdo rebelii. Ollantay nie dał się jednak wziąć do niewoli, lecz rzucił się w przepaść ze szczytu wysokiej skały⁷⁵.

Po tradycyjnym widowisku w Cuzco trwała kilka dni wesoła zabawa. W tańcach ludowych pozwolono wziąć udział świeżo upieczonym Inkom, ale zaraz po świętach wysłano ich na praktykę do wojska i administracji kraju.

TAWANTINSUJU

W okolicy Cuzco na płaskowyżu stał letni pałac Collcampata. Przylegał do niego na tarasie niewielki zagon, poświęcony bogini kukurydzy Zaramamie. Z początkiem września przeniosła się do pałacu cała rodzina królewska, by dopełnić dorocznego obrzędu przeorania boskiej ziemi i wysiania kukurydzy.

Było to najradośniejsze ze wszystkich peruwiańskich świąt religijnych. O pierwszym brzasku król i jego najbliżsi krewni, odziani w najpiękniejsze szaty, wylegali na pole z narzędziami rolniczymi z litego złota. Przy wtórze śpiewów i wesołych nawoływań rozpulchniali glebę motykami, a w dołkach drążonych zastrzonymi prętami sadzili pieczolowicie ziarna, z których miała wyrosnąć kukurydza.

Wesoły obrzęd w pałacu Collcampata dawał jednocześnie pobudkę do prac polowych w całym państwie. Pod okiem urzędników królewskich mieszkańcy niezliczonych wiosek zabierali się gromadnie do uprawy roli. Raczono ich przy tym hojnie smakołykami i kukurydzanym piwem czicza, nastrój bywał przeto zawsze rażny i ochoczy. Na polach rozlegały się na chwałę matki—karmicielki Zaramamy tradycyjne piosenki „ajmuraj”⁷⁶, przeplatane triumfalnymi okrzykami hailli. W ten sposób rozpoczynał się nowy coroczny cykl peruwiańskiego życia, którego podstawą była kukurydza.

Indianie królestwa Tawantinsuju byli znakomitymi rolnikami. Przystosowując się do różnych warunków klimatycznych kraju, wytwarzali wielką różnorodność produktów rolnych. W nizinnych okolicach uprawiali kukurydżę, proso, kinoa, którego ziarna przypominają ryż, oraz bawełnę; w regionach górskich, gdzie panowały surowsze warunki klimatyczne, uzyskiwali bogate plony ziemniaków i fasoli. Miasta i wioski tonęły w sadach dających mnogie gatunki owoców.

⁷⁵ Zbiór pieśni ludowych o bohaterze Ollantayu przerobił w roku 1770 na dramat mnich hiszpański Antonio Valdez Tinta. Zmienił on fabułę w duchu ówczesnych ideałów feudalnych: Ollantay prosi króla o przebaczenie, a wspaniałomyślny monarcha nie tylko darowuje mu winy, ale nawet przywraca urzędy. W wersji hiszpańskiej występują historyczni królowie Paczakutek i Tupak Yupanki, jednakże oryginalne teksty opowieści, a przynajmniej główne jej fragmenty powstały na długie lata przed ich panowaniem. „Ollantay” w wolnym przekładzie Krzysztofa Radziwiłła ukazał się w Polsce w roku 1922, nakładem Spółki Wydawniczej „Vita Nuova”.

⁷⁶ Pieśń „ajmuraj” śpiewają w niektórych wioskach do dnia dzisiejszego.

Kanały do nawadniania gleby i tarasy wykute w zboczach skalnych — to wprawdzie podziwu godne, ale bynajmniej nie wszystkie zdobycze peruwiańskich rolników. Oni jedni bowiem na kontynencie amerykańskim odkryli tajemnicę użyźniania gleby nawozami. Wzdłuż brzegu morskiego ciągnie się łańcuch wysepek zamieszkałych przez nieprzeliczone ptactwo morskie. Wytworzyła się tam dzięki temu gruba warstwa odchodów, stanowiących znakomitą mierzwę, nazwaną później przez Hiszpanów guano.

Już w odległej przeszłości Indianie poznali się na jej wartości i nawozili nią swoje pola. Inkowie, chcąc zapobiec wyczerpaniu nawozu, ujęli jego eksploatację w surowe przepisy. Ptaki gnieźdzące się na wyspie pozostawały pod ochroną państwa: polowanie lub wchodzenie na wyspy w porze wysiadywania jaj podlegało karze śmierci. Nawóz wydzielano poszczególnym okręgom rolniczym według ustalonego klucza, nadzór zaś nad podziałem sprawował wysoki urząd wyznaczony bezpośrednio przez króla. Jako nawóz służyły ponadto głowy ryb, sardynki łowione w tym celu w wodach przybrzeżnych oraz odchody lam.

W porównaniu z tymi osiągnięciami w dziedzinie użyźniania gleby prawie niezrozumiałą rzeczą jest to, że Peruwiańczycy nie uczynili żadnego postępu w konstrukcji narzędzi rolniczych. To zacołanie można tłumaczyć w pewnej mierze znamienym dla nich brakiem zmysłu do mechaniki. W związku z tym praca rolnika była u nich nad wyraz mozolna i wyczerpująca. Glebę rozpulchniano motykami, a do przeorywania bruzd służył zaostrowany pal z poprzecznym drążkiem. Podczas gdy jeden rolnik trzymał nogę na drążku i wciskał ostrze w ziemię, inni wlekli palik przez zagon za pomocą przywiązanej do niego liny. Uprawy dokonywano wyłącznie siłą fizyczną człowieka, gdyż lama nie nadaje się do pracy pociągowej.

Starodawny ustrój peruwiański oparty był na wspólności rodowej, zwanej „ayllu”. Ziemia należała do wszystkich członków rodu i nie mogła stać się własnością prywatną. Corocznie rozdzielano ją do uprawy między poszczególne rodziny, przy czym wielkość działek wahała się zależnie od przyrostu naturalnego i gęstości zaludnienia gminy wiejskiej.

Gdy przyszli Inkowie, pozostawili instytucję „ayllu” nie tkniętą, a nawet nie pozbawili władzy starszyny rodowej. Jednali ją sobie tylko przywilejami i dla pewności osadzali we wsi urzędnika, by sprawował nad nią nadzór.

Jednakże tradycyjne formy wspólnoty agrarnej służyły później najeźdźcom jako prawna odskocznia do wywłaszczenia podbitych plemion z ziemi i przyjęcia jej pod bezpośredni zarząd państwa. Pozornie nic się nie zmieniło, ziemia nadal pozostała własnością gromadną, tyle tylko, że zarządzał nią teraz w imieniu króla urzędnik przysłany z Cuzco. Członkowie wspólnoty rodowej rychło spostrzegli się, że właściwie wyzuto ich z ojcowizny, nie mieli jednak możliwości przeciwstawienia się tym krzywdzącym zmianom.

Narzucone im prawo Inków całkowicie przeistoczyło ich położenie społeczne. Z wolnych rolników, kierujących swoim życiem poprzez wybieranych naczelników, zamienili się w pańszczyźnianych chłopów króla—słońca, w bezwolne kółka potężnej, nieubłaganej maszyny państwowej.

Urzędnik królewski każdego roku dzielił ziemię rodową na trzy części, przeznaczone na użytek boga—słońca, czyli kapłanów, króla i członków rodu. Tę ostatnią część parcelowano między rodziny chłopskie według zasad ustalonych przez króla Paczakuteka, to znaczy w taki sposób, aby zostały zaspokojone jedynie najbardziej elementarne potrzeby poddanych.

Każde bezdzietne małżeństwo otrzymywało do uprawy część gruntu wielkości jednego „tupu”, co przypuszczalnie wynosiło niespełna trzysta metrów kwadratowych. W miarę przybywania dzieci dorzucano na ich utrzymanie dodatkowe działki, a mianowicie dla syna jeden tupu, natomiast dla córki tylko połowę tupu. Starczyło to zaledwie na utrzymanie się przy życiu. W wypadkach gdy ludność wioski zwiększała się przez przyrost naturalny, zmniejszano na rzecz

jej rosnących potrzeb pola królewskie albo też przenoszono nadmiar ludzi do okolic słabo zaludnionych.

Zarówno ziemię kapłanów i króla, jak i własne zagony musieli oczywiście uprawiać ci sami chłopci. Przestrzegano pod tym względem uświęconej kolejności, której naruszenie podlegało surowym karom.

Pierwszeństwo miała „ziemia słońca”, przeznaczona na utrzymanie świątyni i kapłanów. Drugie z kolei miejsce przysługiwało działkom należącym do chorych, starców, wdów i sierot oraz do mieszkańców wsi, którzy odbywali służbę wojskową. Po spełnieniu tej powinności rolnicy mogli zabrać się do uprawy własnych zagonów. Ciężył na nich przy tym tradycyjny obowiązek udzielania sobie wzajemnej sąsiedzkiej pomocy, a w szczególności rodzinom obciążonym licznym nieletnim potomstwem. Dopiero na samym końcu zabierano się do ziemi królewskiej, co odbywało się w nastroju świątecznym, przy śpiewach głoszących chwałę syna słońca.

Jak bezwzględnie przestrzegano ustalonej kolejności, świadczy następujące wydarzenie. Za panowania Huayna Kapaka urzędnik pewnej wsi zarządził, by wzięto pod uprawę ziemi królewską przed działką świeżo owdowiałej kobiety. Na wiadomość o tej samowoli król wpadł w taki gniew, że kazał winowajcę ukamienować.

Indianie peruwiańscy nie tylko celowali w rolnictwie, lecz byli również doskonałymi rzemieślnikami. Szczególną biegłość osiągnęli w tkactwie, garncarstwie i obróbce szlachetnych metali. Ich tkaniny, kobierce, makaty i kilimy, delikatne, puszyste i zdobione pomysłowym, wielobarwnym deseniem, uchodzą za arcydzieła sztuki ludowej. Nie ustępują im pod względem artystycznym wyroby ceramiczne; odznaczają się one zawsze szlachetnym kształtem, subtelną w kolorach polewą i bogactwem motywów zdobniczych. Jeżeli zaś chodzi o złotnictwo — to nie mieli oni równych sobie na całym kontynencie amerykańskim.

Poszczególne gałęzie rzemiosła pozostawały od wieków w ręku tych samych rodzin i przechodziły z ojca na syna. Co więcej, całe gminy wiejskie trudziły się nieraz wytwarzaniem pewnych tylko przedmiotów i tą drogą dochodziły w swej umiejętności do mistrzostwa. Bywały wsie, które wyrabiały tylko sandały, inne znowu naczynia gliniane, koszyki, tkaniny lub wyroby ze złota i srebra. Specjalizacja rozwinęła się do tego stopnia, że na przykład w pewnej wiosce można było otrzymać tylko łuki, a w sąsiedniej wsi odpowiednie do nich strzały. Plemiona peruwiańskie nie znały pieniądza obiegowego; na odbywających się w ustalonych miesiącach gwarnych i malowniczych jarmarkach prowadzono ożywiony handel wymienny. Jarmarki te były dla ludności jednocześnie rozrywką i świątecznym wypoczynkiem po pracy.

Chcąc odebrać chłopom ziemię i znaczną część wytwarzanych płodów rolnych, Inkowie musieli pozbawić ich wolności osobistej i narzucić przymus pracy. Przywiązali ich przeto do ziemi i nie pozwalali opuszczać rodzinnej wsi bez pozwolenia urzędników królewskich.

Podobny los spotkał rzemieślników. Uświęcony wiekami zwyczaj przechodzenia rękodziela z ojca na syna, zwyczaj przestrzegany dobrowolnie, Inkowie zamienili w przymus narzucony przez prawo. Tak jak chłop został przywiązany do ziemi, rzemieślnik nie mógł opuścić warsztatu ojca bez względu na zdolność i zamiłowania. Ową srogą zasadę wprowadził król Inka Rokka, który powiedział, że „synowie muszą robić to samo, co ich ojcowie robili”.

Równocześnie państwo zawładnęło najważniejszymi źródłami surowców, między innymi kopalniami metali i stadami lam dostarczających wełny i skór. Zajęcie rzemieślnika sprowadzało się głównie do tego, że na zlecenie państwa przerabiał powierzone mu surowce. Wyroby jego gromadzono w magazynach królewskich, na użytek kapłanów, dostojników i wojska, częściowo zaś do podziału między ludność pracującą. Żaden poddany nie mógł nosić ozdób z szlachetnych metali; szczególnie złoto było zastrzeżone dla Inków i kapłanów. Artyści złotnicy pracowali

wyłącznie dla świątyń i pałaców. W podbitych krajach, gdzie ludność od wieków przywykła do strojenia się w biżuterię, Inkowie musieli nieraz łamać zacięty opór, by przeprowadzić swoją zasadę.

Poddany Inków nie miał prawa do własności osobistej, wyjąwszy sprzęty potrzebne w gospodarstwie domowym. Nawet narzędzia do pracy w polu i w rzemiośle stanowiły własność państwa. Jeżeli chodzi o chatę i zabudowania gospodarcze, to był on tylko ich dożywotnim użytkownikiem, gdyż nie mogły ich dziedziczyć dzieci. Przy zawarciu związku małżeńskiego synowie otrzymywali chaty nowe, zbudowane przez gromadę wiejską, lub stare, po zmarłych małżeństwach.

W tych rygorystycznych stosunkach własnościowych istniały jednak pewne niewielkie luzy. Tak więc każde gospodarstwo chłopskie miało prawo trzymać kilka lam jako zwierzęta juczne i hodować dowolną liczbę świń morskich, które pieczono na rożnie jak prosięta. Ponadto mogło wypłacać na własną rękę kosze i lepić garnki, wyrabiać instrumenty muzyczne i zabawki, warzyć piwo czicza oraz wypiekać paluszki z mąki kukurydzanej. Wyroby te służyły chłopom jako towar wymienny podczas jarmarków odbywających się trzy razy miesięcznie w większych miejscowościach.

Wywłaszczenie przybrało rozmiary tak skrajne, że na przykład poddany Inków nie mógł ubierać się sam; pod tym względem był całkowicie uzależniony od państwa, które co dwa lata wydalało mu z magazynów królewskich odzież, sandały i nakrycie głowy.

Uprawa roli należącej do króla i kapłanów oraz robocizna rzemiosła — to nie były jedyne powinności wobec państwa. Istniała jeszcze tak zwana „mita”, polegająca na tym, że mężczyźni byli obowiązani przez trzy miesiące w roku wykonywać roboty szarwarkowe w kopalniach, przy budowie świątyń, pałaców, dróg i mostów, w obsłudze pałaców lub jako niosiciele lektyk Inków czy kurierzy—czaski.

Król, księżęta kasty Inków, kapłani oraz uprzywilejowana warstwa naczelników plemiennych, zwanych „kuraka”, stali ponad społeczeństwem i prawem. Dla wzmocnienia swojej przewagi otaczali się nimbem boskości, a wykroczenia przeciwko swojej woli karali surowo jako świętokradztwo. Oczywiście byli oni zwolnieni od wszelkich świadczeń na rzecz państwa i wiedli dostatnie życie korzystając z pracy poddanych.

Nie znaczy to jednak, że gnuśnieli w beczynności. Z ich bowiem szeregów zasilano ogromną armię urzędników, gdyż wszystkie stanowiska w administracji, w wojsku i w świątyniach, z wyjątkiem najniższych urzędów w gminie wiejskiej, były dostępne jedynie tylko dla osób pochodzenia szlacheckiego.

Chcąc zachować wyłączność w panowaniu nad krajem i utrzymać władzę nad podbitymi plemionami, Inkowie troszczyli się o stały przyrost naturalny własnych szeregów. Dlatego wprowadzili dla siebie wielożeństwo, podczas gdy poddanym pozwalali posiadać tylko jedną żonę.

Każdy Inka miał co prawda jedną żonę główną, zwaną koja, jednakowoż oprócz niej mógł pojąć określoną prawem liczbę żon drugorzędnych, zależnie od szczebla, jaki zajmował w hierarchii swojej kasty. Tak na przykład namiestnikowi jednej z czterech dzielnic państwa, zwykle najbliższemu krewnemu króla, przysługiwało pięćdziesiąt nałożnic, a zarządcy prowincji już tylko trzydzieści. Król natomiast nie był pod tym względem ograniczony. Tupak Yupanki miał w swoim haremie siedemset faworyt, a potomstwo jego liczyło się na setki!

Jak przemyślny był ów system utrzymania równowagi między rządzącymi a rządzonymi, świadczy również inne postanowienie, według którego w razie śmierci głównej żony Inkę obowiązywał tylko jednoroczny okres żałoby, natomiast zwykły poddany mógł pojąć drugą żonę dopiero po dwóch latach. Dla chłopów było to niezmiernie uciążliwe, szczególnie gdy posiadał

nieletnie dzieci. Żona była mu wielką pomocą w gospodarstwie i nie rozporządzał on, jak Inkowie, nałożnicami.

Chociaż tylko dzieciom prawowitej małżonki przysługiwało prawo dziedziczenia, to jednak synowie pozostałych żon oraz ich potomkowie w linii męskiej uzyskiwali całkowite przywileje Inków. Dzięki temu kasta panująca zawsze była dość liczna, by móc obsadzić wszystkie szczeble drabiny urzędniczej. O jej rozroście mówi między innymi taki fakt, że przy jednej ze świątyń słońca na południowych obszarach państwa zatrudniano czterdzieści tysięcy kapłanów. Ponieważ z pewnymi wyjątkami wolno im było się żenić i zakładać rodziny, również i oni zasilali kastę Inków swoim potomstwem.

Nader znamienny był sposób dobierania nałożnic dla Inków. Co roku odbywał się w państwie powszechny przegląd dziewczynek, które ukończyły dziesiąty rok życia. Najurodziwsze, zwane „aklia”, czyli „wybrane”, odsyłano do zakładów wychowawczych, gdzie starsze kobiety „mamakuny” uczyły je przedzenia, taktwa i wszelkich innych zajęć domowych.

Rodziców nie pytano o zgodę, nie mieli oni nawet prawa dowiadywać się o dalsze losy swoich córek. „Wybrane” były to więc właściwe branki, zabierane przemocą podbitej ludności.

Gdy dziewczyny kończyły czternasty rok życia, uważano je za kobiety dojrzałe. Następował wtedy drugi, surowszy dobór. Najpiękniejsze, odznaczające się nieskazitelną budową ciała, wysyłano do stolicy, a pozostałe oddawano jako nałożnice Inkom niższej rangi.

Podczas wielkiego święta „Inti Raymi”, poświęconego bogu—słońcu, wybrane spośród wybranych stawały drżące przed obliczem króla, który decydował o ich dalszym losie. Niektóre władca odstępował krewniakom i dostojnikom, inne zaś włączał do własnego haremu.

W mniemaniu Inków najwyższy zaszczyt spotkał te dziewczyny, które wysyłano jako mniszki do jednego z wielu konwentów „dziewic słońca”. Panowała tam niezwykle surowa reguła. Odcięte całkowicie od świata, dziewczęta pod okiem „mamakun” tkwały z delikatnej wełny odzież dla rodziny królewskiej i kapłanów, utrzymywały świątynie w porządku i były odpowiedzialne za to, by nie wygasł wieczny ogień „raymi”.

Dziewice ślubowały czystość i żaden mężczyzna poza królem nie miał dostępu do klasztoru. W razie złamania ślubu, co zresztą zdarzało się rzadko, winowajczynię czekała straszliwa kara. Zakopywano ją żywcem w ziemi, a jej wieś rodzinną po zabiciu wszystkich mieszkańców równano z ziemią. Ktokolwiek z mężczyzn odważyłby się przekroczyć próg klasztoru, podlegał karze tortur i śmierci przez powieszenie.

Ślub czystości nie zawsze wiązał „dziewice słońca” do końca życia. Poczytywano je za narzeczone boga słońca Inti, przeto król, jako jego wcielenie na ziemi, wybierał sobie spośród nich nałożnice, ile razy przebywał w mieście, gdzie znajdował się konwent. Był to nawet akt o charakterze religijnym, od którego król ze względów rytualnych nie mógł się uchylić.

Wyróżnione przez władcę mniszki, straciwszy dziewictwo, nie mogły już pozostać w klasztorze. Istniały dla nich dwie możliwości: albo król wcielał dziewczyny do swego haremu, jeżeli sobie je upodobał, albo też odsyłał do wsi rodzinnej, gdzie jako byłe „narzeczone boga słońca” żyły w dostatku na koszt państwa.

Oczywiście mniszek było zbyt wiele, aby wszystkie mogły doczekać się ślubu z ziemskim wcieleniem słońca. Jeden tylko konwent w stolicy liczył tysiąc pięćset dziewczic, a konwenty takie istniały we wszystkich głównych miastach kraju. Większość spędzała więc w odosobnieniu całe życie, oddając się pracy dla króla i świątyni. Na starość stawały się opiekunkami, czyli „mamakunami” młodszych towarzyszek doli, otaczane szacunkiem prostego ludu.

Bardzo nielicznym dziewczicom przeznaczony był inny, zgoła niepowszedni los. Kult religii Inków był łagodny i na ogół nie wymagał ofiar ludzkich. W nadzwyczajnych jednak sytuacjach, jak na przykład śmierć króla, katastrofy żywiołowe, epidemie chorób i nieurodzaje, Inkowie

wierzyli, że tylko ofiarą ludzką można ułagodzić zagniewanych bogów. Wtedy wybraną z konwentu mniszkę duszono w czasie ceremoniału religijnego, a ciało jej grzebano na specjalnym cmentarzu lub też składano na marach w jednej z pieczar andyjskich wyżyn.

Przez pewien czas badacze nie mieli pewności, czy Inkowie istotnie składali swoim bogom ofiary ludzkie, jednakże znaleziska archeologiczne ostatecznie położyły kres tym wątpliwościom. W roku 1900 archeolog Max Uhle odsłonił przy świątyni w Pachacamac cmentarzysko zawierające wyłącznie groby z dziewczynkami. Ich młodziutki i według oceny antropologów jednakowy wiek oraz bogate wyposażenie grobów w przedmioty zbytku — słowem, wszystkie okoliczności przemawiają za tym, że były to ofiary, które pochowano z pietyzmem wśród wielkich uroczystości religijnych.

Najbardziej nieoczekiwanego odkrycia dokonano w roku 1944. Grupa Indian peruwiańskich, którzy z niewiadomych powodów zbiegli z uczęszczanego szlaku górskiego, natknęła się niespodziewanie na ukrytą w skałach pieczarę. Wśród oszronionych ścian spoczywały na kamiennych marach zwłoki młodziutkiej, może dwunastoletniej dziewczynki, ubranej w białe godowe szaty i przystrojonej w złote ozdoby przedziwnej roboty. Twarzyczka zmarłej, ujęta w krucze włosy, chociaż naznaczona piętnem śmierci, wyglądała jakby pogrążona we śnie i zachowała wzruszająco dziecinny wyraz.

Sprowadzeni z Limy uczeni doszli do przekonania, że ciało spoczywało w pieczarze jakieś czterysta lat, a dobry stan jego konserwacji przypisali mrozom panującym nieodmiennie na wyżynach andyjskich. Przy jakiej okazji poświęcono dziewczynę bogu słońca? Na ten temat można by snuć rozmaite przypuszczenia, nie jest jednak wykluczone, że stało się to w roku 1527, kiedy król Huayna Kapak zakończył swoje długie życie.

Cały ten system ucisku, zakrawający pod wieloma względami na niewolnictwo, a przynajmniej na niewolę pańszczyźnianą, byłby niemożliwy do przeprowadzenia bez rozbudowanej i sprężystej organizacji państwa. Rzeczywiście w tej dziedzinie Inkowie wykazywali wyjątkowe uzdolnienia.

Rządy ich bynajmniej nie miały nic wspólnego z barbarzyńskim wyzyskiem zachłannych najeźdźców; była to przemyślana, w normy prawne ujęta metoda administracji, wynikająca z określonych pojęć, czym powinno być państwo. Inkowie wierzyli w swoją wyższość i posłannictwo, gdyż walczącym ze sobą plemionom peruwiańskim przynosili pokój i ład gospodarczy.

Państwo ich było właściwie jednym majątkiem ziemskim i jednym warsztatem rękodzielniczym, obsługiwanym przez mrowisko posłusznych robotników. Do sprawnego działania tej złożonej maszyny potrzebny był rozbudowany aparat administracyjny⁷⁷. Urzędnicy wnikali w najdrobniejsze szczegóły życia jednostki, sporządzali spisy ludności, dyrygowali pracą chłopów i rzemieślników, wymierzali i zbierali podatki w naturze i robociźnie, prowadzili rejestry zapasów w magazynach i spichrzach.

Ze wszystkich wiosek i miast napływały do wyższych instancji węzłowe raporty, gdzie je sumowano i wysyłano coraz wyżej, aż wreszcie w postaci kipu namiestnika dzielnic docierały do samego króla. Dzięki tej sprawozdawczości Inkowie zawsze dobrze się orientowali, jakie zapasy posiadali w rozsypanych po kraju magazynach i jaką liczbą ludzi rozporządzają w państwie. Umożliwiała im to kierowanie żywności i odzieży do okolic zagrożonych klęską głodu czy nieurodzajem oraz mobilizowanie ludzi do wojska i robót publicznych bez zakłócenia normalnego biegu gospodarki. Potężna forteca Sacsahuaman w Cuzco daje nam wyobrażenie o sprężystości ich organizacji: przy jej budowie pracowało stale dwadzieścia tysięcy robotników w

⁷⁷ Obliczono, że na dziesięć tysięcy mieszkańców było w państwie Inków 1330 urzędników.

ciągu dziesięciu lat. Oczywiście nie byli to zawsze ci sami robotnicy, lecz chłopci ściągani kolejno z różnych części kraju i zatrudniani przez pewne miesiące w roku z tytułu nałożonych świadczeń dla państwa. Wyżywienie i odzianie tej armii robotników nie przedstawiało żadnej trudności wobec zapasów nagromadzonych w magazynach i pozostających do dyspozycji władz centralnych.

Państwo dzieliło się na cztery dzielnice z namiestnikiem królewskim na czele. Nazywały się one: Antisuju, Czinczasuju, Kuntisuju i Kallasuju. Dlatego całe państwo zwało się Tawantinsuju, co w języku keczua znaczy „Kraj czterech stron świata”.

Namiestnicy poszczególnych „suju” musieli być braćmi lub przynajmniej stryjami króla i nosili tytuł „tukujrikuk”, co dosłownie znaczy „człowiek, który widzi wszystko”. Tworzyli oni równocześnie radę przyboczną króla, zwaną „apakuna”.

Tych najwyższych po królu dostojników otaczał wielki splendor władzy. Podczas podróży noszono ich w złocistych, bogato zdobionych lektykach; towarzyszyła im liczna świta wojowników, sekretarzy i służby. Ludność przyjmowała ich muzyką, śpiewami, tańcami i kwiatami. Strój namiestników składał się z długiej błękitnej koszuli i żółtego płaszcza obszytego złotem, klejnotami i barwnymi piórami rzadkich ptaków. Oznaką ich godności była czerwona kita, przszyta do prawego ramienia.

Podział namiestnictw na mniejsze jednostki nie miał już charakteru terytorialnego, lecz oparty był na ilościowym grupowaniu rodzin chłopskich i rzemieślniczych. Prowincja, na której czele stał „kuraka”, liczyła czterdzieści tysięcy rodzin, okręgi dziesięć tysięcy, mniejsze grupy administracyjne tysiąc, pięćset, sto i dziesięć rodzin. Nad nimi sprawowali władzę i nadzór urzędnicy zwani „kamajak”, przy czym do nazwy dodawano liczbę podległych im rodzin. Tak np. najniższy urzędnik nazywał się „czunka—kamajak” (czunka: dziesięć).

Oddzielną grupę urzędniczą tworzyli tajni wywiadowcy, którzy donosili królowi o wszystkim, co się działo w kraju. W ten sposób wychodziły na jaw zaniedbania i nadużycia, jakich dopuszczali się nieuczciwi urzędnicy wszystkich szczebli. Było to ważne szczególnie z tych względów, że w ich rękę spoczywało również sądownictwo, stanowiące podatny grunt dla przekupstwa i stronniczości w wyrokach.

Ta ogromna armia urzędników regulowała życie każdego poddanego od urodzenia do śmierci z matematyczną dokładnością. Chłopcy już od szóstego roku życia musieli wykonywać pewne lekkie prace, chociaż nazywano ich „bawiącymi się chłopcami”. I od tej chwili, w miarę przybywania lat, przydzielano ich do coraz odpowiedzialniejszych robót. Chłopców w wieku od dziewięciu do szesnastu lat zatrudniano jako pasterzy przy stadach królewskich, od siedemnastu do dwudziestu lat jako biegaczy i giermków w wojsku, a potem do dwudziestego czwartego roku życia jako żołnierzy i pomocników w gospodarstwie rolnym. Niektórzy uczyli się też rzemiosła w warsztatach ojców.

Z ukończeniem dwudziestego piątego roku życia mężczyźni stawali się pełnoletnimi poddanymi króla. Przede wszystkim musieli się żenić, gdyż małżeństwo było przymusowe. Odbywało się to gromadnie. Urzędnik wioski ustawiał naprzeciwko siebie dwa szeregi: po jednej stronie młodych mężczyzn, a po drugiej stronie dziewczyny, które ukończyły osiemnasty rok życia. Potem łączył je ze sobą tak, jak przypadkowo stali w szeregu. Młodzi, jakby z tego wynikało, nie mieli więc swobody wyboru, choć nie jest wykluczone, że przy ustawianiu się wolno im było zająć miejsce naprzeciw ukochanej osoby. Nowożeńcom budowano nowe domy i przydzielano należną ziemię do uprawy. Uroczystość kończyła się pięciodniowym weselem, podczas którego cała wieś bawiła się i upijała do nieprzytomności piwem czicza.

Od pięćdziesiątego roku życia począwszy aż do śmierci mężczyźni wykonywali stopniowo coraz lżejsze roboty w rolnictwie i byli zwolnieni od najważniejszych świadczeń szarwarkowych

dla państwa. Gdy chorowali, gmina miała obowiązek roztoczyć nad nimi opiekę. Dopiero z ukończeniem osiemdziesiątego roku życia mężczyźni zwolnieni byli całkowicie od wszelkich powinności.

Przymus pracy obejmował nawet ociemniałych, chorych umysłowo, głuchoniemych i kaleki, z tą tylko różnicą, że odpowiednio do ich możliwości przydzielano im prace lżejsze. Łączono ich też między sobą w stadła małżeńskie, gdyż Inkom zależało na tym, aby mieć jak najwięcej pracowników na roli i w rzemiośle.

Podobne normy regulowały życie kobiet. Dziewczynki w wieku od pięciu do dziesięciu lat zaczynały się uczyć przędzenia i tkactwa, pomagały matkom w robotach domowych, nosiły wodę, zbierały trawę na podściółkę i drzewo na opał, oczyszczały pola z chwastów i opiekowały się młodszym rodzeństwem. Gdy ukończyły dziewiąty rok życia, powierzano im odpowiedzialniejszą pracę zbierania roślin do barwienia tkanin i ziół leczniczych, czasami też zabierano je do pałaców, gdzie pełniły obowiązki służebnic. Od dwunastego do osiemnastego roku życia przędły już i tkwały dla państwa, gotowały potrawy, warzyły piwo czicza i brały udział w robotach polnych. Kończąc osiemnaście lat wychodziły za mąż i odtąd pełniły obowiązki samodzielnych gospodyń. Nie tylko prowadziły własne gospodarstwo, lecz pomagały mężom w wykonywaniu świadczeń dla państwa. Jak z tego wynika, wolność osobista w Tawantinsuju została całkowicie podporządkowana interesom państwa. Życie człowieka, od urodzenia do śmierci, ujęte było w drobiazgowo przepisany administracyjny. Nikt nie mógł bez zezwolenia państwa zmieniać miejsca pobytu, wybrać sobie zawodu, ubierać samodzielnie, nosić ozdób ze srebra i złota, nie mógł nawet żenić się, kiedy i z kim chciał. Dla ułatwienia sobie nadzoru Inkowie wprowadzili w poszczególnych okręgach kraju nakrycia głowy o różnych kolorach i kształtach.

Największym nakazem była praca; za lenistwo i opieszałość groziła surowa kara cielesna. Podczas spożywania posiłków chłopcy musieli pozostawiać otwarte drzwi swoich chat, żeby dozorczy mogli mieć ich stale na oku. Przepuszczalnie chodziło tu jeszcze o to, by zawnazę dostrzec pierwsze znamiona spisku buntu.

Poddany Inków stawał się więc pańszczyźnianym niewolnikiem, bezwolnym narzędziem w rękę potężnej maszyny administracyjnej, człowiekiem, którego pozbawiono godności i swobody osobistej oraz wszelkich szans polepszenia bytu. Cała organizacja społeczna, oparta na bierności mas i ślepym posłuszeństwie urzędników, istniała tylko dzięki impulsom życiowym otrzymywanym z jednego ośrodka władzy. Gdy wraz ze śmiercią króla impulsy te przestały działać, państwo Inków stało się bezkształtną masą ludów, którą nietrudno było opanować garstce awanturników hiszpańskich.

Ciekawą rzeczą jest to, że w państwie Tawantinsuju nie wytworzyła się instytucja rzeczywistego niewolnictwa. Wobec tak skrajnego ujarznienia chłopów była ona całkowicie zbędna. Nawet jeńców wojennych osadzano na ziemi i dawano im kawałek gruntu do uprawy na równi z tubylczą ludnością.

Był jednak pod tym względem jeden wyjątek, a dotyczył on mieszkańców wsi Yamayaku. Podczas panowania króla Tupaka Yupanki podnieśli oni bunt przeciwko Inkom, który oczywiście został zdławiony. Przywódcy padli podczas walki, a resztę mieszkańców kazał rozwścieczony król przyprowadzić przed swoje oblicze, aby wydać na nich wyrok śmierci. Wtedy dobrotliwa koja wstawiła się za nimi i król darował im życie. Postanowił jednak, że mieszkańcy wsi oraz ich potomstwo po wsze czasy pozostaną niewolnikami wyjętymi spod prawa i pozbawionymi ziemi. Pełnili oni najniższe posługi w pałacach, zapędzono ich do robót w kopalniach, przy budowlach i na polach królewskich. Strąceni na samo dno społeczeństwa, otoczeni powszechną wzdgarą, pod wieloma względami przypominali pariasów hinduskich.

Niektórzy pamiętnikarze i badacze twierdzą, iż ustrój Inków miał również swoje dobre strony. Niepodobna temu zaprzeczyć, jeżeli się nie chce zatracić perspektywy historycznej. Chłop pańszczyźniany w ustroju feudalnym XVI wieku niewątpliwie znajdował się w gorszym położeniu niż poddany w królestwie Tawantinsuju.

Prawa Inków, wprawdzie niebywale surowe, były jednak prawami, a nie bezprawiem. Dawały one masom pracującym znośne warunki bytu, chroniły od nędzy i dbały, aby nikt nie chodził obdarty i nagi. Konkwistadorzy stwierdzili na przykład ze zdumieniem, że w podbitym kraju nie spotkali ani jednego żebraka. Jeżeli ktokolwiek popełnił kradzież z głodu, to prawo karało urzędnika, który dopuścił do tego, że winowajca głodował.

W ustroju uderzają ponadto pewne tendencje humanitarne. Mite, czyli świadczenia dla państwa, Inkowie wymierzali z rozsądnym umiarem, żeby ludzi nie przeciążać pracą i nie narażać na choroby. W kopalniach i przy budowlach, gdzie praca była ciężka, trzymano ludzi nie dłużej niż trzy miesiące w roku. Państwo nie tylko opiekowało się chorymi, inwalidami, wdowami i sierotami, ale zwalniało ich od wszelkich obowiązków szarwarkowych.

Płody rolne i wyroby rękodzielnicze, które król ściągał i gromadził w magazynach, częściowo tylko służyły warstwom uprzywilejowanym. W wypadkach suszy, powodzi, pożarów, epidemii i innych katastrof żywiłowych król otwierał na oścież wrota magazynów i ratował poddanych od zagłady. W pewnej mierze ustrój Inków sprowadzał się do tego, że zmuszał ludzi do odejmowania sobie od ust i oszczędzania na czarną godzinę, że wprowadził na rozległych terytoriach zasadę solidarności i wzajemnej pomocy ekonomicznej, i to wśród plemion, które przedtem wzajemnie się niszczyły w ustawicznych bratobójczych walkach.

Ciemną stroną owego rygorystycznego ładu była wysoka cena, jaką poddani musieli płacić za swoje bezpieczeństwo. Odebrano im przecież najdroższą rzecz człowieka — wolność osobistą, przywiązano ich do kieratu przymusowej pracy, nałożono im przytłaczające jarzmo utrzymywania w dostatku i splendorze nazbyt licznej warstwy obcych im plemienne dostojników, kapłanów i urzędników, których nigdy nie przestawali uznawać za najeźdźców i ciemieżycieli.

Pamiętnikarze hiszpańscy piszą z nie ukrywaniem podziwem o dobrobycie, jaki zastali w królestwie Tawantinsuju, o polach uprawnych, o pełnych spichrzach i magazynach, w ogóle o kwitnącym stanie całego kraju. Jeden z konkwistadorów, Mancio Sierra Rejesema, który osiedlił się w Peru i tam zakończył życie, nie miał dość słów pochwały dla tubylczej ludności. Wynosił jej trzeźwość, pracowitość i wysoki stan moralny, zaznaczając, że morderstwa, kradzieże i rozpusta zdarzały się tam niezmiernie rzadko. Historycy doszli do przekonania, że Peruwiańczyk stał pod względem moralnym daleko wyżej od ówczesnego Europejczyka.

Wszystkie relacje przedstawiają lud peruwiański w świetle korzystnym. Gnębiony i uciskany przez wieki, zmuszony do twardej pracy, odznaczał się poczuciem godności i delikatnością uczuć. Mimo skłonności do smutku i melancholii, co zresztą odbiło się w jego muzyce, zawsze był skory do zabaw i tańców, a szczególnie miał słabość do jarmarków, gdzie wśród tłoku i gwaru ludzkiego czuł się w swoim żywiole. Bardzo ujmującą cechą Peruwiańczyków była ich troskliwość o dzieci i zwierzęta. Nigdy nie uderzyli lamy, zawsze otaczali ją najczulszą opieką i stroili w kolorowe wstążki. Gdy zdechła, oplakiwali ją jak bliskiego krewnego. Trzymali oni ponadto dla przyjemności pokraczne kundły, które włóczyły się po wsi i napępiały powietrze hałaśliwym ujadaniem.

Niektórzy historycy wysnuli stąd wniosek, że plemiona peruwiańskie pogodziły się z panowaniem Inków i że na ogół były zadowolone ze swego losu.

Przeczą temu stanowczo powstania i bunty, jakie nieustannie wybuchały w różnych okolicach kraju. Inkowie topili je w rzekach krwi, a jednak nigdy nie zdołali całkowicie spacyfikować

swego państwa. Za panowania króla Tupaka Yupanki wybuchło groźne powstanie niektórych szczepów Ajmarów, a Huayna Kapak potrzebował całej armii na to, by zdławić zbuntowane ludy Kara i Chimu.

Zdając sobie sprawę z tego, że samą tylko przemocą fizyczną nie zmuszą ludzi do uległości, Inkowie usiłowali zdobyć wpływ na ich umysły. W tym celu wykorzystali wspólny wszystkim podbitym plemionom przesąd, iż choroby są powodowane przez demony, które wkradają się do organizmu ludzkiego. Demony te jednak nie działały z własnej woli, lecz były wysłańcami bogów, którzy w ten sposób karali ludzi za popełnione grzechy.

Demony można było wypędzić tylko spowiedzią przed specjalnymi kapłanami, zwanymi „iczuri”. Inkowie uczynili z tych kapłanów powolne narzędzie swojej polityki i za ich pośrednictwem wciągali w rejestr grzechów wszelkie przewinienia wobec państwa. Jeżeli więc chłop zachorował na jakieś owrzodzenie, kapłan przekonywał go, że został ukarany za to, iż niezbyt pilnie pracował na polu króla czy kapłana.

Drobne wykroczenie mógł odpuszczać iczuri wiejski, ale w razie popełnienia poważniejszego przestępstwa, jak np. bluźnierstwo przeciw królowi, winowajca musiał udać się do samego Cuzco, by uzyskać rozgrzeszenie u wyższego kapłana. W ten sposób Inkom nietrudno było się dowiedzieć, jakie nastroje panowały wśród poddanych, co w wielu wypadkach pozwalało im zawczasu zapobiec wybuchom buntu czy niezadowolenia.

Spowiedź była dla wszystkich Peruwiańczyków obowiązkowa. Kapłani związani byli tajemnicą spowiedzi, jednakże w wypadkach szczególnie ciężkich przestępstw zawiadamiali władzę, chociaż winowajca, który otrzymał rozgrzeszenie, nie podlegał już karze.

Spowiedź odbywała się w następujący sposób:

Kapłan iczuri siadał na brzegu rzeki trzymając w jednej ręce kłębek trawy, a w drugiej sznur z zawieszonym na końcu kamieniem. Grzesznik rzucał się przed nim na klęczki i wołał drżącym głosem:

— Wysłuchaj mnie, wysłuchaj! Potem spowiadał się z grzechów:

— Ukradłem z pola królewskiego kukurydzę...

— Dlatego w dziecko twoje wszedł demon kaszlu — odpowiadał kapłan.

— Wczoraj, gdy czunka—kamajak leżał chory w domu, pracowałem na swoim polu, a nie na polu boga Inti. I oto bóg ukarał mnie wrzodem na piersi. Błagam, wypędź demona z mojego ciała.

— Wypędzę, ale strzeż się, bo jeżeli się nie poprawisz, bogowie ukarzą cię śmiercią żony lub dziecka.

— Poprawię się, poprawię, tylko uwolnij mnie od demonów! Kapłan uderzał go na pokutę kamieniem, a potem kazał mu wypluć grzechy do kłębka trawy, który następnie wrzucał do rzeki.

— Niechaj prąd rzeki zniesie te grzechy do morza — wołał — aby już nigdy nie powróciły!

OJCIEC I SYN

Wielki zdobywca Tupak Yupanki doczekał się bardzo podeszłego wieku. Po przeszło trzydziestu latach panowania, kiedy szedł mu już osiemdziesiąty piąty rok życia, zaszył się w swoim pałacu w Cuzco, gdyż niemoc ciała nie pozwalała mu ani wojować, ani brać udziału w wyprawach myśliwskich.

W obowiązkach królewskich wyręczał go następca tronu Huayna Kapak, który wyrósł na energicznego, zaprawionego w bojach wodza. Niby mistrz nad ukochanym uczniem ojciec czuwał nad nim z dala, pozostawiając mu całkowitą swobodę działania. Sam zaś znużony

brzemieniem wieku, przekładał nad wszelki polor władzy towarzystwo arcykapłana, amautów, astronomów i medyków. Z nimi spędzał dni na mądrych gawędach o bogach i gwiazdach, w ich wiedzy i doświadczeniu szukał ulgi w zgryzotach i przypadłościach, jakie człowiekowi niesie starość.

Każdego poranka odmawiał z arcykapłanem modlitwy do wschodzącego słońca, brał rytualną kąpiel w złotym basenie, bez której nie mógł złożyć hołdu mumiom przodków, a potem, przy pomocy młodziutkich nałożnic, przyodziewał się w ceremonialny strój królewski.

Przed pałacem czekała już na niego lektyka w otoczeniu rozlicznych dworaków, którzy na jego widok bili pokłony, przejęci ubóstwieniem i pokorą. Ogromny orszak ruszał poprzez główny plac miasta i zatrzymywał się przed bramą świątyni boga Inti, gdzie oczekiwała na króla grupa co znamienitszych kapłanów.

Król przemierzał dziedziniec otoczony rozlicznymi zabudowaniami i stawał przed wejściem do Korikanczy, złotego domu słońca. Był to czworokątny budynek z ciosanego kamienia, nakryty strzechą i ozdobiony szerokim pasem gzymsów z polerowanego złota.

Yupanki rozkazywał zdjąć sobie sandały i sam jeden boso wkraczał w progi świątyni. Podłużna komnata pozbawiona była okien i tonęła w półmroku, a jednak wypełniała ją świetlista masa czarodziejskich odblasków, skier i płomyków.

Ściany najświętszego przybytku były pokryte lustrzanymi taflami z wypolerowanego złota, nawet obelkowanie powały lśniło złocistą okładziną. Wzdłuż bocznych ścian stały uszeregowane posągi bożków i duże naczynia obrzędowe — również wykute ze złota.

Nad tym przepychem górował majestatyczny emblemat boga Inti, zawieszony naprzeciwko wejścia na zachodniej ścianie świątyni. Była to okrągła tarcza ogromnych rozmiarów, wytrybowana ze złotej blachy i wypolerowana do najwyższego połysku. Pośrodku widniała wypukła rzeźba, przedstawiająca zamyślane oblicze plemiennego boga Inków. Z tarczy wytryskały na wszystkie strony złote promienie, wykładane szmaragdami. Słońce poranne wdzierало się jaskrawą strugą przez wejście i kładło na tarczy, zamieniając ją jakby w drugie słońce, płonące własnym, samodzielnym ogniem.

Król stał jakiś czas olśniony feerią światła, potem zbliżał się i pochylał głowę w żarliwej modlitwie do dziewięciu swoich przodków, których mumie siedziały na złotych tronach pod emblematem słońca. Postacie dostojnych nieboszczyków ubrane były w ceremonialne stroje królewskie. Powłóczyste tuniki, płaszcze i sandały kapały od złota, szmaragdów i topazów, na głowach sterczały dwa szkarłatne pióra świętego ptaka kurakenke, zatknięte za czerwoną opaskę, piersi zdobiły naszyjniki ze szmaragdów wielkości kurzego jaja. Twarze kryły złote maski z oczami z kolorowych kamieni, będące wierną podobizną każdego z królów.

Zdarzało się czasami, że Tupak Yupanki przestawał się modlić i spoglądał w oblicza przodków, jakby chciał wydrzeć im tajemnicę zaświatów, dokąd sam niebawem miał się wybrać. Ale żółte, połyskujące maski, nieprzeniknione i zagadkowe, ginęły w mroku, który w miarę wznoszenia się słońca ku zenitowi narastał w świątyni. Westchnąwszy przeto ciężko, starzec spoglądał na wolne miejsce, które miał zająć po śmierci, i wychodził na dwór, w pełną jasność słonecznego dnia.

Następnie odwiedzał mniejszą świątynię, poświęconą bogini księżycy Mamie Kili, żonie boga Inti. Tam wszystko było jasne od srebra: pokrywało ono ściany i belkowany sufit. Na przeciwległej do wejścia ścianie błyszcząca srebrna tarcza z wizerunkiem bogini. Pod tym emblematem siedziały na srebrnych tronach koje, oficjalne żony zmarłych królów. Niewieście mumie, przyodziane w przepyszne szaty i obwieszone biżuterią, miały na twarzach srebrne maski.

Pomimo że w świątyni słońca było tylko dziewięć mumii królewskich, tutaj siedziało na tronach dziesięć małżonek. Ostatnie miejsce zajmowała dawno już zmarła koja żyjącego jeszcze króla. Tupak Yupanki stawał przed nią w zadumie i na jego surowej, pomarszczonej twarzy pojawiał się nikły uśmiezek. Przypominał sobie niektóre szczegóły z ich współżycia. Tworzyli bardzo zgraną i miłującą się parę, ale królowa miała jedną wadę: była nedorzecznie zazdrosna. Gdy udawał się do domu „dziewic słońca”, popłakiwała w swojej komnacie i nuciła jakąś rzewną piosenkę o porzuconej dziewczynie. On uważał, że nie wypadało, aby królowa śpiewała piosenki podsłuchane wśród najniższych służebnic, a z jej zazdrości dworował sobie wesoło, gdyż miał to za nieszkodliwe dziwactwo. Jakże mogła być przypuszczać, że sprzeniewierzy się nakazom boga Inti i tradycjom Inków — byłby to chyba wielki grzech i ogromne nieszczęście dla kraju. „Cóż, nawet królowe są tylko kobietami” — myślał i składając pokłon przed mumią kierował się ku wyjściu.

Jego codzienne obowiązki religijne bynajmniej na tym się nie kończyły. Trzeba było pokłonić się również pomniejszym bogom, na koniec zaś stanąć przed tym najwyższym, którego imię wymawiało się jeno w wielkiej potrzebie.

Modlił się więc król w świątyni poświęconej planecie Wenus, zwanej przez Inków Czaska. Był to dorodny młodzieniec o kędzierzawych włosach, ulubiony i nieodstępny paź boga Inti. Nie omijał również boga tęczy Czujczu i straszliwego boga piorunów Iliapy.

Wszystkie świątynie pyszniły się bogactwem złota, srebra i szlachetnych kamieni; tym większy kontrast stanowił niewielki, na ustroniu stojący chram boga Wirakoczy, przedwiecznego stwórcy wszechrzeczy na świecie. Wzniesiony z nieobrobionych gładów i pozbawiony wszelkich ozdób, przypominał pieczarę górską. W półmroku stał tam szerniały ze starości bałwan, wyciosany z potężnego pnia. W zamazanych, jakby zwietrzałych konturach tylko z trudnością można było rozpoznać męża z długą, kędzierzawą brodą — najstarszego boga ludów peruwiańskich.

Wchodząc do tego ubożuchnego przybytku Tupak Yupanki zachowywał się zgoła inaczej niż w innych świątyniach. Przejęty do głębi, rzucał się na twarz przed świętym posągami i modlił się z taką żarliwością, jakiej nigdy nie okazywał swoim rodowym bóstwom.

W godzinach przedpołudniowych zwykł przesiadywać w ogrodzie świątynnym. Towarzyszył mu tam arcykapłan oraz przełożony amautów, dawniejszy opiekun następcy tronu.

Był to chyba najdziwniejszy ze wszystkich ogrodów na świecie, zaczarowany ogród z bajki. Opadał tarasami ku rzece Huantanay, a wszystko, co się w nim znajdowało, było zrobione ze złota i srebra przez mistrzów nad mistrzami. Słońce igrało w metalowej roślinności tysiącem skier i ogni; raz po raz nadciągał od rzeki powiew wiatru i grał na złocistym listowiu jak na strunach harfy.

Król bardzo sobie ten ogród upodobał. Przechadzał się wolno jego ścieżkami i co chwila przystawał, by napawać się z bliska jakimś szczegółem. Oto wśród złotych liści srebrny kielich kwiatu, a na nim kołysze się motyl precudnej roboty. Złote skrzydełka przypominają do złudzenia przejrzystą błonę, czułki i nóżki ze srebrnego druciku są cienkie jak nitki pajęczyny, w główce artysta osadził nawet oczy z kolorowego szkliwa.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, pełno rzeczy zdumiewających. Na gałęziach egzotyczne ptaki, w gęstej srebrnej trawie pelzające węże, jaszczurki i żuki, na liściach widać gąsienice i ślimaki, w zaroślach kryją się srebrne lub złote lamy, jelenie, pумы i inne leśne stworzenia. W jednym miejscu stoi nawet łan kukurydzy, kołyszący się na wietrze jak prawdziwy. Król przebiera w palcach ciężkie kaczany, których liście i wąsy są ze srebra, a ziarna ze złota.

Po jakimś czasie dostojnego starca ogarnęło uczucie wielkiego znużenia. Usiadł więc na srebrnej ławie, skąd roztaczał się widok na rzekę i góry. Słońce, wspinając się ku zenitom,

zaczęło dotkliwie prażyć, przeto arcykapłan klasnął na służbę i kazał jej przynieść królewski baldachim. W cieniu płótna król odetchnął z ulgą i zapytał:

— Więc to dzisiaj przybywa mój syn ukochany, Huayna Kapak?

— Tak jest, miłościwy panie — odrzekł arcykapłan — goniec przyniósł dzisiaj wiadomość, że na czele przybocznego oddziału przekracza już most nad rzeką Apurimac i tylko patrzeć, kiedy się tu zjawi.

— To dobrze, to bardzo dobrze — szepnął król i przymknął powieki, jakby go sen zmorzył.

Tak przynajmniej wydawało się arcykapłanowi i przełożonemu amautów. Tymczasem starzec wcale nie spał, lecz pasował się z nawałą myśli, jakie cisnęły się do jego głowy.

To prawda — myślał — dziedzictwo wtedy dostanie się w godne ręce. Huayna Kapak nie zawiódł moich nadziei, bo to i dzielny wojownik, i zapobiegliwy gospodarz. Cóż by się stało, gdybym uległ namowom rodziny i wybrał pierworodnego syna, tego świątobliwego zauszniaka kapłanów. Aż strach pomyśleć! Huayna Kapak to moja krew. Ot, choćby wyprawa zbrojna, z której właśnie powraca do stolicy. Jak piorun groźnego Iliapy spadł na zbuntowane ludy północy i taką wywarł na nich pomstę, że strach pomyśleć. Wprawdzie nie zdobył jeszcze miasta Quito; król Kacza broni się tam jak dotąd mocno, ale tylko do czasu, do czasu... Huayna Kapak to zawzięty przeciwnik, nikt i nic mu nie ostanie. A jaki z niego władca państwa! Jeszcze nie zdobył całego królestwa Quito, a już armie robotników budują tam drogi, fortece, kanały nawadniające i świątynię słońca, już zajmują nowe obszary nasłani koloniści, urzędnicy, nauczyciele języka keczua i kapłani, już wznosi się ustrój Inków, przynoszący ludziom ład i obfitość wszelkiego dobra.

Tupak Yupanki ocknął się nagle z zadumy i jał czujnie nasłuchiwać. Z miasta dochodziły radosne okrzyki tłumów; zrazu dalekie, stopniowo zbliżały się do ogrodu i rosły w siłę. Wreszcie pokazał się Huayna Kapak, spiesząc wśród złocistych krzewów krokiem sprężystym i niecierpliwym. Na widok sędziwego ojca stanął jak wryty, potem przyczołgał się na klęczkach i przyłgnął wargami do jego stóp. Tupak Yupanki pochylił się zyczliwie nad synem i dotknięciem ręki kazał mu powstać.

Następca tronu był to niewysoki, lecz krzepko zbudowany mężczyzna w sile wieku. Na twarzy jego malowała się pokora i uległość, jednakże gorące, posępne oczy i szybkie, porywcze ruchy — słowem, niepokojąca, dzika uroda całej postaci zdradzała naturę skłoną do drapieżnej zapalczywości.

Huayna Kapak nie zdążył się przebrać, zjawił się więc przed obliczem ojca w stroju bojowym. Na głowie iskrzył się skórzany kask zdobny w złoto, szlachetne kamienie i wielobarwny pióropusz. Na żółtą, sięgającą do kolan tunikę miał narzucony napierśnik z pikowanej bawełny. Za szerokim pasem tkwiła złota maczuga z główką w kształcie gwiazdy, a w lewej ręce trzymał krótką, malowaną tarczę ze skóry. Gołe łydki oplatały na krzyż taśmy sandałów, obwieszane frędzlami i dzwoneczkami z miedzi.

— Raduję się twoim widokiem, synu — odezwał się Tupak Yupanki — oby bóg Inti miał ciebie w opiece.

— Dziękuję ci za szczęście, ojcze, żeś wezwał mnie przed swoje oblicze — odrzekł następca tronu i znowu rzucił się do stóp starca.

— Powstań, synu. Chciałbym omówić z tobą sprawy, które mnie trapią.

— Zamieniam się w słuch, ojcze.

— Sekretarze odczytywali mi sprawozdania, które przysyłałeś z pola walki. Winszuję ci wielkich zwycięstw. Jesteś, jak się tego po tobie spodziewałem, dzielnym wojownikiem. Dręczy mnie tylko jedna rzecz: jesteś zbyt surowy, zbyt krwawo karzesz zbuntowane ludy, zbyt pochopnie dajesz się ponieść uczuciu gniewu. A to nie jest dobrze. Pamiętaj, że Inkowie bywali

surowi, ale i wybaczali, że polityka ojców polegała na tym, iż robili tylko to, co jest niezbędne dla dobra Tawantinsuju. Jesteś młody — to prawda. Królowie nie mogą być jednak zapaleńcami. Wymierzaj kary na zimno i na zimno wybaczaj. Trzymaj na wodzy osobiste uczucia, bądź mądry, przewidujący i jak puma przebiegły. Król oddający się w niewolę swoim namiętnościom jest królem słabym i ślepym, jest jak rozwścieczony ranny drapieżnik, który na oślepu rzuca się na ostre dzidy. Weź sobie do serca moje słowa, iżby państwo nasze rosło w potęgę i przestało kołysać się jak łódź na wzburzonym morzu.

— Nie chcę się usprawiedliwiać, ojcze, ale sam przecież widzisz, jak wzmaga się zuchwalstwo poddanych, jak mnożą się w państwie ogniska niepokoju. Nakazem chwili jest przywrócenie szacunku dla władzy Inków, a bez stanowczości nie wiedziałbym, jak tego dokonać.

— Niechże to więc będzie tylko nakazem chwili, a nie zasadą rządzenia. Tymczasem co słyszę z ust arcykapłana? Powiadasz podobno, że poddani powinni bać się ciebie tak, aby śnili o tobie po nocach.

— Przyznaję, ojcze, że w przystępie gniewu czasami taką myśl wypowiadałem. Ale, doprawdy, winę ponoszą tu poniekąd również kapłani. Oni nie chcą pogodzić się z moim wyborem i w cichości, skoro tylko mogą, przysparzają mi różnych kłopotów.

Arcykapłan, który przysłuchiwał się rozmowie, zbladł i poruszył się niespokojnie. Król spojrział na niego spod oka i rzekł do syna:

— Coś niecoś o tym wiem, synu. Cóż ci na to odpowiedzieć? Przytoczę ci zdanie króla Paczakuteka, który rzekł w swojej mądrości: „Nie będziesz dobrym włodarzem państwa, jeżeli nie potrafisz być panem we własnym domu”.

— Czcigodny ojcze, właśnie w sprawie rodzinnej chcę błagać cię o łaskę i wsparcie. Jestem wielce zgnębiony bezpłodnością mojej siostry i małżonki. Nie moja to wina, mam przecież liczne potomstwo z innymi żonami. Pragnę więc rozstać się z nią i poślubić inną kobietę, która by urodziła mi następcę. I oto kapłani, zwłaszcza arcykapłan, podtrzymują w twym sercu wątpliwości i odwlekają w ten sposób decyzję.

— Najjaśniejszy panie — zabrał głos arcykapłan — nigdy nie było wypadku w naszej historii, aby król czy następca tronu oddał kobietę i poślubił inną. Jest to przeciwne bożym przykazaniom i chlubnym tradycjom naszego rodu. Kto jak kto, ale my, kapłani, mamy obowiązek pilnować dobrych obyczajów i nie powinna nas z tego powodu spotykać przygana.

Huayna Kapak zatrzęsł się z wściekłości i zawołał:

— Zwłaszcza pilnujcie obyczajów, gdy wam to dogadza. Wiadomo przecież, na co liczycie. Że polegnę lub umrę bezpotomnie, wtedy wreszcie postawilibyście na swoim: mój starszy brat lub jego syn mógłby objąć tron.

— Synu — napominał go król — nie przystoi, abyś w ten sposób przemawiał do arcykapłana, który jest moim bratem i twoim stryjem. Życzę sobie, żebyś wreszcie powściągnął popędliwą naturę i nabrał oględniejszego sposobu bycia.

— Wybacz, ojcze, wybacz, zasłużyłem na twój gniew — zmieszał się Huayna Kapak i czołem dotknął stopy królewskiej.

Tupak Yupanki uśmiechnął się blado i ciągnął dalej:

— Cała ta rozmowa jest tym bardziej przykra, że była zgoła niepotrzebna. Dawno już powziąłem w tej sprawie postanowienie. Zastrzegam się wyraźnie, że nie przypisuję kapłanom tych ukrytych zamiarów, o jakie ich pomawiasz. Ale bezpotomny zgon króla lub następcy tronu jest zawsze nieszczęściem dla państwa, gdyż pociąga za sobą walkę o następstwo. Dlatego postanowiłem, abyś oddał bezpłodną kobietę i zaślubił niezwłocznie moją siostrzenicę Rawa Runtu.

— Niewyczerpana jest twoja dobroć, ojcie — zawołał uradowany następca tronu — będę błagał Najwyższego, abym okazał się jej godny.

Król skinął na przełożonego amautów i powiedział:

— Uczony mężu, byłeś świadkiem niezmiernie doniosłej rozmowy. Zapisz ją nie zwlekając na węzłach kipu i przechowuj w złotej szkatule, iżby nikt w przyszłości nie mógł podać w wątpliwość mojego postanowienia. A tobie, bracie i arcykapłanie, polecam służyć szczerze mojemu synowi, którego wyznaczam na przyszłego władcę.

Podczas gdy arcykapłan skłonił się nisko na znak uległości, Tupak Yupanki ponownie zwrócił się do następcy tronu:

— Za parę dni mają odbyć się doroczne łowy w Czinczasuju. Wiesz, że nigdy ich nie opuszczałem, nawet podczas wypraw wojennych. Tym razem jednak muszę zrzec się tej przyjemności, nie dopisuje mi już zdrowie. Przeto wysyłam cię tam w moim zastępstwie; życzę ci pomyślnych łowów.

Wszelka zwierzyna, żyjąca dziko na wolności, stanowiła osobistą własność króla. Pod karą śmierci nikt z poddanych nie miał prawa na nią polować. Co roku odbywały się w różnych okolicach państwa wielkie łowy królewskie, w których brał udział król, Inkowie i ogromna armia naganiaczy, licząca niekiedy trzydzieści tysięcy ściągniętych z wiosek ludzi. Wobec zwierzyny stosowano pewnego rodzaju gospodarę ochronną, polegającą na tym, że w tym samym miejscu polowano nie wcześniej niż po czteroletniej przerwie.

Główną zwierzyną myśliwską były dzikie lamy. Jednakowoż nie zabijano ich, lecz zapędzano do ogrodzeń i po ostrzyżeniu puszczano znowu na wolność. Padały pod ciosami dzid i pałek tylko pумы, sarny, jelenie, jaguary, rysie i inne mniejsze zwierzęta, które wraz z lamami wpadały w matnię. Mięso ich, pokrajane w paski i wysuszone na słońcu, stanowiło ulubioną potrawę ludu peruwiańskiego i nazywało się „czarki”. Król obdzielał nim chłopów w nagrodę za to, że brali udział w łowach jako naganiacze.

W Peru istniały cztery odmiany lam, z których tylko dwie zostały oswojone przez człowieka. Największa, znana nam już lama pospolita, służyła głównie jako zwierzę juczne i dostarczała szorstkiej wełny na odzież dla pospólstwa. Oprócz niej hodowano jeszcze znacznie mniejszą, delikatnie zbudowaną i bardzo niesformą alpaka o czarnym jedwabistym runie. Lamy to zwierzęta niezwykle wytrwale fizycznie i odporne na surowe warunki klimatu. Nawet w regionach wiecznego śniegu potrafią wyżywić się z mchów, rosnących skąpo na stromiznach skalnych. W dodatku, podobnie jak wielbłądy, mogą obyć się przez długi czas bez wody. Jako zwierzęta juczne były one i są w górach andyjskich niezastąpione. Lama nosi przeciętnie czterdzieści pięć kilogramów na odległość dwunastu kilometrów dziennie. Krok lamy jest zupełnie pewny, nawet na zlodowaciałych ścieżkach, gdyż racice jej składają się z dwóch ostrych pazurów, którymi może zaczepiać o gołoleź i skały.

Lama jest bardzo posłusznym i karnym zwierzęciem, broni jednak uparcie swych praw. Obciążona zbyt dużym ładunkiem, nie ruszy się z miejsca, choćby okładano ją kijami. Gdy wpada we wściekłość, traci flegmę, skacze zręcznie jak sarna, pluje i wierzga tylnymi nogami. Słowem, jest pracowita, chętna i przywiązana do człowieka, ale biada, gdy doznaje jakiegś krzywdy lub niesprawiedliwości.

Inkowie tworzyli karawany liczące nieraz tysiąc lam jucznych; w ten sposób mogli transportować z miejsca na miejsce ogromne ilości towarów.

Dzikie lamy nazywały się guanako i wigunie. Żyły one w stadach na podobłocznych płaskowyżach z samcem przywódcą na czele, który stał na czatach i w razie niebezpieczeństwa

ostrzegął podopiecznych przenikliwym gwizdem⁷⁸. Dzikie lamy dostarczały najprzedniejszej cienkiej jak jedwab przędzy wełnianej, przeznaczonej wyłącznie dla Inków.

Następca tronu wyruszył na łowy z licznym orszakiem dworzan, wojowników, tragarzy i objuczonych lam. Była to wyprawa wesoła i zgiełkliwa. Otwierała ją zgraja wyrostków, którzy całą drogę wśród płasów i wymachiwania oszczepami śpiewali pieśni pochwalne, wynoszące pod niebiosa myśliwskie cnoty królewicza. Za nimi w poważnym ordynku maszerował oddział przybocznej gwardii królewskiej, a potem płynęła na barkach poddanych złocista lektyka z następcą tronu, otoczona mrowiem młodych Inków uzbrojonych w oszczepy i maczugi.

Na samym końcu posuwał się oddział gospodarczy z różnym sprzętem łowieckim. Orkiestra piszczałek, konch i bębnow prowadziła wydłużoną kolumnę objuczonych lam, pilnowanych przez pastuchów. Zwierzęta szły przed siebie z godnością, kołysząc się harmonijnie w rytm muzyki. Nogi ich stąpały krokiem niedbałym, powolnym i pełnym swobodnej gracji, rzekłbyś — krokiem baletnicy lub wielkiej damy wkraczającej na salę balową. Równocześnie kołysały się rytmicznie ich karki i głowy, podnosiły się i opadały zady, jakby pod batutą kapelmistrza.

Z Cuzco do Czinczasuju wiodła droga trudna i daleka. Trzeba było przewędrować wiele mil, przekraczać na wiszących mostach rzeki i potoki górskie, nocować na kilku postojach, by dotrzeć do miejsca przeznaczenia. W miarę zbliżania się do celu orszak spotykał coraz więcej naganiaczy dążących zewsząd na tereny łowów. Przy drodze cisnęły się roje kobiet i dzieci, by powitać następcę tronu. Nastrój panował wesoły i odświętny, ludzie bowiem wiedzieli, iż z łowów przypadnie im w udziale kawałek dziczyzny, na którą wolno było polować tylko królowi.

Na ośrodek obławy myśliwskiej wyznaczono kotlinę zamkniętą zewsząd stromymi skałami. Nadawała się ona doskonale na matnię, ponieważ wiodły do niej nieliczne tylko, łatwe do zamknięcia przesmyki.

Następca tronu przenocował w najbliższym zajeździe królewskim i o świcie zajął swoje stanowisko w kotlinie. Czekali tam już nań dostojnicy z kasty Inków, zbrojni w maczugi, dzidy, łuki i sieci. Królewicz przygotował sobie łuk, zawiesił na szyi kołczan ze strzałami i usiadł na zydlu. Myśliwi nasłuchiwali, czy nie zbliża się nagonka, która już całą noc zapędzała zwierzyne do kotła górskiego.

W pewnej chwili dotarł z daleka niewyraźny i pomieszany rozgwar, rósł stopniowo i nabrzmiwał, aż w końcu można już było odróżnić nawoływania ludzi, łomot bębnow i przeciągłe sygnały myśliwskie, wydobywane z rozlicznych konch. Nagle buchnął pod niebo ogłuszający wrzask naganiaczy i do kotliny wpadła w rozpaczliwym bezładzie hurma dzikich lam, kozic górskich, jeleni, sarn i innych najrozmaitszych zwierząt. Chcąc za wszelką cenę wymknąć się z potrzasku, zwierzęta z wybałuszonymi z przerażenia ślepiami rwały przed siebie jak opętane, zataczały w kotlinie szalone kręgi, rozpychały się wzajemnie i wierzgały kopytami. Niebawem uniosły się tak gęste tumany kurzu, że z trudnością można było dostrzec przejmujący dramat zwierzęcej paniki.

Wybierając dogodną chwilę następca tronu napiął cięciwę łuku i wymierzył z największą starannością. Strzała furknęła w powietrzu i przeszła wspaniałego jelenia, który mijał go w pędzie. Z piersi myśliwych i naganiaczy wyrwał się okrzyk podziwu. Jednocześnie posypały się strzały z innych łuków i stopniowo pole zaległy cielska sarn i jeleni. Myśliwi celowali starannie, gdyż nie wolno było ugodzić lamy, a trafienie w upatrzoną ofiarę w zamęcie kołujących zwierząt wymagało niezwykle pewnej ręki.

Z szeregow myśliwych wystąpiła teraz młodzież w celu popisania się zręcznością i odwagą.

⁷⁸ Podobno dziś żyje w Peru około 400 tysięcy dzikich lam.

Raz po raz zuch jakiś puszczał się w pogoń za upatrzoną zwierzyną i ubijał ją ciosem maczugi czy oszczepem. Niejeden śmiałek narażał się przy tym na stratowanie przez rozpędzone w galopie zwierzęta, jednak zręcznym unikiem wychodził zawsze z opresji obronną ręką. Wtedy, dumny z siebie, powracał na swoje stanowisko, witany przez towarzyszy kpinami lub okrzykami pochwały.

Polowanie zakończyło się późno pod wieczór. Następca tronu w otoczeniu najbliższej świty udał się do zajazdu na nocleg. Nazajutrz zjawił się ponownie w kotlinie, by wziąć udział w najważniejszej, tym razem bezkrwawej części łowów.

Kotlina była już uprzątnięta z upolowanej zwierzyny. Na placu pozostały jeszcze tylko lamy. Przejęte trwogą i ponad siły strudzone szamotaniem się w pułapce, zbiły się bezradnie w jedną gromadę i czekały, co im los przyniesie.

Następca tronu ujął w obie ręce sporą sieć obwieszoną ciężarkami i ostrożnym krokiem zbliżał się do zwierząt. Nieprzeliczone tłumy dworaków i naganiaczy śledziły z zapartym oddechem jego ruchy.

Lamy czujnie ustawiły się przodem do zbliżającego się prześladowcy, wlepiły w niego nabiegle niepokojem ślepią i nerwowo żuły wargami.

W pewnym momencie następca tronu dopadł błyskawicznie krzepkiego samca, gwałtownym rozmachem ogarnął go siecią i zawisł na sznurach całym ciężarem swego ciała. Usidlona lama wpadła w dziki popłoch. Borykając się z obejmującymi ją mackami sieci stawała dęba, kręciła się jak fryga, miotła się jak szczupak na wszystkie strony i wierzgała nogami w próżnię.

Pozostałe lamy, przerażone tym widokiem, poszły w rozsypkę i na nowo zaczęły krążyć w kotlinie. Schwytyany samiec poszedł natychmiast w ich ślady i ku zgrozie przypatrujących się tłumów powłókł za sobą uczepionego dręczyciela. Nie zdołał jednak być daleko się oddalić. Uwikłany w sznury, potknął się i zwałił z głuchym łoskotem na ziemię. Książę zerwał się i mocniej skrępował go siecią. Nieszczęsne zwierzę jeszcze przez pewien czas szamotało się w bezsilnej nienawiści, strzyknęło śliną, nagle jednak opadło z sił i przestało się bronić.

Huayna Kapak dyszał ciężko i chwiał się na nogach ze zmęczenia, był jednak niepomiernie z siebie zadowolony i z uśmiechem przyjmował powinszowania poddanych, którzy prześcigali się w wyrażaniu zachwytów i pochlebstw.

Książę przebrał się w świeże szaty i obserwował już tylko, jak polowali inni myśliwi. Schwyte lamy oddawano w ręce pasterzy, którzy wprawnymi cięciami nożyc ogałali je z gęstego, jedwabistego runa, a następnie przywracali im wolność. Rosnące sterty wełny kobiety i dzieci zbierały do koszy i pod dozorem urzędnika zносиły do najbliższego magazynu królewskiego.

Wyprawa łowiecka następcy tronu przenosiła się z miejsca na miejsce w namiestnictwie Czinczasuju i dlatego trwała kilka tygodni. Tymczasem król Tupak Yupanki dogorywał w swoim pałacu. Najsławniejsi medycy kraju robili, co mogli, aby utrzymać go przy życiu. Próbowali kolejno wszystkich znanych im leków, a więc chinę zwanej „kina—kina”, sproszkowanego serca gołębia, zmieszanej krwi kondora, jaguara, lamy i tchórzez wywaru z mrówek i węża. Ponieważ zabiegi okazały się daremne, wezwano do chorego pewnego „sankoyaka”, czyli czarownika wiejskiego, który cieszył się sławą cudotwórcy i żył nad jeziorem Titicaca.

Ów znachor ludowy ustalił, iż do ciała królewskiego dostał się „kaikar”, oddech zmarłego człowieka. Niezwłocznie też zabrał się do jego wypędzenia. Obwiesiwszy się mnóstwem amuletów, wśród których przeważały muszle i kamienie tworzące się w żołądku tapira, założył straszliwą maskę rytualną i rozpoczął swoje magiczne praktyki. Naprzód okadził króla odurzającym dymem spalonych ziół, a potem pisał cudacznie naokoło jego łoża i zawodził

przeraźliwie, wtórując sobie na bębnie siecznymi, oszałamiająco szybkimi uderzeniami.

Ale demon okazał się w tych zapasach mocniejszy niż zaklinacz wiejski. Oblicze króla zasnuwało się cieniem śmierci i agonia zdawała się bliska. Wtedy medycy postanowili przeprowadzić operacyjny zabieg, stosowany w Peru od niepamiętnych wieków. Polegał on na tym, że dłutem ze srebra lub krzemienia wydrążało się w czaszce chorego okrągły otwór, aby wypuścić demona⁷⁹. Ale król nie chciał się na to zgodzić i z pokorą czekał, aż promienisty bóg Inti przywoła go do siebie. Rodzina królewska zebrała się w pałacu, by pożegnać boskiego ojca. Strach obsiadł miasta i wioski, lud bowiem wierzył, że wraz ze śmiercią jednego z królów umrze również słońce i wieczne ciemności nastaną na świecie.

Tupak Yupanki zaintonował ledwie dosłyszalnym głosem lament żałobny, jaki tradycyjnie królowie Inków nucili na łożu śmierci:

*Urodziłem się świeży jak kwiatek polny,
W młodości kwitłem jak goździk pąsowy,
Doczekałem się wieku męskiego, doczekałem się starości,
A teraz — oto więdnę, oto umieram⁸⁰.*

Król skonał i państwo Tawantinsuju okryło się żałobą. Zarządzono post, ludzie musieli powstrzymać się od spożycia pieprzu i soli. Ciało zmarłego zabalsamowano miodem i ziołami, serce umieszczono w złotej urnie. Nieboszczyk, przybrany w najstrojniejsze szaty i klejnoty, siedział przez trzydzieści dni na złotym tronie i przyjmował hołdy poddanych.

Komnaty pałacu rozbrzmiewały lamentem płaczek. Po miastach i wioskach słychać było dudnienie bębnow, towarzyszące tańcom żałobnym.

Do świątyni słońca ruszył uroczysty i okazały kondukt pogrzebowy. Mumię króla niesiono w złocistej lektyce w otoczeniu prześwietnych Inków. Żałobnicy kroczyli boso i mieli na sobie szaty z czarnej wełny alpaki. Nieprzeliczone tłumy pospólstwa w nieutulonym żalu kaleczyły się paznokciami, wrywały sobie włosy i podnosiły taki lament, że ledwie było słychać skargę piszczałek i łomot bębnow. Nieboszczyka posadzono wreszcie na złotym tronie w świątyni obok jego przodków.

Inkowie wierzyli, że królowie zmartwychwstaną kiedyś i powrócą na ziemię do swoich poddanych. Stąd pochodził osobliwy zwyczaj, że pałac królewski zamurowano wraz ze wszystkimi skarbami i sprzętem domowym, aby zmartwychwstały król zastał go w takim stanie, w jakim go opuścił. Otwierano ten pałac tylko raz jeden w rok po pogrzebie, aby urządzić w nim na cześć zmarłego władcy wielki bankiet. Mumię królewską sadzano przy stole, podczas gdy dostojnicy raczyli się jadłem i piwem. Bankiet był jednocześnie zamknięciem jednorocznego okresu żałoby, po którym kraj powracał do normalnego trybu życia pod panowaniem nowego króla.

INTRYG A I MIŁOŚĆ W KRÓLESTWIE INKÓW

Koronacja nowego króla nie mogła się odbyć bez zgody boga Inti. Arcykapłan dniem i nocą modlił się w świątyni o pomyślną wróżbę: „dziewice słońca” i kapłani odmawiali błagalne litanie; na kamieniu ofiarnym nie wygasła płomienie obiat. Stolica żyła w niezwykłym napięciu; na placu tłoczyli się mieszkańcy, by z ust arcykapłana usłyszeć dobrą nowinę.

⁷⁹ Archeolodzy wykopali dotąd w Peru dziesięć tysięcy mumii ze śladami trepanacji czaszki.

⁸⁰ Autentyczna pieśń królów Inków.

Ale bóg słońca milczał. Mijały dni i tygodnie, a wróżbici nie dostrzegali żadnego znaku na niebie i ziemi, z którego by można było wyczytać boskie przyzwolenie na koronację. Cały kraj pogrążył się z tego powodu w smutku i niepewności.

Huayna Kapak zaszył się w swoim pałacu i czekał. Stopniowo taka głucha złość go zalała, że nawet najbliższa rodzina wolała schodzić mu z oczu. Przywołany arcykapłan płaszczył się i kajał, ale zwłokę tłumaczył względami religijnymi i rozkładał bezradnie ramiona.

Aż pewnego dnia wpadł do pałacu zaufany wywiadowca i poprosił o posłuchanie. Następca tronu rozmawiał z nim w cztery oczy niezwykle długo, a potem zwołał natychmiast swoich najwierniejszych wojowników i pospieszył do pałacu starszego brata. W komnatach rozległy się niebawem rozdzierające krzyki i lamenty mordowanych. Stracił wówczas życie nie tylko pierworodny syn zmarłego króla wraz z najbliższą rodziną, lecz również młodszy brat Huayny Kapaka i następny po nim kandydat do tronu.

I oto bóg Inti snadź udobruchał się po rozgromieniu pałacowego sprzysiężenia, bo już nie zwlekał z udzieleniem zgody na koronację. Arcykapłan nad podziw szybko zjawił się przed obliczem króla, by zawiadomić go o pomyślnej wróżbie.

Już bez żadnej przeszkody Huayna Kapak założył na głowę szkarłatną opaskę borla z kolorowymi piórami świętego ptaka kurakenke, a potem wziął udział w uroczystościach i zabawach ludowych, które trwały kilka dni.

Król nie pozbył się jednak nieufności do kapłanów. Nie mógł przecież z tego powodu wykluczyć ich z tradycyjnej pielgrzymki, którą królowie musieli odbyć po koronacji do jeziora Titicaca, najbardziej czczonego przez Inków miejsca, jako że urodził się tam bóg Inti. Na intencję podróży ofiarowano bogu młodzieńką „dziewicę słońca”, a ciało jej, przyrodziane w godowe szaty, zaniesiono w uroczystym pochodzie do górskiej pieczary.

Długa kolumna orszaku królewskiego ruszyła w drogę i niebawem pięła się mozolnie ku szczytom andyjskim. W niedużej odległości od świętego jeziora król wysiadł z lektyki i stanął na skraju rozległego płaskowyżu. Widok był to niezwykle. Jak okiem sięgnąć rozpościerał się gęsty las wieżyc o kształtach okrągłych i czworokątnych, zbudowanych z surowych bloków kamiennych. Dziwne te budowle szerniały ze starości, ale trzymały się jeszcze krzepko. Kamienne bloki były bowiem tak doskonale dopasowane, że w ich spojeniach nie zdołały ucześcić się nawet wszędobylskie mchy górskie.

Na zawsze chyba pozostanie tajemnicą, kiedy wieże te zostały wzniesione. Szczątki ludzkie, znalezione wewnątrz ich murów, świadczą, że były to grobowce jakiegoś nieznanego ludu, który żył na długo przed pojawieniem się Inków.

Peruwiańczycy nazywali je „czulpa” i odnosili się do nich z przesadnym lękiem, ponieważ byli przekonani, że gnieźdzą się tam demony górskie, które trzeba obłaskawiać modłami i ofiarami. Nic przeto dziwnego, że Huayna Kapak uważał za wskazane zatrzymać się, by u stóp jednej z wieżyc złożyć ofiarę duchom i zyskać sobie ich życzliwość w podróży.

Do Titicaca było już stąd niedaleko. Orszak królewski zatrzymał się na nocleg w najbliższym zajeździe i nazajutrz o świcie znalazł się u celu podróży.

Przed olśnionymi oczyma pielgrzymów pojawił się krajobraz jakby wyczarowany przez jakoweś dobroczynne moce w surowym otoczeniu wysokogórskich regionów.

Ogromną dolinę wypełniała migotliwa, wyłożona w słońcu tafla jeziora, na krańcach widnokregu piętrzyły się szczyty Andów, a przestwór nieba był tak czysty i błękitny, że cała przyroda zdawała się tonąć w lazurze. Na lustrzanej powierzchni jeziora sunęły majestatycznie ogromne tratwy z białymi żaglami; krzatali się na nich rybacy mocujący się z sieciami. Na zboczu pasły się liczne stada lam i zieleniły tarasy z grzędami ziemniaków.

Był to doprawdy obraz pełen niezwyklej kontrastów. Jezioro otaczały pierścieniem dzikie,

poszarpane zbocza skalne, nagle wystrzelające krzesanice, żleby i jary, słowem, świat jałowy i posepny, a tuż obok ludzie uprawiali ziemniaki, warzywa i nawet kukurydzę, uśmiechał się i pienił urodzaj pełen skrzętnego ładu.

Na wodach przybrzeżnych było rojno, hałaśliwie i barwnie od rozmaitego ptactwa, zgoła nieoczekiwanego na tych wyżynach skalnych świata. Żerowały tam nie tylko mewy i dzikie kaczki, lecz również — o dziwo — czarne jak sadze ibisy i różowe flamingi, które brodziły wyniośle w płyciznach, obojętne na chłodne tchnienie gór.

Jezioro Titicaca, leżące dokładnie 3812 metrów nad poziomem morza, zajmuje obszar około 8300 kilometrów kwadratowych. Długość jego wynosi 210 kilometrów, szerokość, dochodzi miejscami do 50 kilometrów, a głębokość do przeszło 300 metrów. Ta ogromna tafla wodna wpływa oczywiście na wydatne ocieplenie wysokogórskiego klimatu i łagodzi jego surowość do tego stopnia, że mogło rozwijać się tam rolnictwo, rybołówstwo i pasterstwo. Klimat tych okolic zdumiewa nie spotykanymi nigdzie kontrastami. W ciągu kilku godzin przeżywają ludzie wszystkie cztery pory roku, w nocy bowiem panuje tam zima, w godzinach rannych wiosna, w ciągu słonecznego dnia lato, a pod wieczór jesień.

Huaynę Kapaka zaniesiono w lektyce na wąski cypel, wysunięty w jezioro. Oczekiwała go tam tratwa wyściełana barwnymi tkaninami. Towarzyszyła królowi tylko najbliższa rodzina i najwyżsi dostojnicy państwa, podczas gdy reszta orszaku rozłożyła się obozem na brzegu.

Tratwa pomknęła na żaglach do wyspy Titicaca, leżącej w niewielkiej odległości od cypla. Król wysiadł na brzeg i mijając święte plantacje kukurydzy stanął u stóp wysokiej skały. Podtrzymywany przez arcykapłana jął wspinać się po stopniach i wszedł na dziedziniec świątyni boga słońca. Złote ściany budowli płonęły w słońcu górskim jak czarodziejska, tajemnicza zjawia, pełna czaru i siły.

Wewnątrz, jak we wszystkich świątyniach Inków, widniała niewiarygodna obfitość skarbów ze złota, srebra i szlachetnych kamieni. Ale cały ten przepych niknął przy wspaniałości posągu boga słońca, wykutego z jednej bryły złotego kruszcu. Plemienny bóg Inków siedział na tronie i spozierał w odwiecznej zadumie ku wschodowi, skąd przez portal świątynny wpadała struga porannego słońca.

Do jego tronu prowadził dwuszereg ogromnych amfor ze złota, wypełnionych po brzegi ziarnem świętej kukurydzy. Inkowie wierzyli, że ziarno to pochodzi z nieba i że jego spożycie zapewnia człowiekowi wieczny żywot po śmierci. Co roku, po dokonaniu zbiorów na wyspie, przybywali wysłannicy wszystkich świątyni państwa, by odebrać przydział ziarna potrzebny do obrzędów rytualnych.

Król Huayna Kapak spędził parę godzin na modlitwach u stóp posągu. O zachodzie słońca spożył parę ziaren świętej kukurydzy, podanych mu na złotej tacy przez arcykapłana. Nastawał już zmierzch, gdy wyszedł na dziedziniec, by na kamieniu ofiarnym poświęcić bogu młodą lamę o nieskazitelnie białej sierści.

Skoro tylko wszedł księżyc, król i jego świta wsiedli ponownie na tratwę i pożeglowali na sąsiednią wyspę Coati. Stała tam świątynia bogini księżycy i klasztor „dziewic słońca”. Król pomodlił się krótko w srebrzystym domu matki plemienia, a potem udał się do klasztoru, gdzie wybrał sobie miłośnicę, i udał się na nocny spoczynek.

Zbudzono go przed świtem, gdyż czekała go jeszcze pielgrzymka do świętej skały, gdzie narodził się bóg Inti. Skała z czerwonego piaskowca obwiedziona była potrójnym murem. Do najświętszego miejsca prowadziły trzy bramy: brama lwia, brama kolibrów i brama nadziei. Pielgrzymi przy każdej bramie musieli parę dni pościć, długo się modlić i zakopywać u jej progu wota ze złota i srebra. Zanim mogli zbliżyć się do skały i w religijnym uniesieniu przyłgnąć do niej wargami, mijały zazwyczaj tygodnie.

Tym razem jednak nie dopuszczono pątników na wyspę, aby król mógł bez świadków oddać hołd praojcu swego narodu. W towarzystwie najbliższych spoglądał w skupieniu na wierzchołek skały i czekał, aż spełni się misterium narodzenia słońca.

Zaczęło już świtać, na wschodnim krańcu nieba wytrysnęła purpurowa luna i nagle na szczycie skały rozbłysło słońce. Po jeziorze i okolicznych górach rozległy się głębokie, posępne, wibrujące tony świątynnych kotłów, kapłani zaintonowali pieśń powitalną.

Król i jego towarzysze zgięli się w głębokim pokłonie, wołając z zapamiętałą żarliwością:

„Dzięki ci, ojczyści promienny, że się narodziłeś, że żyjesz, że nie umarłeś. Dzięki ci, że nie zaniechałeś nas, że dajesz nam światło i ciepło, dzięki ci za twoją szczodrobliwą!”

Król złożył potem ofiarę z białej lamy i opuścił najświętsze miejsce, by wrócić natychmiast do stolicy. Otrzymał bowiem wielce radosną wiadomość, że koja powiła mu syna, prawowitego następcę tronu.

Narodziny pierwotnego syna królewskiego obchodzono w Cuzco tradycyjnymi uroczystościami. Trzystu Inków najszlachetniejszej krwi gromadziło się na głównym placu i opiewało chwałę nowo narodzonego. Zdobni w złote kolczyki, oznakę swej godności, brali się za ręce i w takt monotonnej muzyki wykonywali przed królem starodawny taniec węża.

Ale Huayna Kapak wpadł na pomysł, by ów wspaniały obrzęd uświetnić. Na jego polecenie wzmożono pracę w kopalni Camanta i po kilku tygodniach dwustu pięćdziesięciu tragarzy przyniosło do stolicy dziesięć ton złotego kruszcu. Cała armia złotników wykuła z niego łańcuch długości dwustu metrów, którego ogniwa miały wielkość pięści ludzkiej. Inkowie płasali złączeni owym ciężkim łańcuchem i podzwaniając ogniwami błagali boga Inti, aby błogosławił synowi królewskiemu. Rawa Runtu promieniała z radości, gdy jej małżonek podniósł syna nad głowami klęczącego ludu i nadał mu imię Huascar. Łańcuch oddano potem na przechowanie kapłanom świątyni boga słońca.

Huayna Kapak był ambitnym władcą, dzielnym zdobywcą i świetnym włodarzem kraju. Rozszerzył granice państwa, budował kanały, cysterny, drogi, fortece i magazyny, przesiedlał ludność rolniczą i oddawał jej pod uprawę nowe, dziewicze obszary. Ale nie usłuchał napomnień ojca, był okrutny i mściwy. W końcu ucisk stał się tak nieznośny, że w różnych częściach kraju wybuchały co chwila buntury ujarzmionych ludów. Król uśmierzał je krwawo, srożył się, karał, ale niezadowolenie rosło, pogłębiało się i wstrząsało coraz silniej podstawami wielkiego imperium.

Kiedyś podniosły głowę plemiona Karangów. Huayna Kapak zdławił powstanie przewagą swoich sił zbrojnych i kazał ściąć dwa tysiące wojowników. Ciała pomordowanych wrzucono do laguny leżącej na południe od miasta Otavala. Laguna ta do dziś dnia nosi nazwę „Yachuar—kucza”, co znaczy „Laguna krwi”, a ludy zamieszkujące tamtejsze strony wciąż jeszcze ze zgrozą wspominają to straszliwe wydarzenie.

Innym razem znowu mieszkańcy wyspy Puna wymordowali załogę królewskiego wojska. Król zdziesiątkował ludność, zburzył i podpalił wsie, a wodzów kazał powbijać na pal. Pomagali mu w tej rzezi mieszkańcy miasta Tumbes, dziedziczni wrogowie wyspiarzy.

Nie zawsze jednak postępował Huayna Kapak tak bezwzględnie. Gdy zerwali się do walki wyzwoleńczej mieszkańcy Tumbes i Huancavelica, pobił ich, nie wydał jednak na rzeź wojownikom. Upokorzył tylko wodzów w ten sposób, że kazał im wyrwać po cztery przednie zęby. Wówczas cały lud na znak solidarności również pozbawił się czterech przednich zębów; to co miało stać się hańbiącym piętnem, przeobraziło się w manifestację spójni plemiennej.

Wkrótce potem Huayna Kapak postanowił dokończyć dzieła ojca i zdobyć miasto Quito, gdzie wciąż jeszcze trzymał się król Kacza. Wyruszył przeto na czele czterdziestotysięcznej armii i przystąpił do oblężenia bohaterskiej stolicy północnego państwa. Po ciężkich walkach udało mu się ją zdobyć i wziąć do niewoli króla, który jednak nie przeżył klęski.

Ale w chwili największego triumfu zwycięzca znalazł się nagle w śmiertelnym niebezpieczeństwie: ludność podbitego kraju zerwała się ponownie do powstania, Inków ogarnęła pożoga rebelii i nienawiści.

Plemiona Kara, zamieszkujące owe obszary, słynęły z zawziętej, dzikiej waleczności, walka toczyła się więc na śmierć i życie. W tych zmaganiach król dał folę swej okrutnej i srogiej naturze, nie szczędził nawet kobiet, starców i dzieci; kwitnące niegdyś królestwo zamieniło się wkrótce w pustynię. Huayna Kapak, niepomny nauk ojca, wprowadził w życie swoją zasadę rządzenia i doprowadził do tego, że imię jego istotnie stało się wśród poddanych ludów postrachem.

Powstańcy ulegli w końcu przewadze Inków i skapitulowali. Król w przystępie gniewu postanowił wytepić ludność, która ocalała, a wyludniony kraj obsadzić potulniejszym plemieniem z innych stron państwa. Zawziął się do tego stopnia, że ani słuchał kapłanów i najbliższych współpracowników, gdy przypominali mu uświęconą politykę Inków i radzili obejść się oględnie z pokonanym ludem.

Któregoś dnia, kiedy Huayna Kapak przebywał wśród swoich wojsk pod murami Quito, od strony miasta ukazał się niezwykle pochód. Tysiące kobiet, ubranych na znak żałoby w czarne szaty, ciągnęły długim korowodem i zbliżywszy się do króla, padły pokotem na ziemię. Były wśród nich młodzianki dziewczynki, nieledwie dzieci, dojrzałe matrony i siwe staruszki. Niewiasty kajały się w pyłe i nic nie mówiły, słychać było tylko stłumiony, rozdzierający szloch.

Król stropił się niewieścim najazdem i zrazu nie wiedział, co począć. Po chwili jednak jego twarz pociemniała z gniewu. Rysie oczy, w których drzemała zaczajona drapieżność, zaczęły ciskać błyski nie wróżące nic dobrego. Zbudziło się w nim bowiem podejrzenie, że kobiety plemienia Kara przyszły błagać o litość za namową dostojników jego dworu, którzy byli zwolennikami ugodowej polityki w podbitym kraju.

Chciał już nieszczęsne niewiasty zgromić i szorstko odprawić. Wtedy przystąpiła starsza, siwiejąca kobieta i wśród żalosego płaczu przywarła wargami do jego stóp. Huayna Kapak zdumiał się niepomiernie. Żywym odruchem podniósł ją i ziemi i zawołał:

— Ehaczapuja! To ty Ehaczapuja? Jakżeś się postarzała!

— Tak, to ja, miłościwy panie!

Król spojrział na nią i uśmiechnął się życzliwie. Ehaczapuja, branka z królestwa Quito, była ongi najulubieńszą nałożnicą jego ojca. On, będąc jeszcze chłopcem, przylgnął do niej jak do starszej siostry, a ona uczestniczyła w jego zabawach, darzyła go opieką macierzyńską, okazywała mu najczulsze przywiązanie. Pewnego dnia ojciec odesłał ją do domu i odtąd wszelki słuch o niej zaginął. Huayna opłakiwał ją wtedy cichaczem, po nocach, tak aby nikt nie podpatrzył jego frasunku. Ojciec poczytywałby jego słabość do branki za rzecz uwłaczającą i nie wiadomo, czy nie odsunąłby go za karę od tronu.

Ehaczapuja spozierała na króla przez łzy i wreszcie zdołała wykrztusić:

— Panie mój, przybyłam tu z moimi siostrami, aby błagać cię o litość dla mego ludu. Wybacz nam, wybacz, a będziesz miał w nas wiernych poddanych.

Król wysłuchał w milczeniu zapłakanej kobiety i po jakimś wahaniu powiedział:

— Gdy byłem małym chłopcem, nazywałem cię Mamanczik (matką). Oto teraz będziesz matką również swoich ziomków, skoro troszczysz się o ich dobro. Wracaj do nich z wiadomością, iż daruję im winy.

Na te słowa niewiasty wpadły w szal radości i cisnąc się do króla obsypywały jego stopy pocałunkami. Huayna Kapak był wzruszony, ale po chwili spostrzegł, że jedna z dziewczyn nie bierze udziału w ogólnej radości, lecz cicho popłakuje w ramionach Ehaczapui.

— Kim jest ta młoda dziewczyna? — zapytał zdziwiony. Ehaczapuja przytuliła młódkę

jeszcze bardziej i odrzekła:

— Miłościwy panie, to księżniczka Tozto Palia, córka zmarłego króla Kaczy.

Król podszedł do dziewczynki, by przyjrzeć się jej z bliska. Ujrzał twarzyczkę ujętą w miękkie, połyskliwe fale włosów, pełną uroku, anielską, czułą i nad wyraz smutną. W jej podniesionych oczach była spłoszona nieśmiałość i taka słodczy, że serce tajało mu z litości.

Huayna Kapak zapatrzył się w dziewczynę jak w tęczę, serce zabiło mu młotem, a po ciele przeleciał płomień nieznanego uczucia. W pewnej chwili porwała go złość, że dał się wprowadzić w takie pomieszanie, zawrócił więc i oddalił się do swoich żołnierzy.

Ale przez następne noce nie zdołał oka zmużyć. Serce miał dziwnie rozbite i w żaden sposób nie mógł dojść ze sobą do ładu. On, który mierzył ludzi i rzeczy przez swój egoizm, dla którego każda nałożnica była tylko częścią jego haremu — stanął teraz wobec niepokojącej zagadki. Leżał z otwartymi oczyma na swoim posłaniu i słuchał pieśni miłosnej, jaką gdzieś w księżycowej nocy pasterz wygrywał na fujarce:

*Przy tym śpiewie, moja miła,
W sen zapadniesz słodki,
A gdy ciemna noc nastanie,
Przyjdą cię obudzić.*

Król nie zdawał sobie sprawy, że po raz pierwszy w życiu nawiedziła go prawdziwa miłość, że spotyka go wielka przygoda serca, której nazwy nawet nie znał. Czuł tylko, że bez księżniczki Tozto Palia nie zazna spokoju, że życie jego straci wszelki urok.

Nazajutrz wezwał do siebie Ehaczapuję i oświadczył jej, że pragnie księżniczkę pojąć za swoją drugą żonę. Życzenie władcy było rozkazem, toteż ulubienica niebawem zamieszkała w pałacu.

Pierwszy związek miłosny w królewskiej rodzinie Inków pociągnął za sobą nieprzewidziane dla państwa skutki. Huayna Kapak rozmiłował się w córce króla Kaczy i nie chciał powrócić do Cuzco. Quito rozbudował w tak okazałe miasto, że mogło współzawodniczyć ze stolicą Inków. Sam zamieszkał w przepięknej rezydencji, którą wybudował sobie w Cello na południe od Quito. Podbite plemiona Kara z czasem szczerze się do niego przywiązały i były mu wieme jak własnemu królowi.

Tymczasem przedłużająca się nieobecność władcy wywoływała w Cuzco wielkie zaniepokojenie. Prawowita małżonka, opuszczona przez męża, biadała nad swoim losem, syn Huaskar, pozbawiony opieki ojcowskiej, wyrastał na młodzieńca rozgarniętego wprawdzie, ale mało energicznego i zbyt powolnego kapłanom.

Rady książąt i amautów oraz kapłani ślali do Quito poselstwo za poselstwem, błagając króla, by wreszcie powrócił do stolicy. Ale Huayna Kapak wymawiał się od powrotu różnymi względami, grał na zwłokę i odprawiał posłów z niczym. Nic go już nie ciągnęło do stolicy, zwłaszcza że dowiedział się o powstaniu tam silnego, wrogiego mu stronnictwa; sam zaś nie mógł kapłanom zapomnieć ich intryg przy wyborze następcy tronu i koronacji. Zresztą w Quito stworzył sobie już odrębny dwór wiernych kapłanów, amautów, dostojników i dowódców armii, a kraj ukochanej żony stał mu się poniekąd bliższy niż własna ojczyzna.

Niebawem Tozto Palia urodziła mu syna Atahualpę, który wyrósł na dzielnego wojownika i współgospodarza państwa. Podczas wypraw wojennych przeciwko dzikim szczepom przygranicznym młodzieniec sypiał z ojcem pod jednym namiotem, a w walkach spisywał się tak dzielnie, że armia poszłaby za nim na koniec świata.

Raz tylko do roku, w wielkie święto Inti Raymi, król nie mógł uniknąć podróży do Cuzco.

Było to święto letniego przesilenia nocy i dnia, święto boga Inti, praojca i założyciela dynastii. Nie mogło się ono odbyć bez króla, a poniechanie uroczystości zakrawałoby na świętokradztwo, które mogłoby ściągnąć na ludność wielkie nieszczęścia.

Huayna Kapak zamieszkał przeto w pałacu w stolicy i czekał na hasło rozpoczęcia obrzędów religijnych, jakie mieli wydać kapłani astronomowie. Przez cały rok obliczali oni bieg słońca, z szesnastu wież ustawionych w okolicy Cuzco śledzili jego wschody i zachody, mierzyli kąt cienia rzucanego przez wieże. Z chwilą gdy cień nie przedłużał się bardziej, wiedzieli, że następuje przesilenie i święto Inti Raymi się rozpoczyna.

Tego dnia przed świtem nikt już w Cuzco nie spał. Na ulicach tłoczyły się setki tysięcy tubylców i gości przybyłych ze wszystkich stron państwa. Na placu zebrało się pięćdziesiąt tysięcy Inków w strojach kapiących od złota, srebra i szmaragdów. Wysłannicy niektórych szczepów występowali w swoich odrębnych, a zgoła osobliwych strojach plemiennych. Ludzie z tropików mieli twarze pomalowane białą farbą, inni znowu ubrani byli w skóry jaguarów i pum⁸¹. Przedstawiciele szczepu Junka pozakładali na głowy groteskowe maski mitologiczne i na przedziwnych instrumentach muzycznych wygrywali cudaczne i wrzaskliwe melodie. Przez trzy dni przestrzegano ścisłego postu i wygaszano wszystkie ogniska, nawet wieczne znicze w świątyniach. Ludzie żywili się tylko surową kukurydzą i ziołami. „Dziewice słońca” natomiast wypiekały na święto placuszki z kukurydzy, zwane „kanku”.

Na placu panował jeszcze mrok, gdy zaczęła się uroczystość. Wśród głębokiego milczenia zebranych tłumów orszak kapłanów wyniósł złoty posąg boga słońca Inti, srebrny posąg bogini księżycy Mamy Kili oraz wizerunek boga piorunów Iliapy z zasłoniętym obliczem. Po krótkiej chwili ukazał się inny orszak kapłański, który w lektykach dźwigał wszystkie mumie zmarłych królów i królowych. Posągi i mumie ustawiono naokoło ołtarza ofiarnego, wzniesionego pośrodku placu.

Wreszcie pojawiła się złocista lektyka króla Huayny Kapaka. Poprzedzał ją arcykapłan w szacie mieniącej się od złota i szlachetnych kamieni. Po bokach kroczyły nałożnice z koją na czele oraz najbliższa rodzina królewska. Pochód zamykały „dziewice słońca”, rada mędrców, naczelnicy prowincji, dostojnicy dworu i wybitni wojskowi.

Na ogromnym placu panowała cisza jak makiem zasiał. Zebrane pospólstwo, wojownicy, kapłani, a nawet najwyżsi dostojnicy przysiedli na ziemi z opuszczoną głową; jedynie tylko król stał wyprostowany i odmawiał modlitwę, którą tłumy powtarzały cichym szeptem:

„O boże, obyś się nie zestarzał i wstawał codziennie, żeby obdarzyć ziemię światłem”.

Gdy nad górami Sallac i Picicho ukazały się pierwsze promienie słoneczne, z tysiącznych piersi wyrwał się zgodny okrzyk radości. Niebawem zabrzmiała orkiestra setek konch i piszczałek, a tysiąc pięćset „dziewic słońca”, ustawionych w czterech dzielnicach miasta, zaintonowało hymn na cześć boga słońca.

Król, jego rodzina i najbliżsi dworacy pochyliłi się w pokornym ukłonie i obu dłońmi posyłali słońcu symboliczne całusy. Czynili to jednak z opuszczonymi oczyma, gdyż spojrzenie w oblicze słońca poczytywano za świętokradztwo.

Królowi podano następnie złoty dzban z piwem czicza oraz złotą tacę z placuszkami kanku, upieczonymi przez „dziewice słońca”. Król naprzód sam wypił z kubka łyk piwa i spożył placuszek, a potem dzielił się resztą ze swoją rodziną i arystokracją. Był to niezmiernie wielki zaszczyt otrzymać z rąk władcy święte pożywienie, toteż wyróżnieni zbliżali się na kolanach, z zamkniętymi oczyma wypijali z podanego kubka łyk napoju i drżącą dłonią sięgali po placuszek

⁸¹ Niektóre pierwotne ludy wierzyły, iż pochodzą od pewnych zwierząt. Wierzenia takie nazywamy totemizmem. Wizerunki owych zwierząt służyły tym ludom jako godło plemienne.

ze złotej tacy⁸².

Tymczasem słońce weszło już dość wysoko na niebie.

Arcykapłan stanął przy ołtarzu ofiarnym i za pomocą wklęsłego zwierciadła z polerowanego złota zapalił kłębek bawełny. Do płonącego ognia podchodziły z pochodniami sztafety ze wszystkich stron kraju i wkrótce w całym państwie zapłonęły na nowo ogniska domowe i świątynne znicze.

Na ołtarzu ofiarowano potem wiele lam o czarnej sierści. Wnętrznosci poświęcono bogu, mięso zaś oddano do spożycia zgromadzonej ludności.

W stolicy odbywały się przez dwa dni i dwie noce biesiady i zabawy. Na ulicach i placach rozstawiono stoły z jadłem i wielkie dzbany z piwem, każdy więc mógł uraczyć się, ile dusza zapagnie. Straż miejska musiała niemało natrudzić się, aby wśród rozbawionego pospólstwa utrzymać jaki taki porządek.

Huayna Kapak ochoczo brał udział we wszystkich zabawach, niewiele jednak czasu poświęcał prawowitej małżonce i synowi Huaskarowi. Królowa, uradowana powrotem męża, stroiła się godzinami przed srebrnym zwierciadłem. Służebnice ozdobiły jej głowę wiankiem z paśowych goździków i niebieskim welonem z cieniutkiej przędzy, ubrały ją w różową koszulę i płaszcz pomarańczowego koloru, obuły w sandały z miękkiej śnieżnobiałej wełny, a smukłą szyję ozdobiły sznurem pereł i szmaragdów.

Ale król nie przychodził. Siedziała więc opuszczona w pałacu roniąc gorzkie łzy i ze struchlałym sercem nasłuchiwała, czy nie zbliża się ustęskniony małżonek. W ogrodzie na dziedzińcu pałacowym szeptało listowie w księżycowym świetle, z miasta dochodziły odgłosy rozbawionego ludu, a ona „błakała się po ścieżkach samotna i zrozpaczona, nucąc ludową skargę porzuconej dziewczyny:

*Ojcze kondorze, zabierz mnie,
Ojcze sokole, unieś mnie stąd.
Powiedz drogiej matce,
Że nie jadłam przez pięć dni,*

*Że nie wzięłam do ust łyku wody.
Ojcze posłańców, błagam cię,
Zabierz mnie, zabierz mnie
Do ojca i matki.⁸³*

ATAHUALPA I HUASKAR

Huayna Kapak panował przeszło czterdzieści lat, ale ostatnie lata jego życia nie były szczęśliwe. Wielkie imperium, nękane powstaniami uciskanych ludów, trzeszczało w posadach, on sam zaś, chory i stary, zamknął się w swoim pałacu w Cello i poddawał różnym zabiegom leczniczym.

Na stare lata jedyną pociechą był mu Atahualpa. Król miał wprawdzie prawowitego syna

⁸² Uderzające podobieństwo z sakramentem komunii sprawiło, że Hiszpanie poczytywali rozdawnictwo piwa i placuszków za naigrawanie się szatana z religii katolickiej. Przeto z całą bezwzględnością tępil obrzęd Inti Raymi. Zburzyli również dwanaście wież służących do obserwacji słońca, poczytując je także za dzieło szatana.

⁸³ Autentyczna pieśń indiańska, zanotowana przez kronikarza Filipa Huamana Pome.

Huaskara i dwustu synów z innymi żonami, wszelako tylko w Atahualpie pokładał całą nadzieję. Jemu też powierzył rządy nad państwem i naczelne dowództwo armii, bo młody książę w odróżnieniu od Huaskara odziedziczył po ojcu wszystkie zalety dobrego administratora i wojownika. Odważny i zdecydowany w akcji, szybko poskramiał niesforną plemią i przywracał ład, gdziekolwiek powstały zamieszki. Armia ubóstwiała go, a jej doświadczeni generałowie Kiz Kiz i Czalkuk Czimu oddani mu byli duszą i ciałem.

Był rok 1527. Zniedołężniały król kazał wyprowadzić się do ogrodu pałacowego, gdzie rad przesiadywał, i wezwał do siebie najbliższą świtę: wysokich kapłanów, amautów i urzędników. Sekretarz królewski odczytywał z kipu codzienne sprawozdanie ze stanu państwa. Ale król niecierpliwie przerwał mu, gdy zaczął wyliczać zapasy w magazynach królewskich, i odezwał się gderliwie:

— Poddani wymierają mi tysiącami, pola uprawne stoją odłogiem, a ty zawracasz mi głowę liczbą szmatek i sandałów zmagazynowanych w jakiejś tam dziurze na kresach państwa. Czas już, abyś pojął, co ważne, a co nieważne w danej chwili. Zęby zjadłeś w tej służbie, a wciąż jeszcze trzeba cię strofować jak dziecko.

Sekretarz rzucił się do stóp króla i usprawiedliwiał niezręcznie, dostojnicy zeszywnieli z przerażenia. Północne prowincje państwa nawiedziła straszliwa zaraza nie znanej w Peru choroby, która skosiła dwieście tysięcy ofiar. Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to ospa przywieziona przez białych ludzi do Panamy, skąd dostała się do Peru.

Pragnąc oszczędzić schorowanego ojca, Atahualpa surowo nakazał, aby wiadomość o epidemii pod żadnym pozorem doń nie dotarła, ale król widać miał swoich własnych informatorów. Teraz spojrzął z ukosa na zatrwożonych dworaków i dodał z goryczą:

— Okłamujecie mnie, trzymacie mnie w niewiedzy, nie mogę wam ufać. Zasłużyliście na karę, ale wybaczam wam, gdyż wiem dobrze, że powodowaliście się troską o moje zdrowie.

Król zamilkł wielce zatroskany.

— Bóg Inti — odezwał się znowu — nie jest nam łaskaw. Czym żeśmy zasłużyli na jego gniew, jak go przebłagać?

Widocznie nie znalazł odpowiedzi na swoje pytania, gdyż zrezygnowany wstał ze złotego zydła i oparty na ramieniu kapłana skierował się do swoich komnat.

Zatrzymał go wówczas okrzyk gońca, który co tchu wpadł do ogrodu i ze słowem „Wirakocza” na ustach wręczył królowi zwinięty kipu.

Sekretarz zabrał się natychmiast do odczytania raportu, podczas gdy gońiec odchodził mamrocząc wciąż jeszcze w uniesieniu:

— Wirakocza! Wirakocza!

„Kuraka miasta Tumbes pokornie donosi boskiemu synowi słońca: Od morza na wielkim okręcie przybyli nader dziwni ludzie o białej skórze i z zarostem na twarzach. Władają oni piorunami i jeżdżą na wielkich lamach. Wódz ich nazywa się Pizarro i utrzymuje, jakoby przysłał go najpotężniejszy na świecie władca, który panuje w dalekiej krainie za morzami. Zaprosiłem ich do miasta i ugościłem, jak mogłem najlepiej, a oni okazali się ludźmi spokojnego i łagodnego usposobienia. Ludność miasta witała ich radośnie jako wysłanników najwyższego stwórcy Wirakoczy. Po paru dniach przybysze wsiedli z powrotem na okręt i zniknęli na pełnym morzu”.

Palce sekretarza drżały, przebierając węzłki jak paciorki różańca, król skurczył się, jakby nagle odczuł ciężar starości, amauci i kapłani słuchali wieści z zamierającym sercem. Wszyscy byli przekonani, że oto spełnia się stare proroctwo, że biali przybysze to wysłańcy Wirakoczy, którzy przyniosą Inkom zagładę. Co prawda, raport donosił, że opuścili już brzegi Tawantinsuju, któż jednak mógł zaręczyć, że nie powrócą?

Huayna Kapak pragnął dowiedzieć się prawdy, zwołał przeto do pałacu najznamienitszych

wróźbitów i domagał się od nich ujawnienia przyszłości. Ale wróżba, odczytana z wnętrzości zarżniętej lamy, nie wypadła pomyślnie. Przybyli ponadto kapłani z Cuzco i zawiadomili króla o ukazaniu się na niebie nadprzyrodzonych zjawisk. Oto nad stolicą kondor został napadnięty przez stado sokołów; święty ptak słońca runął poraniony na ziemię i zdechł mimo opieki kapłanów. Gorzej jeszcze: pewnej nocy ukazał się księżyc w krwawej oćmie, co ponoć było nieomylnym znakiem, iż bogini księżycy, matka rodu królewskiego, boleje nad losem swych dzieci.

Król przejął się do tego stopnia złą wróżbą, że zachorował i musiał położyć się do łóżka. Trawiony gorączką, gwałtownie dygotał pod puszystą kołdrą z wełny wiguni. Na całym ciele wystąpiły różowe liszaje, które mnożyły się z godziny na godzinę i w końcu zlały się w jedną plamę. Guślarze, biegli w tajnikach medycyny i magii, doszli do przekonania, że tylko kąpiel morska może królowi przywrócić zdrowie. Znieśli go więc na wybrzeże i moczyli w falach morskich. Na próżno jednak się trudzili, król opadał z sił i dogorywał.

W pałacu w Cello dokoła łoża zgromadziła się liczna rodzina, najwyżsi kapłani i czołowi dostojnicy państwa. U wezglowia czuwali Atahualpa, Huaskar z matką i niektórzy z licznych synów z nałożnicami, którzy cieszyli się względami króla. Ukochana Tozto Palia, niemłoda już kobieta, klęczała przy łóżku i trzymając dłoń królewskiego małżonka zalewała się łzami.

Pod wieczór Huayna Kapak odzyskał przytomność i powiedział:

— Odchodzę, aby żyć w szczęśliwej krainie mego ojca, boga Inti. Kiedyś przez wróżbitów ujawnił mi, że powoła mnie do siebie z wody i tak istotnie się stało. Zgodnie z prawem naznaczam Huaskara waszym królem, ale państwo potrzebuje dzielnego wodza, a jest nim tylko Atahualpa. Oddaję mu rządy w kraju jego matki w Quito, z tym, aby ponadto wiernie służył swemu królowi w razie potrzeby wojennej. Wam, kapłanom i braciom, polecam mego syna Atahualpę, którego kocham; bądźcie posłuszni waszemu królowi Huaskarowi.

O zmroku Huayna Kapak wyzionął ducha. Ciało jego zabalsamowano miodem i wonnymi ziołami, a serce w złotej urnie złożono w Quito. Podczas gdy mumia w całym majestacie królewskiego splendoru siedziała w lektyce pośrodku ogromnej komnaty pałacowej, przez trzy dni i trzy noce odbywały się posępne obrzędy pogrzebowe. Wróżbici i kapłani, w czarnych strojach i maskach, bez końca wykonywali wokoło nieboszczyka tańce magiczne, mające odstraszyć moce nieczyste; wtórowały im ponure i przeciągłe tony konch oraz rozdzierające zawodzenie płaczek.

Ostatniej nocy stawiły się nałożnice, które dobrowolnie pragnęły towarzyszyć królowi w życiu pozagrobowym, aby mu tam służyć dalej, jak to czyniły na ziemi. W komnacie zapalono pochodnie, zabrzmiały konchy i gliniane fujarki. Młode dziewczyny, oszołomione piwem i kokainą, wiodły dokoła mumii żałobne płąsy, wprawiając w ruch tamburyny i podzwaniając przyczepionymi do przegubów dzwoneczkami. Kręciły się i kręciły bez pamięci, aż nieprzytomne padały kolejno na ziemię. Wtedy podchodził do nich kapłan—ofiarnik i dławiąc za szyję odbierał im życie. Zwłoki wiernych nałożnic pochowano na cmentarzu przy świątyni słońca, a mumię królewską zaniesiono w uroczystym pogrzebie do Cuzco, gdzie spoczęła na złotym tronie obok swoich przodków w świątyni Korikancza.

Huaskar został koronowany przez kapłanów jako jedyny władca, zdawałoby się przeto, że w Tawantinsuju nic nie uległo zmianie. Atahualpa zgodnie z wolą ojca otrzymał królestwo Quito jedynie tylko w lenno i musiał swemu przyrodniemu bratu oddawać hołd wasala. Przez pięć lat panowała między braćmi zgoda.

Pokój miał jednakże bardzo niepewne podstawy i nie mógł trwać zbyt długo. Atahualpa był to duch niespokojny, ambitny, zuchwały i chciwy podbojów. W swoim królestwie rządził się samowolnie i ani myślał komukolwiek się podporządkować. Na czele wiernych wojsk często przekraczał północne granice państwa i stale rozszerzał obszary swego panowania, mimo że

Huaskar mu tego zabronił. Starzy wodzowie Kiz Kiz, Czalkuk Czimu i Ruminawi, którzy służyli jego ojcu, namawiali go nawet, aby zawładnął tronem Inków.

Rosnąca potęga wasala budziła w Cuzco głęboki niepokój. Kapłani, którzy i tak uważali Atahualpę za samozwańca i niecnego bękartą, czynili wszystko, co mogli, aby go unicestwić. Kraj został rozdarty nie tylko terytorialnie, ale także politycznie, gdyż do walki stanęły odąd dwa wrogie stronnictwa.

W tym stanie ogólnego napięcia umysłów jedynie tylko Huaskar nie tracił spokoju ducha. Z natury słaby i zniewieściał, oddawał się niefrasobliwie różnym uciechom domowym. Zamiast zająć się nagłymi sprawami państwa wołał całymi dniami przebywać w ogrodach pałacowych i w gronie rodziny zabawiać się popisami tresowanych zwierząt, tancerek, kuglarzy, błaznów i bardów. Rządy sprawowane przez kapłanów miały między innymi ten skutek, że wojsko królewskie prawie nie istniało, i kraj pozostałby bezbronny, gdyby nie zaprawiona w bojach armia Atahualpy.

Niedołężne rządy kapłanów i opieszałość króla pociągnęły za sobą głębokie niezadowolenie w łonie samej rodziny królewskiej. Rychło też wykryto sprzysiężenie bękartów, którzy postanowili usunąć Huaskara i na jego miejsce obrać kogoś bardziej godnego. Krew polalała się obficie, gdyż zwyczajem Inków wymordowano nie tylko samych spiskowców, lecz również ich żony, nałożnice i potomstwo męskie.

Niebezpieczeństwo, które bezpośrednio zawisło nad głową Huaskara, ocknęło go z gnuśnego bezwładu. Za radą kapłanów wysłał do Atahualpy poselstwo z żądaniem, aby przybył do Cuzco i raz jeszcze złożył mu hołd jako jedynemu i najwyższemu władcy, w gruncie rzeczy jednak chciał go podstępnie zwabić do stolicy i uwięzić, aby wreszcie położyć kres rozdwójni państwa.

Atahualpa, sam mistrz nie lada w podobnych fortelach, na wylot przejrzał zamiary przyrodniego brata. Nie dał jednak tego po sobie poznać i przyjął poselstwo z udaną pokorą. Żądaniu przyrzekł się podporządkować, prosił tylko, aby mógł zabrać ze sobą co najwybitniejszych mężów swego lenna w celu przedstawienia ich królowi.

Zaledwie poselstwo Huaskara opuściło pałac, Atahualpa zwołał na naradę sześciuset dowódców swej armii z Kiz Kizem, Czalkukiem Czimu i Ruminawim na czele. Weterani wielu wspólnych wypraw wojennych nie posiadali się z radości na wiadomość, iż syn Huayny Kapaka, którego niejako wychowali u siebie w obozie i nauczyli rzemiosła wojennego, postanowił wziąć się do oręża i zdobyć dla siebie tron Inków.

Urządzono jednak przedwcześnie nie ujawniać uknutych planów, lecz uśpić czujność Huaskara zachowaniem wszelkich pozorów uległości. Atahualpa wysłał zatem gońca do Cuzco z zawiadomieniem, że rusza w drogę, aby wykonać życzenie króla i w wiernopoddańczym hołdzie ucałować kraj jego szaty.

Wkrótce potem udał się w podróż. Lektykę jego otaczało paruset przywódców wojskowych oddanych mu na śmierć i życie. Z pozoru był to pochód ze wszech miar pokojowy. Uczestnicy jego ubrani byli w najparadniejsze stroje, noszone tylko przy wielkich ceremoniach świątecznych. Karawana łam wiozła w koszach w darze dla króla ogromne mnóstwo przedmiotów cudownej roboty, wykonanych przez słynnych z biegłości rzemieślników byłego królestwa Quito; pachołkowie prowadzili na srebrnych łańcuchach oswojone pумы; w klatkach ze złotego drutu wyuczone papugi gadały językiem ludzkim. Całą tę jarmarczną procesję otwierała orkiestra bębnowa, fujarek i konch, wygrywając wesołe i wrzaskliwe melodie.

Huaskar dowiedział się rychło przez szpiegów o pokojowym charakterze pochodu i nie przeczuwając podstępny, czekał spokojnie na przybycie swego przyrodniego brata. Tymczasem towarzysze Atahualpy skrywali pod wspaniałymi płaszczami maczugi bojowe z kolczastymi głowicami, a trzydziestotysięczna armia, podzielona na małe oddziały, spieszyła cichaczem

różnymi drogami i ścieżkami do wyznaczonego celu.

Sześćdziesiąt mil na południe od Quito, pod Ambato, armia Atahualpy wyrosła jak spod ziemi. Stanęły jej naprzeciw stacjonujące tam oddziały królewskie pod dowództwem bliskiego krewnego Huaskara. Walka zawiązała się u stóp potężnego szczytu górskiego Chimborazo i prowadzona była z niezmiernym okrucieństwem. Pod wieczór wojska królewskie załamały się i poszły w rozsypkę. O straszliwej rzezi świadczyło pobojowisko pokryte gęsto trupami oraz rannymi wojownikami, których rżenie i wołanie o pomoc rozlegało się przez całą noc.

Atahualpa zaczął teraz działać z szybkością piorunu. Zanim wiadomość o zdradzie dotarła do stolicy, zjawił się przed bramami miasta Tumbamba⁸⁴ i zażądał jego kapitulacji powołując się na dobrodziejstwa, jakich zaznało ze strony jego ojca. Ale Tumbamba oraz okoliczne plemiona Kanaris stały wiernie przy Huaskarze i chwyciły za broń przeciwko uzurpatorowi. Rozwścieczony Atahualpa przystąpił natychmiast do szturmowania, zrównał miasto z ziemią, a mieszkańców kazał wymordować co do nogi. Kobiety i dzieci szły naprzeciw zwycięzcy z gałązkami zieleni w ręku błagając go o darowanie życia, ale on nie miał litości; kto żywy padał pod ciosami maczug, wszystkie wsie poszły z dymem, tak że po urodzajnym i ludnym kraju pozostały jeno dymiące zgliszcza.

Na wiadomość o straszliwym losie plemienia Kanaris inne miasta i wsie przyjmowały już Atahualpę czołobitnie, w szybkim też czasie dotarł do miasta Cajamarca⁸⁵, gdzie rozłożył się na krótki odpoczynek. Po odbyciu narady wojennej armię wysłał na Cuzco pod dowództwem dwóch wiernych generałów Kiz Kiza i Czalkuka Czimu, sam zaś postanowił pozostać na miejscu, skąd w razie klęski mógł powrócić do Quito i zebrać nowe siły zbrojne.

Cajamarca była to urocza miejscowość słynąca z gorących źródeł siarkowych, gdzie po kolei leczyli się wszyscy królowie Inków. Atahualpa skrócił więc sobie czas niecierpliwego czekania na wynik rozstrzygającej rozprawy pod murami stolicy, zażywając uzdrawiających kąpiel.

Pałac królewski stał na pagórku poza miastem i panował nad uroczą doliną, pełną sadów i eukaliptusów. Pośrodku pałacowego ogrodu błyszczał ocembrowany złotem basen, do którego płynęła rurami gorąca woda źródłana. Codziennie rankiem Atahualpa siadał do lektyki i kazał się wnosić do basenu, gdzie moczył się przez parę godzin. Potem siadał na wzorzystych matach do śniadania, podawanego mu w złotych misach przez ulubione nałożnice. Popołudnia spędzał przeważnie z wróżbitami i z niepokojem słuchał, co wyczytali z układu wnętrzości ofiarnych lam.

Przepowiednie, wypadały raczej korzystnie, chociaż wróżbici ubierali je w tak zawile i wieloznaczne zdania, iż nieraz trudno było dorozumieć się sensu. Pewnego dnia zjawił się z Cuzco słynny kapłan—wróżbita i wezwany przez Atahualpę zgodził się zapytać bogów o jego najbliższą przyszłość. Po dokładnym obejrzeniu wątroby zabitej lamy spochmurniał i w sposób uroczysty oznajmił księciu, że zginie w bliskiej przyszłości gwałtowną śmiercią. Atahualpa powziął natychmiast podejrzenie, że wróżbita jest agentem nasłanym przez kapłanów stolicy po to, by go odstraszyć od dalszej akcji orężnej, zapalał więc tak straszliwym gniewem, że własnoręcznie odrąbał mu głowę.

W Cuzco panowało tymczasem niebywałe zamieszanie. Huaskar nie dbał dotąd o siły zbrojne, toteż musiał teraz pospiesznie formować nowe oddziały powołując pod broń chłopców i rzemieślników, nie obytych z rzemiosłem wojennym. O zatrzymaniu w drodze szybkiego marszu obu generałów Atahualpy nie mogło być mowy, zwłaszcza że prowadzili oni wyćwiczoną armię starych wojowników i sami byli doświadczonymi wodzami.

⁸⁴ Dzisiejsze miasto Cuenca w Ekwadorze, 305 kilometrów na południowy zachód od Quito.

⁸⁵ Czyt. Kachamarka.

Ludzie w otoczeniu króla stracili głowę do tego stopnia, że nie pomyśleli nawet o zburzeniu wiszącego mostu nad rzeką Apurimac. Głęboki kanion o spadzistych ścianach skalnych, w którym przelewał się ryczący nurt rzeczny, byłby stanowił nieprzebytą zagrodę dla najeźdźców, a innej drogi, nie licząc zawieszonych nad przepaściami ścieżyn górskich, właściwie nie było.

Armia Atahualpy przeprawiła się przeto na drugi brzeg rzeki, mimo że warunki po temu nie były korzystne. W silnych porywach wiatru most rozkołysał się jak szalona huśtawka. Wojownicy pochodzący z północnych obszarów państwa, gdzie takich ogromnych mostów wiszących nie budowano, wkraczali na kołyszącą się kładkę z uczuciem wielkiej bojaźni. Niejeden z nich runął z okrzykiem przerażenia w ziejącą otchłan i zatonął w spienionej rzece. Nawet lamy, oswojone z najbardziej karkołomnymi przejściami górskimi, opierały się, jak mogły najdłużej; dopiero popychane od tyłu i szarpane za pyski decydowały się ruszyć przed siebie.

Pod miasteczkiem Cotabamba, prawie u wrót stolicy, doszło do walnej rozprawy. Armia Atahualpy ustawiła się właśnie na płaskowyżu w ordynku bojowym, gdy z parowów wysypało się mrowie uzbrojonej, luzem idącej i rozwrzeszczanej młodzieży wiejskiej. Na widok nieprzyjaciela nowozaciężni, niedoświadczeni i dlatego pełni buńczuczego animuszu, chcieli co żywo rzucić się do walki, chwyтали za proce, włócznie i maczugi, wygrażali pięściami i miotali urągliwie obelgi. Przywódcy ich wydzierali się na całe gardło i biegali na wszystkie strony, aby w tym zamęcie wprowadzić ład i uchwycić niesfornych zapaleńców w karby dyscypliny.

Wojownicy Atahualpy kpili sobie na potęgę z tego bezładu i niedołęstwa, stali jednak jak wryci w ziemię; nie przeszłoby im nawet przez głowę, aby wyłamać się z szeregów i korzystając z zamieszania rzucić się bez rozkazu do walki. A przecież nie sposób było sądzić po nich, że lękają się rozprawy. Byli to zahartowani w bojach wojownicy, biegli we władaniu orężem. Twarze tych zabijaków, spalone w słońcu i poorane bliznami, wyrażały ponurą zawziętość. Nieomal wszyscy posiadali odznaczenia za męstwo w formie miedzianych, srebrnych czy złotych krążków noszonych na plecach, a wielu między nimi miało umalowane na czarno oczy czy to prawe ramię, czy pierś, czy też czoło, co oznaczało, że dany wojownik w walce wręcz zabił jednego, dwóch lub trzech przeciwników.

Stali więc nieruchomo, ponieważ Atahualpa wpoił im karność i bezwzględny posłuch wobec dowódców. Szeregi ich przedstawiały widok nader groźny swą zwartością i jednolitym uzbrojeniem. Głowy wszystkich bojowników chroniły od ciosów drewniane lub trzcinowe hełmy, ozdobione totemicznymi znakami plemienia. Pierś osłaniały grube, stębnowane kaftany z bawełny, wstrzymujące pociski. Małe, okrągłe lub czworokątne tarcze, powleczone skórą tapira, uwidaczały za pomocą barwnych ornamentów oddziały, do których wojownicy należeli. Nad wojskiem sterczały usztywnione chorągiewki poszczególnych dowódców, na samym froncie zaś chorąży potężnego wzrostu piastował drzewce ze złotym emblematem Atahualpy, wyobrażającym pumę.

Jakże odmiennie przedstawiali się obrońcy stolicy! Pospolite ruszenie Huaskara, bo tak należało nazwać to wojsko zwołane w największym pośpiechu, kołowało i wierciło się bez celu, a jeżeli w końcu ustawiło się w jaki taki nieporadny szyk bojowy, to tylko dlatego, że wróg mu w tym nie przeszkadzał.

Dlaczego generałowie Atahualpy nie znieśli od jednego zamachu owej bezkształtnej masy żołnierskiej i tanim kosztem nie przechylili zwycięstwa na swoją stronę? Stało się tak dlatego, że wojna u Inków obwarowana była mnóstwem uświęconych nakazów i reguł, od których nikt by nie śmiał odstąpić.

Bitwa nie mogła rozpocząć się bez uprzedniego złożenia ofiary z lamy i odczytania z jej wnętrzości wróżby. Kapłani obchodzili parę razy kamień ofiarny i błagali bogów o zwycięstwo. Badali też skrupulatnie, czy bitwa w ogóle może się odbyć, gdyż Inkowie walczyli tylko

dwadzieścia dni w miesiącu od chwili pełni księżyca. W okresie pozostałych dni jak też nocy nie odważyliby się chwycić za oręż, gdyż stanowiłoby to w ich mniemaniu obrazę boską grożącą klęską.

Także ich taktyka wojenna ujęta była w rygory nienaruszalnego szablonu. Przed szeregi występowały naprzód procarze i zasypywali się wzajemnie gradem pocisków kamiennych. Następnie zbliżały się do siebie inne zastępy i ciskały włócznie trzymetrowej długości o grotach z kamienia lub brązu. Dopiero po tych przedwstępnych utarczkach zaczynała się właściwa bitwa. Ciężkie kohorty uzbrojone w maczugi podchodziły ku sobie zwartym frontem i wśród nieopisanej wrzawy uderzały z furją. Od tej chwili kończyła się wszelka karność zbiorowa i taktyka wojenna. W zamieszaniu i ścisku wojownicy wyłamywali się z szeregów i walcząc pierś w pierś każdy, na własną rękę zadawali sobie straszliwe ciosy maczugą. Gubiła się tedy wszelka myśl taktyczna, gdyż wodzowie, wchłonięci w odmęt bezładu, tracili panowanie nad wojskiem⁸⁶. Bitwa pod Cotabamba nie mogła przeto odbyć się bez tych przedwstępnych ceremonii, wynikających z nakazów religijnych i uświęconych tradycji wojennych. Gdy wreszcie padła komenda do walnego uderzenia, wyćwiczone wojsko Atahualpy ruszyło z miejsca i szerokim, jak pod sznur wyprostowanym frontem przeszło do ataku. Pochód tych milczących, skupionych w sobie wojowników przedstawiał widok nadzwyczaj groźny.

Wówczas to wydarzyła się rzecz nieoczekiwana, rzecz, która wytrawnych wojowników zaskoczyła i zbiła z tropu, ponieważ tak bardzo odbiegała od uświęconych prawideł wojennych.

Plemiona peruwiańskie od wieków prowadziły ze sobą ustawiczne walki, a wzajemna nienawiść zgoła nie wygasła pod jarzmem Inków. Przeto młode zuchy Huaskara, poznawszy po znakach na hełmach i tarczach swoich dziedzicznych wrogów, zapalali straszliwą chęcią odwetu i mord.

Głusi na rozkazy i złorzeczenia przywódców, z miejsca rozerwali z wielkim trudem uformowane szyki i z nieludzkim rykiem runęli kupą do ataku. Zanim przeciwnik zdołał się spostrzec, spadli nań z takim gwałtownym impetem, że jego szeregi poczęły się chwiać, a nawet tu i ówdzie łamać.

Otrzaskani w wielu bitwach weterani bronili się, jak mogli, lecz oszołomieni i przygniecieni ową nawałą ludzką, padali gęsto trupem. Wbrew wszelkim regułom wojennym nowozaciężni Huaskara obstępowali ich dokoła po kilku na jednego, razili w golenie, a skoro zaatakowani pochyłili się z bólu, miażdżyli im głowy potężnym ciosem maczugi. Wszystko odbywało się tak szybko, że wkrótce bitwa przeobraziła się w krwawą rzeź, w pełne nienawiści dzieło porachunków plemiennych. Wyborne wojsko Atahualpy ogarnął bezmyślny, nieopanowany popłoch. Wodzowie Kiz Kiz i Czalkuk Czimu w ostatniej chwili uratowali sytuację dając hasło do odwrotu i wyprowadzając poturbowane oddziały do pobliskiego parowu, którego wąskie przejście łatwo można było obronić.

Wiadomość o zwycięstwie dotarła do Cuzco i nazajutrz rano zjawił się na pobojuwisku sam Huaskar. Wśród młodych żołnierzy panowała wciąż jeszcze taka radość, że nikt nie pomyślał o tym, by nieprzyjaciela mieć na oku i skoro świt wydusić go w pułapce parowu. Toteż uczynił się gwałt niezwykły, gdy okazało się, że armia Atahualpy wraz ze strażą, postawioną przy wąskiej gardzieli, zniknęła bez śladu, jakby się zapadła w ziemię. Nie czekając na rozkazy, żołnierze bezładnie rzucili się w pościg i nawet Huaskar kazał się nieść ich śladem. Niebawem w parowie uczyniło się niezmiernie ciasno, tak że stłoczona cizba z trudem tylko posuwała się naprzód.

W pewnej chwili, gdy już lektyka Huaskara pokazała się w gardzieli górskiej, na obu

⁸⁶ Konkwistadorzy hiszpańscy szybko poznali zwyczaje wojenne Inków i zrećźnie je wyzyskując odnosili w Peru łatwe zwycięstwa.

zbozaczach wyskoczyli spoza załomów wojownicy Atahualpy. Jak sępy rzucili się na ściśniętą w tłoku i pozbawioną kierownictwa masę ludzką, rozdawali razy na prawo i lewo i dokonywali takiej rzezi, że rychło potworzyły się szańce trupów. Niedawni zwycięzcy podnieśli ogromny krzyk przerażenia, miotali się w górskiej matni jak obłąkani i rwali jeden przez drugiego do wyjścia, aby uratować życie.

W potwornym zamęcie bitewnym lektyka królewska rozkołysała się jak gdyby na wzburzonych falach morskich. Huaskar pozostał sam ze swymi nosicielami, gdyż jego straż przyboczna została zepchnięta i porwana przez uciekających żołnierzy. Kiz Kiz spostrzegł lektykę z daleka, przerąbał się przez nieprzyjacielski motłoch i wziął króla do niewoli. Gdy resztki rozgromionego wojska zniknęły za górami, wygasła pierwsza i jedyna wojna domowa o złoty tron Inków.

W Cuzco podniósł się niebywały lament, obawiano się bowiem, że armia Atahualpy splądruje miasto i wymorduje jego mieszkańców. Ale wodzowie Kiz Kiz i Czalkuk Czimu byli mężami rozsądnymi, uprzedzili więc stolicę, że nie zamierzają wyrzucić na niej zemsty. Po jej zajęciu skazali na śmierć tylko trzech wodzów i dwóch kapłanów, którzy byli największymi wrogami Atahualpy, a innych, mniej ważnych powierników króla, kazali wychłostać publicznie na placu. Egzekucji musiał się przyglądać Huaskar. Kiedy stał pod silną strażą, patrząc biernie na sromotny los swoich najbliższych doradców, podbiegła doń matka i na znak wzgardy spoliczkowała go na oczach poddanych. To niesłychane w dziejach Inków sponiewieranie boskiego słońca sprawiło takie wrażenie, jakby krajem wstrząsnęło wielkie trzęsienie ziemi.

Niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie Atahualpa zarządził uroczystości koronacyjne i założył na głowę czerwoną opaskę z dwoma piórami świętego ptaka kurakenke. Na dworze panowało przez kilka dni radosne podniecenie, gdyż wierni stronnicy zwycięzcy spodziewali się teraz nagród w postaci stanowisk i honorów.

Atahualpa nie czuł się jednak pewny u szczytu władzy, był przecież tylko bękartem. Tymczasem żył jeszcze Huaskar, żyło mnóstwo innych członków domu królewskiego mających z tytułu urodzenia większe prawo do tronu, istniało potężne, wrogie mu stronnictwo Inków i kapłanów. Należało jednych zniszczyć, a innych zastraszyć, aby nigdy nie ośmielili się podnieść głowy.

Wysłał przeto do Cuzco rozkaz, który świadczył o jego okrucieństwie i braku skrupułów, a który nawet jego wiernych, gotowych na wszystko wodzów przejął zgrozą. Według tego rozkazu, co prawda, Huaskara tylko uwięziono jako zakładnika, aby trzymać w szachu ukrytych wrogów, wymordowano jednak całą jego bliższą rodzinę.

Była to krwawa masakra, której nieszczęsny król musiał na domiar złego przyglądać się osobiście. Żonę, nałożnice, które były w ciąży, nawet wujów, ciotki i dzieci rozbastwione żołdactwo poddawało wymyślnym torturom, ćwiartowało i wrzucało do rzeki.

Tymczasem Atahualpa przygotowywał się w Cajamarce do podróży, aby urządzić triumfalny wjazd do stolicy. Czynił to jednak w nastroju ponurym, gdyż zewsząd nadbiegali gońcy przynosząc hiobowe wiadomości o buntach, jakie wybuchły w wielu okolicach wielkiego państwa. Gdy w końcu z Tumbes nadeszła wieść, że wylądowali tam biali ludzie, postanowił zaniechać podróży do Cuzco i czekać w Cajamarce na dalszy bieg wypadków. Była to wiosna 1532 roku.

Część III. PODBÓJ

KREW I SZMARAGDY

Pizarro i Almagro przystąpili natychmiast do przygotowania nowej wyprawy. Karawele, sprowadzone z Hiszpanii i zakotwiczone w atlantyckim porcie Nombre de Dios, odstąpili prywatnym armatorom, a za uzyskane tą drogą środki pieniężne kazali wybudować trzy statki w Panamie.

Mniej sprawnie poszła im akcja werbunkowa; panamczycy wciąż jeszcze odnosili się z uprzedzeniem do wszelkich wypraw na południe, skąd wielu ich znajomych nie powróciło. Stało więc na tym, że Almagro pozostanie w Panamie, by zająć się dalszym zakupem broni i werbowaniem ludzi, natomiast Pizarro wyruszy w drogę. Jego korpus ekspedycyjny liczył wszystkiego 180 pieszych i 27 konnych, był jednak wyposażony w doskonały sprzęt wojenny, nabyty jeszcze w Hiszpanii. Towarzyszyli mu wszyscy jego bracia przyrodni, ponadto skarbnik królewski Riquelme, mający pilnować danin na rzecz Korony, garstka zakonników, no i oczywiście nieodstępny Felipillo.

W styczniu 1532 roku została odprawiona msza święta za pomyślność wyprawy. Kapelan ekspedycji, dominikanin Vincente Valverde, ogłosił świętą wojnę krzyżową przeciwko pogańskim mieszkańcom królestwa Tawantinsuju. Uczestnicy wyprawy przystąpili do komunii i złożyli uroczyste ślubowanie, że gotowi są poświęcić życie dla wiary i cesarza.

Pizarro zamierzał pożeglować wprost do miasta Tumbez, musiał jednak borykać się z przeciwnymi wiatrami i wysoką falą. Przeto po trzynastu dniach trudnej żeglugi wylądował w Zatoce św. Mikołaja, w odległości jednego stopnia geograficznego na północ od równika.

Dalszą drogę postanowił odbyć lądem i polecił karawelom, aby płynęły powoli wzdłuż brzegu, nie tracąc z oczu ekspedycji. Ale marsz okazał się nad wyraz uciążliwy. Przez cały czas prażyło niemiłosiernie słońce, szlak pochodu przecinały często mokradła i wezbrane od deszczu rzeki; ujścia ich zamieniły się w ogromne rozlewiska, które trzeba było obchodzić nadrabiając drogi.

Posuwając się w kierunku południowym, konkwistadorzy napadali na wsie i miasteczka zdobywając żywność i takie mnóstwo złota, że już wtedy byliby mogli wrócić do Panamy zamożnymi ludźmi.

Pizarro pozwolił im mordować, gwałcić, łupić i zamieniać kraj w perzynę, ponieważ dowiedział się, że plemiona mieszkające na północ od Tumbez nie dały się podbić przez Inków. Sądził więc, że w ten sposób nie tylko nie narazi się Inkom, lecz przeciwnie, zyska sobie ich przychyłność.

Pewnego dnia Hiszpanie stanęli przed miasteczkiem, które, jak się dowiedzieli od jeńca, nazywało się Coace⁸⁷ i słynęło z tego, że leżało w okolicy obfitującej w szmaragdy. Hiszpanie rzucili się natychmiast do natarcia, zastali jednak domy i ulice wyludnione, gdyż mieszkańcy zdążyli umknąć w głąb łądu. Musiało się to jednak stać w ostatniej chwili, gdyż nie zdążyli zabrać swego dobytku.

Buszując po domach rozwydrzone i żądne łupów żołdactwo nie posiadało się z radości na widok kroci złotych przedmiotów i szmaragdów, jakie wpadły im w ręce. Pizarro kazał cały łup zgromadzić w jedną stertę, aby dokonać podziału. Po odłożeniu piątej części dla króla

⁸⁷ Cyt. Koake.

hiszpańskiego, obdzielił oficerów i żołnierzy według ich zasług i rangi, resztę zaś odesłał do Panamy na opędzenie kosztów związanych z werbowaniem posiłków i zakupem potrzebnego na wyprawę rymsztunku. W liście do współników pisał: „Dzięki łaskawości Najwyższego natknęliśmy się na miasto Coace, aby ludzie w Panamie uwierzyli w zamożność tego kraju i zaciągnęli się pod nasze znaki”.

Zdobyte bogactwa przyprawiły żołnierzy o zawrót głowy. Byli to kondotierzy, którzy włóczyli się kiedyś po Europie z wojskiem Karola V, bądź chłopci z nędznych wsi andaluzyjskich, gdzie nie dojadali, bądź też rozmaici hultaje i filuci z bruku panamskiego — słowem, hałastra drapichrustów, zabijaków, gębaczy i obwiesiów, równie wesoła i wrzaskliwa, co zuchwała i skora do wszelkich łotrowskich wybryków.

Zaraz po otrzymaniu przydziału złota i szmaragdów żołnierze zabrali się do gry w kostki i hazard szedł na całego. Splądrowana wioska stała się istną szulernią. Dzień i noc rozbrzmiewały po chałupach śpiewy, sprośne żarty, naigrawania, kłótnie i rechot podochoconych winem kompanów. Ci, co zgrali się do nitki miotali najstraszliwsze przekleństwa i upijali się do nieprzytomności z rozpaczy. Nieposkromiona chciwość ogarnęła nawet oficerów, tak że Pizarro prawie sam jeden musiał pilnować, aby wojsko nie rozprzęgło mu się do reszty.

Ów zamęt nabrzmiały ludzką namiętnością trwał kilka dni. Od czasu do czasu wybuchały gwałtowne bójkі, które trzeba było likwidować brutalną siłą. Żołnierzom dzień i noc dymiło się z głowy, tak że o dalszym marszu nie można było myśleć. Wśród suchego grzechotu kostek z rąk do rąk przechodziły ogromne majątki, z godziny na godzinę ludzie stawali się albo bogaczami, albo nędzarzami.

Pewnego dnia przechadzał się między graczami dominikanin Reginaldo de Pedraza. Był to mnich opasły i ogromnego wzrostu. Na jego apoplektycznej, pyzatej twarzy rozlewał się dobroduszny uśmiech; spomiędzy tłustych fałd wyzierały małe, chytne oczy, patrzące z szelmowskim humorem.

Mnich stanął koło grupki zuchów, którzy siedzieli na macie indiańskiej i z zapamiętałymi gębami rzucali kostki. Każdy miał obok siebie woreczek, z którego raz po raz dobywał zielony kamyczek i dołączał do wspólnej stawki.

— Dzieci kochane — odezwał się ni stąd, ni zowąd — ile wy się namęczycie dla tych szkielek.

— Dla szkielek, wielebny ojcze? Szmaragdy to szkieleka? — zawołał zgorszony brodac.

— A skąd macie pewność, że to szmaragdy? — zapytał mnich z niewinną miną.

— Co też wielebny ojciec gada, przecież to herezja! — krzyknęli gracze zgodnym chórem.

— A ja wam powiadam, że nic nie wiecie. Idę o zakład, że nawet nie sprawdzaliście, czy to szmaragdy.

Żołnierze, uderzeni tą myślą jak obuchem, rozdziawili gęby i nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Wreszcie jeden zagadnął ojca Pedrazę:

— No dobrze, ale jak to sprawdzić?

— Ha, nie ma nic prostszego na świecie. Połóż no ten oto rzekomy szmaragd na czymś twardym, weź kamień i łupnij, ale z całej siły. Prawdziwy szmaragd nie da się rozbić, a szkieleko rozleci się w kawałki. Jak mnie tu widzicie, to szczerą prawdą.

Żołnierz wziął do żyłastego łapska sążnisty głaz i zamachnął się, aż jęknął. Zielony kamyczek rozłupał się na drobne. Gracze byli wstrząśnięci. Ogarnęło ich uczucie rozczarowania i krzywdy. Skarby okazały się bezwartościowym śmieciem. Ogarnięci wściekłością zaczęli wywracać trzosi i wysypywać kamienie na ziemię. Ojciec Pedraza spojrział na ich markotne miny i ryknął takim niepohamowanym śmiechem, że w końcu dostał kolki i musiał pójść położyć się do swojej kwatery.

Hiobowa wieść o szmaragdach gruchnęła po całej wsi. Żołnierze przeklinali Bogu ducha winnych Indian za to, że rzekomo wystrychnęli ich na dudków, i odrzucali z pogardą zielone kamienie. Ponieważ jednak posiadali jeszcze złoto, szybko się pocieszyli i na nowo zasiedli do hazardu.

Nazajutrz o świcie, kiedy żołnierze znużeni nocną hulanką pogrążeni byli jeszcze w głębokim śnie, ojciec Pedraza wymknął się z chałupy. Rozglądając się ostrożnie, pozbiierał porzucone szmaragdy i nabił sobie nimi kieszeń ukrytą w fałdach białego habitu.

— Ot, poszedłem sobie na zielone grzybki — roześmiał się pod nosem i wrócił do swojej kwatery.

Pizarro odesłał do Panamy wszystkie trzy karawele i nie spieszył się z wyruszeniem w dalszą drogę, wolał bowiem czekać na miejscu, aż nadejdą świeże posiłki i prowiant. Przedłużający się pobyt w Coace przypadł zresztą do smaku żołnierzom; urodzajna i bogata w złoto okolica dostarczała im obfitych łupów i żywności. Po prostu żyli sobie tam jak u Pana Boga za piecem.

Dobre czasy nie trwały jednak długo, do wsi zakradła się jakaś zaraza. Żołnierze nabawiali się na całym ciele bolesnych, ropiejących wrzodów, paru mniej odpornych nawet umarło.

Powstał teraz lament i gwałt, aby zapowietrzoną okolicę niezwłocznie opuścić, a Pizarro, sam zatrwożony epidemią, wydał rozkaz wymarszu na południe.

Droga wypadła im teraz przez pustynię. Wichry i tumany pyłu oślepiały wędrowców, ludzie i konie grzęzli w sydkich piaskach, słońce padało pionowo na pancerze i kaftany, ludzie mdleli z upału i wycieńczenia. Krajowcy uciekali na oślep przed siebie, bo już rozniosła się wiadomość, że straszliwi cudzoziemcy mordują, rabują, władają piorunami i są przyrośnięci do wielkich lam, które mkną szybciej niż wichry pustynny. Los wielkiej osady Coace i innych wsi pouczył ich, że biali to okrutni napastnicy, a nie wysłańcy boga Wirakoczy.

Kiedyś Hiszpanie natknęli się na wielką wieś indiańską. Zastali tam tylko paru starców i dowiedzieli się od nich, że wieś należy do plemienia, które oddaje cześć boską rekinom i piżmowej śwince peccan. Dziwniejsze jeszcze były zwyczaje pogrzebowe tego ludu. Wieś otaczały okrągłe domki z suszonej na słońcu gliny, przykryte palmowymi strzechami. Były to zbiorowe grobowce, bodaj że najbardziej niesamowite grobowce na świecie. Z pułapu zwisały jak kukły ciała zmarłych mieszkańców wioski; po wyjęciu wnętrzości i szkieletu skórę ludzką wędzono na ogniu i wypełniono suszonymi liśćmi. Kadłuby miały na sobie głowy wyciosane z drzewa, natomiast prawdziwe głowy nieboszczyków stały uszeregowane wzdłuż ścian na drewnianych półkach, zasuszone do miniaturowych rozmiarów w tak umiejętny sposób, że można było rozeznąć indywidualne rysy twarzy.

Pizarro dotarł w końcu do zatoki Guayaquil, nad którą rozłożyło się miasto Tumbez. Swego czasu został tam przyjęty gościnnie, teraz jednak spotkała go przykra niespodzianka. Mieszkańcy odnieśli się do niego wrogo i nie zdradzali najmniejszej chęci wpuszczenia go do miasta bez oporu. Na zmianę ich postawy wpłynęła przede wszystkim wieść o mordach i grabieżach, jakich dopuszczali się Hiszpanie podczas pochodu na południe. Mieszkańcy Tumbez przestali się ludzić, że dawni ich goście są ludźmi dobrej woli.

W gruncie rzeczy jednak obawiali się zemsty konkwistadorów. Gdy bowiem zapytano ich o Alonsa de Molinę i jego towarzyszy, którzy osiedlili się w Tumbez w czasie poprzedniej ekspedycji, okazało się, że Hiszpanie przepadli bez wieści. Cóż mogli się im przydarzyć?

Chcąc dociec prawdy, Pizarro wysłał patrol konny, który wtargnął do miasta i przyprowadził kilku jeńców, między innymi miejscowego naczelnika Czillimasa. Był to opasły mężczyzna, ubrany w bogate, obszyte złotem i klejnotami szaty. Indagowany w tej sprawie, drżał i jękał się ze strachu; Felipillo miał wiele kłopotu z przetłumaczeniem jego zeznań na język hiszpański. Wynikało z nich, że Tumbez leży w ruinie, zubożałe doszczętnie. Zburzył je król Huayna Kapak

tlumiąc powstanie, jakie wybuchło niedawno na obszarach podbitego królestwa Chimu. Od tego czasu miasto nie podniosło się z upadku, a Hiszpanie musieli pożegnać się z nadzieją zdobycia bogatych łupów.

Co do Moliny i jego towarzyszy, to nie sposób było dowiedzieć się czegoś pewnego. Krajowcy, wzięci na spytki, plątali się w zeznaniach i podawali sprzeczne ze sobą wersje. Jedni utrzymywali, że padli ofiarą zarazy, która wybuchła w czasie powstania, drudzy, że poległ w wojnie z mieszkańcami wyspy Puna, inni jeszcze, że po pijanemu dokonali gwałtu na „dziewicach słońca”, za co zostali powieszni przy bramie klasztoru. Znając Molinę Pizarro podejrzewał, że ostatnia wersja jest najprawdopodobniejsza — wolał jednak całą sprawę puścić w niepamięć, gdyż nie chciał wszczynać otwartej wojny z mieszkańcami Tumbes.

Nie ufając im, wkroczył na razie do miasta. Jako bazę operacyjną wybrał sobie natomiast wyspę Punę, chociaż Felipillo ostrzegał go przed tamtejszymi mieszkańcami.

Wyspa leżała w odległości paru kilometrów od lądu, postanowił więc niezwłocznie przeprowadzić tam swoje wojsko na zarekwirowanych tratwach. Ledwie pierwsza tratwa przybiła do brzegu, z pobliskiego lasu wyskoczyła pędem horda dzikusów i w gwałtownej utarczce zabiła trzech Hiszpanów. Załoga drugiej tratwy, także zaatakowana przez wyspiarzy, nie dała się zaskoczyć i obroniła się.

Zgiełk bitewny usłyszał Hernando Pizarro, który właśnie wyszedł na ląd z trzeciej tratwy z małym oddziałem konnicy. Natychmiast rzucił się towarzyszom na pomoc i uderzył z flanki na wroga. Przerażeni widokiem cwałujących koni wyspiarze podnieśli ogromny krzyk przerażenia i w popłochu uciekli do lasu.

Gdy już całe wojsko zgromadziło się na brzegu, pojawiło się nagle poselstwo krajowców z samym kacykiem wyspy na czele. Byli to dzikusy, ubrani jedynie w skąpe opaski biodrowe, uzbrojeni w ciężkie maczugi, proce i dzidy. Na głowach mieli hełmy z wydrążonej dyni, tak komiczne, że konkwistadorzy brali się za boki ze śmiechu. Pizarro zgromił ich gniewnym wzrokiem i z powagą wysłuchał słów kacyka.

Kacyk przede wszystkim zapewniał, że napaść odbyła się bez jego wiedzy, że winnych ukarze śmiercią i że pragnie być przyjacielem białych przybyszów. Ofiarował ponadto Hiszpanom całą wioskę na kwatery i przyrzekł regularną dostawę żywności. Pizarro przyjął propozycję uprzejmie, miał się jednak na baczności i rozstawił naokoło obozu gęste strażę.

Puna była wyspą urodzajną. Co prawda część jej obszaru pokrywała dzika dżungla, ale liczne plantacje kukurydzy i kakao, pola pełne warzyw i sady obwieszane soczystymi owocami zapewniały Hiszpanom dostateczną ilość pożywienia. Pizarro postanowił przeto czekać tam na posiłki, które miały nadejść z Panamy.

Przedłużający się pobyt białych wojowników nie był jednak w smak wyspiarzom. Nie podobało im się również to, że Pizarro prowadził jakieś ożywione rozmowy z mieszkańcami Tumbes, ich dziedzicznymi wrogami. Do obozu przybywały nie tylko poselstwa ze zniechęconego miasta, lecz również prywatni ludzie. Ufni w opiekę Hiszpanów kręcili się oni beztrząsco po wyspie niemal pod nosem swoich wrogów.

Wkrótce też zaczęły dochodzić do obozu głuche wieści o spisku, jaki wyspiarze ponoć knuli przeciwko Hiszpanom. Pizarrowi było to właściwie na rękę, gdyż wypowiadając Punie wojnę mógł zaskarbić sobie wdzięczność i przyjaźń Tumbes. A o tę przyjaźń bardzo teraz zabiegał, gdyż w ich mieście pragnął założyć bazę dla wypadu w głąb państwa Tawantinsuju.

Jakoż niebawem nadarzyła się sposobność do zbrojnego wystąpienia. Felipillo dowiedział się, że wszyscy naczelnicy wyspy zgromadzili się w jednej ze wsi na jakąś tajemniczą naradę. Pizarro otoczył wieś swoim wojskiem, zagarnął ich do niewoli i zarzucając im zdradę wydał w ręce dziedzicznych wrogów. Równało się to wyrokowi śmierci. W odwet za napaści na swoje miasto

mieszkańcy Tumbez w straszliwej masakrze wymordowali naczelników co do nogi.

Oburzona ludność wyspy powstała natychmiast do walki. Roje Indian otoczyły obóz Hiszpanów i żadne odwetu rzuciły się do szturm. Beładną masę wyjących wojowników Hiszpanie przywitani gęstym ogniem z kusz i arkebuzów. Gdy w dodatku Pizarro poprowadził na nich szarżę konnicy, Indianie ogarnięci zgrozą pierzchli na wszystkie strony w beładnej ucieczce przed nieznanymi stworami.

Odtąd unikali otwartej walki, nie dali jednak za wygraną. Pod osłoną nocy nękali najeźdźców partyzantką, odcinali im drogi do prowiantu i w ogóle trzymali ich ustawicznie w stanie alarmu. Hiszpanie ponieśli w tych utarczkach poważne straty, mieli bowiem trzech zabitych i sporo rannych. Sam Pizarro, ranny w pięcie, kuśtykał o kiju.

Stopniowo stawało się jasne, dlaczego mieszkańcy Tumbez nie mogli dać sobie rady z wyspiarzami: pod względem wojowniczości nie dorównywało im żadne plemię peruwiańskie, nie wyłączając najdzikszych Indian dżungli. Toteż Pizarro, chcąc uniknąć większych jeszcze strat, postanowił wrócić na stały ląd i usadowić się w Tumbez, choćby nawet wbrew woli jego mieszkańców.

Wtedy właśnie spotkała go wielka radość: do brzegu wyspy przybiły dwie karawele. Przywiozły one z Panamy świeży prowiant, lekarstwa, kilkanaście koni dla kawalerii i stu dobrze wyposażonych żołnierzy pod dowództwem świetnego rycerza Hernanda de Soto. Ze wzmocnionymi siłami Pizarro mógł nie tylko bez obawy przenieść się na ląd, lecz nawet pomyśleć na serio o marszu w głąb królestwa Tawantinsuju.

W dodatku Felipillo dowiedział się od swoich ziomków, że w państwie Inków wybuchła wojna domowa: Atahualpa i Huaskar przystąpili do bratobójczej walki o tron królewski. Pizarro zrozumiał natychmiast, że musi działać bez zwłoki, aby wyciągnąć z zamętu wszystkie możliwe korzyści. Wydał przeto rozkaz zaokrętowania całego wojska na karawele i przeprawił się do Tumbez.

DROGA GWAŁTÓW I ZBRODNI

Miasto Tumbez zajął Pizarro bez oporu, ale — jak wnet się przekonał — niewielka to była pociecha. Po ostatnim powstaniu przeciwko Inkom pozostały tam tylko same ruiny i resztki ludności klepiącej biedę; większość mieszkańców w poszukiwaniu chleba rozproszyła się po okolicznym kraju. W pałacach i świątyniach nie znalazł żadnych skarbów i tylko miejscowy kuraka, sprawujący rządy z ramienia Inków, otoczony był niejakim zbytkiem. Załoga wojowników, przydana mu do pomocy, na widok zbliżających się Hiszpanów natychmiast wycofała się z miasta.

Ledwie Pizarro rozmieścił swoje wojsko po domach, stanęła przed nim grupka zdrożonych podróżą wojowników indiańskich. Po okazałych strojach i złotym orężu nietrudno było poznać, że są to wodzowie wysokiej rangi.

Pizarro przyjął ich wyniośle, a oni bili przed nim pokłony i prosili o posłuchanie w imieniu króla Huaskara. Za pośrednictwem Felipilla, który z butną miną stanął przy boku swego wodza, kierownik poselstwa odezwał się głosem błagalnym:

— Boski synu Wirakoczy, przychodzimy błagać cię o sprawiedliwość. Pospiesz z pomocą synowi słońca Huaskarowi, którego uwięził zbrodniczy bękart Atahualpa! Król nasz słyszał, że upodobaliście sobie ponad wszystko złoto i srebro, przyrzeka więc wam go tyle, ile tylko udźwignąć zdołacie.

— Nie przyszliśmy tu po złoto — obruszył się Pizarro. — Zadaniem naszym jest ustanowić w

tym kraju zwierzchnictwo władcy świata, którego jesteśmy wysłańcami, oraz zaszczyć w wasze ciemne dusze wiarę w ukrzyżowanego Boga.

Dostojnicy indiańscy stropili się tym oświadczeniem i nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Wobec tego Pizarro mówił dalej:

— Widzę, że nie zrozumieliście, jakie dobrodziejstwa wam przynosimy. Czekają was bowiem zaszczyt zostania poddanyymi najpotężniejszego na świecie monarchy i synami Chrystusowego Kościoła. Lecz jest to sprawa przyszłości, na którą musicie zasłużyć sobie pracą i pokorą. Na razie przyrzekam wam, że udam się niezwłocznie do waszej stolicy, aby rozejrzeć się w waszych sporach i sprawiedliwie rozsądzić zatarg o tron królewski.

Pomimo butnej i wymijającej odpowiedzi Pizarra posłowie opuścili miasto w przekonaniu, że biały wódz pomoże Huaskarowi w odzyskaniu tronu, i z tą wiadomością pospieszyli do Cuzco.

W rozmowie z poselstwem Pizarro zachował pozory spokoju i powagi, ale w cichości rozsądzała go wielka radość. Cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności przybyć właśnie w chwili, kiedy kraj, rozdarty i osłabiony wojną domową, nie jest zdolny się bronić! Pizarro postanowił nie zwlekać i kuć żelazo, póki gorące. Już po trzech dniach pobytu w Tumbez wyruszył w drogę na południe, pozostawiając w mieście małą załogę i powierzając jej opiekę nad chorymi towarzyszami.

Szosa, którą maszerowali wzdłuż Pacyfiku, wprawiła Hiszpanów w najwyższy zachwyt. Był to brukowany, czysto utrzymany gościniec szerokości pięciu metrów. Zamykał go po obu stronach kamienny mur wysokości mężczyzny, wzniesiony prawdopodobnie dla ochrony przed wiatrami i tumanami piasku. Szpalery drzew, uginające się pod ciężarem różnorodnych owoców, ścieliły na drodze kojący cień. W listowiu gaworzyły wesoło barwne ptaki. Po prawej stronie połyskiwała tafla błękitnego morza, po lewej zaś uśmiechały się w słońcu sady, pola warzywne i soczyste łąki, na których wypasały się stada lam, a daleko, hen na krańcach widnokregu, piętrzył się łańcuch Andów. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było krzyżujące się kanały i kanaliki, murowane cysterny z wodą, śluzy, uregulowane rzeczki, sadyby, wioski i miasteczka z świątynią na szczycie piramidy. Spotykani po drodze krajowcy przyjmowali białych wędrowców przyjaźnie i chętnie zaopatrywali ich w żywność ze spichrzów królewskich.

W dolinie Tangarella, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na południe od Tumbez, Pizarro zatrzymał się na dłuższy postój. Płynęła tam do morza rzeczka Chira⁸⁸. Ujście jej nadawało się wyśmienicie na przystań dla karawel, postanowił więc założyć tam miasto warowne San Miguel, które miało służyć mu za bazę dla gromadzenia zaopatrzenia i posiłków nadchodzących drogą morską z Panamy.

Miasto założył z zachowaniem wszelkich formalności przepisanych prawem. Przy dźwiękach trąb notariusz królewski odczytał akt fundacyjny. Wybrano burmistrza i rajców, którzy natychmiast przystąpili do wzniesienia ratusza, kościoła, domów mieszkalnych i obronnego częstokołu.

Wymagało to jednak rąk do pracy. Na posiedzeniach magistratu toczyła się dyskusja, w jaki sposób je zdobyć. Stało się jasne, że koloniści nie mogli obyć się bez pomocy Indian. Zgodzono się przeto jednomyślnie, że należy wprowadzić instytucję „repartimento”, stosowaną szeroko w innych koloniach hiszpańskich. Polegała ona na tym, że na rzecz kolonistów zabierano tytułem lenna ziemie uprawne tubylcom i przywiązywano ich do niej jako pańszczyźnianych chłopów. Wśród konkwistadorów znaleźli się ludzie, którzy mieli pod tym względem poważne skrupuły, ale wytłumaczono im, że repartimento jest instytucją dla Indian dobroczynną, gdyż ułatwi im przyjęcie prawdziwej wiary i przyczyni się w ten sposób do zbawienia ich duszy.

⁸⁸ Czyt. Czira.

Hiszpanie zabrali się do wykonania uchwały z brutalną bezwzględnością. Zaskoczonych Indian wyzuwali z ziemi, zapędzali do pracy na roli, zmuszali do rąbania drzewa i przetaczania budulca z kamieniołomów, a ponieważ wielu ratowało się ucieczką, zakuli pozostałych w łańcuchy i obchodzili się z nimi jak z galernikami. Trzynastu naczelników okolicznych wsi, którzy stawiali zacięty opór, Pizarro kazał spalić na stosie. W ten sposób powstało warowne miasto San Miguel, wzniesione potem i krwią ujarzmionych Indian.

W pięć miesięcy po założeniu miasta Pizarro ruszył na południe, aby odszukać króla Atahualpę. Przez cały ten czas czekał na posiłki, jakie powinien był przywieźć Almagro z Panamy, w końcu jednak doszedł do przekonania, że dalsze bezczynne czekanie mogłoby zdemoralizować jego wojsko. Było to postanowienie niezwykle zuchwałe, gdyż po odliczeniu załogi pozostawionej w San Miguel korpus liczył tylko 110 pieszych i 67 konnych. Uzbrojenie składało się głównie z rapierów oraz z paru kusz, trzech arkebuzów i trzech małych dział strzelających pociskami kamiennymi. Z tymi słabymi siłami Pizarro szedł przeciw potężnej armii króla Inków.

W miarę posuwania się na południe w wojsku rosło stopniowo niezadowolenie. Żołnierze sarkali twierdząc, że wyprawa jest szaleństwem i samobójstwem. Zdarzały się nawet wypadki dezercji. Pizarro stracił wreszcie cierpliwość i zwrócił się do żołnierzy z następującym przemówieniem:

— Dla tych, co nie są z nami z własnej, nieprzymuszonej woli lub też nie wierzą w nasze zwycięstwo, nie jest za późno, by się wycofać. San Miguel ma zbyt słabą załogę i byłoby mi nawet na rękę, gdyby tam wrócili. Tych, którzy się na to zdecydują, zapewniam, że będą mieli takie same prawa do ziemi i niewolników indiańskich, co inni żołnierze. Nie będę brał im za złe, że się wycofali, gdyż wyprawa istotnie jest niebezpieczna. Natomiast od reszty będę wymagał, by wytrzymała przy mnie do końca bez żadnych zastrzeżeń. Od tej chwili będę surowo karał tych, co ośmielią się szerzyć nastroje paniki i zwątpienia. A więc wybierajcie!

Do powrotu zgłosiło się czterech piechurów i pięciu konnych, natomiast większość przyrzekła, że stać będzie przy wodzu w szczęściu i nieszczęściu. Pozbywszy się w ten sposób malkontentów, którzy osłabiali spoistość moralną wojska, Pizarro dał rozkaz do dalszego marszu.

W dwa dni po tym wydarzeniu Hiszpanie wkroczyli do Serranu, sporego miasta położonego malowniczo wśród pagórków w żyznej dolinie. Nad domami wznosiła się sylwetka potężnej warowni skalnej i piramida ze świątynią słońca na wierzchołku. Miejscowy kuraka powitał Pizarra czołobitnie i przydzielił mu na kwatery zajazd królewski wraz z przyległymi spichrzami pełnymi żywności. Miasto było ogołocone z młodych mężczyzn; Atahualpa przeprowadził w nim zaciąg do wojska z taką dokładnością, że w domach pozostały tylko kobiety, dzieci i starcy.

Uwagę Pizarra zajęła poprzeczna droga, która pięła się w górę ku wschodowi i jak się dowiedział, w mieście Huancabamba wiązała trakt nadbrzeżny z drugim głównym gościńcem, biegnącym przełęczami górskimi od Quito do Cuzco. Dowiedział się też od wywiadowców, że w miejscowości Cajas⁸⁹, na pół drogi do Huancabamba, stacjonuje dwutysięczna armia Inków, która w razie dalszego marszu na południe mogłaby zagrozić mu tyły.

Chcąc sprawdzić wiadomość, wysłał na zwiady Hernanda de Soto z czterdziestoma konnymi i czekał na jego powrót w Serranie. Ale cierpliwość jego wystawiona była na ciężką próbę: dzień po dniu upływał bez wieści i dopiero ósmego dnia de Soto powrócił do Serranu.

Droga, którą oddział zwiadowczy zdążył do Cajas, okazała się nader uciążliwa, wspinała się bowiem gwałtownie ku wyżynom górskim i w pewnym miejscu zwężyła się do ścieżki wijącej się karkołomnie nad łożyskiem rzeki Tabacanas. Miasteczko, a raczej duża wieś leżała w kotlinie,

⁸⁹ Czyt. Kahas.

która mogła być wymarzoną pułapką dla niepożądanych intruzów. Na domiar złego czekała tam na nich w pogotowiu bojowym dwutysięczna armia wojowników indiańskich.

Przekonany, że nadeszła chwila pierwszego starcia z regularnym wojskiem Atahualpy, de Soto dał rozkaz trębaczowi, by zagrał pobudkę i jazda hiszpańska sprawnymi obrotami stanęła w pogotowiu do szarży na nieprzyjaciela. Wydarzyła się wtedy rzecz zgoła nieoczekiwana: armia indiańska spokojnym manewrem odwróciła się tyłem i bez pośpiechu wycofała w góry. Wkrótce potem nadbiegł miejscowy kuraka i wśród głębokich pokłonów zaprosił białych cudzoziemców do miasta.

Zaskoczony takim obrotem rzeczy, de Soto koniecznie pragnął dowiedzieć się, co skłoniło indiańskich wojowników do zaniechania walki. Wysłany na zwiady Felipillo zasięgnął języka wśród mieszkańców miasta i przyniósł zdumiewającą wiadomość, że Atahualpa przysłał surowy zakaz atakowania cudzoziemców.

Konkwistadorzy gubili się w przypuszczeniach, co mogło być przyczyną tego niezwykłego i właściwie niesławnego porzucenia miasta. Boć przecież przytłaczająca przewaga liczebna Indian, jak też korzystne położenie miasta, umocnionego w dodatku silną warownią panującą nad kotliną — jednym słowem, wszystkie okoliczności dawały Inkom szansę zwycięstwa. W swej prostackiej wyobraźni Hiszpanie znaleźli na to jedną tylko odpowiedź: król Atahualpa obawia się ich do tego stopnia, że nie poważy się ręki na nich podnieść.

Przeświadczeni o swojej wyższości, wbili się w pychę i rozpanoszyli w mieście niczym najgorsi rozbójnicy. Nie dość, że do szczytu ograbili mieszkańców ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, ale w dodatku uczynili z ich żon i córek swoje niewolnice. Sponiewierane kobiety skorzystały w końcu z najbliższej bezksiężycowej nocy, by wymknąć się z rąk dręczycieli i schronić w górach.

Gdy nazajutrz rano konkwistadorzy spostrzegli brak kobiet, pienili się z wściekłości. Fakt, że dali się wywieść w pole przez niewiasty, poczytywali za zniewagę nie do wybaczenia. Hernando de Soto, niepomny zaleceń Pizarra, by obchodził się oględnie z krajowcami — biesił się i miotał przekleństwa, aż w końcu wpadł na pomysł iście łotrowski.

Zaraz po śniadaniu, podczas którego łało się obficie wino z bukłaków, wydał rozkaz spędzenia wszystkich mężczyzn na plac miasteczka. Zamroczeni alkoholem żołnierze wpadali do chałup, okładali pięściami zatrwożonych Indian i spędzali ich w jedną zbitą gromadę.

Następnie otoczyli krajowców kordonem i zawiedli ich przez puste ulice na skraj miasta, gdzie wznosił się klasztor „dziewic słońca”. Była to ogromna budowla, obwiedziona wysokim i grubym murem z suszonej na słońcu gliny. Mieszkało tam pięćset dziewic pod opieką starszych kobiet. Hiszpanie wiedzieli o ich obecności w chwili wkroczenia do miasta, nie poważyli się jednak dotąd niepokoić klasztoru, gdyż jeszcze w Tumbes przekonali się, jak wielką świętość stanowi on dla Indian. Indianina, który by ośmielił się przekroczyć próg tego przybytku, czekała śmierć.

Jakby dla ostrzeżenia, przed bramą klasztoru wisiało do góry nogami trzech Indian, których ukarano w ten sposób za jakieś drobne przewinienie względem „dziewic słońca”. Hiszpanie kazali odciąć wisielców i popychając jeńców przed sobą wtargnęli na dziedziniec klasztoru. Paru starców, pełniących przy wejściu obowiązki odźwiernych, próbowało intruzów zatrzymać, odepchnięci jednak na bok, bezradnie załamywali ręce i przerażeni świętokradztwem uderzali w jękliwy lament.

Część żołnierzy ustawiła krajowców pod murem i wymierzyła na nich kusze, by trzymać ich w ryzach, reszta zaś wpadła do komnat klasztornych. Czternastoletnie dziewczęta zajęte były właśnie przędzeniem i tkaniem misternych szat dla rodziny królewskiej. Nucily przy tym jakąś smutną śpiewkę ludową, a przewodziły im mamakuny, starsze już, rozrosłe w biodrach matrony,

które spędziły całe życie w klasztorze, ponieważ w młodości nie dostały zaszczytu stania się królewskimi narzeczonymi.

Dziewczyny porwały się z miejsc i patrzyły jak skamieniałe na groźne postacie białych wojowników. Gdy Hiszpanie zaczęli wypędzać je na dziedziniec, mamakuny stanęły w ich obronie. Z przeraźliwym piskiem rzuciły się do oczu napastnikom, drapały, gryzły i kopały, aż brutalne ciosy pięści powaliły je na ziemię. „Dziewice słońca” podniosły na ten widok ogromny wrzask i zanosząc się od płaczu wybiegły na dziedziniec.

Konkwistadorzy przeobrazili się teraz w rozbewstwoną tłuszcę zwyrodnialców. Wśród wybuchów śmiechu urządzili na dziewczęta polowanie, chwyтали je za włosy i wlekli do zakamarków klasztornych, by je tam niewolić. „Dziewice słońca” broniły się rozpaczliwie, żebrały o litość, usiłowały wymknąć się przez otwartą bramę na miasto lub ukryć w zabudowaniach. Niektórym dziewczętom udało się dostać na dach budowli, skąd rzucały się w głęboką przepaść skalną, ziejącą tuż przy murze klasztornym.

Natychmiast po dokonaniu tej zbrodni de Soto opuścił pospiesznie Cajas. Postanowił jednak nie wracać jeszcze do Serranu, lecz udać się do miasta Huancabamba, by osobiście sprawdzić, czy istnieje górską drogą do Cuzco. Doszedł tam po nieopisanych trudach, gdyż szlak wspinał się coraz wyżej w góry wśród mrozów i zamieci śnieżnych. Hiszpanie, nie przyzwyczajeni do wysokogórskiego powietrza, łatwo się męczyli, zwłaszcza że konie trzeba było w tych warunkach prowadzić za uzdy.

Huancabamba była znacznie większym miastem niż Cajas. Domy i pałace z ciosanego kamienia, okazałe świątynie, zajazdy i silna warownia świadczyły, że był to ważny ośrodek administracyjny państwa. Ale Hiszpanie nie zastali tam żywej duszy; ludność, powiadomiona o wydarzeniach w Cajas, ukryła się w górach z cenniejszym dobytkiem.

Oddział hiszpański przemierzył puste ulice i na wschodnim skraju miasta stanął przy szerokim, wybrukowanym porfirem gościńcu. Ciągnął się on falistą wstęgą po skałach i daleko na południu i północy skręcał za wzgórze. Było w tej długiej, podobłocznej drodze coś nad wyraz imponującego i majestatycznego, coś, co napawało konkwistadorów niepokojem. Nigdy w życiu nie widzieli takiej drogi i chociaż byli prostakami, zdawali sobie sprawę, że tylko potężne mocarstwo mogło zdobyć się na jej budowę.

— Jaki los czeka nas tam za górami? — zapytywali siebie w skrytości ducha. — Czyż to nie szaleństwo rzucać się z małą garstką ludzi na kraj, który potrafi budować takie drogi i warownie, jak Tumbes, Cajas i Huancabamba? A przecież do stolicy jeszcze bardzo daleko. Czegóż można spodziewać się tam, pod samym bokiem potężnego króla, któremu są posłuszne miliony poddanych i setki tysięcy wojowników?

Nikt na głos nie śmiał wypowiedzieć tej myśli, ale po zafrasowanym milczeniu znać było, że nurtuje ich wszystkich jednakowa troska o przyszłość. Nawet sam dowódca, Hernando de Soto, zazwyczaj bardzo rozmowny, zamilkł jakoś dziwnie.

Kiedy tak przez dłuższą chwilę stali trzymając za uzdy zdżożone wierzchowce, de Soto podniósł ostrzegawczo rękę. Na samym końcu widocznej wstęgi gościńca wychylił się zza wzgórze orszak podróźny. Gdy tajemniczy orszak zbliżył się na odległość kilkuset metrów, można było już rozpoznać szczegóły. Na barkach ubranej w błękitne tuniki czeladzi sunęła lektyka kapiąca od złota i klejnotów. Otaczało ją mrowie dostojników i wojowników, a pochód zamykała karawana lam objuczonych tobołami.

Wkrótce postawiono lektykę na ziemi przed Hiszpanami; odgarniając kotarę wysiadł z niej Indianin w paradnym stroju. Był to młody jeszcze mężczyzna o ciemnym, szlachetnym obliczu, na którym malował się wyraz władczej wyniosłości. Ale sposób jego zachowania był całkiem sprzeczny z dumnym wyglądem. Na widok de Sota pochylił się w głębokim, prawie czołobitnym

ukłonie i oświadczył, że przychodzi w poselstwie od swego pana, syna słońca i wielkiego króla Atahualpy. De Soto odpowiedział mu, że jeżeli pragnie spotkać wodza białych wojowników, musi udać się z nim do Serranu. Poseł skinął głową na znak zgody i wsiadł z powrotem do lektyki, by przyłączyć się do Hiszpanów.

W drodze powrotnej trzeba było ponownie przejść przez miasto Cajas. Mieszkańcy miasta, mężczyźni, kobiety i dzieci, otoczyli lektykę Inki, skarżąc się wśród płaczu, szlochu i jęków na cudzoziemców. Z klasztoru wybiegły nawet mamakuny i dziewice, padły na kolana przed lektyką i zagradzając jej drogę, usiłowały opowiedzieć posłowi króla o swojej krzywdzie.

Ale dostojnik siedział niewzruszony jak posąg, spoglądając niewidzącymi oczyma w dal ponad głowami rozwrzeszczanego tłumu. Po chwili, gdy nieszczęśni mieszkańcy miasta nie ustępowali z drogi, ściągnął brwi i wydał krótki rozkaz najbliższemu człowiekowi ze swojej świty. Z orszaku wypadła natychmiast czeladź i usunęła natrętów waląc na odlew pięściami. Zatrwożona ludność z rozczarowaniem spozierała na oddalającą się lektykę.

Po ośmiu dniach nieobecności oddział rekonesansowy powrócił do Serranu. Pizarro przyjął de Sota wyrzutami, że tyle dni strawił na włóczenie się po górach, a gdy w dodatku dowiedział się o gwałtach dokonanych na ludności miasta Cajas wbrew rozkazowi, rozgniewał się nie na żarty. W oczach króla Atahualpy chciał uchodzić za posła przybywającego w misji pokojowej i przysłego sojusznika w walce ze stronnictwem Huaskara, tymczasem brutalne, pozbawione sensu postępowanie de Sota stawiało jego dobrą wolę pod znakiem zapytania.

Chcąc jakoś naprawić złe wrażenie, przyjął posła Atahualpy z uprzedzającą grzecznością. Dostojnik królewski skłonił się i za pośrednictwem Felipilla powiedział:

— Boski potomku wielkiego Wirakoczy, rozdawcy wszelkich dobrodziejstw na ziemi. Mój pan, syn słońca Atahualpa, wojownik nad wojownikami, zwycięzca w wielu wojnach, władca „Czterech stron świata” wita cię z radością na ziemi swoich ojców i zaprasza do miasta Cajamarki, gdzie pragnie ugościć cię jak przyjaciela. W dowód swej przychylności przysłała ci te oto skromne dary, które racz łaskawie przyjąć.

Powiedziawszy te słowa poseł klasnął w ręce, na co służba rozłożyła na matach przywiezione skarby. Wśród wielu przedmiotów ze złota wyróżniały się dwie ogromne misy w kształcie fontanny i bele tkaniny z jedwabistej wełny, przetykanej złotymi i srebrnymi nitkami w desenie precudnie kunsztowne.

Pizarro obejrzał prezenty z podziwem i odpowiedział:

— Podziękuj królowi za okazaną mi przychylność i powiedz mu, że przybywam w poselstwie od najpotężniejszego władcy na świecie, który mieszka za morzami. Wieści o wielkim zwycięstwie i sławie króla Atahualpy już do nas dotarły, pragniemy przeto jak najrychlej stanąć przed jego obliczem, by złożyć mu hołd i zaoferować pomoc w walce z wrogami.

Pizarro oprowadził posła po obozie i aby przekonać go o niezwyciężonej potędze wojska hiszpańskiego, kazał na pokaz oddać wystrzały z arkebuza i jednej z falkonetek. Indianin był wyraźnie wstrząśnięty grozą tajemniczej broni. Na pożegnanie otrzymał w darze purpurowy płaszcz przywieziony z Hiszpanii oraz nieco tombakowej biżuterii wysadzanej kolorowymi szkiełkami.

Dowiedziawszy się dokładnie, gdzie leży Cajamarca, Pizarro skierował się na południe tą samą drogą nadmorską z zamiarem dotarcia do miasta Sana, skąd już bocznym traktem można było skręcić w góry w kierunku południowo—wschodnim i dostać się bezpośrednio do miejscowości, gdzie oczekiwał go Atahualpa. Z Serranu zabrał jako zakładników trzystu Indian z ich naczelnikiem. Obawiał się bowiem, że w przesmykach i wąwozach górskich, kędy wypadała mu droga, wojownicy indiańscy zechcą wciągnąć go w zasadzkę.

PRZEZ BIAŁE PIEKŁO

Czekając na wiadomości z pola bitwy, Atahualpa w gorących źródłach siarczanych Cajamarki szukał ulgi dla swych dolegliwości. Z chwilą gdy wniesiono go na krzesło do złocistego basenu, nikt już nie miałby śmiałości zakłócić mu kuracji sprawami, które bez szkody dla państwa mogły być odłożone na później. W pałacu powstało zatem wielkie zamieszanie, kiedy pewnego dnia zjawił się naczelnik jednego z plemion północnych i usilnie prosił o posłuchanie u króla, twierdząc, że przynosi mu niezwykle pilną wiadomość. Atahualpa zgodził się wysłuchać tajemniczego przybysza, będąc pewny, że nikt nie zdobyłby się na zuchwałość, by zakłócić mu spokój błahostką.

Naczelnika ubrano w świeże szaty, na plecach zaś uwieszono mu kamień jako symbol pokornej uległości wobec boskiego syna słońca. Do komnaty królewskiej wczołgał się przybysz na brzuchu i znieruchomiał u stóp Atahualpy czekając, aż pozwoli mu przemówić.

— Co masz mi do powiedzenia? — zapytał król niechętnie.

— Wybacz, promienny synu słońca, że ośmielę się kalać twoje uszy moim głosem, ale...

— Nie zwlekaj, mów szybko, o co ci chodzi.

— W Tumbez, boski synu słońca, wylądowali dziwni ludzie o białej skórze i czarnych brodach. Mają błyszczące ubrania i broń, którą mogą przepołowić człowieka. Wielu z nich jest przyrośniętych do wielkich i dzikich zwierząt podobnych do lam. Nasi powiadają, że są to wysłańcy stwórcy świata Wirakoczy, jako że gromią wrogów błyskawicami.

Atahualpa odprawił przybysza i natychmiast zwołał radę wojenną:

— Jestem przekonany — zapewniał swoich dostojników — że Wirakocza przysłał swoich synów, aby towarzyszyli mi w triumfalnym wjeździe do Cuzco i uświetnili w ten sposób moje zwycięstwo.

— Panie miłościwy — odpowiedział na to wódz Kiz Kiz — przez usta twoje przemawia bóg Inti. Nie wolno mi jednak zataić, co twoi wrogowie szepczą sobie do ucha: podobno Huaskar posłał swego krewnego do wodza białych wojowników i uzyskał od niego przyrzeczenie, iż dopomoże mu w odzyskaniu tronu.

Atahualpa zmarszczył brwi i odrzekł:

— Należy tych cudzoziemców pilnie śledzić. Natychmiast wysłać najlepszych wywiadowców, by dzień i noc mieli ich na oku.

W niedługim czasie zaczęły do Cajamarki napływać raporty w piśmie węzłowym kipu. Sekretarz królewski wyczytywał z nich dziwy o zamorskich ludziach i zwierzętach. Duże lamy miały nogi ze srebra⁹⁰, a z nastaniem nocy zapadały ponoć w taką niemoc, że nie mogły ruszać się z miejsca. Jeśli jeździec spadł z ich grzbietu, następowała śmierć obu, zarówno człowieka, jak i zwierzęcia.

Jeden z naczelników doniósł, iż pod osłoną nocy zbliżył się do narzędzia, którym biali wojownicy ciskali pioruny i błyskawice. Stwierdził, że jest to gruba rura z brązu. Chcąc obłaskawić mieszkającego w niej boga piorunów, wlał do jej paszczy nieco piwa czicza i chlubił się, że w ten sposób unieszkodliwił rurę na zawsze.

Inny szpieg był człowiekiem rozsądnym i bardziej spostrzegawczym. Kręcąc się w przebraniu wśród czeladzi indiańskiej zliczył białych przybyszów i stwierdził, że jest ich tylko garstka, którą armia Atahualpy łatwo mogłaby pokonać. Zwłaszcza że intruzi w jego mniemaniu nie byli wcale boskimi wysłańcami Wirakoczy, lecz zwyczajnymi śmiertelnikami i rabusiami. Błagał więc

⁹⁰ Konkwistadorzy z braku żelaza podkuwali konie podkowami ze srebra.

króla, aby przysłał wojsko i położył kres ich zbrodniom.

Atahualpa kazał sobie czytać nadchodzące kolejno raporty, naradzał się z wodzami i postanowił wysłać do białych wojowników posła, by zaprosić ich do Cajamarki i w ten sposób przekonać się osobiście, jacy to ludzie. Gdy poseł doniósł o zbrodniach dokonanych w San Miguel i klasztorze „dziewic słońca” w Cajas, Atahualpa odetchnął z ulgą. Tak nie mogli postępować potomkowie Wirakoczy, lecz tylko śmiertelni ludzie, a z nimi nietrudno się rozprawić.

Na zwołanej naradzie wojennej ważyła się decyzja, gdzie i kiedy wydać najeźdźcom bitwę. Sprawa nie była tak prosta, jakby się wydawało, Atahualpa nie czuł się jeszcze pewny na tronie. Ogromne połacie kraju, opanowane przez zwolenników Huaskara, trwały w złowrogim milczeniu i nie złożyły mu jeszcze hołdu. W wielu okolicach wybuchały nawet bunt i wrogie manifestacje. Plemiona, które nigdy nie pogodziły się z niewolą, szykowały się jawnie do powstania. W samym Cuzco istniało silne, wrogie mu stronnictwo dostojników i kapłanów. Wszystkie te opozycyjne grupy witały białych cudzoziemców jako wysłanników boga Wirakoczy i liczyły na ich pomoc w walce o przywrócenie tronu Huaskarowi.

W tych warunkach odpadła myśl przeciwstawienia się intruzom nad morzem, gdyż armia Atahualpy nie mogła zbyt oddalać się od najważniejszego ogniska buntu, jakim była stolica. Powstała zresztą obawa, że niektóre ujarzmione plemiona mogłyby zerwać się do powstania i odciąć armii powrót do Cuzco. Po Cajamarce krążyła już plotka, że tu i ówdzie zbuntowane plemiona zaofiarowały białym ludziom przymierze przeciwko Inkom.

Wkrótce potem wywiadowcy przynieśli wiadomość, że Hiszpanie opuścili już Serran i maszerują do Sany, skąd górskim szlakiem zamierzają skierować się do Cajamarki. Droga wiodła przez wąskie przesmyki, wąwozy i jary, przeto wodzowie radzili królowi, by zgotować intruzom zasadzkę i rozgromić ich od jednego zamachu.

Atahualpa nie chciał jednak na to przystać. Powziął bowiem zamiar przyjęcia cudzoziemców w Cajamarce. Mając do dyspozycji trzydzieści tysięcy wojowników, nie widział potrzeby lękać się tej garstki zuchwalców. Zamknie ich w mieście jak w matni, obejrzy z bliska, a potem dopiero pomyśli, co z nimi zrobić.

Uważał zresztą, że niekoniecznie musi dojść do zatargu zbrojnego. Prawdę mówiąc, wołał pozyskać sobie ich pomoc w walce z wewnętrznymi wrogami. Co za olbrzymią korzyść miałby z takiego sojuszu! Biali wojownicy ze swoją tajemniczą bronią i stworami szerczącymi panikę przedstawiali siłę nie do pogardzenia; w dodatku sam fakt, że wypowiedzieliby się w wojnie domowej po jego stronie, sprawiłby głębokie wrażenie na tej części ludności, która widziała w nich wysłańców Wirakoczy. Z tych względów postanowił wyprawić do Hiszpanów drugie poselstwo z hojnymi darami, aby jeszcze raz zapewnić ich o swojej przyjaźni.

Pizarro tymczasem maszerował drogą nadbrzeżną, która biegła na przemian przez pustynie, to znowu przez nawadniane, urodzajne doliny. Pewnego dnia stanął nad wezbraną deszczami porywistą rzeką⁹¹. Podejrzewając, że na przeciwległym brzegu zastawiono zasadzkę, polecił swemu bratu Hernandowi, by z oddziałem konnicy odnalazł bród i zdobył przyczółek zabezpieczający przejście. Okazało się jednak, że ludność na widok zbliżających się jeźdźców uciekła w głąb łądu. Hernandowi udało się schwytać jednego Indianina i torturami wymusił odeń informację, że Atahualpa oczekuje ich w Cajamarce z ogromną armią wojowników.

Pizarro kazał zbudować most pływający, by przeprowadzić przez rzekę wojsko i liczną karawanę lam objuczonych prowiantem. Od rana do wieczora czeladź indiańska i żołnierze ścinałi drzewa w pobliskim lesie, nawet sam Pizarro chwycił za topór. Upał był straszny. Gdy nadszedł wieczór,

⁹¹ Przepuszczalnie Rio de Lambayaque.

ludzie padali do snu jak martwi. Ale już o pierwszym świcie zagrały trąbki i zabrano się ponownie do roboty. Po wielu godzinach nieopisanego trudu stanął wreszcie most z pni drzewnych, przycumowany do brzegów grubymi kablami z włókien agawy. Wojsko i lamy przekroczyły rozkołysaną kładkę, a konie, trzymane za uzdy, musiały płynąć obok mostu w porywistym nurcie rzeki.

Indianie na drugim brzegu stopniowo pozbyli się obawy przed białymi wojownikami i wrócili do swojej wioski. Ich naczelnik bawił niedawno w Cajamarce i utrzymywał, że Atahualpa ma pod swoją komendą pięćdziesiąt tysięcy wojska.

Zaniepokojony tymi wiadomościami Pizarro chciał za wszelką cenę wykryć, jakie są właściwie istotne zamiary Atahualpy. Dlatego zaproponował jednemu z naczelników, który był zaciętym wrogiem Inków i towarzyszył mu dobrowolnie w podróży, aby udał się na przeszpiegi do Cajamarki i wybadał, czy król nie przygotowuje jakiego podstępu. Indianin stanowczo jednak odmówił podjęcia się tak niebezpiecznej misji. Zgodził się natomiast pójść do Cajamarki jako oficjalny wysłannik Hiszpanów, gdyż w tym wypadku chroniła go szanowana przez Inków nietykalność poselska. Zaraz też wyruszył w drogę i już po trzech dniach zawiadomił Pizarra przez gońca, że przesmyki górskie nie są obstawione przez wojowników króla, przeto nie ma potrzeby obawiać się w drodze zasadzki.

Pizarro opuścił natychmiast Sanę i po paru godzinach marszu stanął u podnóża Kordylierów. Żołnierze z powątpiewaniem spoglądali na ścianę górską piętrzącą się ku niebu dziko poszarpanym masywem skalnym. Zapuszczanie się w ten labirynt wąwozów, ścieżek i rozpadlin po to tylko, aby udać się wprost do jaskini lwa, zdawało im się pozbawione zdrowego rozsądku. Pizarro musiał ponownie odwoływać się do ich żołnierskiej dumy, aby dodać im odwagi i przekonać o słuszności powziętego zamiaru. Zresztą o cofaniu się z drogi nie mogło już być mowy: Atahualpa wzięłaby to za dowód tchórzostwa i nasłałaby im na kark całą potęgę wojskową, by ich zniweczyć.

Na odbytej naradzie wojennej zapadła uchwała, by sam Pizarro poprowadził straż przednią złożoną z jazdy i piechoty, natomiast brat jego Hernando z resztą wojska miał czekać na miejscu, aż otrzyma rozkaz podążenia za nim.

Rekonesans zapuścił się w góry wczesnym rankiem i od samego początku musiał pokonywać wielkie trudności terenowe. Ścieżka wiodła nad przepaściami, przylepiona do prostopadłych ścian skalnych. Miejscami stawała się tak stroma, że trzeba było ciągnąć przerażone konie za uzdy, miejscami zaś przecinały ją rozpadliny lub też zwężyły występy skalne. Jeden fałszywy krok groził runięciem w czeluść, której dna nie można było nawet dojrzeć. Przesmyki pełne były ostrych krawędzi, nawisów i obrywków skalnych; z mrocznych jarów dochodził posepny, monotony grzmot przelewających się potoków górskich.

W wąskich, mrocznych wąwozach Hiszpanie rozglądali się trwożnie na wszystkie strony, obawiając się napaści z zasadzki. W jednym z wąwozów ujrzeli na wzniesieniu potężną warownię w miejscu, gdzie droga skręcała za próg skały. Wystarczyłaby tam nieliczna tylko załoga, żeby ich powstrzymać w dalszym marszu do Cajamarki. Stanęli przeto w pogotowiu bojowym czekając na grad pocisków i okrzyk wojenny Indian. Panowała jednak cisza, forteca najwidoczniej nie była obsadzona, co świadczyłoby o pokojowych zamiarach Atahualpy.

Mając pewność, że droga jest wolna, Pizarro pchnął gońca do brata z rozkazem, by zwinął obóz i dogonił go. Sam zaś, po krótkim odpoczynku, ruszył w dalszą drogę i wspiał się na wzgórze, uwieńczone większą jeszcze fortecą niż poprzednia. Było to prawdziwe arcydzieło budownictwa, wzniesione karkołomnie na krawędzi skalnej z ogromnych, surowo ciosanych głazów. Ponieważ okazało się, że i ona także nie była obsadzona Indianami, Pizarro zatrzymał się tam na nocleg.

Droga pięła się odtąd coraz wyżej i wyżej. Stopniowo znikła wszelka roślinność, widać było tylko mchy, które rdzawym kobiercem obrastały upłazy i zbocza skalne. Wysoko na niebie krążyły kondory i nagłym pikowaniem płoszyły konie. Na krawędziach skalnych pojawiały się od czasu do czasu wigunie.

Wyłoniwszy się z mrocznego wąwozu górskiego, Hiszpanie znaleźli się niespodziewanie na rozległym płaskowyżu, pokrytym grubym całunem nieskalanego śniegu. Na skraju piętrzyła się ściana góry, którą trzeba było pokonać, by dostać się w dolinę Cajamarki.

Szkliste niebo gorejące słońcem górskim, przeogromna równina śnieżna roziskrzona złotymi i srebrnymi ognikami, niezmacona cisza i przezroczyste jak kryształ powietrze — jednym słowem, cały krajobraz olśniewająco jasny, uroczy i groźny zarazem wydawał się konkwistadorom zjawiskiem wręcz nierealnym i widmowym.

Zdrożeni, porażeni blaskiem śniegu, przymknęli powieki i zatoczyli się jak pijani. Ten i ów zieleniał na twarzy, dostawał duszności, wymiotował, obsuwał się bezwładnie na ziemię i chwycił kurczowo za serce walące jak młotem. Byli tacy nawet, co pluli krwią, wili się w kurczach żołądka i w końcu tracili przytomność. Indianie towarzyszący Hiszpanom zdawali się tym wszystkim nie przejmować. Wyjaśnili, że jest to choroba śnieżna zwana „sorocze”; na wielkich wysokościach andyjskich nawet górale padają jej ofiarą. Uspokajali jednak, że chorzy po kilku godzinach wypoczynku powrócą do zdrowia.

Pizarro postanowił na płaskowyżu rozbić obóz, by dać ludziom należny im wypoczynek, a równocześnie czekać na przybycie reszty wojska pod komendą Hernanda. O zmierzchu powietrze stało się lodowate. Żołnierze zgrabiałymi rękoma rozbili namioty, rozniecili ogniska i tuląc się do siebie starali się usnąć po marszu pełnym niewypowiedzianej udreki.

Nazajutrz w południe zjawilo się drugie poselstwo od Atahualpy. Król ponownie zapraszał białych wojowników do Cajamarki i raz jeszcze zapewniał ich o swej przyjaźni. Pizarro odpowiedział, że cieszy się ze spotkania z wielkim wodzem, który odniósł tyle sławnych zwycięstw. Zaznaczył jednak, że król, w którego imieniu przybył do państwa Inków, jest daleko potężniejszy, gdyż władza jego rozpościera się na cały świat. Poseł wysłuchał tych przechwałek z dyplomatyczną uprzejmością i zabierał się do opuszczenia obozu.

W tej właśnie chwili wrócił z Cajamarki naczelnik indiański, którego Pizarro wysłał w oficjalnym poselstwie. Powrócił głęboko urażony w swej miłości własnej, gdyż Atahualpa nie dopuścił go przed swoje oblicze i kazał mu powiedzieć przez prostego sługę, że nie może go przyjąć. Spotkawszy w obozie przedstawiciela króla, obrażony naczelnik rzucił się nań z wściekłością i zanim zdołano mu przeszkodzić, wytarosił go za uszy obwieszone kolczykami. Dokoła borykających się krajowców uczyniło się zbiegowisko. Ponieważ służba posła stanęła w jego obronie, o mało co doszłoby do rozlewu krwi, gdyby nie szybka i stanowcza interwencja Pizarra.

Posel królewski był wstrząśnięty, nie zdarzyło się bowiem dotąd nigdy, aby poddany ośmielił się znieważać Inkę. Przed Pizarrem tłumaczył się, że naczelnik nie miał powodu obrażać się, gdyż zjawił się w okresie postu, kiedy król nikogo nie przyjmował. I w końcu domagał się, by za zniewagę Inki ukarano świętokradcę śmiercią.

Pizarro dał mu odpowiedź wymijającą, ponieważ ani myślał spełniać jego życzenia. Waśnie między krajowcami były mu na rękę, sprzyjały bowiem jego zaborczym planom.

Po dwudniowym postoju Pizarro dał hasło do dalszego marszu. Droga, którą miał teraz przed sobą, przerażała nie spotykanymi trudnościami. Wiodła bowiem stromymi stopniami na zawrotnie wysoką przełęcz, którą trzeba było przekroczyć, by dostać się na wschodnią stronę pasma górskiego. Pomimo że schody skalne okazały się szerokie i wygodne, to jednak dla taborów i jazdy wspinaczka była połączona z wielkim niebezpieczeństwem. Szczególnie trudno

było przymusić do niej konie. Prowadzone za uzdę i popychane, dygotały z przerażenia i często się potykały, a każdy spadający kamień wywoływał wśród nich popłoch.

Na domiar wszystkiego, gdy już Hiszpanie wdrapali się na znaczną wysokość, zerwała się gwałtowna zamieć śnieżna. Wicher hulał po górach z jadowitą złośliwością, gwizdał i kręcił ogromnymi tumanami śniegu. Oślepieni piekielną zawieruchą, konkwistadorzy pięli się już tylko po omacku. Po paru godzinach takiej udreki dotarli wreszcie na przełęcz.

Zejsście wschodnim stokiem góry w dolinę Cajamarki trwało całe siedem dni. Cajamarka znaczy w języku keczua „miasto mroźne”. To jednak, co konkwistadorzy ujrzeli, było zaprzeczeniem nazwy. W owalnej dolinie, zamkniętej zewsząd górami, uśmiechały się w słońcu pola uprawne, sady, łąki obsypane kwieciami i kępy drzew, a w owej szmaragdowej oprawie błyszczało w słońcu jak klejnot białe miasto, zgrupowane około wielkiego placu. Na szczycie skalistego pagórka widniała posępna bryła twierdzy, zbudowana z bloków kamiennych. Hen, na dalekim skraju miasta dźwigały się ku niebu ogromne słupy pary, dobywającej się z gorących źródeł siarczanych. W pobliżu, na płaskiej skale, wznosił się pałac królewski, świątynia i klasztor „dziewic słońca”.

Wzrok Hiszpanów przykuło jednak coś zgoła innego. Całą bowiem okolicę, zarówno dolinę, jak i stoki gór, zajmowały nieprzeliczone roje białych namiotów, tak gęsto stłoczonych, że na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie całunu śnieżnego. A więc pogłoski, jakoby w Cajamarce obozowała trzydziestotysięczna armia wojowników indiańskich, nie były fałszywe.

Żołnierze w ponurym nastroju obserwowali nieprzejrzaną koczowisko Indian i otwarcie dawali wyraz wątpliwości, czy jest rzeczą rozsądną wkraczać do miasta, gdzie łatwo ich otoczyć i głodem zmusić do kapitulacji. Pizarro tłumaczył im, że nie ma innego wyjścia. Odwrót w obliczu armii indiańskiej poczytywałby Atahualpa za dowód tchórzostwa. Natychmiast rzuciłby się w pościg za nimi, a walka w odwrocie na stopniach i ścieżkach górskich, przy ich ogromnym zmęczeniu i upadku ducha, mogłaby pociągnąć za sobą dotkliwie straty, jeżeli nie skończyłaby się klęską.

Nie dając ludziom czasu do namysłu, Pizarro rozwinął sztandar Kastylii i stanąwszy na czele kolumny śmiało ruszył przed siebie.

Gdy znaleźli się w labiryncie ulic miejskich, Hiszpanie spostrzegli ku swej konsternacji, że ludność została z Cajamarki ewakuowana. Było coś nad wyraz złowieszczonego w tych zamartwych ulicach, rozbrzmiewających echem trąbek hiszpańskich, kroków maszerujących żołnierzy i szczęku oręża. Słoneczne dotychczas niebo pokryło się chmurami, lunął ulewny deszcz pomieszany z gradem. W mieście uczyniło się mroczno i zimno. Hiszpanie przybyli na główny plac miasta zziębnięci i przemoczeni do suchej nitki.

ZDRADZIECKI ZAMACH

Główny plac Cajamarki miał kształt trójkąta i był wybrukowany różnorakiego kształtu płytami z porfiru. Wzdłuż jego boków stały niskie i długie budynki przypominające stodoły, a luki między nimi wypełniał wysoki mur z suszonej gliny.

Pizarro zauważył natychmiast, że plac jest szczelnie obudowany i że istnieją tylko dwie bramy, którymi można nań się dostać. Z jednej strony Hiszpanie znaleźli się więc w pułapce, z drugiej zaś mogli bronić się jak w obwarowanym obozie, zwłaszcza że nad placem panowała nie obsadzona forteca, dokąd w razie konieczności można było się schronić.

Z domów wychodziło się bezpośrednio na plac przez dwuskrzydłowe wrota. Były to

murowane baraki z obszernymi, nie umeblowanymi salami i służyły jako koszary dla garnizonu indiańskiego. Pizarro pomieścił w nich wygodnie cały swój korpus ekspedycyjny, nie tylko ludzi, ale nawet konie i tabor.

Ulewa deszczowa przeminęła równie nagle, jak przyszła; nastąpiła znowu słoneczna pogoda. Żołnierze zabrali się do rozniecania ognisk i warzenia posiłku; na placu i w barakach zatętniło życie obozowe, pełne zwykłego zgiełku i krzątaniny.

Było już późne popołudnie. Nie zwlekając Pizarro wysłał do Atahualpy Hernanda de Soto na czele piętnastu rajtarów i przydzielił mu Felipilla jako tłumacza. Pragnął bowiem zawiadomić króla w sposób formalny w swoim przybyciu i zaprosić go do siebie na uroczysty bankiet powitalny. Ledwie jednak de Soto wyruszył w drogę, Pizarro zaniepokoił się o jego los i posłał za nim jeszcze Hernanda z oddziałem dwudziestu konnych, aby w razie zbrojnego zatargu przyszedł mu z pomocą. Potem wszedł krętymi schodami na szczyt skały i z murów warowni śledził, jak jego poselstwo zdążało do pałacu królewskiego, widocznego na przeciwległym skraju doliny.

Biegła tam przez namokłe wilgocią łąki prosta jak strzała droga, wybudowana na grobli. Na samym jej końcu był most drewniany przerzucony nad rzeczką, a za rzeczką zaczynał się obóz indiański. Konny hufiec nie mógł więc rozwinąć się w szeroki front, lecz posuwał się drogą w wydłużonym szyku kolumny.

Była to malownicza kawalkada jeździecka. Przewodził jej de Soto na dziarskim biegunie z rozwianym nad głową sztandarem Kastylji. W ukośnych promieniach przedwieczornego słońca połyskiwały złociście broje, rapiery i jedwabista sierść koni, mieniły się barwy czapraków i strojów rycerskich.

Rumaki szły z początku stępą, krokiem tak lekkim, że zdawały się pisać, następnie przeszły w zwawy kłus. W pewnej chwili rozległy się wesole dźwięki trąbek; konie, spięte ostrogami, zerwały się nagle z kopyta i wyciągnęły w galop płynny, lotny i rytmiczny. Brać jeździecka cwałowała jak szalona, przysła przez rzekę omijając mostek i wśród grania trąbek wpadła do obozu między namioty. Wojownicy indiańscy nie wierząc własnym oczom przyglądali się tym przyrośniętym do potworów istotom, które mknęły przed siebie jak huragan czy zjawisko nie z tego świata. Zaraz też w obozie podawano sobie z ust do ust dziwne wieści o przybyszach, budzące zabobonny lęk i najgorsze przecucia.

Atahualpa czekał na Hiszpanów przed pałacem siedząc na zydlu z rzeźbionego złota. Otaczała go świta dostojników, wojowników, młodych kobiet i straży przybocznej. Na jego czole widniała szkarłatna opaska godności królewskiej, za którą zatknięte były dwa pióra tajemniczego ptaka kurakenke. Był to mężczyzna słusznego wzrostu i dumnej postawy; ciemna twarz, posępna i namaszczone, byłaby urodziwa, gdyby nie krwią nabiegłe, nieruchome oczy, które przydawały jej srogiego, prawie dzikiego wyrazu.

De Soto pozostawił swój oddział w pewnej odległości od króla, a sam skierował się doń konno, zabierając ze sobą Felipilla, który kroczył pieszo obok strzemięcia. Skłoniwszy się dumnie, przemówił uroczyście:

— Królu prześwieconego państwa Inków! Wódz mój, Francisco Pizarro, dostojny poseł największego na świecie monarchy, Karola V, polecił mi złożyć ci hołd i zaoferować swoją przyjaźń. Sława twoich zwycięstw, wielki królu, dotarła już do nas nad morze i dlatego pospieszyliśmy do ciebie, aby dostąpić zaszczytu poznania największego wojownika tego kraju i służenia mu w walce z wrogami. Wódz mój, Francisco Pizarro, czułby się zaszczycony, gdybyś zechciał przychylić się do jego prośby i przyjąć zaproszenie na bankiet, jaki zamierza jutro urządzić u siebie w dowód swojej wielkiej przyjaźni i braterstwa.

Podczas gdy Felipillo tłumaczył mozolnie przemówienie de Sota, Atahualpa zachowywał się

tak, jakby w ogóle nie słuchał. Siedział na złotym zydłu jak posąg i nieodgadnionym wzrokiem spoglądał przed siebie, gdzie w oddali dźwigały się śnieżne szczyty Andów. Na nieprzeniknionym jego obliczu nie pojawił się nawet przebłysk zaciekawienia dla białych cudzoziemców i niesamowitych ich stworów, o których słyszał już tyle niewiarygodnych rzeczy.

Felipillo uporał się wreszcie z zadaniem tłumacza i de Soto czekał teraz na odpowiedź Atahualpy. Jednakże król milczał, a z jego świty nikt nie odważył się rzec ani słowa. Nastąpiła przydługa chwila kłopotliwej ciszy, w której jakby ważył się los Hiszpanów. De Soto, zdumiony i w najwyższym stopniu zaniepokojony tą osobliwą postawą, ściągnął cugle wierzchowca, by powrócić do swoich ludzi. Doszedł bowiem do przekonania, że milczenie króla nie wróży nic dobrego, że każdej chwili należy spodziewać się jakiegoś wrogiego wystąpienia Indian.

Atahualpa spostrzegł ten odruch zniecierpliwienia i do jednego z najbliższych stojących dostojników skinął nieznacznie głową, aby dał posłowi odpowiedź. Ale dworak bąknął jedno tylko słowo: „dobrze” i nastąpiła znowu kłopotliwa cisza.

De Soto obruszył się teraz nie na żarty. Urażony lakoniczną i zdawkową odpowiedzią, spojrzawszy królowi w oblicze i wezwał go, aby osobiście się wypowiedział, czy zaproszenie przyjmuje.

Sądząc po zgorszeniu, jakie uwidoczniło się na twarzach otaczających króla ludzi, de Soto dopuścił się niebywałego naruszenia etykiety dworskiej. Atahualpa spojrzawszy jednak z zaciekawieniem na posła, uśmiechnął się z lekka i rzekł spokojnie:

— Dzień dzisiejszy przeznaczyłem na ścisły post, by wyrazić wdzięczność bogom za odniesione zwycięstwo, a podczas postu nie wypada mi rozmawiać z cudzoziemcami. Widzę jednak, że muszę odstąpić od tej zasady, abyś nie tłumaczył sobie fałszywie mojego milczenia. Oby bogowie, a szczególnie mój prarodziciel bóg Inti, raczyli mi wybaczyć grzech popełniony z konieczności. A więc powiedz twojemu wodzowi, że rad go widzę w kraju moich ojców i ponieważ jutro kończy się okres poszczenia, chętnie przyjmuję jego zaproszenie. Do chwili mego przybycia niech rozgości się w mieście, a później rozstrzygnę, co ma czynić dalej.

De Soto nie zdołał ukryć radości z powodu pomyślnego wyniku poselstwa. Dziękując królowi za przychylnie słowa, spostrzegł, że zerknął on z zaciekawieniem na wierzchowca. Był to urodziwy gniadosz o atlasowej sierści, który podczas rozmowy nie mógł ustać na miejscu, parskał i żuł wędzidło, strzygł uszami i przebierał nogami jak baletnica.

De Soto zapytał króla, czy może dać popis swego rumaka. Na znak zgody poprawił się w siodle i zebrał w garść wodze. Ognisty biegun, połączony ostrogą, srożył się i dąsał, w końcu jednak przestał przekomarzać się i zabrał do wykonywania nader kunsztownych ewolucji.

W lansadach pełnych nieporównanego wdzięku zataczał koła, rzucał się rysią na przełaj równiny, dawał susa przez wądoły, kręcił się na miejscu jak fryga. Ściśnięty boleśnie ostrogą, ruszył gwałtownie z kopyta i pogalopował rozwianym lotem wprost na króla. Zdawało się, że spadnie na niego całym swoim ciężarem, ale de Soto trzymał go mocno w garści. Osadzony gwałtownie na miejscu, wierzchowiec wspiął się tak blisko króla, że zawisł kopytami niemal nad jego głową.

Atahualpa nawet nie drgnął. Siedział dumny i wyprostowany jak posąg, nie okazując lęku. Jego świta zastygła w struchlałym bezruchu. Jedyne tylko wśród straży przybocznej uczyniło się zamieszanie: dwaj młodzi Indianie, zdjęci przerażeniem na widok nieznanego i szalejącego zwierzęcia, rzucili się w popłochu do ucieczki. Król zachmurzył się i wydał jakiś rozkaz. Nieboraków ujęto i natychmiast powieszono na najbliższym drzewie, aby pokazać cudzoziemcom, jak karze się u Inków tchórzostwo.

De Soto uprzytomnił sobie teraz, że posunął się może zbyt daleko w zuchwałej brawurze i jał króla gorąco przeproszać. Atahualpa uśmiechnął się jednak i zaprosił całe poselstwo do pałacu na

posiłek wieczorny. Ale Hiszpanie wciąż mu nie ufali i woleli nie schodzić z koni. Zastaniając się koniecznością szybkiego zawiadomienia Pizarra o wyniku poselstwa, de Soto nie przyjął zaproszenia i dał hasło do powrotu. Wybiegła wtedy chmara młodych służebnic i poczęstowała białych wojowników piwem czicza. Żołnierze chętnie wypili strzemiennego i pocwałowali z powrotem do miasta.

Pomyślny wynik poselstwa nie przyniósł jednak odprężenia w obozie hiszpańskim. Z nastaniem mroku żołnierze gromadzili się na wzniesieniach i spoglądali w ponurym nastroju na nieprzeliczone ogniska, które niby gwiazdy na niebie zapaliły się w obozowisku indiańskim. Wobec tej ogromnej armii, liczącej dziesiątki tysięcy wojowników, jakże nikłą przedstawiali się! „Owej potęgi — myśleli sobie — nie mogą zrównoważyć nawet konie, armaty i arkebuzy”.

Pizarro krążył po obozie dodając ludziom odwagi i przypominając im, że przecież dobrowolnie poszli za nim, że teraz, kiedy stanęli w obliczu nieprzyjaciela, powinni zachować się tak, jak przystoi prawdziwym rycerzom Kościoła.

— Ufajcie Opatrzności — przekonywał zgromadzonych żołnierzy — ona przeprowadziła nas przez najgorsze niebezpieczeństwa, to i teraz nas nie opuści. I choćby nieprzyjaciel liczył miliony wojowników, nie ma powodu do troski, dopóki Bóg ma nas w swojej opiece. A że nas otacza opieką, któż odważy się wątpić, skoro przybyliśmy tu po to, by pogańskich Indian nawrócić na wiarę Chrystusa i Panny Najświętszej.

Żołnierze ułożyli się do snu. Pizarro zwołał na naradę swoich oficerów, urzędników królewskich i towarzyszących wyprawie zakonników. Miał już szczegółowy plan działania i teraz przedstawił go zgromadzonym do oceny.

— Król Atahualpa — tłumaczył towarzyszom — na razie darzy nas przyjaźnią i nawet przyjął nasze zaproszenie na bankiet. Powiedzmy sobie jednak otwarcie, że jest to krucha przyjaźń i na pewno nie może trwać długo. Prędzej czy później, gdy tylko zaspokoi swoją ciekawość i dojdzie do przekonania, że jesteśmy zwykłymi ludźmi, a nie wysłańcami Wirakoczy, będzie chciał dobrać się do naszej skóry. Zbyt łakomym kąskiem są dlań nasze armaty, konie i arkebuzy. Musimy być przeto przetozorni i czujni, musimy pokrzyżować jego plany zawczasu i wyprzedzić cios, jaki w pewnej chwili może nam zadać.

— Jestem pewny — odezwał się Hernando Pizarro — że Atahualpa zwabił nas tu, by zamknąć w Cajamarce jak w potrzasku. Przemawia za tym podejrzana ewakuacja ludności z miasta i ogromna armia, stojąca w pogotowiu wojennym. Słyszeliśmy już coś niecoś o jego sprawkach i wiemy, że jest to człowiek bez skrupułów. Uważam więc, że póki czas, trzeba zapobiec jego matactwom.

— Pomyślcie — zabrał głos ponownie Francisco Pizarro — co by się stało, gdyby na przykład w tej chwili nas zaatakował. Położenie nasze byłoby nie do pozazdroszczenia. Rzecz oczywista nie miałby z nami łatwej przeprawy, nasze armatki i arkebuzy dałyby mu szkołę, o jakiej nawet mu się nie śniło. Ale tam jest przecież co najmniej trzydzieści tysięcy wojowników i kto wie, czy zewsząd nie spieszą już do Cajamarki nowe wojska indiańskie. Obronić to się obronimy, ale czy potrafimy wygnać całe to tałatajstwo? Będziemy walczyli, aż nam ręce opadną, tymczasem na miejsce zabitego stanie dwóch innych wojowników. Otoczą miasto, będą morzyli nas głodem, nie dadzą nam spokoju dzień i noc, aż w końcu zabraknie nam sił i amunicji, i chęci do walki. Więc cóż, poddamy się? Poprosimy ich kornie o łaskę? Ładne widoki dla rycerzy, co przyszli zwyciężać i zdobywać!

Na te słowa zerwał się dominikanin Vincente Valverde, chudy, kościsty mnich o fanatycznie płonących oczach i twarzy podobnej do rozszluszczonego puszczyka.

— Na Boga, chrześcijanie, prawi synowie Kościoła! — zawołał z pasją. — Toć własnym uszom nie wierzę. Nasz wódz jakoś kracze nam tu zbyt żalobnie. Do czego prowadzi jego mowa?

Do odwrotu, do haniebnej rejterady w obliczu pogańskiej hołoty, do tego, że staniemy się pośmiewiskiem całego świata. A myśmy przyszli tu po to, aby krzewić chrześcijaństwo i zaprowadzić zwierzchnictwo Najjaśniejszego Pana, Karola V. I oto zamiast szczytnych haseł i gotowości do poświęceń słyszę z ust samego wodza haniebne słowo: odwrot. Na ten krzyż, jaki teraz podnoszę ku tobie, zaklinam cię głosem wiernego sługi Kościoła: Francisco Pizarro, rycerzu zasłużony, opamiętaj się!

Pizarro wysłuchał mnicha ze wzgardliwym spokojem i odparł:

— Ojciec wielbny, z moich ust słowo „odwrot” nie padło ani razu.

— Może i nie przeszło przez twoje usta, ale stale było obecne w twojej mowie. Bo jeśli nie mamy walczyć, to na rozum biorąc nic przecież innego nam nie pozostaje, jak tylko odwrot.

Pizarro uśmiechnął się kpiąco i rozkładając ręce z rezygnacją oświadczył:

— Może tak się wydawało, ale nie mogłem mieć tego na myśli, bo uważam, że odwrot jest w naszych warunkach niemożliwy.

— Tego już ani rusz nie rozumiem — mruknął Valverde.

— Wybacz, wielbny ojciec, ale przerwałeś mi, zbyt pochopnie posądzając mnie o nie wiem jakie bezeceństwa, i nie dałeś mi nawet możliwości wyjaśnić do końca moich planów.

— Proponuję, by nie przerywać więcej kapitanowi — burknął niecierpliwie dowódca artylerii, Candia.

— Słuszna uwaga! — zawołali zgodnie pozostali uczestnicy narady. Dominikanin Valverde, w przeciwieństwie do innych zakonników, nie cieszył się popularnością, gdyż gwałtownym fanatyzmem, porywcznością, węszeniem wszędzie herezji i wtrącaniem się w czysto wojskowe sprawy dał się już wszystkim we znaki.

— A więc, jak powiedziałem — ciągnął Pizarro — odwrot jest równie wykluczony, jak otwarta wojna z Inkami. Bo pomyślcie, jak by ten odwrot wyglądał. Wszystkie przesmyki górskie, a szczególnie owe przeklęte schody, którymi ledwie wdrapaliśmy się na przełęcz — obsadzone przez wojowników Atahualpy. Wszędzie przez całą drogę ukryci w zasadzce Indianie, wszędzie pociski i lawiny głazów walące się nam na głowę. Strach pomyśleć, jakie straty musielibyśmy ponieść. Taki odwrot wśród morza wrogości — to klęska i kto wie, czy nie ostateczna zagłada, to rezygnacja z naszych planów, to niesławny powrót do Panamy.

— Krótko mówiąc, złapaliśmy lwa za ogon i ot, co tu dużo gadać, jesteśmy w kropce: ani zdławić bestii, ani dać drapaka! — zabrzmiał tubalnym głosem ojciec Pedraza (ten od szmaragdów) i zaniósł się takim zaraźliwym śmiechem, że i reszcie zgromadzonych poprawiły się jakoś humory.

— A jednak jest wyjście z tej ślepej uliczki! — zawołał Pizarro usiłując przekrzyczeć wrzawę.

— Jakże? — zapytał wielce zaciekawiony braciszek. — Żeś ty, kapitanie, człowiek z głową, wiemy nie od dzisiaj, ale jeśli zdołasz nas wyciągnąć z tej kabały, to cię, kapitanie, doprawdy ozłocę. Albo nie, nie ozłocę, bo przecież masz więcej złota ode mnie. Mam ci ja w kuferku butelczynę przedniego wina. Mówię ci, nektar, że palce lizać. Odkładałem ją na czarną godzinę, a teraz klnę się na wszystko: z chwilą gdy nas wykaraskasz z oparów, przejdzie w twoje godne ręce. Rzekłem i nie odwołam.

Jowialny, opasły Pedraza, mimo swej chytryści, był postacią powszechnie lubianą, toteż rozbawieni oficerowie słuchali go chętnie. Pizarro też miał do niego słabość, przybrał jednak groźną minę i powiedział:

— Czy ojciec wielbny nie wie, że nie wolno ukrywać prowiantów na prywatny użytek, że idzie się za to na stryczek?

— Po pierwsze — odciął się zakonnik — nie ma takiego stryczka, który by wytrzymał ciężar mojej ziemskiej powłoki, po drugie nazwać ten szlachetny trunek prowiantem toż to herezja

wołająca o pomstę do nieba. To napój dla wybranych, którym jeszcze nie spodłało podniebienia na wikcie, jakim nas karmisz w obozie. Kapitanie, nie targuj się, pókim dobry. Bierz butelczynę, bo mógłbym jeszcze pożałować.

Wśród ogólnej wesołości, jaką zakonnik zdołał wykrzesać mimo przytłaczającego nastroju całonocnej narady, tylko de Soto zachował powagę. Opryskliwie upomniał towarzyszy, aby się opamiętali i wysłuchali wodza do końca. Wobec tego, korzystając z chwilowej ciszy, Tizarro mówił dalej:

— To, co proponuję, jest aż nazbyt proste. Jutro przyjdzie tu na bankiet Atahualpa. Gdy zjawi się na placu, wytniemy w pień jego świętę, i jego weźmiemy do niewoli. Mając go w swojej mocy, będziemy mogli zrobić w tym kraju, co się nam spodoba. Moim zdaniem ryzyko nie jest duże. Przecież wszystkie szanse są po naszej stronie: moment zaskoczenia, piorunujące wrażenie broni palnej i ścisk na tym oto placu, ścisk, który nie pozwoli nieprzyjacielowi wyzyskać swojej przewagi liczebnej. Przypuszczam zresztą, że Atahualpa w swej głupocie wziął zaproszenie za dobrą monetę i nie przyprowadzi ze sobą uzbrojonych ludzi. A nawet gdybym się co do tego mylił, to cóż działają łuki, dzidy i maczugi wobec naszych rapierów, arkebuzów i armat? Towarzysze, jutro bez wielkich zachodów staniemy się panami wielkiego mocarstwa!

Plan zamachu był tak bezprzykładnie awanturniczy, że uczestnicy narady długo nie mogli ochłonąć z wrażenia. Milczenie przerwał w końcu de Soto:

— To, czego zamierza dokonać nasz dostojny wódz, świadczy chlubnie o jego odwadze i pomysłowości. Jest to jednak plan, powiedzmy to sobie otwarcie, diabelnie ryzykowny. Ponadto nie bierze on pod uwagę, że przecież państwo Inków nie kończy się na królu i jego świcie. Tuż pod miastem stoi gotowa do walki trzydziestotysięczna armia wojowników, a wszędzie dokoła otaczają nas miliony wrogiej ludności, która wątpię, czy będzie patrzyła z założonymi rękoma, jak ich król jest poniewierany.

— Mości panowie — zabrał teraz głos znany z zacności rycerz Miguel de Estete — słuchałem z niepokojem, co zaproponował kapitan Pizarro. I uważam, że nie wolno nam krzywdzić człowieka, który ufnie zgodził się być naszym gościem. Walczmy z otwartą przyłbicą, a nie chwytajmy się sposobów sprzecznych z hiszpańskim poczuciem rycerskości i honoru. Ja osobiście zgłaszam sprzeciw.

— Zasady honoru i rycerskości nie obowiązują nas w stosunku do pogańskich dzikusów — zawołał porywczy ojciec Valverde — naszym obowiązkiem jest zwalczać ich ogniem i mieczem, walczyć z nimi do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia.

— Szanuję naszego czcigodnego towarzysza broni Miguela de Estetę — rzekł teraz Pizarro — nie zgadzam się jednak z nim, jeżeli twierdzi, iż zamach na wolność Atahualpy byłby niezgodny z naszym pojęciem honoru. To, co proponuję, jest tylko dopuszczalnym na wojnie fortem, dzięki któremu unicestwimy knowania naszych nieprzyjaciół. Od człowieka, który przywłaszczył sobie tron i wymordował rodzinę swego brata, trudno oczekiwać, żeby nieba nam przychylił, nie bądźmy dziećmi. Zresztą Inkowie to nie chrześcijanie, wobec których istotnie obowiązują nas pewne nakazy rycerskości. Położenie nasze jest bez wyjścia i spory o to, co wolno, a czego nie wolno nam robić, uważam za bezcelowe, pozbawione zdrowego rozsądku.

Ponieważ nikt już więcej w tej sprawie nie zabrał głosu, Pizarro zwrócił się z kolei bezpośrednio do de Sota.

— Natomiast nie pozbawione poniekąd słuszności jest to, co podnosił przed chwilą nasz dobry towarzysz broni de Soto. Są to wątpliwości rycerza znajdującego się na sztuce prowadzenia wojny. Czyż jednak, jak przypuszcza on, rzeczywiście zapomniałem o armii indiańskiej stojącej u bram miasta? Czy zapomniałem o milionowych masach tubylców posłusznych Inkom? Nie, nie zapomniałem bynajmniej. Tyle tylko, że mam na te sprawy zgoła odmienny pogląd.

Zawdzięczam ten pogląd mojemu kuzynowi, Fernandowi Cortezowi, którego spotkałem w Toledo. Zdobywca Meksyku w podobnych okolicznościach zagarnął do niewoli króla Montezumę, a jego poddani nie wystąpili w obronie swego władcy. Opowiadał mi ponadto o dziwnych swoich doświadczeniach, że mianowicie, ile razy Indianie tracili wodza, zawsze wpadali w popłoch i zamieszanie. Jedynie wódz wydawał rozkazy, a gdy go zabrakło, nikt nie ośmielił się zająć jego miejsca. Król czy naczelnik u Indian to jakby głowa u tułowia żywej istoty. Gdy odciąć głowę, tułów drga i ciska się na oślep, aż wreszcie dogorywa. Zauważył to podobno już Kolumb, gdy walczył z dzikimi szczepami indiańskimi.

— Inkowie to nie dzikusy, to twórcy dobrze zorganizowanego państwa — zauważył de Soto.

— Być może, iż doświadczenia naszych braci w Meksyku nie potwierdzą się w państwie Inków, chociaż zaznaczyć trzeba, że również król Inków uchodzi za boga i jest w państwie jedynym rozkazodawcą. Są zresztą inne jeszcze okoliczności, które sprzyjają naszym zamierzeniom. Oto one:

W kraju jest obecnie dwóch królów: uzurpator Atahualpa i uwięziony przezeń Huaskar. Istnieją także dwa obozy ich stronników, gotowych każdej chwili skoczyć sobie do gardła. Jedni i drudzy głoszą, iż jesteśmy wysłannikami Wirakoczy, nie dlatego — podejrzewam — że w to wierzą naprawdę, lecz żeby wykorzystać nasz prestiż boskości i naszą broń palną w zbliżającej się wojnie domowej. Gdy przeto uwięzimy Atahualpę, przynajmniej połowa kraju wpadnie w radość w głębokim przekonaniu, że unicestwiliśmy uzurpatora, by na powrót wprowadzić na tron Huaskara. Zresztą pogłoski, iż tak właśnie uczynimy, zwolennicy zdetronizowanego króla pilnie rozsiewają już po kraju.

— No, ale wojsko stoi wiernie przy Atahualpie. Z nim będziemy mieli do czynienia, a nie ze stronnictwami, których siły w ogóle na razie nie widzę — odezwał się Candia.

— Wojsko składa się głównie z młodzieży zaciągniętej przymusowo wśród podbitych i wrogich Inkom plemion. Armia taka niewiele jest warta. Będzie walczyć karnie, dopóki dowodzi nią Atahualpa, niech jednak tylko król dostanie się do niewoli, natychmiast pójdzie w rozsypkę, do czego zresztą zachęcimy ją szarżami konnicy i kulami z naszej broni palnej.

— A więc dobrze, porywamy Atahualpę i co potem? — zapytał de Soto, któremu plan wciąż jeszcze wydawał się ryzykowny. — Czy owe miliony krajowców nie rzucą się do broni?

— Sądzę, że nie — odparł Pizarro. — Nie zapominajmy, że owe miliony Indian to przeważnie uciskane, różnojęzyczne plemiona marzące o niezawisłości. Co się zaś tyczy ludzi, którzy jednemu lub drugiemu królowi pozostali wierni, to łatwo utrzymamy ich w szachu. A wiecie, w jaki sposób? Po prostu damy im do zrozumienia, że królowie są naszymi zakładnikami i że pozbawimy ich życia, w razie gdyby ktokolwiek próbował przeciwko nam podnieść oręż. Jednocześnie zaszachujemy Atahualpę i Huaskara, obiecując poparcie w walce o tron to jednemu, to drugiemu, zależnie od tego, który z nich okaże większą gotowość podporządkowania się naszej woli.

Rada wojenna przyjęła plan Pizarra dopiero wtedy, kiedy już na świt się zbierało. Oficerowie, chcąc zdrzemnąć się jeszcze przed ranną pobudką, udali się natychmiast do swoich kwater. Ten i ów nie mógł jednak oka zmrzyć: zamiar porwania króla w obliczu jego armii wydawał się im takim szaleństwem, że trudno było uwierzyć w jego powodzenie.

Nazajutrz Pizarro kazał zatrąbić na apel i przedstawił żołnierzom nowy plan działania. Słoneczny i tchnący świeżością poranek niedzielny nie wpłynął jednak na poprawienie nastroju w obozie Hiszpanów. Żołnierze byli zasepieni i nie okazywali zbytniego zapału. Czuli jeszcze w kościach mordęgę wspinaczki po górach, tymczasem wódz zażądał od nich nowego wysiłku, którego wynik wydawał im się co najmniej wątpliwy.

Pizarro czuł, co się dzieje w duszach żołnierskich, tłumaczył więc, iż powodzenie jest rzeczą

najpewniejszą w świecie. Przekonał ich jednak dopiero wtedy, kiedy pod koniec przemówienia odmalował im w nęcących kolorach bogactwa, jakie przypadną im w udziale po rozgromieniu Inków. Dla złota zawsze gotowi byli znosić niewymowne trudy i rzucić na szalę własne życie.

Tymczasem zakonnicy urządzili w jednym z domów kaplicę i sygnaturką wezwali wojsko na nabożeństwo. Konkwistadorzy przystąpili do spowiedzi i przyjęli komunie świętą. Ojciec Valverde wygłosił pełne pasji kazanie, przedstawiając zamach na króla jako godny pochwały czyn religijny, za który czeka ich błogosławieństwo nieba. Żołnierze odśpiewali hymn nabożny z taką żarliwością, że trudno byłoby w nich rozpoznać twardych zdobywców, gotowych popełnić za chwilę odstręczający akt zdrady i gwałtu.

Pokrzepieni na duchu konkwistadorzy rozeszli się do swoich kwater, by ugotować sobie śniadanie. Zjawił się wtedy wysłaniec z zawiadomieniem od Atahualpy, że król niebawem wyruszy w drogę.

Z gorączkowym pośpiechem zabrał się Pizarro do wydania potrzebnych zarządzeń. Piechotę i jazdę podzielił na mniejsze grupy uderzeniowe, a komendę nad nimi powierzył Hernandowi de Soto oraz trzem swoim braciom przyrodnim: Hernandowi, Gonzalowi i Juanowi. Pokładając nadzieję zwycięstwa głównie w szarzy konnicy, kazał obwiesić wierzchowce miedzianymi dzwonekami, aby tym większy popłoch szerzyły wśród Indian.

Dowódcę artylerii Candię ulokował na szczycie skały warownej i polecił mu, by oddał salwę z falkonetek, gdy otrzyma znak chustką do nosa. Sam dobrał sobie dwudziestu wyborowych żołnierzy, gdyż obarczył się najtrudniejszym zadaniem porwania króla z tłoku walczących wojowników. Resztę ludzi poukrywał w domach stojących przy placu i kazał im tam czekać, aż wystrzał z falkonetek da hasło do ataku.

Na placu uczyniło się pusto i cicho. Pizarro dołączył się do Candii i z napięciem obserwował z wysokości skały szosę na grobli, łączącą miasto z obozem indiańskim. Zdenerwowanie narastało z minuty na minutę. Upływały jednak godziny, a w obozie nie ujrzał nic, co by wskazywało, iż król zbiera się do drogi.

Zaczajonym w domach żołnierzom dłużyło się nieznośnie. Nie wolno im było podnosić głosu ani otwierać bram, by zerknąć na dwór. Siedzieli więc w półmroku, nudzili się i przeklinali swój parszywy los. W końcu nie mogli już dłużej usiedzieć beczynn timer i wyblągali u dowódców, by mogli zabawić się w kości. W nikłym świetle, jakie sączyło się przez szpary bram, zapamiętali się w hazardzie do tego stopnia, że w końcu zapomnieli o nakazie milczenia. Domy napełniali takim wrzaskiem, że oficerowie musieli zabronić im tej rozrywki.

Dopiero w południe dał się zauważyć w obozie Inków jakiś niezwykle ruch. Za chwilę wyłonił się spomiędzy namiotów orszak królewski, przekroczył mostek i wyciągnął się w długi, ociężałe poruszający się korowód.

Z wysokości skały widać było jak na dłoni wszystkie szczegóły malowniczego pochodu. Czoło tworzyła kolumna błękitno ubranej służby pałacowej, zamiatającej drogę wiązками ptasich piór. Tuż za tą kolumną płaśała do wtóru bębnow i piszczałek pstrokata czereda tancerzy, tancerek, kuglarzy, błaznow i karłów. W pewnej odległości od tej jarmarcznej kawalkady maszerował z godnością oddział królewskiej gwardii przybocznej, zbrojny w tarcze, dzidy i maczugi. Potem już sunęła, niesiona wysoko na barkach tragarzy, lektyka Atahualpy, kapiąca od złota i klejnotów. Otaczała ją chmara wystrojonych paradnie dostojników państwa, kapłanów i dworaków. Procesję zamykała od tyłu kolumna wojska, licząca tysiąc wojowników.

Pizarro z biciem serca przyglądał się królewskiemu pochodowi. Ponieważ obliczył, że czoło kolumny powinno dotrzeć do miasta za jakieś pół godziny, postanowił powrócić do ukrytych w domach żołnierzy, by zarządzić pogotowie. W tej właśnie chwili stała się rzecz nieoczekiwana. Orszak królewski nagle zatrzymał się w połowie drogi. Służba zakrzętała się żywo i za chwilę

wyrósł nad głowami ludzkiego mrowia biało—złocisty namiot, podobny do ogromnego, odwróconego kielicha lili.

Pizarro gubił się w domysłach, co mogło Atahualpę zatrzymać. Czyżby w ostatniej chwili miały zbudzić się w nim jakieś wątpliwości i podejrzenia? A może przez swoich wywiadowców dowiedział się o przygotowującym się zamachu? Byłaby to dla Hiszpanów nieobliczalna w skutkach katastrofa.

Trapiąc się takimi obawami, spostrzegł naraz, że z obozu indiańskiego wypadł goniec i jak strzała puścił się do miasta. Zabrał więc ze sobą Felipilla i przejąwszy gońca przy bramie na placu, dowiedział się, że Atahualpa postanowił spędzić noc w namiocie na drodze i dopiero nazajutrz wkroczyć do miasta.

Rzecz oczywista, nie było to Pizarrowi na rękę. Żołnierze już parę godzin czatowali w ukryciu, mieli więc nerwy napięte do ostateczności. Gdyby się dowiedzieli, że cały ich wysiłek poszedł na marne i że nazajutrz mają to samo zaczynać od nowa, zniechęciliby się niezawodnie do całego planu, zwłaszcza że od początku nie okazywali dla niego zbyt wielkiego zapału. Prosił więc usilnie Atahualpę przez posłańca, żeby jednak zechciał przybyć jeszcze tego samego wieczoru, zaznaczając, że przygotował już na jego przyjęcie ucztę.

Co kryło się za tym, iż król zatrzymał się nieoczekiwanie w połowie drogi? Otóż rodzina jego i najbliżsi doradcy nie mieli do tej wizyty przekonania. Uważając ją za lekkomyślną i w najwyższym stopniu niebezpieczną, błagali króla, by zechciał zmienić postanowienie.

Atahualpa zgoła nie pojmował ich obaw. Był przecież bogiem, a więc świętą, nietykalną osobą, na którą nikt by nie ośmielił się podnieść ręki, miał przy sobie olbrzymią armię, a w skrytości ducha wciąż jeszcze wierzył, że białych ludzi przysłał mu na pomoc Wirakocza. Sama myśl, że ta garstka zamorskich przybłędów mogłaby mu w czymś zagrażać, wydawała się śmieszna i małosłowna.

W miarę jak zbliżał się do miasta, nasyłano mu najulubieńsze nałożnice, aby ubłagały go o zmianę decyzji. Pod ich wpływem Atahualpa zgodził się w końcu na pewne ustępstwa. Wizytę odłożył do następnego dnia i wysłał do miasta szpiega z zadaniem wyśledzenia, czy cudzoziemcy nie zastawili na niego jakiejś zasadzki.

Czekając na powrót wywiadowcy, król odpoczywał na rozesłanych matach w namiocie. Prośba Pizarra nie zdołałaby zmienić jego decyzji, zbyt błahy był to argument o przygotowanym bankiecie. Nadbiegł jednak wysłany do miasta szpieg z uspokajającą wiadomością: biali wojownicy ukryli się w domach ze strachu na samą myśl, że niebawem staną przed boskim obliczem syna słońca i wodza wielkiej, zwycięskiej armii. Trafiło to do przekonania durnemu królowi, natychmiast więc kazał zwinąć namiot i pociągnął w dalszą drogę.

Słońce miało się już dobrze ku zachodowi, gdy pochód wkroczył do miasta. Niebo zapłonęło łuną, ulice i domy stały jak w ogniu. Powoli przestrzeń placu zalegali ludzie orszaku królewskiego, pozostawiając tylko wolną ścieżkę dla lektyki Atahualpy. Ukryci w domach konkwistadorzy zerkali przez szpary i czekali na wystrzał falkonetek, by wyskoczyć do ataku.

Atahualpa opuścił postawioną na ziemi lektykę w przekonaniu, że powita go wódz białych przybyszów. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy rozglądając się po placu nie ujrzał ani jednego białego człowieka. Niezmiernie zaskoczony, ale nie przeczuwając jeszcze nic złego, odwrócił się do swojej świty i zapytał:

— Gdzie są ci cudzoziemcy?

Wkrótce potem wyszedł z ukrycia dominikanin Vincente Valverde w towarzystwie Felipilla i w dumnej postawie zatrzymał się przed królem. Na jedną chwilę skrzyżowały się spojrzenia przedstawicieli dwóch odrębnych, jakże obcych sobie światów.

Zakonnik wygłosił do władcy płomienne przemówienie, tłumaczone zdanie po zdaniu przez

Felipilla. Opowiadał mu o Adamie i Ewie, o grzechu pierworodnym, o narodzeniu Chrystusa, o tajemnicy Trójcy Świętej, o powierzeniu kluczy Kościoła świętemu Piotrowi i o papieżach, jego spadkobiercach. Papieże — pouczał — rozdzielili powierzona sobie ziemię między królów, a największym wśród nich jest Karol V. Z jego właśnie rozkazu przybył Pizarro do tego kraju, aby nawrócić jego mieszkańców na prawdziwą wiarę świętą i odebrać hołd dla swego mocodawcy. Błagał przeto Atahualpę, aby wyrzekł się grzesznego bałwochwalstwa i przyjął chrześcijaństwo. W końcu wezwał go, by uznał zwierzchnictwo Karola V, który w zamian udzieli mu pomocy w walce z wrogami i weźmie go pod swoją opiekę jako wiernego wasala.

Atahualpa niewiele zrozumiał z przemówienia, pojął jednak, że biały kapłan żąda odeń rzeczy niegodnej króla i wojownika. Czuł, jak wzbiera w nim oburzenie, pohamował się jednak i odpowiedział spokojnie:

— Nie będę niewolnikiem waszego władcy, który, jak utrzymujesz, panuje podobno nad całym światem. Nie znam go i nic dotąd o nim nie słyszałem. Wiem tylko, że tu, w tym kraju, ja jestem największym królem i że nie mam nad sobą nikogo prócz boga Inti. Nie złożę hołdu waszemu panu, lecz chcę być mu bratem i sojusznikiem. Jeśli chodzi o wiarę ojców moich, to nigdy jej nie porzucę. Waszej religii zupełnie nie rozumiem. Powiadasz, że wyznajecie jednego boga, a jednocześnie stale mówisz o trzech bogach. Zapewniasz, że biali ludzie kochają swego boga, a tymczasem dowiaduję się, że go ukrzyżowaliście. My takiej zbrodni nie bylibyśmy zdolni popełnić, my naszego boga kochamy naprawdę, toteż spogląda on na nas łaskawie i obdarza światłem słonecznym.

Powiedziawszy te słowa Atahualpa sięgnął po brewiarz zakonnika i chcąc go obejrzeć spróbował odemknąć złotą kłamrę. Ale książka wysunęła mu się z rąk i potoczyła na ziemię. Valverde uniósł się niepohamowanym oburzeniem na widok sponiewieranej księgi świętej. Zwrócił się gwałtownie do zaczajonych w domach towarzyszy i zawołał z pasją:

— Bracia! Nie traćmy czasu na rozmowę z tym psem pogańskim! Naprzód, do ataku z imieniem świętego Jakuba na ustach! Opuuszczam wam wszystkie grzechy, jakie tu popełnicie!

Pizarro wyskoczył z jednego z domów i dał Candii umówiony znak chustką. Gruchnęła palba z armatek, ze wszystkich kryjówek wypadła hurmem piechota i jazda, buchnęły gromkie okrzyki:

— Santiago, Santiago!

Stłoczeni na placu Indianie stali jak rażeni piorunem. Zanim się spostrzegli, runęło na nich rozbastwione żołdactwo zadając razy na prawo i lewo. Konie chrapały i toczyły pianę, stawały dęba i były kopytami w powietrzu, tratowały się w ciżbie ludzkiej jak oszalałe. Rozległy się okrzyki zgrozy i jęki rannych, które wnet wezbrały w jeden nieludzki ryk przerażenia.

Huk armat i arkebuzów, grozę budzący widok czworonożnych potworów, szcęk żelaza i kwaśny zapach spalonego prochu — wszystko runęło na bezbronnych Indian z taką wstrząsającą mocą, że nikt nie myślał się bronić. Wojsko, służba, kobiety i dostojnicy pomieszali się ze sobą w jedno kłębowisko obłąkanych z przerażenia, rozpychających się ludzi. Tych, co usiłowali przepchnąć się przez bramy, kładli trupem czatujący tam żołnierze. Pod naporem ciał ludzkich zawałiła się w pewnej chwili gliniana ściana zamykająca przestrzeń placu. Skorzystało z tego mnóstwo Indian, by wymknąć się na przyległe ulice miasta. Za zbiegami puścili się jednak w pogoń rajtarzy i wysiekli ich do nogi.

W tym czasie Pizarro rzucił się na czele swojego przybocznego oddziału na Atahualpę z zamiarem porwania go żywcem do niewoli. Natknął się przy tym na zgola nieoczekiwany opór. Wprawdzie król, oszołomiony i wstrząśnięty napaścią, nie bronił się ani nie próbował szukać ratunku w ucieczce, osłaniał go jednak mur dostojników i wojowników, którzy z pogardą śmierci przyjmowali na siebie ciosy Hiszpanów. Pizarro i jego podkomendni, rozjuszeni przeszkodą, siekli, dźgali i tratowali, by dorwać się do króla. Ale w wyrwy wskakiwali natychmiast inni

Indianie. Niektórzy z nich nie ograniczyli się do biernej obrony, lecz czepiali się strzemion, usiłowali jeźdźców ściągnąć z siodła lub wykłuć wierzchowcom oczy palcami.

Żołnierze nacierali z coraz większą furią i w zapale walki nastawiali nawet na życie samego króla. Jeden z konkwistadorów wymierzył w niego rapier i byłby go ugodził śmiertelnym sztychem, gdyby Pizarro w ostatecznej chwili nie odparował ciosu ramieniem, odnosząc przy tym lekką ranę.

W końcu, gdy już nie stało obrońców, bierny opór wygasł i żołdacy dopadli wreszcie samego króla, zdzierając z niego drogocenny płaszcz, klejnoty i nawet królewską opaskę borla. Pizarro wydarł go z rąk rabusiów pokrytego sińcami i prawie gołego.

Wiść o klęsce i uwięzieniu Atahualpy w mgnieniu oka dotarła do armii indiańskiej, która najspokojniej obozowała przy pałacu królewskim? Wojownicy nie myśleli o pospieszeniu królowi na odsiecz, lecz w popłochu rzucili się do ucieczki. Hiszpanie splądrowali więc bez oporu pałac królewski i obladowani łupami wrócili do miasta, pędząc przed sobą trzy tysiące jeńców i cały harem Atahualpy.

Plac miejski zaległo dwa tysiące trupów indiańskich. Z wyjątkiem Pizarra ani jeden Hiszpan nie odniósł rany. Potężne państwo Tawantinsuju, mocarstwo liczące miliony mieszkańców i osłaniane przez dziesiątki tysięcy wojowników, runęło po niecałej godzinie walki.

Atahualpa zachowywał się tak, jak gdyby nie dotarło do jego świadomości, co zaszło, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z potwornych rozmiarów klęski. Chłodny i opanowany, czekał na los, jaki zgotują mu straszliwi cudzoziemcy. Ale Pizarro okazał mu wszystkie względy należne królowi i zapewniał, iż jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Jeniec spojrział na niego nieodgadnionym wzrokiem i rozkładając ręce z wyrazem rezygnacji powiedział:

— Losem króla jest zwyciężać lub być zwyciężonym.

Tymczasem zapadła noc. Na placu zapłonęły ogniska i pochodnie. Pizarro zaprosił króla do stołu na wieczerzę. Atahualpa usiadł przy nim, lecz nie tknął podawanych mu potraw.

Żołdacy, pijani zwycięstwem, alkoholem i widokiem zdobytych łupów, przypominali bandę wyuzdanych i rozwrzeszczanych łotrzyków. Wśród śmiechów i przekleństw wszczynali burdy przy podziale jeńców i wydzierali sobie z rąk co urodziwsze branki. Pizarro musiał użyć całego swego autorytetu, by uratować od ich zachłanności siostry i nałożnice króla.

Po dokonaniu podziału każdy żołnierz otrzymał do osobistej posługi paru niewolników i przynajmniej po jednej brance. Mimo to pozostała jeszcze spora liczba jeńców, z którymi nie wiadomo było, co począć. Wśród żołdactwa podniosły się krzyki, by odrąbać każdemu z nich prawe ramię dla ostrzeżenia reszty ludności indiańskiej. Ale Pizarro oparł się ohydnyemu żądaniu i kazał jeńców wypuścić cało na wolność.

Zabrano się następnie do trupów zalegających rozległą przestrzeń placu. Poległych Inków obdarto do naga, a drogocenne szaty, złote ozdoby i szlachetne kamienie ułożono w sterty.

ZNIEWAGA BOGÓW

Pizarro przydzielił Atahualpie na rezydencję jeden z pałaców i pozwolił mu żyć na stopie królewskiej, w otoczeniu najbliższej rodziny, dworaków i służby. Król zamieszkał w pomalowanym na czerwono pokoju, gdzie mógł bez przeszkód przyjmować poddanych i delegacje z całego kraju.

W niewoli nie postradał nic ze swej dumy i wyniosłości. Dostojnicy państwa musieli godzinami wystawać przed drzwiami, zanim ich przyjął. Dopuszczeni przed jego oblicze,

wchodzili boso z zawieszonym na plecach kamieniem na znak pokory, padali pokotem i zbliżali się do jego stóp na czworakach. Król ledwie raczył na nich spojrzeć i wydawał polecenia szorstkim, chrapliwym głosem.

Dbął skrupulatnie o to, by nic nie uronić z świetności swego osobistego życia. Obsługiwany przez roje kobiet, jadał tylko ze złotych i srebrnych półmisków. Resztki posiłku natychmiast spalano, aby nikt z poddanych nie tknął ich świętokradczymi ustami. Codziennie zmieniał ubiór; nawet najdrogocenniejsze szaty z delikatnej wełny wiguni nosił tylko raz jeden, potem odkładano je na zawsze do osobnej skrzyni.

O ile wobec poddanych Atahualpa zachowywał daleki dystans boskiego syna słońca, o tyle w stosunku do Hiszpanów stawał się rozmowny, uprzejmy, omal wesoły. Z uśmiechem opowiadał im rozmaite fakty ze swego życia, a szczególnie chętnie rozwodził się nad przebiegiem swego zatargu z Huaskarem. Pizarro odwiedzał go codziennie i często spożywał z nim posiłek.

Prawdziwą, odwzajemnioną przyjaźń zawarł król z Hernandem Pizarro i Hernandem de Soto. Przypadli oni sobie do gustu od pierwszego spotkania i spędzali razem długie godziny na rozmowach i rozrywkach. Najdziwniejsze było to, że przyrodni brat Pizarra, tak przecież arogancki i szorstki wobec towarzyszy broni, przejął się do głębi losem króla, roztoczył nad nim opiekę i starał mu się ulżyć w nieszczęściu.

Atahualpa nauczył się gry w kostki i w szachy. Do szachów zapłonął taką pasją, że spędzał przy nich wszystkie swoje wolne chwile. Przyjaciele spostrzegli wkrótce ku swojemu zdumieniu, że uczeń prześcignął mistrza. Król z nieomylnym instynktem rozstawiał figury na szachownicy i bił na głowę wszystkich Hiszpanów, którzy chcieli się z nim zmierzyć. Gdy wygrywał, cieszył się jak dziecko i nigdy nie mógł wyjść z podziwu, że nabrał takiej wprawy.

Przychodził do niego często także ojciec Valverde i usiłował nawrócić go na katolicyzm. Rozmowy ich, prowadzone za pośrednictwem Felipilla, nie przyniosły jednak żadnych skutków. Gdy mowa była o Trójcy Świętej, Atahualpa zauważył nie bez dumy, że w religii Inków istnieje również trójca bogów, a mianowicie Wirakocza, bóg Inti i on sam jako jego syn. Kiedyś zakonnik prawił mu o chrześcijańskich cnotach pokory i miłości bliźniego. Król był niezmiernie zafrapowany i z lekkim przekąsem odpowiedział:

— Pokora i miłość bliźniego to cnoty, które obowiązują poddanych, a nie Inków. A zresztą nie widzę, abyście wy te cnoty między sobą uprawiali. Dlaczego więc mamy być posłuszniejsi waszym bogom niż wy, ich wyznawcy?

Zdawało się w pewnej chwili, że Atahualpa zaczyna chwiać się w swojej wierze. Z miną strapioną powiedział ojcu Valverde, że ma wielki żal do swoich bogów.

— Dlaczego? — zapytał go pełen nadziei zakonnik.

— Bo okłamali mnie i mego ojca. Gdy mój rodziciel Huayna Kapak zachorował i prosił ich przez kapłanów o radę, jak ma się leczyć, kazali mu wykapać się w morzu. Usłuchał ich i wkrótce potem umarł. Gdy przyszlście do naszego kraju, zapewniłi mnie, iż was zwyciężę. I oto co ze mną się stało. Bogowie nie mogą się mylić, mogą tylko kłamać. I dlatego mam do nich żal.

— A może twoi bogowie nie są bogami, tylko złymi duchami, których trzeba się wyrzec?

— Jeżeli tak sądzisz, to musiałbym przyznać, że złym duchom naszego kraju zawdzięczacie zwycięstwo, bo dzięki ich kłamstwom dostaliście mnie w swoje ręce. Czyż wobec tego bóg białych ludzi może być dobrym bogiem, skoro zawarł przymierze ze złymi duchami?

Valverde otworzył usta ze zdumienia i nie próbował już w tym dniu nawracać króla.

Atahualpa nie tracił nadziei, że sprawa jego weźmie obrót pomyślny. Liczył bowiem wciąż na odsiecz swego wodza Ruminawiego, który w chwili zamachu przebywał na czele silnej armii w pobliżu Cajamarki.

Upływały jednak dni i tygodnie, a Ruminawi nie dawał nawet znać o sobie, chociaż nie miał

żadnych trudności z wysłaniem gońca.

W końcu jednak nadeszła wiadomość, która wtrąciła Atahualpę w rozpacz. Ruminawi okazał się zdrajcą. Ruminawi, obsypywany zaszczytami, nie tylko porzucił go na łaskę i niełaskę wrogów, ale nawet obrócił broń przeciwko samemu królowi i dobroczyńcy.

Z prowincji Quito nadbiegł wierny Atahualpie poddany z przerażającą wieścią. Ruminawi zaraz po zamachu pospieszył z armią na północne obszary państwa i samozwańczo ogłosił się królem, a oporne plemiona krwawo dziesiątkował. Krewniaków Atahualpy zwabił do siebie pod pozorem, że pragnie ich obronić przed Hiszpanami, i wymordował okrutnie. Tyran szerzył taki postrach wśród ludzi, że w popłochu uciekali na południe, chociaż wiedzieli, że wpadną tam w ręce białych najeźdźców.

Atahualpa nie zdołał jeszcze ochłonąć z przerażenia, gdy nadeszły nowe złowrogie wieści: Huaskar wysłał poselstwo do Pizarra i ofiarował fantastyczny okup w złocie, srebrze i szlachetnych kamieniach, jeżeli dopomoże mu do odzyskania wolności i władzy. Pizarro, zagadnięty przezeń w tej sprawie, potwierdził wiadomość. Zapowiedział przy tym, że zamierza Huaskara sprowadzić do Cajamarki, by rozpatrzyć ich zatarg i ustalić, kto ma większe prawo do tronu.

Atahualpa doszedł do wniosku, że musi za wszelką cenę pokrzyżować te plany. Wiedział przecież, że Huaskar miał nie tylko większe prawo do tronu, lecz że ponadto jego łagodny, uległy charakter bardziej sprzyjać będzie interesom Hiszpanów. Wysłał więc przez tajnego gońca rozkaz, by go zamordowano. Królewskiego więźnia straż Atahualpy utopiła w rzece Andamarca. Tonąc, Huaskar zdążył jeszcze wykrzyknąć, że biały człowiek pomści jego śmierć.

Zawiadomiony o zabójstwie Pizarro nie posiadał się z oburzenia; jego polityka trzymania obu królów w niepewności została za jednym zamachem zniweczona. Atahualpa twierdził, że nic nie wiedział o planowanym morderstwie, i tłumaczył, iż Huaskara zabili strażnicy, ponieważ obawiali się, że jego liczni poplecznicy, korzystając z zamętu w kraju, zechcą odbić go z więzienia.

Odtąd zapanował w pałacu nastrój lęku i przygnębienia. Pizarro długo nie mógł ochłonąć z gniewu, a król zatonął w ponurych myślach, trapiąc się o swoją przyszłość. Gorączkowo szukał sposobów odzyskania wolności i w końcu zdawało mu się, że wpadł na szczęśliwy pomysł.

Nazajutrz rano prosił Pizarra, by zechciał go odwiedzić, gdyż ma mu do zakomunikowania coś niezwykle ważnego. Wódz hiszpański, wielce zaciekawiony, przybył bez zwłoki.

Król spojrzawszy swymi przekrwionymi oczyma i zapytał:

— Czy biały wódz byłby gotów przywrócić mi wolność za okup?

— Za okup? — spytał zaskoczony Pizarro. Po namyśle uśmiechnął się pod nosem i z lekką drwiną w głosie dodał: — Za okup, powiadasz. No dobrze, jaki ofiarujesz mi okup za wolność?

Atahualpa podszedł blisko do ściany, stanął na palcach i z wyciągniętą nad głową prawicą powiedział:

— Wypełnię pokój do tej oto wysokości złotymi przedmiotami, i dorzucę ponadto dwa razy tyle srebra.

Pizarro osłupiał ze zdumienia. Pokój, w którym się znajdowali, miał pięć i pół metra szerokości i siedem metrów długości, a wysokość wskazana przez króla wynosiła co najmniej dwa i pół metra. Wiedział już oczywiście, że kraj jest bogaty w złoto i srebro, w najśmielszych jednak marzeniach nie przypuszczał, że może być tego kruszcu tak niewiarogodnie wiele. Po chwili schylił się po kawałek zwęglonego drewna, które wypadło z ogniska, i naznaczył wskazaną na ścianie wysokość grubą krechę.

— Jeżeli w ciągu dwóch miesięcy wypełnisz pokój do tej kreski — oświadczył — wypuścimy cię na wolność i wprowadzimy z powrotem na tron.

— Jaką dasz mi porękę, że dotrzymasz słowa?

— Słowo moje jest święte — obruszył się Pizarro. — Zresztą mój sekretarz sporządzi umowę, a my ją podpiszemy krzyżykami. Taki dokument jest pewny jak mur.

Atahualpa rozesłał po kraju kurierów z poleceniem, aby natychmiast przysłano mu wszystko złoto i srebro, które przechowywano w świątyniach i pałacach.

Po trzech tygodniach istotnie zaczęły napływać do Cajamarki karawany lam obciążonych skarbami. Były między nimi przedmioty przedziwnej piękności, które nawet w prostackich konkwistadorach budziły podziw. Nikt nie myślało tym, by zachować je nietknięte jako przedmioty o wielkiej wartości artystycznej. Czary, kubki, puchary, wazy, misy i paradną broń Inków znoszono do pokoju Atahualpy i zsypywano brutalnie na posadzkę.

Hiszpanie, oszołomieni widokiem niebywałych bogactw, niepewni chwilami, czy to sen, czy jawa, przyglądali się rozgorączkowanymi z chciwości oczyma, jak rósł poziom nagromadzonego złota i srebra. I pomimo że codziennie przybywały karawany, niecierpliwicko się i oskarżali Atahualpę, że podstępnie hamuje wykonanie umowy.

Rzeczywiście okup nadchodził coraz opieszalej. Nie sposób było dociec, czy kraj został już do cna ogołocony ze skarbów, czy też tkwiła za tym czyjaś intryga.

Winę ponosili częściowo kapłani w Cuzco, Pachacamac i na świętych wyspach Titicaca. Byli oni zwolennikami Huaskara i nieprzejednanymi wrogami Atahualpy. Ani myśleli więc zastosować się do polecenia zniechęconego uzurpatora. Posągi bogów i królów oraz święte emblematy słońca w kształcie ogromnych tarcz ze złotego kruszcu bądź zagrzebali w ziemi, bądź zatopili w jeziorach. Między innymi zginął bez śladu i dotąd się nie odnalazł sławetny łańcuch, który Huayna Kapak kazał wykuć dla uczczenia urodzin swego pierworodnego syna. Do dnia dzisiejszego krąży wśród Peruwiańczyków legenda, że spoczywa on na dnie jeziora Urcos. W czterdzieści lat później głuche wieści o ukrytych skarbach poniekąd się potwierdziły, w górach Vilcapampa bowiem znaleziono ogromny złoty dysk słońca, wysadzany perłami i szmaragdami. W roku 1572 wicekról Peru don Francisco de Toledo posłał go w darze królowi hiszpańskiemu Filipowi II.

Gdy minęły już prawie dwa miesiące i okup nadchodził coraz rzadziej, Pizarro w gwałtownych słowach oskarżył Atahualpę, że z rozmysłem utrudnia wykonanie umowy. Król bardzo był przygnębiony, gdyż zrozumiał, że poddani przestali go słuchać i pozostawili na łaskę i niełaskę białych najeźdźców. Usprawiedliwiał się, jak mógł, i tłumaczył zwłokę trudnościami terenowymi, jakie karawany musiały pokonywać w drodze do Cajamarki. Odległość między Cajamarką a Cuzco rozstawni gońcy wprawdzie przebiegali w ciągu pięciu dni, ale obciążone ciężarem karawany potrzebowały na to istotnie tygodni. Na dowód dobrej woli król zaproponował, aby Pizarro wysłał do Cuzco i Pachacamac własnych ludzi, a on gotów był zaopatrzyć ich w glejt królewski i upoważnienie do odebrania złota.

Pizarro przyjął propozycję. Do Pachacamac wysłał swego przyrodniego brata Hernanda z dwudziestoma jazdą, przydzielając mu do pomocy oficerów Miguela de Estetę i Xereza, któremu zawdzięczamy opis tej podróży. Zadanie przywiezienia skarbów ze stolicy powierzył dzielnemu konkwistadorowi Martinowi de Mogue i trójce przydzielonych mu rycerzy.

Z Cajamarki do Pachacamac było tylko jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów, ale droga wiodła najpierw przez mroźne góry, a potem skręcała w nizinę nadmorską, gdzie panowały z kolei podzwrotnikowe upały.

Wśród wysokich Andów niektórzy konkwistadorzy nabawiali się choroby śnieżnej i cierpieli na halucynacje. Na śnieżnych szlakach ukazywały im się na przykład stada różowych flamingów lub też palmy przydrożne.

Pewnego dnia wydawało się, że choroba śnieżna dotknęła cały oddział Hernanda. Zamajaczył

mu bowiem na drodze jakiś pagórek, który w słońcu tryskał kaskadą złotych i srebrnych iskier.

Przywódca ekspedycji ruszył naprzód, by wyjaśnić, czy dziwne zjawisko jest rzeczywistością, czy też jedną z tych ułud, jakim ulegli pod wpływem choroby górskiej. Okazało się jednak, że przy drodze odpoczywała karawana indiańska, która wiozła ogromne ilości złotych i srebrnych przedmiotów na okup dla Atahualpy. Tragarze stali obozem na drodze i one właśnie, błyszcząc i migocząc w słońcu, zafrapowały Hiszpanów.

Wraz ze zbliżeniem się do Pachacamac okolica stawała się coraz ludniejsza. Drogami i drózkami sunęły zbiorowe pielgrzymki pobożnych Indian, widać było coraz więcej miasteczek i wiosek tonących w zieleni sadów. Hiszpanów witano wszędzie gościnnie i serdecznie, przydzielano im wygodne kwatery i zaopatrywano obficie w żywność. W niektórych miejscowościach ludność wyszła im nawet na spotkanie z muzyką i lancami.

Pachacamac, siedziba najstarszego boga ludów peruwiańskich, leżał nad morzem w pięknej i żyznej dolinie, przez którą wiała się rzeczka Iurin. Było to ogromne, z rozmachem rozbudowane miasto, pełne rozległych placów, szerokich ulic i okazałych gmachów. Główny akcent miasta tworzyła wysoka, ponad dachy wystrzelająca piramida, zbudowana z milionów cegieł suszonych na słońcu i ozdobiona freskami wyobrażającymi ptaki. Otaczał ją u stóp wysoki mur obronny, a zbocza wypełniały amfiteatralnie klasztory kapłanów i zabudowania gospodarcze. Strone schody prowadziły na sam szczyt, gdzie w chmurze rozwrzeszczanego ptactwa morskiego widniał sędziwy chram boga Pachacamaca, niewidzialnego stwórcy wszechrzeczy, „Wielkiego Ducha”, którego imię było tak święte, że nikt nie odważył się go wymawiać.

Przez setki, jeśli nie tysiące lat zmierzały do miasta nieprzeliczone pokolenia pątników peruwiańskich. Niektórzy przybywali ostatkiem sił, aby umrzeć w cieniu świątyni. Dlatego u stóp piramidy rozciągało się ogromne cmentarzysko, liczące miliony grobów. Inni znowu pragnęli zasięgnąć rady u wyroczeni. By jednak zasłużyć na nią, musieli kapłanom przynosić cenne dary i zachowując ścisły post czekać przy bramie muru przez dwadzieścia dni.

Oddział jazdy hiszpańskiej wywołał wśród tłumu pątników niebywałe poruszenie. Zdjęci zabobonnym strachem, Indianie ustępowali przed końmi, przekonani, że widzą jakieś nieziemskie stwory.

Hernando Pizarro skierował się wprost do najniższej bramy świątyni u stóp piramidy. Zastąpiła mu drogę grupa biało ubranych kapłanów zaklinając w nieznanym języku, by nie przestępował progu świętego miejsca. Hiszpanie odepchnęli ich bez ceregieli i pozostawiając wierzchowce przy bramie weszli schodami na wierzchołek piramidy. Przed drzwiami świątyni znowu zagroził im drogę z rozkrzyżowanymi ramionami sędziwy arcykapłan, ubrany w haftowane złotem szaty. Jeden z konkwistadorów brutalnym pchnięciem łokcia powalił go na ziemię.

Dziwnym zbiegiem okoliczności miastem wstrząsnęło w tej chwili krótkie, gwałtowne trzęsienie ziemi. Indianie przekonani, że bóg Pachacamac objawia w ten sposób niezadowolenie z powodu zbezczeszczenia swego domu, padli pokotem na twarze i jęklivymi głosami wołali:

— Panie nasz, ojciec nasz, zlituj się nad nami!

Hiszpanie ze swej strony triumfowali, gdyż doszli do wniosku, że trzęsienie ziemi jest protestem szatana zagrożonego w swej władzy przez wyznawców prawdziwego kościoła. Usiłowali też zaraz wtargnąć do świętego chramu boga Pachacamaca, ale zamknięte wierzeje z twardego drzewa, ozdobione bogatą mozaiką z górskich kryształów, turkusów i koralu, trzymały mocno pod ich naporem.

Nie zważając na ozdoby, walili kolbami do bramy i domagali się wpuszczenia, odpowiadały im jednak tylko głuche odgłosy uderzeń. Wtedy chwycili za topory i wyrąbali otwór, podczas gdy arcykapłan załamywał ręce, jęczał i błagał boga o ukaranie świętokradców.

Stanąwszy na progu Hiszpanie rozglądali się po świątyni z wielkim rozczarowaniem. Przybytek tajemniczego bóstwa okazał się mroczną, pozbawioną skarbów komorą. W najdalszym i najciemniejszym miejscu stał drewniany posąg mężczyzny w powłóczystych szatach. Popękane i szerniałe drzewo oraz prymitywny styl rzeźby świadczyły ponad wszelką wątpliwość, że bałwan liczył sobie sporo setek lat i powstał w bardzo odległych czasach, kiedy sztuka rzeźbiarska Indian stawiała dopiero pierwsze kroki.

Nie zważając na protesty i lamente Indian, Hernando kazał wywlec posąg przed świątynię i pogruchotać toporami. Na jego miejscu ustawiono krzyż wyciosany naprędce z tarcic.

Konkwistadorzy zabrali się teraz do grabienia przyległych zabudowań, co przecież było głównym celem ich wyprawy. Ale zagarnięte łupy nawet w przybliżeniu nie odpowiadały ich oczekiwaniom. To, co zdołali zebrać, przedstawiało wprawdzie nie byle jaką wartość, ale dalekie było od owych legendarnych bogactw, z jakich słynęła świątynia Pachacamaca. Nie ulegało wątpliwości, że kapłani, uprzedzeni o zamiarach cudzoziemców i wrogo usposobieni do uzurpatora Atahualpy, zdążyli zawczasu ukryć je w bezpiecznym miejscu. Najeźdźcy pienili się z wściekłości, brali na tortury kapłanów i dostojników miasta, nie zdołali jednak zmusić ich do ujawnienia skarbów. Żołnierze przeszukali wszystkie zakamarki, rozkopywali nawet groby i burzyli domy w poszukiwaniu złota. Hernando spostrzegł, że części drewniane świątyni są przymocowane złotymi gwoździami, kazał więc je powyciągać i uzyskał w ten sposób około 625 kilogramów złota.

W powrotnej drodze do Cajamarki Hernando dowiedział się, że w miasteczku górskim Jauja stacjonuje z liczną armią Czalkuk Czimu, stary, doświadczony wódz, który walnie dopomógł Atahualpie do zwycięstwa nad Huaskarem. Wysłał więc do niego gońca i prosił o spotkanie w celu omówienia warunków rozejmu.

Czalkuk Czimu dał odpowiedź odmowną. Pizarro wpadł tedy na zuchwały pomysł. Mimo że miał w swoim poczcie tylko dwudziestu żołnierzy, postanowił osobiście wybrać się do upartego wodza i zwabić go do Cajamarki, chociażby musiał użyć siły. Hiszpan był zbyt butny, zbyt przekonany o wyższości białych nad tubylcami, by wątpić w powodzenie szalonego planu.

Droga do miasta Jauja wiodła przez dzikie okolice górskie i była szczególnie uciążliwa dla jazdy. W dodatku okazało się, że konie zużyły lub pogubiły podkowy. Ponieważ konkwistadorzy nie mieli żelaza, spędzili złotników z miasta i kazali im odlewać podkowy ze srebra. Rzemieślnicy indiańscy znakomicie wywiązali się z narzuconego im zadania, toteż już po kilku dniach oddział hiszpański mógł ruszyć na niebezpieczną i karkołomną wyprawę.

Hernando Pizarro po niesłychanie trudnym i wyczerpującym marszu zjawił się w Jauja i zastał tam armię indiańską liczącą co najmniej trzydzieści tysięcy wojowników. Czalkuk Czimu nie skorzystał ze swej przytłaczającej przewagi liczebnej i nie zaatakował garstki śmiazków. Odkąd uwięziono Atahualpę, żył w ciągłej rozterce i nie wiedział, co ze sobą począć. Wiadomość o ujęciu króla przez cudzoziemców jakby za sprawą czarów, i to właśnie w chwili największego triumfu — uderzyła go jak obuchem i odjęła mu energię do działania. Nie spieszył królowi z odsieczą, gdyż nie był pewien, czy byłoby to po jego myśli. Gdy przeto Pizarro namówił go wreszcie do układów i zapewniał, że król wzywa go do siebie, rozpuścił swoją armię i dobrowolnie udał się do Cajamarki. Był to dla Hiszpanów ogromny sukces: zręczną dyplomacją i podstępem został unieszkodliwiony niebezpieczny i ostatni ośrodek zbrojnego oporu Indian.

Dopiero w drodze do Cajamarki Hiszpanom otworzyły się oczy, jak ważną figurą jest ich dobrowolny jeniec. Czalkuka Czimu niesiono w poźlocistej lektyce w otoczeniu mrowia Inków i wojowników wysokiej rangi. Ludność, w tajemniczy sposób uprzedzona o zbliżaniu się wielkiego wodza, ustawiała się przy drodze szpalerami i oddawała mu czołobitne hołdy jako najwyższemu po królu dostojnikowi w państwie.

W tym samym czasie udał się do Cuzco wraz z trzema żołnierzami Martin de Mogues. Dzięki glejtowni Atahualpy odbyli oni daleką drogę w największej wygodzie. Cała armia tragarzy, zmieniając się co kilka kilometrów, niosła ich w wyściełanych futrami lektykach. W miastach i wioskach ludność witała ich gościnnie jako wysłańców Wirakoczy. W samym Cuzco przyjęto ich jak bogów; ludność zalegała ulice i wśród radosnych okrzyków obsypywała ich kwiatami.

Miasto i jego bogactwa wprawiły Hiszpanów w największe zdumienie. Mimo że większość skarbów zabrano już na okup, część zaś pochowali kapłani, świątynia wciąż jeszcze lśniła złotem i srebrem. Konkwistadorzy nie śmieli tknąć obsypanych klejnotami mumii królewskich, zabrali się jednak do gruntownego odarcia wszystkich budowli ze złota i srebra.

Szczególłą chciwość budził w nich złoty gzyms zdobiący zewnętrzne ściany świątyni słońca Korikanczy. Do zerwania gzymsu spędzili miejscowych rzemieślników, a gdy Indianie wzdragali się wykonać ten rozkaz, ponieważ poczytywali to za świętokradztwo, żołnierze zmusili ich do tego siłą. Dostojników, którzy protestowali przeciwko grabieży, odprowadzili pogardliwie i arogancko. Doszło do tego, że pewnego dnia wtargnęli do klasztoru „dziewic słońca” i dopuścili się tam gwałtu. Nikt nie śmiał im w tym przeszkodzić w obawie, że ściąganie na siebie gniew straszego Atahualpy.

Okazało się, że gzyms składał się z siedmiuset złotych blach, z których każda ważyła od dwóch do pięciu kilogramów. Cały ten fantastyczny łup załadowano na grzbiety dwustu łam. Karawana ruszyła po paru tygodniach w drogę powrotną i przybyła do Cajamarki bez przeszkód.

ŚMIERĆ ATAHUALPY

Pod nieobecność obu ekspedycji nadeszła do Cajamarki wiadomość, że w San Miguel wylądował wreszcie Almagro. Na trzech karawelach dowodzonych przez kapitana Ruiza, przywiózł on posiłki, mianowicie stu pięćdziesięciu żołnierzy piechoty, pięciuset jazdy oraz spore zapasy broni, amunicji i prowiantu.

Pizarro bardzo ucieszył się z nadejścia posiłków, gdyż pozwoliło mu to myśleć o marszu do Cuzco i podbiciu całego królestwa Inków. Jednocześnie nadeszły niepokojące pogłoski: osobisty sekretarz Almagra Perez ostrzegł Pizarra w tajnym liście, że współnik nie ma zamiaru z nim współpracować, lecz pragnie wywalczyć sobie niezawisłą kolonię.

Perez nie działał z własnej inicjatywy. W obozie Almagra istniała grupa ludzi, która intrygami dążyła do powaśnienia obu wodzów, aby wyciągnąć przy tej okazji jak najwięcej korzyści dla siebie. Ale Pizarro postanowił wyjaśnić sprawę po męsku: list sekretarza odesłał Almagrowi i oświadczył, iż nie dał wiary nikczemnym oszczerstwom. Próbę siania niezgody Perez przypłacił śmiercią na szafocie.

Almagro przybył do Cajamarki w połowie lutego 1533 roku. Został przyjęty entuzjastycznie. Żołnierze witali go jak zbawcę, a Pizarro uściskał go i jeszcze raz zapewnił, że podzieli się z nim rzetelnie wszystkimi łupami, jakie zdobędzie w tym kraju.

W maju tegoż roku powróciły do Cajamarki ekspedycje z Pachacamac i Cuzco.

Wódz Czalkuk Czimu, który z własnej woli przyłączył się do oddziału Hernanda Pizarra, udał się natychmiast do Atahualpy, by złożyć mu hołd i otrzymać odeń rozkazy.

Król przyjął go siedząc na złotym zydlu. Czalkuk Czimu stanął na progu komnaty boso, z zawieszonym kamieniem na plecach na znak pokory. Na widok uwięzionego władcy padł na ziemię jak długi, przyczołgał się i żałośnie szlochając przywarł ustami do sandałów królewskich.

Atahualpa spojrział na rozdygotane ciało starego, wiernego wodza i starając się z całych sił opanować wzruszenie, szepnął do niego: „Witam cię, bracie”. Zaraz spowił się jednak w pozory

majestatycznej wyniosłości, żeby nie zdradzić swej utajonej męki. Nie żądając nawet, by wódz złożył mu sprawozdanie, odprawił go lekkim skinieniem ręki. Czalkuk Czimu wycofał się z komnaty tyłem i zamknął w przydzielonym sobie pokoju, gdzie w samotności rozpamiętywał nieszczęścia, jakie spadły na Inków.

Martin de Mogues przyprowadził z Cuzco niezwykłą branwę. Była to księżniczka Huailias Nusta, córka króla Huayny Kapaka i siostra przyrodnia Atahualpy. Francisco Pizarro, olśniony jej urodą, postanowił pojąć ją za żonę. Kierowały nim zresztą również względy polityczne, gdyż fakt spowinowacenia się z domem królewskim mógł w niemałym stopniu dopomóc mu do opanowania kraju. Atahualpa ze swej strony chętnie przystał na to małżeństwo, łudząc się, że Pizarro jako szwagier okaże mu więcej przychylności.

Zakonnicy przygotowali oblubienicę do chrztu i przyjmując ją na łono Kościoła katolickiego nadali jej imię Dona Ines. Wkrótce potem odbyły się uroczyste zaślubiny. Młoda parę witały przed kościołem radosne okrzyki żołnierzy, salwy broni palnej oraz dźwięki trąbek wojskowych. W weselu brał udział Atahualpa oraz wielu dostojników indiańskich. Tego dnia zdawało im się, że nastąpiło pojednanie i zbratanie z Hiszpanami, że małżeństwo córki krwi królewskiej z białym wodzem przyniesie wolność uwięzionemu królowi i nowy okres świetności państwa „Czterech stron świata”.

Po uroczystościach weselnych Pizarro zastanawiał się nad planem dalszej kampanii zaborczej. Ale swobodę jego ruchów kępował nieporęczny okup Atahualpy, składający się z mnóstwa trudnych do transportowania przedmiotów ze złota i srebra. Ulegając zresztą niecierpliwym żądaniom podwładnych widział jedyne wyjście w dokonaniu podziału łupów przed wyruszeniem w drogę.

Dla uniknięcia sporów przy podziale należało przetopić wszystkie przedmioty na sztaby o jednakowej wadze. Spędzono przeto z bliższych i dalszych okolic indiańskich rzemieślników, biegłych w obróbce metali. Na placu miejskim zapłonęły niebawem ogniska pod tyglami; posągi, wazy, półmiski, kubki o nieocenionej niekiedy wartości artystycznej Indianie przetapiali na równe sztaby złota i srebra. Skarby były tak ogromne, że praca hutnicza trwała dzień i noc przez cały miesiąc. Amerykański archeolog Samuel Lothrop obliczył, że według dzisiejszej siły nabywczej łup przedstawiał wartość dwustu milionów dolarów.

Przy podziale doszło jednak mimo wszystko do awantury. Almagro i jego żołnierze domagali się udziału w łupach na zasadach równości, stojąc na stanowisku, że chociaż przybyli później i nie brali udziału w ujęciu Atahualpy, to jednak trzymali straż nad skarbami. Natomiast żołnierze Pizarra, chcąc zapobiec uszczupleniu przypadających im części, protestowali przeciw temu gwałtownie. Na placu i w domach wybuchały wrzaski i kłótnie, niejednokrotnie dochodziło do bójek. Indianie przyglądali się tym scenom ze zdumieniem, ponieważ nie mogli zrozumieć, dlaczego biali wojownicy walczą tak zapalczywie o metale, które mają wartość jedynie rytualną i zdobniczą.

Równocześnie Pizarro i Almagro prowadzili w kwaterze uciążliwe targi o podział łupów. Dzięki pośrednictwu urzędników królewskich i zakonników doszło w końcu do kompromisowej ugody. Almagro jako współnik ekspedycji uzyskał prawo do pełnego udziału w łupach, natomiast jego podwładnym przyznano na odczepne tylko drobne wynagrodzenie.

Zaraz po załagodzeniu kłótni Pizarro przystąpił do podziału łupów. Wojsko ustawiło się rzędem na placu, a on wygłosił uroczyste przemówienie do żołnierzy i pomodlił się prosząc Boga o pomoc w sprawiedliwym podziale skarbów.

Najpierw odłożono jedną piątą część należną Koronie, następnie podchodzili z osobna oficerowie i żołnierze, by odebrać swoją część wedle rang i zasług bojowych.

W pamiętnikach konkwistadorów zachowały się dość szczegółowe dane, ile kto otrzymał.

Dość, że każdy jeździec stał się właścicielem 40, 45 kg złota i 81 kg srebra, a żołnierz piechoty musiał zadowolić się połową tej ilości. Pizarrowi i Almagrowi przypadł w udziale ogromny majątek, którego wartość sięgała milionów dolarów.

Zdobyty łup wystarczał, aby żyć w Hiszpanii w zamożności do samej śmierci. Ale w Peru zaczęły działać niebawem prawa popytu i podaży, prawa, które w bezlitosny sposób zdrwiły sobie z Hiszpanów i doprowadziły do tego, że wartość złota i srebra topniała z zawrotną szybkością.

Inflacja została wywołana nadmiarem złota i niedostatkiem przedmiotów codziennego użytku. Drożyzna dochodziła do tego, że ubranie kosztowało kilogram złota, rapier pół kilograma, wierzchowiec aż pięć do dziesięciu kilogramów. Ponieważ podkowy na kamienistych drogach Andów szybko się ścierały, kawalerzyści musieli często podkuwać konie na nowo. Nie mieli oczywiście żelaza, dlatego chcąc nie chcąc musieli przeznaczać na to własne srebro.

Żołnierze, oszołomieni nagłym bogactwem, rzucili się namiętnie do hazardu. Dniami i nocami grali w kości; złoto i srebro z zadziwiającą łatwością przechodziło z rąk do rąk. Jedni zgrywali się do nitki, inni natomiast bogacili się co niemiara na hazardzie i spekulacji handlowej. W obozie szerzyły się niby zaraza rozgoryczenie, swary i utyskiwania.

Ostre zatargi wybuchały nawet w łonie samego dowództwa. Głównym mącicielem okazał się Hernando Pizarro. Almagro, oburzony jego butą i arogancją, odgrażał się, że zabierze swoje wojsko i na własną rękę pójdzie zdobywać kraj. Żołnierze jego poszliby z nim jak jeden mąż, gdyż nie mogli strawić krzywdy, jaka spotkała ich przy podziale okupu.

Rozłam załatał w ostatniej chwili Francisco Pizarro, zmuszając Hernanda, by przeprosił urażonego Almagra.

Francisco Pizarro i Almagro postanowili teraz wysłać do Hiszpanii należny królowi udział w łupach wraz z raportem, w którym prosili o przyznanie im nowych przywilejów. Misję tę powierzono Hernandowi przede wszystkim dlatego, że była to okazja pozbycia się głównego sprawy zamętu i niepokoju.

Tuż przed wyruszeniem w drogę Hernando poszedł pożegnać się z uwięzionym Atahualpą, z którym szczerze się zaprzyjaźnił. Król żywił teraz jak najgorsze obawy co do swego losu, gdyż nie mógł skłonić Pizarra do wykonania umowy i przywrócenia mu wolności. Skarżył się gorzko na wrogość Almagra i skarbnika królewskiego Riquelma, opasłego starca, powszechnie uważanego za skończonego łotra.

— Odchodzisz na długo — żegnał król Hernanda ze smutkiem — sprawia mi to wielką przykrość. Ten jednooki i ten gruby skorzystają z twojej nieobecności, aby zgotować mi zgubę. Gdy wrócisz, zapewne nie zastaniesz mnie już przy życiu.

Hernando pocieszał go, jak mógł, i zapewniał, że Hiszpanie nie dybią na jego życie. I stała się rzecz niezwykła: ów butny zazwyczaj, szorstki i odpychający człowiek przy pożegnaniu z nieszczęsnym królem z trudnością tylko ukrył wzruszenie.

Wkrótce po jego wyjeździe zaczęła krążyć pogłoska, że Indianie przygotowują się do powstania. O podżeganie ludności do buntu oskarżono Atahualpę. Według tych pogłosek w Quito miała stać stutysięczna armia wojowników, a do Cajamarki jakoby spieszyło trzydzieści tysięcy dzikusów znad Amazonki, sprowadzonych przez wiernych królowi Inków.

Nietrudno było wskazać źródło owych alarmujących pogłosek. W obozie Hiszpanów służyło wielu Indian, nieprzejednanych wrogów Atahualpy, którzy celowo rozsiewali niepokojące wieści.

Najczynniejszą rolę w tych intrygach odegrał jednak Felipillo. Pałał on nienawiścią do Atahualpy już choćby z tego względu, że jako król Inków był on gnębicielem jego rodzinnego plemienia. Ale ponadto Felipillo miał jeszcze czysto osobisty powód, by szukać na nim pomsty.

Sprawa przedstawiała się następująco:

Pewnego dnia, gdy pośredniczył w rozmowie Atahualpy i Pizarra jako tłumacz, weszła do pokoju jedna z nałożnic królewskich. Indianin ogarnął urodziwą jej kibić łapczywym, gorącym spojrzeniem, a ona zerknęła ukradkiem w jego stronę, dając do poznania, iż jest mu przychylna.

Skoro tylko zapadła noc, Felipillo wykradł się na dwór i niby głodny drapieżnik krążył koło domu, w którym przebywał harem. Musiał mieć się przy tym na baczności, gdyż nałożnic pilnowała straż i stare kobiety, odpowiedzialne za cnotę powierzonych sobie miłośnic królewskich.

Przez parę nocy czatował daremnie, aż wpadł na wypróbowany i uświęcony tradycją pomysł wywołania ukochanej grą na flecie. Usiadł daleko od domu w kępie drzew, aby nikt się nie domyślił, że jego miłosny zew kierowany jest do haremu. Czułe trele płynęły daleko w noc księżycową i dotarły do uszu bogdanki. Gdy tylko księżyc zaszedł za góry, dziewczyna wymknęła się z domu i pobiegła do Felipilla. Śmigłe, brązowe ciała zwały się bez namysłu, pchnięte ku sobie pierwotnym instynktem dzieci natury.

Namiętne schadzki kochanków trwały szereg nocy, aż pewnego dnia wyszedł ich strażnik królewski. Na jego alarm zbiegła się straż i zaprowadziła zakochaną parę przed oblicze Atahualpy. Dziewczynę skazano na śmierć przez powieszenie za włosy nad przepaścią i natychmiast uprowadzono w góry, aby wykonania wyroku nie udaremnił Hiszpanie. Z Felipillum nie można było w ten sposób postąpić, gdyż chroniła go opieka samego Pizarra.

Nazajutrz Atahualpa poprosił Pizarra do siebie i w gorzkich słowach poskarżył się na Felipilla. Zapytany, jakiej domaga się kary, odpowiedział:

— Za taką zbrodnię prawa nasze przewidują karę śmierci przez spalenie na stosie nie tylko samego winowajcy, lecz także całej jego rodziny. Ponadto wymagają zrównania z ziemią miejscowości, z której pochodzi. Tylko w ten sposób może być zmasakrowana hańba, jakiej doznałem ze strony twojego sługi.

Pizarro uśmiechnął się ironicznie i odparł:

— Powiadasz, królu, że tego żądają wasze prawa. Lecz prawa Inków mogą odnosić się tylko do twoich poddanych. Tymczasem Felipillo nie jest twoim poddanym, jest on chrześcijaninem i sługą moim. A nasze prawa nie karzą śmiercią za takie przestępstwo. Wybacz więc, królu, że mimo najlepszej woli nie mogę spełnić twego życzenia.

Atahualpa zbladł i nie odezwał się już więcej w tej sprawie. Felipillo był obecny przy rozmowie jako tłumacz i poprzysiągł królowi zemstę.

Wkrótce potem zawiadomił wodza, iż podsłuchiwał rozmowę Atahualpy z Indianami, którzy przybyli w poselstwie od swoich plemion. Dowiedział się z niej rzekomo, że w Gaumachucho⁹², w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od Cajamarki, zebrała się ogromna armia indiańska, która ma napaść na Hiszpanów.

Pizarro zarządził czym prędzej ostre pogotowie bojowe. Miasto dzień i noc zabezpieczano strażami, wysłano wywiadowcze oddziały, konie trzymano osiodłane, żołnierze spali z bronią przy boku, a Pizarro często zrywał się ze snu, by obejść posterunki i nasłuchiwać, czy nie nadchodzi nieprzyjacielska armia.

Upłynęło w ten sposób kilka dni, żołnierze tracili stopniowo cierpliwość i utyskiwali na niewygodę przedłużającego się pogotowia. Podżegani przez Almagra, Riquelma i Felipilla, gromadzili się tłumnie przed domem Pizarra i żądali gniewnie, by skazać na śmierć Atahualpę, który przysparza im tylu kłopotów.

Pizarro postanowił rozmówić się z Atahualpą, zanim poczyni jakieś kroki przeciwko niemu.

⁹² Czyt. Gaumaczucho.

— Obchodziłem się z tobą jak z bratem — czynił mu wyrzuty — a ty knujesz przeciwko nam zdradę.

Król uśmiechnął się smutno i spokojnie odpowiedział:

— Chyba żartujesz sobie ze mnie. Czyż nie jestem twoim jeńcem? Jakże mógłbym knuć spisek przeciwko tobie, skoro ja pierwszy stałbym się jego ofiarą?

Spokojna odpowiedź króla zbiła Pizarra z tropu. Nie wiedząc, jak postępować dalej, zwołał oficerów na naradę wojenną. Większość domagała się kary śmierci dla króla, a Pizarro był z wyniku głosowania w gruncie rzeczy zadowolony, trafił się bowiem od dawna, co zrobić z kłopotliwym jeńcem. O przywróceniu mu wolności nie mogło być mowy, choćby ze względu na to, że król gotów był wezwać swój lud do powstania. Z drugiej strony nie chciał wozić go po kraju, żyjąc w ciągłym strachu, że więzień kiedyś ucieknie lub zostanie odbity z niewoli.

Los Atahualpy były już wtedy przesądzone, gdyby nie protesty co uczciwszych Hiszpanów. W jego obronie wystąpił szczególnie stanowczo de Soto. Wychodząc z założenia, że wieści o koncentracji sił zbrojnych w Guaumachucho mogły być plotką, żądał, aby wysłać tam patrol dla ich sprawdzenia. Po burzliwej dyskusji rada wojenna w końcu przyjęła jego wniosek i poleciła mu osobiście zasięgnąć języka w tej sprawie.

Skoro tylko rekonesans opuścił miasto, stało się jasne, że de Sota wysłano przede wszystkim dlatego, aby pozbyć się głównego obrońcy króla. Agitacja wśród żołnierzy za karą śmierci nabrała nowego rozmachu i Pizarro czuł się zmuszony do powołania trybunału sądowego, który miał wygotować akt oskarżenia przeciwko Atahualpie. W jego skład weszli przeważnie zaciekli wrogowie króla, jak ojciec Valverde i skarbnik królewski Riquelme, a godność przewodniczących objęli wspólnie Pizarro i Almagro. Dla zachowania wszelkich pozorów bezstronności wyznaczono ponadto prokuratora, obrońcę i świadków.

Akt oskarżenia sporządzono z niezwykłym pośpiechem. Zarzucano w nim królowi między innymi, że przywłaszczył sobie tron bezprawnie, że zamordował swego brata przyrodniego, Huaskara, że cudzołożył uprawiając wielożeństwo, że usiłował podburzyć lud do powstania przeciwko Hiszpanom i że trwonił majątek państwowy obdarowując rozrzutnie krewnych i faworytów.

Nikt nawet nie potrudził się, żeby ów niedorzeczny dokument odczytać Atahualpie, mało tego — oskarżonego nie dopuszczono nawet do rozprawy sądowej. Podczas gdy siedział w swoim więzieniu, zdając sobie sprawę, że w sąsiednim pokoju ważą się jego losy, Hiszpanie dla uspokojenia sumienia odegrali całą komedię postępowania sądowego.

Jako świadków przesłuchano paru Peruwiańczyków wrogo usposobionych do Atahualpy. Felipillo tłumaczył ich zeznania i przeinaczał je dowolnie na niekorzyść oskarżonego. Wyznaczeni obrońcy nie próbowali obalić aktu oskarżenia, lecz jedynie tylko prosili o łaskę dla króla. Sędziowie udali się w końcu na naradę. Nie starali się jednak wyjaśnić, czy Atahualpa jest winny, czy niewinny, lecz zastanawiali się nad tym, jakie korzyści lub kłopoty mogą dla Hiszpanii wynikać z jego śmierci. W końcu wydali wyrok śmierci przez spalenie na stosie. Egzekucja miała odbyć się jeszcze tego samego wieczoru, a więc przed powrotem de Sota, który przecież został wysłany głównie po to, aby stwierdzić, czy Atahualpa istotnie przygotował powstanie.

Sędziowie, nie chcąc brać na siebie wyłącznie odpowiedzialności za śmierć króla, zwołali zebranie żołnierzy i przedłożyli im wyrok do zatwierdzenia. Na placu miejskim odbył się wiec gardłującego i roznamiętnionego żołdactwa. Szczupła grupka uczciwych Hiszpanów protestowała gwałtownie przeciwko wykonaniu egzekucji, zaznaczając, że Atahualpa nic im nie zawinił, że zarzuty wysuwane przeciwko niemu oparte są tylko na nie sprawdzonych plotkach, że sąd nie miał prawa wydawać wyroku śmierci i że oskarżonego należy odesłać do Hiszpanii, gdyż

tylko król hiszpański może decydować o jego losie. W głosowaniu większość wypowiedziała się jednak za natychmiastowym wykonaniem wyroku. Mniejszość natomiast postanowiła wysłać do Karola V pismo potępiające wyrok jako bezprawie i samowolę.

Sąd udał się do Atahualpy, by zawiadomić go o wyroku śmierci. Królewski więzień, zwykle opanowany i wyniosły, po raz pierwszy załamał się nerwowo. Oczy zaszkliły mu się, jak gdyby miał wybuchnąć płaczem.

— Cóż uczyniłem wam złego — skarżył się — że mnie tak krzywdzicie! Zwracając się do Pizarra rzekł z wyrzutem w głosie:

— A los ten zgotował mi człowiek, który doświadczył od mego ludu tyle przyjaźni i życzliwości, którego darzyłem zaufaniem i obsypywałem złotem. Zapewniłeś mnie, że biali ludzie nie łamią umów, że dotrzymują słowa. I oto jak wygląda twoje słowo, wodzu!

Hiszpanie słuchali tych wyrzutów z opuszczoną głową. Na twarzach niektórych sędziów malował się wstyd i zakłopotanie, Pizarro natomiast obrócił się na pięcie i wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie jak zapewnia w swojej kronice Pedro Pizarro, wybuchnął niepoohamowanym szlochem.

Widząc zażenowanie Hiszpanów Atahualpa uległ chwilowemu złudzeniu, że sprawa jego nie jest jeszcze przegrana. Błagał ich przeto o darowanie mu życia, przyrzekając nie tylko bezpieczeństwo, lecz nawet podwojenie dotychczasowego okupu. Sędziowie wysłuchali go cierpliwie i wyszli z pokoju bez słowa odpowiedzi. Na ich miejscu zjawili się żołnierze i jęli zakuwać go w ciężkie łańcuchy. W pokoju rozległ się przejmujący stukot młotów i zgrzyt żelaza. Tymczasem Atahualpa odzyskał równowagę i z wyniosłą pogardą przypatrywał się poczynaniom swoich oprawców.

Egzekucję zapowiedzieli trębacze fanfara. Ponieważ zapadła już noc, zapalono liczne pochodnie. Wojsko hiszpańskie wystąpiło w pełnym rynsztunku i utworzyło silny kordon, by powstrzymać napór nieprzebranych tłumów indiańskich. Pośrodku placu miejskiego usypano stos z drewna i chrustu z wystającym na wierzchu palem, do którego miał być przywiązany skazaniec.

W gorejących, niespokojnie drgających blaskach pochodni ukazała się w pewnej chwili postać Atahualpy, odzianego w powłóczystą tunikę białej materii. Łańcuchy, krępujące jego nogi i ramiona, podzwaniały dojmująco w struchlałej ciszy. Towarzyszył mu ojciec Valverde, trzymając przed sobą krucyfiks i odmawiając półgłosem litanie za zmarłych.

Na widok boskiego syna słońca Indianie z jękiem runęli na ziemię, ciała ich przeszedł dreszcz zabobonnej grozy. Atahualpa stanął i jakby budząc się z odrętwienia spojrzął na nich z goryczą. Przeszyła go bolesna świadomość, że nikt z poddanych nie ruszył palcem w jego obronie, że oto został sam jeden w potężnym państwie, wydany w ręce owych brodatych oprawców, którzy za chwilę mieli go rzucić w płomień.

Opanowując z trudnością udrekę przyspieszył kroku i wstał na stos. Dwóch katów wygięło mu ramiona do tyłu i przywiązało do pala. Opodał czekał pomocnik z płonąca pochodnią, by na otrzymany sygnał podpalić suchy stos chrustu. Nadeszła wreszcie chwila wykonania wyroku. Wtedy ojciec Valverde wezwał go po raz ostatni, by wyrzekł się fałszywych bożków i przyjął chrzest. Zapewniał go przy tym, że jeśli wyrazi zgodę, kara spalania na stosie zostanie zamieniona na garotę⁹³.

Dla Atahualpy najpotworniejszą rzeczą było to, że miał go pochłonąć ogień. Wierzył bowiem, że jak inni królowie powróci kiedyś na ziemię, jednakże tylko wtedy, jeżeli ciało jego zostanie zabalsamowane i posadzone na tronie w świątyni boga słońca.

Widząc możliwość uniknięcia pośmiernej zagłady, Atahualpa przystał na przyjęcie

⁹³ Garota — śmierć przez uduszenie.

chrześcijaństwa. Dominikanin uszczęśliwiony, iż wydarł duszę królewską ze szponów szatana, pokropił go święconą wodą ochrzcił imieniem Juan ze względu na to, że egzekucja odbywała się w święto Jana Chrzciciela. Król poprosił jeszcze Pizarra, by zaopiekował się jego rodziną i by pozwolił go pochować w Quito, gdzie pragnął spocząć obok swoich przodków.

Załatwiwszy ostatnie sprawy doczesne, czekał ze stoickim spokojem na wykonanie wyroku. Śmiertelną ciszą wstrząsnęły powtórne dźwięki trąbek. Zakonnicy zaintonowali żałobne pienia na intencję zmarłych, podczas gdy kat założył skazańcowi pętlę na szyję i zaciskał postronek przez okręcanie zatkniętego w nią patyka.

Zwłoki skazańca leżały przez całą noc na placu i dopiero nad ranem zanieśiono je do kościoła. Tego samego dnia odbyły się w kościele uroczyste egzekwie. Pizarro, Almagro i reszta oficerów pojawili się w żałobie. Ojciec Valverde w płomiennym kazaniu zapewniał wiernych, że Atahualpa poszedł do raju, ponieważ umarł chrześcijaninem.

Podczas nabożeństwa do kościoła wpadła z lamentem i płaczem czereda sióstr i nałożnic królewskich z zamiarem odebrania ciała, by zabalsamować je i pochować według wierzeń Inków. Przy oświetlonych gromnicami marach powstał ścisk i zamęt, konkwistadorzy z trudem wypchnęli oszalałe z bólu niewiasty za bramę kościoła.

Przez cały dzień Indianki błękały się po mieście, biły w bębny, wzywały imienia zmarłego króla i opiewały chwałę jego czynów. Pod wieczór co wierniejsze nałożnice udały się w góry i rzuciły w przepaść, by towarzyszyć królewskiemu małżonkowi do słonecznej krainy boga Inti.

Atahualpę pochowano wbrew jego woli na świeżo założonym cmentarzu katolickim w Cajamarce. Już jednak następnej nocy wykradli go poddani i zanieśli w uroczystym pochodzie do Quito. Zdradziecki wódz Ruminawi urządził mu wspaniały pogrzeb w nadziei, że zyska sobie w ten sposób przychyłość tamtejszych plemion i umocni swoje samozwańcze panowanie nad północnymi obszarami państwa Tawantinsuju.

Zwłoki króla ukryto przed Hiszpanami i dotąd nie zdołano ich odnaleźć. Wśród Indian krąży legenda, że Atahualpa siedzi na złotym tronie w jednej z niezliczonych pieczar andyjskich i czeka na chwilę, kiedy kraina Inków stanie się znowu wolna i będzie mógł powrócić na tron swoich ojców. Czas zatarł w pamięci pokoleń jego zbrodnie i opromienił go aureolą bohaterskiego męczeństwa.

W dwa dni po egzekucji wrócił de Soto. Oburzony pospieszył do Pizarra i oświadczył mu wręcz, iż egzekucję Atahualpy uważa za zwykłe morderstwo. Wódz wysłuchał zarzutów bez sprzeciwu. Z kapeluszem na znak żałoby zsuniętym na oczy usprawiedliwiał się, że do tego czynu namówili go Almagro, Riquelme i Felipillo. De Soto odpowiedział na to:

— Jak mogłeś ulec ich namowom nie czekając na mój powrót! Otóż wiedz, że wszystko, o co pomawiano króla, było wierutnym kłamstwem. Wszędzie, gdzie tylko się pojawiłem, panował spokój i ludzie przyjmowali nas życzliwie. Jeżeli koniecznie trzeba było usunąć Atahualpę, należało odesłać go do cesarza, ja sam odprowadziłbym go na statek.

Główni podżegacze do mordu ulękli się teraz gniewu cesarza i w obawie przed karą jeden na drugiego spędzal winę. Almagro, Pizarro, Valverde i skarbnik królewski Riquelme zarzucali sobie wzajemnie kłamstwo i kłócili się z taką zawziętością, żeomal nie doszło do bójki.

NA RUINACH TAWANTINSUJU

Król Inków był jedynym źródłem władzy, on jeden przez nimb swojej boskości utrzymywał w posłuszeństwie olbrzymie państwo Tawantinsuju. Gdy wraz ze śmiercią Atahualpy zabrakło króla, cała organizacja polityczna runęła w gruzy. Ujarmione ludy deklarowały po kolei

niepodległość, na obszarach peruwiańskich zapanował niebywały zamęt. Indianie, wyswobodzeni z ucisku narzuconego ładu społecznego, dawali folgę tłumionej przez wieki nienawiści do ciemniejszych, obracali w zgliszcza ich świątynie i pałace, plądrowali magazyny i spichrze królewskie, wycinali w pień załogi i mordowali każdego, ktokolwiek nosił złote kolczyki Inków. Kraina boga Inti zamieniła się w morze płomieni, dymu i zgliszczy.

Francisco Pizarro, wzmocniony posiłkami z Panamy i Hiszpanii, rozporządził teraz korpusem liczącym 590 pieszych i konnych żołnierzy, czuł się więc na siłach, by pociągnąć wprost na stolicę. Przed wymarszem postanowił stworzyć sobie zaplecze w San Miguel, pozostawiając tam załogę stu pięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem Sebastiana Belalcazara, odważnego i zdolnego kapitana, który pod wieloma względami przypominał obu wodzów wyprawy. Był on synem bezimiennego chłopca z Estremadury i przybrał sobie nazwisko według nazwy wsi rodzinnej. W młodości, wyciągając z błota powierzonego sobie osła, zabił go uderzeniem pięści, a potem ze strachu przed ojcem uciekł na jedną z karawel udającą się do Panamy.

Pizarro zrozumiał poniewczasie, iż zgładzenie Atahualpy było wielkim błędem politycznym, i doszedł do przekonania, że koniecznie trzeba wprowadzić na tron nowego króla. Posługując się jego boskim autorytetem mógł ułatwić sobie przywrócenie ładu w kraju i opanować go bez większego oporu ze strony Indian. Wybór jego padł na młodszego brata Atahualpy, Toparkę. Młody książę, oszołomiony nagłym wyniesieniem na tron Inków, bez wahania przyjął uwłaczającą rolę bezwolnego narzędzia w ręku najeźdźców.

W sierpniu 1533 roku Pizarro ruszył na Cuzco. Towarzyszyli mu Toparka i wódz Czalkuk Czimu. Niesiono ich w złocistych lektykach w świetnym orszaku dostojników, nałożnic i czeladzi, by przed ludem zamaskować fakt, że nowy król jest w rzeczywistości figurantem, pozbawionym wpływów i znaczenia.

Marsz przez wysokie, mroźne wyżyny górskie okazał się bardzo wyczerpujący. Na szczęście nie natrafiono ani razu na zbrojny opór Indian, pomimo że wąskie ścieżki i ciasne przesmyki znakomicie sprzyjały zasadzce.

W drodze Hiszpanie napotkali jednak wiele wiosek spalonych i zrównanych z ziemią, mosty pozrywane, a spichrze do cna ogołoczone z prowiantów. Patrole donosiły o tropiących ich oddziałach indiańskich, na szczytach górskich pojawiały się i znikwały postacie uzbrojonych wojowników. Nie mogło być wątpliwości, że pochod Hiszpanów był z czyjegoś rozkazu śledzony. Forpocztę zdołały zasięgnąć języka, że wódz Kiz Kiz na czele silnej armii zamierza bronić stolicy.

Hiszpanie dobrnęli wreszcie do doliny Jauja, położonej wysoko wśród szczytów andyjskich. Odznaczała się ona urodzajnością i łagodnym klimatem. Na stokach gór pięły się tarasy uprawne, widniały świątynie i letnie rezydencje Inków. Ale konkwistadorzy nie mieli czasu podziwiać pięknej okolicy, gdyż po drugiej stronie rzeki, która płynęła przez dolinę, ujrzeli w pogotowiu bojowym znaczną armię indiańską.

Most był zburzony, ale jazda hiszpańska bez namysłu rzuciła się w pław przez rzekę i przeszła do natarcia. Zaskoczeni błyskawicznym atakiem Indianie stracili rezon i pospiesznie wycofali się za najbliższe wzniesienie.

Pizarro postanowił zatrzymać się dłużej w dolinie Jauja i założyć tam osadę hiszpańską. Ojciec Valverde zamienił świątynię w kościół pod wezwaniem Matki Boskiej z Dzieciątkiem i tegoż samego dnia odprawił nabożeństwo dziękczynne z powodu zwycięstwa nad Indianami.

W dolinie tej rozegrała się ongi straszliwa bitwa Inków z plemionami Chanca. Na pamiątkę walnego zwycięstwa król Inków Wirakocza zbudował niezwykle mauzoleum, w którym wzdłuż ścian siedziały wypchane trupy pokonanych wodzów. Zgorszeni Hiszpanie kazali je zburzyć, a trupy spalić na stosie.

Po zwycięstwie konkwistadorzy bynajmniej nie zaznali spokoju. Patrole, wysyłane w celu rozpoznania terenu lub zdobycia prowiantu, wpadały często w zasadzkę. Pewnego razu oddział jazdy hiszpańskiej został prawie całkowicie wycięty, tylko trzech Hiszpanów wyszło z pogromu cało, dostało się jednak do niewoli.

Kiz Kiz sprowadził jeńców do Cuzco i oddał ich pod sąd wojenny. Sekretarza Cuellera skazano na śmierć, ponieważ był autorem aktu oskarżenia przeciwko Atahualpie, natomiast dwóch pozostałych Hiszpanów, którzy — jak dowiedział się Kiz Kiz — byli przeciwko wyrokowi śmierci, wyleczono z ran, hojnie obdarowano i puszczono na wolność. Ów wielkoduszny akt sprawiedliwości wywołał w obozie hiszpańskim niemałe zdumienie.

Przed podjęciem dalszego marszu do Cuzco Pizarro wysłał w straży przedniej de Sota z zadaniem usunięcia z przejść górskich czatujących tam Indian. De Soto wybrał się w sześćdziesiąt jazdy i od samego początku napotkał zacięty opór tubylców. Wszędzie, gdziekolwiek się zjawił, zastawał spalone wioski, zburzone mosty i barykady z kamieni lub zwalonych na drodze drzew. W jednym z przesmyków górskich, niedaleko od stolicy, doszło do ostrego starcia z Indianami. De Soto parł mimo to naprzód, nie zważając na ostrzeżenia szpiegów, którzy wysledzili, że w górach znajduje się silna armia indiańska.

W jednym z wąwozów oddział de Sota wpadł zniemacka w niebezpieczną pułapkę. Naprzód posypały się nań kamienie i strzały z łuków, potem wyrosła jak spod ziemi chmara wojowników i z potępięczym wrzaskiem runęła do ataku. Hiszpanie stracili głowy i rzucili się do ucieczki, by czym prędzej wydostać się z wąwozu na otwartą przestrzeń. Nie była to jednak sprawa łatwa. Spłoszone konie stawały dęba i z przerażeniem ponosiły jeźdźców to w jedną, to w drugą stronę. Tymczasem dopadli ich Indianie, czepiali się strzemion i usiłowali ściągnąć jeźdźców z siodeł. Hiszpanie razili napastników rapierami i torując sobie przejście przez stłoczoną masę indiańską, wydostali się w końcu z ciasnego wąwozu do przyległej doliny, gdzie mieli większą swobodę ruchów.

Zdawało się, że Indianie dali za wygraną i wycofali się z pola walki. De Soto kazał rozbić namioty nad rzeczką, która przecinała dolinę na dwie równe części. Żołnierze zajęli się przede wszystkim napojeniem zziębniętych i jeszcze rozdygotanych rumaków, kucharze warzyli strawę w zawieszonych nad ogniskiem kotłach. Toteż tym większe było zaskoczenie, gdy naraz z wąwozu wysypała się hurma rozwrzeszczanych wojowników i ze zdwojoną zjadłością runęła do ponownego natarcia. Nie przygotowani do walki żołnierze chwycili w ostatniej chwili za broń i odparli atak. Indianie kilkakrotnie ustępowali, powracali jednak z uporem na pole walki pomimo wielkich strat. Bitwa toczyła się w ten sposób do samego zmierzchu.

W nocy przeciwnicy rozłożyli się obozem po obu stronach rzeczki. Indianie, pewni zwycięstwa, dawali upust swej radości okrzykami triumfu i pieśniami bojowymi, podczas gdy Hiszpanie spędzili nocne godziny w niepokoju i przygnębieniu. Po raz pierwszy spotkali się w Peru z taką zawziętością i odwagą. Mieli już paru poległych i rannych towarzyszy, padło kilka rumaków, a dzień następny nie wróżył nic dobrego. Znaleźli się właśnie w niebezpiecznej pułapce, z której można było wycofać się tylko za cenę wielkich strat.

Pizarro, zaniepokojony poważnie brakiem wieści od de Sota, postanowił wysłać mu odsiecz. Almagro wyruszył natychmiast w drogę forsownym marszem i przybył na miejsce, gdy oddział de Sota leżał obozem nad rzeczką. Noc była bezksiężycowa i tak ciemna, że Almagro dał znać o swoim przybyciu trąbkami. Dźwięki rozległy się po górach z głośnym echem i wywołały radosną odpowiedź trębacza de Sota. Ta rozmowa na odległość przekonała Indian, że nadeszły posiłki i że stracili szansę odniesienia zwycięstwa. Zwinęli więc obóz i cichaczem zniknęli w głębokich ciemnościach nocy.

Wzrastający opór krajowców miał wyraźnie charakter dobrze przemyślanej kampanii

wojennej. Toteż Pizarro doszedł do przekonania, że kieruje nią jakiś doświadczony wódz indiański. Podejrzenie padło na Czalkuka Czimu. Lecz wódz Atahualpy najspokojniej odparł jego zarzuty podkreślając, że jako jeniec nie ma żadnej możliwości porozumiewania się z ludnością. Pizarro kazał go jednak zakuć w łańcuchy i trzymać pod silną strażą.

Na krótko przed dalszym marszem do Cuzco zmarł nagle marionetkowy król Toparka. Pizarro posądził Czalkuka Czimu, że kazał go otruć. Ponieważ i tak szukał od dawna pozoru, żeby się wodza pozbyć, skazał go na śmierć przez spalenie na stosie. Na miejsce kaźni poprowadził skazańca dominikanin Valverde i do ostatniej chwili kładł mu do uszu, by dał się ochrzcić i uniknął w ten sposób wiecznego potępienia. Ale dumny wódz indiański odpowiedział oschle, iż nie rozumie religii białych. Ze stoickim spokojem czekał, aż ogarną go płomienie, i skonał z imieniem Kon—Tiki—Wirakoczy na ustach.

W kilka dni po egzekucji zawitał do obozu hiszpańskiego świetny orszak indiański. Ze złocistej lektyki wysiadł młody książę Manko, jeden z synów Huaskara, a więc człowiek, którego prawo do tronu Inków nie ulegało żadnej wątpliwości. Prosił Pizarra o pomoc w uzyskaniu tronu i przyznał się, że to on organizował zbrojny opór. Teraz jednak — oświadczył — chcę wejść z Hiszpanami w układy i proponuję wspólną akcję przeciwko zdrajcom z Quito i wodzowi Kiz Kizowi.

Pizarro przyjął Manka uprzejmie i zaręczył, że jego dążeniem zawsze było przywrócenie tronu prawowitemu następcy Huaskara i ro zgromienie uzurpatorów z Quito. Nowi sojusznicy połączyli swoje siły i zgodnie przystąpili do walki z Kiz Kizem, który w drodze do Cuzco nękał ich niebezpiecznymi zasadzkami. Po raz pierwszy walczyli w jednym szeregu Hiszpanie i wojownicy Inków. Kampania szybko skończyła się zwycięstwem; Kiz Kiz został zamordowany przez własnych ludzi, zniechęconych klęskami i przytłaczającą przewagą połączonych sił hiszpańsko—indiańskich.

Uroczysty wjazd do Cuzco odbył się 15 listopada 1533 roku. Ulice szczelnie zalegli mieszkańcy miasta, którzy z ciekawością nie pozbawioną lęku przyglądali się białym wojownikom, ich dziwnej a straszliwej broni, zwłaszcza zaś wierzchowcom.

Na czele kolumny maszerował oddział hiszpański liczący czterystu osiemdziesięciu żołnierzy piechoty i jazdy. Przerażliwe dźwięki trąbek, stukot kopyt końskich, szcęk żelaza i kolorowe proporce — krótko mówiąc, cała ta malownicza i zgiełkliwa wystawność wojskowa przydawała cudzoziemcom pozorów niezwalczonej mocy.

Tuż za Hiszpanami posuwał się w lektyce król Manko. Na jego widok i tłumy Indian padały na ziemię, słyhać było szluchy i okrzyki radości, boć przecież po klęsce Huaskara i krótkotrwałej uzurpacji bastarda z Quito powracał do stolicy bezpośredni potomek Huayny Kapaka, w którego żyłach płynęła boska krew synów słońca. Powracał ich prawowity król, król plemion Keczua i świętego miasta Cuzco, gdzie spoczywały mumie jego przodków.

Za lektyką ciągnęły długie kolumny wojowników indiańskich, obecnie sprzymierzeńców i towarzyszy broni Hiszpanów w walce z buntownikami z Quito. Ludność witała ich z entuzjazmem, widząc w nich wybawicieli i obrońców dynastii Inków. Koronacja Manka Kapaka odbyła się uroczyście, z zachowaniem wszelkich tradycyjnych obrzędów i ceremoniałów. Nowy król założył na głowę szkarłatną opaskę borla i otoczył się liczną świtą dworaków, nałożnic i służby. Był to jednak tylko fałszywy blichtr, za którym kryła się niemoc i upokorzenie.

Rzeczywistą władzę dzierżyli Hiszpanie. Mieszkańcy stolicy rychło odczuli ich twardą rękę. Żołdactwo rzuciło się chciwie na resztki złota i srebra, jakie jeszcze można było znaleźć w pałacach i świątyniach. Nie wahali się tym razem sprofanować mumii królewskich w świątyni słońca i ograbili je ze szmaragdów, pereł i złotych ozdób. Podejrzewając dostojników i kapłanów o ukrywanie skarbów, brali ich na tortury i w niejednym wypadku istotnie zdołali wymóc

ujawnienie miejsc ukrycia.

Między innymi w jednej z pieczar w pobliżu miasta odnaleźli olbrzymie bogactwa. Wśród mnóstwa kosztowności były tam wazy ze szczerego złota, zdobione płaskorzeźbami wyobrażającymi węże, szarańczę, ptaki i gady; lamy i posągi ludzkie naturalnej wielkości odlane w złocie i srebrze oraz złote blachy, przeznaczone na ozdobę pałacu jednego z Inków.

Kruszec, jak zwykle, przetopiono na sztaby i rozdzielono między konkwistadorów. Zaraz też rozpętał się hazard; żołnierze, oszołomieni bogactwem, całymi dniami i nocami pili, jedli i rzucali kości. Miasto stało się istną jaskinią gry. Ku przerażeniu Indian rozlegały się po ulicach wulgarnie przekleństwa, pijackie śpiewy, kłótnie i wybuchy rozwydrzonego śmiechu. Szlachcic hiszpański, Mancio Serra de Leguizana, w jedną noc przegrał ogromną tarczę ze złota, jaka przypadła mu w podziale. Przeszedł on z tego powodu do historii, gdyż z jego przygody wywodzi się popularne przysłowie hiszpańskie: „Przegra słońce, zanim wzejdzie”. Pizarro przystąpił do przeorganizowania miasta na prawach hiszpańskich. Przede wszystkim powołał magistrat złożony z dwóch burmistrzów i ośmiu ławników. Burmistrzami mianował braci przyrodnych, Gonzala i Juana. Na placu miejskim odbyła się uroczysta przysięga nowej władzy miejskiej. Oficerom i żołnierzom kazał osiedlić się w mieście na stałe, przydzielając im na utrzymanie okoliczne ziemie wraz z odpowiednią liczbą chłopów indiańskich do jej uprawy oraz pałace dawniejszych dostojników indiańskich. Konkwistadorzy, z których niejeden klepał biedę w Hiszpanii, stali się feudałami i właścicielami wielkich rezydencji miejskich. Wywłaszczeni Inkowie poniewczasie spostrzegli jaką niedolę gotują im biali najeźdźcy.

Pewnego dnia dotarła do Cuzco alarmująca wiadomość. Na płaskowyżu Riobamba pojawiła się silna armia hiszpańska pod wodzą Pedra Alvarada z zamiarem zdobycia prowincji Quito, której Pizarro nie zdążył jeszcze sobie podporządkować, a którą zagarnął samowładczo wódz Ruminawi.

Pedra Alvarada nie można było lekceważyć. Konkwistador ten zyskał sławę dzięki swej zuchwałej odwadze i awanturczym wyprawom. Jego imię było znane nawet w samej Hiszpanii. Jako prawa ręka Corteza zasłużył się wybitnie w zdobyciu Meksyku, spowodował jednak powstanie Azteków mordując ich dostojników na dziedzińcu świątyni w Tenochtitlanie. Podczas ucieczki ze stolicy azteckiej uratował życie w ten sposób, że posługując się dzidą jak tyczką przeskoczył potężnym susem szeroką wyrwę w grobli jeziora. Czyn ten przeszedł do poezji hiszpańskiej i zyskał mu sławę bohatera.

W tym czasie, kiedy Pizarro zdobywał Peru, Alvarado był gubernatorem Gwatemali. Wieści o fantastycznych łupach Francisca Pizarra nie dawały mu spokoju. Zdjęty zazdrością i żądzą złota, postanowił bez zwłoki pójść w jego ślady. Za cel wyprawy obrał sobie terytoria objęte nazwą Quito, ponieważ nie były jeszcze zajęte przez Hiszpanów i uchodziły za kraj, gdzie Atahualpa ukrył swoje skarby.

W marcu 1534 roku Alvarado wylądował w zatoce Caraques i puścił się w głąb nie znanego lądu. Armia jego, licząca dwieście pięćdziesiąt piechoty i dwieście pięćdziesiąt jazdy, była najsilniejszą i najlepiej uzbrojoną armią, jaka pojawiła się w Peru. Za namową przewodnika indiańskiego postanowił skierować się przez góry wprost do Quito, chociaż wiedział, iż dekretem królewskim miasto zostało przyznane Pizarrowi. Była to więc inwazja równająca się wypowiedzeniu wojny.

Hiszpanie wdrapywali się na wyżyny andyjskie i po kilku dniach mitręgi znaleźli się w bezludnej strefie śniegów i lodowców. Po przekroczeniu rzeki Rio Diable uciekł przewodnik, porzucając ich w białym piekle mrozów i zamieci śnieżnych. Nie znając drogi szli na oślep przez niebezpieczne ścieżki, zawieszane nad przepaściami. Wokół nich hulały wichry, a mróz stawał się tak straszliwy, że ludzie przymarzali do siodeł. Niebawem zabrakło im żywności i opału,

szlak pochodu znaczył się trupami żołnierzy i koni, zdarzały się nawet wypadki ludożerstwa. Chcąc podwładnych zachęcić do nowego wysiłku Alvarado oddał im do podziału ogromne ilości złota, które zagrabił po drodze Indianom. Ale żołnierze, nie chcąc obciążać się w marszu, porzucali skarby wzdłuż szlaków górskich i myśleli z westchnieniem, że całe to złoto oddaliby z radością za jedną kromkę chleba.

Jak to zwykle bywa w chwilach niebezpieczeństwa, podłość i tchórzostwo często dochodziły do głosu tuż obok bohaterstwa i gotowości do poświęceń. Wielu konkwistadorów, sądząc, że droga do Quito będzie przyjemnym spacerem, zabrało z sobą żony, przeważnie Indianki z Gwatemali. I oto niejednokrotnie zdarzało się, że gdy kobiety czy to z wycieńczenia, czy to z choroby nie mogły iść dalej, mężowie woleli raczej zginąć z nimi na pustkowiu górskim, niż porzucić je na drodze.

Przez parę dni Hiszpanie wlekli się po omacku poprzez gęstą chmurę dymów i popiołów, która zapierała im dech w piersiach. Równocześnie po górach przelewały się przeciągłe i ponure grzmoty napawające ich przesadnym lękiem. Wydawało im się chwilami, że jakieś gniewne demony gór ostrzegają ich w ten sposób przed dalszym marszem w nieznanne obszary górskiego bezludzia. Przypuszcza się dzisiaj, że w owym czasie nastąpił wybuch wulkanu Cotopaxi, jednego z najwyższych szczytów Kordyliarów andyjskich.

Armia Alvarada dotarła wreszcie do wielkiego płaskowyżu Riobamba. Przybyła tam w stanie oplakany. W czasie piekielnego marszu zginęła trzecia część żołnierzy, padło również sporo koni. Ci, którzy wyszli z życiem z koszarnej przygody, wyglądali jak kościotrupy i cierpieli na rozmaite odmrożenia. Na domiar wszystkiego cały wysiłek okazał się bezcelowy: z licznych śladów pozostawionych przez kopyta końskie wynikało niezbicie, że w prowincjach Quito krzatali się już ludzie Pizarra, czyli że Alvarado i jego żołnierze przyszli za późno.

Więść o marszu gubernatora Gwatemali na Quito zaniepokoiła poważnie Pizarra i Almagra. Natychmiast odłożyli na bok wszystkie wzajemne pretensje i połączyli swoje siły zbrojne dla obrony zagrożonych prowincji. Almagro wyruszył na czele silnego korpusu jazdy i piechoty, by zagrozić niebezpiecznemu intruzowi drogę.

Najpierw udał się do San Miguel, by zabrać stamtąd załogę, którą Pizarro pozostawił pod dowództwem Sebastiana Belalcazara. Marsz nad morze okazał się niełatwy, gdyż po drodze napadli na Hiszpanów partyzanci indiańscy, którzy grasowali na szlakach górskich. Ale w San Miguel Almagro stwierdził ku swojemu zdumieniu, że Belalcazar opuścił samowolnie miasto i pociągnął z całym wojskiem do Quito. Krążyły pogłoski, że uczynił to w zamiarze zdobycia sobie własnego gubernatorstwa. Podobno pod Riobamba pobił już na głowę wodza Ruminawiego i w dążeniu do podporządkowania sobie kraju dopuszczał się na ludności krwawych okrucieństw.

Almagro puścił się za nim w pogoń i spiesząc przez pustkowia pełne trupów i zgliszcz, dopadł go na płaskowyżu Riobamba. Belalcazar, pociągnięty do odpowiedzialności za samowolne opuszczenie San Miguel, tłumaczył swój krok chęcią powstrzymania Alvarada i bez oporu przeszedł pod rozkazy Almagra.

Wkrótce zjawiał się na płaskowyżu również gubernator Gwatemali. Oba wojska hiszpańskie stanęły do bratobójczej walki. Z sąsiednich okolic zbiegli się Indianie, by z bezpiecznej odległości przypatrywać się, jak biali najeźdźcy będą się wzajemnie wyrzynali. Z satysfakcją myśleli, że nadeszła chwila, kiedy pomszczone zostaną wszystkie doznane przez nich krzywdy i cierpienia.

W szeregach Almagra znajdował się w charakterze tłumacza Felipillo. Z nastaniem nocy uciekł on do Alvarada i zapewniał go, że w wojnie przeciwko Pizarrowi i Almagrowi wszystkie plemiona peruwiańskie staną po jego stronie, co więcej — zaofiarował się, że część wojska poprowadzi tajnymi ścieżkami na tyły Almagra, by ująć go w dwa ognie.

Co pchnęło Felipilla do zdrady? Od pewnego czasu przechodził on głębokie przemiany wewnętrzne, stawał się zamyślony i ponury. Po pierwszym wstrząsie na karaweli, kiedy niespodziewanie stał się jeńcem białych ludzi, szybko odzyskał humor. Bo też obchodzono się z nim na ogół łagodnie, on zaś sam rwał się do poznawania nowych krajów i nowych ludzi.

Stopniowo przywiązał się do tych rubasznych wojowników i nabrał przekonania, że służąc im wyświadcza swojemu plemieniu dobrą przysługę. Należał przecież do ujarzmionego ludu dawnego królestwa Chimu i nienawidził Inków, a Hiszpanie zapewniali go, że dążą do obalenia ich panowania. Wierzył głęboko, że z nadejściem Hiszpanów kraj jego ojców odzyska wolność.

Inków nienawidził do tego stopnia, iż bez najmniejszych skrupułów przyczynił się do śmierci Atahualpy, zwłaszcza że w związku z aferą miłosną stał się w dodatku jego wrogiem osobistym.

Powoli spadało mu jednak bielmo z oczu. Pierwszy zwrot w jego usposobieniu nastąpił w San Miguel. Ludzie, którym Hiszpanie odebrali ziemię i wolność, to byli przecież jego bliscy bracia plemienni, a nie Inkowie. Później był świadkiem ohydnej sceny gwałtu w Cajas, a teraz ze zgrozą patrzył na gehennę prowincji Quito.

Gdzieś na dnie jego duszy wykuło się zrazu słabe, ale narastające z każdym dniem uczucie współwiny za wszystkie nieszczęścia, jakie spadały na jego pobratymców. Zaczął rozumieć, że Hiszpanie są wrogami wszystkich bez wyjątku plemion peruwiańskich, że chodzi im tylko o to, by cały kraj zagrabić dla siebie i zamienić jego mieszkańców w niewolników.

Pod wpływem tych myśli i uczuć młody zapaleniec postanowił zrobić wszystko, co było jego mocy, by najeźdźcom pokrzyżować zaborcze plany. I właśnie na płaskowyżu Riobamba nadarzyła się pierwsza sposobność, by doprowadzić ich do wyniszczenia się w bratobójczej walce.

Do rozlewu krwi nie dopuścili jednak szeregowi żołnierze. W pewnej chwili, kiedy trąbki miały dać już hasło do walki, wśród wesołych okrzyków powitania wybiegli ku sobie z otwartymi ramionami. Mieszając się w bezładne kupy, opowiadali sobie z podnieceniem o przygodach, które przeżyli w ostatnich tygodniach. Podwładni Alvarada dowiedzieli się ze zdumieniem i radością o bogactwach, jakie zdobył Pizarro w kraju Inków. W nadziei uczestniczenia w przyszłych łupach gotowi byli porzucić Alvarada i przejść do szeregów jego przeciwnika.

Wodzowie spoglądali bezsilnie na żywiołową manifestację swoich żołnierzy i chcąc nie chcąc musieli przystąpić do układów pokojowych. Rokowania przerodziły się jednak rychło w pospolite targi handlowe. W końcu Alvarado odstąpił za sto tysięcy peset w złocie swoje karawele i wojsko wraz z całym zaopatrzeniem, zgodził się ponadto niezwłocznie opuścić Peru i nigdy już do niego nie powracać.

Nad Felipillem zawisło teraz wielkie niebezpieczeństwo. Almagro żądał jego wydania i za zdradę chciał spalić go na stosie. Na usilną prośbę Alvarada darował mu jednak życie, tym bardziej że w gruncie rzeczy potrzebował go wciąż jeszcze jako tłumacza.

Na prośbę Alvarada Pizarro zgodził się z nim spotkać i na miejsce schadzki wyznaczył miasto Pachacamac. Sławni zdobywcy przypadli sobie od razu do gustu. Istniała wprawdzie między nimi przepaść pod względem wykształcenia i ogłady towarzyskiej, gdyż gubernator Gwatemali był przystojnym, wielce błyskotliwym szlachcicem, jednakże jako poszukiwacze przygód i starzy bywalcy wojen szybko znaleźli wspólny język. Spotkanie uczczono biesiadami i zabawami rycerskimi, które ciągnęły się przez kilka dni. Prastara stolica boga Pachacamaca, gdzie dotąd słychać było wyłącznie pienia religijne i modły pątników, pełna była teraz zgiełku żołnierskiego, komend, fanfar i trzasku łamanych kopii na turniejach rycerskich. Pizarro radował się korzystną umową do tego stopnia, że z własnej woli dorzucił Alvaradowi dwadzieścia tysięcy dukatów, jak też obdarował go hojnie mnóstwem szlachetnych kamieni, złotych naczyń i kosztownych szat po

Atahualpie.

Zaraz po wyjeździe gościa Pizarro zabrał się do rozwiązania szeregu spraw administracyjnych kolonii. Ponieważ Cuzco leżało zbyt daleko w niedostępnych górach, postanowił wybudować sobie nową stolicę gdzieś na wybrzeżu morskim. Po starannym poszukiwaniu odpowiedniego miejsca wybór jego padł na dolinę Rimac ze względu na panujące tam korzystne warunki klimatyczne. Przez jej środek płynęła rzeka, która zaopatrywała w wodę rozgałęzioną sieć kanałów irygacyjnych i przy ujściu tworzyła zatokę, znakomicie nadającą się na port morski.

Pizarro zaprojektował stolicę na szeroką skalę. Z rozległego placu centralnego, przy którym miały powstać gmachy reprezentacyjne i katedra, wytoczył promieniście ulice ocienione szpalerami drzew. Wszystkie budowle miały stanąć w sadach i ogrodach.

Uroczysty akt fundacyjny podpisano w roku 1535 w święto Trzech Króli i z tych względów nadano miastu nazwę „Ciudad de los Reyes”, co znaczy „Miasto królów”. Lecz od samego początku konkwistadorzy przezwali je Limą, zniekształcając nazwę doliny Rimac.

Pizarro zabrał się z zapalem do budowy i miasto rosło jak na drożdżach. Do robót budowlanych spędzał tysiące okolicznych Indian, a wszelkie ich próby przeciwstawienia się niewolniczej pracy dławił w zarodku z niebywałą bezwzględnością. W pierwszej kolejności wzniesiono przy placu rezydencję dla Pizarra. Postawiono ją w sadzie, który rósł tam już przed przybyciem Hiszpanów. Na tyłach zabudowań pałacowych urządzono kręgielnię, ulubioną rozrywkę wicekróla. Następnie pobudowano szybko katedrę, ratusz miejski, pałace dla pomniejszych dygnitarzy, szpital i wiele innych gmachów publicznych, toteż Lima stała się wkrótce ludnym i tętniącym życiem ośrodkiem miejskim, pierwszym prawdziwym miastem hiszpańskim w Peru.

Tymczasem Almagro wybrał się do Cuzco z całym swoim wojskiem, by za zgodą Pizarra objąć tam rządy. W owej chwili znajdował się on u szczytu potęgi, gdyż pod jego znaki zapisała się większość dawnych podkomendnych Alvarada.

W drodze do stolicy otrzymał wiadomość, która miała niebawem spowodować zasadniczy zwrot we wzajemnych stosunkach obu wodzów. Gdy Hernando Pizarro udał się z Cajamarki do Hiszpanii, by wręczyć cesarzowi należną mu część łupów w złocie i prosić o dodatkowe przywileje, Almagro, nauczony przykrym doświadczeniem, niepokoił się, że bracia Pizarro znowu zawiodą jego zaufanie, dlatego posłał do Hiszpanii swego powiernika, by w razie potrzeby wystąpił w obronie jego interesów.

Tym razem jednak cesarz docenił zasługi Almagra. W wydanym przez siebie dekrete udzielił mu prawa zdobycia obszarów położonych na południe od dotychczas podbitych terenów peruwiańskich i mianował go tam niezawisłym od Pizarra gubernatorem.

Nominacja wbiła Almagra w dumę. Korzystając z tego, że linia rozgraniczająca oba gubernatorstwa nie była zbyt ściśle określona, oświadczył, że Cuzco wchodzi w obręb jego władzy i że wobec tego Pizarro nie ma do niego żadnego prawa. Bracia Francisca, Juan i Gonzalo, nie chcąc doprowadzić do rozlewu krwi hiszpańskiej, odstąpili mu ster miasta bez oporu, zaprotestowali jednak publicznie przeciwko jego roszczeniom i gwałtowi.

Wiadomość o samowolnym kroku współnika przeraziła Francisca Pizarra nie na żarty. W chwili gdy pragnął skonsolidować swoją władzę w nowej kolonii i spokojnie organizować jej administrację, wszelkie kłótnie i zatargi były mu nie na rękę. Pospieszył więc do Cuzco, by za wszelką cenę załatwić niepożądany rozłam.

Przy powitaniu uściskał Almagra jak starego towarzysza broni i zapewnił go o swej szczerzej przyjaźni, a podczas układów szedł na wszelkiego rodzaju ustępstwa, byleby doprowadzić do kompromisu. Ponieważ Hernando nie przybył jeszcze z dekretem królewskim, na którego podstawie można było ostatecznie rozstrzygnąć sprawę posiadania Cuzco, obaj wodzowie

zgodzili się spór pozostawić w zawieszeniu. Jednocześnie zobowiązali się uroczyście nie szkodzić sobie przez wysyłanie do cesarza osobnych petycji i zażaleń. Nową umowę polecili spisać notariuszowi królewskiemu i zaprzysięgli uroczyście w kościele, podając sobie dłoń nad trzymaną przez kapłana hostią świętą.

WYPRAWA DO CHILE

W miesiąc po zawarciu ugody z Pizarrem Almagro wybrał się na podbój przydzielonych mu przez cesarza obszarów. Żegnając się z Cuzco urządził dla swoich podwładnych huczną biesiadę. Oficerowie i żołnierze zasiedli przy długich stołach ustawionych na kozłach i wśród wesołego gwaru raczyli się ochoczo tym, co przynosiły im na półmiskach i w dzbankach służebnice indiańskie. Napojów było wtedy pod dostatkiem, gdyż na karawelach nabytych od gubernatora Gwatemali znaleziono sporo bukłaków z wyborowym winem andaluzyjskim.

Almagro czynił honory domu z upodobaniem. Rozparty wygodnie na ławie, z jowialną życzliwością patrzył na swoich zabijaków, którzy pili na umór i z każdym wychylonym kielichem nabierali zawadiackiej fantazji. Na jego rozgrzanej winem twarzy malował się wyraz błogiego dosytu: łaska cesarska zaspokoila wreszcie pożerającą go ambicję i wlała w jego duszę balsam samozadowolenia. Po siwiźnie i niezdrowej otyłości znać było jednak niedwuznacznie, że zaszczyty spadły na niego zbyt późno, i starość dobierała się na dobre do jego niespożytej, chłopskiej krzepy.

Przy stole posadził obok siebie trzech ludzi, tak niepodobnych w typie, i trudno było o większy kontrast. Po prawej jego stronie widniała przystojna, sztywno trzymająca się postać młodego Inki. Był to książę Paullo Topa, brat króla Manko i od niejakiego czasu ulubieniec Almagra. Po lewej stronie — smukła, sympatyczna sylwetka młodzieniaszka. Oliwkowa cera, wydatne kości policzkowe i ciemne, pełne melancholii oczy zdradzały krew indiańską, chociaż zaprzeczał temu czarny, aksamitny ubiór hidalga kastylijskiego i swobodne posługiwanie się językiem hiszpańskim. Almagro odnosił się do niego z nie ukrywaną czułością, był to bowiem jego syn Diego zrodzony z Indianki panamskiej.

Młody Metys stał się ulubieńcem wszystkich Hiszpanów. Skromny, uczynny i pełen uprzejmej prostoty w stosunku do wszystkich bez względu na rangę i pochodzenie, spisywał się w dodatku bardzo chlubnie podczas trudnych marszów w górach i w walkach z Indianami. Almagro, ogromnie dumny z jedynaka, usynowił go prawnie i wyznaczył swoim jedynym spadkobiercą.

Tuż obok młodego Diega rozpierał się ogromny, nieokrzesany w obejściu wojak z kruczoczarnym rozwichrzonym zarostem, przydającym jego twarzy wygląd nieco diaboliczny. Był to głośny kondotier Rodriguez de Orgonez. Podczas kampanii cesarza przeciwko papieżowi służył w zbójceckich lancknechtach konstabla burbońskiego i w roku 1527 brał udział w sławetnej grabieży Rzymu, znanej w historii pod nazwą „sacco di Roma”. Do Peru przybył jako podkomendny gubernatora Gwatemali i przyjąwszy następnie służbę u Almagra, stał się rychło jego najbardziej zaufanym powiernikiem.

Almagro zebrał pod swoim sztandarem pięćset siedemdziesięciu pieszych i konnych ochotników. Pomyślny wynik werbunku zawdzięczał niezwyklej popularności wśród pospólstwa żołnierskiego, a szczególnie wśród przybyszów z Gwatemali, których przygarnął do siebie. Widzieli oni, że wódz nie narzuca podwładnym zbyt surowej dyscypliny, że nawet często pobłażliwie przymyka oczy na wybryki, jakich nie tolerowałby żaden inny dowódca. Gdy przez krótki czas był panem Cuzco, żołnierze jego panoszyli się w mieście jak zgraja opryszków,

torturowali mieszkańców indiańskich i szukając ukrytych skarbów, burzyli ich domy.

Almagro znany był ponadto ze swej szerokiej hojności. Do jego ekspedycji przystali prawie wszyscy oficerowie Alvarada. Byli to synowie zubożałej szlachty hiszpańskiej, którzy szukali fortun i wyniesienia w świeżo zdobytych koloniach amerykańskich. Teraz liczyli na to, że podczas wyprawy zaborczej na południe obłowią się nie gorzej niż ich koledzy z wojska Pizarra. Almagro wspomagał ich chętnie, pożyczał im znaczne sumy na poczet przyszłych zdobyczy, a gdy wpadł w dobry humor, umarzał długi.

Kiedyś podszedł do Almagra nowozaciężny żołnierz i z bezczelną miną poprosił go o złoty pierścień, który ujrzał na jego palcu. Almagro nie chciał rozstać się z klejnotem, kazał mu jednak nadstawić rękę i wsypał garść złotej biżuterii. Inny konkwistador przywiózł z Hiszpanii kota, pierwszego kota, jaki pojawił się w Peru. Almagro ogromnie zachwycił się zwierzątkiem, ponieważ przypominało mu lata młodzieńcze spędzone we wsi rodzinnej. Wówczas żołnierz bez namysłu wręczył wodzowi kota w podarunku. Jakież było jednak jego zdumienie, gdy ucieszony wódz polecił wypłacić mu funt złota. Tego rodzaju anegdoty, prawdziwe i zmyślane, stałe krążyły wśród braci żołnierskiej i przyczyniały się do popularności Almagra.

W ekspedycji brał udział książę Paullo Topa na czele piętnastu tysięcy swoich wojowników. Towarzyszyło mu grono dostojników z kasty Inków oraz arcykapłan boga Inti, który podjął się zadania nakłaniania spotykanych po drodze plemion, by nie stawiali oporu Hiszpanom, dostarczały żywności i wydawały wszelkie złoto, jakie miały w swoim posiadaniu. Inkowie przyłączyli się do ekspedycji z własnej, nieprzymuszonej woli, w nadziei, że Almagro w dowód wdzięczności odda księciu Paullo Topie władzę królewską na zdobytych terytoriach.

Indiańska armia posiłkowa ruszyła w drogę forpoczta, natomiast Almagro ze swoimi Hiszpanami wyruszył dopiero po dwóch dniach. Marsz początkowo był łatwy, ponieważ droga wiodła gościńcem królewskim, wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Titicaca i poprzez rozległą mroźną taflę płaskowyżu, leżącego w obrębie granic dzisiejszej Boliwii. Lecz pewnego dnia wygodna droga urwała się nagle i armia hiszpańska znalazła się w nadzwyczaj dzikich okolicach górskich, gdzie w najlepszym razie istniały tylko wąskie ścieżki, wijące się serpentynami nad przepaściami.

Z każdym dniem wzmagały się mrozy i w końcu stały się tak mordercze, że ludziom odpadały paznokcie, nosy, uszy i palce. Na domiar wszystkiego kończyły się zapasy prowiantu i przed oczyma stanęło im widmo głodu. Hiszpanie dawali sobie radę karmiąc się padliną koni, które zdychały podczas pochodu. Gorzej było jednak z Indianami. Zbyt lekko ubrani, ginęli jak muchy od mrozu, a głód przybierał wśród nich tak potworne rozmiary, że w rozpacz rzucaли się na trupy swoich towarzyszy.

Z ludnością miejscową, która tu i ówdzie zamieszkiwała odludzie górskie, konkwistadorzy postępowali w sposób okrutny. Chcąc za wszelką cenę ocalić swoje życie, zabierali im wszystką żywność, burzyli ich sadyby na opał, a mężczyzn zakuwali w łańcuchy i kazali nosić ciężary. Chorych i wycieńczonych, którzy padali po drodze, nie uwalniali, lecz dobijali rapierami.

Paullo Topa, arcykapłan i Felipillo, oburzeni zbrojeckim postępowaniem sojuszników, daremnie występowali w obronie nieszczęsnej ludności. Almagro był głuchy na ich protesty. Pewnego dnia, gdy Indianie w samoobronie zabili trzech żołnierzy hiszpańskich, ujął naczelników trzydziestu wiosek i kazał ich spalić na stosie.

Po kilku miesiącach marszu przez przełęcz i wąwozy andyjskie ekspedycja zesłała stromym zboczem skalnym do urodzajnej doliny Salta, położonej w północno—zachodnich okolicach dzisiejszej Argentyny. Klimat jej był względnie łagodny, a ludność chłopska posiadała znaczne zapasy żywności, toteż wódz postanowił zatrzymać się tam na dwumiesięczny odpoczynek.

Następny etap wędrówki okazał się chyba najtrudniejszy. Almagro skierował się teraz na

zachód ku nizinom nadmorskim. W tym celu musiał przebyć podniebną przełęcz górską San Francisco i zejść potem urwistymi, zawrotnie stromymi zboczami ku morzu. Armia dotarła tam zdziesiątkowana. Podczas górskiej gehenny straciło życie stu pięćdziesięciu niewolników murzyńskich przywiezionych przez Alvarada z Gwatemali, ponadto sto dwanaście wierzchowców. Wśród ocalałych ludzi nie było ani jednego, który by nie doznał ciężkich lub lżejszych odmrożeń. Na szczęście mieszkańcy przybrzeża, nie powiadomieni o okrucieństwach, jakich dopuszczali się Hiszpanie na góralach, okazali się przyjaźnie usposobieni i tak gościnni, że nie tylko zaopiekowali się przybyszami, lecz chętnie oddawali złoto, które posiadali w swoich świątyniach.

Mimo to żołnierze czuli się zawiedzeni. Okolice, do których dotarli kosztem potwornych ofiar, były wprawdzie urodzajne, ale ubogie w złoto i srebro. Marzenia o bogatych łupach rozwiały się jak rojenia senne.

W obozie hiszpańskim panowało z tego powodu ogólne przygnębienie. Lecz Almagro nie tracił jeszcze nadziei i postanowił zbadać terytoria leżące bardziej na południe, w granicach Chile. Wysłany oddział rekonesansowy dotarł do rzeczki Maule, która tworzyła południowy kraniec państwa Tawantinsuju. Napotkawszy silny opór wojowniczych Aurakanów, wywiad wrócił z niepomyślną wiadomością, że zbadany kraj jest ubogi i słabo zaludniony.

Rozgoryczeni żołnierze domagali się teraz, by przerwać ekspedycję i powrócić do Cuzco, gdzie czekało ich życie ubogie wprawdzie, ale przynajmniej wolne od trudów i niebezpieczeństw. Almagro uległ im, ponieważ sam doszedł do przekonania, że dalsze uganianie się za mirażem złota nie miałoby żadnego sensu. Postanowił wracać wzdłuż morza, gdyż marszruta przez niziny wydawała mu się łatwiejsza.

Hiszpanie nie zdawali sobie sprawy z tego, że droga wypadnie im przez piekielną pustynię Atacama, gdzie brak wody, miazdzący żar słońca, gorące wichry i trąby piaskowe dadzą im się we znaki nie mniej niż mróz i zamiecie śnieżne na szlakach górskich. Z początku próbowali maszerować nocą i odpoczywać w ciągu dnia, ale niebawem musieli porządek ten odwrócić, gdyż trudno było spać na rozprażonym piasku pustyni pozbawionej drzew i skał, w których cieniu można by znaleźć wytchnienie. Marsz w płonącym słońcu tropikalnym zadawał żołnierzom nieopisane katusze, ale za to z nastaniem nocy mogli pokrzepić się snem we względnym chłdzie, który płynął od strony ośnieżonych szczytów andyjskich.

W połowie drogi do Cuzco spotkali szlachcica Juana de Herradę, który na czele nielicznego pocztu jazdy szedł im naprzeciw, by wręczyć Almagrowi odpis dekretu cesarskiego. Dokument ten potwierdził w całości to, co dotąd wiedziano tylko z ustnej relacji. Karol V, zadowolony z przywiezionego mu złota, nadał Pizarrowi tytuł markiza, Almagra zaś mianował margrabią i gubernatorem świeżo spenetrowanych obszarów w południowej części Peru. Ponieważ jednak dwór cesarski miał tylko mętne pojęcie o geografii nowych kolonii, dekret nie wytyczał dokładnej granicy między obu guberniami.

Almagro skorzystał z tego, by stanąć na stanowisku, że Cuzco wchodzi niewątpliwie w obręb jego władzy. Postanowił więc pospieszyć się i zająć miasto, zanim mógłby mu w tym przeszkodzić Pizarro. Zresztą namawiali go do tego podkomendni, gdyż mieli nadzieję, że opanowanie stolicy przyniesie im osobiste korzyści w postaci urzędów, dostojenstw i nadań posiadłości lennych.

Almagro skierował się do miasta Arequipa, leżącego w górach w odległości dwustu kilometrów od Cuzco. Otrzymał tam wstrząsającą wiadomość: w całym Peru wybuchło powstanie Indian, stolica jest obleżona przez ogromną armię króla Manko, w jej murach broni się do upadłego dwustu Hiszpanów pod komendą Hernanda Pizarro. Markiz, jak odtąd nazywano Francisca Pizarra, przebywa podobno w Limie i daremnie usiłuje przebić się z odsieczą do

obleżonych.

Almagro bez zwłoki podążył do Cuzco, nie zważając na znużenie żołnierzy i trudności drogi górskiej. Podczas forsownego marszu zaskoczyła ich huraganowa zamieć śnieżna i przez dwa dni szli po omacku, jak ludzie pozbawieni oczu.

Wieść o powstaniu niezmiernie ucieszyła Felipilla. Gdy tylko zapadła noc, podkraść się do namiotu arcykapłana i księcia Paulla Topy i usilnie namawiał ich, by razem z nim uciekli do powstańców. Arcykapłan zgodził się bez wahania, natomiast książę, chociaż przychylnie odniósł się do powstania, nie chciał opuścić swoich wojowników i narazić ich swoją ucieczką na pewną zemstę Hiszpanów.

Obaj Indianie, arcykapłan Inków i skromny chłopiec z ujarzmionego plemienia jeszcze tej samej nocy wykradli się z obozu i ruszyli w drogę do Cuzco. Ich nieobecność zauważono dopiero nad ranem. Almagro pienieł się z wściekłości i posłał za nimi w pościg konne patrole. Zbiegowie zgubili drogę i przez pięć dni błakali się po okolicy górskiej. Patrol przyłapał ich na jednej ze ścieżek i przyprowadził z powrotem na pół martwych z głodu i wycieńczenia.

Sąd polowy skazał ich na tortury, śmierć przez powieszenie i poćwiartowanie ciał. Obaj skazańcy szli na miejsce kaźni z dumnie podniesioną głową. Jak się rychło okazało, śmierć ich nie była bezowocna, od tej chwili bowiem wojownicy indiańscy wymykali się tak gromadnie do powstańców, że w końcu wojsko księcia Paulla Topy stopniało do nieznaczącej garstki ludzi, którzy musieli pozostać w obozie z powodu ran i chorób. Nawet gruboskórni konkwistadorzy zrozumieli, że wśród Indian zapanował nowy, wielce dla nich niepokojący duch oporu i walki.

BURZA NAD ANDAMI

Gdy tylko ekspedycja Almagra wyruszyła w drogę do Chile, Pizarro oddał Cuzco pod opiekę dwóch swoich braci przyrodnych, Juana i Gonzala, sam zaś powrócił do Limy, by poświęcić się rozbudowie ulubionego miasta.

Zdawało mu się, że już bez przeszkód będzie mógł organizować swoją kolonię. Krwawo maltretowana ludność nie stawiała zbrojnego oporu, biernie ugięła się przed wolą najeźdźców. Przez kraj, z chwilą zamordowania króla, jakby przewaliło się gwałtowne trzęsienie ziemi. W gruzach legł nie tylko ustrój państwowy Inków, lecz nawet starodawne urządzenia społeczne peruwiańskich ludów.

Była to rewolucja ze wszech miar niszczycielska. Rozzuchwaleni potulnością Indian, pełni wzgardy dla nich i przeświadczeni o swej wyższości, konkwistadorzy rzucili się na kraj jak stado zgłodniałych wilków, by go rozdrapać, a wszelkie, najmniejsze nawet próby oporu topili w morzu krwi.

Chłopów wyzuli z gruntów i zapędzili do pracy pańszczyźnianej w utworzonych naprędce majątkach feudalnych, tak zwanych „repartimento”. Inków, kapłanów i naczelników plemion zepchnęli na dno nędzy i poniżenia, nie tylko wywłaszczając ich ze wszystkiego, ale nawet zapędzając do pracy niewolniczej w kopalniach i na roli.

Świątynie bogów peruwiańskich zamienili na kościoły lub stajnie. „Dziewice słońca” wypędzili z klasztorów i zmuszali do prostytucji. Taki los zgotowali między innymi setkom „dziewic słońca” z Korikanczy w Cuzco. Pewnego dnia pijane żołdactwo wywlekło nieszczęsne dziewczyny z klasztoru i zmusiło do udziału w wyuzdanej orgii, by następnie rozpedzić je po kraju.

Król Manko, pozbawiony wpływów i traktowany pogardliwie, przyglądał się tym poczynaniom ze wzrastającym przerażeniem. Nie liczone się z nim do tego stopnia, że jeden z

konkwistadorów uprowadził mu bezkarnie najukochańszą żonę.

Młody król, nie chcąc dłużej wysługiwać się najeźdźcom i brać w ten sposób współodpowiedzialność za ich zbrodnie, domagał się coraz natarczywiej przekazania mu rzeczywistej władzy w kraju. Ale Pizarro zawsze miał w zanadrzu jakiś wykręt, by odprawić go z niczym.

Manko przestał w końcu wierzyć w dobrą wolę Hiszpanów i postanowił wystąpić w obronie zmaltretowanego kraju. Potajemnie zwołał zebranie co znamienitszych Inków i przedstawiciele podległych mu plemion, na którym przyjęto z zapalem jego propozycję ogłoszenia powszechnego powstania przeciwko najeźdźcom. Rozesłano po całym państwie wici i wkrótce w niedostępnych okolicach Andów zaczęła gromadzić się armia powstańców, żadna krwi hiszpańskiej.

Pewnej nocy Manko wraz z rodziną i najbliższymi powiernikami wykradł się cichaczem z miasta i skierował w góry, by objąć komendę nad powstańcami. Konkwistadorzy mieli go w takiej pogardzie, że nawet nie zauważyli jego ucieczki. Jednakże w mieście stało tysiąc wojowników z plemienia Kanaris, związanych sojuszem z Hiszpanami. Byli to najbardziej nieprzejednani wrogowie Inków. Oni to spostrzegli ucieczkę Manka i zaalarmowali natychmiast braci Pizarro. Wysłana w pościg jazda schwytała zbiegów.

Króla, zakutego w łańcuchy, poprowadzono triumfalnie przez stolicę i uwięziono w fortecy Sacsahuaman. Zdawało się, że spisek został zdławiony w zarodku. Mieszkańcy stolicy wpadli w rozpacz, w nocy dudniły żałobne bębny, harawakowie, czyli bardowie ludowi, chodzili po ulicach i śpiewali o nieszczęściu króla Inków.

Ale Manko bynajmniej nie dał za wygraną. Błąkał się po warownych murach, spoglądał na rozrzucone w dolinie miasto i gorączkowo snuł nowe plany ucieczki.

W tym czasie do portu w Limie zawinął Hernando Pizarro. Powrócił z Hiszpanii ze znanym już dekretem cesarskim. Był to człowiek znienawidzony przez konkwistadorów, gdyż buta jego i arogancja nie znały granic. Tym dziwniejsze może się wydawać, że ów gwałtownik i brutal zdradzał wyraźną słabość do Inków. Swego czasu darzył Atahualpę wielką przyjaźnią i prawdopodobnie nie dopuściłby do jego egzekucji, gdyby nie wyjechał do Hiszpanii.

Markiz wysłał go natychmiast do Cuzco, by objął tam ster rządów. Przybywszy na miejsce, Hernando uwolnił królewskiego więźnia i wyświadczał mu na każdym kroku wiele uprzejmości. Manko umiał wkraść się w jego łaski i wykorzystał wolność, by zorganizować nowy spisek, a robił to tak umiejętnie, że Hiszpanie niczego się nie domyślali. Chcąc pozyskać całkowite zaufanie Hernanda i uspić jego czujność, ujawnił mu parę miejsc, gdzie kapłani ukryli swoje skarby. Następnie, gdy już zaostrzył jego apetyt, zwierzył mu się poufnie, że w jednej z pieczar andyjskich ukryty jest posąg króla Huayny Kapaka naturalnej wielkości, odlany z jednej bryły złota. Wyraził gotowość przywiezienia skarbu do Cuzco, jeśli by Hernando zechciał mu zaufać i pozwolił wyruszyć w drogę. Zaznaczył jednak, że mogą towarzyszyć mu jedynie Indianie, gdyż obecność eskorty hiszpańskiej zbudziłaby czujność ludzi trzymających straż przy posagu, co umożliwiłoby im ukrycie go w innym miejscu. Hernando zapalił się do projektu Manka, uparł się jednak, by królowi towarzyszyło przynajmniej dwóch oficerów hiszpańskich.

Wyprawa po złoto wyruszyła istotnie w góry. Mijał jednak dzień po dniu, a Manko przepadał jak kamień w wodę. Po tygodniu Hernando połapał się, że został wystrychnięty na dudka. Nie zwlekając wysłał na poszukiwanie sprytnego króla Juana Pizarra na czele sześćdziesięciu konnych.

Pogoń mknęła przez obszary dziwnie wyludnione i pełne złowrogiej ciszy. W przesmyku prowadzącym do kotliny Yucay Juan spotkał owych dwóch oficerów, których Hernando przydzielił królowi Manko. Z ich opowiadania wynikało, że lud peruwiański stanął pod bronią,

by walczyć o wyzwolenie. Król Manko osobiście objął dowództwo powstania i zgromadził pod swoim sztandarem ogromną armię liczącą dziesiątki tysięcy wojowników. Mimo ogłoszenia świętej wojny przeciwko najeźdźcom wypuścił jednak na wolność dwóch oficerów Hemanda.

Juan wkroczył do kotliny Yucay i po drugiej stronie rzeki ujrzał kilka tysięcy wojowników gotowych do walki.

Od pierwszego wejrzenia miało się pewność, że nie było to zbiorowisko przypadkowo ściągniętych ochotników, lecz dobrze wyćwiczona, groźna armia, wydobyta jakby spod ziemi na przekór wszystkim klęskom, ruinom i rozprężeniu w kraju. W słońcu górskim łyskały żywo miedziane groty, maczugi i topory, bielily się watowane kaftany ochronne, migotały jaskrawo pomalowane tarcze, iskrzyły się złote kaski Inków wysadzane szlachetnymi kamieniami, straszyły groteskowe maski wojowników wyobrażające niesamowicie uśmiechnięte głowy zwierząt.

Juan, ufny w swoją wyższość bojową, bynajmniej nie przejął się tym widokiem. Rzeka Yucay, dość głęboka w tym miejscu, była jednak wąska i płynęła bardzo leniwie. Na rozkaz Juana konni runęli do wody i szybko sforsowali przeprawę, nie zważając na to, że na ich zbrojach, koletach i hełmach zagrzechotała ulewa strzał i kamieni. Zaskoczeni nagłym, zuchwałym natarciem, Indianie zrazu ustąpili z pola walki. Za chwilę jednak wrócili, obskoczyli garstkę Hiszpanów i z bezprzykładną furią napierali na nich z włóczniami, toporami i maczugami.

Opętające okrzyki bojowe i potężny napór przeważających sił indiańskich z kolei wytrąciły z równowagi konkwistadorów. Spłoszone rumaki stawały dęba, rajtarzy stracili ze sobą łączność i w pojedynkę walczyli o życie z zalewającym ich tłumem rozjuszonych wojowników. Juan dojrzał na czas niebezpieczeństwo, przerąbał się z powrotem do brzegu rzeki i kazał zatrabzić na zbiórkę. Skoro tylko żołnierze przebili się do niego, uformował zwartą kolumnę szturmową i z okrzykiem „Santiago” porwał ich do nowego ataku.

Wojownicy tym razem nie wytrzymali uderzenia szarży. Trатовani przez konie, rażeni ciosami rapierów i lanc, ponosili wielkie straty i musieli cofać się. Lecz o dziwo — nie była to już bezładna ucieczka, do jakiej zdążyli przyzwyczać się Hiszpanie w licznych walkach z tubylcami. Armia indiańska, podtrzymywana jakimś nowym duchem karności, cofała się krok za krokiem w podziw godnym porządku. Od czasu do czasu odwracała się na komendę dowódcy, zasypywała Hiszpanów pociskami z proc i luków, a w razie potrzeby, niby osaczony drapieżnik, przechodziła nawet do starcia wręcz.

W ten sposób zszedł cały dzień. Dopiero pod wieczór Indianie ustąpili z doliny i wycofali się w góry. Pole walki zalegały trupy Indian. Hiszpanie znowu odnieśli zwycięstwo. Ale koszt tego zwycięstwa był bardzo wysoki, wyrażał się bowiem w kilku poległych i wielu rannych żołnierzach oraz w dziesięciu zabitych rumakach.

Oddział Juana, zmordowany całodzienną walką, ledwie trzymał się na nogach i właściwie nie był zdolny do dalszej akcji. Największym wstrząsem dla Hiszpanów było jednakże to, że wojownicy indiańscy walczyli z takim bezprzykładnym uporem, że przestali wierzyć w niezwyciężoność białego człowieka.

Nazajutrz o świcie spotkała Hiszpanów nowa przykra niespodzianka. Okazało się, że Indianie bynajmniej nie uznali się za pobitych. Obsadzili wszystkie przesmyki i wąwozy, zbocza i szczyty górskie zamykając oddział Juana w niebezpiecznej pułapce. Na wszelkie próby wyłamania się z oblężenia odpowiadali lawiną ogromnych złomów skalnych i gradem pocisków.

Położenie Hiszpanów stało się nad wyraz kłopotliwe. Nie mogąc bez dotkliwych strat wyrębać się z górskiej pułapki, okopali się nad rzeką i odpierali co zuchwalsze natarcia Indian salwami z kusz i arkebuzów.

Trzeciego dnia, kiedy żołnierze dobywali już ostatnich sił w obronie swojej pozycji, nadbiegł

kurier od Hernanda z rozkazem natychmiastowego powrotu do Cuzco. W tym samym czasie, kiedy Juan borykał się bezcelowo z drugorzędnym oddziałem Manka, pod stolicę spłynęła olbrzymia armia peruwiańska i otoczywszy ją ze wszystkich stron potężnym pierścieniem, rozpoczęła oblężenie.

Juan zarządził natychmiast odwrót. Hufiec hiszpański z mozołem torował sobie drogę przez góry, opędzając się przed depczącymi im po piętach hordami Indian. O zachodzie słońca stanął w końcu na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się widok na stolicę.

Był to obraz, który nawet zahartowanych konkwistadorów przyprawił o dreszcz zgrozy. Gdziekolwiek spojrzeli, roilo się od wojowników indiańskich. Wszędzie było ich pełno — na szczytach i zboczach górskich, jak też w dolinach i wąwozach prowadzących do miasta. W zachodzącym słońcu połyskiwał ich oręż ze złota i miedzi, puszyły się barwne pióra na głowach naczelników, a nieprzejrany las włóczy i znaków plemiennych świadczył niezbicie, że na tym odcinku obozowało kilkadziesiąt tysięcy wojska. Wynikało z tego, że cała armia oblężnicza musiała liczyć co najmniej sto, jeżeli nie dwieście tysięcy uzbrojonych po zęby powstańców. Gdy zapadły ciemności, zapłonęły tysiące ognisk indiańskich, uzmysławiających Hiszpanom jeszcze wyraźniej grozę ich położenia.

Ku zdumieniu Juana Indianie nie zagrodzili mu drogi do miasta. Napotykane oddziały indiańskie ustępowały bez walki i znikwały za najbliższymi wzniesieniami. Plan króla Manko najwidoczniej polegał na tym, by zamknąć Hiszpanów w mieście i zmusić ich głodem do kapitulacji. Hernando przyjął Juana z otwartymi ramionami. Mając do dyspozycji wszystkiego dwustu ludzi pieszych i konnych oraz tysiąc sojuszników indiańskich z plemienia Kanaris, cenił sobie wysoko każdego żołnierza zdolnego do noszenia broni.

Już nazajutrz rano wybuchła zacięta walka. Po okolicznych wzgórzach rozległy się złowieszcze dźwięki konch i trąb glinianych. Na miasto posypały się tysiące pocisków z indiańskich proc i luków, ale Hiszpanie nic sobie z nich nie robili. Pociski nie wyrządzały im najmniejszej szkody, natomiast ich kusze, arkebuzy i falkonetki trafiały celniej i likwidowały w zarodku wszelkie próby zajęcia miasta szturmem.

Jednakże już po kilku dniach oblężeni przekonali się ku swemu zdumieniu, że z królem Manko sprawa nie będzie łatwa. Armia indiańska niezwykle szybko uczyła się na doświadczeniach i wprowadziła nowe, skuteczniejsze sposoby walki. Pewnego dnia spadły na miasto setki płonących ogników. Były to strzały i kamienie rozżarzone na ogniu, zawinięte w bawełnę i zamoczone w smole. W mgnieniu oka zajęły się łatwopalne strzechy domów, pożar błyskawicznie przerzuczał się z ulicy na ulicę, z dzielnicy na dzielnicę. Niebawem całe miasto przeobraziło się w morze płomieni, w wulkan plujący ogniem, iskrami i dymem. O celności Indian w strzelaniu świadczyło między innymi to, iż kierowani uczuciem pietyzmu, nie podpalili świątyni słońca i klasztoru „dziewic słońca”.

Czad, snujący się po ulicach, i żar stały się nie do zniesienia. Krztusząc się Hiszpanie uciekali z płonących domów i rozbili namioty na przestronnym placu, gdzie ogień nie mógł ich dosięgnąć. Wkrótce jednak i tam nie zaznali spokoju. Król Manko przypuścił szturm na warownię Sacsahuaman i szybko ją zajął, ponieważ broniła jej zbyt słaba załoga hiszpańska. Od tej chwili Indianie dzień i noc nekali obozujących na placu konkwistadorów, ciskając na nich z wysokości skały kamienie, strzały, a nawet ciężkie głazy.

Rajtarzy urządzali wypadki za mury miasta tratując i wycinając w pień napotykaną Indian. Dopuszczali się przy tym niebywałych okrucieństw. Zabijali kobiety przy kuchniach polowych, a jeńcom odrąbывali ramiona, nosy i uszy. Nic przeto dziwnego, że walka stawała się coraz bardziej krwiożercza, że przeciwnicy zapamiętali się w ślepej nienawiści.

Indianie nad podziw szybko uczyli się nowych sposobów ataku i obrony. Kopali doły—

pułapki najeżone ostrokołami, sypali wały i rowy dla ochrony przed szarżami jazdy. Na dobitkę oswoili się z widokiem galopujących rumaków i z ogniem broni palnej. Odkryli na przykład, że łąso, którym od niepamiętnych czasów posługiwali się w polowaniach na dzikie lamy, jest morderczą bronią przeciwko konnicy. Wojownicy zarzucali łąso na głowy jeźdźcom i ściągali ich z siodeł, a rumakom plątali nogi i wywracali je na ziemię.

Wkrótce powstały osobne oddziały wyspecjalizowane w rzucaniu łąsa, a jeźdźcy hiszpańscy bali się ich jak ognia, bo niejednen z nich dostał się w ten sposób do niewoli wraz z wierzchowcem. I tu znowu ujawniła się mądrość króla Manko. Wbrew zwyczajom indiańskim nie pozwolił jeńców zabijać, lecz zmusił ich, by nauczyli kilku wodzów konnej jazdy i strzelania z arkebuzów. Dla Hiszpanów był to dzień nad wyraz przykry, gdy w szeregach nieprzyjacielskich ujrzeli naraz króla i jego przybocznych wojowników galopujących na koniach oraz Indian strzelających z broni palnej.

Oblężenie trwało już pięć miesięcy. Konkwistadorzy zmordowani ustawiczną walką i pogotowiem bojowym, pokryci ranami i osłabieni głodem, upadli na duchu. Wieści, które przenikały poprzez mur oblężniczy, nie przyczyniały się do polepszenia ich nastrojów. Mówiły one, że rebelia indiańska sroży się w całym Peru i że Limę oblega ogromna armia króla Manko. Jeżeli pod tym względem mieli jakieś wątpliwości, to niejako potwierdzeniem pogłoski było to, że od Markiza nie nadchodziła upragniona odsiecz. Niebawem jednak przekonali się naocznie, co się działo w rzekomo podbitym kraju. Pewnego poranku znaleźli na placu osiem podrzuconych im głów hiszpańskich i ze zgrozą rozpoznali w nich znanych konkwistadorów, którym niedawno przydzielono w okolicy Cuzco majątki lenne. Zamordowali ich tubylcy w odwet za pozbawienie ziemi i zmuszenie do pańszczyźnianej pracy.

Wielu oficerów i żołnierzy domagało się teraz, by wywalczyć sobie drogę do Limy i połączyć się z Markizem. Ale bracia Pizarro stali na stanowisku, że opuszczenie stolicy byłoby równoznaczne z przyznaniem się do klęski, co miałyby fatalne następstwa dla ich prestiżu i zachęciłoby Indian do dalszego wysiłku w walce o wolność. Hernando wezwał przeto wojsko do wytrwania na posterunku i bronięcia miasta do ostatniej kropli krwi.

— Nie zapominajcie — upominał żołnierzy — że oczy całej Hiszpanii są na was zwrócone. Macie do wyboru: okryć się hańbą lub zyskać sławę bohaterów — innego wyjścia nie ma.

Przemówiwszy w ten sposób do sumienia konkwistadorów, zabrał się do ułożenia nowego planu działania. Należało przede wszystkim odbić warownię Sacsahuaman. Zadanie to powierzono Juanowi. Był to ogólnie ceniony, mężny i pełen fantazji młodzieniec, mający w swoim usposobieniu coś z błędnego rycerza. On jeden z braci Pizarrów nigdy nie splamił się okrucieństwem i dlatego cieszył się nawet wśród krajowców opinią szlachetnego człowieka.

Walka o fortecę toczyła się przez kilka dni z niezwykłą zaciętością. Indianie bronili się walecznie i zadawali Hiszpanom dotkliwe straty. Juan osobiście prowadził ludzi do szturm i pierwszy wdrapywał się na mury. Walczył cały czas z odkrytą głową, gdyż z powodu rany nie mógł założyć hełmu. W pewnej chwili ciężki kamień ugodził go w czoło i powalił na ziemię. Mimo to zagrzewał ludzi do walki, dopóki nie zemdlął z upływu krwi. Zniesiono go do miasta, gdzie zmarł po długich cierpieniach, opłakiwany szczerze przez towarzyszy broni.

Dowództwo objął po nim Gonzalo Pizarro. Oblężeni cofnęli się pod silnym naporem Hiszpanów do najwyższej położonej i ostatniej części warowni, gdzie bronili się do upadłego. Wódz ich, Inka królewskiego rodu, posiadał niebywałą siłę fizyczną. Dokazywał on takich cudów waleczności, że Hiszpanie nabrali dlań wielkiego respektu. Hernando kazał nawet wziąć go żywcem, z zamiarem darowania mu wolności i zyskania sobie jego przyjaźni. Gdy jednak konkwistadorzy wtargnęli do ostatniego umocnienia fortecy, bohaterski Inka stanął na szczycie muru, owinał się w płaszcz i skoczył w przepaść.

Tymczasem w olbrzymiej armii króla Manko, która obiegnęła miasto, szerzyła się niewiara w zwycięstwo. Okoliczne magazyny królewskie świeciły już pustkami i niebawem dał się odczuć brak żywności. Na domiar wszystkiego nadeszła pora robót polnych. Chłopi, z których armia głównie się składała, po większej części nie oparli się wołaniu ziemi i cichaczem wymykali się do swoich wiosek. Szeregi wojowników zaczęły przeredzać się w niepokojący sposób.

Król Manko zrozumiał w końcu, że już dłużej nie utrzyma wojska, i dobrowolnie rozpuścił większość chłopów do domu. Jednakże obsadził wojownikami przesmyki górskie prowadzące do morza, pozostawił w okolicy Cuzco większy oddział obserwacyjny i sam z resztą wojska wycofał się do górskiej warowni Ollantay—Tambu.

Warownia, słynna z eposu o legendarnym bohaterze Ollantayu, znajdowała się w dolinie rzeki Urubamba w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Cuzco. Pięła się ona tarasami na szczyt urwistej i niedostępnej skały. Potrójny mur obronny o zrębach cyklopowych czynił ją prawie niezdobytą.

Hiszpanie nie posiadali się z radości, gdyż sądzili, że minął okres oblężenia. Przekonali się jednak rychło, że położenie ich nie uległo zbyt wielkiej poprawie. Wysyłane w teren podjazdy wpadały z reguły w zasadzkę partyzantów i wracały mocno poturbowane, z rannymi i zabitymi towarzyszami. Okazało się, że oblężenie trwało dalej, stając się z kolei niewidzialne, nieuchwytnie i wszechobecne.

Kurierzy wysyłani do Markiza nie docierali do Limy ani nie wracali do Cuzco, lecz przepadali bez wieści w niezmiernym morzu wrogości, w jakie przeobraził się kraj peruwiański. Hernando nie miał zamiaru opuścić posterunku, ale nawet gdyby chciał przebić się do morza, byłby natrafił na nieprzewyciężone przeszkody w niezliczonych, obsadzonych przez Indian przesmykach górskich. Z dnia na dzień położenie stawało się groźniejsze, żywności było coraz mniej, a o ściągnięciu prowiantów z okolicy miasta nie mogło być mowy.

W desperacji Hernando postanowił wymacać króla Manko w jego gnieździe górskim i uderzyć w ten sposób w samo serce powstania. Wobec braku wiadomości z Limy widział w tej niebezpiecznej wyprawie jedyne wyjście z ciężkich opałów.

Do wykonania zadania wybrał osiemdziesięciu wybornych jeźdźców i nieliczny oddział piechoty. Pewien Indianin z plemienia Kanaris miał poprowadzić go mało uczęszczanymi ścieżkami i umożliwić mu w ten sposób zdobycie fortecy przez zaskoczenie.

Hiszpanie dotarli do celu o świcie. Przed nimi piętrzyła się prawie prostopadle ogromna skała. Na murach nie było żywej duszy, zdawało się przeto, iż załoga nie przeczuwa niebezpieczeństwa. Ale z tej strony warownia okazała się nie do zdobycia.

Hernando wobec tego obszedł skałę i stwierdził z zadowoleniem, że po przeciwnej stronie zbocze wznosi się pod tak łagodnym kątem, że nawet konnica mogła je pokonać. Hiszpanie wspinali się w górę w zupełnej ciszy i w rozproszonym szyku bojowym, aby nie zbudzić czujności Indian. Zbliżyli się do murów na kilkanaście kroków i już byli pewni, iż zaskoczenie udało im się doskonale. Wtedy, jak grom z jasnego nieba, uderzył w nich triumfalny okrzyk załogi indiańskiej i zanim się spostrzegli, zwałiła się na nich gwałtowna ulewa strzał i kamieni. Równocześnie na murach warowni wyrosły gęste szeregi wojowników strzelających z łuków i proc. Hiszpanie stracili zupełnie głowy i w popłochu rzucili się do ucieczki, siejąc po drodze rannych i poległych.

Zaskoczenie spaliło na panewce z przyczyny, jakiej Hernando nie mógł nawet przeczuwać. Kronikarze hiszpańscy notują nader dziwną rzecz: mianowicie Peruwiańczycy byli obdarzeni niezwykle wyostrzonym słuchem, graniczącym prawie z telepatią. Badacz francuski, doktor Jean Durand, stwierdził, że do dziś dnia można spotkać w Peru Indian, którzy popisują się tą wrodzoną umiejętnością. Przykładając ucho do ziemi wojownik peruwiański określał według

wibracji gruntu i powietrza, ile ludzi liczy oddział hiszpański poruszający się w odległości pięciu kilometrów, co więcej, jaki jest kierunek jego marszu.

Dzięki owemu niezwykle zmysłowi słuchu król Manko został w porę uprzedzony przez straż o zbliżaniu się konkwistadorów. Odpowiadając na zamiar zaskoczenia własnym zaskoczeniem, trzymał załogę w ukryciu, dopóki napastnicy nie zbliżyli się na małą odległość do murów.

Hernando, głęboko upokorzony porażką, uznał się, by zdobyć fortecę siłą. Wszystkie szturmy kończyły się jednak odwrotem i poważnymi stratami. Pod wieczór musiał uznać się za pokonanego i postanowił wrócić do Cuzco. Okazało się wtedy, że Indianie otworzyli służę regulującą rzeczkę Vilanota i zalali całą równinę dokoła warowni. Konkwistadorzy musieli brodzić w wodzie i równocześnie opędzać się przed ścigającą ich hordą wojowników. Odwrót przeobraził się w tych warunkach w ucieczkę na łeb na szyję.

Po drugiej stronie rozlewu wróg przestał ich ścigać. Mogli więc zatrzymać się, by nabrać tchu i odpocząć po całodziennej walce. Zawiedzeni i upokorzeni spoglądali na ponure zręby warowni Ollantay—Tambu, która w tak dotkliwy sposób wstrząsnęła ich pewnością siebie. W świetle księżyca odbijała wyraźnie postać króla Manko. Siedział na koniu dumnie wyprostowany i dzierżył złotą maczugę bojową. W jasnej poświacie widać było dwa pióra królewskie zatknięte za opaskę oraz płaszcz obszyty złotem i szlachetnymi kamieniami.

BRATOBÓJCZA WALKA

Pogłoski dochodzące do Cuzco, jakoby powstanie ogarnęło całe Peru, nie były dalekie od prawdy. Jakby na jakieś tajemnicze hasło Indianie podnieśli bunt jednocześnie w wielu okolicach olbrzymiego kraju, tak w górach, jak i na nizinach nadmorskich. Ofiarą masakry padli przede wszystkim ci Hiszpanie, którzy osiedlili się w przydzielonych majątkach lennych. Kroniki hiszpańskie utrzymują, że zginęło w ten sposób siedmiuset kolonizatorów hiszpańskich.

Miasta, obsadzone przez załogi konkwistadorów, zostały odcięte od świata przez wrogą ludność tubylczą, a Limę oblegała jedna z armii króla Manko. Markiz znajdował się jednak w daleko korzystniejszej sytuacji niż jego bracia w Cuzco. Okolica Limy była równiną, na której jazda mogła swobodnie manewrować i szarżować na przeciwnika. Wypadki jej zadawały Indianom tak dotkliwe straty, że musieli odstąpić od oblężenia miasta. Wałęsali się jednak małymi partyzanckimi oddziałami w okolicy i szarpali podjazdy wysyłane na rekonesans lub w poszukiwaniu prowiantu.

Markiz bardzo niepokoił się brakiem wiadomości z Cuzco. Czterokrotnie próbował pchnąć tam na odsiecz większe oddziały piechoty i kawalerii. Wpadały one jednak przeważnie w zasadzkę i wracały do Limy straszliwie zdziesiątkowane. Silny oddział pod dowództwem doświadczonego wodza Morgovijo de Quinonesa, liczący siedemdziesięciu żołnierzy konnicy i siedemdziesięciu piechoty, został zniesiony tak doszczętnie, że nikt nie wyszedł cało z pogromu.

Załogi hiszpańskie, stacjonujące w miastach nadmorskich, uległy panice. Poszczególne żołnierze uciekali na łodziach do Panamy i przeważnie ginęli na morzu. Niektórzy oficerowie uważali Peru za bezpowrotnie stracone i namawiali Markiza usilnie, by zaokrętownął wojsko na karawele i wrócił do Panamy. Ale Markiz nie chciał nawet o tym słyszeć, gdyż porzucenie we wrogim kraju towarzyszy oblężonych w Cuzco oraz w innych miastach poczytywał za czyn niegodny rycerza.

Skorzystał natomiast z obecności karawel w porcie, by wysłać je do gubernatorów Panamy, Nikaragui i Meksyku prosząc ich w błagalnych listach o natychmiastową pomoc. Nie ominął

nawet gubernatora Gwatemali, Alvarada, którego niedawno tak chętnie się pozbył. Zawiadamiając go o trudnym położeniu, odwołał się do jego patriotyzmu i honoru, by skłonić go do natychmiastowego wysłania posiłków. Widocznie jednak miał jeszcze żywo w pamięci zmysł kupiecki gubernatora, gdyż za pomoc ofiarował mu połowę zdobytych w Peru obszarów i łupów. Po upływie pewnego czasu zaczęły napływać do Limy mniejsze lub większe posiłki wojskowe i nawet jego kuzyn Fernando Cortez przysłał mu z dalekiego Meksyku żołnierzy, broń i amunicję.

Wróćmy teraz do Almagra. Po nieudanej wyprawie do Chile zatrzymał się on na dłuższy postój w mieście Arequipa, mniej więcej w odległości dwustu kilometrów od Cuzco. Indianie po dziesięciu miesiącach oblężenia odstąpili od stolicy, ale król Manko czuwał w pobliskich górach z armią piętnastu tysięcy wojowników.

Korzystając z tego, że łączyła go sympatia z królem, Almagro wysłał doń poselstwo i prosił o spotkanie w celu omówienia zatargu. Manko przyjął posłów uprzejmie, skarżył się przed nimi na wiarołomstwo braci Pizarrów i wyznaczył dolinę Jauja na miejsce spotkania. Almagro wyruszył tam niezwłocznie zabierając z sobą połowę wojska, a resztę pozostawiając w miejscowości Urcos w odległości trzydziestu kilometrów od Cuzco.

Tymczasem Hernando dowiedział się, że Almagro nosi się z zamiarem ponownego zagarnięcia stolicy. Pospieszył więc do Urcos z silnym oddziałem jazdy, by nawiązać z nim pertraktacje. Nie zastał go jednak na miejscu, gdyż Almagro był już w drodze do Jauja. Szpiegdy indiańscy zaobserwowali ruchy wojsk hiszpańskich i podejrzewając, że mają one na celu koncentrację sił przeciwko powstańcom, ostrzegli króla o niebezpieczeństwie.

Manko znał Hiszpanów aż nadto dobrze, by nie domyślić się, iż Almagro pod pozorem nawiązania rokowań chce uspić jego czujność i w odpowiednim momencie napaść go zniemacka. Postanowił zatem uprzedzić go i niespodziewanym uderzeniem zadać mu cios decydujący. Ale starzy weterani wyprawy chilijskiej nie dali się zaskoczyć. Podstępny atak odparli zwycięsko, zadając królowi tak ciężkie straty, że musiał wycofać się do swego górskiego matecznika Ollantay—Tambu, gdzie długo lizał się z ran.

Almagro wrócił następnie do Urcos i połączywszy się z resztą swoich sił, wezwał braci Pizarrów, by w myśl dekretu królewskiego wydali mu dobrowolnie stolicę. Nawiązane w tej sprawie rozmowy doprowadziły do zawarcia chwilowego rozejmu. Obie strony zobowiązały się czekać na orzeczenie geometrów królewskich, którzy mieli przybyć z Hiszpanii, by ostatecznie wytyczyć granicę między obu koloniami i w ten sposób przesądzić, komu przypadnie Cuzco.

Żołnierze i oficerowie Almagra byli z rozejmu bardzo niezadowoleni. Nie uśmiechała im się perspektywa przebywania w prymitywnej miejscinie indiańskiej Urcos, gdzie umierali z nudów. Ponadto nękały ich ustawiczne deszcze i chłody. Gdy w dodatku rozeszła się pogłoska, że Hernando Pizarro gorączkowo fortyfikuje swoją pozycję, zaczęli się domagać natychmiastowego zerwania rozejmu i zajęcia stolicy siłą.

W nastroju ogólnego podniecenia i plotek, jaki panował w obozie, Almagro nie oparł się naciskowi wojska, zwłaszcza że gorącym rzecznikiem zbrojnego wystąpienia przeciwko Pizarrom był także jego zaufany doradca Rodriguez de Orgonez.

Almagro skorzystał z burzy nocnej, by wtargnąć do miasta niepostrzeżenie. Ulewa deszczowa, wichura, bijące pioruny i nieprzenikniona ciemność stworzyły dogodne warunki do zaskoczenia. Straże szybko zostały obezwładnione, a cwałujące przez ulice oddziały konnicy zajęły bez oporu wszystkie kluczowe stanowiska w mieście.

Hernando i Gonzalo Pizarro, zbudzeni w ostatniej chwili ze snu, zdążyli z garstką towarzyszy zamknąć się w jednym z domów. Żołnierze Almagra rozwalili wrota i rzucili się na nich z rapierami w rękę. Ale bracia Pizarro bronili się z taką zajadłością, że dopiero po paru godzinach udało się ich ująć, i to wówczas, gdy ktoś wpadł na pomysł, by podpalić dom.

Ostrzegając Almagra przed mściwością Hernanda i Gonzala Pizarrów i argumentując, iż „zdechłe psy nie kłają”, Orgonez domagał się, by oddać ich pod miecz katowski. Almagro nie chciał jednak zrywać ostatecznie z Markizem, gdyż liczył na to, że jakoś dojdzie z nim do porozumienia. Tymczasem zgładzenie jego braci przyrodnych byłoby rzuceniem rękawicy do walki na śmierć i życie. Zdecydował się więc zatrzymać ich jako zakładników w przyszłych targach o Cuzco.

Na pięć miesięcy przed tymi wypadkami Markiz wysłał oblężonym braciom silny korpus, liczący stu dwudziestu żołnierzy jazdy i stu siedemdziesięciu piechoty. Dowództwo objął młody oficer Alonzo de Alvarado, a jego zastępcą został stary, doświadczony kapitan Pedro de Lerma.

Oddział posiłkowy przebił się kosztem poważnych strat w okolicy stolicy. Nie poszedł jednak oblężonym na pomoc, lecz przez parę miesięcy próżnował z bronią u nogi w dolinie Jauja. Co kryło się za tym marnotrawstwem czasu zakrawającym na zdradę? Otóż de Lerma obraził się śmiertelnie na Pizarra, że zamiast jemu powierzyć dowództwo podporządkował go młodzikowi Alvarado. Będąc starszym, bardziej wytrawnym wojskowym zyskał wpływ na swego przełożonego i pod różnorakimi pozorami namawiał go do przedłużenia pobytu w dolinie. Swymi matactwami chciał osiągnąć dwa cele: zemścić się za zniewagę na Pizarrze i skompromitować mianowanego przezeń dowódcę.

Almagro dowiedział się o pobycie Alvarada w dolinie Jauja i wezwał go przez posłów, by uznał jego zwierzchnictwo nad stolicą Cuzco. Oficer Markiza przyjął posłów uprzejmie, zaprosił ich na bankiet, a potem kazał obezwładnić i zakutych w kajdany wtrącić do więzienia.

Było to niesłychane pogwałcenie nietykalności poselskiej i zniewaga, której Almagro nie mógł puścić płazem. Natychmiast wyruszył w drogę z całym swym wojskiem, by rozprawić się z zuchwalcem. Ale pomimo że oznaczało to wypowiedzenie wojny Markizowi, nie usłuchał również i tym razem Orgoneza, który domagał się ponownie uśmiercenia Hernanda i Gonzala.

Alvarado rozstawił główne siły przy moście wartkiej i głębokiej rzeki Abancay z zamiarem bronięcia jej przeprawy. W odległości kilkuset metrów od mostu znajdował się łatwy do przekroczenia bród, który również trzeba było zabezpieczyć. W tym celu posłał tam de Lermę na czele silnego oddziału piechoty.

Almagro podszedł do rzeki i przez kilka dni nie mógł zdecydować się na żadną akcję. By dostać się do przeciwnika, trzeba było sforsować przejście przez most. Wiedział zaś, że tego rodzaju operacje są zazwyczaj bardzo ryzykowne i kosztują dużo krwi. Obie armie stały przeto po obu stronach rzeki bezczynnie i czekały, kto pierwszy rozpocznie bitwę.

W czasie którejś z bezksiężycowych nocy przyprowadzono do namiotu Almagra wysłańca z listem, w którym Pedro de Lerma zapewniał, iż nie tylko nie będzie bronił przeprawy przez bród, ale nawet w odpowiednim momencie zwróci oręż przeciwko własnemu wodzowi.

Almagro przystąpił wobec tego do walki. Podjąwszy zadanie upozorowania szturm na most, posłał równocześnie Orgoneza na czele głównych sił do brodu z poleceniem przejścia rzeki i zaatakowania przeciwnika od tyłu.

Alvarado oczywiście nie miał pojęcia, co się stało za jego plecami. Myśląc, że most jest zagrożony, skierował tam wszystkie swoje siły. Tymczasem Orgonez przeprawił się przez rzekę i wspomagany przez zdrajcę de Lermę zaatakował go z flanki i z tyłu. W szeregach Alvarada powstał wielki popłoch. Z zamieszania skorzystał Almagro, opanował most i rzucił się na przeciwnika od przodu. Alvarado, wzięty w dwa ognie, po krótkiej, beznadziejnej walce musiał się poddać. Uszczęśliwieni zwycięzcy wrócili do Cuzco w triumfie, prowadząc pod eskortą długą kolumnę jeńców jako widomy dowód klęski i upokorzenia rodziny Pizarro.

Markiz dowiedział się o uwięzieniu braci przyrodnych i zniszczeniu oddziału Alvarada dopiero wtedy, gdy spieszył do Cuzco. Natychmiast przerwał podróż i wróciwszy do Limy, zastanawiał

się, co począć dalej. W tym czasie przybył tam trzeci wspólnik i główny finansista ekspedycji do Peru, sędzia Gaspar de Espinoza. Zaalarmowany powstaniem Indian i niespokojny o przewidziany w kontrakcie udział w łupach, przywiózł z Panamy stu pięćdziesięciu własnym kosztem wyekwipowanych żołnierzy, by osobiście pilnować swoich interesów. Markiz namówił go, by udał się do Cuzco i nakłonił Almagra do pokojowego załatwienia zatargu.

Rokowania Espinozy z Almagrem wlokły się przez kilka dni wśród kłótni i targów. Espinoza zgodził się, by Cuzco pozostało w ręku Almagra aż do decyzji cesarza, domagał się jednak uwolnienia Hernanda i Gonzala. Po zwycięstwie nad rzeką Abancay stary wódz nabral ogromnej pewności siebie. Toteż nie tylko nie chciał przyjąć warunku, lecz zgłosił nawet pretensję do Limy, utrzymując, że leży ona w granicach jego obszarów. W pewnej chwili pertraktacje zawisły w powietrzu, ponieważ Espinoza umarł na jakąś tajemniczą chorobę. W mieście krążyły plotki, że został otruty przez kogoś, komu zależało na tym, by ugoda nie doszła do skutku.

Almagro pociągnął następnie z wojskiem na pobrzeże morskie, by założyć własne miasto portowe mające rywalizować z Limą. W podróż zabrał ze sobą Hernanda jako zakładnika, Gonzala zaś pozostawił w Cuzco pod strażą zaufanych ludzi.

Na siedzibę przyszłego miasta wybrał uroczą dolinę nadmorską Chinchi. Gdy się tam zatrzymał, nadbiegł ze stolicy kurier z hiobową wiadomością, że Gonzalo przy pomocy przyjaciół obezwładnił straż: i uciekł z więzienia. Była to nader dotkliwa porażka. Orgonez na domiar wszystkiego wypomniał mu z wściekłością, że nie usłuchał go, gdy żądał śmierci Pizarrów, i domagał się zgładzenia Hernanda, póki nie będzie za późno. Almagro nie mógł jednak i tym razem zdobyć się na czyn, który by spalił za nim wszystkie mosty.

Markiz zdawał sobie oczywiście sprawę, że po ucieczce Gonzala życie Hernanda wisi na włosku. Chcąc ratować go za wszelką cenę, zaproponował wszczęcie układów pokojowych. Po długich targach uzgodniono arbitra sporu w osobie szanowanego ogólnie zakonnika Bovadilli.

Urządzono ponadto spotkanie obu przeciwników w miejscowości Mała. Markiz czekał przed swoim namiotem w otoczeniu oficerów. Almagro podszedł do niego, zdjął kapelusz i z pojednawczym uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie. W tejże chwili Markiz dał się ponieść wszystkim zadawnionym urazom. Z kapeluszem na głowie zmierzył go od stóp do głowy i udawał, że nie widzi podanej do uścisku dłoni. Nie raczywszy go nawet powitać, w gwałtownych słowach żądał wyjaśnienia, jakim prawem zajął Cuzco i uwięził jego braci przyrodnych. Oburzony Almagro odciął się ostro i od słowa do słowa rozmowa przerodziła się w karczemną burdę. Obawiając się zasadzki, Almagro dosiadł konia i galopem wrócił do swojego wojska.

Tego samego dnia ojciec Bovadilla zawyrokował, że Almagro ma natychmiast wydać Cuzco braciom Pizarro i czekać na decyzję geometrów królewskich. Domagał się też uwolnienia Hernanda, z tym zastrzeżeniem, że miał on w ciągu sześciu tygodni opuścić Peru na zawsze.

Orzeczenie arbitra było wyraźnie stronnicze i wywołało w obozie Almagra wielkie oburzenie. Żołnierze, przerażeni perspektywą opuszczenia stolicy i podjudzani przez nieprzejednanego Orgoneza, domagali się przerwania rokowań i ścięcia Hernanda. Gdy Almagro wciąż jeszcze się wahał, zarzucili mu tchórzostwo i zagrozili, że porzucą jego szeregi, by na własną rękę szukać szczęścia.

Tymczasem Markiz ochłonął z gniewu i zrozumiał, że swoją porywcznością naraził brata na wielkie niebezpieczeństwo. Był teraz gotów na wszelkie ustępstwa, byleby wydostać go z rąk przeciwnika. W gruncie rzeczy nic go to nie kosztowało, gdyż nie miał zwyczaju dotrzymywać słowa, o ile mu to nie dogadzało, zwłaszcza gdy musiał dawać je pod przymusem.

Nawiązał ponownie rozmowy i osiągnął wreszcie kompromisowe porozumienie, według którego Almagro miał prawo zatrzymać Cuzco aż do decyzji cesarza, a Hernando odzyskał wolność po złożeniu przysięgi, że w ciągu sześciu tygodni wyjedzie na zawsze do Hiszpanii. Nie

mając żadnych złudzeń co do braci Pizarrów, Orgonez był pewny, że Hernando złamie bez skrupułów przysięgę i skorzysta z wolności, by pomścić swoje upokorzenia. Tknięty jak najgorszymi przeczuciami, uczynił dłonią gest przecinania gardła i z szubienicznym humorem odezwał się do Almagra:

— Oto cena, jaką zapłacę za to, że pozostałem ci wierny. Almagro udał się z powrotem do Cuzco. Markiz czekał tylko chwili, kiedy straci go z oczu, by przystąpić natychmiast do gorączkowej akcji. Zarządził zbiórkę żołnierzy i wygłosił do nich płomienne przemówienie. W jaskrawych kolorach opisał krzywdy doznane ze strony Almagra i oznajmił im, że nadszedł czas odwetu. Ogłaszając wojnę na śmierć i życie, przyznał jednocześnie, że, niestety, jest już za stary, by osobiście poprowadzić kampanię, wobec czego oddaje dowództwo w ręce Hernanda.

Przed szeregi wojska wystąpił teraz Hernando. Z wyrazem ubolewania na twarzy oświadczył, że mimo najlepszych chęci nie może przyjąć zaszczytnej misji ukarania buntownika, gdyż pod przysięgą zobowiązał się wyjechać z Peru. Markiz prosił go i nalegał, by nie odmawiał mu swojej pomocy, ale on certował się w dalszym ciągu. Równocześnie grono wtajemniczonych oficerów i żołnierzy zainscenizowało wielki zgiew entuzjazmu i porywając za sobą resztę wojska wołało:

— Prowadź nas, prowadź na zdrajcę!

Markiz podniósł rękę, by uspokoić krzykaczy, i uroczystym tonem odezwał się do Hernanda:

— Bracie, przysięgę wymuszono na tobie, gdy byłeś więźniem. Taka przysięga nikogo nie obowiązuje. Oświadczam przeto wszem wobec, że jesteś z niej zwolniony.

Hernando rozłożył ramiona z rezygnacją i uśmiechnąwszy się skromnie odpowiedział:

— Wobec tego nic mi nie pozostaje, jak tylko przyjąć zaszczyt. Zastrzegam się jednak, że czynię to tylko z poczucia obowiązku wobec króla i ojczyzny.

Wojsko rozeszło się do swoich zajęć wśród wiwatów na cześć nowego dowódcy.

Markiz zawiadomił następnie Almagra, że uważa umowę za niebyłą, i wezwał go do opuszczenia Cuzco pod groźbą wypowiedzenia wojny.

Almagro dopiero teraz przejrzał braci Pizarrów i gorzko żałował, iż zlekceważył przestrogi Orgoneza. Na domiar złego rozchorował się obłożnie i nie mógł osobiście objąć komendy nad przyszlą kampanią wojenną.

Dowództwo spadło na barki Orgoneza. Zajął on forsownym marszem dolinę Zangalla i rozesał w góry silne oddziały piechoty, by obstały wszystkie przesmyki prowadzące do morza. Hernando był jednak szybszy od niego, przekroczył góry bez walki i okrążającym manewrem usiłował zakorkować wszystkie drogi wyjściowe z doliny. Orgonez spostrzegł w ostatniej chwili, że grozi mu oblężenie, i skorzystał z jednego nie zajętego jeszcze przez wroga przesmyku, by wywinąć się z matni. Ale szybki odwrót przeobraził się rychło w paniczną ucieczkę. W ciasnym wąwozie powstał niebywały ścisk i zamęt, konnica pomieszała się z piechotą i nikt nie zwracał uwagi na rozpaczliwe rozkazy oficerów.

W dolinie Zangalla znalazł się również Almagro. Niespokojny o przebieg kampanii, przybył tam mimo choroby i uciążliwej drogi górskiej, by wydać Orgonezowi ostatnie polecenia. Tymczasem pogorszyło mu się do tego stopnia, iż nie mógł już o własnych siłach usiedzieć w siodle. Wsadzono go więc do lektyki indiańskiej i niesiono w ścisku uciekających żołnierzy do stolicy. Czas dokonał w nim wielkiego spustoszenia: był to już niedołężny, siwy i otyły starzec; na jego nalanej, wybladłej twarzy malowała się zgroza i apatia.

Przybywszy szczęśliwie do Cuzco, Orgonez zabrał się do przywrócenia karności w wojsku i umocnienia swego stanowiska. Zaledwie skończył przygotowania bojowe, przed miastem zjawił się Hernando. Pod naciskiem Orgoneza zapadła na radzie wojennej decyzja, by nie bronić się w mieście, lecz stawić czoło nieprzyjacielowi w otwartym polu. Wprawdzie Almagro raz jeszcze wyraził chęć nawiązania pertraktacji rozjemczych z Hernandem, ale nikt już go nie słuchał.

Orgonez odpowiedział mu nawet szorstko:

— Teraz już na to za późno, skoro wypuściłeś z ręki takiego zakładnika, jakim był Hernando. Z twojej winy nie pozostaje nam nic innego, jak bronić własnej skóry.

Na pole walki wybrał Orgonez dolinę Las Salinas, w odległości trzech kilometrów od Cuzco. Tryskały tam słone źródła, z których Indianie od wieków warzyli sól — stąd nazwa doliny. Wojsko jego liczyło pięciuset żołnierzy, w tym połowę stanowiła konnica. Piechota posiadała mało broni palnej, jej uzbrojenie składało się przeważnie z rapierów i długich pik z żelaznymi grotami. Jednakże słabą siłą ognia piechoty równoważyło do pewnego stopnia sześć falkonetek strzelających kamiennymi pociskami.

Nie ulegało przeto wątpliwości, że silną stroną wojska była liczna, doświadczona w walkach konnica. Szarża jej mogła być dla Hernanda bardzo niebezpieczna. Tymczasem Orgonez nie wysunął z tego faktu odpowiednich wniosków. Wybrane przezeń pole bitwy pełne było garbów i rozdołów, ponadto płynęła przed nim rzeczka z błotnistymi brzegami. Oficerowie jego dostrzegli ujemne strony przedpola i nalegali, by wybrać inny, dogodniejszy dla jazdy teren. Ale Orgonez obstawał przy swoim wskazując na to, iż rzeczka i błota stanowią dla nich wymarzoną osłonę przed atakami nieprzyjaciela.

Po pewnym czasie wyłoniła się z parowu górskiego armia Hernanda. Miarowy krok i karna postawa żołnierzy świadczyły o tym, że jest wypoczęta i pewna zwycięstwa. W przedwieczornym słońcu widać było wyraźnie rynsztunek i proporce poszczególnych oddziałów. Hernando miał pod swoją komendą siedmiuset żołnierzy, przeważnie piechotę. Natomiast kawaleria była nieliczna i źle przygotowana do walki. Jednakże kręgosłup armii stanowiła sprowadzona z Kolumbii świetnie wyćwiczona kompania strzelców uzbrojona w arkebuzy najnowszej, nie znanej w Peru konstrukcji. Była to nieporęczna, ciężka broń o dużym kalibrze, strzelała jednak podwójnymi kulami z ołowiu, połączonymi łańcuszkiem.

Hernando rozstawił swoje wojsko wzdłuż brzegu rzeki. Ponieważ zapadły ciemności, bitwę odłożono do następnego poranka. Wieść o mającej nastąpić walce szybko rozniosła się po okolicy. Szczyty i zbocza okolicznych wzgórz zaległo mrowie Indian — mężczyzn, kobiet i dzieci, czekających z zapartym oddechem na zapasy, w których mieli wykrwawiać się ich ciemniejący.

Nazajutrz była piękna pogoda. Poranne słońce zalało równinę potokiem złocistego blasku. W obu armiach zagrały trąbki na pobudkę. Żołnierze myli się w rzece i spożywali śniadanie. Zawziętość panowała wśród nich tak wielka, że wbrew zwyczajom żołnierskim nie obrzucali się kpinami, lecz spojierali na siebie w ponurym milczeniu. Kapelani odprawiali msze polowe na intencję zwycięstwa.

Zaraz po nabożeństwie przeciwnicy utworzyli szyki bojowe. Na skrzydłach piechoty ustawiła się jazda. Orgonez usadowił swoje armatki na bocznym wzniesieniu, by obstrzałem ogarnąć możliwie szeroki łuk przedpola.

Naraz z szeregów Hernanda oderwał się konny parlamentariusz, trzymając w jednym ręku list, a w drugim biały proporzeczek. Hernando zawiadamiał Orgoneza, że gotów podczas bitwy stoczyć z nim osobisty pojedynek, i uprzedził go, iż założy na siebie kaftan jaskrawo—pomarańczowego koloru, by w toku walczących mógł go rozpoznać.

Do pierwszego natarcia ruszył Gonzalo Pizarro na czele piechoty. Z okrzykiem: „Król i Pizarro!” żołnierze pędem przebrnęli rzekę, ale zaraz na przeciwległym brzegu ugrzęźli w błocie. W tejże chwili zagrzmiała artyleria Orgoneza. Salwa pocisków zwała się na atakujących jak ulewa gromów, ze świstem kosiła ludzi i szerzyła wśród nich obłądny przestach. Piechurzy poszli natychmiast w rozsypkę i co sił w nogach umykali z powrotem ku rzece. Gonzalo daremnie usiłował ich zatrzymać, nie pomogły ani okrzyki, ani razy zadawane pięścią, żołnierze

wpadli w taką panikę, że żadna siła nie mogła ich osadzić w miejscu.

Armia Orgoneza, osłaniana rzeką i błotami, nie kwapiła się do walki. Żołnierze stali z bronią u nogi i jak na widowisku przyglądali się z zapartym oddechem dramatycznemu pojedynkowi armaty z człowiekiem. Porażka piechurów wprawiła ich w szal radości. W przekonaniu, że miażdżący ogień artylerii przechylił ostatecznie zwycięstwo na ich stronę, wznosili okrzyki „Król i Almagro” i jak opętani wiwatowali na cześć kanonierów.

Wśród tego wrzasku i zamieszania nikt z ludzi Orgoneza nie zauważył, że z flanki nadchodzi nowe niebezpieczeństwo. Kompania arkebuźników przekroczyła rzekę w pewnej odległości od pola walki, wykonała za pagórkami oskrzydlający manewr i zniemacka ukazała się na szczycie wzniesienia. Szybko rozległa się salwa za salwą. Wyćwiczeni w Kolumbii według nowej taktyki flandryjskiej, strzelcy utrzymywali prawie nieprzerwany ogień. Kiedy jedni strzelali, drudzy tymczasem nabijali broń.

Efekt niespodziewanego ataku z flanki był piorunujący. Zespolone łańcuszkami podwójne kule ścinały z nóg ludzi i konie, zadawały straszliwe rany. Powietrze napełniały okrzyki bólu i zgrozy; dziesiątkowana piechota i jazda podały tyły, by wydostać się z morderczego zasięgu arkebuzów.

Hernando przeprowadził w tym czasie swoją jazdę przez rzekę i mokradło. Stanąwszy na suchym gruncie, poderwał ją do szarży. Orgonez zdołał w ostatniej chwili uchwycić w karby konnicę i gnał mu naprzeciw. Dwie żelazne fale rajtarów zderzyły się z głuchym łoskotem. Zgrzyt krzyżujących się kling i pękających hełmów, wrzaski wściekłości i triumfu, chrapanie i rzenie wierzchowców wprawiły zalegających wzgórze Indian w stan niebywałego podniecenia. Machając gwałtownie ramionami, gwizdem i wyciem zagrzewali białych wojowników do walki, szydzili z tych, którzy tchórzyli, i wychwalali walecznych. W ich manifestacji wyrażało się nie tylko upojenie widokiem porywającej walki, lecz również na pół uświadomione uczucie zadowolenia, że krzywdziciele sami wymierzają sobie sprawiedliwość.

Orgonez rzucił się w tłok bitwy i torując sobie drogę rapierem rozglądał się za Hernandem. W pewnej chwili zauważył potężnego rycerza w pomarańczowym kaftanie. Dopadł go z furią i błyskawicznym pchnięciem przeszył na wylot. Okazało się jednak, że zabity nie był Hernandem, lecz jakimś nie znanym mu konkwistadorem, słynnym z wielkiej siły i zręczności w pojedynkach. List Hernanda był więc niecnym, przewrotnym fortelem, który miał na celu popchnięcie Orgoneza do walki z wybitnym fechtmistrem.

Intryga spaliła na panewce, ale Orgonez czuł się głęboko znieważony i poprzysiągł zemstę. Sierdząc się w tłoku jak opętaniec, zadawał śmiertelne ciosy i gorączkowo szukał Hernanda. Niebawem uczyniła się dokoła niego pustka, gdyż przeciwnicy woleli nie wchodzić w drogę szaleńcowi.

W pewnej chwili ugodził go w czoło łańcuch podwójnego pocisku arkebuza. Jednocześnie potknął się rumak i przygniótł go całym ciężarem do ziemi. Orgonez nie zdążył już oswobodzić się na czas i stanąć do walki. Otoczony zewsząd przez wrogów zawołał, że podda się tylko komuś, kto jest godny tego zaszczytu.

Oreż przyjął od niego przyboczny oficer Hernanda, Fuentes. Rozbroiwszy jeńca, dobył podstępnie sztyletu i szybkim pchnięciem przebił mu serce. Na trupa haniebnie zamordowanego konkwistadora rzuciła się tłuszcza żołnierska i obdarła go do naga. Głowę odrąbano mu toporem i zatkniętą na pice obnoszono triumfalnie dokoła pobojowiska.

Pod koniec bitwy doszło do pojedynku między Hernandem i de Lerma. Obaj odnieśli rany, ale de Lerma, niezdolny do dalszej walki, został otoczony i musiał się poddać. Nie mógł już iść o własnych siłach, gdyż miał na wylot przebite udo i z upływu krwi tracił chwilami przytomność.

Śmierć Orgoneza była równocześnie klęską Almagra. Piechota i jazda, ścigane przez

zwycięzców, opuściły w bezładzie pole walki. Wieść o klęsce zastała chorego Almagra w łóżku. W pośpiechu wsadzono go do lektyki i zaniecono do warowni Sacsahuaman. Zamieszanie było tak wielkie, że nie stało czasu na zorganizowanie obrony. Hernando wtargnął do miasta bez oporu, opanował fortecę i wziął starego wodza do niewoli. Skutego w łańcuchy zamknięto w domu, gdzie poprzednio więziono braci przyrodnych Markiza.

Bitwa była niezwykle krwawa. Na polu walki poległo stu pięćdziesięciu Hiszpanów. Nikt na razie nie pamiętał o pogrzebaniu trupów. Gdy przeto nastąpiły ciemności, Indianie zeszli z pobliskich pagórków i zdążyli obedrzeć poległych. Na poboju bieliły się w blasku księżyca nagie ciała dumnych zdobywców, smętne ofiary bratobójczej rzezi.

Po okupacji konkwistadorów i obłężeniu króla Manko stolica Inków wyglądała żałośnie. Ale ostatecznego zniszczenia miasta dokonali pijani zwycięstwem ludzie Hernanda. Z wyuzdanym okrucieństwem pastwili się nad niedobitkami mieszkańców, ograbiali ich z resztek dobytku i podpalali domy dla samej tylko uciechy. Stronników Almagra, którzy wpadli w ich ręce, mordowali z brutalną bezmyślnością. Po ulicach poniewierały się trupy i rozbrzmiewały wrzaski pijanej tłuszczy żołnierskiej.

Pedro de Lerma zdołał umknąć z rąk wrogów i ukrył się w mieszkaniu swego przyjaciela, gdzie pragnął wyleczyć się z rany. Pewnego dnia wtargnął do jego sypialni niejaki Juan de Samniego. Ukłoniwszy się z szyderczą przesadą powiedział najspokojniej w świecie:

— Drogi panie Pedro de Lerma! Przychodzę pomścić honor i odpłacić się panu za policzek, który raczył mi pan wymierzyć kilka miesięcy temu.

— Wiesz dobrze — odpowiedział mu Lerma — co było powodem tego zajścia. Nie przyniesie ci chyba zaszczytu zabicie chorego i bezbronno go towarzysza broni.

Żołdak parsknął śmiechem, dobył sztyletu i kłut, aż ranny wydał ostatnie tchnienie.

Hernando odwiedził Almagra w więzieniu i pocieszał go, że odzyska wolność, gdy tylko Markiz przybędzie do Cuzco. W ciągu następnych dni wyświadczał mu różne uprzejmości: posyłał ze swego stołu najlepsze przysmaki i przez posłańca dopytywał się o jego zdrowie.

Almagro z właściwą sobie łatwowiernością uczepił się nadziei, że bracia Pizarro nie dybią na jego życie. Przez myśl mu nawet nie przeszło, iż Hernando z zimną przewrotnością planuje jego zgubę. Nieprzejednany i mściwy zwycięzca wezwał obecnych w mieście Hiszpanów, aby donieśli o wszystkich przestępstwach Almagra, jakie były im wiadome. Jak to zwykle bywa, do komisji śledczej zgłaszali się hultaje najgorszego pokroju, którzy zawsze i wszędzie są na zawołanie, gdy chodzi o dobiecie powalonego człowieka. Protokoły zeznań szybko mnożyły się i w końcu objęły tysiąc stron wielkiego foliału.

Podczas gdy Almagro leżał chory w więzieniu, w sąsiednim domu zasiadł do rozprawy powołany przez Hernanda trybunał sądowy. Akt oskarżenia zarzucał pokonanemu wodzowi, że prowadził wojnę przeciwko królowi i spowodował tym samym śmierć wielu jego poddanych, że pozostawał w tajnej zмовie z królem Manko i że bezprawnie zawładnął miastem Cuzco. Sąd ogłosił go zdrajcą i zaocznie skazał na ścięcie.

O wyroku zawiadomił więźnia jeden z zakonników. Prawie siedemdziesięcioletni starzec, osłabiony chorobą i przygnębiony klęską, zerwał się z gorączkowej drzemki i zrazu nie pojął, co do niego mówiono. Gdy wreszcie zrozumiał, że skazano go na śmierć, prosił tylko o umożliwienie mu spotkania z Hernandem.

Triumfujący Pizarro chętnie zgodził się na rozmowę, ale tylko by nacieszyć się widokiem upadku zniechęconego wroga. Zastał go w łóżku opartego na poduszkach. Widać było, że wyrok jest dla starego wodza tragicznym przeżyciem. Błada twarz zakrzepła w wyrazie trwogi i goryczki.

— Mości Hernando! Jak mogłeś dopuścić do tego, by mnie tak skrzywdzono. Miej wzgląd dla

moich zasług w zdobyciu tego kraju i dla siwych włosów starca, którego dni są i tak policzone. Daruj mi życie, tak jak ja ci darowałem, gdy byłeś moim więźniem. Odwołuję się do twojego poczucia rycerskości, nie popełniaj czynu, którego będziesz całe życie żałował.

— Margrabió Almagro! — odpowiedział oschle Hernando. — Wiesz dobrze, że jestem bezsilny, że wyrok wydał sąd, na który nie mam wpływu.

— Jako wódz masz prawo mnie ułaskawić. Zaklinam cię na wszystkie świętości, odmień wyrok w imię mojej długoletniej przyjaźni z twoim bratem Francisco, w imię moich zasług dla cesarza i Kastylii. Nie trać człowieka, któremu zawdzięczasz życie.

Głos jego łamał się z żalu, po policzku płynęła łza. Hernando spojrział nań bez litości i odparł:

— Dziwię się, że tak odważny człowiek jak ty boi się śmierci.

— Nie wstydę się tego. Czyż i Chrystus nie obawiał się śmierci?

— Szkoda czasu na dalszą rozmowę. Los twój jest przesądzony, przygotuj się na śmierć.

Hernando zabierał się do wyjścia. Ale skazaniec zatrzymał go jeszcze ruchem ręki i odzyskawszy spokój odrzekł:

— Jesteś zaślepiiony nienawiścią, Hernando, i nie zdajesz sobie sprawy, iż śmierć moja drogo będzie cię kosztowała. Upomną się o mnie przyjaciele i wszyscy ludzie sprawiedliwi, upomni się cesarz. Mówię ci to jako człowiek doświadczony i sterany życiem. Jesteś niemądry, Hernando Pizarro.

Almagro podyktował notariuszowi testament, w którym nazaczył swego jedynego syna głównym spadkobiercą, a cesarzowi zapisał wszystkie sumy należne mu od Markiza. Następnie wypowiedział się i przyjął komunię świętą. Na miejsce kaźni trzeba było go zanieść, gdyż tak był osłabiony chorobą, że nie mógł ustać na nogach. Po egzekucji głowę jego wystawiono na pokaz publiczny.

Ciało skazańca pochowano w kościele Matki Boskiej Litościwej. Przy trumnie odbyło się nabożeństwo za duszę zmarłego. W pogrzebie wzięli udział bracia Pizarro w żałobnych strojach.

W okresie kiedy ważyły się losy Almagra, Markiz przebywał w dolinie Jauja i jakoś nie spieszył się do Cuzco. Nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za śmierć współnika, udawał, że nie wie, co dzieje się w stolicy. Jest rzeczą jednak zgoła nie do pomyślenia, by Hernando odważył się na tak doniosły krok bez zgody starszego brata.

Jeszcze przed wykonaniem wyroku Hernando wysłał Diega Almagra do Limy, obawiając się, że wraz z przyjaciółmi wystąpi w obronie ojca. W drodze Diego nie mógł ominąć doliny Jauja, Markiz przyjął go serdecznie, pocieszał, że ojcu nie stanie się żadna krzywda, i obiecywał, iż w Limie będzie traktował go jako własnego syna.

Po kilku dniach Markiz otrzymał formalne zawiadomienie o egzekucji Almagra. Okazując wielkie wzruszenie pospieszył natychmiast do Cuzco. W żałobie, z kapeluszem zsuniętym na oczy udał się na grób starego towarzysza broni. Modlił się tam i płakał tak długo, aż bracia musieli w końcu siłą odprowadzić go do domu.

OSTATNIE BOJE MARKIZA

Gaspar de Espinoza umarł nagle w podejrzanych okolicznościach, Almagro zginął pod mieczem katowskim — z trzech współników pozostał przy życiu Francisco Pizarro. Nieprzebrane bogactwa zdobytego kraju należały odtąd wyłącznie do niego i do cesarza. Zaszczycony tytułami wicekróla i markiza oraz zaopatrzony w szerokie pełnomocnictwa, stanął u szczytu swego powodzenia. Będąc daleko od Hiszpanii rządził się w Peru jak udzielny władca.

Nie miał jednak beztronskiego życia. Zaraz po jego przybyciu do Cuzco wybuchło groźne

powstanie Indian nad jeziorem Titicaca i w prowincji Charcas. Hernando i Gonzalo musieli udać się tam, by zgasić zarzewie buntu. W stolicy pozostały tylko nieliczne i nie najlepsze oddziały wojska.

Tymczasem rosła na sile działalność partyzancka Manka. Bohaterski król Inków mordował podróżnych, zagarniał transporty broni i żywności, wciągał w zasadzkę i dziesiątkował patrole, aż doprowadził do tego, że żaden Hiszpan nie był pewny swego życia.

Pizarro musiał tworzyć sieć ufortyfikowanych punktów oporu i obsadzać miasta garnizonami, by nie stracić zupełnie panowania nad krajem.

Silna załoga stacjonowała między innymi w mieście Huamanga. Jej kapitan chełpił się, że jeden Hiszpan potrafi w walce dać sobie radę z setką wojowników indiańskich, i z lekkomyślną brawurą zapuścił się w dalekie góry, by żywcem pochwytać zbuntowanego króla i zabłysnąć sławą. Manko zaskoczył go jednak w jednej z kotlin i osobiście poprowadził natarcie cwałując na koniu. Oddział hiszpański wraz z chełpliwym dowódcą został zniesiony. Jedyne pięciu żołnierzy zdołało wymknąć się z potrzasku i wrócić do miasta. W nocy Indianie przerzucili przez mur Huamangi odcięte głowy poległych i wziętych do niewoli konkwistadorów.

Z dnia na dzień wojna podjazdowa stawała się okrutniejsza. Manko wbijał na pal jeńców hiszpańskich, a ich sojusznikom indiańskim obcinał uszy i nosy. W niewoli trzymał tylko tych Hiszpanów, którzy mogli być mu pożyteczni i dobrowolnie chcieli dla niego pracować. Z czasem w obozie powstańczym utworzył się sztab specjalistów i doradców. Był wśród nich chirurg, cyrulik, puszkarz, kowal i chemik, posiadający umiejętność wytwarzania prochu. Mało tego, do króla Manko uciekali wszelkiego pokroju renegaci, skazani na śmierć za jakieś sprawy lub szukający u niego wyniesienia i bogactw. Była to zgraja drapichrustów i awanturników, obeznana jednak z arkanami hiszpańskiej sztuki wojennej. Przy ich pomocy Manko formował karne oddziały arkebuźników, kuszników i kawalerii, wyćwiczone w hiszpańskiej taktyce walki.

Doprowadzony do ostateczności ciągłymi porażkami, Markiz odwołał Gonzala z prowincji Charcas i wysłał go przeciwko powstańcom. Manko ponosił dotkliwie klęski i straty w ludziach, zawsze jednak potrafił wymknąć się i tworzyć świeże oddziały powstańcze.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy Francisco Pizarro zrozumiał, iż nie pokona orężnie tej niepojętej siły, która niby legendarny feniks ciągle od nowa powstawała z popiołów. Postanowił zniżyć się do negocjacji z buntownikiem. Król Manko przystał na pokojowe rokowania i na miejsce spotkania wyznaczył dolinę Jauja. Markiz wysłał naprzód dwóch Murzynów z hojnymi darami na znak dobrej woli. Ale powstańcy indiańscy, nie wiedząc nic o nawiązanych rozmowach z królem, napadli ich i zabili w wąwozie górskim.

Markiz nie posiadał się z oburzenia i poprzysiągł królowi zemstę. Wśród jeńców indiańskich znajdowała się ulubiona żona króla Manko. Była to młodzianka, nad wyraz urodziwa dziewczyna, delikatna i pełna egzotycznego powabu. Markiz na oczach całego obozu kazał ją rozebrać do naga, przywiązać do drzewa i ćwicyć różgami. Indianka zносиła chłostę z pogardliwie zaciśniętymi ustami i nie dała po sobie poznać, że cierpi. Rozsierdzony jej dumną postawą, Pizarro wydał kusznikom rozkaz przesycenia jej strzałami. Nieszczęsna kobieta skonała nie wydając najcichszego jęku. Nawet twarde serca konkwistadorów napełniły się podziwem dla bohaterki. Okrutny czyn wodza spotkał się w obozie z ogólnym potępieniem, nikt nie odważył się jednak głośno wypowiedzieć swego zdania, gdyż z latami Pizarro stawał się despotą i nie znosił sprzeciwu.

Wojna podjazdowa toczyła się dalej ze wzrastającą zjadłością. Król Manko nie przebywał już w warowni Ollantay—Tambu. Obawiając się oblężenia przeniósł się w niedostępne góry Vilcapampa, gdzie, jak niosła plotka, wybudował sobie na niebotycznych wyżynach nową stolicę. W przeprowadzce towarzyszył mu liczny orszak Inków, kapłanów, „dziewic słońca” i

nałożnic. Długa karawana łam wiozła wielkie zapasy broni i żywności, a w lektykach niesiono mumie zmarłych królów, które zdołano swego czasu porwać z Korikancy i ukryć przed najeźdźcami.

W góry Vilcapampa nie odważyłby się zapuścić żaden Hiszpan. Była to dzika i bezludna kraina potężnych tumi, wśród których górował śnieżny szczyt Salcantay, kraina pełna wąwozów, przepaści, krzesanic i huczących potoków. Panowała tam beznadziejna pustka. A jednak kraina ta nadawała się świetnie na zamieszkanie. Na tarasach skalnych, zawieszonych nad doliną rzeki Urubamba, można było doskonale prowadzić gospodarkę rolną. Osiedle zbudowano na wschodnim stoku Andów, skąd już niedaleko było do obszarów tropikalnych Amazonki, obfitujących w zwierzynę i owoce.

Markiz bawił w Cuzco już cały rok, tymczasem nie było widać końca wojny. Na domiar złego zatrzymała mu życia nowa troska. Stronnicy Almagra pospieszyli do Hiszpanii i oskarżyli braci Pizarro o pospolite morderstwo. Głównym oskarżycielem był Diego Alvarado, szlachcic posiadający szerokie wpływy i koneksje wśród arystokracji hiszpańskiej.

Historia jego wrogości do braci Pizarro jest niezwykle ciekawa. Będąc oficerem w armii Almagra, odwiedzał często uwięzionego Hernanda Pizarro i grając z nim w kości, przegrał tak dużą sumę, że nie byłby w stanie jej spłacić. Ale Hernando darował mu dług i tym wspaniałomyślnym gestem zyskał sobie jego przyjaźń. Gdy Orgonez nalegał, by obu braci Pizarro posłać na szafot, Diego Alvarado gorąco występował w ich obronie i uratował im życie. Losy się odwróciły i Diego walczył z kolei o życie Almagra przypominając Hernandowi, że winien jest uwięzionemu wodzowi wdzięczność za to, że nie oddał go pod miecz katowski. Egzekucja Almagra przekonała go, że bracia Pizarro są łotrami, i poprzysiął im zemstę.

W Hiszpanii rozwinął on gwałtowną agitację, by podburzyć opinię publiczną przeciwko mordercom Almagra. Po miastach chodzili piewcy ludowi i śpiewali o zbrodni balladę jego pióra. W końcu doprowadził do tego, że w pojęciu ludu bracia Pizarro stali się potworami zasługującymi na najcięższą karę.

Wiść o wrogiej propagandzie dotarła po jakimś czasie do Cuzco i poważnie zaniepokoiła Markiza. Trzeba było co rychlej zabrać się do obrony. Podczas narady rodzinnej postanowiono, że Hernando wybierze się niezwłocznie do Hiszpanii, by usprawiedliwić przed cesarzem egzekucję Almagra i nastroić go życzliwie przez złożenie mu daru w postaci ogromnej ilości złota, jakie zdobyto właśnie nad jeziorem Titicaca.

Sprawa Almagra nabrała ogromnego rozgłosu również w koloniach hiszpańskich. Nie było człowieka, który by nie oburzał się na egzekucję popularnego, schorowanego odkrywcy, który stał już u schyłku życia. Hernando wiedział o tych nastrojach i obawiał się, że może zostać w Panamie aresztowany. Wybrał się więc okrężną drogą morską z Limy do meksykańskiego miasta portowego Tehuantepec oraz przez ląd Nowej Hiszpanii, czyli Meksyk, gdzie nie znano dokładnie całej afery i dlatego pozwolono mu wsiąść na okręt do Hiszpanii.

Hernando wjechał w mury Valladolidu z wielką paradą, wystawiając na pokaz przywiezione skarby. Mieszkańcy miasta i dwór przyjęli go jednak chłodno i otoczyli niewidzialnym murem towarzyskiego bojkotu.

Ale Hernando nie należał do ludzi, którzy łatwo zniechęcają się chwilowymi niepowodzeniami. Rozdając złoto na prawo i lewo, zdołał z czasem wytworzyć na dworze przychylniejszą dla siebie atmosferę. Cesarz dał się przekonać przez swoich doradców, że Hernando miał prawo i obowiązek skazać na śmierć Almagra, ponieważ w toku przewodu sądowego udowodniono mu rzekomo zdradę stanu. Nawet poczciwi mieszkańcy Valladolidu, udobruchani hojnością Hernanda, zaczęli uśmiechać się doń życzliwie.

Diego Alvarado z rosnącym oburzeniem obserwował, jak potęga złota udaremnia wszystkie

jego starania i zabiegi. Nie chcąc dopuścić do tego, by Hernando uszedł sprawiedliwości, zatrzymał go na ulicy i rzucił mu w twarz rękawicę.

Miasto w oka mgnieniu dowiedziało się o wyzwaniu i z zapartym oddechem czekało na wynik pojedynku. Lecz w przeddzień spotkania Diego zmarł nagle i natychmiast powstało podejrzenie, że Hernando otruł go ze strachu przed pojedynkiem. Pod naciskiem powszechnego oburzenia cesarz czuł się zmuszony wdać się w skandaliczną sprawę i kazał Pizarra wtrącić do więzienia w ponurej fortecy Medina del Campo.

Uwięzienie Hernanda głęboko zaniepokoiło Markiza, gdyż obawiał się, że z kolei i jego spotka niełaska cesarska. Co się tyczy brata, to nie tylko nie martwił się o niego, lecz w głębi duszy był zadowolony, że się go pozbył. Wprawdzie przyniósł mu on swoimi radami i energią wiele pożytku, ale równocześnie, na skutek mściwości, buty i skłonności do intryg, przysparzał mu ciągłych kłopotów, aż w końcu popchnął go do niedorzecznego kroku, jakim okazało się zgładzenie Almagra.

Wiadomość o upadku zniechęconego Pizarra wywołała wśród dawnych towarzyszy Almagra niebywałe zadowolenie. W Cuzco przebywało ich jeszcze sporo, stanowili więc silne i niebezpieczne stronnictwo. Markiz chciał ich rozproszyc po kraju i w tym celu oświadczył, że nada im majątki lenne na obszarach dotąd nie podbitych, o ile przyczynią się do ich zdobycia. Pod tym pozorem wysłał ich z ekspedycjami do krajów tropikalnych po wschodniej stronie Andów i na północ od prowincji Quito. Wiedział z doświadczenia, jak niebezpieczne są takie wyprawy, miał przeto nadzieję, że jego wrogowie albo wcale nie wrócą, albo powrócą złamani trudami i chorobą.

Do jednej tylko ekspedycji odnosił się z entuzjazmem. Od dawna krążyła legenda o „kraju cynamonu”. Cynamon należał wówczas do korzeni najwyżej cenionych, odkrycie tego kraju mogło więc przynieść mu ogromne zyski. Z tego powodu kierownictwo wyprawy powierzył swemu bratu przyrodniemu, Gonzalowi, i żeby ułatwić mu jej zorganizowanie, ustanowił go równocześnie gubernatorem Quito.

Gonzalo przygotował się do ekspedycji z nie spotykaną starannością. Gdy w końcu opuszczał miasto Quito, orszak podróży przedstawiał osobliwe widowisko. Na czele jechał oddział stu pięćdziesięciu konnych, zakutych w nowiutkie zbroje ze szmelcowanej stali. Siedzieli oni na wypasionych, pełnych wigoru rumakach i dzierżyli lance z barwnymi proporczykami. Takiej kawalerii nie powstydziliby się sam cesarz w Valladolidzie.

Lamy nie nadawały się do tej wyprawy; nie przystosowane do klimatu tropików, wyginęłyby szybko w czasie podróży. Zastąpiło je cztery tysiące ciężko objuczonych niewolników indiańskich. Za tragarzami ciągnęło poganiane przez czeladź indiańską ogromne stado wieprzów przeznaczonych na ubój. Następnie piechurzy hiszpańscy prowadzili na smyczach mnóstwo psów gońcych, nabytych w sąsiednich koloniach i wdrożonych do walki z dzikimi Indianami.

Ekspedycja poruszała się przy akompaniamencie potępieńczego harmideru. Przeciągłe dźwięki trąbek myśliwskich mieszały się z wesołym jazgotem psich głosów i przenikliwym protestem wieprzów. Do tego rwetesu dołączył się rozgłosny lament kobiet i dzieci indiańskich, żegnających mężów i ojców zabieranych przymusem na daleką wyprawę. Pochód zamykał oddział piechoty liczący czterystu ludzi.

Droga przez obszary dawnego państwa Inków nie nastęczała żadnych trudności. Mitręga zaczęła się dopiero w górach andyjskich, gdzie ekspedycji dawały się we znaki mrozy, wichry, zamiecie śnieżne i niebezpieczne ścieżki nad przepaściami. W okolicach wulkanów zaskoczyło Hiszpanów straszliwe trzęsienie ziemi. W ich oczach rozwarła się bezdenna, dymiąca siarką szczelina, do której zwała się cała wioska wraz z mieszkańcami.

Po wschodniej stronie Andów rozciągała się kraina dżungli. Upał stawał się z każdym dniem

większy, przez całą drogę padały deszcze i waliły pioruny. Po wielu miesiącach wędrówki przez puszcze, trzęsawiska i rzeki wezbrane deszczami Gonzalo dobrnął wreszcie do Canalas, wysnionej „krainy cynamonu”. Przed Hiszpanami rozpościerał się ogromny las rosochatych drzew, obrośniętych cynamonową korą. Konkwistadorzy pożerali łapczywymi oczyma te niezmierzone bogactwa, obmacywali pieszczotliwie chropowatą, aromatyczną korę i szacowali jej wartość. Drogocennym przysmakiem można było przez całe lata zarzucać wszystkie rynki Europy.

Gdy jednak uprzytomnili sobie, jak niedostępny jest „kraj cynamonu” i jak wobec tego nieprzydatne są jego skarby, ogarnęło ich uczucie zawodu i bezsilności: na próżno trudzili się tak nieludzko; wrócą do Quito równie ubodzy, jak je opuszczali.

Indianie spotkani w lesie opowiadali im, że gdzieś daleko, za puszcza, miała ponoć istnieć ludna, bogata w złoto kraina. Gonzalo postanowił udać się na jej poszukiwanie, a żołnierze, łasi na zdobycze, poszli za nim bez protestu.

Wędrowali na przemian to przez sawanny, gdzie żywy ogień łał im się na głowy, to znowu przez puszcze z drzewami tak grubymi, że szesnaście osób nie mogło ich objąć. Kolczaste pnącza powikłały się w nieprzebytą gęstwinę, musieli więc torować sobie ścieżki toporami. Wlekli się na umęczonych nogach tygodniami, tymczasem utęsknionej krainy złota nie było widać.

W tropikalnej, pełnej zaduchu wilgoci żywność obrastała pleśnią i ulegała zepsuciu. Wieprze poszły już pod nóż i głód począł zaglądać ludziom do oczu. Przewycięzając wstręt zjadali stopniowo psy, które i tak nie były im potrzebne. W końcu poświęcili również wierzchowce, a gdy ich zabrakło, gotowali w garnkach skórę siodła i pasów, pożerali ropuchy, węże i owady.

W ten sposób dobiegli do rzeki Napo, dopływu Amazonki. Idąc w dół jej koryta stanęli nagle nad kataraktą, która z ogłuszającym grzotem spadała w skalistą przepaść. Ponieważ po tej stronie rzeka zagradała im dalszą drogę, zbudowali most i przeprawili się na brzeg przeciwny.

Idąc w dalszym ciągu w dół rzeki, dotarli wreszcie do Amazonki. Była ona w tym miejscu tak szeroka, iż wydawało im się, że są nad morzem. Potężne masy wodne rwały przed siebie z niezwalczoną mocą, unosiły na grzbiecie pnie i gałęzie, tworzyły wirujące leje i pieniły się gniewnie nad skalnymi progami.

Ludzie byli już zbyt wycieńczeni głodem i trudami, o dalszym marszu nie mogło być mowy. Gonzalo rozbił więc obóz i zabrał się do zbudowania dużej brygantyny, by posłać w dół Amazonki oddział rekonesansowy na poszukiwanie osiedli indiańskich.

Budowa wielkiej barki trwała trzy miesiące i wymagała nieopisanego wysiłku. Dowództwo objął zaufany oficer Gonzala, Francisco de Orellana. Załadowawszy resztki żywności, wybrał się w nieznaną drogę z pięćdziesięcioma żołnierzami. Silny nurt błyskawicznie porwał brygantynę i uniósł ją jak łupinę w dół rzeki.

Mijały tygodnie i miesiące, Orellana nie wracał. Gonzalo i jego towarzysze niecierpliwili się coraz bardziej. Patrole wysyłane wzdłuż rzeki wracały z niczym. Brygantyna jak gdyby rozplynęła się w przestrzeni.

Pewnego dnia patrol natknął się w dżungli na półnagiego Europejczyka. Był on tak wycieńczony głodem, że nie mógł iść o własnych siłach i bredził od rzeczy. Ze zdumieniem poznali w nim żołnierze swego towarzysza Vargasa, który wchodził w skład załogi Orellany.

Zaniesiono go do obozu i nakarmiono. Gdy Vargas odzyskał przytomność, opowiedział historię, która przeraziła i pozbawiła żołnierzy ostatniej nadziei ratunku.

Orellana popłynął w dół rzeki i nigdzie nie znalazł śladu osiedli ludzkich. Pozostawał więc tylko powrót do obozu. Nie sposób było jednak wiosłować pod prąd, należało opuścić brygantynę i wracać łądem.

Wędrówka przez dżunglę nie uśmiechała się żołnierzom. Orellana skorzystał z ich nastrojów i

zapropował, by pozostawić Gonzala jego własnemu losowi i popłynąć z prądem Amazonki do brzegu Atlantyku. Plan przypadł do gustu wszystkim z wyjątkiem Vargasa, który uważał myśl porzucenia towarzyszy w bezludnej puszczy za rzecz haniebną. Wobec tego Orellana kazał wysadzić go na brzeg i odpłynął w dół rzeki.

Gonzalo, dowiedziawszy się o zdradzie swego oficera, doszedł do przekonania, że dalsze przebywanie w puszczy nie miałooby żadnego celu, i postanowił wracać. Po dwóch latach marszu pełnego przygód i nieopisanych cierpień niedobitki ekspedycji dowlokły się do Quito. Z czterech tysięcy Indian dwa tysiące straciło życie w dżungli, z pięciuset pięćdziesięciu Hiszpanów wróciło tylko osiemdziesięciu w stanie nad wyraz opłakanym. Czarni od słońca, chudzi jak szkielety i okryci skórami zwierząt, w niczym nie przypominali owych wspaniałych i dumnych konkwistadorów, którzy wyruszyli na podbój „kraj cynamonu”. Z okazałego rynsztunku pozostały im jeno rdzą pokryte, pogięte i popękane hełmy, stępione i połamane rapiery oraz strzepy przegniłych ubrań.

W Quito witano ich z płaczem i lamentem. Ale oni skierowali się naprzód do kościoła i rzuciwszy się na kolana, ze szlochom dziękowali Bogu za ocalenie.

Orellanie natomiast dopisało szczęście. Niejednokrotnie groziło mu co prawda wielkie niebezpieczeństwo, ale zawsze wychodził z oparów obronną ręką. Kiedyś na przykład ścigała go flotylla dzikusów indiańskich, innym razem o mało co byłby się rozbił o podwodną skałę. Po kilku miesiącach żeglugi dotarł wreszcie do ujścia Amazonki, przepłynął morzem na wyspę Cabagua, a stamtąd z całą załogą udał się do Hiszpanii na okręcie handlowym.

W Hiszpanii zdobył sobie sławę wielkiego odkrywcy. Przyjęty na dworze cesarskim, opowiadał niestworzone dziwy o rzekomo odkrytym przez siebie „El Dorado”. Cesarz uwierzył fanfaronowi i dał mu fundusze na koszty nowej wyprawy. Orellana nabył kilka karawel i zwerbował pięciuset ludzi, lecz zmarł nagle tuż przed wyruszeniem na zamorską wyprawę. Historia potępiła go za to, iż haniebnie zdradził Gonzala i jego towarzyszy, należy jednak przyznać, że był on pierwszym Europejczykiem, który przepłynął Amazonkę w całym jej biegu do morza.

W okresie gdy Gonzalo szukał kraju cynamonu, Markiz bawił w swojej ukochanej Limie i poświęcił się z zapalem jej rozbudowie. Zamieszkał tam również Diego Almagro. W jego domu gościli dawni towarzysze broni ojca i całymi dniami rozpamiętywali swoje krzywdy. „Ludzie z Chile”, jak ich przezwano, w dalszym ciągu pałali nienawiścią do Pizarra i nie chcieli pogodzić się z klęską.

Markiz był z natury człowiekiem mściwym i pamiętliwym, czasami jednak rozsądek brał w nim górę nad przywarami. Z początku chciał pojednawczym postępowaniem ułagodzić swoich pokonanych wrogów, uległ jednak złym wpływom doradców, wśród których rej wodził sędzia Velasquez i sekretarz Picado. Za ich namową pozbawił „ludzi z Chile” majątków i urzędów, a Diegowi nie pozwolił odebrać spadku po ojcu.

Dawni towarzysze Almagra popadli w ostatnią nędzę. Chcąc wspomagać się wzajemnie w ciężkiej sytuacji, zamieszkali po dwunastu w jednym pokoju i prowadzili wspólne gospodarstwo. Bieda przycisnęła ich do tego stopnia, że posiadali tylko przyzwoity płaszcz, który na przemian sobie pożyczali, gdy mieli ukazać się w mieście.

Do poprawy nastrojów bynajmniej nie przyczynili się stronnicy Markiza. Zbogaceni kosztem pokonanych, paradowali pod ich oknami w kosztownych strojach, kpili otwarcie z ich nieszczęścia i prześladowali szykanami.

Najgorszy wśród nich był sekretarz Picado. Ponieważ Markiz nie umiał czytać i pisać, on sporządzał wszystkie dokumenty wymierzone przeciwko grupie Diega. Był to człowiek brutalny i złośliwy, który wywierał na swego wodza zgubny wpływ. Między prześladowcami i szydzcami

trzymał prym, szczególnie znęcając się nad Diegiem. Kiedyś paradował ostentacyjnie pod jego oknem, ubrany w strój zabrany staremu Almagrowi przed wykonaniem wyroku śmierci.

„Ludzie z Chile” pienili się z wściekłości i odpłacali prześladowcom pięknym za nadobne. Pewnego poranku na placu uczyniło się wielkie zbiegowisko: ktoś postawił w nocy trzy szubienice z przyczepionymi nazwiskami Pizarra, Velasqueza i Picada.

Markiz lekcewał sobie „ludzi z Chile” i miał ich w pogardzie. Ostrzeżony parokrotnie, iż spiskują przeciwko niemu, odpowiedział:

— Nieboraki, nie mieli jakoś szczęścia. Pozwólmy im oddychać. Już dosyć zostali ukarani żyjąc w takiej poniewierce.

Wychodził z domu jedynie tylko w towarzystwie nie uzbrojonego pazia. Gdy pogłoski o spisku nie ustawały, wezwał do siebie Juana Herradę, najbliższego powiernika Diega Almagra. Przyjął go oglądając z lubością swój gaj pomarańczowy.

— Ile jest w tym prawdy, że kupujecie broń, by mnie zabić? — zapytał na pół serio, na pół drwiąco.

Herrada, stary, doświadczony oficer Almagra, odpowiedział wyniośle:

— Owszem kupujemy, ale tylko broje dla ochrony przed twoimi lancami, Markizie.

Pizarro roześmiał się i na pożegnanie obdarzył go pierwszymi owocami pomarańczy wyhodowanymi w Peru.

Pewnego dnia gruchnęła w mieście wiadomość, że do Peru spieszy już wysłany przez cesarza sędzia Vasca de Castro z poleceniem przeprowadzenia śledztwa w sprawie egzekucji Almagra.

Wśród spiskowców zapanowała wielka radość. Ponieważ sędzia miał podobno przebywać już w Panamie, posłali mu na spotkanie dwóch ubranych w żałobę przedstawicieli, by oskarżyć Markiza o morderstwo i despotyczne rządy. Tymczasem nadchodziły do Limy niepokojące plotki. Na przykład ktoś zapewniał, że sędzia został przekupiony przez Markiza, innym razem rozniosła się wiadomość, iż karawela, na której wysłaniec cesarski płynął do Peru, zatонуła.

Spiskowcy doszli do przekonania, że stracili ostatnią możliwość dochodzenia swoich krzywd na drodze legalnej i postanowili zabić Pizarra. Jako dzień zamachu wyznaczyli najbliższą niedzielę. Podczas narad najbardziej nieprzejednanym wrogiem Markiza okazał się Juan Herrada. Był on duszą sprzysiężenia. Młody, łagodny Diego poddawał się biernie jego woli, chociaż formalnie uważany był za głowę spisku.

Jeden z konspiratorów odczuł nagle wyrzuty sumienia i udał się do spowiedzi, by z góry otrzymać rozgrzeszenie. Przerażony ksiądz, chociaż związany tajemnicą spowiedzi, pospieszył do Markiza, by go przestrzec przed niebezpieczeństwem.

Ale wódz zadufany w swojej potędze, zlekcewał przestrożę i rzekł do sędziego Velasqueza:

— Ten ksiądz to filut nie lada. Całą tę historię wymyślił sobie licząc na to, że wynagrodzę go mitrą biskupią.

Ponieważ zamach miał nastąpić rzekomo przed katedrą po nabożeństwie, zgodził się dla pewności nie wychodzić tego dnia z pałacu.

W dzień wyznaczony spiskowcy zgromadzili się w domu Diega i czekali na chwilę, kiedy Pizarro uda się do katedry. Wiadomość, że wbrew zwyczajowi nie weźmie udziału w nabożeństwie, wprawiła ich w wielką konsternację, doszli bowiem do wniosku, że spisek został odkryty i że każdej chwili mogą spodziewać się aresztowania.

Wybuchła między nimi kłótnia, jak postąpić dalej. Niektórzy radzili, by czym prędzej rozproszyć się i ukryć gdzieś w Peru, większość jednak, gotowa na wszystko, chciała wtargnąć przemocą do pałacu i poszukać tam Markiza. Przedłużający się w nieskończoność spór przeciał jeden z odważniejszych spiskowców. Rozwarł drzwi na oścież, wyszedł na ulicę i zagroził, że zacznie na cały głos krzyczeć, po co się w tym domu zebrali, jeżeli natychmiast nie zdecydują się

na zamach. „Ludziom z Chile” nie pozostało nic innego jak tylko ulec zapaleńcowi i pójść w jego ślady.

Było już południe, gdy wreszcie zapadła decyzja. Rozprażone słońcem ulice świeciły pustką. Spiskowcy uzbrojeni w rapiery szli kupą i jak opętanci krzyczeli: „Niech żyje cesarz! Śmierć tyranowi!”

Mieszczuchy zerkali ukradkiem przez okna i trwożnie podawali sobie z ust do ust wiadomość, że „ludzie z Chile” idą zabić Markiza. Nikt jednak ani myślał chwycić za broń i zastąpić drogę zamachowcom. Pizarro despotycznymi rządami ściągnął na siebie niechęć całego miasta.

Przechodząc przez plac, spiskowcy natknęli się na wielką kałużę. Gdy jeden z nich chciał ominąć wodę, Herrada obruszył się i zawołał:

— Boisz się zamoczyć nogi, kiedy za chwilę masz po kolana broczyć we krwi? Skoroś taki delikatny, wracaj do domu! Nic nam po tobie!

Brama pałacu stała otworem. Na dziedzińcu zastali dwóch ludzi ze służby Pizarra. Jednego przeszyli rapierami, drugi zdążył im jednak uciec i wpadając do pałacu, wydzierał się na całe gardło:

— Ratunku, ratunku, „ludzie z Chile”!

Markiz siedział właśnie przy obiedzie w liczonym towarzystwie przyjaciół. Był tam jego krewniak Alcantra, sędzia Velasquez, sekretarz Picado, adiutant Chaves i dwudziestu innych oficerów oraz ojciec Valverde, główny sprawca śmierci Atahualpy i naówczas już biskup diecezji Cuzco. Wszyscy jak jeden mąż zerwali się od stołu i zbiegli ze schodów, by dowiedzieć się o przyczynie wrzasku. Na widok uzbrojonych napastników pognali na łeb na szyję z powrotem na pierwsze piętro i wyskoczyli oknami do ogrodu. Przy Markizie wiernie wytrwali tylko Alcantra, Chaves i dwóch służących.

Spiskowcy zabili służbę i wtargnęli do przedpokoju. Markiz usiłował w gorączkowym pośpiechu założyć zbroję i równocześnie wezwał Chavesa, by zamknął drzwi na skobel. Ale sekretarz, chcąc za wszelką cenę uniknąć rozlewu krwi, uchylił drzwi, by pertraktować ze spiskowcami. Herrada skorzystał z tego i błyskawicznie przebił go rapierem.

Markizowi tak drżały ręce, że nie zdołał poradzić sobie z rzemieniem zbroi. Odrzucił ją przeto na bok ze złością, owinął lewe przedramię płaszczem i z dobytym rapierem skoczył do przyległego korytarza, gdzie mógł się skutecznie bronić.

W tejże samej chwili zamachowcy wpadli do pokoju z okrzykiem: „Precz z tyranem!”, położyli trupem zagrządzającego im drogę Alcantrę i natarli na Pizarra. W mrocznym korytarzu zrobił się ścisk niebywały. Spiskowcy wtargnęli tam kupą, ale w ciasnym przejściu mogli walczyć tylko w pojedynkę. Wódz liczył już sobie sześćdziesiąt pięć lat, bronił się jednak z taką siłą i temperamentem, że zabił dwóch przeciwników, a paru innych ranił tak poważnie, że musieli wycofać się z walki.

Herrada stracił cierpliwość i wpadł na istic szatański pomysł. Znienacka pchnął swego towarzysza Narveza na ostrą stal Markiza. Na mgnienie oka, kiedy rapier tkwił w ciele popchniętego spiskowca, wódz był bezbronny. Z tego momentu skorzystał błyskawicznie Herrada, by potężnym sztychem przeszyć mu gardło.

Zdobywca Peru osunął się bezwładnie na podłogę. Zamachowcy w ślepym zapamiętaniu zadawali mu sztychy i razy, aż naokoło utworzyła się wielka kałuża krwi. Markiz z imieniem Jezusa na ustach nakreślił własną krwią znak krzyża i schylił się, by złożyć na nim pocałunek. Wtedy jeden ze spiskowców złapał ciężki dzban do wody i brutalnym uderzeniem zmiażdżył mu czaszkę.

„Ludzie z Chile” wybiegli następnie na plac i obchodząc go dokoła krzyczeli: „Niech żyje cesarz i jego gubernator Diego Almagro!” Z całego miasta zbiegli się teraz wrogowie Pizarrów i

przyłączyli się do pochodu. Na czele jechał konno młody Diego mając obok siebie Herradę. Poplecznicy Markiza w popłochu ukryli się w domach w obawie przed prześladowaniami. Nie stało im się jednak nic złego, odebrano im tylko majątki i wypędzono z miasta. Jedyne znienawidzonego sekretarza Picada wzięto na tortury i powieszono na szubienicy. Pałac Markiza splądrował motłoch; znaleziono w nim ogromne skarby w złocie i srebrze.

W mieście uczynił się wielki zamęt. Tłumy mieszkańców zaległy ulice manifestując na cześć nowego gubernatora. Tu i ówdzie doszło do bójek, gdyż niektórzy, korzystając z zamieszania, próbowali załatwić porachunki z osobistymi wrogami. W paru miejscach wybuchały nawet pożary i w końcu całej Limie groziła pożoga. Żeby uspokoić rozgorączkowane umysły, zakonnicy wyszli na miasto z uroczystą procesją. Monstrancja, feretrony z wizerunkami świętych i pienia religijne istotnie przywróciły ład i porządek, rozwyrzone tłumy rozstały się na chodniki i padały na kolana.

Ciało Markiza leżało przez cały dzień w pałacu, tak jak je porzucono, w kałuży krwi. Zjawili się gorliwcy, którzy chcieli zawlec je na plac i powiesić na szubienicy. Ale Diego Almagro, ulegając prośbie przyjaciół Pizarra, pozwolił je pochować w kościele.

Pogrzebem zdobywcy zajął się jego stary sługa indiański. Przy pomocy żony i paru niewolników murzyńskich zawinął skrwawione zwłoki w prześcieradło i przy świetle pochodni zakopał w mrocznym kącie kościoła. Smutnym obrzędem nie zainteresował się ani jeden Hiszpan.

EPILOG

Prochy Francisca Pizarra spoczywały przez kilka lat w tym miejscu, gdzie pogrzebał je wierny sługa indiański. Z upływem czasu spłóśniała pamięć o jego zbrodniach, wygasły ludzkie nienawiści. Rosła natomiast legenda o nim jako o wielkim odkrywcy i rycerzu bez skazy. Szczątki bohatera przeniesiono wśród bicia dzwonów do okazałego sarkofagu. W roku 1607 ukończono w Limie nową katedrę. Umieszczono je wówczas w bocznej nawie za kryształową szybą. Szerniałe zwłoki można tam do dziś dnia oglądać.

Tragiczna śmierć obu wodzów wyprawy nie przerwała łańcucha zbrodni i zagłady. Zginęli również po kolei prawie wszyscy konkwistadorzy, którzy w dramacie peruwiańskim odegrali jakąś wybitniejszą rolę. Rzec by można, że zaciążyło na nich przekleństwo starych bogów peruwiańskich, gdybyśmy nie wiedzieli, że padali ofiarą własnych wybujałych namiętności i ambicji.

Tuż po zamachu w Limie fanatyczny mnich Valverde, który był jednym z głównych sprawców śmierci Atahualpy, uzyskał wolność i w towarzystwie paru przyjaciół wybrał się w drogę powrotną do Hiszpanii. Wypłynął z Limy w podróż morską, ale w drodze zrobiło mu się żal biskupstwa w Cuzco, którym został nagrodzony przez Pizarra. Wylądował więc w Tumbes z zamiarem przyłączenia się do cesarskiego pełnomocnika de Castra i powrotu pod jego opieką do swojej diecezji. Nie wiadomo, jakim sposobem dostał się na wyspę Puna, dość że wpadł tam w ręce dzikich wyspiarzy i został przez nich zamordowany.

Diego Almagro niedługo cieszył się godnością gubernatora. Wysłannik cesarski Vasca de Castro przybył wreszcie do Peru i mając w ręku nominację na gubernatora, wezwał „ludzi z Chile”, by mu się podporządkowali. Diego i Herrada odmówili. Gubernator zebrał w odpowiedzi armię złożoną z popleczników Pizarra i wypowiedział im wojnę. Przed rozprawą orężną umarł Herrada, Diego był młodym człowiekiem i bardzo niedoświadczonym wodzem. W bitwie pod Guamangi poniósł druzgocącą klęskę i dostał się do niewoli. Skazano go na śmierć i ścięto w

Cuzco dokładnie na tym samym miejscu, gdzie połała się krew jego ojca.

Zamęt i wojna domowa miały ten skutek, że Hiszpanie dopuszczali się w kraju coraz gorszych okrucieństw. Tysiące łagodnych, pracowitych i pokojowo usposobionych Indian poddawali srogim torturom, mordowali i zapędzali do niewolniczej pracy. Od Chile aż po Ekwador, od Pacyfiku do źródeł Amazonki kraj dosłownie broczył krwią indiańską. Miliony tubylców ginęły na skutek ciężkiej pracy niewolniczej lub głodu, całe wsie popełniały samobójstwo, by uniknąć strasznego losu pobratymców. Ogromne połacie urodzajnej ziemi pustoszały, starodawny system kanałów uległ zaniedbaniu, topniały stada lam, Indianom peruwiańskim groziło wyniszczenie.

Wiadomości o stosunkach w Peru dotarły w końcu na dwór cesarski i wzbudziły jego niepokój. Cesarzowi zależało na tym, by w kolonii nastał ład i porządek, gdyż przynosiła ona znaczne dochody w postaci podatków ściąganych z plantacji białych kolonizatorów, z kopalni złota i srebra oraz z pogłównego nałożonego na Indian. Rabunkowa gospodarka i bezmyślne niszczenie tubylczej siły roboczej przez goniących za doraźnym zyskiem kolonizatorów stanowiły poważną groźbę dla jego interesów. Czas było pomyśleć o ukróceniu samowoli.

O polepszenie doli Indian walczył już od wielu lat dominikanin Las Casas. Ale jakże odmienne kierowały nim motywy! Na tle średniowiecznego fanatyzmu, inkwizycyjnej ciemnoty i brutalnej żądzy złota wyrasta on jako postać niezwykle szlachetna, natchniona najszczytniejszymi ideałami humanitaryzmu. Był to niezłomny obrońca krzywdzonych Indian, którym bez reszty poświęcił całe swoje życie. Należy on niewątpliwie do grona tych wielkich postaci historycznych, którym cywilizacja zawdzięcza swój postęp.

Las Casas urodził się w Sewilli w roku 1474. Ojciec jego brał udział w trzeciej wyprawie Kolumba do Ameryki. Po ukończeniu studiów młodzieniec udał się na Haiti, by objąć rozległe plantacje po zmarłym ojcu. Podobnie jak inni Hiszpanie, myślał tylko o tym, by jak najprędzej się wzbogacić. Tymczasem z rosnącym przerażeniem przyglądał się okrucieństwom, jakich dopuszczali się Hiszpanie w stosunku do krajowców. W roku 1514 przeżył „nowe narodzenie”, jak sam się wyraził. Swoim niewolnikom przywrócił wolność, oddał im ziemię i poświęcił się pracy dla nieszczęsnych Indian. W roku 1515 został księdzem.

Od tej chwili ogłaszał pamflety i memoriały, w których w niestrudzony sposób demaskował kolonizatorów hiszpańskich jako barbarzyńców i okrutników najgorszego pokroju. Pisma jego zdobywały coraz większy rozgłos i wstrząsały całą Europą. W walce o prawa Indian był niestrudzony i bezwzględny. Parokrotnie udawał się do Hiszpanii, gdzie w dysputach publicznych nie wahał się oskarżyć o złą wolę prześwietną Radę Indii i potężnych prałatów Kościoła. Popierany tylko przez zakon dominikanów, musiał zwalczać wpływy wszystkich innych zakonów, które usiłowały pokonać go intrygą i oszczerstwem. Jako biskup meksykańskiej prowincji Chiapas odmawiał sakramentów tym Hiszpanom, którzy mordowali, torturowali i trzymali w niewoli krajowców indiańskich. Podwładne mu duchowieństwo na znak protestu opuściło diecezję i pozostawiło go osamotnionego na stolcu biskupim.

W roku 1522 wstąpił do potężnego zakonu dominikanów. Jako siedemdziesięcioletni starzec udał się do Gwatemali, gdzie dobrocią i łagodnością pozyskał wiele tamtejszych plemion dla wiary katolickiej. Napisał też w tym czasie 800—stronicowe dzieło filozoficzne, w którym odrzucił scholastykę św. Tomasza i zalecał powrót do nauki św. Augustyna.

W roku 1561 roku ukończył 3—tomową historię Indii. Największy rozgłos zdobyła jednak jego „Krótka relacja o wyniszczeniu Indian”, dzieło malujące w przerażających obrazach zbrodnie konkwistadorów hiszpańskich⁹⁴. Szlachetnej i niezmordowanej walki nie zaniechał do

⁹⁴ Przekład polski Krystyny Niklewiczówny ukazał się nakładem „Paxu” z przedmową i komentarzami księdza

ostatniej chwili swego życia. Mając 92 lata posyłał papieżowi memoriały i błagał go o pozwolenie wydania ich drukiem.

W roku 1542 Las Casas udał się na dwór hiszpański i przedłożył cesarzowi projekt ułożonych przez siebie „Nowych praw”. Komisja powołana do zbadania doli Indian postanowiła przyjąć je jako podstawę nowej polityki kolonialnej. Według tych praw nie wolno było zmuszać Indian do pracy w kopalniach, przy połowie pereł oraz przy noszeniu ciężarów. Jeżeli tego rodzaju praca musiała być wykonana ze względu na dobro publiczne, Indianom należało się odpowiednie wynagrodzenie. Majątki lenne miały po śmierci użytkowników powrócić do Korony, a nie przechodzić w posiadanie potomków. Wszystkie ziemie nadane biskupom, klasztorom i szpitalom podlegały natychmiastowej konfiskacie.

W roku 1544 przybył do Peru wicekról Blasco Nunez de Vela, by wprowadzić w życie „Nowe prawa”. Był to człowiek silnej woli, który zabrał się do wykonania swego zadania z niebywałą surowością. W Panamie skonfiskował na jednym z okrętów ładunek srebra z tego tytułu, że był to owoc przymusowej pracy Indian peruwiańskich. Trzystu niewolników kazał natychmiast zwolnić i odesłać do Peru. W drodze do Limy przywracał Indianom wolność, tak że plantacje, pałace i zajazdy pozostały bez robotników i służby.

Wśród kolonizatorów zapanowało wielkie wzburzenie. Plantatorzy, właściciele kopalń, kościoły, klasztory i szpitale — krótko mówiąc, cały system gospodarczy, oparty na przymusowej pracy i wyzysku Indian, miał być obalony przez „Nowe prawa”. Miarka się przebrała, gdy porywczy wicekról zasztyletował osobiście jednego z najbardziej popularnych konkwistadorów, którego podejrzewał o knucie spisku. Hiszpanie wypowiedzieli mu posłuszeństwo i chwycili za broń w obronie swoich zdobyczy. Na czele buntu stanął Gonzalo Pizarro ogłaszając się gubernatorem Peru. Wojna domowa zakończyła się klęską i zamordowaniem wicekróla. Gonzalo stał się panem olbrzymiej kolonii.

Cesarz wysłał teraz nowego pełnomocnika, Pedra de la Gascę. Wybór wydawał się najbardziej nieodpowiedni w świecie. Był to stary, schorowany mnich, który udał się na nowe stanowisko wprost z celi klasztornej. Zadanie, jakie mu powierzono, było tak trudne, iż nikt nie wierzył w powodzenie jego misji. Pozbawiony wojska i poparcia, sam jeden stanął oko w oko z buntownikami gotowymi na wszystko.

Gasca przyjął skromny tytuł przewodniczącego najwyższego trybunału sądowego i rozwinął zręczną, niezwykle misterną działalność dyplomatyczną. Za pomocą perswazji, gróźb i pochlebiania ludzkiej próżności doprowadził do tego, że stopniowo kolonizatorzy przechodzili na jego stronę. W końcu udało mu się w ten sposób zebrać silną armię i wystąpić do rozprawy zbrojnej. Spotkanie nastąpiło w okolicy Cuzco. Nie doszło jednak do bitwy, gdyż prawie całe wojsko zbuntowanego Pizarra zbiegło na stronę sprytnego zakonnika. Gonzalowi nie pozostało nic innego, jak tylko oddać się bez walki w ręce przeciwnika.

Gasca, tak przezorny i oględny w dyplomacji, okazał się po zwycięstwie nieubłaganym sędzią. Gonzala ścięto na placu w Cuzco i pochowano w kościele obok jego największych wrogów: starego Almagra i jego syna Diega. Głowę buntownika zawieszono jednak do Limy, gdzie przez kilka dni wystawiono ją na widok publiczny.

Niezmiernie ciekawe były dalsze losy Hernanda de Soto, owego rycerza, którego Francisco Pizarro wysłał z pierwszym poselstwem do Atahualpy. Zdobywszy w Peru ogromny majątek, powrócił on do Hiszpanii jeszcze przed wybuchem wojny domowej. Ożenił się tam i miał zamiar prowadzić osiadłe życie bogatego obszarnika.

W tym czasie dotarły do Hiszpanii pogłoski o Florydzie, kraju rzekomo fantastycznie bogatym

i posiadającym w dodatku tajemnicze źródło, które przywracało ludziom młodość. Znęcony mirażem złota i wiecznej młodości, wybrał się na nową awanturniczą wyprawę, zwiedził Florydę i inne południowe obszary Ameryki Północnej. Nie wrócił już jednak do Hiszpanii, utonął bowiem w zdradliwych wodach rzeki Missisipi.

W poczet konkwistadorów, którzy skończyli niefortunnie, należy zaliczyć również Pedra Alvarada, konkwistadora, od którego Pizarro odkupił wojsko za sto tysięcy peset w złocie. W roku 1541, będąc gubernatorem Gwatemali, usiłował wspiać się konno na stromy pagórek. Wierchowiec obalił się i przygniótł go tak gwałtownie swoim ciężarem, że zabił go na miejscu. Wkrótce potem zginęła również piękna małżonka gubernatora. Podczas katastrofalnej ulewy deszczowej osunęła się góra i masy lepkiej gliny zalały pałac w chwili, gdy była pogrążona w głębokim śnie.

Warto, choćby dla samej tylko satysfakcji moralnej, wspomnieć jeszcze Juana de Samniega, owego brutalnego żołdaka, który zasztyletował rannego Lermę. Po tym wydarzeniu żył on jeszcze pięć lat, chępiąc się otwarcie swym czynem. W końcu jednak dosięgła go sprawiedliwość. Oskarżony o zamordowanie rannego towarzysza broni, został powieszony przez gubernatora ekwadorskiego miasta Puerto Viejo.

Trzech współników przeżył ksiądz Hernando de Luque, agent finansowy sędziego Espinozy. Przez wiele lat był biskupem w Tumbez i na tym stanowisku zasłynął jako żarliwy opiekun Indian.

A teraz o dwóch braciach Pizarro, którzy nie zginęli w wojnie domowej Peru.

Pedro towarzyszył Franciscowi jako młodziutki paź i w dramacie peruwiańskim odegrał rolę raczej drugorzędną. Gdy brat jego został zamordowany, wycofał się do swoich majątkości w Arequipa, gdzie wiodł spokojny żywot plantatora. W czterdzieści lat po inwazji na Peru napisał oparte na własnych przeżyciach wspomnienia: „Relacja i opis zdobycia królestwa Peru”.

Nie był to człowiek tęgiego umysłu. Jego obserwacje o ustroju Inków są wprawdzie na ogół trafne, razi jednak wsteczny stosunek do Indian, nacechowany rasowym uprzedzeniem i brakiem ludzkich uczuć. W życiu obchodziły go tylko korzyści materialne; dążenie do władzy czy sławy było mu zgoła obce. Podczas wojny domowej trzymał się z dala od braci, zajął stanowisko bezstronnego widza. Mimo to przeżył chwilę, kiedy śmierć zajaśniała mu w oczy. Gdy mianowicie Gonzalo wezwał go, by przyłączył się do rebelii, a Pedro odmówił, Gonzalo wpadł w gniew i skazał go na śmierć. Spod miecza katowskiego uratowała Pedra interwencja przyjaciół.

Najciekawszy był dalszy przebieg losów Hernanda Pizarra, właściwego sprawcy peruwiańskiej wojny domowej. Wtrącony przez cesarza do fortecy Medina del Campo, przesiedział tam przeszło dwadzieścia dwa lata. Z więzienia wyszedł już złamanym i zgrzybiałym starcem, ale mimo to dożył prawie stu lat.

W fortecy korzystał ze względnej swobody osobistej i nawet pozwolono mu się ożenić. Za małżonkę pojął swoją bratanicę, kobietę blisko związaną z wypadkami w Peru. Francisco Pizarro poślubił córkę króla Huayny Kapaka i siostrę przyrodną Atahualpy, która przy chrzcie otrzymała imię Dona Ines. Owocem tego związku była córka Dona Franciska. Dona Ines po śmierci Markiza wyszła za mąż za szlachcica (hiszpańskiego Marcina de Ampuero i przeniosła się z nim do Hiszpanii. Podczas jej odwiedzin w więzieniu Hernando poprosił o rękę Franciska i został przyjęty. Potomkowie jego otrzymali tytuł markizów delia Conquista i do dziś dnia żyją w Hiszpanii. W ich żyłach złączyła się krew konkwistadorów hiszpańskich z królewską krwią Inków.

A teraz powróćmy do burzliwych spraw peruwiańskich. Pedro de la Gasca po wykonaniu swego zadania odjechał do Hiszpanii i zamknął się ponownie w celi swego klasztoru. Rządy objął po nim wicekról Mendoza. Był to twardy i bezlitosny człowiek; wielu buntowników oddał

pod miecz katowski, innych zaś przepędził z Peru. Chcąc przywrócić pokój w kolonii, odwołał jednak „Nowe prawa” i nie złagodził okropnego wyzysku Indian.

Wyzysk ten przybrał zorganizowane formy gospodarczego i politycznego systemu rządzenia. Indian postawiono całkowicie poza prawem; nie posiadali już ani wolności osobistej, ani ziemi, ani nawet rodziny i chałup, a jeżeli jeszcze coś im z tego pozostało, to tylko dzięki łasce poszczególnych najeźdźców. Pędzono ich po kraju jak stada dzikich zwierząt roboczych, zmuszano do pracy na plantacjach i w kopalniach metali, używano do posług osobistych we dworach i pałacach białych władców.

Wobec ucisku i niewolnictwa wprowadzonego przez Hiszpanów państwo Inków wydawało się Peruwiańczykom rajem utraconym, toteż tęsknie do niego wzdychali i tworzyli o nim legendy. Pedro de Cieza de Lone twierdzi, że nawet Hiszpanie sądzili podobnie.

„Przypominam sobie — pisze w swoich wspomnieniach — że nieraz moi rodacy na widok dzikiej i spustoszonej prowincji powiadali: Gdyby rządili jeszcze Inkowie, kraj wyglądałby zgoła inaczej”.

Sierra de Leguizana, ten sam, który przegrał w Cuzco złoty dysk słońca, chcąc ulżyć swemu sumieniu sporządził testament, w którym zawiadamiał cesarza o zastraszających stosunkach w kolonii i błagał o naprawienie zła.

„Zastaliśmy ten kraj — pisze między innymi — w takim stanie, że nie było w nim ani złodziei, ani złych ludzi, ani próżniaków, ani cudzołóżnic, ani kobiet złego prowadzenia. Wszyscy poddani poświęcali się pracy uczciwej i pożytecznej. Ziemia uprawna, góry i kopalnie, pastwiska, tereny łowieckie, lasy i wszelkie inne pożyteczne dziedziny były podzielone w ten sposób, że każdy człowiek miał w nich swój sprawiedliwy udział. Nikt nie lękał się, że inny człowiek zajmie lub przywłaszczy sobie jego ojcowiznę, że trzeba będzie uciec się do procesu sądowego. A teraz biję się w piersi i przyznaję, że myśmy tych rozsądnych i uczciwych krajowców wydali na pastwę naszych wybryków i ekstrawagancji. Oni gardzą nami, gdyż widzą w nas złodziei i ludzi, którzy popchnęli ich żony i córki do grzechu. Kraj cały jest pogrążony w takim zamęciu i bezładzie, że trudno go poznać. Dawniej nie było tu ani jednego złego człowieka, dziś nie ma ani jednego dobrego człowieka w tym kraju”.

Historia kopalni srebra w Potosi świadczy, że opis ten nie tylko nie był przesadny, lecz że nawet w przybliżeniu nie odzwierciedlał rzeczywistego stanu rzeczy. W roku 1545 pewien pastuch indiański udał się na poszukiwanie zgubionej lamy. Wspinając się zboczem stromego pagórka na płaskowyżu Charcas, wyrwał roślinę z korzeniem i spostrzegł w piasku srebrzyste bryłki. W ten sposób odkrył najbogatszą w świecie i najwyższą położoną kopalnię srebra, która przez wieki przysparzała Hiszpanii niewyczerpanych dochodów.

Wiść o odkryciu lotem błyskawicy rozeszła się po świecie. Kolonizatorzy hiszpańscy na wyścigi wyznaczali sobie działki i przy pomocy niewolników indiańskich przedrażali górę kretowiskiem sztolni. Wkrótce powstały olbrzymie fortuny prywatne. Eksploatatorzy wybudowali w sąsiedztwie miasto Villa Imperial Potosi, gdzie, podobnie jak to było w Kalifornii i Klondike w okresie gorączki złota, wiedli hulaszczę życie wśród wulgarnego zbytku i rozpusty.

Potosi stało się przekleństwem dla Indian. Zapędzano ich tam do ciężkiej, wyczerpującej pracy bez wynagrodzenia, w potwornych warunkach klimatycznych. Ojciec Matolina w swoich wspomnieniach opowiada, że ścieżki i pieczary zalegały tak gęsto trupy i szkielety zmarłych z głodu i wycieńczenia Indian, że nie można było przejść bez deptania po nich. Na pięciu niewolników czterech traciło tam życie w ciągu jednego roku pracy. Indianie, otrzymawszy nakaz udania się do Potosi, pozbywali się swojej chudoby i zegnali z życiem, a krewni urządzali im pogrzeb.

Trudno wobec tego się dziwić, że mnóstwo Indian uciekało do siedziby króla Manko w

niedostępnych górach Vilcapampa, by zaciągnąć się pod jego znaki bojowe. Powstańcy dzień i noc nękali najeźdźców, napadali z zasadzki podróżnych, wycinali w pień garnizony i puszczali z dymem dwory plantatorów.

Król Manko prowadził uporczywą wojnę podjazdową przez osiem lat. W roku 1545, podczas gry w kręgle, pokłócił się z hiszpańskimi zbiegami, którzy po klęsce Almagra schronili się do jego warowni. Podczas bójki Hiszpanie położyli go trupem, za co zostali zmasakrowani przez rozjuszonych wojowników indiańskich.

Na tron wstąpił jego syn. Na propozycję Hiszpanów zgodził się nawiązać rokowania pokojowe i przybył do Cuzco, gdzie zrzekł się tronu na rzecz króla Filipa II. Został jednak za to otruty przez własnych poddanych.

Godność królewską piastowali kolejno dwaj jego bracia. Drugi z nich, Tupak Amaru, był właściwie ostatnim królem Inków. Zwabiony podstępnie do Cuzco pod pozorem nawiązania układów pokojowych, został ścięty na głównym placu miasta, gdzie poprzednio stracili życie starszy i młodszy Almagro oraz Gonzalo Pizarro.

Wraz z jego egzekucją wygasła trzydzieści pięć lat trwająca walka Peruwiańczyków o niepodległość. Wierzono jednak powszechnie, że w niedostępnej warowni górskiej nadal zasiadają na tronie potomkowie królewskiej dynastii Inków.

Pogłoski o „złotym mieście Manoa”, jak legenda ochrzciła stolicę Inków, wydawały się ludziom tak wiarogodne, że słynny angielski podróżnik sir Walter Raleigh (1552— 1618) zamierzał wyruszyć na jej zdobycie. Marzył, że w „złotym cesarskim mieście” osadzi garnizon angielski i nałoży na wnuków Huayny Kapaka roczny trybut w wysokości trzystu tysięcy funtów szterlingów w złocie. Planu swego jednak nie doprowadził do skutku.

Przez następne dwa stulecia Peruwiańczycy znosili potulnie srogi ucisk, kraj zdawał się ujarzmiony bezpowrotnie. Nagle w roku 1780 wybuchło nowe, tym razem o wiele groźniejsze powstanie. Na jego czele stanął król Tupak Amaru II, w prostej linii potomek imiennika sprzed dwóch stuleci. Bandy po zęby uzbrojonych Indian szerzyły mord i spustoszenie. Biali plantatorzy, o ile zdążyli uniknąć rzezi, na łeb na szyję porzucali swoje majątki i chronili się do miast pod opiekę garnizonów wojskowych.

Hiszpanie sprowadzili z zewnątrz posiłki i stopniowo opanowali sytuację. W końcu ogłosili amnestię dla powstańców i pod pozorem nawiązania rokowań zwabili Tupaka Amaru II do Cuzco. Wyrwali mu język, rozszarpali końmi i spalili na stosie w obecności jego rodziny. Wzburzona ludność chwyciła ponownie za broń i powstanie srożyło się jeszcze przez dwa lata ze wzmożoną zjadłością. Miasto La Paz przez dwa miesiące było obleżone, nawet Lima musiała odpierać ataki powstańców. Hiszpanie odnieśli w końcu zwycięstwo. W ogólnej rzezi padło sześćdziesiąt tysięcy Indian.

Peruwiańczycy przyjęli chrześcijaństwo, potajemnie jednak uprawiali długo jeszcze kult swoich bogów i królów. W Cajamarce do końca XVIII wieku obchodzili rocznicę śmierci Atahualpy. Ubrani w stare narodowe stroje oraz mitologiczne maski, krążyli po ulicach w procesji, nosząc przed sobą symbol boga słońca i kukłę wyobrażającą króla Atahualpę. Na miejscu jego stracenia wykonywali żałobne tańce rytualne i śpiewali smutne, pełne skargi i melancholii ballady o męczeństwie syna słońca. Wykonywania tradycyjnego obrzędu, który utrzymał się przeszło pół—trzecia wieku, zakazał w końcu miejscowy biskup.

W roku 1559 dokonano rewelacyjnego odkrycia. Do Peru przybył kronikarz Juan Polo de Ondegardo, by objąć stanowisko sędziego w najwyższym trybunale sądowym. Jeden z wicekrólów powierzył mu zadanie przestudiowania historii Inków. Podczas swoich wędrówek po kraju przybył wreszcie do Cuzco, gdzie w jednym z domków indiańskich wykrył mumie królów Wirakoczy, Tupaka Yupanki, Huayny Kapaka oraz dwóch królowych niewiadomego nazwiska.

Prawdopodobnie ukryli je tam powstańcy. Mumie utrzymały się w doskonałym stanie, miały na głowie opaski królewskie, a w oczodołach złote blaszki, były tylko obdarte z klejnotów. Sprowadzono je do Limy i wśród publicznych uroczystości pogrzebowych pochowano na dziedzińcu szpitala św. Andrzeja.

Pamięć o dobrych czasach w królestwie Inków żyje do dziś dnia w legendach i podaniach ludowych. W Cajamarce mieszkają Indianie, którzy chętnie się bezpośrednim pochodzeniem od Inków. Pokazują oni podróźnym pokój, w którym rzekomo więziono Atahualpę, a nawet wyrysowaną na ścianie kreskę, do której sięgało złoto okupu. Gdy zyska się ich zaufanie, opowiadają o wielkich skarbach ukrytych pod ruinami pałacu królewskiego. Jest to ponoć ogród podziemny pełen drzew, kwiatów i ptaków ze złota. Gdy ich zapytać, dlaczego żyją w biedzie i nie korzystają z tych bogactw, odpowiadają:

— Byłoby wielkim grzechem zrywać te złote rośliny, zresztą nie mielibyśmy z nich pożytku, bo odebraliby je nam biali.

Uroczą, pełną poezji i samorodnego humoru gadkę ludową słyszy się w Cuzco. W XIX wieku żył tam pewien Indianin nazwiskiem Don Carlos, który podobno pochodził z prostej linii z królewskiego rodu i z tej racji przybrał tytuł „Pana Inków”. Był to człowiek niski wzrostem i nie bardzo przystojny, ale piękna Dona Mariade Esquivel, w nadziei, że czeka ją życie na stopie godnej księżniczki królewskiej, zgodziła się wyjść za niego za mąż.

Okazało się, że Don Carlos był biedny jak mysz kościelna, że prócz swego górnolotnego tytułu posiadał tylko nędzną chatę i mały płacheć gruntu, na którym w pocie czoła uprawiał warzywa. Zawiedziona Indianka nie dawała mu chwili spokoju. Nękała go drwinami i złorzeczeniami, biadała nad swoją niedolą i odgrażała się, że go porzuci. Pewnej nocy, kiedy znowu nie dała mu usnąć swoimi uszczypliwościami, Don Carlos stracił cierpliwość i gniewnie zawołał:

— Kobieto, pokażę ci, czy jestem biedny, czy bogaty! Powiadam ci, nie ma na świecie króla, który by posiadał większe skarby!

Dona Mariade roześmiała się szyderczo, ale mąż kazał jej wstać z łóżka, zawiązał oczy chustką i poprowadził w nieznanym kierunku. Schodzili jakimiś kamiennymi schodami, wędrowali jakimiś krętymi korytarzami i w końcu stanęli u celu. Gdy kobieta zdjęła chustkę, osłupiała ze zdumienia. W ogromnej, kwadratowej galerii, wykutej w surowej skale, olśniły ją nieprzebrane skarby ze złota i srebra. Pod ścianami stały złote posągi królów wielkości naturalnej, w niszach i na kamiennych ławach było zatrzęsienie dzbanów, mis i kubków wysadzanych drogimi kamieniami.

Dona Mariade domagała się, aby zabrać ze sobą przynajmniej tyle złota, by mogli urządzić sobie dostatnie życie, ale mąż stanowczo odmówił zasłaniając się tym, że byłoby to świętokradztwo, za które srogo ukarałby ich bóg Inti. Urywając sprzeczkę zawiązał jej oczy i wyprowadził na dwór. Ale Dona Mariade nie byłaby kobietą, gdyby trzymała język za zębami: z zapalem rozpowiadała w całym mieście o podziemnym skarbie. Na szczęście nie знаła do niego drogi i dlatego spoczywa on w ukryciu do dnia dzisiejszego.

Nie można wykluczyć, że Don Carlos istniał rzeczywiście i że płynęła w nim krew królewska. Pod koniec XVIII wieku naliczono sześćset autentycznych rodzin arystokratycznych, język keczua dotąd jest żywy, a wśród Peruwiańczyków spotyka się dziś jeszcze ludzi, których cechy rasowe wskazują na to, że wywodzą się z Inków.

Parę lat temu etnografowie natknęli się również w Ekwadorze na niewątpliwych potomków Inków. Odróżniają się oni od tamtejszych mieszkańców żywszą inteligencją, regularnymi, szlachetnymi rysami twarzy i odrębnym strojem. Trzymają się razem w osobnych wioskach, uprawiają kult słońca i pielęgnują starodawne zwyczaje. W święta mężczyźni zakładają

kapelusze plecione z włosów ludzkich i malują sobie twarze czerwoną farbą. Gdy ich zapytać o sens tej maskarady, odpowiadają, że praojcowie, dawni Inkowie peruwiańscy, przebierali się w ten sposób, żeby nie rozpoznali ich biali zdobywcy.

Jakim cudem znaleźli się oni w Ekwadorze? Źródła historyczne napomykają, że pięciuset dostojników, chcąc uniknąć rzezi Pizarra, szukało ratunku w pospiesznej emigracji. Wraz z rodzinami i jucznymi lamami pociągnęli na północ piekielnym szlakiem przełęczy i wąwozów górskich. Badacze prześledzili ich pochod i stwierdzili, że miał on przebieg nad wyraz tragiczny. Wzdłuż całej drogi, którą wędrowali uchodźcy, odkryto w pieczarach szczątki mężczyzn, kobiet i dzieci zmarłych z wycieńczenia, głodu i mrozu.

Współcześni Peruwiańczycy niewiele różnią się od swoich przodków. Zachowali ich mowę, obyczaje, podstawowy ustrój społeczny, a nawet po kryjomu dawny kult religijny. Ludność Peru składa się z sześćdziesięciu pięciu procent Indian czystej krwi, z trzydziestu procent Metysów, a tylko z pięciu procent białych Hiszpanów. A więc Peru — to nadal kraj wybitnie indiański, kraj wyzyskiwanych mas i szczupłej garstki wyzyskiwaczy. Peruwiańskie stosunki społeczne określił trafnie wybitny znawca przedmiotu, belgijski uczonec, profesor Luis Baudin:

„Problem, jaki powstał z chwilą wylądowania Pizarra w Tumbes, nie został rozwiązany. Dramat toczy się dalej. Obie rasy nie pomieszały się, żyją obok siebie”.

Hiszpanie od samego początku swego panowania zacierali wszelkie ślady starej kultury indiańskiej. W XVII wieku duchowieństwo katolickie zniszczyło wszystkie archiwa Inków, poczytując kipu za „księgi szatana”. Indianie, którzy wtajemniczeni byli w sztukę ich odczytywania, tak zwani „kipukamayo”, powoli wymierali nie przekazując swojej umiejętności następnym pokoleniom.

Zburzono również wszelkie budowle Inków, jak pałace, domy zajezdne, magazyny, spichrze, szczególnie zaś świątynie. Uzyskany w ten sposób budulec zużyto na kościoły i rezydencje dygnitarzy hiszpańskich. Zagłady uniknęły jedynie tylko fundamenty i parterowe mury, zbudowane z bloków granitowych. Hiszpanie wzniesli na tych murach kościoły i pałace, które wyrastają na nich jak obce, pasożytnicze narośle. Na murach dawnej świątyni słońca w Cuzco stoi po dziś dzień katedra. Gdy idzie się wzdłuż wąskich ulic dawnej stolicy Inków, łatwo odróżnić fragmenty peruwiańskiego budownictwa od późniejszych hiszpańskich dodatków.

Jeżeli w burzeniu kultury podbitego kraju można by dopatrzeć się pewnej myśli przewodniej zaborców, to ich stosunek do zdobyczy w dziedzinie gospodarczej i administracyjnej był niewątpliwie nacechowany barbarzyńską bezmyślnością. Wspaniałą sieć kanałów irygacyjnych zaniedbali do tego stopnia, że w stosunkowo krótkim czasie ogromne połacie nadmorskiego obszaru zamieniły się w pustynie. Tysięczne stada lam, główna podstawa zamożności Inków, na skutek rabunkowej gospodarki zostały straszliwie przetrzebione. Nikomu też nie przyszło do głowy, żeby konserwować drogi królewskie i utrzymać zaprowadzony na nich system rozstawnego przekazywania wiadomości. Skutek był taki, że niebawem drogi zostały zniszczone i po dziś dzień tylko z wielką trudnością można tu i ówdzie odnaleźć ich ślady.

Pasja niszczycielska konkwistadorów doprowadziła do tego, że w ciągu dwóch wieków stare kultury peruwiańskie poszły w zapomnienie. Zwrot nastąpił pod tym względem dopiero wtedy, gdy do studiowania kultury peruwiańskiej zabrał się Amerykanin, William Hickling Prescott⁹⁵. Był adwokatem, postanowił jednak zrezygnować ze swego zawodu i poświęcić się historii, ponieważ na skutek nieszczęśliwego wypadku prawie zupełnie ociemniał. Odtąd nie opuszczał już prawie wcale swej pracowni, za pośrednictwem korespondentów gromadził z całego świata

⁹⁵ Bliższe wiadomości o tym genialnym historyku znaleźć można w mojej książce, „Gdy słońce było bogiem” — rozdziale pod tytułem: „Ociemniały uczonec odkrywa zagubione cywilizacje”. (Wyd. IV popr. „Iskry”, 1962 r.)

źródłowe materiały dotyczące Azteków i Inków, kazał je sobie odczytywać sekretarce i posługiwał się specjalną aparaturą do pisania dla niewidomych. W ten sposób zebrał wszystkie wiadomości, jakie można było odnaleźć w bibliotekach i archiwach Ameryki i Europy. Na podstawie tych materiałów napisał w roku 1843 dwa klasyczne, liczące po kilkaset stron dzieła pod tytułem: „Zdobycie Meksyku” i „Historia zdobycia Peru”. Należą one do arcydzieł literatury historycznej i są tak wyczerpujące, że do dziś dnia stanowią zasadniczą podstawę historiografii meksykańskiej i peruwiańskiej.

Źródła, na których Prescott oparł dzieje Inków, składają się z dokumentów urzędowych, dekretów, korespondencji prywatnej i protokołów, głównie jednak z pamiętników i zapisków historycznych, których autorami są konkwistadorzy i przedstawiciele Kościoła. Za jego czasów były to przeważnie nieznane nikomu i nie wydane drukiem rękopisy, które można podzielić z grubsza na dwie wielkie grupy.

Do pierwszej należą autorzy przedstawiający Inków jako okrutnych uzurpatorów, słusznie usuniętych przez Hiszpanów. Inspiratorem tej literatury był wicekról Peru Francisco Toledo, krwawy prześladowca Indian. Na jego zlecenie podwładni urzędnicy pisali prace oskarżające Inków o wszystkie zbrodnie i bezceństwa, by moralnie usprawiedliwić ucisk hiszpańskiej administracji. Najwybitniejszym przedstawicielem tej szkoły był autor „Historii Inków” (1572) Sarmiento de Gamboa.

Do drugiej grupy należą historycy i pamiętnikarze odnoszący się z wyraźną sympatią do Inków jako władców sprawiedliwych i łagodnych. Należą do nich Cieza de Leone, Barnaba Cobo, Bartolomeo de Las Casas, Juan de Sarmiento, Polo de Ondegardo i najwybitniejszy wśród nich Garcilasso de la Vega.

Temu ostatniemu autorowi warto poświęcić kilka dodatkowych słów ze względu na to, że był ciekawą postacią, a przede wszystkim dlatego, że głównie na jego pracy oparł Prescott swoje dzieło.

Ojciec Garcilasso, hiszpański szlachcic, który w roku 1534 przybył do Peru i wsławił się tam jako dzielny kapitan, ożenił się z księżniczką indiańską Doną Izabelą Chimbu Oclio, siostrzenicą króla Huayny Kapaka. Garcilasso był więc Metyselem i potomkiem jednego z tych licznych związków małżeńskich, jakie konkwistadorzy zawierali z księżniczkami rodu królewskiego.

Ojciec jego był bardzo gościnnie. Zapraszał codziennie około stu znajomych do swego stołu. Wśród gości bywali również członkowie dawnej kasty Inków, z którymi się zaprzyjaźnił. Garcilasso wspominał ze wzruszeniem wesołe i beztrudne życie, jakie prowadził w domu ojcowskim, często bawiąc się z rówieśnikami w ruinach fortecy Sacsahuaman.

Lecz czasy zmieniły się wkrótce na gorsze. Ojciec, zamieszany w bunt Gonzala Pizarra, został na trzy lata pozbawiony swoich majątkości i wszelkich dochodów. Do jego domu zajażdżała bieda. Na domiar złego rozwiódł się z Indianką i ożenił z bogatą Hiszpanką, by poprawić swój stan majątkowy. Matka wraz z dziećmi musiała opuścić dom, jedynie tylko Garcilasso mógł pozostać przy ojcu.

W roku 1558 umarł ojciec, a matka wpadła w ostateczną nędzę. Garcilasso postanowił udać się do Hiszpanii, by walczyć o prawo do spadku. Starania jego nie odniosły żadnego skutku, ale dzięki wpływom przyjaciół został przyjęty do wojska i dosłużył się szarzy kapitana.

W roku 1590, a więc po trzydziestu latach służby, zwolnił się z wojska i osiadł w Kordobie. Tam jako samouk poświęcił się gorliwie literaturze, filozofii i historii. Głównym jego dziełem była „Historia Inków”, napisana na podstawie osobistych wspomnień i materiałów, które z Peru przysłali mu krewni i znajomi (1609). Zdobyła ona wielką poczytność i doczekała się kilku wydań w języku hiszpańskim oraz w przekładach na język francuski i angielski. Garcilasso umarł w roku 1616 w Kordobie.

Jego „Historia Inków” zawiera wiele wiadomości potwierdzonych przez późniejsze badania. Jednakże w wielu wypadkach zawiodła autora pamięć i podane przez niego fakty okazały się nieprawdziwe. Zdradza on skłonności do przedstawienia kultury Inków w ten sposób, jak gdyby była zbliżona do chrześcijańskiej kultury Europy. Królów opisuje jako władców dobrotliwych, pomijając milczeniem surowe prawa i system ucisku, jaki narzucili Inkowie ludom peruwiańskim. Nie umniejsza to jednak wartości tych rozdziałów jego książki, w których opisuje obrzędy religijne, historię, obyczaje i życie codzienne mocarstwa Tawantinsuju.

Wypada jeszcze wymienić autora, z którego Prescott nie mógł korzystać, ponieważ odkryto go dopiero w pięćdziesiąt lat po śmierci dziejopisarza. W roku 1908 znaleziono w Bibliotece Królewskiej w Kopenhadze rękopis sporej objętości, pełen naiwnych, ale niezwykle realistycznych rysunków obrazujących życie Inków. Autorem dzieła okazał się Filip Huaman Poma Ayala. Badania wykazały, że był on wnukiem króla Tupaka Yupanki i człowiekiem wykształconym, który pisał swoje wspomnienia w latach 1587—1613. Wysoce informacyjna ikonografia oraz mnóstwo nowych faktów z dziejów kultury i religii Inków stawiają rękopis w rzędzie najważniejszych źródeł dotyczących historii Peru. Fiński uczony, profesor Rafael Karsten, wykorzystał relacje autora w swojej wyczerpującej pracy naukowej: „Państwo totalitarne w przeszłości” (1949).

Po klasycznych dziełach Prescottta ukazywały się i ukazują nadal dosłownie setki prac historycznych, których nie sposób tu wyliczyć. Podkreślimy tylko jeszcze, że „Ossolineum” wydało niedawno znakomitą pracę naukową Rudolfa H. Niconia, obejmującą wszystkie dane, jakie dotąd zdołano zgromadzić o Inkach i starych kulturach peruwiańskich. Tamże można znaleźć obszerną bibliografię odnoszącą się do tego przedmiotu.

Jeżeli chodzi o naszą wiedzę dotyczącą starych kultur przedkolumbijskich, to zawdzięczamy ją prawie całkowicie wykopaliskom archeologicznym. Wyniki tych badań przedstawiliśmy w dużym skrócie w rozdziale „W cieniu odwiecznych Andów”. Obecne poszukiwania archeologiczne, prowadzone systematycznie przez peruwiańskie ekipy naukowe, przynoszą stale nowe, nieraz nawet rewelacyjne odkrycia.

Największą trudność mają uczeni z ustaleniem daty znalezisk i tym samym z określeniem epok, w których dane kultury się rozwijały. Ale i pod tym względem, dzięki pomocy fizyki jądrowej, badania zdają się ruszać z martwego punktu.

Do żywych organizmów zwierzęcych i roślinnych dostaje się pod wpływem promieni kosmicznych wraz z dwutlenkiem węgla określona liczba promieniotwórczych atomów węgla, zwanych C, o ciężarze atomowym 14, które rozpadając się wyrzucają z siebie cząstki. Obliczono, iż życie tych promieniotwórczych atomów trwa przeciętnie osiem tysięcy lat. Z chwilą zgonu organizmu dopływ atomów węgla ustaje, a te, które zostały wchłonięte za życia — ulegają stopniowemu rozkładowi. Wynika z tego, że im starszy jest zabytek organiczny, tym słabsze musi wydzielać promienie drobin C 14. Nasilenie można wymierzyć ze względną dokładnością za pomocą licznika Geigera i — skoro znana jest długość życia drobin C 14, nietrudno ustalić również wiek badanego zabytku.

Metoda jądrowa oddała już archeologii peruwiańskiej nieocenione usługi. W dolinie Chicama w pobliżu Truillo odkopano szczątki ryb i zwierząt łownych, bawełnę, fasolę, pieprz i ziarna dyni. Badania jądrowe wykazały, że już dwa i pół tysiąca lat przed naszą erą Peruwiańczycy uprawiali rolnictwo, a więc współcześnie z Egiptem faraonów i ludami Mezopotamii.

Analiza jądrowa popiołów znalezionych pod piramidą słońca w Moche (kultura Mochica) wykazała, że pochodzą one z roku 873 p.n.e., drzewce włócznie z grobu kultury Nasca — z roku 636 p.n.e., bawełna z cmentarzyska Paracas z roku 307 p.n.e., kawałki postronka znalezione w wykopaliskach w Huaca Prieta — z roku 682 p.n.e. itd. Możemy być pewni, że ustalenie

dokładnej chronologii peruwiańskiej jest tylko kwestią czasu.

Archeologia peruwiańska może poszczycić się jeszcze innym niezmiernie doniosłym odkryciem. Okazało się bowiem, że ozdoby na ceramice kultury Chavin wykazują uderzające podobieństwo ze zdobnictwem Chin z epoki dynastii Czou (1122—249 p.n.e.). Nie rozstrzygnięto jeszcze zagadnienia, czy wpływy te dotarły do Peru na skutek migracji, czy też wymiany handlowej. Tak czy inaczej, kontakty Chin z ludami Peru w tej odległej epoce — to zagadnienie bardzo intrygujące.

Tajemnicza stolica ostatnich królów Inków pobudziła wyobraźnię paru pokoleń podróżników i awanturników marzących o złotych skarbach. Ale wszystkie poszukiwania, prowadzone w ciągu trzech wieków, kończyły się niepowodzeniami. Niejeden śmiałek, który zbyt głęboko zapuścił się w dzikie, bezludne regiony gór Vilcapampa, nie wracał. W końcu ludzie doszli do przekonania, że podobłoczna stolica Inków w ogóle nie istnieje, że jest to wymysł fantastów i marzycieli.

W początkach bieżącego wieku młody Amerykanin Hiram Bingham przypadkowo dostał do ręki zapiski ojca de la Calancha oraz notatki Karola Wiennera, w których znalazł wzmiankę o stolicy Manka I. Wiener określał nawet jej położenie geograficzne i twierdził, że jest ona ukryta w dżungli na wschodnim stoku Andów w pobliżu Macchu Picchu. Bingham był tak olśniony fascynującą wiadomością, że postanowił wybrać się do Peru na poszukiwanie zagubionego miasta.

Dobrał sobie dwóch przyjaciół i wyruszył w podróż. W odległości trzech dni marszu od Cuzco stanął nad rzeką Urubamba. Po obu jej brzegach strzelały pod niebo strome ściany kanionu. Przez, korytarz skalny wiał od strony dżungli prąd ciepłego powietrza, toteż pieniała się tam bujna roślinność. Szczyty kanionu kryła gęsta puszcza, przez którą tylko z mozołem można było się przedrzeć. Tu i ówdzie łagodniejszymi zboczami pięły się w górę zarośnięte krzewami i chwastem tarasy, na których ongi uprawiano kartofle. Na horyzoncie rysowała się majestatyczna góra Sacantay z wiecznym śniegiem na szczycie.

Przyjaciele Bingham, nie widząc dokoła żadnych śladów ruin, zniechęcili się do dalszych poszukiwań. Podczas gdy jeden uganiał się za motylami, a drugi prał w rzece swoją bieliznę, Bingham nie dał za wygraną i mimo zmęczenia wspinał się tarasami na szczyt kanionu. Przedzierając się przez poszycie puszczy natknął się na sadybę sierżanta policji Carrasco, który za sutą opłatą dał się najać na przewodnika. Po paru godzinach wędrówki przez puszcze dotarli 24 czerwca 1911 roku do jakiejś tajemniczej ruiny, zaplątanej w strumiennym uścisku roślinności. Odtąd Bingham nie przestawał wydawać okrzyków zdumienia, gdyż z każdym poczynionym krokiem napotykał coraz to nowe i coraz dziwniejsze zabytki budownictwa. Nie było już żadnej wątpliwości, że odkrył wreszcie legendarną stolicę Inków.

Kamienne gniazdo rozłożyło się w siodle utworzonym przez góry Macchu Picchu i Thayne. Wznosiło się ono tarasami po ich zboczach i zajmowało budowlami szczyty. Prawdziwe miasto pod chmurami, które liczyło co najmniej piętnaście tysięcy mieszkańców! Rzeką Urubamba spada tam w przepaść, tworzy dokoła warowni naturalną fosę obronną i płynie na wschód, by połączyć się z wielką rzeką Ukajali. Dzisiaj Macchu Picchu, oczyszczone z roślinności, jest celem wycieczek turystycznych. Miasto posiada pięć dzielnic zbudowanych na pięciu tarasach wzdłuż zboczy górskich. Dzielnice składają się z ciasno zgrupowanych domów, pobudowanych z nieregularnych granitowych bloków. Poszczególne części miasta łączą wykute w skale schody, liczące po trzy tysiące stopni. Na najwyższej platformie wznosi się wieża obserwacyjna, dwie okrągłe świątynie, domy mieszkalne kapłanów, klasztor „dziewic słońca” oraz słup kamienny, który przypuszczalnie służył jako zegar słoneczny. Przy schodach wyżłobiono otwartą rynną odprowadzającą wodę deszczową do murowanej cysterny. Pod fundamentami domów kryje się całe kretowisko korytarzy, galerii i pieczar. Służyły one jako magazyny i spichrze, częściowo zaś

jako mauzoleum zmarłych dostojników, kapłanów i „dziewic słońca”. Kilka lat temu odkryto w nich zwłoki 102 zmarłych mniszek. Macchu Picchu należy do największych cudów świata w dziedzinie budownictwa i daje jednocześnie świadectwo wielkości i potęgi Inków.

Znaczne zasługi dla wiedzy o Inkach położył również Austriak Wiktor von Hagen. W roku 1952 zorganizował on ekspedycję z zamiarem prześledzenia w terenie i naniesienia na mapę legendarnych dróg Inków. W towarzystwie żony, dwóch archeologów, topografa, fotografa i zoologa jeździł do Peru, wykrywając z wielkim mozolem ostatnie ślady wspaniałej sieci drogowej. Wyprawa trwała dwa lata i musiała pokonywać nieopisane trudności w wysokich Andach i na pustynnych nizinach nadmorskich. Nadzwyczaj ciekawy opis tej podróży oraz szczegółowe mapy odkrytych dróg opublikował Wiktor Hagen w porywającej książce „Gościńce słońca”.

Maurycy Maeterlinck powiedział kiedyś, że „cudowna jest tylko sama prawda”. Maksyma jest szczególnie słuszna, gdy zastosować ją do Inków. Ich uderzająca rola wśród starodawnych kultur peruwiańskich, ich religia, obyczaje i nagła zagłada — to chyba jedno z najbardziej niezwykłych zjawisk w burzliwej historii świata. Do owego dramatu chwały i ruiny, miłości i nienawiści, podłości i bohaterstwa nawet najbujniejsza wyobraźnia ludzka nie potrafi dorzucić nic takiego, co mogłoby go wzbogacić.

Z tych względów autor niniejszego opowiadania trzymał się wiernie faktów historycznych w głębokim przekonaniu, że mają one same w sobie moc przemawiania do czytelnika. Mimo to pokusił się tu i ówdzie o własną interpretację i beletrystyczne przedstawienie niektórych epizodów.

Uczył to jednak wyłącznie w tym celu, by uwypuklić mocniej pewne fakty historyczne. Kroniki i pamiętniki bywają niejednokrotnie w swojej relacji pełne niedomówień, nie kojarzą przyczynowo i nie uzasadniają psychologicznie niektórych kluczowych wydarzeń, a nawet często powodują uprzedzenia lub podają mylną ocenę występujących osobistości. Za przykład może tu posłużyć ciekawa postać Felipilla. Przypominamy sobie jego nienawiść do Atahualpy, jego dezercję z jednego do drugiego wojska hiszpańskiego, jego próbę ucieczki do powstańców i egzekucję. Kronikarze hiszpańscy przedstawiają go zgodnie jako intryganta i nikczemnika najgorszego pokroju. Nawet Garcilasso nie znalazł dla niego ani jednego życzliwego słowa.

Tymczasem wydaje się rzeczą jasną, że w tym młodym Indianinie, pochodzącym z plemion ujarzmionych przez Inków, nienawiść do króla miała nie tylko podłoże osobiste, że pod wrażeniem zbrodni hiszpańskich rósł on i dojrzewał wewnątrz, a w końcu przemógł w sobie separatyzm plemienny i dźwignął się na poziom ogólnoperuwiańskiego patriotyzmu, jaki znalazł swój wykładnik w powszechnym powstaniu Indian.

Czytelnik niejednokrotnie spotyka w książce dialogi. Częściowo są one żywcem wyjęte ze źródeł pisanych, częściowo zaś stanowią własność autora. Jednakże wątkiem tych ostatnich są zawsze sprawdzone fakty historyczne, czyli mówiąc inaczej, zmyślona jest tylko ich forma, a nie treść.

Rozmowy wśród Inków mają wprowadzić czytelnika w atmosferę ich przeosobliwego i fascynującego świata, dać mu odczuć smak i zapach ich egzotyzy, pozwolić zrozumieć tajniki ich mentalności, wnikać w ich duszę i motywy postępowania.

Bywają także dialogi — trzeba to przyznać — służące wyłącznie celom kompozycji literackiej. Chodziło o to, by nadać akcji więcej krwistości i życia, by surowiec historyczny uczynić dla czytelnika łatwiejszym do przyswojenia. Typowa jest pod tym względem rozmowa Corteza i Pizarra. Ponieważ obaj wodzowie istotnie spotkali się w Hiszpanii, jest rzeczą nie do pomyślenia, by nie rozmawiali na tematy tak blisko ich obchodzące, by nie wymieniali swoich

doświadczeń z walk z tubylczymi ludami nowego kontynentu. Autor włożył obu konkwistadorom w usta informacje pozbierane z rozmaitych źródeł. Nie sądzi jednak, by uchybił w ten sposób prawdzie, gdyż wychodził z założenia, że o czym wiedzieli dziejopisarze, nie mogli nie wiedzieć główni aktorzy amerykańskiego dramatu.

Niejednego czytelnika uderzy może kompozycja książki polegająca na tym, że rozdziały o cechach powieściowych przeplatają się z esejami historycznymi. Przyznać należy, że jest to forma niezwykła, może nawet ryzykowna.

Autor nie chciał jednak napisać ani rozprawy naukowej, ani powieści, w której musiałby wyrzec się wielu cennych i ciekawych wiadomości o Inkach, szczególnie z dziedziny ich niezwykłego ustroju państwowego.

Pisząc książkę na pograniczu beletrystyki i bezpośredniej informacji, autor zdawał sobie sprawę, że odważa się na niekonwencjonalny eksperyment. Uczynił to jedynie dlatego, że pragnął oddać czytelnikowi możliwie najlepszą usługę i nakłonić go do zadumy nad zawiłymi drogami dawnych ludów peruwiańskich, które stworzyły tak swoiste i bogate kultury, by ulec w końcu nieuchronnej zagładzie.